

ZIEMIA

ZIEMIA

WŁADYSŁAW KOZICKI

ZIEMIA

POWIEŚĆ

napi's wzd Twi



T.

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GMACHOWSKIEGO
CZĘSTOCHOWA _____ 1925

95

14023/66

LP 1 9 d

2.83023
I

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
COPYRIGHT BY WŁADYSŁAW KOZICKI, NINETEEN HUNDRED TWENTY FIVE

S. Kryżanowski
ks. i szt. Nut
Krochów
10.X.66u.

30.-21.



Czcionkami i drukiem
F. D. Wilkoszewskiego
w Częstochowie.

KSIEGA PIERWSZA

KWIAT POLNY

I.

Szelest cichy, lękliwy, ostrożny przerwał zielono-złotą ciszę lasu. Jakieś nogi delikatne i czujne, jak skradające się na palcach pragnienie miłosne, rozsuwały podścielisko drzew, utkane z wątych trawek, mchu, uschłych gałązek i zwiędłego listowia zeszłorocznego. Ten szmer ledwie dostyżalny wystarczył, aby obudzić niepokój w nieutroskanych, lecz wiecznie na straży życia stojących duszach mieszkańców lasu. Z białopiennej, mgłą zielonych drobnych listków otulonej brzoźki zerwała się turkawka, zatoczyła kilka pełnych wahaniami kręgów, aż wreszcie usiadła na uschłym wierzchołku świerka, zadowolonym gruchaniem obwieszczając, że odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Strojna krasnowronka błysnęła niebieskimi skrzydłami, cudnem, jak zjawą szczęścia i jak ona krótkotrwałem, aby przepaść w zielonym mroku zarośli. Czarny, jak węgiel, kos, któremu jakiś niezmiernie pilny interes kazał przepatrywać bacznie brzegi kałuży, pozostałej po deszczach na środku leśnej alei, poderwał się skośnym, przyziemnym lotem i spłynął lekko na ziemię o kilkanaście kroków dalej, rzuciwszy słońcu, które zaplatało się w dostojnie rozłożystą koronę dęba, wysoki, tryumfalny,

w połowie kunsztownie urwany trel, nakształt śpiewaka, próbującego czaru swego gardła i siły płuc. Tylko wśród pełzającego i łążącego po trawie owadziego narodu podejrzany szmer leśny żadnego nie wywołał wrażenia. Miedziana, pyszniąca się wytwornym ornamentem swych skrzydeł szczyfica ani na chwilę nie przerwała podróży do tajemniczego, jej tylko wiadomego celu, duże, rude mrówki z jakąś wschodnią, nerwową ruchliwością uwijały się dalej po zboczach ogromnego kopca i pracowały zawzięcie, wynosząc na słońce białe poduszeczki, w których kryły się przyszłe podpory mrówczego społeczeństwa, lub dźwigając olbrzymie belki patyczków i szpilek sosnowych. Także połyskujące ciemno-szmaragdową emalją żuki nie dały się obudzić z fanatyzmu roboczego i nie przerwały swych skrupulatnych funkcji urzędników czystości publicznej, rozkładających na atomy płaską a szeroką kupkę brązowego, napół wyschłego nawozu, na który spacerująca po lesie jałowica przerobiła w swych jelitach wonne zioła i kwiaty.

Delikatny szmer łamanych gałązek i popłoch chwilowy wśród ptactwa obudził Szczerbę ze stanu pół snu, pół jawy. Trwał w nim już od kilku godzin, leżąc na miękkich mchach, z twarzą zwróconą nawznak ku południowemu, sierpniowemu słońcu, którego żar łagodziły baldachimy drzew.

Leniwym ruchem zwrócił z trudem głowę w stronę, skąd szelest dochodził, lecz zrazu dostrzegł tylko chwiejące się, widocznie dopiero co potrącone, gałązki leszczyny. Niebawem jednak płocze stworzenie, które odważyło się zakłócić

senliwą ciszę zastygłego w upale lasu, ośmielone złudzeniem, że prócz dobrze sobie znanych, przyziemnych i napowietrznych tubylców, żadnego intruza nie ma, postąpiło zuchwale kilka kroków naprzód. I wówczas tuż nad twarzą Andrzeja pojawiła się kształtna, płowa główka i para dużych, czarnych, aksamitnych oczu. Przecudownie łagodne i przedziwnie smutne oczy sarny związały się z przesmutnemi oczami ciężko chorego chłopca w melodyjny akord silnej, jak hypnoza, sympatji. Trwali tak oboje przez kilka sekund w słodkim bezruchu. Zwierzę, ujarzmione czarem przeduchowionych niemocą oczu ludzkich, zapomniało o lęku.

Lecz w człowieku, który przed dwoma jeszcze miesiącami zabijał na wojnie, odżył stary nałóg odwiecznego tępicielea wszech stworzeń żyjących.

— Nie trzeba dubeltówki — pomyślał — ubiłbym ją z mego wojskowego browninga, gdybym go miał jeszcze.

Natychmiast jednak zawstydził się.

— Ledwie nogi za sobą wleciesz, a jeszcze chcesz mordować, poczwaro! — zgromił sam siebie i uczuł nagle niezwalczoną ochotę pogłaskania tej ślicznej głowy i przytulenia ust do czarnych jej nozdrzy. Wyciągnął rękę, lecz spłoszona sarna porwała się dziko do ucieczki i przesadzając junacko wspaniałemi susami krzaki i co niższe drzewka, migotała jeszcze przez chwilę, jak rudy płomień, aż zgasła, nakryta szaro-zieloną opończą leśnego mroku.

— Znikła — westchnął z boleścią — jak znikła wszystko dobre, jak zniknie moje młode życie.

Zapadł znów w drętwą zadumę. Po jakim czasie spojrzał na słońce, które ujrzał na samym szczycie nieba, poprzecinane czarnymi kreskami zwisających nad nim gałązek.

— Czas-by już do domu — podszepnął mu n. wyk obiadowania. Ale zgryźliwa ironja odpowiedziała bezzwłocznie:

— Poco? Na te zimne, nieomaszczone kartofle, których przełknąć nie mogę. Nie dadzą r szpitalnych kleików. A i tej łyżki podłej straw żałują ci w dodatku. Siostra przyrodnia jeszcze się hamuje, ale ten mój niby szwagier nawet nie próbuje udawać. Niedalej jak wczoraj zrzędził ta głośno, abym usłyszał na moim tapczanie w komorze: „Djabli tu nadali tego zdechlaka. Człowiek haruje, jak ten czarny wół i nie ma co w gębę włożyć, dzieciśka puchną z głodu, a tu jeszcze ten umrzyk będzie nas objadał. Jego chałupa, to niech się ją zabierze, ale chlebem z nim się dzielić nie będziemy, bo sami nie mamy. Nie mogło to zostać na rządowym wikcie u inwalidów. Ale gdzieś ta! Zachciało się delikacikowi na gwałt do mamy a mamusia już tymczasem od dwu lat ziemię gryzie!”

Wspomnienie tych plugawych słów szwagra Mikołaja zwinęło się w piersi Szczerby w węzów kłęb i jak zmija, zasyczało nienawiścią. Po raz drugi pożałował, że nie ma swego rewolwera, wierne go towarzysza wojennej niedoli. Sprzedał go, ab zająć do tego ukochanego, tęsknotą trzech lat wypieszczonego Łanowca, który go powitał gorąco i karmił nędzą a pocieszał cmentarzem.

— Zabić tego chama z wiecznie rozczochraną czupryną! — wołała w nim miłość synowska i za

do całego świata. — Siostra zostanie wdową i cóż z tego? Ona nie moja, z innej matki, a ojca nie pamiętam wcale. — Umarł, gdy miałem rok. Zabić go, tego chama, niech mi nie hańbi mojej świętej nieboszczki!

Gniew wywołał w nim chwilowe złudzenie powrotu sił. Podniósł się na łokciach i usiłował wstać, ale wnet opadł bezwładnie na elastyczne, puszyste, lśniące i miękkie, jak perski dywan, podłoże czarno-zielonych mchów. Niemoc tak go zabolala, że aż łza na końcu długich rzęs spłynęła.

— Chyba tu skonać przyjdzie — zaszumiało mu w głowie. Zrozumiał, że choćby wstał, nie zdołałby dojść do chaty. Przypomniawszy sobie, że gdy rano o świcie wywłókł się z domu, aby jak najmniej w nim przebywać, potrzebował dobrych dwu godzin, zanim dobrnął do lasu, odległego ledwie o dwa kilometry. Szedł miedzami, przez pola, kryjąc się wśród konopi i kukurudz, bo duma młodzieńcza kazała mu ukrywać przed ludzkimi oczami swą słabość bezsilną. Chwilami musiał pełzać na czworakach, bo nie mógł się utrzymać na nogach.

— Umrę, no to i cóż! Przynajmniej na swojej ziemi. Lepsza śmierć, niż takie życie. W uszach zadzwoniły mu słowa piosenki wojackiej o żołnierzu, który, gdy umrze, wielkim panem się staje, bo mu kawał ziemi fundują i krzyż mu dają honorowy.

— No, o krzyżu dla mnie to i za życia nie zapomnieli — szepnął z odcieniem dumy i ciepłym spojrzeniem objął swoje „Virtuti militari”, którego wstążeczka czarno-niebieską smugą odcinała się od jasno-brązowego tła żołnierskiego munduru. — „Za

Zadwórze!" — ożywił się bohaterskiem wspomnieniem i zaczął śpiewać w duchu: „Śpij kolego, w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie". „Dla Ciebie, Polsko, i dla Twojej chwały!"

— Dla Polski! — powtarzał z rozrzewnieniem, w którym żal za ulatującym, młodem życiem mieszała się z niejasno uświadomionem poczuciem dostojności ofiary.

Rezygnacja i senność południowej godziny uspokoiły go. Poddął się losowi. Przez czas jakiś przypatrywał się bezmyślnie misternym gwiazdkom swej mchowej pościeli, potem widok ślimaka, wysuwającego ze skorupy swe śmiesznie nastroszone, długie rogi, zabłysnął mu dobrem wspomnieniem dziecinnej pustoty. Przez czas pewien wzrok jego zatrzymały skromne a wierne stokrótki i podsunęły mu spęłszy obraz jakiejś dziewczynki z lat szkolnych, która swe lniane włosy, spadające na dwie gwiazdki modrych oczu, przystrajała wianuszkami tych wdzięcznych kwiatków. Po chwili uczuł gorąco i gwałtowne pragnienie. Rozpiął więc mundur i rozchylił koszulę, odsłaniając białe piersi, poczem zaczął się wachlować dużym liściem zerwanej paproci. Zobaczywszy tuż obok swej głowy na pniu sosny bursztynowy sopel żywicy, zerwał go i włożył do ust, lecz mdły jego i niemły smak podniecił w nim tylko pragnienie. Ucieszył się, znalazłszy w zasięgu ręki kilka przejrzałych poziomek i krzak ożyn. Zwłaszcza te czarne, cierpkawe jagody przyniosły mu niemałą ulgę.

Lecz myśli jego plątały się coraz bardziej, jak nici, które niecierpliwa ręka pragnie jak najprędzej z kłębka rozmotać. Gorączka poczęła prze-

suwać przed nim bezładny kinematograf życia i ułudy.

Widzi się oto małym chłopakiem w swej chacie. Tak, to ta sama czysta izba z wazonkami mirtu i fuksji na oknie, ta sama, której obraz w dzień i w nocy towarzyszył mu podczas wojny wszędzie, pod Verdun i nad Isonzo i później nad Berezyną i pod Lwowem. Siedzi sobie cichutko przy sosnowym stole i pisze zadanie niemieckie. Obce litery nawiewają nań czar dalekich miast, ludzi i krajów, otaczają go rozmarzającą wonią tajemniczej przyszłości. Przez małe szybki widzi gałęzie smreków, które uginają się pod dużymi kłębami śniegu. Jakby łapy białych niedźwiedzi sięgające po coś dalekiego. Jest mu ciepło, zaciśnię i dziwnie dobrze. Przy oknie siedzi matka w białej chustce na głowie i naprawia jego bieliznę. Ona, ta dobra, ta ukochana, jedyna na świecie. „Ucz się, Jędrusiu, — mówi — Bóg wie jaki los tobieznaczony, nauka ci się przyda. Nie oddałam cię na pastucha do dworu, jak mi radzili, choć wtedy mniejsza bieda byłaby w domu. Wolę się już sama zapracować, byle z ciębie coś było”. A wtedy on porywa się, aby ucałować chropawą, pomarszczoną, zbiedzoną dłoń matczyną, lecz nagle staje się coś okropnego. Z pod ziemi wyrasta rozczochrany szwagier Mikołaj, odtrąca go od matki, a potem rzuca się na nią, dusi — ach, jakże straszne rżenie umierającej — oboma kolanami włacza ją do grobu, przysypuje ziemią i siada potem na grobie, wykrzywiając do niego twarz w ohydny uśmiechu.

Wrażenie tego wstrętnego grymasu było tak

silne, że oprzytomniał. — Zrazu nie mógł pojąć, gdzie się znajduje, dopiero migot złotych dukatów, które słońce poprzez liście rozsiewało po leśnej murawie, i dziecinny a tak swojski głos kukułki przywiódł go do rzeczywistości. Przypomniał sobie, że to tak nie było. Mikołaj nikogo nie mordował. Matka umarła w powiatowem mieście, w szpitalu epidemicznym, nikt mu o tem nie doniósł, bo po jej śmierci nie miał nikogo, ktoby go kochał. A zresztą wojna włóczyła go światami, z miejsca na miejsce. Najbardziej go to bolało, że nikt nie umiał wskazać mu jej grobu. Może gdzieś w wspólnym dole ją pochowali. I tak leży sobie biedaczka pod księżą grudą, nieopłakana, nieodwiedzana!

— A co było przedtem? — Broniąc się majakom i zmorom, usiłował myśleć porządnie, uszeregować wspomnienia i pamięć coraz oporniejszą ująć w cugle, jak niesforne go konia. A więc przedtem chodził do szkoły w miasteczku, robił co dnia trzy kilometry tam i z powrotem i żył sobie z matką, jak w raju. Aż raz, gdy służył do mszy i potem wyszedł z księdzem z kościoła, zobaczył na gościńcu długie szeregi wojska. Ciągnęła artylerja, piechota, konnica, a wszystko obce, nieznane, dzikie. Moskale! Pamięta, jak dziś, małe koniki kozackie, wysokie papachy, kozuchy baranie, w upale sierpniowym wełną na wierzch wywrócone, twarze o wystających na policzkach kościach i szerokich nosach, skośne oczy, nieforemne, zwaliste kadłuby jeźdźców. Pytali po drodze, czy daleko jeszcze do Wiednia. I pamięta także eleganckie, jak na bal wystrojone figury gwardyjskich oficerów, smukłych i wciętych w pasie, jak osy. Hasali sobie na wspa-

niałych koniach, weseli, pyszni, bogaci. Rzekłbyś: każdy książe, czy generał. A gdy przeszło to całe olbrzymie wojsko, długo jeszcze potem unosiła się w powietrzu woń dziegciu. Moskale, Moskale, słyszał dokoła przerażone głosy. I on zląkł się okrutnie o siebie, ale jeszcze więcej o matkę. Pobiegł do chaty i zastał matkę ledwie żywą ze strachu o niego. Rzucili się sobie w objęcia, a matka zalała się łzami. Z szczęścia, czy ze smutku—często o tem myślał i nie mógł znaleźć odpowiedzi.

A potem przyszły ciężkie czasy wojny i inwazji. Do domu zaczęła zaglądać nędza i jej kuma troska. Matka musiała pójść na służbę do miasteczka. O nauce nie mogło już być mowy, zresztą szkoły pozamykano. I jemu wypadło teraz zarabiać na kawałek chleba. Przygarnął go ksiądz proboszcz, z włosami jak śnieg białemi, ale zdrów i krzepki, z różową, zawsze uśmiechniętą twarzą. Plebanja świeciła czystością, jak lustro. Ganek obrastało dzikie wino, w ogródku kwitły bratki, nasturcje i malwy, z tyłu była pasieka i sad. W pracowni księdza z mahoniowymi meblami i kilimami roilo się od obrazów i książek. Przedmiotem szczególnej jego ciekawości była szafa biblioteczna. Nęciły go zwłaszcza małe, zielone tomiki ze złotym napisem: „Pisma H. Sienkiewicza”. Zaglądał do nich często, bo ksiądz pozwalał, ale niewiele było czasu na czytanie, bo musiał i do mszy służyć i lokajować w domu, a i furmanic czasem, gdy wypadło gdzie wyjechać. Dobry był ksiądz... Jak się nazywał? Jakoś tak słonecznie, jak słońce, jak słońce. Aha... Ksiądz Jasnota. Zapowiadał zawsze, że go dalej uczyć będzie, bo — mówił —

zdolny jesteś i głowę nosisz nie od parady. Ale nigdy jakoś do tego nie doszło, a że lata mijały i na silnego już podrośł chłopaka, więc wziął się do zajęć gospodarskich: nauczył się orać, siać i kosić. I tak żył sobie wesoło i bez troski przez kilka lat, choć na świecie szalała wojna.

Tu błysnęło w pamięci Szczerby wspomnienie, jaśniejsze jeszcze, niż postać księdza Jasnoty. Ujrzał białą, słomiany kapelusik, niby [połyskujący w słońcu, złoty grzybek, z którego spływała, jak strumień wody, jedwabna, blado niebieska, przezroczysta szarfa. Panienska z łanowieckiego dworu. Panna Wanda Proszewska! Co się z nią dzieje teraz? Tyle lat jej nie widział. W niedzielę po sumie przychodziła z ciotką na plebanję, a kiedy ciotka z księdzem proboszczem zabawiała się rozmową, wybiegała do ogrodu, gdzie uganiała po ścieżkach, przeskakując przez biało-czerwony sznur z żółtymi, pięknie toczonemi rączkami. Raz zobaczyła go, jak wystrojony paradnie, siedział na ławce koło grządki z kapustą i próbował grać na fujarce, którą wyciął sobie z wierzby. Nagle — pamięta, jak dziś, tę rozmowę, — usłyszał gniewny głos panienski.

— Czego tak piszczysz? Uszy mię bolą. Chodź tu zaraz.

Rozkaz rzucony był tak twardo, że zerwał się jak oparzony i przybiegł posłusznie.

— Jak się nazywasz? — spytała panienska, patrząc nań wyniosłe z góry i odgarniając czuprynę, która jej ciągle spadała na oczy.

— Andrzej Szczerba.

— Szczerba, czy cała Dziura, to wszystko jedno. Ile masz lat?

— Dwanaście skończyłem w październiku.

— A ja w październiku skończyłam czternaście. To doskonale. Będziesz moim koniem, a ja Achillesem. Oczywiście jesteś głupi i nie wiesz, co jest Achilles.

To rzekłszy, bez namysłu zarzuciła mu na szyję swój biało - czerwony sznur i zaczęła go poganiać małym, ślicznym batożkiem. Jędrkowi wcale się podobała ta zabawa, to też upędzali po ogrodzie, jak szaleni, nic sobie nie robiąc z połamanych liści kalarepy i z podeptanych główek maku.

Gonitwy Achillesa i jego konia powtarzały się odtąd często. Panna była zawsze dumna i nieprzystępna, nie poufaliła się z nim, lecz traktowała go jak parobka. Aż jednej niedzieli przebrała miarę. Grymasiła od samego początku. Jędrak nie mógł jej niczem dogodzić, to wyrażał się nie dość gładko dla jej uszu, to biegał zbyt powoli. Po jakimś czasie jej zły humor doszedł do tego stopnia, że, wołając: „Masz ty brzydału, ty wstrętny chamlu!“, ściągnęła go batożkiem tak silnie po twarzy że czerwona pręga wystąpiła w tej chwili na policzku i zwilżyła go kilku kroplami krwi.

Gniew uderzył szturmem Jędrkowi do głowy i zaćmił mu oczy szaleń. W okamgnieniu porwał i tak już przerażoną Wandzię, podniósł ją w górę, jak słomkę i już miał nią z całej siły gruchnąć o ziemię, gdy wtem wyczuł w dłoniach ciepłą wiotkość jej ciała i nagle zrobiło mu się jej ogromnie żal. Postawił ją więc ostrożnie na ścieżce i wyszeptał cicho:

— Nie boli mnie, nie gniewam się na panienkę.

A potem nastąpiło coś, czego wspomnienie było mu później zawsze w najcięższych chwilach życia, jakby chłodną kroplą rosy dla warg spieczonych gorączką. Pannie zabłyśły duże łzy w cudnych szafirowych oczach. Nie namyślając się długo, zarzuciła mu obie ręce na szyję i okryła go gorącym gradem pocałunków, ścierając czerwone mi, jak wiśnie, ustami krople krwi z jego policzka. Potem zaś uciekła na plebanję, nie mówiąc ani słowa. Na ten dzień zabawa była skończona.

Odtąd panna Wandzia zmieniła się wobec niego zupełnie. Była dla niego dobra, słodka, jak siostra. Raz nawet powiedziała mu: „Żałuję, że nie mam brata, jaka szkoda, że ty nie jesteś moim bratkiem“. Widywali się teraz częściej, bo panienka wytłómaczyła cioci Mazowieckiej, że Jędrrek ma wielkie zdolności i że byłoby grzechem nie kształcić go dalej. Po długich ceregielach dumna ciocia, która od ludu trzymała się zdala, zgodziła się, aby Wandzia została jego nauczycielką. Uczyła go historii polskiej i czytała z nim razem „Pana Tadeusza“ i „Trylogię“ Sienkiewicza. Były to dla niego najszczęśliwsze godziny, kiedy siedział z nią w parku na kamiennej ławce pod ogromną lipą i wpatrywał się w jej oczy modre, jak wrześniowe niebo, pochłaniając chciwie jej nauki, jak ewangelję najświętszą. Przez tych kilka miesięcy nauczył się więcej, niż w szkole za cztery lata. Z wdzięczności przynosił swej nauczycielce koniki i owce, lepione z chleba, do czego miał wielką zręczność. Wandzia cieszyła się bardzo temi darami i twierdziła, że Jędrrek będzie wielkim artystą, bo ma wi-

doczny talent do rzeźby. Raz przyniosła mu fotografie z muzeum neapolitańskiego i zażądała, aby według jednej z nich ulepił jej Antinousa. On wstydział się zrazu tej nagości, ale mu wytłumaczyła, że sztuka jest święta i że nic w niej nie może być grzechem, a gdy mu się figurka niezgorzej udała, przypatrywała się jej długo, aż rumieńce na twarzy jej wystąpiły, a potem powiedziała:

— Talent masz, to prawda, ale że zawsze będziesz głupim chłopakiem, to także prawda.

— Dlaczego? — zapytał Jędrak.

Panna nic nie odrzekła, tylko odsunęła się od jego ramienia, do którego przywarła była podczas oglądania figurki i skrzyżowała dłonie na piersiach, dojrzewającym już zarysem rysujących się pod cienkim jedwabiem bluzki, jakby stłumić chciała nagłe ich rozfałowanie.

— A w dodatku długów nie oddajesz — dodała po chwili.

Nie zrozumiał tych słów wtedy, ale i czasu nie było do odgadywania ich znaczenia, bo nadeszła ciocia Mazowiecka, a zobaczywszy nagiego Antinousa z chleba, wpadła w ogromną furję i zrobiła pannie straszną awanturę. Pamięta, że wołała: „Nie pozwolę ci się dłużej deprawować i pospolitować z tym prostakiem“, a przytem tak wymachiwała rękami i chwytala się za głowę w wielkiej złości, że aż sztuczny warkocz odpiął się i spadł na ścieżkę, na której czernił się, jak jadowita żmija.

Antinous położył kres ich znajomości. Zaraz nazajutrz ciotka wywiozła pannę do Lwowa na pensję. Andrzej nie zobaczył jej więcej, ani żadnego

listu od niej nie dostał. Widocznie była pod dobrą kontrolą, a później pewnie zapomniała o nim. Sam pisać do niej nie miał śmiałości.

Po odjeździe Wandy Jędrak nie mógł dać sobie rady. Chudł, mizerniał i widocznie tumaniał. W robocie tak się zaniedbywał, że aż dobry ksiądz Jasnota musiał go nieraz łajać. Jedyłą ulgą było dla niego zakradać się w księżycowe noce do dworskiego parku. Tam odszukiwał ławkę na której siadywał z Wandzią i okrywał zimny kamień namiętnemi pocałunkami, zmywając go łzami, a potem rzucał się na piasek alei i szlochał głośno. Dziewczęta wiejskie naśmiewały się z niego, że zachciało mu się księżniczki i teraz z żalu umiera, ale on nic sobie nie robił z ich żartów i zimno przyjmował ich zaloty. Raz, gdy się kąpał w Serecie, postanowił utopić się, gdyż życie stało się ciężarem dla jego szesnastoletniego wówczas serca. Zanurzył się więc z głową w wodzie i usiłował nie wychylać się, póki się nie udusi. Ale zwyciężyła młodość i strach przed śmiercią.

A potem ból jego uleczył czas i ciąгла nowość wojennych wrażeń. Przez Łanowiec przeciągały coraz to inne pułki rosyjskie: kozackie, syberyjskie, achtyrskie i petropawłowskie. Zmieniali się też generałowie, którzy tam mieli swój sztab: Bielajew, Dragomirow, przez pewien czas stał nawet kwatery sam Brusilow. Szczerba zaprzyjaźnił się z Moskalami, przekonawszy się, że ci dzicy wojownicy mają najczęściej miękkie i smętne dusze. Popijając z nimi czaj, polubił ich tęskne pieśni, śpiewał razem z nimi „Wołga, Wołga, mat' ridnaja“ i nauczył się niezłe po rosyjsku.

Lecz przyszedł czas, że Moskałom źle zaczęło się wieść. Łanowiec znalazł się w środku linii bojowej pomiędzy dwoma frontami. Dokoła plebanji nieraz pękały granaty, jeden wpadł nawet do spiżarni, ale na szczęście nie wybuchł. Często z księdzem Jasnotą spędzali na modlitwie bezsenne noce, kiedy ziemia cała drżała od huraganowego ognia, pociski armatnie, jak potworne żmije, z sykiem przeraźliwym przelatwały nad dachem, a łuny wystrzałów zaglądały im do okien. Aż wreszcie Moskale musieli się cofnąć, a na ich miejsce przyszły opasłe i gburowate Niemcy. Wyrzynało to bez ceremonji wszystkie świnie we wsi, które piekli na ogniskach i pożerali chciwie, zakrapiając je cienkiem piwkiem. W ślad za nimi przyciągnęli wygłodzeni Austriacy, którzy powitali swych poddanych szubienicami, wietrząc w każdym zdrajcę i szpiega. Znaleźli się dobrzy ludzie, którzy i jego zadenuncjowali, że przyjaźnił się z Moskałami. Ledwie go ksiądz Jasnota wyprosił od stryczka.

A potem przyszedł nieskończony szereg „musterunków“, który coraz to młodszych pochłaniał i rzucał na rzeź mobilizacji. Ohydna ta wiedźma kroczyła po głowach ludzkich, jak po grudach rozoranej ziemi, kusząc szyderczo swą beczelnie obnażoną łydka ciągle nowych ofiarników na ucztę śmierci. Tak ją raz we śnie ujrzał Szczerba, gdy się już do niego zbliżać zaczęła i tak ją do dziś nienawidził. Ostatni przegląd i jego zagarnął do tego obrokowiska, które w nieskończoność karmiło austriacką chuć wojenną.

Wtedy widział po raz ostatni swą matkę. Poszedł pożegnać się z nią do jej chaty. Chociaż nie-

stara jeszcze, wydała mu się dziwnie bezsilna i bliska grobu. Gdy szła, nogi jej się plątały, zataczała się jak pijana, a ręce jej drżały. Na głowie jej dostrzegł mnóstwo siwych pasm. „Synu mój, kochanie moje, pociecho moja! — mówiła — wiem, że już ciebie nie zobaczę w tem życiu. Ale zza grobu czuwać będę nad tobą i pomagać ci będę, abys po tej ziemi szedł coraz wyżej, coraz wyżej z tych dolów, gdzien ciebie zrodziła. A pamiętaj, abys dzieciom swoim oddał to życie i tę miłość, którą ja w ciebie włożyłam i abys sporo jeszcze od siebie przyczynił. Bo musi być Bogu pomoc dla od ludzi tej ziemi“.

Odszedł, tłumiąc szlochanie, bo wstydził się leż nawet wobec matki. Taką od dziecka twardą i opancerzoną przed ludźmi miał naturę. Gdy obejrzał się po chwili, zobaczył swoją świętą, jak oparła o odrzwia jedną ręką, drugą przysłaniała oczy i wpatrywała się uporczywie w jego oddalającą się postać. Pozdrowił ją jeszcze zdaleka kapeluszem, cały żar serca wkładając w ten ostateczny ruch pożegnania. Wtem słońce, wychyliwszy się z poza chmury, chlusnęło mu wprost w oczy zamiecią światła i tą gorejącą groblą oddzieliło go od drogi, którą wydeptał dziecinnymi stopami, od chaty rodzinnej i matki rodzonej.

Gdy Andrzej, leżąc na murawie leśnej, przywoływał teraz wspomnieniem tę chwilę, wydało mu się, że znów widzi ten most płomienisty, a na jego końcu matkę, która ręką zgrzybiałą przyzywa go do siebie.

Lecz nagle gorączka przerzuciła znów kilka obrazów w kinematografie jego życia i wydobyła

z czeluści jego pamięci najpiekniejszy z momentów przebytej męki wojennej.

Ciasna kawerna wykuta w skale. Dwudziestu ludzi wraz z „zadekowaną” armatą ledwie się w niej pomieścić może. Front włoski, w Dolomitach. Oficerów i żołnierzy ogarniała niezwalczona nuda, doprowadzająca do utraty pamięci i zmysłów. Nie wiedzą już jak długo tu są: dzień, dwa dni, rok czy miesiąc. Jedyńy pan ich i władca — to ta bezczelna, nigdy nienasycona armata, która bezustannie karmią stałą i prochem po to, aby bezustannie żyła ogniem i rozbijała alpejskie granity, zasypując gruzem nieszczęsnych Italianów. Pozycja staje się więzieniem nieznośnem. Od twarzy towarzyszy bije wstręt i prawie nienawiść. Wspólna niedola nie łączy ich, ale rozdziela, rozdrażnia i podjudza wzajem przeciw sobie. Wszystkie pieśni już wyśpiewane i znane do obrzydzenia. Wszystkie dowcipy sto razy powtarzane są już bardziej nienawistne, niż słowa komendy, niż eksplozja granatów włoskich, pękających dokoła. W niejednych oczach czyta się pragnienie, aby już raz nareszcie jakiś pocisk włoski, jakiś „volltreffer” niechybny wpadł do tej nory i wydusił smrodliwe owady ludzkie, które ją zapługawiają swem życiem. Panowie oficerowie gęsto bawią się butelkami, lub po raz niewiadomo który odczytują mapę, wyznaczając na niej swe stanowisko. Marmolada, punkt 3299, Fassat Avisio, Cordevole, die verfluchten Welschen słyszy się ciągle. „Żeby tylko nasi” (— czort bierz tych „naszych” —) zajęli Arsiero i Asiago — wzdycha ustawicznie puciołowaty porucznik z Wiednia — wtedy i my ruszymy z tej dziu-

ry. Pójdziemy na Feltre, na Agordo i Beluno, spać będziemy po zamkach z ognistemi Włoszkami, w łóżach włoskich contessin, konewkami pić będziemy wino, czerwone jak krew. Ja, ganz piramidall...”

Tymczasem nuda oplątuje ludzi coraz silniej swą brudną pajęczyną, lepka mazią wlewa się do gardła, do brzucha, wciska się w wszystkie żyły, zatrzuwa całą krew. Wychylić się nie można, aby spojrzeć w niebo ponad skalne turnie, zachłysnąć się powietrzem, mocnem jak stuletni tokaj, rozkołysać duszę w takt śpiewu świerkowych chojarów, szumiących głęboko w dole i wykapać się myślą w cudnej strudze, płynącej na samem dnie wąwozu, czystej i zimnej, jak świeżo zasłana pościel, a błękitnej, jak oko ukochanej dziewczyny. Włoscy Alpini czatowali czujnie, jak psy gończe. Kto się wychylił niebacznie. w tej chwili przeszyty kulą staczał się w dół, odbijał się, jak piłka, od wysoków skał i spadał, aż tam, gdzie słodko szumiała modra rzeka. Trzeba więc było kryć się w głębi pieczary, uczyć się z nudów na pamięć wszystkich jej załomów, dziur i nierówności. Jedyną rozmaitość przynosiła z sobą woda, która spływała wyżłobionemi w ścianach bruzdami i wyciekała na zewnątrz, w szeroki, daleki, wonny i wolny świat. A czasami, z ukrytej gdzieś naprzeciw, drugiej podobnej kawerny dołatywały odgłosy pieśni włoskich żołnierzy. Mówiły one o dumnych piórach na kapeluszach bersaljerów, śpiewały o lazurze neapolitańskiego morza, błagały Marię, by otworzyła w nocy okienko niecierpliwemu kochankowi. Namiętna tęsknota tych śpiewów spadała rzewną, wilgotną pieszczotą na skostniałe w prze-

rażliwej nudzie serca „Austriaków“. Czasem zbierała ochota, by pójść do kryjówki tego rozśpiewanego wroga, otoczyć szyję jego ramieniem i spytać: „Dlaczego chcesz mię zabić, mój bracie? Podajmy sobie dłonie i wracajmy każdy do swojego domu. Ty nad swoje morze szumiące, jak zboże, a ja do moich łanów pszenicy rozfalowanych, jak morze“. Lecz ręce tęskniące do pojednania, rozdzielał karabin, wiecznie gotów do strzału. Stała pomiędzy nimi nierozumna i niezwalczona przeemoc rozkazu. Więc ohydna nuda dalej wysuszała duszę, jak wiatr gorący, gdy spala wątle kielki ozimin, i wyjaławiała mózgi, zmieniając je na kłębki trocin.

Aż raz nastąpiła odmiana okropniejsza nad wszystkie męczarnie. Było południe upalne. Armaty przestały grać i cisza objęła świat, tak doskonała, że aż w uszach dzwoniła. Oficerowie jedli śniadanie, swoim zwyczajem liczne wypróżniając butelki. Żołnierze gryźli swój chleb, pograżeni w bezmyślnem milczeniu. Nagle huk straszliwy rozdarł powietrze i wstrząsnął kamienną pieczęcią, jakby to była szopka, z którą chodzą chłopcy na Boże Narodzenie. Zdawało się, że całe Dromity oderwały się od podstawy i ruszyły przed siebie, aby stoczyć się do morza. Gruz i kamienie zatarasowały wejście do kawerny, a równocześnie tylna ściana ruszyła z miejsca i zaczęła pomału iść ku przodowi. Błyskawica straszliwej prawdy zaświtała odrazu we wszystkich głowach.

Wybuch nieprzyjacielskiej miny! Jak krety ziemię, tak Włosi świdrowali skałę, aby ich wydusić, jak osy w gnieździe. Pewność okropnej śmier-

ci, straszniejszej, niż najwściekleszy bój i jego ciocy, zjeżyła włosy na czaszkach, w słup postawiła oczy, zmroziła krew, powstrzymała bicie serc i buchnęła czadem obłędu.

Rozpacz i żądza ratunku splątała zmysły nieszczęsnych mieszkańców skalnego więzienia. Jedni poczęli bezmyślnie obiegać pieczarę dokoła, szukając nieistniejącego wyjścia. Inni drapali głowy rękami, łamiąc paznokcie i krwawiąc palce, a potem tłukli łbami o ściany, przeklinając przytem świat cały i godzinę swego urodzenia. Inni wyli ze strachu i szlochali na przemian. Puciołowaty Wiedeńczyk po kilku daremnych próbach ocalenia, jał wyrzucać nogi w wściekłym paroksyźmie jakiegoś szaleńczo murzyńskiego tańca. Wykręcał przytem bezwstydnie brzuchem i miotał najbardziej sprośne wyrazy, jakie mu na język spłynęły. Kiedy się zmęczył, oparty o ścianę zaśpiewał nienaturalnie niskim basem: „Bummeln zu gehnah, das ist schön...“, a potem cieniutkim dyszkantem wrzasnął: „O, du mein Wien, ich sehe dich nie wieder“ i zaczął płakać cichutko i rzewnie, jak skrzywdzone dziecko. Porucznik Polak inaczej na śmierć się gotował. Zaciśnął czapkę mocno na uszy, chwycił ze stołu pełną flaszkę rumu, usiadł z nią na ziemi i pił, pił tak długo, dopóki dna nie zobaczył. Potem wstał, roztrzaskał butelkę o ścianę kawerny, podparł się junacko w boki, i gdzieś aż z dna płuc wyrzucił w bohaterskim rytmie pieśń zadowolonej miłości:

„Ani ja sieję ani ja orzę,
Mam ja dziewczynę
W Aleksandrowskim dworze“.

Obłąkane ruchy i głosy ówczesnych towarzyszy godzin lęku potwornego zarysowały się w umyśle majającego Szczerby z niepokojącą wyrazistością filmu i fonografu. Ujrzał wreszcie i siebie samego na drgającym ekranie, który rozpalona chorobą krew przed nim rozpięła. Nietylko widział siebie i słyszał, lecz nadto czytał doskonale w swych myślach i uświadamiał sobie wszystkie wewnętrzne odruchy swego ciała. Oto stoi znieruchomiał, przeżalenie niewysłowione wylupuje mu oczy z orbit, wysusza język i obcęgami skurczu ściska płuca. Lecz, gdy zrozumiał co się stało i pojął, że niema już dlań ratunku, uspokoił się nagle i zaczął uważnie, z doskonałym spokojem przyglądać się współwięźniom, jak gdyby jemu samemu żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Figury ich, miotane pijaństwem strachu, wydały mu się niesłychanie komичne. Roześmiał się nawet serdecznie, gdy pomyślał, że skoro tylna ściana kawerny zejdzie się z przednią, wszyscy oni będą wyglądali, jak spłaszczony skorupy zdechłych pluskiew. I on sam także, oczywiście. Ten obraz bawił go najbardziej. Dopiero junacka, tężyzną swojskich pól tętniąca pieśń polskiego porucznika szarpnęła w nim strunę rozrzewnienia. Wówczas z bocznej kieszeni munduru wydobyl starannie w czysty papier zawiniętą, białą malutką chusteczkę, położył się na wznak na ziemi, nakrył twarz onym cienkim, w misterne ząbki dzierganym batystem i postanowił nie poruszyć się, czekając, aż go śmierć ucałuje. Lecz zamiast jej lodowatego uścisku inna niewypowiedzianie słodka spotkała go pieszczota. Olśnił mu źrenice most z płomieni, ujrzany przed laty. U jego kresu wy-

trysła postać świetlana z mgły i tęczy, której głowa raz jaśniała srebrnymi pasmami siwizny matki, to znów nieskazitelnym szafirem oczu, świecących z pod czarnego baldachimu włosów Wandy. I nagle wśród tego zachwycenia duszy i zmysłów ironiczny szept przypomnienia: „Czemu czcisz tak ten talizman, który pono od kul cię ochraniał. Od żadnej z nich ta chustka nie pochodzi, dała ci ją Hanka Sierocianka, kiedyś do wojska odchodził. A cóż tobie Hanka?...

Jakiś żywy ruch wśród gałęzi brzozy strzepnął z powiek Szczerby uludę zwidzeń. W jego szeroko otwarte oczy wpadła radosną rzeczywistością skoczna zjawia małej wiewiórki, która, nakrywszy się rudą parasolką swego puszystego ogonka, rzekła do niego z przymileniem figlarniej główki:

— Kpij sobie z gorączki i niemocy. Lepiej poskacz razem ze mną po drzewie. Nie masz pojęcia co to za rozkosz. Wszystko furda, jak długo słońce grzeje, a liście się zielenią i jest co chwycić w ostre ząbki.

— Dobrze ci mówić — odpowiedział Szczerba głośno — ciebie nie kluli na wojnie bagnietami, nie dziurawili ci piersi ostremi kulami, nie wyjmowali ci ostrych drzazg z pod samego serca, nie topiłaś się* w brudzie i gnoju, nie żarły ciebie wszy, nie leżałaś tygodniami po lazaretach i szpitalach, nie wypijały z ciebie życia tyfusy i zapalenia płuc, nie przywidrywała ci się cudna twarz Wandy pod białoczanym kapturem Sióstr Miłosierdzia, nie rwałaś się niewyleczona do tego tu Łanowca, aby w nim skonać w smutku i nędzy. Nie byłaś nigdy bohaterką, moja ty ruda figlarko!

— Czemuż nie zwały się wtedy dwie ściany kawerny. Czemu wstrzymały się w pochodzie?!...

Bezwiednym odruchem ręki sięgnął Szczerba do bocznej kieszeni bluzki i z trudem wyjął swój „talizman“, zawsze jeszcze w czystą bibułkę starannie owinięty. Położył sobie chusteczkę na rozpalonych wargach, pozdrawiając w niej wierną towarzyszkę lat wojennej tułaczki i przypomnienie chwil pierwszej młodości, która mu teraz wydawała się niezmiernie odległą, jakby była gdzieś za siódmą górą, za dziewiątą rzeką.

— Już-eś mi niepotrzebna — szepnął w duchu, strącając biały płatek na szmaragd murawy. — Chyba do trumny mi cię włożą, ale jeśli tu zemrę, nie będę miał czasu na testament. A zresztą tyś od Hanki, a cóż mi Hanka?

W tem doleciały do uszu jego stłumione dźwięki chóralnego śpiewu kobiet, które żęły łan pszenicy pod lasem.

*„Zakwitały pęki białych róż,
Wróć, Jasieńku, wróć z wojenki wróć,
Wróć, pocałuj, jak za dawnych lat,
Dam ci za to róży najpiękniejszej kwiat“.*

— Jasieńkowi już nie trzeba róż — uśmiechnął się z goryczą. Ale ta pieśń żołnierzy polskich, która poszła na wieś, na łany i stała się rytmem żniwiarskiej pracy, wyczarowała przed nim zjawę pełnych upału i wesela prac lata. Pachną po rowach rozgrzane macierzanki, te niedzielne dostarczycielki perfum dla dziewcząt wiejskich. Zapach ich miesza się z gorzką wonią piołunów, wznoszących swe szaro-zielone kuleczki nad olbrzymiemi,

rozłożystemi liśćmi łopuchów, obficie przysypanych popielatym kurzem polnej drogi. Na lewo od niej ściernisko już zorane. Ponad pomarszczonemi grudami czarnej ziemi widać wyraźnie fale drgającego w upale powietrza. Poprzez tonie tej suchej wody przelatuje kilka pszczoł w pogoni za nektarem ukrytym w kielichach kwiatów. Ich wiotkie skrzydełka śpiewają wysoki, jasny hymn słońca, lata i rozkoszy, która jest z bezustannej pracy. Płynie za niemi delikatna woń różowo-białych kwiatów jabłoni, odurzających w parne noce lip, białej i różowej koniczyny i żółtego rzepaku. A na prawo pada łan szumiącej ciężkimi bezwłasemi kłosami miedziano-złotej pszenicy pod wartkimi i niecierpliwemi sierpami żeńców. Błyszczą w słońcu srebrnemi krzywiznami bezlitośne żelaza, wałęsają się na ziemię uwieńczone chlebnem ziarnem żdźbła słomy, a wraz z nią giną modre oczy bławatków i amarantowe dzwonki kąkol. Ponad kadłubami zgiętych we dwoje ludzi przeleci czasem wystraszonem lotem spasała przepiórka. Prostują się wtedy ciała robotników, którzy, ocierając brunatnemi rękami modre od znoju czoła, patrzą przez chwilę za mknącym ptakiem. Korzystając z nadarzonej przerwy, białe postacie mężczyzn, czarnym rzemyskiem w pasie ściśnięte, strzelają salwą żartów ku kraśnym spodnicom, ku białym zębom i czerwonym łydkom dziewcząt. Po kilku minutach zaczyna się na nowo chrzęst sierpów, a wzmożona fala potu ludzkiego znów łączy się z surowym zapachem ścinanej dojrzałej pszenicy. A zaś poza kręgiem pochylonych nisko nad ziemią-rodzicielką pracowników wyrastają równe szeregi kostrubatycho pół-

kopków, dumnych ze swych grubych snopów. Zagarniając zżęte zboże powróstem, parobczak zawsze skory dać folgę swej jurności, złowi w nie czasem i dziewczynę, aby odwilżyć spragnione wargi pocałunkiem jej wiśniowych ust, bardziej palących, niż sierpniowe słońce.

— Och, gdybyż mi dali raz jeszcze w życiu sierp do ręki i szmat zboża żrącego przede mną — załkał w duszy Szczerby atawistyczny instynkt szeregu pokoleń chłopskich, w których żyłach płynęła czysta, niesfałszowana krew ziemi.

Wtem wydało mu się, że wśród śpiewających na łanie wyróżnia dokładnie silny, wysoki i nawet w smętnej pieśni radością nabrzmiały głos Hanki Sierocianki.

— Nie Sierocianka to już — zreflektował się. — Za mąż już dawno wyszła, troje dzieci ma — opowiadała siostra. Gaździna to teraz dostatnia, piętnaście morgów tłustego, podolskiego czarnoziem, trzy krowy, para koni. Pewnie ani-by już popatrzyła na inwalidę zdechlaka.

Myśl ta zabolala go, choć nigdy żadnego szczególnego afektu dla Hanki nie żywił.

— Jak też teraz wygląda? Czy zawsze taka zamaszysta, tęga, jak łania i okrutnie na chłopaków łasa. A do mnie to ją najbardziej ciągnęło. Choć latał za nią Staszek Morski i Wojtek Woroszczuk, odpędzała ich od siebie, a koło mnie nigdy nie przeszła, aby nie sparzyć mnie okiem, gorącym, jak podkowa świeżo z pieca kowalskiego wyjęta, albo nie dotknąć miękkim, szerokim udem, czy piersią, co jej koszulę rozsadzała.

Przypomniat sobie, jak mu dokuczała za jego

obojętność, jak się naśmiewała z jego zadurzenia się w księżniczce ze dwora. Lecz on zimno, a nie-raz wprost opryskliwie przyjmował jej zalecanki. Księżycowo-srebrne umiłowanie chłopięce tłumilo w nim nawet pożary młodej, dojrzewającej krwi i spóźniało narodziny żądz. Pamięta, jak raz przy zwożeniu zboża, gdy już cała fura była z czubem naładowana żytem, wystajacem szeroko po za obie drabiny, razem z Hanką ściągali mocno gruby postronek, aby zarublować snopy. Dziewczyna, rozgrzana ocieraniem się przy tej robocie o ramię Szczerby, włożyła mu nagle rękę pod rozpiętą koszulę, głaszcząc jego spoconą pierś, a drugą objęła go za szyję i usiłowała gwałtem pocałować go w usta. On skoczył, jakby go kto wrzątkiem oblał, i puścił powróz, przytrzymujący rubel, który odwinął się, jak sprężyna, uderzając silnie konie po zadach. Spłoszone szkapy ruszyły z miejsca galopem i wnet na głębokiej bruździe wywróciły furę. Lecz on nic sobie z tego nie robił, tylko pędem pognął do domu. Długo jeszcze słyszał, jak Hanka miotała za nim obelgi. „Gagacik z marymonckiej mąki — wołała — dla księżnicki chowa swą gębę, a bodaj cię żadna dziewczyna nie pocałowała, ty durniu zapowietrzony, ty infulacie zwarzowany!” Najadła się wtedy dziewczka wstydu i niemało miała kłopotu, nim uprosiła chłopaków, aby jej pomogli drugi raz snopy narzucić. Sama je musiała wieźć do księżej stodoły i nawet poskarżyć się przed proboszczem nie mogła. Przez cały tydzień boczyła się na niego, choć niełatwo jej to przychodziło. Ale wtedy właśnie spadł asenterunek, a gdy go wzięli do wojska, zaraz na bok rzuciła urazę i gło-

śno lamentowała, nic sobie z ludzkich gadań nie robiąc. A cóż ja pocznę sierota, — mówiła — jak mi ciebie zabiją na wojnie. Całe swoje ubogie dziewczynskie mienie wydała wtedy, aby go obdarować na drogę do koszar. Sprawiała mu nowy plecak z porządnym rzemieniem i naładowała go po sam wierzch bielizną, którą sama po nocach szyła, białemi bułkami i słoniną. A przez cały ten czas wodziła za nim oczami, jak pies za swym panem, aż mu się żal jej zrobiło serdecznie. A przy samem pożegnaniu zalana łzami dała mu jeszcze tę cieniutką chustkę na pożegnanie, a w czarnych jej oczach zapłonęła głośno pokorna prośba o pierwszy i ostatni pocałunek. Błagała, jak żebrak o jałmużnę, ale on i wtedy nie dał się wzruszyć, uściśnął silnie jej rękę, życzył jej szczęścia i dziękował gorąco za wszystko dobre, którego od niej doznał.

— Głupi wtedy byłem, głupi jak but — myślał teraz Andrzej z gniewem. A toż umrę i nie będę wcale wiedział, co dziewczyna, a nawet co usta kobiece. Z Łanowca poszedłem na wojnę czysty, jak śp. Longinus Podbipięta, a potem wlekli mnie z okopów do okopów i kobiet nie widziałem wcale, chyba Siostry Miłosierdzia w szpitalu, kiedy nie mógł ruszyć ręką ani nogą. A teraz już tylko jedna śmierć mnie ucałuje. Psom na buty przyda się ta czystość moja. Na marne poszło moje życie.

— A może tą cnotą niebo sobie okupisz — pocieszyło go szkolne przypomnienie katechizmu. — Ale czy jest gdzie niebo? Musi być, bo gdzieby się teraz matka moja podziewała.

Spotęgowana gorączka odebrała mu przytomność do reszty. Wydało mu się, że jest maj. Ciepły, słoneczny, operlony rosą poranek. Na pachnącej gałązce fioletowego bzu usiadł słowik i śpiewa swej małżonce hymn triumfującej miłości. Ślepy i głuchy na wszystko, zadarł dziubek ku niebu i z rozedrganego gardziółka raz po raz wyrzuca czyste, silne namiętne tony, które, jak djamentowe strzały, przeszywają powietrze bez skazy. Usłyszały go kwiaty wiosenne i zbiegają się wszystkie, aby upoić się pieśnią, w której drobna, uskrzydłona krużyna ziemi sławi rozkosz niewysłowną i mocne piękno płodnych przybliżeń, aby w tej pieśni obdarzonego cudem głosu brata zobaczyć, jak w lustrze, nieskończony łańcuch własnych pokoleń, idących w przyszłość. Zbiegli się najpierw skromni mieszkańcy łąk, pastwisk, rowów i wszelkich trawiastych zboczy, żółte jaskry i mniszki i wdzięczne stokrótki, niebieskie dzwonki i firletki i cykorje i wiecznie zdziwione polne bratki. A tuż za nimi ruszyły z mokradeł kaczeńce mocarne i błękitne niezapominajki i rozgadane tataraki. A wreszcie wlokąc za sobą aromatyczne welony przedziwnych zapachów zjawiają się wonne oblubienice kochanków, pszczoły i poetów. Są wszystkie, nie brakuje żadnej: cierpkie czeremchy, rozłęsknione konwalje, łagodne wiśnie, czereśnie i grusze, dziewiczo zapłonione jabłonie. Przyszli też rozkosznicy bezpamiętni: namiętne fiołki, zuchwałe bzy, a nawet przedwcześnie rozwinięte, oszołamiające, leśne storczyki, które tak lubiła Wanda.

Ciasnem kołem otoczyły zagubionego w swej pieśni śpiewaka wszystkie kwiaty wiosenne, tłoczą

się w szale zasłuchania jedne na drugie, wysoką piramidą barw i woni sięgają aż do rozdzwonionego gardziołka, z którego tryska perlista kaskada dźwięków. — Rozchylają się szeroko żywe ampułki przezzystych woni i żądza majowa ziemi bucha w górę lotnym słupem pachnącego czadu. Oduurzony nim słowik śpiewa coraz silniej, jakby chciał aż na krańce świata pchnąć fale wiecznego życia w miłości i przez miłość. Wreszcie wydobył z samego dna swej śpiewnej duszy ton najwyższy i najczystszy. Wtedy pękły struny jego harfy, a wraz z niemi pękło serce słowika. Stoczył się szarą bryłką po stokach piramidy, szalejącej przepychem kolorów i woni, a ziemia, wieczysta sprawczyni skonów i narodzin, objęła go chłodnym uściskiem i wplotła w kołowrót przemian bez końca.

A oto sam Andrzej jest kwiatem. Białym, lekko zarumienionym, drobniutkim kwiatem hreczki, chwiejącym się na czerwonej nóżce. Śnieżna gwiazdka jego korony łączy swój delikatny zapach z wonną ponową wielu tysięcy siostrzyc, rosnących obok niego. Śetki pszczół z okolicznych pasiek zlatują się zwabione pachnącym nektarem ukrytym w małych dzbanuszkach. Właśnie siadła na nim jedna z tych bursztynowych cór słońca i lata. Kosmatemi łapkami oparła się na wiotkich płatkach i wsuwa długi ruchliwy języczek w głąb miodnego kieliszka. Jak słodko drażni ta pieśczęta! Tak pewnie smakują pocałunki ust kochanych. Prężą się w rozkoszy pręciki rozkochanego kwiatka i przylepiają żółty pyłek miłości do nóg lotnej posłanki zapłodnień. Lecz wtem z hukiem i groźnym porykiem nadlatuje gruby czarny

trzymiel, przepasany czerwoną i żółtą szarfą. Od-
pędza bezczelnie małą pszczołkę i sam, jak niedź-
wiedź, pakuje się całym niezgrabnym cielskiem do
wnętrza kwiatu. Nie mogąc swym grubym pyszcz-
kiem dostać się do płynnego skarbu, rozdziera bar-
barzyńsko cały kielich i chłepce łakomie zrabowa-
ny miód.

Szczerba uczuł w tej chwili przeszywający
ból w piersi i odzyskał poczucie człowieczeństwa,
a razem z niem świadomość, że umiera i że do-
słownie rozkłada się na części. Miljardową rze-
szą opadły go jakieś potworne grabarki, jakieś nie-
dostrzegalne dla oka ludzkiego, mikroskopijne ży-
jątki. Lecz on widzi je doskonale i z przeraże-
niem patrzy na ich błyskawicowo szybką pracę
rozkładu. W oczach jego dokonuje się ta trumien-
na robota, jest świadkiem swego własnego najisto-
tniejszego pogrzebu. Oto pęka długimi rysami
biała skóra jego ciała. Wygląda już na zewnątrz
czerwone, miejscami aż na czarno zsiniałe mięso
na palcach u nóg i rąk, na tęgich niegdyś udach
i ramionach, na szerokich piersiach i rozłożystych
plecach. Kawałami odpadają sprężyste dawniej
i czułe na każde drgnienie świata sploty mięśni
i nerwów. Już nie ma policzków, ani uszu, ani
warg i dziąseł, ni chrząstki nosowej. Gluchą trwo-
gą napęlniają go te szyderczo puste oczodoły, ta
obrzydliwie łysa czaszka, te zbrodniczo wyszcze-
rzone zęby, biczami krwawego śmiechu chłosta-
siebie, patrząc na junacko wzdęte żebra, na śmiesz-
nie cienkie piszczele górnych i dolnych kończyn,
zachodzi się od gorzkiego chichotu na widok przy-
piętych do kolan, ni przyszył ni przyłatał, dwu

ślaskich rzepek i na obnażoną bezwstydnie, z wszelkiej treści wstydlivej odartą już miednicę. Nareszcie i ten kościotrupi strach na wróble ozyspał się w pył. Cały Andrzej Szczerba, skrupulatnie, aż do ostatniej kruszyny przetrawiony przez arłoczne trupojady i przepuszczony przez ich żołądki, jest już tylko prochem i sokiem ziemi, tej ziemi, z której powstał.

Lunał nagle nawalny deszcz wiosenny. Spęta od długiej posuchy ziemia otwiera tysiączne usta i pije łapczywie ciepły, płynny dar niebios. Woda wsiąka w głąb, przenika całą glebę, łączy się w jednię z temi pyłkami i okruchami, które były kiedyś Andrzejem Szczerbą i roznosi je po całym tym człowieczym świecie. Oto jedne części, wyzbywszy się niemal ciężkości, unoszą się wzwyż i wnikają w białe obłoki, które, jakby starami owiecz, zaległy lazur majowego nieba. Wkrótce deszczem znów spadną na ziemię-rodzicielkę, aby potem napowrót rozpocząć podróż w błękity. Andrzej, wyzwolony z ciała, widzi siebie wszędzie: w wyslizganym kołami wozów kurzu gościńca, w liściu klona, w białej korze brzozy, w piórku wróbla, w strzępiastym płątku korony gwoździka, w gnoju ludzi i zwierząt, w krwi człowieka świętego, w skórze zbrodniarza, w soczewce końskiego oka, w kłosie pszenicy, w zaprawie wapiennej, która spaja cegły pałacu i w polepie chłopskiej przyboju. Niema go nigdzie, a jednak jest wszędzie. Jak kiedyś po biciu serca i drganiu pulsów odgadywał krążenie krwi w swem dawnym ciele, tak teraz jakimś nowym, cudownym, ponadludzkim zmysłem wyczuwa nieomylnie wieczysty przepływ

cząstek swej nieistniejącej już jaźni fizycznej przez ocean istnienia, falami powrotnemi bezustannych narodzin i skonów obejmujący całą ziemię i jej powietrze. On jest ziemią a ziemia jest nim, a oboje są jednym drobnym atomem olbrzymiego ponad wszelkie pojęcia ciała Boga — tak, jak myśl jego jest nikłym odpryskiem przelotnego odruchu duszy Boga.

Ogarnęło go rozkoszne ponad wszelki wyraz i wyczuwalne, jak ból, poczucie rzeczywistości i boskości swego bytu. Było mu tak, jak gdyby w słoneczne południe leżał na trawniku w sadzie pod rozkwitłemi jabłoniami. — Delikatny wietrzyk strąca na jego twarz chłodne, wonne, białe-różowe płatki. Brzęk pszczoł unosi duszę jego w sfery ciszy i błękitu. Muzyka ich skrzydeł staje się coraz dźwięczniejsza, coraz jaśniejsza, coraz czystsza i wyższa, aż w końcu przybiera dotykalny kształt szczęścia, tak silnego, iż świadomość człowieka objąć go nie jest już zdolna.

Andrzej stracił świadomość.

— — — — —

Obudziło go poczucie jakiegoś ciepłego, wilgotnego ciężaru na ustach, które wydało mu się słodczą serdecznego pocałunku. Myślał, że to nowa gorączkowa zjawą, ale było mu tak nieskończenie dobrze, że rozchylił usta, aby głębiej wchłonąć rozkosz tej nieznanej pieszczoty. Lecz czar prysnął szybko, jak mgnienie skrzydeł cudnego motyla. Wtedy otworzył oczy i zobaczył klęczącą przy sobie dziewczynę, której głowa odskoczyła właśnie od jego twarzy. Błysnęły przed nim dwie szafirem płonące gwiazdy pod baldachimem czarnych wło-

sów, które na skrętach połyskiwały błękitem stali. Radośniejsze ponad wszystko poznanie olśniło go oczywistością prawdy, w którą nie śmiał uwierzyć. Bał się, że ta przytulona do niego Wanda jest również tworem podnieconej chorobą wyobraźni, jak tyle innych postaci, które w to upalne południe przesunęły się przed jego wzrokiem. Śledził z niepokojem jej ruchy, aby się upewnić, że nie jest przywidzeniem i widział, jak panna Proszewska bierze leżącą obok niego chusteczkę, jak ją macza w wodzie, pozostałej po deszczu w dołku pod brzozą i jak ją przykładła do jego rozpalonych skroni i czoła. Dopiero wtedy nabrał pewności, że nie śni. Chciał ucałować tę dłoń, tak cudownie zjawioną, jakby ją przywołał krzyk przedśmiertnej tęsknoty, lecz nie miał siły podnieść ręki. Tylko z ust jego wyszedł ledwie dosłyszalny szept:

— Dziękuję.

— Nareszcie, nareszcie wrócił pan do przytomności — zawołała rozpromieniona Wanda. Myślałam, że już się pana nie dobudzę. Pan jest Andrzej Szczerba — nieprawda?

— Tak.

— Zaraz pana poznałam, choć pan taki duży teraz i taki wymizierowany. Ale co za lekkomyślność, aby tu przychodzić, będąc tak chorym. Niech pan zaraz wstaje, podwiozę pana, powóz czeka niedaleko, na drodze. Mógł pan tu umrzeć, gdybym przypadkowo nie przyszła do lasu na kwiaty. Przepadam za kwiatami leśnymi. Niech pan patrzy, jakie śliczne dzwonki.

Wanda usiłowała wielomównością pokryć niezrozumiałe dla niej samej wzruszenie. Była nadto

zawstydzona, bo nie miała pewności, czy Andrzej nie wiedział o jej pocałunku.

Lecz Szczerba nic nie odpowiedział i widocznie znów popadał w omdlenie. Wanda stała zakłopotana i rozglądała się bezradnie dokoła, jakby szukając pomocy. Nie trwało to jednak długo. Jej energiczna, przedsiębiorcza natura kazała jej w lot powziąć postanowienie. Ujęła oburącz Andrzeja pod ramiona i postawiła go na nogi. Obwisł bezwładnie w jej rękach, a głowa jego oparła się o jej ramię. Do ucha jej prawie przytykając usta, wyszeptał:

— Chustka.

Wanda w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu idzie, lecz postępując za jego wzrokiem, domysliła się, że chce zabrać porzuconą na ziemi chusteczkę, którą zwilżała mu skronie. Zdziwiona trochę tym kaprysem, podjęła ją i włożyła mu ją do kieszeni munduru, poczem nie namyślając się wiele, dźwignęła go w górę, jak dziecko i zaczęła iść spiesznie linją leśną w dół ku drodze. Wychudzony Andrzej niedużo ważył, to też wygimnastykowana i ze wszystkimi sportami obyta panna, niosła go bez większego wysiłku, nic sobie z tego nie robiąc, że jego trzewiki uderzały ją w chodzie po kolanach i zostawiały brudne ślady na jej białej sukni.

Gdy tak szła z nim, z konieczności przyciskając go silnie do piersi, owładnęło nią uczucie, dotąd jej nieznane. Rzewność macierzyńska przesłódką tkliwością napępiała jej serce. Miała wrażenie, że niesie chorego, bardzo drogiego syna, że musi go pielęgnować w chorobie i przywrócić mu

zdrowie za każdą cenę. „Aby snadź nie obraził nogi swej o kamień” zadźwięczało jej w uszach i mimowoli stapała z przesadną ostrożnością. „Tak mogłaby wyglądać Pietà” — podszeptała jej estetycznie nastrojona fantazja — „tak renensansowi rzeźbiarze przedstawiali Matkę Bolejącą, ową dziewicę, mało co starszą od Syna”. Pograżona w tych myślach i odczuciach, zdumiała się nieprzyjemnie, gdy o wiele prędzej, niżby chciała, zobaczyła na drodze swój żółty powozik, ulubione kare konie z białymi strzałkami na czołach i parobczaka Michałka, który niesłychanie zafrapowany widokiem panienki z żołnierzem na rękach, zeskoczył z koźła i pędem biegł ku niej.

— O rany boskie, kogóż to panienka tak dźwiga? Toż to Jędrzek Szczerba! Mówili tu kiedyś na masztarce, że wrócił z wojny, ale taki schorowany, że nic z niego nie będzie. Proszę mi go dać, zaniosę, bo się już panienka dość namęczyła.

— Weź go tylko za nogi — odrzekła. — Poniesiemy razem.

Gdy go ułożyli wspólnie w powozie i gdy Wanda usiadła obok niego, podtrzymując ramieniem jego bezsilną głowę, wtedy dopiero uświadomiła sobie, że nie wie właściwie dokąd ma go zawieźć. To też nic nie odpowiedziała, gdy Michałek zapytał:

— Gdzie z nim pojedziemy, czy do jego chałupy?

— Chce pan do domu? — zwróciła się do Andrzeja, który, choć nie wiedział prawie, co się z nim dzieje, gdy usłyszał te słowa, wzdrygnął się cały.

— Ja nie mam domu — rzekł z bolesnym skurczem twarzy.

— Nie dziwota — uznał za stosowne zauważyć Michałek — u niego bieda, aż piszcze, a szwagier kłótnik, że nikt z nim wytrzymać nie może. Najlepiej zawieść go odrazu do miasta, do szpitala.

— Nie, nie — zaprotestowała żywo Wanda — tam brud, niechłujstwo, zarazy, zresztą przepełnienie takie, że łóżka-by nie dostał. Wracaj do dworu! — zadecydowała z nagłą determinacją.

— Co? On będzie leżał we dworze? — pokręcił głową Michałek. — Chyba na ekonomówce.

— Słyszałeś, że masz jechać do dworu — powtórzyła zirytowana już Wanda.

— No, no — zamruczał pod nosem Michałek, któremu zawiść, tak pospolita w duszach chłopskich, kazała protestować przeciw podobnemu wyróżnieniu Szczerby, swego towarzysza z przed wojny.

— A jedź ostrożnie, uważaj na wyboje, widzisz, że z chorym jedziesz — zakomenderowała Wanda i pograżyła się w refleksjach.

Panna Proszewska, posiadająca wcale gruntowne wykształcenie przyrodnicze, studjowała bowiem medycynę, szczególną wagę przykładając do psychologii, a nadto obyta z praktyczną psychologią wskutek pochłaniania romansów wszystkich literatur europejskich, lubiła dokładnie analizować swoje uczucia i zdawać sobie sprawę z każdej sytuacji wewnętrznej. Obecnie ogromnie interesowała ją kwestja, co ją do tego skłoniło, że pocałowała Szczerbę.

— Przypomnijmy sobie, jak to było — pomyślała. Chodziłam po lesie, zbierając kwiaty i łusując od czasu do czasu samotne poziomki, a przytem nuciłam arję z „Carmeny“, przyznając jej słusność, że miłość to cygańskie i ogromnie kapryśne dziecię. Bo czyż to nie dziwaczne, że ja pannica dorosła, mam przecież lat dwadzieścia dwa, dotychczas nie zakochałam się naprawdę, chociaż nie brakło mi adoratorów z tej racji, że nie tylko jestem piękna, ale i posażna, jedyna dziedziczka Łanowca z przyległościami. Istotnie prawdziwej, wielkiej miłości dotąd nie zaznałam... Ani ten melancholijny, blady brunet, kolega z medycyny, który skończył samobójstwem, na szczęście nie z mojej przyczyny, ani ów bohaterski, śliczny porucznik z amputowaną prawą nogą, którego pielęgnowałam w szpitalu polowym, ani nawet ten wierny Filon, Łaniecki, który od czterech lat kocha się we mnie na zabój i swoją miłość, zaledwie w jakiejś miljonowej części przelotnie odwzajemnioną, powiódł na boje z bolszewikami. Ciekawa jestem, kiedy wróci, bo wiem, że z wojny wyszedł cało. Właściwie — śmiech to wyznać — jedyne silniejsze uczucie erotyczne, czyż erotyczne?, obudził we mnie ten przemiły mały proletariusz, ten furmanik i lokajczuk księdza Jasnoty, mój pierwszy i jedyny dotąd uczeń. Ale w gruncie rzeczy była to taka sobie pensjonarska fantazja, taka sama, która innym podlotkom każe rozkochać się w koleżankach, kotkach, pieskach lub lalkach. Jeżeli nawet przez pół roku „szlochałam za nim z tęsknoty“, to — wiem to dziś dobrze — działało się to nie tyle z miłości, ile z obrażonej dumy i ze złości, że ciocia Mazo-

wiecka postawiła na swoim i z powodu Jędrusia, nie tylko wywiozła mię do miasta, ale nadto zakazała mi pisać do niego i przyjeżdżać na wakacje. Ledwie to pomyślałam — przypomniała sobie Wanda — zobaczyłam na trawie martwego, czy zemdłego tylko sierżanta i poznałam w nim Szczerbę. Sama ta dziwna koincydencja pomyślenia i zgola nieoczekiwanego faktu (panna Wanda lubiła schołastyczne określenia) wywołała u mnie niezwykle wzruszenie. A potem ucieszyłam się bardzo, że żyje, widząc, że ciężki oddech podnosi jego odsłonięte piersi i stwierdziłam, że jest bohaterem, bo ma „Virtuti militari” na mundurze. Potem zatroskałam się, czy nie umrze; zobaczyłam zupełnie plastycznie tę scenę z lat dziecinnych, kiedy skaleczyłam go w twarz biczykiem, a potem obsypałam pocałunkami. Wtedy strzelił mi do głowy romantyczny pomysł, że pocałunkiem przywrócę mu przytomność i zdrowie. A że — jak słusznie zresztą gderze pocziwa ciocia — jestem „narwana” i zawsze prędzej robię, niż pomyślę, więc pocałowałam go i to nawet bardzo gorąco. No i cóż wielkiego, pocałowałam go i basta. Akt ten był poprostu wypadkową dość skomplikowanych motywów, bo chrześcijańskiej charitas, patriotycznego wzruszenia i z wielką siłą zareprodukowanego wrażenia młodości.

Zadowolona tak ścisłą definicją panna Proszewska uspokoiła się, ale nie na długo. Albowiem zaczajony gdzieś w zaroślach jej duszy i wiecznie czujny Satyr autoanalizy zaśmiał się cynicznie:

— Nie blaguj, kochana Wandeczko, był to po prostu poryw zmysłów i nic więcej. Zobaczyłaś,

że ten zemdlony bohater wygląda prześlicznie i poniosło cię. Znamy się na tem.

— Nic nie wiesz, ty przekłety cyniku! — zawołała w duszy Wanda. — Jak manjak szukasz wszędzie „przejawów chuci“. O zmysłach wogóle nie mogło być mowy. Umiem ocenić różnicę. Przecież nie jestem już podlotkiem, a fizjologję także studiowałam trochę. Co najwyżej mogę ci, podły Satory, zrobić to ustępstwo i przyznać, że prócz tamtych motywów wchodził w grę jeszcze czynnik kontemplacji estetycznej.

Wanda pod wpływem tych myśli wpatrzyła się ponownie w twarz Szczerby i musiała stwierdzić że podoba się jej niezmiernie. Podtrzymując ręką jego nieświadomą głowę, analizowała ją z bacznością, jakby miała przed sobą dzieło sztuki. Przypomniła się jej zwłaszcza konający gladiator z rzymskiego muzeum na Kapitolu. Zachwyciła ją wichura jego ciemnoblond włosów, które przyrównywała do młodego lasu, nietkniętego jeszcze siekierą, podziwiała cerę białą, delikatną i czystą, jak u panny, miejscami naświetloną różowo, iż stawała się podobną do płatka kwiatu jaskółki, cichy okrzyk entuzjazmu wywoływał w jej piersi widok dwu czarnych, mocno narysowanych łuków brwi, przedewszystkiem zaś rozrzewniały ją rzęsy, również czarne, połyskujące i tak niezwykle długie, że aż odginały się na końcach ku górze i ku dołowi w łagodnych krzywiznach. Te dwie pary przedziwnych firanek wydały się jej tak piękne, że nie żałowała nawet niemożności przypatrzenia się oczom, zamkniętym powiekami.

Jej „podziw estetyczny“ wzmógł się do tego

stopnia, że uczuła ochotę pocałowania go raz jeszcze, ale wstydziła się Michałka.

— Warjatka jestem — mitygowała się sama — przecież on może być chory na tyfus, gotowam się zarazić.

Refleksja ta jednak nie wywołała w niej obawy o siebie, ale o Szczerbę.

— On umrze — pomyślała. — Nie, nie, to byłoby zbyt straszne, to byłby grzech przeciw naturze i przeciw sprawiedliwości. Nie tylko jest młody i piękny, ale i mężny, ma przecież najwyższy order wojskowy, a prości żołnierze nie zwykli dostawać go z protekcji. Muszę go uratować! Jedź prędzej! — zawołała na Michałka.

— Trudno panience dogodzić — odburknął parobczak. — Nie mogę jechać i prędko i ostrożnie. Zresztą widać już łożwark.

Istotnie niebawem wjechali w aleję lipową. Gdy mijali olbrzymie, stare drzewa, które swemi rozłożystemi konarami tak często jeszcze osłaniają dobrotliwie domowe zacisza naszych dworów, zrobiło się jej trochę niemiło na myśl, że musi jeszcze stoczyć walną bitwę z ciocią Mazowiecką.

— Mój biedny papa zgodzi się na wszystko — dodawała sobie otuchy. — Ale z ciocią będzie przeprawa nielada. Nic nie szkodzi, postawię się ostro i muszę wygrać.

Konie, czując żłób i obrok południowy, ruszyły żwawo, a Wanda opracowywała w szczegółach plan strategiczny i taktyczny batalji, która ją czekała za chwilę, patrząc niewidzącemi oczyma to w lewo, gdzie na gumnie stodoły zaczęły już wchłaniać pierwsze snopy, to w prawo, gdzie wglębio-

na w dole i ocieniona szeregiem kasztanów bielila się stajnia końska z czerwonym dachówkowym dachem, przed którą na murawie, nad brzegiem małej sadzawki, leżeli na brzuchach uśpieni farnale, wyzyskując sumiennie godzinę wypoczynku. Gdy skręcili obok wozowni ku dworowi, właśnie z dachu śpichlerza, umieszczonego nad stajnią wołową odezwał się dzwonek, oznajmiając koniec południowej przerwy roboczej.

— Oj źle! — zatroskała się Wanda — w dodatku spóźniłam się na obiad, a ciotuni nic tak kwaśno nie usposabia, jak przypalona pieczeń.

Po chwili Michałek, trzaskając tradycyjnie z bicia, zajechał przed dwór, oddzielony od folwarku żywopłotem z grabiny i półkulistym gazonem z potężną akacją pośrodku. Nawinał się właśnie chłopak stajenny w rozchełstanej koszuli, więc furman oddał mu lejce, a sam pomógł pannie zdjąć Szczerbę z bryczki i zanieść do domu. Droga zaś była wcale niekrótka, bo trzeba było przejść przez starannie utrzymany ogródek kwiatowy, okolony krzakami bzu i jaśminu oraz wiechami jarzębin i drzew morwowych. Dwa wspaniałe orzechy włoskie strzegły wstępu na schody, które po kilkunastu drewnianych stopniach prowadziły na ganek, ocieniony dzikiem winem i wsparty na dwu białych, okazałych, ku środkowi wybrzuszonych, doryckich kolumnach. Dwór przestronny i wygodny, zbudowany był na wysokiem podmurowaniu, po którym przy pomocy drabinek wila się winna latorośl, darząca gospodarzy, dzięki swemu południowemu położeniu, niezbyt dorodnemi, ale słodkimi gronami.

Na ganku siedział przy stole p. Proszewski,

zajęty zlepianiem czcigodnych skorup prehistorycznego garnka, własnoręcznie wydobytego z rozkopanego przed tygodniem grobu skrzynkowego. Był bowiem od lat dwudziestu zapalonym archeologiem i po za swą pasją świata nie widział. Mógł się też już poszczycić kilkunastu poważnymi zdobyczami naukowymi, które publikował w wydawnictwach fachowych. Gdy Wanda zajechała przed dom, tak był pochłonięty swą prastarą ceramiką, której prymitywną ornamentykę badał zapomocą lupy, że zupełnie nie spostrzegł jej przybycia. Dopiero gdy stanęła na ostatnim stopniu schodów, z niedającym znaku życia Szczerbą zwrócił uwagę na tę niezwykłą grupę. Wówczas powstał, wyprostował swą wysoką, smukłą, dystygowaną postać, obciągnął białą kamizelkę wytwornego, ciemnego ubrania, pogładził długie jasno-blond bokobrody i nieco rozszerzając smutne blado-niebieskie oczy, zapytał bez najlżejszego akcentu zdziwienia w głosie:

— Kogoż to dźwigasz, Wandeczko? Żołnierz? Czy ranny?

— Nie ranny — zaśmiała się córka — wojna przecież skończona, ale chory ciężko. Czy ojczulek pozwoli mi go pielęgnować? To bohater, ma „Virtuti Militari”, a po za tem to dawny znajomy, Andrzej Szczerba, mój uczeń, pamiętasz, papo?

Wanda łasiła się koło ojca, jak kotka i całowała jego wygolone, wąskie wargi.

— Tak, coś sobie przypominam — odrzekł. — Czy pozwolę? Wiesz, że ja się nikomu nie sprzeciwiam, a zwłaszcza tobie. Życzę ci, abyś jak najszybciej uzdrowiła swego pupila.

Pan Proszewski miał inarmurowy spokój i do-

skonałą flegmę urodzonego dyplomaty. Był też nim rzeczywiście, bo w młodości spędził kilka lat w Madrycie, jako radca legacyjny austriackiej ambasy. Lecz o tych czasach nigdy się nie mówiło w łanowieckim dworze. Okrywała je jakaś tajemnica, która zapewne wyjaśniłaby także przyczynę jego niemal chorobliwego zubożnienia na objawy życia realnego i jego namiętność archeologiczną. W każdym razie siedł od niego powiew tragedji, a nieliczni ludzie, którzy z nim się stykali, mimo woli przyciszali głos, jakby mieli do czynienia z człowiekiem z zaświata.

Tymczasem Wanda zaczęła energicznie wydawać dyspozycje. Zobaczywszy przez oszklone drzwi przedpokoju figlarnie zdziwioną, krągłą twarz pokojówki Marysi, kazała jej pomagać sobie w dźwiganiu Szczerby, a Michałkowi poleciła, aby przeprzągł konie do powozu i pognął na łeb na szyję do miasta przywieźć wszystkich trzech lekarzy, jacy tam byli, na konsyljum.

— A nie zapomnij — wołała za zbiegającym po schodach chłopakiem, o doktorze Flintensteinie, bo ten żydek najwięcej jeszcze umie z tych prowincjonalnych Eskulapów.

Zwabiona jej donośnym głosem, wybiegła z kuchni także ciocia Mazowiecka, okrągła, zażywna, wysoka dama, o wydatnym nosie i wyrazistej rzeźbie twarzy, otoczonej siwiejącymi włosami, od których ciemniejszymi pasmami odróżniał się niezbyt dobrze dobrany sztuczny kok. Poczciwa ciotka tak była zaaferowana, że pojawiła się, trzymając w dwu dłoniach przy pomocy ścierki długą żelazną rączkę mocno rozgrzanego miedzianego

rondla, zapelnionego rubinowym sokiem smażonych właśnie malin. Już zdaleka zaczęła lawiną piskliwych wymówek staczać ku siostrzenicy besztaninę za spóźnienie się na obiad, lecz gdy ujrzała na jej piersi bezwładną głowę ostrożnie niesionego żołnierza, przerażenie odjęło jej mowę i zamieniło ją w marmurowy posąg groteskowej Nioby.

Po chwili dopiero zdołała z niepospolitą siłą wyrzucić słowa oburzenia, z trudem przeciskające się przez ściśnięte gardło:

— Szalona dziewczyno! Cóż to za nowy wybryk? Co ty wyrabiasz? Kogoś przyniosła do domu?

— Żołnierza, sierżanta, jak ciotuchna widzi — odparła Wanda z napoleońskim spokojem.

— A to nieszczęście z tą warjatką! Jaki żołnierz, co za żołnierz, skąd go wytrzasnąłeś?

— Znalazłam w lesie.

— No, patrzcie się ludzie dobrzy. Inne w lesie znajdują kwiaty, a ten postrzeleniec żołnierzy. Po coś go tu ściągnęła, co z nim zrobisz?

— Widzi ciocia, że go niosę do swego mieszkania. Jest chory ciężko, będę go pielęgnowała, muszę go wyleczyć.

— Wnuczka hetmanów i kasztelanów, pielęgnowająca chama! Nigdy na to nie pozwolę.

— Robiłam to z tylu „chamami” podczas wojny, zresztą to bohater, ma „Virtuti militari” — powtórzyła Wanda swą chytrą rekomendację.

— Tem gorzej! To z pewnością jakiś radykał, socjalista, ekspropriator z bojówki. Za pielęgnację tak ci się odwdzięczy, że urządzi nam strajk służby folwarcznej.

— Niema obawy. To dobry znajomy. To An-

drzej Szczerba — wyrecytowała szybko Wanda, wszystko stawiając na jedną kartę.

— Co? Znow on, ten obwieś, z którym już raz ucięłaś sobie pensjonarski flirt? O, moja pan-no, z tego nic nie będzie, Mazowiecka ci to mówi. Róziu, Marysiu, Oleno, zabierzcie mi go zaraz. Ani kroku dalej, chyba po moim trupie.

To mówiąc, ciotka Mazowiecka zastąpiła Wandzie drogę swym obszernym korpusem i nakształt maczugi skierowała ku jej piersi rondel z gorącemi malinami.

Lecz narwanej siostrzenicy przyszła szatańska myśl do głowy.

— Ostrożnie, ciotuniu! — zawołała — on ma tyfus.

— Jezus Marja! — wrzasnęła matrona, która panicznie bała się wszelkich epidemij, — i chwyciła się oburącz za głowę. Opuszczony rondel upadł na ziemię, a rozlany sok malinowy prześlicznym floresem włączył się, jako nowy motyw zdobniczy w ornamentykę pstrego gliniańskiego kilimu.

Kiedyindziej incydent ten byłby rozpętał nową burzę u przesadnie pedantycznej pani Mazowieckiej. Teraz jednak biedaczka tak była przerażona, że w susach jelenich dopadła drzwi najbliższego pokoju i zatrzaskała je za sobą.

Miała jeszcze tyle tylko przytomności tonącego rozbitka, że wysunęła z za drzwi rękę z zieloną flaszeczką i rzuciła wyrodnej siostrzenicy zbawcze hasło:

— Lysol. Desynfekcja!

Potem, zupełnie wyczerpana, oddała się bez zastrzeżeń wyzwalającej męczarni spazmatycznych

łkań, które przez długi czas jeszcze sopranem modernistycznych dysharmonij napełniały dom cały.

— Baczość! W pochód — marsz! — zakomenderowała Wanda, rozweselona myślą, że co najmniej aż do orzeczenia lekarzy będzie zabezpieczona przed atakami moralności p. Mazowieckiej.

Miała panna Proszewska urządzone zaciszne mieszkanko na piąterku, a raczej poprostu na strychu, swoją „Stübchen im Dach“, jak ją nazywała według zapamiętanej z gimnazjum terminologii „Hermana i Doroty“. Składało się z łazienki (wodę do tuszu zanoszono konewkami, bo wodociągów nie było), z sypialni, miniaturowego, niebieskiego buduarku i z biblioteki, czyli gabinetu do „pracy“, a raczej do niepróżnującego próżnowania. Tam było jej królestwo dziewicze, jej „dżungla“, przepełniona tygrysami rozpaczliwych westchnień i kolibrami rozmarzeń. Tam nawet ciocia Mazowiecka nie miała wstępu, chyba za poprzedniem zameldowaniem się przez służbę. Tak postanowiła raz Wanda w Wilsonowskim natchnieniu „samostanowienia“, przed którym nawet sarmackie prawo „wielkich i małych porządków domowych“ musiało się ugiąć. Za to w dalszych ubikacjach traciła prawo eksterytorjalności i musiała respektować tyranię tradycji.

W tym to gabinecie umyśliła ulokować Szczerbę. Złożywszy go narazie na miękkiej otomanie, kazała dziewczynom przynieść łóżko z położonego na dole gościnnego pokoju i zaściła je świeżą pościelą, sama zaś zabrała bez ceremonji z komody ojca komplet czystej bielizny i z przyzwyczajenia skropiła ją silnie wodą kolońską, zaprawioną zapachem

świeżego siana. Potem — odbywszy krótką naradę (o przesądzonym zresztą z góry wyniku) z mglistymi wspomnieniami z czasów medycyny i służby sanitarnej w wojsku, rozebrała chorego, wykąpała w wannie z letnią wodą i natarła octem tualetowym — wszystko przy współudziale Marysi, która jej w tej pracy pomagała z niekłamanym zapałem. Podczas tych zabiegów pewne „mazowieckie”, jak je określała, skrupuły zwalczała Wanda podwójną bronią: najpierw samarytańską, jako że w latach wojny, w roli pielęgniarki, podobne usługi oddała przynajmniej trzystu rannym i chorym żołnierzom, a powtóre poetycką, bo wyobrażała sobie, że gdyby żyła w czasach homeryckich, jako służebna, lub nawet królewna, na dworze Agamemnona, czy Odyssa, tego rodzaju świadczeń gościnnych miałby prawo doznać od niej i najzdrowszy w świecie heros. Coprawda wiecznie w przekorze z nią żyjący chochlik zrządził, że tym razem nieco inaczej reaguje na tajemnice młodzieńczego ciała, lecz Wanda ujęła się krótko w wędzidła i usiłowała nie utrwać w myśli obrazu, który jednak mimo to trwałemi konturami zarysowywał się w panieńskim pamiętniku jej duszy.

Ukończywszy te zabiegi, zmęczona nie na żarty, usiadła przy oknie, skąd otwierał się widok na gościniec, i z niecierpliwością wyglądała przyjazdu lekarzy. Niebawem jej zdenerwowanie doszło do najwyższego stopnia. Drżała teraz o życie Andrzeja, bo — jak stwierdzała sama przed sobą — miała ambicję uratowania tego dzielnego człowieka od śmierci.

On zaś po kąpieli odzyskał mętą półświado-

mość. Nie wiedział, co się z nim dzieje, ale czuł, że jest mu nieskończenie dobrze i błogo. Zdawało mu się, że jest małym, słabym chłopcem, którego jego tak bardzo ukochana matka pielęgnuje w chorobie. Złudzenie to utrwaliło się w nim jeszcze bardziej, gdy ujrzał postać kobiecą, klękającą przed świętym obrazem i zatapiającą się w żarliwej modlitwie.

Wanda istotnie padła na kolana przed swą ulubioną, rozdzierająco smutną „Pietą” starego Michała Anioła z pałacu Rondaninich, której doskonałą fotografię przywiozła raz z Rzymu.

— Boże—mówiła półgłosem — uzdrowić racz tego chorego, tego pierworodnego syna Twojej ziemi! Nie pozwól, aby ten świeży kwiat z Twojej łąki przed czasem zosłał zdeptany. Uczyń to, Panie wszechświata, a złożę Ci ofiarę, nie wiem w tej chwili z czego, ale z czegoś, co jest dla mnie najcenniejsze.

— Nigdy się nie modlisz, a nawet nie bardzo wierzysz w „Pana wszechświata”, ale jak trwoga, to do Boga. Czy to godne dumy „wnuczki hetmanów?” — zachichotał Satyr, ukryty za kotarą kaplicy, w którą w tej chwili zmieniła się jej dusza. Ale wnet był zmuszony uciec, bo Wandę ogarnęła naprawdę szczerą ekstazą modlitewnego wzlotu.

— Teraz mogę już umrzeć! — wyszeptał Andrzej.

II.

Konsylium lekarskie przyniosło Wandzie znaczne uspokojenie. Medycy zaaprobowali zgodnie diagnozę dr. Flintensteina, że chory przebywa recedywę źle wyleczonego zapalenia płuc, że jednak ma serce silne i cały organizm wyjątkowo zdrowy i odporny, zatem przy troskliwej opiece, a później przy dobrem odżywianiu, nietylko nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, ale nawet możliwość jakichkolwiek szkodliwych następstw i komplikacji stanowczo zostanie uchylona. Dr. Flintenstein dodał nadto z ledwie dostrzegalnym, drwiącym uśmiechem swych grubych mięsistych warg, tonących w gęstwie mocno czarnego zarostu, że mając pielęgniarkę tak wytrawną i pełną poświęcenia, jak panna Proszewska, młody bohater niewątpliwie w bardzo krótkim czasie wróci do zupełnego zdrowia.

Uwiadomiona przez jednego z lekarzy ciocia Mazowiecka, że tyfusu w domu niema, natychmiast rozpoczęła działać.

Po obiedzie stary dr. Borowski, żegnając się, poprowadził Wandę aż do furtki ogrodowej i rzekł, przybrawszy figlarny wyraz twarzy:

— Zgadzam się zupełnie z moim semickim

kolegą, że pupił pani wyzdrowieje bardzo prędko, ale za to muszę panią samą bardzo poważnie ostrzec przed infekcją.

W oczach Wandy zajaśniał ciemny płomyk gniewu.

— Przed infekcją? Przecież zapalenie płuc nie jest zaraźliwe.

— Miałem na myśli infekcję erotyczną.

— Zwróciłam się do pana, jako do lekarza ciała, o poradę dla duszy wcale pana nie prosiłam.

— Bardzo panią przepraszam — sumitował się medyk, — ale jako dawny przyjaciel domu państwa uważałem za swój obowiązek przestrzec panią. Chłopak jest młody i przystojny, pani ma usposobienie niesłychanie zapalne i eruptywne, o komplikacje nie trudno, zwłaszcza, że nie brak romantycznego pierwiastka bohaterstwa i wspomnień młodości. Słowem bakcyl miłości, czy miłostki, łatwo może zagnieździć się w sercu pani, no i nieszczęście gotowe.

— Dlaczego nieszczęście?

— To jasne. Przecież sierżant Szczerba, to nie jest mąż dla pani. Człowiek niewykształcony, prawie chłop.

— Widzę, że kochana cioteczka wtajemniczyła pana we wszystkie szczegóły historii tej mojej urojonej choroby. Jej się nie dziwię. Jak dla wszystkich starszych dam, najważniejszą rzeczą na świecie jest dla niej swatanie w sensie pozytywnym lub negatywnym. Ale że pan dał się wplątać w tę babską intrygę, to mię zdumiewa. Powtarzam jednak, że rad nie potrzebuję. Według praw Rzeczy-

pospolitej polskiej jestem już pełnoletnia i za czynny swoje sama wyłącznie biorę odpowiedzialność.

— W każdym razie radziłbym pani oddać chorego do szpitala. Ręczę pani za królewskie pomieszczenie i najtroskliwszą opiekę. A jeśli nie, niech pani pozwoli przynajmniej przysłać sobie do pomocy siostrę miłosierdzia, doskonałą pielęgniarkę, którą każdemu mogę polecić.

— Dziękuję za troskliwość — urwała rozmowę Wanda — mam sama egzamin na pielęgniarkę i dostateczny zapas miłosierdzia.

To rzekłszy, odwróciła się i odeszła nie troszcząc się już więcej o niefortunnego emisariusza ciotki, który, sadowiąc się w powozie i trąc niecierpliwie krótko przystrzyżoną szczecinę swej siwej brody, mruczał jeszcze:

— Że ta warjotka hiszpańska nie umrze własną śmiercią, to pewne.

Zaczęły się teraz dla Wandy dni nierealne, jakby w śnie długotrwałym przeżywane, dni, w których ekstatyczna żądza poświęcenia przeradzała się raz po raz w stan czysto hedonicznego upojenia. W srebrnych oparach marzenia na łące jej ówczesnego życia chrześcijańska caritas łączyła się z greckim kultem piękna w porywającą symfonię zapachów świeżo skoszonego siana. Zaklęty jakby w nikły kształt tomki wonnej, tej niepozornej kazielnicy ziemi, wsączał się w nią mistycznymi sensacjami wzbierający coraz potężniej żywioł, któremu sama wobec siebie nie śmiała jeszcze nadać właściwego miana. Jej natura niespokojna, żadna ciągle nowych, niezwykłych wrażeń, po raz pierwszy odczuwała dosyt i zadowolenie zupełne. Po

raz pierwszy doznała tego błogostanu, w którym rzeczywistość wydawała się jej piękną i pełną głębokiej uczuciowej treści. Dokonywało się w niej jakieś cudowne, do niczego, co dotąd przeżywała, niepodobne misterjum, które ogromną sferą swego promieniowania, sięgającą, zda się, aż po krańce wszechświata, obejmowało ją całą, bez reszty i napępniało wszystko w niej i dokoła niej słodką harmonją ciszy i światła. „Więc tak wygląda szczęście” — zapytywała sama siebie — „tak mało potrzeba, aby stało się z niedoścignętego marzenia jawą oczywistą i dotykálną”. Cóż bo właściwie się stało? Prawie nic. Ma przed sobą leżącego na łóżku chorego, pięknego młodzieńca, prawie jeszcze chłopaka, młodszego od niej o dwa lata i spełnia wobec niego z najwyższem oddaniem się i przejęciem posługi pielęgniarzki. Czy go kocha? Nie umie na to pytanie odpowiedzieć. Raczej chyba nie. Jej doświadczenie, nabyte z obserwacji otoczenia, z zastanawiania się nad dotychczasowymi własnymi przeżyciami wewnętrznymi i z wiedzy przyrodniczej, mówi jej, że od uczucia miłości nieodłączny jest pierwiastek pożądania zmysłowego. Tego zaś żadną miarą, przy najpodejrzliwszej nawet analizie w obecnem swem przeżywaniu stwierdzić nie może. Wszelkie wyobrażenie rozkoszy fizycznej jest jej teraz wstrętne. Gdyby się wdarto do jej duszy, wyrzuciłaby je natychmiast jako jakiś element obcy, brutalny, jako przykry dyssonans, mącący doskonałą muzyczną całość mollowych akordów jej odczuć. Jeśli to jest miłość, to chyba jakaś zupełnie niematerjalna, jakiś destylat pozbawiony wszelkiej przymieszki ziemskości, jest to czysta i niesfa-

szowana miłość oczu, dla której nawet pocałunek byłby czemś zbyt cielesnem i poniżającym. Wanda przekonywała się, że od chwili, kiedy po raz pierwszy zetknęła się z Szczerbą w lesie, zrobiła już olbrzymi kawał drogi w kierunku dematerjalizacji. Świadomość ta napędliała ją niezwykłą radością, chociaż nie umiała sobie zdać sprawy, czemu miała tę przemianę przypisać, bo dotychczas wszelki platonizm uważała za śmieszny cikliwizm i chorobliwą czułościowość. „Skąd się wzięły u ciebie te nastroje św. Klary?” — myślała. Ciało Andrzeja, którego z konieczności często musiała się dotykać, było dla niej nie zbiorowiskiem napędlonych żywą, młodą krwią żył, tętnic i mięśni, ale nieznaney piękności marmurową urną, kryjącą mistyczną tajemnicę jego — czy ducha? — o duchu jego nic nie wiedziała, bo zamieniła z nim zaledwie kilkanaście słów, — ale w każdym razie tej niepojętej siły, która ją prowadziła w blask srebrnego, eterycznego, księżycowego szczęścia. Narzucającemu się jej od czasu do czasu z swemi cynicznemi uwagami wewnętrznemu Satyrowi odpowiadała:

— Jeśli to jest chytre działanie wiecznie niezmiennej natury, która zawsze do tego samego dąży celu, to w tym wypadku idzie jej o to, abym swem poświęceniem się i napięta do najwyższego stopnia wolą ocaliła od śmierci zdrowy, piękny i nieskażony okaz gatunku homo sapiens, dla umożliwienia mu produkowania tej rasy z kobietą, którą niekoniecznie ja być muszę, a, jak na teraz, nawet być nie chcę.

Tak myślała i rozmawiała z sobą Wanda

w ciągu długich godzin, dni i nocy, które spędzała przy łóżku Andrzeja. Na dole, wśród rodziny, była prawie niewidzialna. Zbiegała tylko na chwilę, aby w kuchni własnoręcznie sporządzić jakąś specjalnie djetetyczną odżywkę dla chorego, albo wpadała do pracowni ojca, którego naprawdę bardzo kochała, aby go ucałować i pogawędzić przez kilka minut o jego wykopaliskach i innych rzeczach — jak je Słowacki nazywa — anielskich, to jest obojętnych. Pan Proszewski miał tyle słodczy, że dla sprawienia przyjemności córce wypytywał ją codziennie o zdrowie Szczerby i okazywał żywą radość, gdy relacje brzmiały pomyślnie. Jego filozofja osobista, ugruntowana tragicznymi przejściami życiowymi, nakazywała mu nie sprzeciwiać się w niczem ukochanej kobiecie. Zasady tej w stosunku do Wandy przestrzegał w całej pełni. Był fatalistą: wierzył, że dola i niedola człowieka jest zapisana nieodmiennym wyrokiem w niezbadanej księdze bytu i że pomnaża tylko sumę nędzy ludzkiej, kto wołą swoją usiłuje zmienić bieg linii przeznaczenia. To też Wanda była pewna, że z jego strony nie dozna nigdy sprzeciwu.

Potrafiła także narazie doprowadzić do pewnego *modus vivendi* z ciocią Mazowiecką. Polegał on na czemś w rodzaju milczącego, czasowego zawieszenia broni. Wprawdzie despotyczna dama podjęła raz jeszcze rozpaczliwą próbę pozbycia się Andrzeja z domu i w tym celu przypuściła do swej tak zwanej bratanicy (w rzeczywistości było to pokrewieństwo dalszego stopnia) niesłychanie gwałtowny atak, który też wyrodna kuzynka nazwała wielką sceną z wagnerowskiego dramatu muzycz-

nego, osnutą na motywach przewodnich błękitnej krwi, duchów przodków, klątwy i staropanieńskiej pruderji, lecz ofensywa ta, przygotowana ogromnie starannie i przeprowadzona wprost genialnie, pozostała bez rezultatu. Wanda bowiem sparowała ją piorunującym kontratakiem polegającym na bardzo krótkim i zgoła węzłowatym oświadczeniu, że jeśli ciotka będzie ją nadal „zanudzała” swemi „staroświeckimi” morałami, w takim razie popełni coś tak „naprawdę szalonego”, że sprawczyni tej katastrofy do końca życia nie będzie mogła sobie darować, że ją wywołała swoją „tyranją”.

— Poprostu zabiorę się w świat i tyle mię zobaczycie — zagroziła nieugięta panna, — a wie kochana ciotunia, że wypadek taki nie będzie pierwszy w moim rodzie.

Była w głosie Wandy taka lodowato niezłomna siła postanowienia, a w ostatnich jej słowach tak paraliżująca ewokacja jakichś niesamowitych sił atawistycznych, że ciocia Mazowiecka skapitulowała odrazu. Widząc, że taktyka siły i wymuszenia do niczego nie doprowadzi, po obowiązkowym rzuceniu się w miękki fotel ruchem podobnego do śmierci omdlenia i po wylaniu kilku łez postanowiła zachować się biernie aż do wyzdrowienia Andrzeja w tej myśli, że zupełna jego niemoc wyłącza narazie wszelkie istotne niebezpieczeństwo, w ciągu zaś tego czasu zostanie opracowany plan całkiem inny, który niechybnie zostanie uwieńczony wyrzuceniem „obcego ciała” z arystokratycznego organizmu łanowieckiego dworu. Pocięsała się też skrytą nadzieją, że Wandzie, która „wszystko zaczyna, ale nic nie kończy” bardzo

szybko sprzykrzy się rola sanitariuszki i że cały ten „warjacki epizod” skończy się prędzej, niż się obawia.

W ten sposób uzyskawszy zupełną swobodę działania, panna Proszewska oddała się bez zastrzeżeń swej pasji pielęgniarско-kontemplacyjnej. Gdyby Andrzej był carem i samodzierzcą Wszech-Rosji nie mógłby zaznać w chorobie bardziej zbytowego zaspokożenia wszystkich nawet nieodczutych, ani nigdy niepomysłanych potrzeb. Że na stoliku obok jego łóżka stała cała kolekcja wszelkich w danym wypadku pożądaných, choćby najkosztowniejszych, leków że dawano mu potrawy najbardziej wyszukane, delikatne i do stanu jego zdrowia dostosowane, to oczywiście rozumiało się samo przez się. Było jednak luksusem zgola ekstrordynaryjnym i srogo przez ciocię Mazowiecką potępionym, że chociaż piwnica łanowiecka była dostatnio zaopatrzona w wytrawne stare wina (dzięki sprytnemu zakopaniu w pasiece pod ulami nie dobrali się do niej żadni okupanci), mimo to Wanda, dla wzmocnienia sił swego pacjenta, pchnęła umyślnego posłańca do Lwowa, do znajomego, słynnego na całą Małopolskę, handlu win, którego właściciel sprzedał jej po nieprawdopodobnych cenach kilka butelek jeszcze bardziej nieprawdopodobnie starego tokaju, oświadczając w dołączonym liście, że nektar ten powinno się dawać tylko poetom, osłabionym wyjątkowo gwałtowną erupcją natchnienia, albo kochankom nad miarę szczęśliwym.

Picie tego wina przemieniła Wanda w uroczystą ceremonję, odbywającą się według obmyślonego przez nią rytuału. Wykradła w tym celu

do czasowego użytku ze zbiorów ojca bezcenną, starorzyską, dość pojemną czarkę, nabytą kiedyś w Pompei. Sprzedał ją za kilka lirów tamtejszy custode, który na punkcie poszanowania własności państwowej wyprzedził idee bolszewickie. Szkło to pradowe, wskutek długiego leżenia w lawie, nabrało przedziwnych własności opalizujących i połyskiwało zmiennymi barwami tęczy, niesłychanie subtelnie stonowanymi. Wanda uznała, że jest ono jedynie godne tego zaszczytu, aby się stało dla niej czarą szczęścia i marzenia. Takie tylko miano uznała za stosowne mu nadać, wszelkie bowiem analogie do Trystana i Izoldy wciąż jeszcze odrzucała uporczywie.

Po otworzeniu butelki pokój cały nappełniał się mocną, aromatyczną wonią, w której było coś z zapachu razowego chleba i kościelnego kadzidła. Wanda nalewała antyczną czarkę po brzegi i wsadzała połowę drogocennej jej treści w usta Andrzeja, z resztą zaś chroniła się przed jego wzrokiem we framudze wgłębionego w grubym murze okna i wznosiła toast w ręce słońca lub księżyca.

— Na twoje zdrowie, potężna gwiazdo — mówiła do słońca — błogosławione niech będą twe blaski, tak podobne do promieni, które rozświecają wnętrze mej duszy.

— W ręce twoje, kolego — piła do księżyca — przyjm podziękowanie, iż srebrna poświata szczęścia, którą rozsiewasz po ziemi, i mnie dziś w swoje władanie zagarnęła.

— Witajcie, złote i różowe gwiazdy — szeptała, gdy księżyca nie było, nie zazdroszczę wam waszych stanowisk wyniosłych, bo i ja dziś marze-

niem pomiędzy wasze oczy uroczone jestem wyniesiona.

Po takiej inwokacji, pomału, kropla po kropli, z nabożeństwem^r wychylała wonną, ciemno-bursztynową zawartość czary, pojąc się jej wonią i mocą, spotęgowaną aż do uczucia zawrotnej rozkoszy wyobrażeniem tych szczęśliwych drobin, które spływały z tamtych ust młodzieńczych, aby teraz jej usta rozedrgać w rytm bezdźwięcznej pieśni uniesienia.

— Tak przed wiekami piła może z tej czary para klasycznych kochanków — myślała chytrze Wanda, pragnąc złagodzić intensywne odczucie rzeczywistości i narzucić na jej czerwień, wyzywającą jakby kwiat maku, zblakły gobelin poetycznego wspomnienia.

Ta odrobina starego wina, podebrana Andrzejowi, była dla niej znakomitym przewodnikiem po turniach ulubionych przez nią dziecinnych marzeń.

Wanda, dawniej wprost chorobliwie wrażliwa na wpływy pogody, do tego stopnia, że długotrwała ślota przyprawiała ją o zdenerwowanie, graniczące z rzeczywistą psychozą, teraz obojętna była na zmiany atmosferyczne. Owszem lubiła nawet deszcz, którego szelest tworzył doskonały akompanjament dla zwiewnej melodji jej fantastycznych rojeń.

W owych dniach Andrzej, po szczęśliwym przebyciu kryzysu, tak był osłabiony, że ustawicznie niemal drzemał. Wanda układała się wówczas wygodnie w fotelu, w ten sposób, że miała przed sobą równocześnie twarz chorego i otwarte okno,

przemienione w kwitnący ogródek, w którym begonie, szkarlety, pelargonje, laki i heljotropy zlewały się w oszołamiającą symfonię barw. Zaczęła się właśnie długa niepogoda, uparta trzydniówka. Niebo, które swym wyglądem, podobnym do wklęsłego dna cynowego kotła, przyprowadzało dawniej Wandę niemal do szaleństwa, było teraz pożądaniem nawet tłem dla zjaw jej wyobraźni. Chmury wiązały się z ziemią cieniutkimi strunami deszczu, na których grał wiatr, podniecający olbrzymie graby w parku do potężnych hymnów o nieśmiertelnem trwaniu wszechrzeczy, co są bez początku i końca.

Muzyką natury i komunją wina ukołysana i od codzienności wrażeń oderwana, zdobywała się Wanda na akty widzenia jasnego i przenikliwego, które ukazywało jej zjawiska świata zewnętrznego w kształtach i barwach przepuszczonych przez soczewkę uczucia, a przeto obdarzonych niepospolitą wymową. Z największą oczywiście swadą wypowiadała się wobec niej twarz Andrzeja. Bez znużenia, po raz tysięczny, wchłaniał wzrok jej syntetyczną całość tego obrazu, aby potem analitycznie przechodzić milimetr za milimetrem wszystkie jego szczegóły. A chociaż znała je na pamięć, zamknawszy powieki napróżno starała się odtworzyć w pamięci ogólny kształt tej głowy. Widziała doskonale tysiące Andrzejów w rozmaitych momentach i odmianach, wśród pewnych dokładnie zapamiętanych okoliczności, natomiast żadną miarą nie mogła go zobaczyć w oderwaniu od przypadkowości, in abstracto niejako — tak, jak pamiętała wygląd innych, obojętnych dla siebie ludzi. Tłu-

maczyła to sobie tem, że zna go po prostu zbyt dobrze.

Znużona takimi bezowocnymi usiłowaniami reprodukcji pamięciowej, pograżała się Wanda z tem większą rozkoszą w bezpośredniej obserwacji. Z niesłabnącym nigdy zachwytem oglądała tę dziwnie delikatną, panięńską karnację twarzy, tworzącą niespodziewany kontrast z silną, prawdziwie męską budową całego ciała, delektowała się, jakby tworem jakiegoś genialnego dłuta, czy pędzla, wytworną kształtnością ucha, subtelnym profilem nosa i rysunkiem cienkich, lekko rozdętych, od wnętrza różowych nozdrzy, zarysem blado czerwonych ust, ocienionych ciemną linią ledwie zasianego wąsa, szerokością gładkiego czoła, przeciętego jednak kilku linjami o wiele zawczesnych zmarszczek, a nadewszystko ciemną wichurą włosów, owego „młodego lasu, nietkniętego jeszcze siekierą”. Na najwyższe szczyty ekstazy wznosiły ją jednak jego oczy. Andrzej budził się chwilami, a wtedy twarz jego rozjaśniała się uśmiechem nieopisanej wdzięczności i ufności, a oczy jego wpatrzywały się w Wandę z śmiałością chorych, którzy czują, że im wiele wolno i nie mają pewności, czy jutro jeszcze na świat patrzeć będą. W tem uporczywem pijaństwie wzroku było jakby olśnienie ujrzanym żywym cudem. Te niezwykle duże, czyste, dobre, wzniosłą poezją przemawiające oczy hypnotyzowały wprost Wandę, która nie mogła się dość nasycić blaskiem młodzieńczym i perłowemi refleksami ich białek, ani fascynującym kolorytem tęczówek, które zależnie od światła zmieniały swe wartości barwne. Gdy padł na nie promień słoń-

ca, płynęły ku niej strugi roztopionego miodu lub bronzu, gdy tonęły w mroku, świeciły jak dwa nie z tej ziemi niewysłowionej piękności czarne diamenty.

— Któryż z maharadzów indyjskich posiada klejnoty tej ceny? — szeptała w uniesieniu. — Któryż mistrz sztuki złotniczej zdoła dać im taką oprawę z rzęs czarnych, lśniących i tak długich, że aż odgiętych na końcach łagodną krzywizną spokojnego oddechu morza?

Te bezustanne zachwyty drażniły jednak czasami przekornego Satyra jej duszy, który nazywał je brakiem krytycyzmu. Wówczas Wanda z uporczywością detektywa szukała w głowie Szczerby jakiegoś szczegółu niedociągniętego lub przerysowanego, a zwłaszcza czegoś, coby było świadectwem niższości jego rasy, jego „chamstwa”. Triumfowała jednak nad cynikiem-przekorą, bo poszukiwania jej były bezskuteczne.

Aż raz zadrżała wewnętrznie, gdyż wydało się jej, że kości czołowe Andrzeja, widziane z boku, są zbyt silnie sklepione i zanadto naprzód poza linię oczu wysunięte.

— Aha — zaskrzeczał Satyr — tu go mam! Przecież to cechy antropopiteka.

— Głupis! — odpowiedziała mu po dłuższym czasie Wanda, która, zaniepokojona nie na żarty, przewertowała kilka atlasów anatomicznych i zoologicznych — czoła u małych wyższego rzędu i najniższych ras ludzi są niskie i zaraz ponad oczami cofają się gwałtownie w tył. To czoło jest pokrywą potężnie rozwiniętych płatów mózgowych, do-

wodem wysokiego rozwoju psychofizycznego, za-
datkiem niepospolitej kultury umysłowej.

Z tem wszystkiem Wanda zdawała sobie sprawę, że piękność Andrzeja nie jest nieskazitelną harmonją klasycznego posągu, że nie jest czysto zewnętrznem pięknem, które obdarzoną niem istotę wyróżnia pośród tysiącznych tłumów. Przeciwnie oceniała ją jako piękno duchowe, jako refleks duszy czystej, mocnej ofiarnej i na górne nastrojonej tony. Była to — jej zdaniem — jedna z tych pięknych twarzy ludzkich, które odrazu pociągają, budząc sympatję i zaufanie. „Tu niemożliwa jest pomyłka — myślała. — Człowiek, odznaczony stygmatem piękna tej kategorii nie może być człowiekiem złym. Takiemu można z miejsca, bez potrzeby zjadania z nim beczki soli, powierzyć majątek, albo ofiarować przyjaźń czy miłość. Zawodu nie będzie nigdy”.

W ten sposób Andrzej został przez Wandę pasowany na bohatera etycznego i intelektualnego. Postawiwszy go obok siebie na tak wyniosłej płaszczyźnie, lubiła stamtąd unosić się lotem fantazji w kraje na pół dziecinnych marzeń. Raz widziała go jako znakomitego artystę, jako genialnego rzeźbiarza, który dokonał zupełnego przewrotu w swej sztuce i ujarzmił cały świat sławą — a ona stała przy nim jako jego Egerja, modelka, doradczyni i inspiratorka. Innym razem był on niezwyciężonym wodzem, który świetnością swego umysłu i dywinacyjnym darem paraliżowania planów przeciwnika odparł nikczemny najazd Niemców na Polskę i podyktował im pokój w Berlinie. A ona dzieliła z nim trudy wojenne, a potem miłość,

uznanie i hołdy całego narodu. Kiedy indziej wyobrażała go sobie jako multimiljardera, który Krezusowemi ofiarami przywiódł skarb Państwa Polskiego do równowagi, albo mocarzem nauki, który swemi epokowemi odkryciami uratował ludzkość raz na zawsze od trapiących ją najstraszniejszych chorób. Ona zaś zawsze była u jego boku osłoda i podpora w cierpieniu, wezglowiem w zmęczeniu, towarzyszem w triumfie i zwycięstwie.

Najbardziej jednak lubiła Wanda bajeczkę, którą sama sobie ułożyła, opierając się zresztą na reminiscencjach klasycznych i romantycznych i którą często w myśli powtarzała, coraz to nowemi wzbogacając ją interpolacjami i warjantami.

A było to tak:

Miasto pewne, ludne i bogate i przez wieki całe pod rządami dobrych i potężnych monarchów żadnych trosk nie znające, wielkie raz nawiedziło nieszczęście. W pieczarze nadmorskiej zagnieździł się potwór olbrzymi, smok straszliwy a żarłoczny, który okropne w Hedonaidzie szerzył spustoszenie. Podobny był do gigantycznego jaszczura, miał na ciele pancerz z potężnych rogowych tarcz, których żaden miecz ani dzida przebić nie mogła, z paszczy jego zionęła siarka i ogień, a siłę miał taką, że jednym niedbałym machnięciem swego długiego ogona najmocniejszego zabijał konia. Jedyną ozdobą tego obrzydłego krokodyla były dwa czerwone oczka, wprawdzie śmiesznie w stosunku do jego cielska małe, ale za to błyszczące, jak najcudniejsze rubiny, a nadto wspaniały złoty grzebień na grzbiecie, jakby z kilku ogromnych wachlarzy ułożony.

Wstrętny ten gad co tygodnia wylazł z swej nory, wchodził do miasta i nic sobie nie robiąc z żołnierzy, którzy go razili strzałami, siekli mieczami i zlewali ukropem, pożerał wszystko, co spotkał na drodze: ludzi, bydło, konie i psy. A nikt się przed nim skryć nie mógł, bo jednym uderzeniem łapy rozwaliał najsilniejsze domy. Doprowadzeni do rozpaczki mieszkańcy zawarli ze smokiem pakt, mocą którego zobowiązali się dostarczać mu co tygodnia do pożarcia dziesięć wołów i trzy co najpiękniejsze dziewice na deser. Wzamian za to potwór przyrzekł siedzieć spokojnie w swej norze i nie pojawiać się w mieście. Okupiony tak okropnymi ofiarami zapanował wreszcie pokój, smutny jednak bardzo, bo przepełniony szlochami i jękami kochanków i gospodarzy. Człowiek jest atoli stworzeniem tak cierpliwem, iż do wszystkiego się przyzwyczai, więc i ludność Hedonaidy przywykła wkońcu do tych ofiar straszliwych, a nawet powstała sekta religijna, która czciła smoka jako potężnego boga i dobroczyńcę grodu.

Życie w mieście zaczęło więc biec smoczym, normalnym już teraz, torem, aż nagle nastąpiła gwałtowna zmiana. Oto młodą i piękną królową — była nią oczywiście — Wanda — skusiła raz ciekawość, iż podeszła do samej pieczary, aby zobaczyć, jak wygląda ów potwór, o którym najrozmaitsze krążyły powieści, między innymi i ta, że smok wogóle nie istnieje, a jest tylko legendą, wymyśloną przez sektę Smokolubów, którzy u wejścia do pieczary ustawili ołtarze, aby dla siebie zabierać krwawe i rozkoszne ofiary ludu. Lecz smok istniał naprawdę, a gdy zobaczył królową, taką odrazu

rozgorzał ku niej srośną, a gwałtowną miłością, że ogłosić kazał przez swych kapłanów, jako zrzeka się wszelkiej strawy z dziewic i bydła, jeśli mu król swą córkę odda za żonę. Obudziła się wówczas w Wandzie bohatera żądza poświęcenia, więc nie zważając na łzy i protesty króla i całego dworu, poszła ku pieczarze na czele uroczystego pochodu, przy dźwiękach weselnej muzyki, aby pojąć smoka za męża. Ów zaś zdarł z niej zarzaty ślubne i przysiadłszy na tylnych łapach, jak pies, wpatrywał się w nią ustawicznie swemi rubinowemi oczkami, a jeno od czasu do czasu, gdy miłość w nim nad miarę wezbrała, oblizywał ją swym długim, czerwonym językiem. Inaczej bowiem namiętności swojej objawiać nie umiał, gdyż był już tylko starym brzuchem, który się zakochał na śmierć. Chudł i z nadmiaru żądzy niezaspokojonej i z braku jadła, którego wyrzekł się dla królowej, widoczne było jednak, że ma nagromadzony taki zapas sady pod skórą, iż będzie mógł żyć nim co najmniej jeszcze sto lat. To też księżniczce, która zresztą litowała się dosyć nad szaleństwem starego smoka i czasem wcale pieszczotliwie lechtała go bosą piętą po nosie, sprzykrzyło się niebawem i bohaterstwo i niewola, więc z głębi stęsknionego serca wysyłała coraz częściej ku niebu gorące błaganie o wyzwolenie.

I wysłuchały ją w końcu dobre bogi. Oto raz wieczorem, gdy zachodzące słońce świat cały okrywało przejrzystą zasłoną, utkaną z cudnego, starego złota, ukazał się oczom królowej na wschodnim niebie jakiś punkt błyszczący, który zrazu wydał się jej ptakiem świetnopiórym. Gdy się je-

dnak przybliżył, poznała, iż był to rycerz-wybawca, wysłannik niebios, cały w złocisty kirys zakuty i szerokim szafranowym płaszczem okryty. U nóg miał kierpce skrzydlate, które go unosiły w przestworzu. Ów Perseusz, Rynald, czy też Lohengrin, a właściwie po prostu Andrzej, spłynął z nieskończonej otchłani błękitu prostolinijnie, jakby po telegraficznym drucie; jednym uderzeniem zaczarowanego miecza zabił smoka, poczem przykląkł przed królowną na prawe kolano i kornie chyląc przed nią głowę, wichurą ciemnoblond włosów zdobną, rzekł:

— Pozdrowioną bądź, o najpiękniejsza z niewiast! Oto wolna jesteś. Wyzwoliła cię miłość czysta, nad śmierć, czas i przestrzeń silniejsza.

Gdy zaś ujrzał, że królowna, nakształt Afrodyty, wyłonionej z morza, łono swe piękniejsze od śnieżnego zbocza gór, na którem kępa krokusów zakwitła, lilją swych dłoni i kirem włosów wstydliwie zakrywa, osłonił ją swym szafranowym płaszczem, z ramion zszarpniętym, i powiódł jako oblubienicę ku miastu, oswobodzonemu od zmory.

Jakież jednak było ich zdumienie, gdy lud, zamiast ich powitać okrzykami wdzięcznej radości, podburzony przez sektę Smokolubów, począł im złorzeczyć i ciskać na nich kamieniami, wołając:

— Śmierć tym, którzy nam boga naszego zabili!

Wielkim gniewem spłonął wówczas rycerz Boży i w te do znikczemniałego tłumu przemówił słowa:

— O ludzie marni i lichego serca! Tak was spodliła niewola, że życie bez tyrana kłatwą się

wam wydaje. Szkoda dla was było mego trudu, przeto naprawię omyłkę i postaram się dla was o innego smoka, aby was pożerał.

To rzekłszy, objął królowną ramieniem, uniósł się, jak strzała, w powietrze i nie prędzej wylądował, aż na polskiej stanął ziemi. Tam bez trudności nakłonił miejscowego smoka, iż przeniósł się do Hedonaidy, albowiem niezbyt był zadowolony z dotychczasowego swego królestwa, gdzie tylko drobna część ludu nazbyt skąpemi karmiła go żer twami. Oni zaś, zdala od świata, żyli odtąd w sobie tylko i dla siebie. A błogosławiły im złote i różowe gwiazdy i szmer rzeki i zbóż poszumy i śmiały się do nich wszystkie róże, białe, jak ich czoła ku sobie nachylone i czerwone, jak ich usta, rozgrzane pocałunkami.

Takie baśnie widziała Wanda wyhaftowane na szarem dla niewtajemniczonych oczu płótnie rzeczywistości, która z wyroku wyższych przeznaczeniowych mocy kazała jej odpędzać niemoc od Szczerby, wynagradzając ją możliwością bezustannej kontemplacji jego urody, nad którą dla niej nie było piękniejszej w świecie kształtów i barw.

Wogóle otaczał ją w tym czasie dokoła jak gdyby wilgotny a parny obłok, który ją wprowadzał w stan najzupełniejszego opętania Andrzejem. Nie była zdolna zabrać się do żadnej czynności, ani powziąć żadnej myśli, aby jej nie złączyć w jakikolwiek bliższy lub dalszy sposób z „jej najwspanialszą drobiną wieczności”. Gdy widziała przechodzącego przez dziedziniec folwarczny parobka, litowała się nad nim, że nie jest tak piękny, jak Andrzej, ani tak z natury wytworny, szlachetny

i inteligentny. (Wszystkie te ostatnie przymiotniki były oczywiście jej pochlebną insynuacją, nieopartą na żadnej realnej podstawie, lecz wyłącznie na pewności transcendentальной, za której prawdziwość gotowa jednak była oddać głowę). Gdy czytała dziennik, donoszący o rozdzierających społeczeństwo polskie wasniach partyjnych, była przekonana, że gdyby Andrzej wziął udział w życiu politycznym, samą mocą czystości duchowej, bijącej od jego postaci, wprowadziłby ład, porządek i uśmierzanie sporów. Gdy wdziewała bucik, myślała, jakby to było miło, gdyby zamiast niej samej Andrzej spełniał tę funkcję. Gdy czytała „Śmierć” Maeterlincka, nabierała absolutnej wiary w nieśmiertelność duszy, nie dzięki łagodnej a fascynującej argumentacji autora, ale dopiero wtedy, gdy uprzytomniła sobie, że ta iskra życia, która słodszy ponad wszystko promieniem wytryskała ku niej ze źrenic Andrzeja, nie może nigdy zagasnąć i zmienić się w nicość. Słowem Andrzej był w jej mózgu i w sercu, w głowie i w piersiach, w kończynach rąk i nóg, w każdym mięśniu i w każdym nerwie, w każdym najbardziej niedostrzegalnym odruchu jej ciała i w każdym, najsubtelniejszym drgnieniu myśli.

— Jego ciało astralne weszło we mnie i przeniknęło mnie całą, wytwarzając doskonałą Jednię — wyjaśniała sobie stan swój przy pomocy terminologii modnych nauk tajemnych.

— Jest to jednak tylko opętanie wyobraźni — usiłowała jeszcze czasami się łudzić, bo nie śmiała i teraz przyznać się do opętania serca.

Musiała wszakże skapitulować wobec druzgoczących uwag Satyra i przyznać się do najbar-

dziej typowego „zakochania się po uszy“, gdy stwierdziła nie bez zdumienia, że jest o Andrzeja całkiem pospolicie zazdrosna. i to z powodu — ktośby mógł się tego spodziewać po dumnej kasztelan-ce — z powodu pokojówki Marysi.

Wanda tak ściśle przestrzegała swych monopolowych praw w pielęgnowaniu Andrzeja, że starała się, o ile możliwości, sama spełniać wszystkie posługi. Czasami jednak gdy szło o prześcielenie łóżka, przyczem chorego musiano chwilowo układać na kanapie, z konieczności wzywała pomocy Marysi. Spostrzegła przytem, że owa tęga, różowa, wesoła blondynka z niezwykłą przyjemnością wykonuje te czynności, kilka razy złapała ją nawet na tem, że zawołana zjawiała się z nieprawdopodobną szybkością: widocznie czatowała pod drzwiami. Gdy zaś weszła do pokoju, nie odrywała oczu od Andrzeja, lecz pożerała go wprost wzrokiem, a pomagając przenosić go z łóżka, przytulała się tak silnie do niego, jakby go całego chciała wcisnąć w siebie.

— Ostrożnie, to przecież nie korzec żyta — napominała wówczas Wanda, a kiedy upewniła się, że usłużna pochopność Marysinabiera cech coraz bardziej namiętnych, postanowiła nie wzywać jej więcej, lecz wyręczać się inną służącą. Lecz reżolutna dziewczyna niełatwo skapitulowała. Na zawołaną przez Wandę Franię rzuciła się z pięściami, odtrąciła ją od progu i przemocą wdarła się do pokoju, a gdy otrzymała rozkaz wyjścia, rozbeczała się, wyrzekając, że panienka już jej nie lubi i że sobie pójdzie precz, bo tu ją jak psa trak-

tuja. Długo potem jeszcze napełniała dom cały swym lamentem.

Wanda uczuła od tej chwili nieprzemogłą awersję do Marysi, która przedtem była jej faworytą, i z zawstydzeniem musiała po niej jakim czasie wyznać przed sobą samą, że dzieje się to z powodu zazdrości.

— Miał rację stary doktor — mówiła sobie — infekcja erotyczna szerzy się. Cóż to, czyż to jakaś nowa edycja Casanovy na rustykalno-militarnym podkładzie — myślała z przekąsem o Andrzejku, który wszakże żadnej w tym wypadku nie ponosił winy.

Za każdym razem jednak po takiej dewiacji uczucia niechęci ku sobie samej w kierunku przedmiotu miłości, zalewała jej serce fala macierzyńskiej, zwilgotniającej kąciki oczu, czułości. Wtedy, pragnąc wynagrodzić krzywdę wyrządzoną Andrzejowi myślą, w czasie snu jego, pod pozorem poprawiania poduszki nachylała się nad nim tak blisko, że wchłaniała z niedającą się opisać rozkoszą swoistą, aromatyczną i ożywczą woń jego młodzieńczo bujnych włosów. „Żaden ozon w Tatrach — stwierdziła — ani oddech lasów jodłowych nie dorówna świeżości tego zapachu”. Czasem nawet zdobywała się na odwagę muskania ustami tych włosów, czoła i policzków, którym młodość i wycieńczenie chorobą nadały białość i delikatność nieporównaną.

Zawsze jednak po takim wylewie uczucia doznawała skruchy i żalu, że sprzeniewierza się swej „przezrytej miłości oczu”. Broniła się wówczas sa-

ma przed sobą rozmaitemi mądrze wymyślonymi racjami.

— Czyż ojcowie nie całują i nie piezczą swych córek, a matki swych synów? Człowiek, jako istota materialna, musi swe, choćby najczystsze, uczucia wyrażać za pomocą znaków zmysłowych. To niema jednak nic wspólnego z żądzą erotyczną. Tylko aniołowie przelewają wzajemnie swe sentymenty w siebie bez pośrednictwa materji.

— He, he, — zakończył na nutę Przybyszewskiego jeden z takich sofistycznych wywodów niesforne Satyr. — A czyż to panience nie marzy się zbyt często pewien doskonale zresztą wymodelowany akt męski, a raczej efebi?

— Właśnie, że nie — irytowała się Wanda — odkąd musiałam go z konieczności zobaczyć, jako pielęgniarza, nie pociąga mnie już urokiem tajemnicy.

— He, he! — zachichotał przechera.

— A zresztą, czyż mi nie wolno? — oburzyła się przyciśnięta do muru dziewiczość.

— Wolno, wolno — odparł wścibski liberyn — tylko w takim razie nie godzi się pozować na świętą Klarę, bo przedewszystkiem nieładnie jest nie być szczerą wobec siebie samej.

Gdy tak w duszy Wandy toczyła się walka pomiędzy pierwiastkami Djonizyjskimi, a motywami płynącymi od wzgórz w Assyżu, tymczasem Andrzej coraz bardziej przychodził do zdrowia. Osłabienie mijało, a z niem skłonność do ustawicznej drzemki. Rekonwalescent miał w nocy sen doskonały, ale w dzień wołał czuwać i śnić na jawie, bo widział przed sobą ustawicznie obraz tak dla

siebie cudowny, iż żadne senne widziadło nie mogło mu go w świetniejszych barwach wyczarować.

Wówczas jednakże nadszedł moment w którym ustać musiała wymowa milczenia, tak bardzo dotychczas dla tej pary ludzkiej rozkoszna. Eteryczny dialog bez słów musiał wreszcie ustąpić miejsca zwyczajnym sposobom porozumiewania się. Wanda, pod pozorem zakazu lekarskiego, starała się jak najbardziej odwlekać tę chwilę, bo drżała na myśl, że jakiś wulgarny wyraz w ustach Andrzeja, że jakiś błąd gramatyczny strąci ją głową na dół z wysokiej Jakóbowej drabiny, na której szczyt wyniosły ją jej marzenia.

— Wtedy pryśnie moja baśń tęczowa, a mój królewicz dostojny, moja najprzecudniejsza księżeczka Mość zamieni się w... Grabca.

Lecz rzeczywistość przyniosła jej najmiłsze rozczarowanie: rychło przekonała się, że uczucie, które wytryska prosto z serca, jak kwiat z ziemi, piękne jest, jak biała margeritka, tak śliczna, choć tak pospolita. I przekonała się jeszcze, jak ogromną moc przebaczeń kryje w sobie miłość, która wszelki osad kurzu, jakiby na białych płatkach margeritki zostawiły śloty życiowe, zwiewa swym anielskim oddechem.

Nie wiele jednak miała Andrzejowi do wybaczenia. Niebawem stwierdziła z radością, że jest nie tylko z natury inteligentny, ale nawet więcej wykształcony, niż przypuszczała. Jego zaś wrodzona subtelność duchowa mogła zadowolnić smak nawet najbardziej wyrafinowany.

Raz, gdy po podaniu mu lekarstwa, stała przy nim, przypominając, według zwyczaju doktorski ja-

koby zakaz mówienia, Andrzej podniósł się, usiadł na łóżku i, ująwszy jej rękę, wycisnął na niej długi, gorący pocałunek, poczem nieposłusznie przemówił:

— Dziękuję pani z całej duszy za wszystko... Będę panią czcił odtąd, jak dotychczas jedną tylko osobę na świecie, jak moją umarłą matkę. Bo też pani jest dla mnie drugą matką. Tylko pani zawdzięczam, że po raz drugi na świat się urodziłem.

Wanda, która z dawnych wspomnień wiedziała, czem dla niego była matka, uczuła łzę szczęścia pod powieką. Chcąc ukryć rozrzewnienie, wstała i odwrócona rzekła ni w pięć ni w dziewięć:

— Lekarz zabronił panu wzruszać się. To panu zaszkodzi.

— Przy pani nic mi zaszkodzić nie może.

— Dlaczego? — zawołała Wanda, tak zdziwiona tym pozornie komplementem, że aż obróciła się na pięcie i przenikliwie spojrzała Andrzejowi w oczy.

— Bo pani jest dla mnie największem dobrem. Wszystko, co od pani do mnie przychodzi, jest dobre. Nawet śmierć w obecności pani byłaby największem dobrem.

Słowom tym towarzyszył taki akcent szczerości w głosie i taki błysk uczucia w ciemno-bursztynowych w tej chwili oczach Andrzeja, że Wanda nic nie odpowiedziała, tylko spłonęła, jak podłotek, a w duszy jej cała Wagnerowska orkiestra upojen zahuczała na temat jednej myśli: on mnie kocha, on kocha mnie także.

— Choć tyle łask od pani doznałem — przerwał ciszę Andrzej — o jedną jeszcze poproszę.

— Już ją pan otrzymał.

— Niech mi pani mówi „ty”, jak dawniej, jak dawniej. Przecież nic się od tego czasu nie zmieniło.

— Dobrze, ale pod warunkiem wzajemności.

O co to, to nie. Tego nigdy dawniej nie było. A zresztą pani jest dla mnie królowną z bajki, księżniczką z za morza, właśnie „Panią”.

— Niech i tak będzie, ale nie przy ludziach — wyszeptła Wanda, a w duszy jej tym razem w takt mazurka Chopinowskiego ułożyły się słowa: on naprawdę ogromnie mnie kocha.

Odtąd w symfonii szczęścia panny Proszewskiej pojawił się motyw nowy. Upajała się bez końca muzyką głosu Andrzeja, choć, obiektywnie sądząc, głos ten nie odznaczał się niczem nadzwyczajnem. Był niski, zmatowany, dość cichy, ale w rozmowie z nią niesłychanie ciepły i jakby bez pośrednictwa języka wprost z duszy idący.

Andrzej musiał jej opowiadać, rok po roku, niemal miesiąc po miesiącu, wszystkie przejścia swego życia od chwili, gdy ich rozdzieliła nieszczęsna figurka Antinouse. Czynił to chętnie i z szczerością. Czuł, że wobec tej „księżniczki z za morza” nie tylko nie potrafiłby skłamać, ale nawet nie mógłby nic zataić. Otwierał przed nią swą duszę, jak przed księdzem na spowiedzi, co mu zresztą tem łatwiej przychodziło, że dotychczasowy żywot jego był dziecięco niewinny i czysty.

Wanda z radością dowiedziała się, że wojna nie była dla niego okresem barbarzyństwa i zdziwienia, lecz że przeciwnie nastroczyła mu dużo sposobności do umysłowego rozwoju. W czasie dłu-

gich miesięcy, spędzanych w okopach, przerynających rozmaite strony Europy, obcował z ludźmi kulturalnymi, pochłonał mnóstwo książek, dzięki wrodzonym zdolnościom w czasie postojów w różnych miastach Niemiec, Francji i Włoch poduczył się, sam nie wiedząc kiedy, obcych języków. Po otrzymaniu niebezpiecznej rany w pierś na froncie włoskim, kiedy mu austriacka dyscyplina wojskowa musiała przyznać dłuższy czas na rekonwalescencję, jako ozdrowieniec skończył w Krakowie w szkole inwalidzkiej kurs snycerstwa, gdzie talentowi jego wielkie oddawano pochwały. Myślał, że już nigdy więcej nie zakosztuje wojennego rzemiosła, lecz Polska wstała z grobu i poszedł znowu.

— A widzisz, zawsze mówiłam, że będziesz wielkim artystą — zawołała Wanda, która tak była ucieszona, że po raz pierwszy skorzystała z przywileju „tykania” Andrzeja.

— Bóg to wie, narazie jestem nędzarzem, który się dostał do raju. A w raju sztuka niepotrzebna.

Wanda zamyśliła się słodko. Rozkoszowała się poczuciem egzotyczności swej miłości. Jej przedmiot napelniał ją dumą. Było w tem coś romantycznego i bohaterskiego. Gratulowała sobie, że nie zakochała się, według modły swych przyjaciółek, w eleganckim, zamożnym, doskonale ułożonym panu z towarzystwa o nieskazitelnie zaprasowanych spodniach i nieskazitelnym akcencie francuskim. Och, to byłaby „skrzecząca pospolitość”. A tak jest cudnie. Ten piękny i czysty syn ludu, to jakby wonny kwiat leśny niezwykłej urody. Pachnie ziemią i dzielnością. Jest w nim jakiś niesłychanie pojętny element rustykalno-militarny. Żywiół, który

zatapia rozsądek i refleksję, który porywa, unosi. To tak, jakby się zakochała w sławnym wodzu, który wygrał sto bitew, albo w wielkim poecie, albo w głośnym lotniku, który pierwszy przeleciał przez Ocean Atlantycki. To jest rzadkie, niezwykle, wyjątkowe, cudne. O, stać się natchnieniem dla niego. Dopomóż mu, aby wykszeszał iskrę z krzemienia — o, nie z krzemienia — z górskiego kryształu swego serca. Na nią on działa, jak wspaniały poemat, jak rycerski rapsod. Niech tem samem stanie się dla wszystkich, dla całego świata. O być ożywciczką tego ognia, żyzną glebą, w którą przesadzon ten kwiat polny wyda jedyny, oddawna oczekiwany owoc sztuki, być strugą wieczności, sączącą się w duszę tego bohatera, tchnieniem wiatru, niosącym w świat jego drogocenny egzotyzm.

Zamyślenie Wandy udzieliło się Andrzejowi. Jak często bywa u ludzi, uczuciem o siebie zahaczonych, wyczuł bez faktorstwa słów treść jej zadumy. Ale wydobył z niej dla siebie nie radość, tylko smutek i niespokój.

— Jestem dla niej zabawką, przelotną zachcianką, kaprysem, pierogiem z kapustą, który dla odmiany smakuje usteczkom, przesyconym pomadami. To nie jest proste, szczere, mocne miłowanie ludzkie, Księżniczka się nudziła i posadziła sobie na kolanach szczeniaka z fornalskiej chałupy, zwyczajnego kundla, takiego ot sobie Murcia. Ale dziś — jutro — wszystko się sprzykrzy i powie mi: „A tobie, chamie co do mnie, co znaczą twoje zabłoczone cholewy na jedwabnem lśnieniu mych perskich dywanów?” — Trzeba się wynieść samemu, nim mnie wypędzą. Niedola dała mi urlop na krótki czas,

urlop się skończył, skończył się raj. Trzeba wracać do katorgi. Dzięki ci, Jasna, za tych kilka tygodni, za ten przelotny błysk szczęścia. Będzie mi oświecał ciemną moją drogę.

— Czemu posmutniałeś, Andrzej? — zapytała Wanda.

— To nie smutek, myślę o przyszłości, myślę, że zdrów już jestem, że trzeba mi wstać, pokłonić się pani w pas, aż do ziemi i iść w świat, skąd przyszedłem.

— Iść! — zahuczało w głowie Wandy nagłym skowytom mroźnej śnieżycy. Dopiero teraz ujrzała z przerażeniem, że jej oderwane od świata sam na sam z wybraną zachwyconą duszą, musi się skończyć, że grozi jej nieuchronne przebudzenie się z snu, który jej od kilku tygodni ten mały pokój w bezbrzeżne królestwo zamieniał.

— Nie, nie, nie możesz wstać dopóki lekarz nie pozwoli — zdecydowała, aby na kilka dni przynajmniej odwlec straszną chwilę napadu brutalnych żołdaków rzeczywistości na eteryczne królestwo swych marzeń. Ale męczące pytanie: „co dalej?“, jak olbrzymi, bezkształtny posąg zmory co chwila zagradzało drogę jej myśli, rozrywało spójnię ich uczuć i czarnym cieniem okrywało słoneczne pola ich szczęścia.

Andrzej stał się małomówny, smętnie zadumany i ogromnie wstydlivy. Nie pozwalał Wandzie na najmniejsze posługi przy sobie, gdy wchodziła do pokoju, otulał się kołdrą szczelnie aż pod szyję. Najbardziej zaś bolało ją to, że unikał jej wzroku, że ją pozbawiał tej subtelnej, spirytualnej rozko-

szy, jaką było poruszające aż same dna dusz wzajemne zwanie się żrenicami.

— Przecież, myślała, jego ciemno-orzechowe oczy z taką ufnością i spokojem wypoczywały dotąd w moich oczach, jak dwie łodzie rybackie w zacisznej przystani. Co się stało? Nie ufa mi, nie wierzy powadze mego uczucia. Boi się wyznać mi miłość swą oczami, abym jej nie wyśmiała i nie odtrąciła, nie zaraz wprawdzie, nie zaraz, ale za tydzień, za dwa, za miesiąc. A może swoboda jego instynktownie się broni przed tym żywiołem, który bierze duszę w wieczystą niewolę.

Postanowiła odzyskać z powrotem jego ufność. Zdwoiła swą czułość i serdeczność, w każdy ruch najprostszy, w każde zdanie najzwyczajniejsze wkładała taki ogrom miłości, iż głuchy-by usłyszał, a ślepy zobaczył. Lecz wszystko było bez skutku. Wtedy zaczęła mu czytać liryki miłosne. W drugą serję Tetmajera, w erotyki Staffa, w „Miłość” Kasprowicza przelewała ogień swego uczucia, stężałe w martwe czcionki natchnienie poetów ożywiała za-rem swych ust, głosu, oczu, rozfalowanych piersi i zamieniała je w lotny eter, który ją jednoczył z umiłowaną duszą. Aż wreszcie zwyciężyła.

Jeden z wierszy Kazimierzy Zawistowskiej tak zachwycił Andrzeja, że prosił Wandę przez kilka dni z rzędu, aby mu go odczytywała ponownie, aż wkońcu nauczył się go na pamięć. I w pewnej chwili otrząsnął z siebie resztki niewiary, jak dawniej spoczął ufnie oczami w jej oczach i cichym, jakby sennym głosem zaczął mówić:

*„O chciałbym, z tobą poszedłszy w zaświaty,
Wtulić się w jasność jakiejś białej chaty,*

*I wszystkie słońcu skradzione uśmiechy
Wpleść w miękkie złoto jej żytnianej strzechy.
I w takiej chacie odciętej od sioła,
Pojąc się ciszą rozlaną dokoła
I patrząc codzień na wstające zorze,
Czuć w duszy własnej to Królestwo Boże
Wielkiej miłości — i czuć przy swej głowie
Twą głowę piękną, jak młodość i zdrowie...
I zapomniawszy, czem w pierw było życie
W zaczarowanym duszy swej błękanie
Prząść z nieskończonej kądzieli Wieczności
Nić promienistą Wiary i Miłości.*

Wanda spostrzegła z uniesieniem, że Andrzej w pierwszym wierszu słowa poetki zindywidualizował i przystosował do siebie, zamiast „chciałabym” mówiąc „o chciałbym”.

Przecież to formalne wyznanie miłości — zaśpiewała jej myśl — czegoż chcesz więcej? A przede wszystkim zdobyłam z powrotem jego oczy.

Rozrzewnienie rosą szczęścia zwiło na jej rzęsach.

— I znów twoje oczy, jak dwa ciemne żagle łacińskie kołyszają się spokojnie na moich oczu szafirowych wodach.

Z tą myślą słodką wybiegła z pokoju i zaczęła się przechadzać po grabowej alei parku, bezustannie powtarzając słowa, które jej podsunął obraz nagle zobaczony: oswoiłam sobie twoje oczy, dwie sarny pierzchliwe.

Aż wreszcie przybiegła melodia, na srebrnej tacy uczucia niosąc rymy i rytm, które same ułożyły się w kształt wiersza:

*Oswoiłam sobie twoje oczy,
Twoje oczy, dwie sarny pierzchliwe.
Młode trawki tu rosną na zboczu,
Przyjdźcie paść się na marzeń mych niwę.*

*Moje oczy — to wonne są łąki,
Niechaj toną w nich wasze bursztyny,
Szczypcie kwiatów i ziół moich pąki,
Dla was kwitnie ta łąka dziewczyny.*

*Słońce, słońce wśród nieba roztoczy,
A niedawno świat taki był czarny,
Oswoiłam sobie twoje oczy,
Twoje oczy pierzchliwe dwie sarny.*

III.

Lecz wkońcu trzeba było wyjść z zaczarowanego pałacu marzeń. Wanda zrozumiała, że dłuższe przetrzymywanie Andrzeja w łóżku byłoby nieludzkością. Zawezwany doktor Borowski uznał, że pacjent jest kompletnie zdrow i że dzięki „wyjątkowo troskliwej” opiece stan jego organizmu jest poprostu kwitnący.

— Ale do pracy przecież zaraz jeszcze wrócić nie może? — zapytała Wanda, a w głosie jej było tyle trwożnego oczekiwania, że medyk, w lot wyczuwszy, o co idzie, odparł tonem najgłębszego przeświadczenia:

— Oczywiście. Musi przynajmniej przez sześć tygodni oddać się zupełnemu wypoczynkowi. Nic nie robić, jak najwięcej przebywać na świeżem powietrzu, dobrze się odżywiać, unikać zmartwień, wogóle żyć w atmosferze niezamąconej błogości. Takiemu aniołowi, jak pani, panno Wando, dokonanie tego cudu nie przyjdzie z trudnością.

Stary wyga odrazu zmiarkował, że infekcja erotyczna nastąpiła w całej pełni i że przebieg jej jest zgodny ściśle z prawami nauki, wobec czego wszelkie środki prewencyjne byłyby najzupełniej bezcelowe. To też w interesie swych palców, któ-

rych nie chciał wciskać między drzwi, jak i z wrodzonej dobroćliwości serca, przestał popierać ciocię Mazowiecką i przeszedł na stronę Wandy.

Niech sobie użyją młodzi! — myślał. — Gdy się postarzeją, będą mieli przynajmniej miłe wspomnienia. A że ostatnia z rodu Prószevskich popełni mezaljans, świat się przez to nie zawali, tem bardziej, że i tak już przewrócił się do góry nogami. Dziś komiwojażerzy są królami, a króle komiwojażerami. Dlaczegożby więc były plebański lokajczuk nie miał być panem na Łanowcu z przyległościami. A jeśli chcą się wzajemnie uszczęśliwić bez małżeństwa, to i to nie będzie nic nowego. „My robimy lokai, a lokaje robią nas” — jak mawiał pewien hrabia. Natura dąży do utrzymania gatunku. Nie ja, przyrodnik, będę jej w tem przeszkadzał.

W dniu, w którym Andrzej miał wstać, Wanda po raz ostatni weszła rano do „jego” sypialni i własnoręcznie przyniosła nowe ubranie z wykwintnego materiału, zrobione według miary starego munduru przez pierwszorzędnego krawca, co prawda tylko w Tarnopolu. Był to kostjum sportowy typu „French”, bo panna Prószevaska nie wyobrażała sobie narazie, aby się jej Szczerba w innym stroju mógł podobać. Eleganckie trzewiki i lakierowane sztylpy czekały już przy łóżku.

— Pani chce ze mnie zrobić człowieka lekkomyślnego, który zaciąga dług ponad możność spłaty — zaprotestował Andrzej, w którym duma męska buntowała się „przeciw pójściu na utrzymanie kobiety”.

— Tak być musi — zawyrokowała bezapela-

cyjnie kasztelanka. — Musisz być człowiekiem mojej sfery, bo tak było napisane w górze, — jak mówił Kubuś Fatalista. Zresztą o co idzie? Wiesz, że jestem bardzo bogata i że o pieniądze dbam znacznie mniej, niż o płatki opadłe z przekwitłej róży. Jeśli za co możesz mi być wdzięczny, to za to, że chusteczka, na której tak bardzo zależało ci, gdy cię zobaczyła w lesie, spoczywa w kieszeni piersiowej ubrania. Cóż to za relikwia?

— Towarzyszyła mi przez całą wojnę. Wierzyłem i wierzę do dziś, że mię chroniła od śmierci.

— Pewnie pochodzi od kogoś bardzo ukochanego?

— Nie, wcale nie. Dała mi ją dziewczyna z tej wsi, Hanka Sierocianka, gdy szedł do wojska. Ale w dniach męki i tułaczki przypominała mi ona cały Łanowiec i najdroższe istoty, które tu mieszkają.

— To jest? — wyrzuciła z ściśniętego gardła Wanda, którą ukłuła w serce zadróść i obrażona duma, podjudzająca ją myślą: „Rywalką twoją jakaś Hanka, jakaś ładaczka ze wsi“.

— To jest — odparł Andrzej — moją matkę i...

— I...?

— I tę, o której napisane w górze, że stanie się aniołem i panią wielmożną mego życia.

Wanda pokraśniała z radości, ale wątpliwości jej nie rozwiały się doszczętnie. Postanowiła sobie zbadać dokładnie to, co nazwała „kompleksem Hanki“, jego genezę, ewolucję i stan obecny.

Wyczuwszy nieufność, Andrzej zdobył się na odwagę, która mu w owej chwili wydawała się nadludzką.

— Jeśli pani nie wzgardzi darem ubogiego żołnierza, proszę pozwolić ofiarować sobie to, co mam najcenniejszego. Niech pani przyjmie tę chustkę i niech ona panią ochrania od nieszczęść, jak mnie chroniła od śmierci.

Wanda oceniła wagę ofiary i intencję, z jaką ją uczyniono, więc ostentacyjnie przycisnęła chustkę do ust, co zresztą nieraz już przedtem czyniła — ukradkiem, poczem szybko zbiegła na dół, aby w improwizacji fortepianowej dać ujście rozpierającej jej pierś symfonji szczęścia.

Po jakimś czasie, wyrzawszy przez otwarte okno, spostrzegła Andrzeja, idącego grabową aleją ku pamiętnej ławce pod olbrzymią starą lipą.

Po raz pierwszy widziała jego wzrost i postawę. W pierwszej chwili wydał się jej zamało słuszny, ale zaraz pocieszyła się oceną estetyczną jego harmonijnej i zgrabnej, a zarazem bardzo silnej budowy,

Wanda stanęła za firanką i z tego ukrycia śledziła chciwie każdy krok, każdy ruch i gest umiłowanego, co jej sprawiało rozkosz tak głęboką, jak wówczas, gdy przy łóżku chorego wnikała oczami i duszą w jego twarz.

Andrzej szedł krokiem powolnym i nieco jeszcze chwiejnym. Co chwila przystawał, wchłaniając w płuca duży haust powietrza, które go widocznie upajało i oszałamiało, jak ptaką, przez całą zimę trzymanego w klatce, gdy go po raz pierwszy wyniosą na słońce wiosenne.

Był cichy, jasny, lazurowy dzień wrześnieowy. Żaden wietrzyk nie drgnął, żadna chmurka nie plamiła blado-modrej zasłony nieba, wszystko

tchnęło słodyczą i spokojem. Był to jeden z tych niezapomnianych dni jesiennych, w których człowiek najchętniej wyrzeka się wszelkich myśli i marzeń, aby oddać się w pełni szczęściu bezbolesnego, napół tylko uświadomionego bytowania. Łagodna, niepaląca światłość dnia jesiennego ma w sobie coś ze strug Letejskiej wody i coś z nieśmiertelnego trwania. Jeśli w raju jest wieczna pogoda, to może nią być tylko pogoda polskiej jesieni.

Ciche, uroczyste i dostojne poczucie rozkoszy życia napępniało duszę Andrzeja bezgraniczną, błękitną dobrocią. Był wdzięczny słońcu, że świeci, strumykowi, że szemrze wśród parku, trawom, że rosną, kwiatom, że kwitną, pszczołom, że brzęk ich skrzydełek tak cudownie uzupełnia muzyczną harmonję jesiennego dnia. Czuł wprost zmysłowo, tak wyraźnie, jak nigdy, że wszechświat cały, niebo i ziemia i wszystko, co się na ziemi znajduje, ma duszę, jakąś cichą, słodką, dobrą, błękitną duszę, w której odnajdował i Wandę i siebie.

— Ja i Ty — to jedno — myślał wpół sennie. — My i ziemia — to jedno. Ziemia i świat — to jedno. Świat i Bóg — to jedno.

Przepełniony aż po brzegi miłością i szczęściem uczuł ochotę uchwycenia całej ziemi w objęcia. Ale że za krótkie miał ramiona do takiego uścisku, więc pieścił i całował starą lipę i ławkę kamienną, więc podnosił do ust i całował świeżo skoszone siano i grudki rozkopanej ziemi. Potem usiadł na „naszej” ławce, a jego rozanielone marzenia przeszły wkrótce w sen niemniej niebiański.

Widziała to wszystko Wanda ukryta za firanką i sercem rozkochanem przeczuła w ogólnych

zarysach tok uczuć Andrzeja i ich rozkołysaną wszechżyciem melodję. Była dumna ze swego kochanka. Wybiegła z pokoju, cichutko zbliżyła się do ławki pod lipą i pochyliła się nad głową młodzieńczą, wchłaniając przez chwilę chciwie aromat, bijący ku niej, jak z kadzielnicy miłości, poczem powtarzając w duszy najczulsze epitety „mój synu ziemi“, „mój ty kwiecie polny“, dotknęła tych droższych dla niej ponad wszystko włosów pocałunkiem delikatnym, jak przelot skrzydeł anioła.

Wystarczyło to jednak do zbudzenia Andrzeja, który przeczuł raczej, niż spostrzegł, co się stało. Nie podniósł się wszelako, tylko twarz jego rozjaśniła się rozkochaniem i szczęściem, które igrały na niej, jak dwoje dzieci niewinnych na łące.

— Jak bezgrzeszna, jak seraficzna jest miłość takiego młodzieńca, którego dzieciństwo wykołysała ziemia! — pomyślała Wanda, po chwili zaś rzekła

— Chodźmy zobaczyć twoje nowe mieszkanie. Tam u mnie już mieszkać nie możesz, bo wyzdrowiałeś.

— Czasem wyzdrowienie łączy się z wygnaniem — westchnął Andrzej, któremu przypomniał się los skazańców, leczonych we więzieniach po to, aby w stanie pełnego zdrowia mogli być powieszeni.

— O tak — potwierdziła Wanda z głębokiem przeświadczeniem — ale wyspa, na której będziesz wygnańcem, niezbyt daleko się znajduje.

Jakoż wchodzili już właśnie do domku, który we dworze łańowieckim i we wsi znany był powszechnie pod nazwą „kancelarji“. Położony pomiędzy krowiarnią a ogrodem jarzynowym, był

miejszem, w którem większą część swego życia spędzał rządca, pan Łachodkiewicz. Stary ów kawaler, doskonale na świecie samotny i niejaki surrogat towarzystwa znajdujący jedynie w dwu, nigdy niepróżnych flaszkach z wódką, z których jedna przebywała stale w jego mieszkaniu na ekonomówce, a druga właśnie w owej kancelarji, miał tam swoje biuro, gdzie przesadną precyzyjnością rachunkową zwykł był zamęczać tak zwanego popularnie „panicza” tj. pisarza gospodarczego, pana Adolfa Chwaścika, który był święcie przekonany, że niema nic trudniejszego na świecie, niż zliczanie nieskończonych — jak mu się zdawało — kolumn cyfr, z jakich składała się sobotnia konsygnacja płac robotniczych.

Po drugiej stronie sieni znajdowała się tam obszerna izba, która aż dotąd służyła jako magazyn. Mieściły się w niej w prawdziwie malowniczym nieładzie chomąty, lejce, uzdy, ryskale, sapy, grabie, paczki z gwoździami, kubły ze smarami, a w dawnych lepszych czasach nadto ogromne butle z okowitą, niezbyt wonną, ale niemniej przeto smakowitą siwuchą, którą niegdyś w formie dodatku do płacy raczono wieczorami robotników i żeńców.

Ku niepomiernemu oburzeniu p. Łachodkiewicza, który był pod każdym względem skrajnym konserwatystą, podobnie, jak bezpośrednio w tej sprawie interesowany szafarz, Paweł Gunia, panna Proszewska, nie zdając sobie widocznie sprawy z ogromu przewrotu, który wywołuje, wydała była przed tygodniem rozkaz, aby to całe „rupiecie” wynieść „gdzieindziej”, dać „natychmiast” nową

podłogę, ściany pomalować jednolitą barwą jasnoniebieską, a w dodatku wybić drugie drzwi w ścianie, stojącej na terenie ogrodu. To ostatnie polecenie miało oczywiście na celu uzyskanie możliwości komunikowania się z Andrzejem bezpośrednio przez ogród warzywny, aby w ten sposób uchylić się od argusowej kontroli publiczności folwarcznej, która na punkcie spostrzegawczości i zainteresowania dla spraw intymnych w niczem nie ustępuje aptekarzom małomiasteczkowym.

Gdy lokal odnowiono i przewietrzono, umeblowaniem zajęła się Wanda osobiście. Pościągawszy meble i kilimy z gościnnych pokoi, urządziła wykwintny gabinet kawalerski w stylu zakopiańskim, pełen szlachetnej wytworności. Na ścianach wisiały doskonałe Braunowskie reprodukcje znakomitych dzieł sztuki i kilka oryginalnych sztychów. V Licząc się z przypuszczalną religijnością Andrzeja, którą u Polaka i syna ziemi uważała za rzecz naturalną, umieściła Wanda nad łóżkiem mały obrazek Matki Boskiej z zatkniętą za nim „palma” wielkanocną, a nad nim swój pastelowy portret, który po za wartościami ściśle artystycznymi odznaczał się nadto świetnem podobieństwem.

— A więc nie będę sam w tej zaczarowanej komnacie — rzekł Andrzej. — Będzie anioł stróż czuwał nad memi snami.

— Zobacz, co jest na odwrotnej stronie.

Andrzej zdjął obraz i wyczytał napis: „Andrzejowi — na pamiątkę spotkania w lesie pod Kahawą, dn. 17-go sierpnia 19.. — Wanda”.

Andrzej, zamiast podziękowania, przycisnął usta do zimnej szyby obrazu.

Wanda już miała na języku zachętę: „Zamiast malowanych całuj usta prawdziwe“, lecz nie wymówiła jej, wskutek czego jej Satyr natychmiast ją skarcił za „niewczesny wstyd dziewicy“.

Tłumiąc więc żal z powodu zmarnowanej sposobności, pokazywała swemu towarzyszowi dalsze dowody wszystko przewidującej tkliwości swego kobiecego serca: etażerkę z poezjami, beletrystyką polską i kstażkami o sztuce, cudnie pachnące, żółte herbaciane róże w smukłym, kryształowym flaconie, stojącym na stole, okrytym pasiastym łowickim wełniakiem, a wreszcie „kąt rycerski“, gdzie na rysiej, pięknie centkowanej skórze wisiała przepyszna angielska strzelba obok torby i kordelasa myśliwskiego. Przedewszystkiem jednak eleganckie siodło z czaprakiem i trenzla z munsztukiem, radowały oczy męskie krzepkim zespołem wyborowych skór i solidnych metali.

— Ale ta dubeltówka, to będzie tylko dla ozdoby — oświadczył Andrzej, badając kosztowną sztrzelbę doświadczonemi chwytami człowieka, doskonale z bronią obeznanego.

— Nie lubisz strzelać? — zapytała zdziwiona Wanda.

— Oczarowały mię oczy pewnej sarny, tam, w owym pamiątkowym lesie. Błogosławiły mi w gorączce i dziwnie w mem wspomnieniu spłynęły później w jedno z oczami pani. Zresztą za dużo zabijałem ludzi na wojnie, abym miał jeszcze ochotę zabijać zwierzęta, które nic złego mi nie zrobiły. Chyba grubego zwierza, w obronie własnej...

— A ja namiętnie lubię polowanie — rzuciła Wanda lekkim tonem lekceważenia. Romantycz-

nego głośzca w chwili, gdy śpiewa swą pieśń miłosną, wysłać w zaświaty, czyż to nie piękny uczynek? Umiera w ekstazie!

— Ale on z pewnością wolałby żyć, niż umierać tak pięknie.

— Sentymentalizm — zdecydowała Wanda i wręczając Andrzejowi klucz od jego rezydencji, wyprowadziła go do ogrodu.

Szli szeroką ścieżką pomiędzy szparagarnią, z grządkami marchwi, kapusty i cebuli, zrywając z drzew od czasu do czasu i podając sobie wzajemnie dorodne węgierki, sinym przyprószone pyłem, i małe słodkie mirabelki, poczem usiedli w ocienionej chmielem altance, przypierającej do płotu, plecionego z chróstu.

Tam postanowiła Wanda załatwić ważną misję dyplomatyczną. Oto wymogła na ciotce, że Andrzej będzie razem z nimi siadał do stołu. Przyszło jej to nadspodziewanie łatwo, czem była nieco zafrapowana, bo nie przejrzała jeszcze najnowszej taktyki pani Mazowieckiej. Niepokoili ją jednak myśl, czy Andrzej umie jeść zgodnie z przepisami dobrego tonu. Czuła, że zapadłaby się pod ziemię ze wstydu, gdyby spostrzegła ironiczny uśmiech ciotki na widok jakiegoś błędu, popełnionego przez Szczerbę, równocześnie jednak nie mogła zdobyć się na to, aby zagadnąć go wprost w tej materji i pouczyć, gdy zajdzie potrzeba. Rozpocząwszy więc niby od niechcenia od zapytań o wikt na wojnie i w lazaretach, skierowała rozmowę ogromnie chytrze na rozmaite sposoby jedzenia u różnych ludów i narodów. W ten sposób od pałeczek, któremi Japończycy jedzą z mikroskopij-

nych miseczek swe śmieszne potrawy, przeszła niebawem do odmalowania jaskrawemi barwami wstrętu, jaki budzi w Angliku człowiek, wkładający nóż do ust, lub krający swe mięso przed skonsumowaniem na drobne kawałki.

Zdawało się Wandzie, że jest conajmniej Metternichem, niemniej przeto spotkała ją jednak konfuzja. Andrzej bowiem wysłuchał z powagą całego jej wykładu, lecz gdy skończyła, roześmiał się serdecznie i, całując ją w rękę, rzekł:

— Podziwiam już od kilku chwil niezmierną delikatność pani, ale proszę się nie obawiać, nie zrobię pani wstydu.

Jakoż nie zrobił. Właśnie dzwon folwarczny oznajmił godzinę południowego posiłku i wypoczynku dla wszelkiego stworzenia ludzkiego, które w Łanowcu pracowało, więc poszli oboje na obiad. W jadalni zastali już panią Mazowiecką i pana Proszewskiego. I teraz nadarzyła się Wandzie po raz drugi sposobność oddania hołdu wojnie, jako krwawej i bezlitosnej, ale niewątpliwie rzetelnej cywilizatorce ludu. Albowiem Andrzej, który miał w tej chwili w Wandzie bacznego i ostrego sędziego, nie okazując ani cienia ośmieszającego zakłopotania i nie popełniając żadnej niezgrabności, złożył najpierw ukłon zupełnie wersalski, z lekkim zacięciem oficerskim, poczem, wycisnąwszy pełen szacunku pocałunek na pulchnej ręce cioci, rzekł głosem naturalnym, przepojonym szczerością.

— Tego, co mię spotkało w domu państwa, nie zapomnę nigdy. Jestem tego pewny, jak i mojej wdzięczności, naprawdę dozgonnej. Modlić się

będę, aby mi Bóg dozwolił oddać państwu jakąś przysługę, któraby choć w tysiącznej części była odpłatą za łaskę, której doznałem. Pani dobrodziejce — tu ukradkiem zerknął figlarnie ku swej opiekunce — specjalnie dziękuję za pozwolenie pannie Wandzie, aby mię pielęgnowała w chorobie. Życie moje zawdzięczam tylko poświęceniu panny Wandy i dobroci łaskawej pani.

Ta niezasłużona zresztą pochwała wywołała uśmiech zadowolenia na obliczu pani Mazowieckiej, uderzająco podobnem do świeżo z smalcu wyjętego pączka i ozdobionem dwoma pięknymi podbródkami.

— Wcale gładki jesteś, chłopaczku, — pomyślała sobie nieustępliwa matrona — ale mnie nie przekupisz. Ani się spostrzeżesz, jak stąd wylecisz.

Wanda zaś, która pierwszej części występu swego wybrańca nic nie miała do zarzucenia, drżała na myśl, że Andrzej mógłby w ten sam ton krasomóstwa wpaść wobec ojca. Jej wysubtelniony smak estetyczny odczułby to, jak zgrzyt noża po szkłe.

Ale wrodzony takt Szczerby, wsparty intuicją, ochronił ją od przykrości. Andrzej, stanawszy przed panem Proszewskim, nic nie mówiąc, skłonił mu się tylko głęboko, a gdy ów wyciągnął ku niemu rękę, podniósł ją do ust i ucałował z serdeczną czcią. Starv pan zmieszał się bardzo, a zarazem widocznie rozrzewnił, bo oburącz objął głowę Andrzeja i złożył na jego czole ojcowski pocałunek.

W Wandzie dusza rosła, lecz ciocia Mazowiecka, niekontenta, że „intruz zbyt szybko wchodzi

w familję", zaczęła natarczywie przypominać, że zupa stygnie. Siedli więc do stołu, a Andrzej jadł najzupełniej po angielsku, poprawnie, i co ważniejsza, swobodnie, wcale tem niezdetonowany, że — czuł to przez skórę — trzy pary oczu, każda z inną intencją, obserwowały go ukradkiem. Przytem ręce jego, z natury — na szczęście — kształtne, choć na tęgich osadzone przegubach, wybielone przez chorobę i z paznokciami w nienagannym stanie (było to wynikiem nietyłe towarzyskiej, ile pieściwie miłosnej przysługi Wandy) — rysowały się nad talerzem zgoła wytwornie. W dodatku rozmowa wskutek obecności jego żadnego nie doznała skrzepowania. Wanda, szczęśliwa i ożywiona, mówiła dużo, umiejętnemi pytaniami wprowadzając go co chwila w dyskusję, którą on podejmował i rozwijał z inteligencją i ujmującą prostotą. Nawet milczący zazwyczaj i zamyślony pan Proszewski przemówił kilkakrotnie, co tak zachęciło gadatliwą z urodzenia panią Mazowiecką, że rozpaplała się na dobre, a przyjemnie, zapominając na śmierć, że jednym z interlokutorów był „intruz”. Słowem Andrzej wniósł pierwiastek rozweselenia w dość zwykle nudną atmosferę jadalni Proszewskich.

— Naprawdę ten chłystek niczem nie razi — myślała przy czarnej kawie ciocia — a przystojny jest, o i bardzo. Szkoda tylko, że cham.

Równocześnie Wanda miała chamstwo na myśli, ale w odmienny nieco sposób.

— Żadna demokratyzacja — stwierdzała — ani żadna rewolucja nic na to nie poradzi, że ludzkość musi się składać z szlachciców i chamów. Ale o szlachectwie nie rozstrzyga ani herb ani

urodzenie. Jeden jest szlachcicem, choćby był tylko furmanem. A drugi zostanie na zawsze chamelem, choćby go nawet zrobili prezesem ministrów, czy prezydentem Rzeczypospolitej. Ten-ci zaś mój syn ziemi najukochańszy, to szlachcic z dziada i pradziada, to po prostu: miłościwy książę.

W ten sposób otrzymawszy oficjalnie akredytywę przy łanowieckim dworze, Andrzej wzbrocił przystępu do siebie wszelkim refleksjom, skrupułom i wątpliwościom, aby bez opamiętania, głową na dół, rzucić się w ten seledynowy nurt szczęścia, któremu los łaskawy kazał podpłynąć pod jego stopy. Postanowił wyżyć do dna ten sześciotygodniowy okres złoty, którego mu za podszeptem Wandy użyczył doktor Borowski. Nazywał to w myślach „wakacjami od życia”. Używał też tych swych pierwszych i wspanialszych ponad najśmielsze marzenia wakacyj, jak student, który z miasta wrócił w czas żniwa do domu na wsi jak miłośnik sztuki, morza i słońca który po raz pierwszy pojechał do Włoch. Żył chwilą, godziną i dniem, nie chcąc myśleć o nieuchronnym kresie.

Przez cały ten czas z Wandą nie rozstawał się prawie, jak tylko późnym wieczorem na godziny snu. Rano, gdy trawy i drzewa dopieroco wyłonił z muślinów jesiennych mgieł błyszcząły chłodną wilgocią, spotykali się, najczęściej na ganuku, przy kawie, którą pili, słuchając świergotu zawsze wiernych wróbli, patrząc w swe oczy i rzucając od czasu do czasu słowa obojętne, bylejakiej treści, której sens wewnętrzny był zawsze ten sam i oznaczał nieodmiennie: kocham. Doszli już do tego stopnia zażyłości duchowej, że rozmowa stała

się dla nich zbędną. Wystarczało im zupełnie to, że są obok siebie, że całą istotą wyczuwają wzajemnie swą obecność, że bez znużenia całują się oczami. Potrzebowali tylko pozoru, któryby usprawiedliwiał ich przebywanie razem i był konwencjonalnem tłem wspólnego milczenia. O pozór zaś taki nie było trudno. Dostarczała go świeżo z poczty przyniesiona gazeta, którą przeglądali, przytuleni do siebie, nie bardzo wiedząc, o czem mówią te czcionki, zionące czadem drukarskiego czernidła, albo książka głośno naprzemian przez jedno z nich czytana, w której, jakakolwiekby była, zawsze doszukiwali się, każde dla siebie z osobna, aluzji do swej miłości, albo przechadzki po ogrodzie, pasiece, folwarku i stajniach albo dalsze wycieczki w pole i do lasu. Gdy szli piechotą, ich ręce szukały się bezwiednie i łączyły się ze sobą subtelną pieśczętą palców, gdy konno jechali w pole, spotykały się ich strzemiona i stopy, a gdy siedzieli na tarantasie o jednym siedzeniu, którym powoziła Wanda, tworzyli jakby jedną dwupostaciową istotę o wewnętrznych ramionach i nogach, tak szczelnie z sobą zwartych, że mieli chwilami wrażenie, jak gdyby krew z jednego ich ciała przelewała się w drugie i mieszała się z sobą, aby wspólną płynąć strugą serdeczną.

Były to zresztą jedyne rozkosze zmysłowe, na jakie sobie pozwalali. Wielka, głęboka miłość, która ich wzięła w swą świętą niewolę, tak ogromnie rozszerzyła ich dusze, że ciała w ich świadomości zanikły prawie zupełnie i tyle z nich tylko pozostało, ile było potrzeba, aby istniał przewodnik materialny tej spotęgowanej do najwyższego stopnia

siły duchowej, która w nich płonęła dwoma podniebnemi, ku sobie podanemi i ciągle wzajemnie przenikającemi się płomieniami. Nawet pocałunek wydawał się im trunkiem zbyt mocnym, którego wypicie, na mocy milczącego układu, odkładali sobie na później, bo żal im było wychodzić z tej kryształowej i lazuruwej sfery błogostanu, która ich życie czyniła jednym pasmem cichego i spokojnego, a przez to właśnie niewypowiedzianie słodkiego, naprawdę empirejskiego szczęścia.

Takie obcowanie zgola anielskie przychodziło im bez trudności. Andrzej bowiem był dziecięco nieśmiały z powodu zupełnego braku wprawy w rzeczach miłosnych, Wanda zaś, dla której w teorii i w wyobraźni te kręgi życiowe żadnych nie przedstawiały tajemnic, dziwny znajdowała urok w tem dematerializowaniu miłości i poskromianiu żądz. Radowała się, że może ją trzymać na uwięzi jak niesfornego psa i że może jej mówić: waruj! — pewna posłuchu. Czyniła to nadto także z pewnego epikurejskiego wyrachowania, bo doświadczenie, zaczerpnięte częścią z osobistej praktyki, częścią, z powieści, mówiło jej, że rozkosz stopniowana pełniejsza jest bez porównania. Smakowała ją więc, jak stare wino, ledwie maczając w niem usta, zanim zdecyduje się na haust stanowczy i ostateczny, po którym żadnych już nowych sensacyj nie będzie mogła oczekiwać.

Jak sen o raju przedstawiały się im później wspomnienia niezapomnianych chwil owego wspólnego błędzenia po polach, które kończyły się najczęściej pielgrzymką do owego miejsca w lesie pod Kahawą, w którym Wanda ujrzała konającego An-

drzeja. Zwała je ona „świętem miejscem spotkania“. Witali je zawsze wymową milczenia i pocałunkami oczu. A dokoła nich szalała jesień, wygrywając przedzgonne, namiętne symfonie złota, miedzi i krwi. Ziemia przed zamarciem na sen zimowy żegnała ludzi przepotężnem wzmocnieniem instrumentacji w swojej królewskiej orkiestrze barw. Czasem, zakręciwszy się w powietrzu tanecznym chybotem swej czerwonej długiej szypułki, spadał przed nimi żółty, jakby z wosku ulepiony, liść klonu. Gdzieindziej girlandy dzikiego wina witały ich rubinowym, tragicznym okrzykiem. A po za wrotami lasu otwierały się bezbrzeżnie pola jesienne, dalekie, jak morze, falujące wątlą zielenią wczesnych ozimin i czernią podorywek. Żeglowały ponad niemi w powietrzu cichem i czystem, pod blask dobrotliwie grzejącego słońca małe pajaczki, które wysnuwały z siebie srebrne nitki tęsknoty i siadłszy na nie, płynęły, jak w łodziach, naprzód przed siebie, w błękitną dal ideału.

Z jednej z takich wycieczek wracali późnym wieczorem. Zanim dojechali do domu, noc się już zrobiła zupełna. Konie czuły stajnię i obrok, więc szły rażno, parszając wesoło. Oni siedzieli jak zwykle, przytuleni do siebie tak, że z rozkoszą wchłaniali wzajemnie ciepło swych ciał i nie mówili ani słowa, bo byli sobą przepelnieni aż po ostateczne granice dusz. Tu i ówdzie błyszczwały na polach ognie palonych kup perzu, które Wanda odczuwała jakby rozprzestrzenienie się na całą naturę żaru, którym sama płonęła. Nagle, gdy dojeżdżali do dworu z po za sosen, okalających ogród łanowiecki, z po za tych tak dobrze im obojgu zna-

nich sosen, które szumiały przy najłżejszym wie-
trze, jakby wszechświat muzyką sfer napełniały,
wypłynęła na granatowe niebo olbrzymia złota tar-
cza księżyca, przy którego magicznym blasku ścia-
ny budynków zamajaczyły widmowo świetlistą bie-
łą pozażyciowego pejzażu. Dokonał się cud eksta-
tycznego zespolenia rzeczywistości ziemskiej z ta-
jemniczą rzeczywistością zaświata. Magnetyczne
drgnięcia idące w przestrzeń od potężnego globu
sprężonego z ziemią w wędrówce kosmicznej, pod-
niosły wzwyż duszę Andrzeja, iż stała się jedną
podniebną pieśnią upojonej radością wdzięczności.

— Jakże Ci mam dziękować, Boże, modlił się,
za to wielkie szczęście, któreś zesłał na mnie. Bo
szczęśliwy jestem w tej chwili, tak szczęśliwy, jak
chyba tylko Twoi aniołowie w niebie. I choćbyś
mnie, Panie, ciężko dotknął swą ręką, choćbyś mnie
uczynił nędzniejszym od kaleki, co żebrze przy
drodze, sławić będę dobroć Twoją, bo nie zapo-
mnę, żeś mi pozwolił skosztować łaski szczęścia
nie z tej ziemi.

Ta hypnoza szczęścia nieopuszczała go już
odtąd. Chwilami żałował, że nie jest skowronkiem,
aby móc odbijać się od czarnej skiby i lecieć
w niebo z hymnem dziękczynnym dla Boga i z bło-
gosławieństwem dla wszystkiego, co żyje pracuje
i cierpi na ziemi.

W tym stanie podniesienia ducha wziął się
w wielkiej tajemnicy przed Wandą do rzeźbienia
w drzewie, z pamięci jej portretu. Spędzał na tej
robocie długie godziny nocne w swym pięknym
pokoju w „kancelarii”. Nie chciał jej prosić o po-
zowanie raz dlatego, że rzecz cała miała być dla

niej niespodzianką, powtóre zaś z tego powodu, że miał ambicję, aby nie dać zimnego i obojętnego jej wizerunku, lecz żeby uchwycić tę wizję jej głowy, którą nosił w duszy. Tu jednak napotkał na trudność, nad którą niemało się namozolił. Nie mógł się bowiem zdecydować, który z tysiącznych obrazów Wandy, jakie z plastyczną nad-wyrazistością utkwily w jego wyobraźni, wybrać jako najistotniejszy. Zasypiając modlił się, aby mógł we śnie ujrzyć najgłębszą treść tej ukochanej twarzy. Daremnie. Śniło mu się wszystko inne, rzeczy głupie, błahe, czasem upiorne, tylko nie Wanda. — Z poczuciem pewnej ulgi dowiedział się, że i on nie śni się jej nigdy. Wyznała mu to, złorzeczając wszystkim psychologom, którzy twierdzą, że przedmiotem snu jest najczęściej to, czem się człowiek na jawie najbardziej interesuje.

Zrezygnowawszy z pomocy sennych marzeń, Andrzej postanowił utrwalić w drzewie tę zjawę Wandy, która najjaśniej rysowała się w jego pamięci. I przekonał się ze zdumieniem, że były nią nie obrazy, które przypominał sobie z tego samego dnia lub z dni poprzednich, kiedy całemi godzinami wpatrywał się rozkochanemi oczami w tę twarz, śledząc ją rys po rysie i płaszczyznę po płaszczyźnie, ale okamgnieniowa wizja, będąca dziełem owej niezapomnianej sekundy, kiedy w lesie, leżąc w gorączce z świeżym jeszcze smakiem jej pocałunku na ustach — po raz pierwszy po wielu latach znów ujrzał Wandę, pochyloną nad sobą z wyrazem natężonej do najwyższego stopnia woli przywrócenia go do życia.

Zrobiwszy to odkrycie, odrzucił wszelkie wa-

hania i odtąd pracował już szybko, w niewątpliwem natchnieniu.

Na ten czas zdjął nawet ze ściany i schował do szafy pastelowy portret Wandy, gdyż fotograficzne jego podobieństwo mąciło mu czystość jego duchowej wizji.

Gdy skończył, zaprosił pannę Proszewską do swego pokoju, „dla zobaczenia czegoś, co wprawdzie nie jest warte oglądania, ale może mimo to zyska łaskę w jej oczach” i zdjawszy jedwabny batik, który zakrywał jego pracę, odsłonił rzeźbę, obasypaną u podstawy ostatniemi kwiatami jesieni, astrami i nieśmiertelnikami.

Wanda była naprawdę zachwycona i to w tej chwili nie jako miłośnica, ale jako kobieta, która, obcując w swem życiu dużo i inteligentnie ze sztuką, miała subtelny i wytrawny smak estetyczny. Podziwiała szczerze śmiałą technikę Andrzeja, te szerokie, energicznie cięte płaszczyzny, któremi wydobywał plastykę bryły, a nadewszystko rzecz najważniejszą: skondensowaną siłę żywiołowego uczucia, które uduchowieniem impregnowało każdą cząstkę tego kawałka drewna i dzięki czarnoksięstwu twórczości czyniło z niego rzecz głębiej żyjącą, niż samo życie.

— To dziwne — rzekła — z punktu widzenia naturalizmu ani jeden rys tej rzeźbionej głowy nie odpowiada ściśle oryginałowi. A przecież mimo to całość jest szalenie podobna. Dałeś poprostu syntezę, samą kwintesencję wyrazu mojej twarzy. Można by to nazwać: „Purpurowa żądza nieba”.

— Staralem się zrobić tylko to, com zobaczył

wówczas w lesie, gdy oprzytomniał i otworzył oczy.

— W każdym razie masz ogromny talent. Nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości, że będziesz wielkim artystą.

— Który będzie strugał figury przydrożne i pyzate aniołki do wiejskich kaplic — dorzucił Andrzej z posępną goryczą, która po raz pierwszy pojawiła się na jego ustach, albowiem teraz wobec tej rzeźby, z której, mimo udanej skromności, istotnie był zadowolony, przypomniało mu się nagle, że mają się już ku końcowi jego wakacje i jego „sen o szczęściu“.

Rozbudziła go z tego snu doszczętnie i brutalnie tego samego dnia przy obiedzie pani Mazowiecka, która właśnie wróciła z miasta, dokąd jeździła w jakichś interesach gospodarczych.

— Wiesz Wandeczko — zagadnęła z najniewinniejszą w świecie minką, połykając z niepospolitem apetytem barszcz z uszkami — spotkałam się w Województwie z Kropiowskimi z Ostrowczyka. Wyobraź sobie, że ich syn, którego już oplakali jako nieboszczyka, wrócił z Rosji po siedmiu latach niewoli. Ale co najciekawsze, młody Kropiowski siedział w Tule w więzieniu bolszewickim razem z Łanieckim, który był już zasądzony na śmierć, ale w końcu zdołał się wykręcić dzięki protekcji jakiejś znajomej żydówki z miejscowej czerezwyczajki. Łanieckim zaopiekowała się narreszcie delegacja polska i jest nadzieja, że za kilka miesięcy wróci także do kraju.

— Bardzo się z tego będę cieszyła — wtrąciła Wanda — to dzielny i nieprzeciętny człowiek.

— No i jesteś z nim przecież prawie po słowie — dodała ciocia. — Teraz chyba nie będziesz go już dłużej dręczyła i zwlekała ze ślubem. Najwyższy czas, abyś wyszła zamaż a i jemu należy się nagroda za jego cierpienia.

To mówiąc wlepiła swe okragłe oczy w Andrzeja. Lecz on ani drgnął, udając doskonałą obojętność, choć serce zaskowyczało w nim z bólu.

Wanda pośpieszyła mu na ratunek.

— Nic mi nie wiadomo — rzekła — jakobym z nim była po słowie, a zamaż iść nie zamierzam. Właśnie postanowiłam wstąpić do klasztoru. Poco mam mnożyć grzeszników — jak mówi Hamlet.

E, nie pleć bredni — zirytowała się ciocia, poczem, chcąc rzecz całą ubić odrazu, zwróciła się wprost do Szczerby.

— A pan, panie Andrzeju, jakie masz plany na przyszłość. Widzę z radością, że jest pan już zdrow zupełnie, więc pewnie rwie się już pan do pracy i do zarabiania na chleb. My wszyscy bardzo pana polubiliśmy i szczerze chcielibyśmy panu pomóc. Wandeczka opowiadała nieraz, jak pan ogromnie jest przywiązany do ziemi i do pracy na roli. Otóż wie pan, co mi na myśl przychodzi. Mamy w naszych Kierniczkach — to tylko pięć mil od Łanowca — odosobnioną piętnastomorgową parcelę „pod Oleską Górą”. Oddamy ją panu w dzierżawę. Pożyczmy panu także pieniędzy — na długi termin — na budynki i inwentarz. Czynsz będzie pan nam płacił minimalny, ot wie pan, tylko taki rekognicyjny. Prawda Marceli — tu zwróciła się do pana Proszewskiego — że zgodzisz się na mój projekt? Jest poniekąd naszym obowiąz-

kiem ponieść pewną ofiarę dla człowieka z naszej wsi, który walczył za ojczyznę i był towarzyszem zabaw Wandeczki w latach jej dzieciństwa.

— Ja, ja — wybąknął pan Proszewski — zgadzam się na wszystko, czego Wandzia sobie życzy.

A Wanda, którą pańszczyźniana łaskawość ciotki smagała po twarzy, jak biczem, odparła z gniewem, hamowanym z trudnością:

— Ja jestem wprost zaskoczona wielkodusznością cioci. Ciocia zawsze tak przesadnie oszczędna, nagle taki gest! I to bez poprzedniego porozumienia się z ojczulkiem i ze mną, a więc bez legitymacji dostatecznej. Zresztą cóż na to pan Andrzej?

— Ja — Szczerba się skłonił w stronę pani Mazowieckiej — jestem pani dobrodziejce ogromnie wdzięczny za tak niezasłużoną dla mnie łaskawość. Ale tyle już dobrego od państwa doznałem, że więcej przyjąć nie mogę, bo życia nie starczyłoby mi na odpłacenie się. Mam inny plan -- dodał z determinacją, a plan ten dopiero w tej chwili zrodził się w jego głowie. — Pojadę do Krakowa. Majster snycerski, który był instruktorem w szkole inwalidów, był bardzo zadowolony z moich robót. Przyrzekł, że kiedykolwiek się zgłoszę, chętnie przyjmie mię na pomocnika. Trochę zaoszczędzonych pieniędzy mam. Na początek wystarczy. Tak, jutro jadę.

— Jak pan uważa — ciągnęła dalej z triumfem niełitościwa pani Mazowiecka. — Ale te tam miastowe zarobki, to rzecz bardzo śliska. Grunt — to co innego. Z czasem mógłby pan coś własnego kupić. A przedewszystkiem możnaby się zaraz oze-

nić. Jest pan młody, zdrów, przystojny. Dziewcząt nie braknie. Ot nasza Marysia, — jak posłyszałam w kuchni, po uszy w panu zakochana. A to dziewczyna uczciwa, pracowita, gospodarna. W mig możnaby skroić wesele. Warto się...

Lecz tu przerwał jej potok dalszej wymowy pan Proszewski, którego przeczulone nerwy drażliwość sytuacji odczuwały jako potworność.

— Przestań — rzekł — proszę cię, moja Honorato. Że też kobiety nie mogą się oduczyć przykrego nałogu swatania całego świata. Pan Andrzej, gdy zechce, sam wybierze sobie żonę.

— Narazie zupełnie nie mam zamiaru się ożenić — dorzucił Szczerba.

— O — zachichotała ciocia — widzę, że się pan zaraził od Wandeczki. Może i pan wstąpi do klasztoru, rozumie się, tylko jako braciszek.

Nie, nie wstąpię do klasztoru — twardo uciał dyskusję, poczem reszta obiadu upłynęła w przykrem milczeniu.

Wanda była tak rozdrażniona, że nie miała nawet sił do rozmowy z Andrzejem. Rzuciła mu więc krótkie „dowidzenia” i zaraz poszła na górę do swego mieszkania, w którym zamknęła się i tego dnia nie pokazała się już ludziom.

Andrzej był zrozpaczony. Z właściwym u zakochanych brakiem logiki, poglądami pani Mazowieckiej obwinił najniesłuszniej Wandę, opacznie tłumacząc sobie fakt, że po raz pierwszy nie spędziła z nim popołudnia.

Skończyło się, skończyło się — powtarzał z goryczą. Jasnej panience już się sprzykrzyło. Poszuka sobie teraz innej zabawki. A ty, chamie, po-

ciesz się z Marysią. Jaśnie państwo sprawią ci wesele, może nawet żoncy krowę dadzą na wiano. A tobie głupi nędzarzu, uroiło się, że możesz chodzić w słońcu. Ot, taka szaruga, jak dzisiaj, to jest pogoda dla ciebie.

Nie mógł wysiedzieć w pokoju. Choć na dworze szalał wicher, który z wściekłością zdzierał z drzew resztki zeschniętych liści i pluł na nie deszczem, zmieszanych ze śniegiem, wybiegł z domu i nacisnąwszy czapkę głęboko na uszy, ruszył przed siebie w pole. Szedł szybko, pędził prawie, instynktownie szukając w zmęczeniu fizycznym ratunku przed udręką wewnętrzną. Sam nie wiedział, w jaki sposób znalazł się nagle w lesie „w świętem miejscu spotkania”. Było ono dzisiaj dla niego miejscem śmierci. Ziemię pokrywała gruba warstwa zwiędłych liści, które za każdym krokiem wydawały posępny szelest, przypominający cmentarz w ponury dzień zaduszny. Nagie szkielety drzew, chłostane wiatrem, jęczały potępieńczo. Gdzieś z oddali prze-walał się po szczytach lasu szum i huk, jakby odgłosy napowietrznej jazdy duchów.

Andrzej usiadł na pniu, oparł głowę na dłoniach i znieruchomiał. Czaszkę świdrowała mu jedna, całą otchłań niedoli obejmująca myśl: skończyło się!

Obudziło go chrapliwe, ohydne, pogrzebowe krakanie gawronów i wron, które całą gromadą spadły na pobliskie drzewa. Wstał, a gdy przesunął ręką po twarzy, spostrzegł ze zdziwieniem, że była mokra, ale nie od deszczu.

Powolnym, ciężkim krokiem ruszył przez pola z powrotem. Z beznadziejną słotą w duszy szedł

przez błotniste, zasłoczone, jesienne zagony. „Jak bezdomny pies, jak bezdomny pies” — powtarzał w duchu.

Wróciwszy do swego pokoju, kazał przez posługującego mu chłopaka powiedzieć, że z powodu bólu głowy nie przyjdzie na kolację. Zmęczony i wyczerpany do ostateczności, rozebrał się i usiłował zasnąć. Napróżno.

Tymczasem Wanda po obiedzie szalała gniewem i buntem w swym wykwinnym buduarze. Krążąc bezustannie po pokoju, potraçała gwałtownie stoliki i krzesła, które dziwnym trafem zawsze zjawiały się na linii jej kroków. Przy jednym z takich karambolów spadł na ziemię i rozbił się w drobne kawałki ulubiony jej flakon na kwiaty z emalowanego szkła, kupiony niegdyś osobiście u Salviali'e'go w Wenecji, a przez mistrzów z Murano wypieszczony i odziany przepychem upajających barw. Wypadek ten podniecił jej wściekłość do szału. Drżącymi palcami pozbierała tęczowe czerepy i wyrzuciła przez okno, które otworzyła z takim impetem, iż szyby zajęczały, jak nieszczęśliwy człowiek. Równocześnie wiatr chlusnął jej w twarz deszczem i śniegiem. To ją znacznie uspokoiło.

Tak to, tak ciotuchno — powtarzała dalej w kółko swoje myśli. Stajemy się podstępni, uciekamy się do obłudy, hipokryzji, jezuityzmu. Udajemy życzliwość do Andrzeja, aby potem za jednym zamachem pozbyć się go radykalnie i ostatecznie. Raimy mu Marysię za żonę... O, Marysia wyleci! Wprawdzie jestem Andrzeja najzupełniej pewna, ale nie mogę przecież mieć ciągle taką rywalkę pod bokiem. Wyleci zaraz jutro. A Andrzej? Musi

być ze mną i przy mnie. To jest pewnik, dogmat, kanon. Ale w jaki sposób ten cel osiągnąć? Na razie nie wiem. Ale drogę muszę znaleźć. Nie dam się zwyciężyć, ani skapitulować nie myślę. Nie mam żadnych kwalifikacyj na męczennicę ani ofiarnicę. Szukajmy zatem.

I zaczęła szukać uporczywie, z wysiłkiem, dochodzącym aż do fizycznego bólu. Brała pod mikroskop rozważy rozmaite pomysły, które jej przychodziły do głowy, lecz żaden jej nie odpowiadał. Rzeczą najprostszą byłoby „poprosić go o rękę” i zostać jego żoną. Ale małżeństwo leżało na razie zupełnie po za zakresem jej planów, bo zaudało było sprzeczne z instynktem swobody, ogromnie w niej wybujałym. Powtóre, małżeństwo — to przede wszystkim łożnica małżeńska, a łożnica — to szkarłatny zalew zmysłowości, jej zaś żal było eterycznego lazuru miłości odcieleśnionej, a przynajmniej uduchowionej, w którym tak zasmakowała. Wreszcie trzeci motyw ordynarny, głupi, natury społecznej, ale bądź co bądź istniejący. Wysoka kultura jej umysłu burzyła się na samą myśl, że ktokolwiek mógłby jej mężowi zarzucić brak wykształcenia, którego przecież ani wrodzona inteligencja i subtelność duszy, ani talent artystyczny zastąpić nie zdołają. A więc małżeństwo nie. Cóż zatem. Wysłać go do Krakowa, do Akademii sztuk pięknych? Przyjęliby go niewątpliwie, mimo braku studjów, wobec oczywistej niepospolitości talentu. Ale to byłoby dobre na dalszą metę. Choćby pojechała za nim, musiałaby stracić ustawiczny z nim kontakt i stały wpływ na niego, wyszedłby z magicznego koła jej atmosfery duchowej, wchłonałby

w siebie tysiące pierwiastków dla niej obcych, nie mogłaby spędzać z nim razem wszystkich godzin dnia. Więc i to nie. Cóż zatem? Szukajmy dalej. To musi być coś nieomylnego, nieodpornego, coś, coby z żelazną konsekwencją wypływało z jej sytuacji psychicznej.

I szukała dalej, aż jej skronie zdawały się pękać z napięcia. Szukała, dopóki nie znalazła. A stało się to właśnie wtedy, kiedy zaczynała już wątpić o możliwości rozwiązania trudnej zagadki, stało się jakby przypadkowo i od niechcienia. Zbawcze słowo przyszło samo, razem z promieniem podwórzowej latarni, który o zmroku przepłynął park, aby zaglądnąć do jej pokoju i zamigotać na złoconych ramach obrazu.

Olśniona myślą, uchwyconą w nagłym jasnowidzeniu, Wanda aż klasnęła w dłonie z radości.

— Ależ naturalnie, przecież to jest to właśnie. Jakże mogłam nie wpaść odrazu na ten jedyny pomysł.

Odczuła odrazu ogromną ulgę, nerwy jej wróciły do równowagi. Ogarnęło ją natomiast wielkie znużenie fizyczne. Rozebrała się więc i położyła do łóżka, w wesołym już nastroju opracowując szczegóły swego planu. Po jakimś czasie usnęła snem spokojnym bez marzeń.

Natomiast Andrzej przez całą noc przewracał się niespokojnie na pościeli, w stanie pół-snu-pół-jawy, w którym bezustannie dręczyły go złośliwe zmyślenia. Dwie wizje zwłaszcza dały mu się szczególnie we znaki: jechał pociągiem, który z nieprawdopodobną szybkością pędził po szynach. Koła lokomotywy i wagonów śpiewały ustawicznie aż

do śmiertelnego znużenia tę samą ohydłą pieśń, złożoną z dwu tylko wstrętnych, zabójczych słów: do Kra-ko-wa, do Kra-ko-wa. Zasłaniał uszy dłońmi owijał głowę w płaszcz, nic nie pomagało. Nienawistne „do Kra-ko-wa“ huczało mu w mózgu, dudniło w krtani, jęczało w sercu. Nie mogąc znieść dłużej męczarni, wybiegł na platformę, wydrapał się na dach, i skacząc z wagonu na wagon, dopadł lokomotywy, aby zatrzymać pociąg. Lecz maszynista, jakiś piekielny drab, chwycił go jak szczeniaka i rzucił daleko przed siebie na szyny. Leżąc na nich, jakby przyśrubowany do drewnianego progu, ujrzał dwa okropne, czerwone ślepią maszyny, która z hukiem i parskaniem waliła w szalonym pędzie wprost na niego. Strach okropny zjeżył mu włosy. Krzyknął przeraźliwie i zbudził się z bijącym sercem.

Machinalnie wyrzwał przez szybę i zobaczył światło w oknie Wandy.

— Nie śpi jeszcze — szepnął bezmyślnie i zasnął znowu. W tej chwili zobaczył nad swoją głową biegnącą wzdłuż całego sufitu, niesamowicie czarną belkę, której dotąd nie widział wcale. Na niej zaś, na ogniście czerwonym sznurze, kołysał się trup wisielca. Wybałuszane białka jego oczu błyszczały, jak próchno, a z wywalonego długiego języka ściekała lepka, śliska ciecz, która kropla po kropli spadała na czoło Andrzeja i przepalała je aż do mózgu. Męka była tak straszna, że aż instynkt samozachowawczy krzyknął mu: to sen, nic sobie z tego nie rób! Postanowił więc obudzić się koniecznie. Ale na próżno wykonywał ruchy gimnastyczne, przysiadął na ziemi i wymachiwał rę-

kami. Senny bezwład nie ustępował. Zrezygnował przeto i cierpiał okrutnie, choć ze świadomością, że to tylko sen. Nagle, jakby dusza z powrotem wstąpiła w jego ciało, ocknął się i rozbudził zupełnie.

Zaświeciło światło i spojrzał na zegarek. Była czwarta rano. Cały zlany potem przeszedł się kilkakrotnie po pokoju i napił się wody. W oknie Wandy było już ciemno.

— Skończyło się. Trudna rada — pomyślał bez żadnej tym razem goryczy i położył się na powrót. Teraz zasnął odrazu snem kamiennym.

Gdy się obudził, było już po dziewiątej. Choć był śmiertelnie zmęczony, jakby po forsownym marszu, zerwał się odrazu, bo pociąg odchodził o dwunastą, a do stacji kolejowej był spory kawał. Obmył się cały zimną wodą, co go orzeźwiło i nappełniło odwagą, pełną determinacji.

— A jednak nie powieszę się — zawołał głośno, nacierając się silnie ręcznikiem — nie powieszę się, bo z chamów jestem rodu, a ci są ćwiczeni w cierpieniu. Jak iść, to iść.

Ubrał się szybko, ale nie w elegancki kostjum sportowy, tylko w swój dawny mundur żołnierski i postąpił ku drzwiom, aby pójść pożegnać się z Wandą. Gdy położył rękę na klamce, drzwi otworzyły się same i ukazała się w nich Wanda, świeża, wonna i roześmiana, jak wiosna.

— Co się z tobą dzieje, ty niemożliwy śpiochu? — przywitała go wesoło. — Czemu nie przyszedłeś na kawę? Musiałam pić sama. Czy to ładnie? Ale jakiś ty blady, jakie masz oczy podkrą-

żone! A co znaczy ten mundur? Co ty wogóle wyprawiasz?

— Szedłem właśnie pożegnać się z panią. Czas do pociągu.

— Oszałał, po prostu oszałał! Jechać? Bez mego pozwolenia! Słuchaj, musimy z sobą pogadać rozsądnie. Ale siądźmy na kanapie i zapalmy papierosa, aby się nam lepiej rozmawiało.

Zaciągnęli się dymem, a Wanda, przytulając się ramieniem do Andrzeja i patrząc mu głęboko w oczy, zapytała:

— Czy nie mówiłeś sto razy, że jesteś moją własnością, bo mnie zawdzięczasz życie i dzięki mnie narodziłeś się na świat po raz drugi?

— Mówiłem.

— A skoro jesteś moją własnością, czy nie mam prawa zrobić z tobą, co mi się podoba?

— Ma pani prawo.

— A więc dowiedz się, że zadecydowałam o twoim losie. Tylko żadnych uwag, żadnych protestów, żadnych ale. Wysłuchać i wykonać. Rozumiesz: rozkaz.

— Rozkaz, rozumiem.

— Otóż nie pojedziesz nigdzie, tylko zostaniesz tu, w Łanowcu długo, bardzo długo.

— I co będę robił?

— Będziesz się uczył.

— Czego?

— Wszystkiego, czego jeszcze nie umiesz, a raczej tego, czego potrzeba, aby dostać patent na człowieka dojrzałego, czyli po prostu, aby zdać maturę. Czegoś się zdziwił? Czy boisz się, że nie

podążasz? Wiem przecie, że głowę nosisz nie od parady.

— Czemu miałbym się bać? Ale sam nie dam rady. Kto mnie będzie uczył?

— I ty się jeszcze pytasz? Ale ja, oczywiście, że ja... Nikt inny by nie potrafił.

— Pani, panno Wando, pani! — Nagły przeskok od ostatecznej rozpaczyny do najwyższego szczęścia tak podziałał na Andrzeja, że był bliski omdlenia. Potem uczuł gwałtowną ochotę, by chwycić Wandę w ramiona, okryć ją pocałunkami od głowy do stóp, by rzucić się jej do nóg i czołem bić przed nią pokłony. Nie śmiał jednak. Więc tylko w oczach zapalił światła najtkliwszej miłości, a rękę ruchem nieskończenie delikatnym i nieśmiałym położył na jej przedramieniu. Ona zaś ujęła tę przeszkromną rękę męską i zaczęła ją głaskać muśnięciami, pełnymi słodyczy, dobroci i macierzyńskiego niemal przywiązania.

A gdy tak tonęli w czystej rozkoszy tej dziecięco - niewinnej pieszczoty, uczuli nagle oboje, że dusze ich sprzęgły się z sobą na zawsze, na dobrą i złą dolę, do grobu i aż po za grób.

IV.

Swój plan ekscentryczny opracowała Wanda z drobiazgową starannością, chytrze i wszechstronnie i była z niego najzupełniej zadowolona.

— Przedewszystkiem — chępiła się sama przed sobą — będę miała Andrzeja bezustannie przy sobie przez rok, półtora, czy przez dwa lata, a to dla mnie w tej chwili rzecz najważniejsza, bo jest mi on poprostu potrzebny do życia, tak jak woda lub powietrze. Powtóre — jestem w nim naprawdę zakochana — to fakt empiryczny, którego nikt i nic zmienić nie może. Ponieważ zaś takie dywagacje sercowe zazwyczaj kończą się małżeństwem, przeto na wypadek, gdybym miała zostać jego żoną, będę miała męża, którego sama sobie wychowam, nie tylko towarzysko i uczuciowo, ale także umysłowo. Będzie mi on wszystko zawdzięczał: życie, które mu uratowałam, wykształcenie, które mu dam, stanowisko społeczne, majątek i znaczenie, które tą drogą uzyska, wreszcie szczęście, w które go miłość moja otuli, jak w płaszcz królewski. Będę punktem centralnym jego świata, słońcem jego kosmosu, a on będzie po prostu moim tworem, którego duszę, serce i głowę urobię na kształt i podobieństwo moje. Czyż to nie największa zdo-

bycz, jaką osiągnie ruch emancypacyjny kobiet od początku swego istnienia? Czemże wobec tego wszystkie sufrażystki z samą miss Pankhurst na czele? Zdobyć prawo głosowania do parlamentu, możność zostania posłem, nauczania w uniwersytecie, czy przywdziewania togi adwokackiej w sądzie, to wszystko są drobiazgi w porównaniu z tryumfem kobiety, która męża swego zrobi w całości dzieckiem swego ducha, wyrzeźbi go wewnątrz i wyczyszczy, jak dzieło sztuki. Po trzecie — filozofowała dalej Wanda — spełnię przecież czyn wysoce etyczny, społecznie niezmiernie dodatni, jeśli nie pozwolę zmarnieć talentom tego dziecka ludu, tego wspaniałego syna ziemi, związanego z nią przez swych przodków z prawieku każdą kroplą swej krwi i każdym włóknom swego ciała. Czy masz pan co do zauważenia w tej sprawie, panie Satyrze, czyli dziki mężu? — zwróciła się z zapytaniem do nieodstępного towarzysza swych samotnych medytacyj.

— Owszem — odparł koźlonóg — pękam ze śmiechu, widząc, jak łaskawa panienska wstępuje na koturny moralności wówczas, gdy po prostu obmyśla nową egzotyczną formę flirtu. Panienska-byś sobie tak samo ucięła romansik z Murzynem, Hindusem czy Indianinem, byle tylko nie z białym ze swojej sfery, bo to ci cuchnie banalnością.

— Po części masz rację, brodaczu, ale to nie zmienia faktu, że działanie moje będzie moralne, bo cóż złego z tego wynika?

— Narazie nic, ale z pewnością prędzej, czy później wyniknie jakiś porządny nierząd.

— Jesteś cynik, bydlę i głupiec! — Racz-że

przyjąć do wiadomości, że miłość ta mię uszlachetnia i etycznie podnosi. Dawniej cnota była dla mnie nudna, zaciekawiał mię zawsze grzech i to wszystko, co się kryje poza symbolem szatana. Gdybym wierzyła w naukę Zaratustry, byłabym się dawniej zapisała w szeregi zwolenników i wyznawców Arymana, a dziś Ahuramazda stanowczo we mnie zwyciężył, bo powzięłam niezłomne postanowienie, że jak długo będę jego nauczycielką nie pozwolę sobie z nim na nic, na nic, rozumiesz, na żadną żywiołowość z zakresu twego ducha faunicznego.

— Pi, pi, pi, to nie w kij dmuchał! Znam ja nieodwołalność dziewiczych postanowień. A zresztą wierz mi, ty czysty Józefie w spódnicy, że ten twój platonizm to jest wyrafinowana perwersja. Zamiast popełniać tak zwany grzech w rzeczywistości, zdrowo, normalnie, po ludzku, wolisz oddawać mu się w wyobraźni, bo ta anormalność właśnie cię pociąga. To jest — uważasz, moja miła panienko — po prostu zwyrodnienie.

— Milcz, głupcze głupi, uważaj się za spoliczkowanego, ty helleński kanale moralny! Zamykam dyskusję, bo muszę jechać do Lwowa w sprawie mego najcudniejszego chłopca, a przed tem jeszcze trzeba mi się rozprawić z ciotuchną.

Perspektywa stoczenia nowej bitwy z panią Mazowiecką nie przerażała jej jednak, była bowiem z góry pewna wygranej i cieszyła się nawet myślą, że będzie się mogła pomścić na ciotce za złośliwości, jakich sobie pozwoliła wobec Andrzeja.

Uzbroiwszy się tedy w autorytet zezwolenia ojca, który jak zwykle — w myśl swej zasady nie-

sprzeciwiania się ukochanej kobiecie—na wszystko odrazu się zgodził i przybrawszy minę jak najbardziej urzędową, weszła do pokoju ciotki właśnie w chwili, gdy pani Mazowiecka zbudziła się z swej poobiednej drzemki, po której była z reguły w jak najgorszym humorze. Nie bawiąc się w żadne wstępy, ani przygotowania, Wanda oświadczyła, że primo oddała Marysię, której „zuchwałość stała się już zupełnie niemożliwą“, dając jej zresztą na pociechę królewską odprawę i że „zadecydowała o losie Andrzeja“, którego fenomenalnym zdolnościom nie może pozwolić zmarnieć, wobec czego sama przygotowywać go będzie do złożenia matury gimnazjalnej. Usłyszawszy tę horrendalną rewelację, pocziwe ciotczysko zaniepokoiło się na serjo o stan zdrowia Wandy, wyrażając obawę, czy nie oszalała. Gdy ją jednak niemiłosierna panna zapewniła, że mózg jej funkcjonuje najnormalniej w świecie, że plan swój powzięła po długiej i dojrzałej rozwadze i że postanowienie jej jest absolutnie niezłomne, biedna dama padła najpierw zemdlona na fotel, a potem dostała spazmów, w których ataki płaczu i śmiechu następowały kolejno po sobie. Wanda zniosła te wszystkie wybuchy rozpacz i oburzenia ze stoickim spokojem, podając ciotce rozmaite lekarstwa uśmierzające nerwy i nie dała się zmiękczyć także wówczas, gdy pani Mazowiecka patetycznym głosem zaczęła zaklinać się na duchy przodków i na wszystkich wojewodów tudzież kasztelanów z rodu Proszewskich i Mazowieckich, że ona na ten skandal nigdy nie pozwoli, że Wanda chyba po jej trupie będzie mogła dojść do wykonania swego projektu, że Marceli bierze na siebie

wielką odpowiedzialność wobec Boga za pobłażanie wszystkim szaleństwom swej niesfornej córki i że ona wyjedzie z Łanowca, bo na tę hańbę dziewczyny, której zastępuje matkę, patrzeć nie potrafi. Na to replikowała Wanda, że cioteczka nie wyjedzie, bo zanadto ją i ojca kocha, że zresztą o żadnej hańbie nie może być mowy, ponieważ daje jej uroczyście słowo honoru, że stosunek jej do Andrzeja pozostanie wyłącznie siostrzany, przynajmniej jak długo będzie jego nauczycielką, gdyby zaś — dodała cynicznie — postanowiła mu się oddać, to w każdym razie otwarcie to ciotce wyzna, aby miała czas pogodzić się z myślą ich małżeństwa.

— Wanda, moja Wanda wnuczka senatorów, Szczerbiną, jakąś tam Szczerbiną! — zawołała dostojna dama głosem emerytowanej tragiczki i zaczęła zdradzać widocznie ochotę ponownego omalenia.

Wówczas Wanda oświadczyła zimno, że ciotka niepotrzebnie się emocjonuje, bo ona narazie wychodzić za mąż za Andrzeja nie zamysła, a wreszcie zagroziła, że jeśli ciocia nie przestanie „awan-turować się” i zatruwać jej życia, w takim razie ona z wszelką pewnością ulegnie atawizmowi swej krwi pół-hiszpańskiej (tu zrobiła aluzję do wielkiej tajemnicy domu Proszewskich), a wtedy stanie się coś takiego, co będzie naprawdę skandalem i prawdziwym nieszczęściem.

Ten argument pomógł odrazu. Ciotka pociągając, nosem i obcierając mokre policzki chusteczką, głosem rozdzierającym, któryby wzruszył serce szakala, podała do wiadomości swej wyrodnej

bratanicy, że umywa ręce od wszystkiego i za nic absolutnie odpowiedzialności nie bierze.

— Od tego Piłatowo-Ponckiego gestu trzeba, było zacząć — zawołała Wanda całując ciotkę po rękach, lubiła ją bowiem bardzo w gruncie rzeczy i szanowała, a tylko miała pasję droczenia się z nią w sposób niehumaniczny.

— Ależ skompromitujesz się — próbowała jeszcze perswadować ciotka — zabijesz się w opinii zagroźnisz sobie drogę do zrobienia dobrej partji.

— Ciotuchna bredzi — zamknęła dysputę Wanda — proszę się nie gniewać, ale to naprawdę są brednie. — Z czyją opinią mam się liczyć? Fornali, czy pani pocztmistrzynie z miasteczka? A zresztą opinia obchodzi mnie właśnie tyle, co zdarty pantofel. Co się zaś tyczy partji, to jeśli będę chciała ją zrobić, mam posag tak duży, że konkurentów mi nie zabraknie, nawet gdybym miała jakieś rzeczywiste mankamenty do ukrywania. A teraz do widzenia, jadę do Lwowa w sprawie studjów Andrzeja. W czasie mej nieobecności proszę Andrzejowi posyłać jedzenie do jego pokoju, bo mu zadałam taką lekcję łaciny i francuskiego, że nie ma ani chwili do stracenia. Pa, cioteczko, przywiozę cioci ze Lwowa wodę liljową do twarzy.

— A nie zapomnij także o farbie do włosów, bo mi już wyszła — jęknęła ciotka i zażywszy podwójnej dawki bromu, zaraz położyła się do łóżka, bo twierdziła, że nic jej tak nie uspokaja, jak wygrzewanie się pod kołdrą.

— A to półdjabłę madryckie! — postękiwała jeszcze półgłosem — poradź — że tu sobie sobie z taką! Cała nadzieja, że się jej to belfrowanie sprzy-

krzy po miesiącu. Przecież sławna jest z swego braku cierpliwości. Medycynę rzuciła po dwu latach.

Tymczasem Wanda była już w drodze do Lwowa. Przybywszy na miejsce, odszukała dawnego swego dyrektora gimnazjalnego, i wielkiego swego przyjaciela, zwierzyła mu się, że powzięła zamiar przygotowania prywatnie do matury pewnego ogromnie utalentowanego chłopaka wiejskiego, (tego, że ów „chłopak“ ma już lat dwadzieścia wołała nie mówić) i poprosiła o szczegółowe instrukcje co do obowiązującego planu szkolnego, przepisanych podręczników i sposobu pokonania olbrzymiego materiału w możliwie najkrótszym czasie. Stary pedagog rozrzewnił się nadzwyczaj, palnął dłuższe kazanie na temat bezcennego kapitału zdolności, który marnuje się wśród ludu i w sposób niesłychanie wymowny przekonywał Wandę, która mu z entuzjazmem potakiwała, że jest obowiązkiem dobrych Polaków zbliżyć się znów do chłopów z „kagańcem oświaty“, zwłaszcza w tych smutnych czasach, kiedy niesumienni politycy grają na najniższych instynktach duszy chłopskiej, zaszczepiając w niej zarazę egoizmu, chamstwa i filisterstwa i robiąc wszystko, co możliwe, aby wykopać przepaść nienawiści pomiędzy wzbogaconem chłopstwem a zzebraczałą inteligencją. Wzruszywszy się do łez własną wymową, zacny dyrektor udzielił Wandzie najbardziej szczegółowych informacji, prosił, aby w razie potrzeby zasięgała pisemnie jego porady i przyrzekł, że zrobi wszystko, co leży w jego mocy „oczywiście w granicach najściślejszej legalności“, aby jej pupilowi dopomóc do złożenia egzaminu dojrzałości.

Wanda, objuczona całą paką podręczników, słowników, atlasów, notatek i zeszytów, wróciła do Łanowca, szczęśliwa, jak trznadel na wiosnę i z miejsca zabrała się do pracy. Andrzej, zobaczywszy tę górę książek, mimo całego zapалу do nauki, zbłądł jednakże, atoli panna Proszewska wytłumaczyła mu że „gutta cavat lapidem” i że pomału, kartka po kartce, wszystko się skonsumuje, poczem z zachwycającą powagą oznajmiła swemu uczniowi, że będzie ogromnie wymagająca i że on, Andrzej, musi się wziąć nie na żarty do kucia, bo nie mają ani chwili do stracenia. Następnie przystąpiła do ułożenia podziału godzin. Była dla siebie i dla „swej najukochańszej drobiny wieczności” wprost bez serca. Plan nauki rozłożyła na rok i dziewięć miesięcy, przeznaczając z tego ośmnaście miesięcy na „razówkę”, a trzy miesiące na powtarzanie. Obliczyła najdokładniej, w którym dniu i w którym miesiącu dany przedmiot i każda jego partja mają być skończone i w rezultacie ustanowiła siedmiogodzinny dzień pracy. Nie zapomniała przytem o sportach, wychodząc z założenia, że nagłe przejście od zajęć wyłącznie fizycznych do wyłącznie umysłowych mogłoby się ujemnie odbić na zdrowiu Andrzeja. Przedewszystkiem więc wręczyła mu książeczkę P. J. Müllera „15 minut dla zdrowia” i zaleciła, aby codziennie rano uprawiał gimnastykę według systemu tego „nieocenionego Duńczyka” rozumie się łącznie z kąpielą i masażem, dodając jeszcze nakaz (to już w myśl własnego systemu), aby potem nacierał całe ciało kolońską wodą. Do programu nauki włączyła nadto obowiązkowe lekcje szermierki i bok-

su (za którym przepadała w czasach uniwersyteckich) a nadto tańce, twierdziła bowiem, że musi z Andrzeja zrobić skończonego gentlemana, które-muby nikt w niczem nie mógł zaimponować. Po ułożeniu całego planu i kilkakrotnych jego przeróbkach okazało się, że nawet w niedziele i święta trzeba będzie ranki poświęcić nauce, a czas feryj wakacyjnych skrócić do trzech zaledwie tygodni.

Po ukończeniu tych przygotowawczych czynności zaraz tego samego dnia rozpoczęła się nauka. Nieustająca jesienna szaruga doskonale jej sprzyjała. Dziwne to było i jedyne w swoim rodzaju nauczanie. Wanda była zmuszona przyznać sobie, że jest doskonałym pedagogiem, coprawda nie w zwyczajnem, ale najwyższem, niemal Platońskiem znaczeniu. Oświecona wszystko ogarniającym płomieniem miłości, znajdowała intuicyjnie najlepsze, najprostsze i nieomyłne drogi do przesyłania najtrudniejszych wiadomości z książek i ze swej głowy do świadomości ucznia. Skupiona siła woli pozwalała jej w każdej rzeczy chwycić jej sedno i podawać je w formie jasnej, oczywistej. W Andrzeju dwa pierwiastki chłonne wsiąkały wiedzę, jak gąbka wodę: wygórowana, szlachetna ambicja i bezgraniczne ukochanie tej, którą nazywał swym „świętym aniołem“, połączona z wdzięcznością, posuniętą aż do pragnienia wyzbycia się na jej rzecz całego siebie. W czasie godzin nauki pił oczami jej wzrok, rozjaśniony myślą, zawisał duszą u jej ust, chwycił każde jej słowo, zanim jeszcze wyszło z jej warg, a każde z nich, gdy raz zapadło w głąb jego pamięci, pozostawało w niej

utrwalone na stałe, jak obraz na czulej kliszy fotograficznej.

Ambicja nie pozwalała mu na żadne roztrągnięcie i rozprószenie myśli, ani na żadne zaniechanie. Całą wolę swoją skupiał w jednej soczewce pożądanja wiedzy i raz po raz ciskał ją, jak dysk gładko toczony, w stronę upragnionego celu. Zniechęcenie było mu nieznane, zwątpienia trzymał na sto kroków od siebie i drwił ze zmęczenia, jak przystało byłemu żołnierzowi, co nieraz całemi tygodniami wśród brudu i robactwa leżał w okopach, jedząc tylko tyle, aby nie umrzeć i śpiąc zaledwie na jedno oko. Ponieważ Wanda zamykała książki, aby się nie przemęczał, — nauka odbywała się w jej mieszkaniu, w owej tak dla obojga pamiętnej „sypialni” Andrzeja z czasu jego choroby — przeto nieraz wykradał je i uczył się do późna w nocy. To też Wanda, chociaż słusznie wielkie miała wyobrażenie o zdolnościach swego ucznia, była wprost zdumiona szybkim tempem i ogromem jego postępów. Myślała nieraz żartobliwie, że ogłosi w jednym z czasopism pedagogicznych swój oryginalny system nauczania, polegający na stosowaniu czystej miłości, jako głównej zasady dydaktycznej.

Wkrótce przekonali się, że te forsowne i tak bardzo owocne lekcje zupełnie ich nie nużą, lecz przeciwnie stają się dla nich źródłem nowej, nieznanej dotąd rozkoszy. Odkryli nową formę miłości intelektualnej. W czasie długich godzin bezustannego obcowania ze sobą, poświęconego wyłącznie sprawom umysłowym, ich życie emocjonalne tętniło jednak całą mocą i każda myśl, choćby

najbardziej abstrakcyjna, sucha i nudna nabierała smaku dziwnej słodyczy, bo wszystkie zanurzone były w skondensowanej esencji uczucia, jak orzechy w miodzie. Wanda teraz dopiero rozumiała naprawdę stosunek wzajemny Beatryczy i Danta. Dochodziła w owych chwilach do istotnej egzaltacji szczęścia, choć nie pozwalali sobie nawet na takie niewinne pieszczoty, jak przypadkowe niby spotkania rąk, a miłość ich była jedynie najczystsza miłością oczu.

Za to w godzinach, poświęconych rekreacji lub sportowi, odświeżali swój baśniowy tryb życia z okresu sześciotygodniowych „wakacyj” Andrzeja. Wtedy znów zwierzały się z sobą ich dłonie, które tak tęskniły do siebie, że nieraz przy ich zetknięciu odczuwali wyraźny wstrząs, jakby od iskry elektrycznej pochodzący. I znów przesłodka prąd tajemniczego ciepła przenikał nawzajem ich ciała, ilekroć przyłgnęli do siebie ramionami. Wtedy też od czasu do czasu budziło się w nich pożądanie zmysłowe, które, jak pies natrętny, drapało łapą o drzwi ich miłości, skomląc, by je puszczono do wnętrza. Odganiaли je jednak precz bez litości. Wanda bowiem wiedziała o tem dobrze i nieraz to „łopatą kładła do głowy” kuszącemu ją Satyrowi, że gdyby sobie pozwoliła choćby na jeden tylko pozornie niewinny pocałunek, rozhukany strumień żądzы poniósłby ją na oślep, a wtedy diabli wzięliby cały jej dumny program i zawaliłby się odrazu kryształowy zamek jej odcieleśnionego szczęścia, w którym narazie czuła się tak dobrze. Andrzej zaś postawił miłość swoją na tak wysokim piedestale duchowego piękna, że każdego od-

ruchu zmysłów wstydził się przed sobą, jak naj-bezecniejszego grzechu, i tłumił je natychmiast władcym rozkazem swej śnieżno-białej duszy. Powtarzały się one zresztą coraz rzadziej, całą wolę swoją bowiem tak dalece skupił w żądzę „dobicia do życiowego portu”, która w duszy jego stopiła się w jedną całość z miłością duchową, że na inne pożądania nie było w nim już miejsca.

Odczuwał też w dalszym ciągu niczem niezamąconą szczęśliwość, a miłość jego dla Wandy, potęgując się stale, przybierała formy jakieś religijnej wprost adoracji. Pewnego dnia znalazła Wanda najzupełniej autentyczny, bo ściśle poufny, dokument tego stanu jego duszy. Miała ona pewien niezbyt piękny wprawdzie, ale bardzo kobiecy zwyczaj: w czasie rzadkich chwil jego nieobecności, kiedy była pewna, że zaraz wrócić nie może, buszowała bez ceremonji po jego pokoju, do którego swobodnie wchodzić ułatwiał jej drugi klucz. To „chwytanie intymnego życia Andrzeja na gorącym uczynku” sprawiało jej tak niewypowiedzianą rozkosz, że wobec niej milkły skrupuły wrodzonej i wychowaniem zaszczepionej delikatności. Ponadto szukała podświadomie jakichś dowodów jego „zdrady”, fizycznej wprawdzie tylko, bo duchowej się nie bała, zdrady, która — jak jej tłumaczył Satyr — „w jego wieku byłaby najzupełniej zrozumiała”. Niepokoił ją zwłaszcza „kompleks Hanki Sierocianki”. Nic jednak podejrzanego nigdy nie zdołała wykryć, raz natomiast wpadł jej w ręce porzucony na biurku rodzaj pamiętnika, czy raczej listów, „które jej nie doszły”, adresowanych do niej.

Przeglądając je ze wzruszeniem, znalazła między innemi taki ustęp:

„O jakbym chciał odwdzińczyć się Tobie, Wando moja najdroższa, za Twoje serce i poświęcenie dla mnie! Ale czem? Niestety, ja nic nie posiadam, a Ty tak wiele. Chyba oddam Ci moją duszę, której większą część i tak mi już zabrałaś. Czy przyjmiesz resztę mojej duszy, Wando moja najukochańsza?”

„O hej, o hej, ha, ha, o hej! Ile zmiany, zmiany w takim krótkim czasie! Ktoby to mógł pomyśleć? O, jakże nie! Marzyłem przecież, dusza moja przeczuwała, widziałem i czułem, jak na jawie, widziałem i dojrzeć nie mogłem. Ach, może to złudzenie? Nie wierzysz jeszcze sobie? O nie, nie. Jak można tak myśleć! To przecież rzeczywistość. To szczęście nieodwołalne! Ach Boże! Przypomnij sobie pierwsze spotkanie w lesie, tę godzinę szczęścia! Czy to złudzenie? O nie, to cud którego nazwać nie mogę. O Boże, Boże! Dość tego! Czy rozedrzeć piersi, niech pęka serce z radości? Ach, rzeczywistość,, rzeczywistość nie do wiary. Czy to możliwe? Być zapomnianym, opuszczonym przez ludzi, a teraz, teraz śmiać się z przeszłej niedoli i stać się jej bohaterem! A wszakże to jest prawda, prawda, której nikt już nie złamie. Czy mylę się, Najdroższa moja Wando?”

Wanda obsypała tę ćwiartkę papieru pocałunkami, a dusza jej zajaśniała barwami, przejętymi z Dantejskiego „Raju”.

— Nie mylisz się, nie mylisz — myślała w uniesieniu. — Przyjmę całą Twoją duszę, Jedyny mój i Najukochańszy, przyjmę tem śmieiej, żeś mi już

dawno duszę moją zabrał bez reszty, sam nic nie wiedząc o tem. Pomienialiśmy się na dusze, jak Hamlet i Laertes na szpady, i teraz każde z nas nieść będzie duszę swoją, a jednak nieswoją, ostrożnie przez życie, jak świętość największą, aby jej niczem nie skalać, ani nie splamić i aby ją jak najgodniejszą uczynić tej części Bóstwa, która w niej zamieszkała.

— To dziwne jednak — dodała w myśli po chwili — jak mię ta miłość duchowa uszlachetnia. Przecież ja jestem teraz pod każdym względem bez porównania lepsza, niż byłam dawniej.

Niebawem przypadek pomógł jej do zupełnego unicestwienia „kompleksu Hanki”. W niedzielne, styczniowe popołudnie, korzystając z pięknej pogody, pojechali sankami na spacer. Było mroźno i słonecznie. Szerokie pola jaśniały tysiącami brylantowych gwiazdek. Śnieg skrzypiał rażno pod płozami, dzwonki grały wesoło, z pod kopyt końskich wylatywały od czasu do czasu białe grudki i, rozbijając się, obsypywały ich łabędzim puchem. Zakutami w duże, ciepłe futra, z nogami okrytymi kudłatą baranicą, która ich łączyła jakby w jedną całość, odczuwali jasną radość istnienia i rzeźką ochotę do życia. Gdy obok figury skręcali na lewo do lasku, przeszła obok nich jakaś kobieta wiejska, idąca od strony miasteczka. Niosła na ręku niemowlę, dwoje innych maleństw dreptało obok niej. Była jeszcze młoda i dość hoża, ale twarz jej pokrywały już przedwczesne zmarszczki, skutki ciężkiej pracy i częstego rodzenia. Wymijając sanki, pozdrowiła ich zwykłym „Niech będzie

pochwalony", ale oprócz tego kiwnęła przyjaźnie głową w stronę Szczerby.

— To Hanka, niegdyś Sierocianka — rzekł Andrzej — wie pani, ta od chustki. Już ma troje dzieci, ktoby myślał!

I nagle zaczął śmiać się wesoło i serdecznie.

Wanda zrozumiała przyczynę jego wesołości i odrazu wszystkie zazdrosne podejrzenia wydały się jej tak komiczne, że zawtórowała mu śmiechem niemniej ochoczym. To ich tak rozbawiło, że śmiali się bez ustanku i bez przyczyny, a potem, zatrzymawszy konie, pobiegli do lasu i, jak dwoje rozswawolonych żaków, zaczęli się obrzucać śniegowemi bombami.

Gdy wrócili, Wanda zaordynowała tańce. W braku kogo innego pani Mazowiecka musiała sięgnąć do fortepianu. Pocziwa ciocia przez całe cztery dni po decyzji swej „narwanej” bratanicy boczyła się na Andrzeja i wogóle robiła wrażenie osoby nieuleczalnie chorej na wątrobę. Że jednak była naprawdę istotą gołębiego serca i pogodnego umysłu, udobruchała się szybko, a nawet polubiła Andrzeja za jego wrodzoną dystynkcję, delikatność i takt. Tylko czasem przypominała sobie swoje dawne skrupuły i wtedy wzdychała ciężko:

— Jaka szkoda, że to przecież jednak cham z pochodzenia!

I teraz otwierając fortepian, zrządziła w duchu:

— Co ta warjatka ze mną wyprawia, to przecież wszelkie pojęcie przechodzi! Żeby mnie, wnučkę wojewodów i kasztelanów, zmuszać do przygrywania do tańca — komu? Synowi naszego dawnego fornała! Nie, to świat się skończy.

Uderzyła jednak w klawisze i zaczęła grać. Z pod palców jej popłynęły staroświeckie tony sentymentalnego Straussowskiego walca. Nowszych nie umiała, a od modnych — jak je nazywała — „drgawek murzyńsko-cowboyskich” — odżegnywała się, jak od djabelskiego wesela. Wkrótce muzyka rozmarzyła ją na dobre.

— Ach, co wy wiecie, młodzi — mówiła w przerwie. — Nie tak się za moich czasów bawiono. Ach te namiestnikowskie lub marszałkowskie bale we Lwowie. A dzisiaj? To wszystko karykatura. Ta parwenjuszowska publiczność, te bezwstydne stroje, te dorożkarskie tańce. Ale pan już doskonale tańczy, panie Andrzeju. Brawo, brawo ma pan talent w nogach. Przy tym walcu właśnie, jak dziś pamiętam, oświadczył mi się prawie książę Justyn. Cóż to był za wytworny mężczyzna! Ale nie miał szczęścia biedaczysko. W Paryżu zgrał się do nitki, zaciągnął się potem do Legji cudzoziemskiej i gdzieś w Algierze przepadł bez śladu. A ja, a ja?..

Westchnęła smętnie i zaczęła grać znowu, nucąc zcicha rzewną piosenkę o okrutnym Dunaju, który młodzieńcowi zabrał kochankę. Z lśniącego wieka fortepianu podniosły się w obłoku marzeń wykwintne, strojne pary i sunęły ku niej, niosąc z sobą woń dawno prześnionej i oplakanej miłości. Ciche, łagodne łzy zawisły u jej rzęs. Biedna ciotka w wyblakłych wspomnieniach przeżywała bezsilnie te, o wartości życia stanowiące uczucia, które gorąca rzeczywistość napełniała po brzegi serca dwojga młodych ludzi walczących obok niej po salonie Łanowieckiego dworu.

Tak im płynęły dni i tygodnie jedną nieza-

maconą, modrą strugą szczęścia, wśród wielkich, a cichych radości i rzadkich, a zawsze pomyślnie kończących się drobnych nieporozumień.

Jednem z nich była sprawa pieniężnego uposażenia Andrzeja. Wanda rozumiała, że musi mu stworzyć stałe źródło dochodów, któreby wystarczyły na garderobę i drobne codzienne wydatki, bo nie mogła go przecież zawstydząć ustawicznie ciągłemi podarunkami, a o dawaniu prezentów gotówkowych oczywiście z góry nie mogło być mowy. Nie wiedziała jednak, jak to zrobić w sposób, któryby najlepiej uszanował delikatność uczuć Andrzeja. Aż wreszcie on sam nadarzył pożądaną sposobność. Mianowicie w kilka tygodni po rozpoczęciu nauki oświadczył, że nie myśli być „zupełnym darmożjadem”, a ponieważ poza lekcjami dość mu jeszcze czasu zostaje, pragnie w jakikolwiek sposób odwdziżyć się za wszystkie, niczem niezasłużone dobrodziejstwa, których w Łanowcu doznaje. Że zaś pisarz, pan Chwaścik, chociaż doskonale się nadawał do pola, jako człowiek obowiązkowy i nawskroś uczciwy, ale w „kancelarji” był do niczego, bo ani rusz nie mógł sobie dać rady z rachunkami gospodarczemi, wskutek czego pani Mazowiecka postanowiła przyjąć drugiego pomocnika wyłącznie do tych czynności, przeto Andrzej zauważył, że możnaby śmiało ten wydatek ominąć, bo on chętnie podjąłby się tej, zupełnie zresztą nie ciężkiej ani nie absorbującej pracy. Nadto dodał nieśmiało, że — jak słyszał raz przy kolacji — pan Proszewski ma dużo kłopotu z katalogowaniem swych zbiorów i biblijoteki, więc jeśliby uważał, że jego wiadomości są wystarczające, on poczytywałby za praw-

dziwy zaszczyt dla siebie, gdyby go zechciał używać do pomocy.

Wanda, porozumiewszy się z ciotką i ojcem, skwapliwie zgodziła się na propozycje Andrzeja, ale pod warunkiem, że będzie za funkcje swe honorowany. Szczerba zrazu odmówił, lecz po kilkudniowych prośbach, rozkazach, a wreszcie dąsach swej opiekunki ustąpił. Wówczas Wanda wyznaczyła pensję w jego pojęciu wprost olbrzymią. Oznajmił przeto stanowczo, że przyjmie najwyżej dziesiątą część. Lecz Wanda oświadczyła mu nie mniej stanowczo, że uznaje tylko mężczyzn porządnie, to znaczy wytwornie, odzianych, że więc „on przedewszystkiem” musi się do tego zastosować, wobec czego płaca, którą mu ofiarowano, jest minimalna. Wtedy Andrzej zgodził się ostatecznie, ale z zastrzeżeniem, że tytułem pensji będzie brał tylko dziesiątą część tej sumy, resztę zaś uważać będzie jako pożyczkę, którą, gdy zdobędzie stanowisko, zwróci społeczeństwu w formie stypendjum dla ubogiego, wyjątkowo uzdolnionego syna chłopskiego, pragnącego kształcić się w nauce lub sztuce.

Takiem postawieniem sprawy ujął sobie oczywiście cały dom niezmiernie, Wanda zaś przyjęła jego postanowienie z chytrym uśmiechem, pomyślała sobie bowiem, że Andrzej ani się spodziewa, z jaką łatwością przyjdzie mu spłacenie tego honorowego długu.

Z uzyskania pewnej niezależności finansowej był Szczerba swoją drogą bardzo zadowolony, bo uczucie zupełnej zawisłości od Wandy, nawet

w drobiazgach, pomimo, nie już miłości, ale wprost religijnego kultu dla niej, ciążyło mu dotkliwie.

Teraz, idąc za wskazówkami swej uwielbianej nauczycielki, nie tylko zaopatrzył się w garderobę i bieliznę, jakiej nie powstydziliby się żaden światowiec, ale nadto mógł wyznaczyć stały zasiłek miesięczny swej przyrodniej siostrze, która z powodu niezaradności i lenistwa męża Mikołaja stale biedowała. Zapowiedział jednak, że cofnie tę zapomogę bez żadnej litości, jeśli Mikołaj odważy się raz jeszcze — jak to się już zdarzało — wyzyскуjąc jego pozycję we dworze, wyzebrywać od Wandy rozmaite darowizny w postaci zboża na zasiew, pastwiska dla krowy, czy gałęzi z lasu na opał. Wyobrażenie bowiem, że ktokolwiek mógłby mu zrobić zarzut „pasorzytowania na Łanowcu wraz z całą familją dziadowską”, było dla niego nie do zniesienia. Mikołaj rad nie rad musiał się zgodzić, chociaż ten zakaz uważał za dowód braku serca u Andrzeja „bo i czemuż nie pozwala biednemu krewniakowi urwać coś nie coś z pańskiego, kiedy jest taka dobra okazja”.

Wógóle, stykając się od czasu do czasu z swą rodziną i z innymi ludźmi we wsi, Andrzej spostrzegł wkrótce, że ta sfera, z której wyszedł, chociaż na pozór okazuje mu życzliwość, a nawet coś w rodzaju dumy „że jeden z naszych tak się wybił”, to jednak w gruncie rzeczy patrzy na niego z podełbą, bo mu zazdrości powodzenia. Nawet parobcy, po których młodości mógł się spodziewać nieco idealizmu i uczuciowej fantazji, boczyli się na niego, bo im się w głowie pomieścić nie chciało, że ten strojny, elegancki panicz, „wyglądający jak

młody hrabia", jest po prostu tym samym Jędrkiem od księdza, z którym niegdyś razem paśli krowy i wywracali koziołki na łące. Nieraz, rozmawiając z nimi, widział w ich oczach źle zamaskowany wyrzut:

— Taki to ma szczęście, bo pańska spódniczka przyczepiła się do niego. A ty, psiakrew, nieboże, haruj, jak wół, albo żydowski najmita, i do śmierci ledwie będziesz miał co do gęby włożyć!

Sprawało mu to istotną przykrość, bo on swoje niespodziewane wyniesienie się przypisywał nie przypadkowi, ale wyrokowi Przeznaczenia, wobec którego zaciągał tem samem dług ogromny na całe życie. Dług ten miał szczere postanowienie spłacić z procentem Bogu, ludzkości i własnemu społeczeństwu przede wszystkim na ręce tego ludu, z którym był pochodzeniem ściśle złączony. Tymczasem widział z żalem, że pomiędzy nim a tym ludem wyrasta ściana nieufności, rzecz dziwna, właśnie z powodu owych rasowych z nim związków.

Czas jednak, który wogóle jest przedziwnym ogrodnikiem ludzkiej duszy, sprawił, że wkrótce we wsi przestali patrzeć na niego jako na dawnego księzego Jędrka, a przyzwyczaili się widzieć w nim tylko „młodego pana ze dworu”, z którym tem bardziej wypadało się liczyć, że — jak swym chłopskim rozumem wykoncypowali — w niedługim czasie zostanie niewątpliwie rzeczywistym panem na Łanowcu z przyległościami. To właśnie, wbrew jego przypuszczeniom, ułatwiło mu bardzo obcowanie z nimi. Reszty dokonała jego serdeczność i przyjacielskość, nie sztuczna i wyrozumowana, ale

instynktowna i szczerą. Dzięki temu mógł bez wszelkiego gruboskórnego poufaleńia się z nimi, na które zresztą nie pozwalała mu wrodzona subtelność uczuć, brać rzeczywisty, żywy udział w ich życiu, w ich bólach i radościach.

To też niebawem stał się istotnie łącznikiem w stosunku pomiędzy wsią a dworem i umiał złagodzić niejedno tarcie, jakie w stosunku tym jest nieuniknione. Gdy sprawę uważał za słuszną nikomu nie poskąpił swego poparcia i wstawiennictwa, w przeciwnym razie odmawiał stanowczo, ale odmowę swą uzasadniał w sposób tak prosty i nieodporny, a zarazem tak pełny życzliwości, że wywoływał tem niechęć tylko u osobników zdecydowanie nikczemnych. Przedewszystkiem jednak jedną mu ludzi ta siła niewidzialna i nieuchwytna, którą każda dusza jasna i czysta podbija otoczenie, nawet bez żadnego ze swej strony wysiłku. Wszystko to sprawiło, że zyskał wkrótce we wsi duży mir i zaufanie.

Nowe zajęcia, jakie wziął na siebie, pomogły mu niebawem do silnego ugruntowania swego stanowiska w łanowieckim dworze. Andrzej, jako syn ludu, miał z natury w wysokim stopniu rozwinięty zmysł rzeczywistości i zdolność ujmowania praktycznej strony zjawisk. Nadto w czasie swej wojennej tułaczki po rozmaitych okopach strzeleckich i lazaretach dużo widział, stykał się z ludźmi rozmaitych sfer i zawodów i nabył spory zapas doświadczenia. Przydało mu się to teraz bardzo. Wglądnawszy bowiem nieco przy sposobności prowadzenia ksiąg rachunkowych w tryb gospodarki łanowieckiej, powziął przekonanie, że pan rządca

Łachodkiewicz to rutynista starego typu, który wprawdzie jest wyjątkowo uczciwy i spełnia doskonale swe zadania, jeśli idzie o oranie, gnojenie, sianie, zbieranie i młócenie, ale niema zupełnie pomysowości i inicjatywy, zarówno z powodu wrodzonej gnuśności umysłowej, jak też wskutek trapiącej go melancholji, którą usiłował leczyć alkoholem. Zdołało go to już doprowadzić do zautomatyzowania i zupełnej bezmyślności we wszystkim, co wychodziło poza zakres codziennego kieratu jego pracy. Z tego powodu wiele źródeł dochodów było niewyzyskanych. Szczególnie drażniło Andrzeja, że trzy młyny w dobrach pana Proszewskiego, przed wojną doskonale się rentujące, które w czasie inwazji rosyjskiej zostały spalone i rozebrane, ciągle leżą w gruzach, a siła wodna idzie w zupełności na marne. Zagadnięta w tej sprawie pani Mazowiecka oświadczyła, że odbudowa tych młynów w obecnych czasach kosztowałaby taką masę milionów, że „choćby dochody są duże, o zremontowaniu ich nie może być wogóle mowy”. Wówczas Andrzej, który w swych wędrówkach słyszał o kilku podobnych interesach, nadmieniał, że młyny mogą być puszczane w ruch bez żadnego wkładu, bo niewątpliwie znajdą się dzierżawcy, którzy je odbudują własnym kosztem i odrazu będą płacić wcale pokaźny czynsz. Pani Mazowiecka, usłyszawszy to, zaperzyła się odrazu i wsiadła na Szczerbę z burą, że nie pozwoli, aby taki młokos urządzał sobie z niej kpiny. Andrzej zapewnił, że największą krzywdę mu się wyrządza, jeśli się go posadza o drwiny i zaproponował, aby umieścić ogłoszenie w kilku dziennikach i pismach fachowych, a reflektanci

z pewnością się znajda. Pani Mazowiecka zgodziła się w końcu i z góry cieszyła się, że będzie mogła Wandzie wykazać czarno na białem, jak dalece jej benjaminek jest „niepospolitym cymbałem”. Jakież jednak było jej zdumienie, gdy oferenci naprawdę się zgłosili i zobowiązali się, pod warunkiem oddania im młynów w dzierżawę na dwanaście do ośmnastu lat, odbudować je w całości własnym staraniem i kosztem, a nadto od chwili ich uruchomienia płacić zaraz wydatny czynsz w zbożu, który miał sukcesywnie z każdym rokiem wzrastać. Po expiracji dzierżaw młyny miały wraz z całym urządzeniem maszynowem przejść na własność kłucza łanowieckiego. Pani Mazowiecka, słysząc to, nie chciała wierzyć swym uszom. Gdy jednak kontrakty zostały u notariusza podpisane, a odbudowa młynów, jazów i śluz wraz z łotokami, mostkami i łamaczami lodów rażno postępowała, Andrzej urósł w jej oczach tak wysoko, że zaczęła spoglądać na niego z niekłamanym szacunkiem.

Wiesz — mówiła nieraz do Wandy — że ten twój pupilek to naprawdę zdolna bestja. Głowę masz elma, jak ceber. Jaka szkoda, że on z chamów pochodzi,

— Przyzwyczaj się ciotuchna i do tego — odpowiadała Wanda.

— Innego rodzaju innowacją gospodarczą zaskarbił sobie Andrzej rzetelny szacunek pana Proszewskiego, którego sympatję posiadał już oddawna, dzięki bezgranicznej miłości, jaką ów stary melancholik otaczał swą jedynaczkę. Oto udało mu się za pośrednictwem Wandy nakłonić panią Mazowiecką, iż ku niepomiernej rozpacz y powiatowego

króla zbożowego p. Szlomy Schwefelgeista, nawiązała bezpośrednie stosunki z wielkimi bankami rolniczymi, które zobowiązały się nabywać całą produkcję rolną z Łanowca. Andrzej marzył także o tem, aby wieś wyrwać ze szponów żydowskich handlarzy zbożowych, lecz tam napotkał na niezrozumiały dla siebie opór. Nie pomogły wszystkie namowy, perswazje, apele do dobrze zrozumianego interesu własnego i powoływania się na obowiązki obywatelskie. Konserwatyzm chłopski pozostał wobec tego wszystkiego nieczuły, odżegnywał się od kooperatyw i banków, wietrząc w tem jakiś nieczysty interes i uważał za rzecz zupełnie naturalną i wiekową tradycją uświęconą, że nabywcą zboża, czy w domu, czy na jarmarku, może być tylko żyd. Andrzej musiał narazie dać za wygrane, przyrzekając sobie nie ustawać w pracy, dopóki żydowskiego monopolu zbożowego i na wsi nie przełamie, tymczasem zaś pocieszał się sukcesem odniesionym przynajmniej w obrębie dóbr łanowieckich.

Pan Proszewski, który był człowiekiem rozumnym i dobrym Polakiem, ale miał wstręt do wszelkiego działania praktycznego i naprawdę dobrze czuł się tylko w epoce drugiego tysiąclecia przed Chrystusem, uradował się niezmiennie, gdy się dowiedział, że jego marzenie o odżydzeniu majątku stało się faktem i nazwał raz z tego powodu Andrzeja dobrym duchem Łanowca. Był bowiem głęboko przekonany, że handlowa i przemysłowa supremacja żydów w Polsce jest główną przyczyną wszystkich jej ekonomicznych, a w następstwie i politycznych niedomagań, wskutek czego niepod-

ległość jej stała się w znacznej części fikcją, gdyż wydana jest na pastwę intryg międzynarodowych, wrogich elementów. Wierzył też, że rzeczywista i radykalna naprawa Rzeczypospolitej wtedy dopiero nastąpi, gdy większa część żydów z Polski wyjdzie, do czego może ich zmusić tylko wydarcie im tej broni, jaką jest dla nich owładnięcie całem prawie gospodarczem życiem Państwa.

Sympatja jednak i szacunek pana Proszewskiego dla Andrzeja zmieniły się w serdeczność i ojcowską niemal miłość, gdy się przekonał niebawem, że pomoc młodego człowieka w katalogowaniu jego biblioteki i zbiorów jest dla niego wprost nieoceniona. Był on bowiem wprawdzie dużej miary uczonym, mającym ustaloną pozycję w nauce, ale przytem człowiekiem w wysokim stopniu nieporadnym i we wszystkim, co zahaczało o praktykę życiową, zupełnie niesystematycznym. To też nieraz musiał mnóstwo czasu stracić i dobrze się nairytować, zanim znalazł jakąś książkę, lub jakiś, potrzebny mu w danej chwili, zabytek przedhistoryczny.

Dopiero Andrzej, otrzymawszy nominację na kustosza łanowieckiego muzeum, zaczął organizować to królestwo, owiane wonią zamierzchłych czasów, na zasadach wzorowego ładu i porządku. Dzięki wrodzonej bystrości i lotności umysłu zaznajomił się wkrótce z podstawowemi zasadami prehistorji. Nauka Monteliusa przestała być dla niego ziemią nieznana. Epoki: kamienna, bronzowa i żelazna przybrały w jego umyśle pewną treść określoną. Egzotyczne nazwy: paleolit, mezolit, neolit, Joldia, Ancylus, Litorina, Hallstatt i La Tène

straciły dla niego posmak tajemnicy. Rozmaite siekierki, groty, młoty, szpile, fibule, branzolety, naramienniki i urny zawarły z nim bliską przyjaźń.

Gdy po jakimś czasie pan Proszewski zaczął w lot otrzymywać, od swego pomocnika żądane książki i atlasy z szafy, lub wykopaliska i znalezione z gąbłotek, gdy dzięki skrupulatnie i przejrzystości prowadzonemu katalogowi malowniczy nieład zaczął znikać z pracowni, wdzięczność jego dla Andrzeja nie miała granic. — Gdy zaś Szczerbie udało się kilka razy intuicyjnie wyrazić domysły co do epoki i charakteru pewnych nieoznaczonych jeszcze zabytków i gdy drobiazgowa analiza potwierdziła słuszność jego przypuszczeń, stary archeolog orzekł, że Andrzej posiada wyjątkowy zmysł do prehistorji i że w przyszłości powinien się poświęcić wyłącznie tej „najpiękniejszej z nauk”. Wanda jednak innego była zdania.

Andrzej — rzekła — ma duży talent artystyczny. Lepiej więc, aby sam uprawiał sztukę, zamiast śledzić jej pierwociny w szczątkach dawnych kultur zagrzebanych pod ziemią. Archeologję otacza woń cmentarza, a ja i Andrzej wolimy rumieniec życia.

— Z życia to jest tylko piękne, co pozostało w grobach ciałopalnych i skrzynkowych — odpowiedział pan Proszewski. — No i ten rumieniec życia, który krasi twoje policzki — dodał z galanterją, głaszcząc pieszczotliwie twarz córki.

Z okazji swych prac nad zbiorami archeologicznymi poznał wreszcie Andrzej wielką tajemnicę domu Proszewskich, o której krążyły tylko niejasne domysły i baśnie. Oto na wiosnę ojciec

Wandy wyjechał na dłuższy czas z Łanowca, aby na Podolu zająć się odkopywaniem niezmiernie interesującej przedhistorycznej osady słowiańskiej, której ślady odkryto przy sposobności robót meljoracyjnych. Nieobecność jego w domu miała potrwać kilka tygodni. Korzystając z tego Andrzej, dłużej niż zwykle, przesiadywał w jego gabinecie, gdyż chciał zrobić staremu panu niespodziankę ukończeniem katalogowania jednej, najcenniejszej części zbiorów. Wanda, która Szczerbą nigdy dość nasycić się nie mogła, przebywała z nim razem w pracowni i towarzyszyła mu, bądź to patrząc przez jego ramię, jak swem pięknem, równem i energicznym pismem wypełniał kartki katalogowe, bądź też kołysząc się w biegunowym fotelu i przeglądając ostatnie zeszyty „Mercure de France”, bądź wreszcie spacerując po pokoju i snując ulubione marzenia, poświęcone idolowi swego serca, którego pieściła od czasu do czasu wzrokiem rozkochanym i spragnionym.

Podczas jednej z takich przechadzek po pracowni przyszło jej na myśl, że powinna Andrzejowi powierzyć tajemnicę swej rodziny, aby mu w ten sposób dowieść, że zalicza go do kręgu najbliższych sobie osób. Położywszy mu więc rękę na ramieniu i muskając delikatnie palcem jego włosy, zagadnęła go znienacka:

— Powiedz mi, czy wiesz, co jest w tej pracowni najciekawsze?

— Oczywiście. Ten mały posążek bronzowy, będący śladem prastarej kultury Mykeńskiej.

— Akuratnie! Przedewszystkiem wielkie pytanie, czy to prawda, bo uczeni często popełniają

genjalne pomyłki, a potem co mnie mogą obchodzić Mykeny i cała archeologja wraz z swoją czcigodną starością? Tu jest coś znacznie ciekawszego, coś, co tętni naprawdę czerwoną krwią życia. Czy nie zwróciłeś nigdy uwagi na tę zasłonę?

— Owszem, nieraz podziwiałem ten bardzo piękny kilim zakopiański. Ale to przecie, nie jest znów nic tak wyjątkowego. To chyba w nim uderza, że choć nie wisi nad drzwiami, ani nad oknem, urządzony jest na wzór portjery:

— Otóż właśnie. Pociągnij za sznur, a przekonasz się, co w tem jest osobliwego.

Gdy Andrzej ściągnął fałdy kilimu, zobaczył ze zdumieniem, że kryje się pod nim duży obraz w złożonych ramach, przysłonięty kirem. Kiedy zaś z polecenia Wandy usunął i ten welon żalobny, ukazał się ich oczom naturalnej wielkości portret wyjątkowo pięknej młodej kobiety, w długiej, czarnej złotemi blaszkami naszywanej sukni hiszpańskiej tancerki, okrytej ponsowym, wzorzystym szalem z długimi frendzlami. Wężowa jej kibić przeginała się ruchem pełnym napiętności i czaru w takt ognistego bollera, w ustach trzymała papierosa, a marmurowe jej ramiona, godne Afrodyty, wznosiły kastaniety ponad czarny mały kapeluszek o krótkich, prostych kresach. W tle widać było opustoszałe, kamienne miasto, namalowane w tonach oliwkowo-zielonych.

— Co widzisz? — spytała Wanda.

— Cudownie piękną kobietę, która jest dziwnie podobna do pani. Tylko z jej oczu czarnych, jak węgiel, tryska jakiś ogień niesamowity, prawie

demoniczny, a pani ma oczy błękitne, w których jest słowiańska dobroć i tęsknota.

— A ten wspaniały, potrójny sznur pereł na jej szyji i te olbrzymie brylanty w jej uszach, czy nic ci nie przypominają?

— Ależ tak. Zupełnie takie same ma pani przecież w swem biurku. Mówiła mi pani, że to spuścizna po matce.

— Bo też to jest właśnie moja matka, Dolores Mendoza y Aguerizabal, po mężu Proszewska. Trzeba ci wiedzieć, że tylko połowa mej krwi, z której tak dumna jest ciocia Mazowiecka, jest polska i senatorska. Druga, macierzysta połowa jest krwią ludu hiszpańskiego, w dodatku zmieszana z krwią Maurów. Aż tak dziwnego skrzyżowania ras jestem produktem.

— Wspaniałym — zgodnie z nauką — wymknęło się z ust Andrzeja.

— A ta róża ponsowa, którą zdeptał złoty pantofelek tancerki, to jest skrwawione serce mego biednego ojca. Bo ten cały portret, zakryty kirem, zawiera w sobie tajemnicę rodzinną Proszewskich. Nikt obcy jej nie zna. Ale tobie ją opowiem. Siadaj obok mnie i słuchaj, patrząc na obraz. Ale najpierw zamknij drzwi na klucz, aby nie weszła ciotka, lub ktoś ze służby.

Gdy Andrzej spełnił jej życzenie, Wanda rozpoczęła opowiadanie:

— To, co usłyszysz teraz, było nawet przede mną trzymane w tajemnicy. Nikt mi tego nie mówił. Zbывano mię zawsze tylko suchą wzmianką, że matka moja umarła w młodym wieku. Lecz ja, jako nieodrodna córka Ewy, jestem niestycha-

nie ciekawa, więc tak długo myszkowałam i szperałam w pokoju ojca w czasie jego nieobecności, aż wreszcie wpadł mi w ręce niewielki zeszytik, zawierający krótką historję tragedji mego ojca. Zaczyna się ona — pamiętam to doskonale — od następujących słów: „Powróciwszy po ciężkiej chorobie do przytomności, postanowiłem opisać najboleśniejszy epizod mego życia, który był tak straszny, że lepiej byłoby mi umrzeć po nim, lub stracić rozum. Niestety, żyję i jestem zdrow. Muszę opisać tę moją Gehennę, aby mieć dokument, któryby stwierdzał w przyszłości wobec mnie samego, że to wszystko było faktem, rzeczywistym, nieubłagany i nieodwołalnym. Rzecz bowiem była tak nieprawdopodobna że mógłbym kiedyś sam uważać ją tylko za wytwór chorej wyobraźni, za jakąś zmorę senną neurastenika”. Dalej następuje ta smutna opowieść, którą oczywiście podam ci tylko w streszczeniu.

Jak już wiesz, ojciec mój był niegdyś dyplomata i jako młody radca legacyjny przy ambasadzie austriackiej mieszkał przez czas dłuższy w Madrycie. Pracy miał niewiele, a pieniędzy dużo. Hiszpanki były precudne, a wino ogniste. Bawił się więc i używał życia, jak młody bóg. Znudzony sztywnemi ceremonjami dworskiemi, etykietą, bezbarwnem kosmopolitycznem życiem arystokracji i łatwemi zdobyczami wśród niepokalaných dam z towarzystwa, wymykał się nieraz w gronie wesołych kolegów, kandydatów na przyszłych Talleyrandów i Metternichów, do przedmiejskich winiarni i kabaretów, szukając nowych a silnych dreszczów. Przypadek, a raczej — we-

dług mojej wiary — przeznaczenie — zawiodło go pewnej nocy do małego teatrzyku w okolicy Puerta del Sol. Nazywał się ten lokal oczywiście „Olimpia”. Zbierała w nim co wieczora huczne oklaski młodziotka dziewczyna Dolores, na której przedsiębiorca świetny robił interes, bo pięknoscia swoją i tańcem ściagała tłumy widzów. Występowała ona w krótkiej sztuczce, ogromnie naiwnej i prymitywnej, która mimo to miała niesłychane powodzenie, bo nie o akcję dramatyczną tam szło, ale o jej grę, pozy i mimikę, a przede wszystkim o jej porywający taniec. Treść tej sztuczki była taka: Sławna tancerka madrycka zostaje zaangażowana do teatru w Sewilli i w czasie podróży do tego miasta zatrzymuje się na nocleg w oberży, położonej w bezludnej okolicy na skraju lasu. Wiezie ze sobą, jako cały swój majątek, szkatułkę z klejnotami, które w przeddzień wyjazdu otrzymała od bogatego wielbiciela. Po kolacji otwiera swój skarb, przez długą chwilę poi się niezrównanym blaskiem szlachetnych kamieni, poczem gasi światło i kładzie się spać w ubraniu. Podpatrzył jednak tę scenę przez niezastłonięte okno bandyta, który wyciska teraz szybę i wchodzi do pokoju, zalanego światłem księżyca. Tancerka zrywa się z krzykiem, lecz bandyta, grożąc jej nożem, zabiera przemocą kasetkę i gotuje się do odwrotu. Wówczas tancerka zaczyna go prosić, aby pozwolił jej przynajmniej raz jeden przystroić się w klejnoty, których nigdy jeszcze nie miała na sobie, a ona za to zatańczy mu najpiękniejszy swój taniec. Cóż mu to szkodzi? Zwróci mu przecież potem skarb bez wahania, a on zobaczy za darmo taniec, za

którym szalał cały Madryt, płacąc grube pieniądze. Tancerka była urocza, a bandyta młody, więc zgodził się chętnie. Zaczyna się taniec niezrównany, prawdziwy taniec miłości i śmierci. Podniecona straszliwą trwogą i niesamowitym żarem brylantów, tryskających snopami iskier, tancerka osiąga najwyższy wyraz swej sztuki. Bandyta olśniony i oczarowany rzuca się przed nią na kolana i żebrze o łaskę. Za cenę jej pocałunków gotów się wyrzec klejnotów, gotów nawet wyrzec się życia, jeśli mu pozwoli zerwać kwiat swojej urody. Tancerka pozornie przystaje i w chwili, kiedy bandyta chwyta ją w swoje objęcia, wpijając się wargami w jej usta, błyskawicznym ruchem wyjmuje sztylet, którym były spięte jej włosy i wbija mu w kark cienką stal aż po rękojeść. Dzikim tańcem tryumfu, odtańczonym nad trupem, kończy się krwawe widowisko.

Dolores tańczyła w tej sztuce z całym ogniem swej osiemnastoletniej młodości i swojej krwi hiszpańsko-maurytańskiej. Dzielnie sekundował jej Pedro Herrera, aktor, grający rolę bandyty, który kochał się w niej bez pamięci i był o nią do szaleństwa zazdrosny, tem bardziej, że — jak głosiła fama teatralna — owa virgo była dotychczas naprawdę intacta i nie pozwoliła mu jeszcze ani razu skosztować słodczych swych wdzięków.

Ojca mego Dolores podbiła odrazu swą fascynującą i dziką pięknnością. Zrodziła się w nim jedna z tych ostrych namiętności, które zalewają jaźń człowieka, jak potop. Postanowił pojąć ją za wszelką cenę. Narazie było to tylko pożądanie czysto zmysłowe, ale wszechwładne i trawiące, jak

pożar. Napotkał jednak na opór nadspodziewany. Nic nie pomagały wykwintne kolacje z drogiemi winami, na które zapraszał po przedstawieniu Dolores, a z konieczności jej mamę teatralną (rzeczywista matka robotnica z fabryki cygar już nie żyła, a ojciec wogóle był nieznany) i nieodstępnego Herrere, który przewracał oczyma i zgrzytał zębami, jak urodzony Otello, co jednak nie przeszkadzało mu jeść z wilczym apetytem i pić za cały szwadron karabinierów. Za wszystkie swe zabiegi uzyskiwał ojciec zaledwie zdawkowy uśmiech życzliwości, podczas gdy Pedrowi dostawały się wszystkie ognie jej spojrzeń. Dopiero zamówienie portretu tancerki — tego właśnie, który tu widzisz — u samego wielkiego Ignacia Zuloagi zdołało jej za imponować i zmiękczyć nieco jej serce. Podczas długich godzin pozowania nastąpiło zbliżenie pomiędzy młodą dziewczyną a przystojnym, bogatym i wytwornym arystokratą. Pedro nie mógł im przeszkadzać, bo artysta stanowczo sprzeciwił się jego asyście przy malowaniu, wyczekiwał więc zwykle na Dolores na ulicy, lub ze zgryzoty zapijał się w najbliższej winiarni. Ta ciągła kontrola z jego strony była dla ojca tem przykrzejsza, że początkowa jego, wyłącznie zmysłowa namiętność przerodziła się wkrótce w prawdziwą, głęboką miłość dla tancerki. Nie pożądał już teraz tylko jej ciała, ale zapragnął złączyć z nią na zawsze swe losy. Raz, gdy wyszli z pracowni Zuloagi, korzystając z rzadkiej chwili zupełnego sam na sam, na schodach oświadczył się o jej rękę. Zaskoczona tem i oszołomiona Dolores nie dała mu narazie żadnej odpowiedzi, lecz z zachowania się jej wyczuł, że

zdołał ją już zdobyć ostatecznie. Według odwiecznego prawa serc ludzkich, wielka i pełna poświęcenia miłość zrodziła miłość wzajemną. Chcąc jej złożyć realny dowód swych uczuć, ojciec zdobył się na krok szalony. Ofiarował jej jako dar zaręczynowy ten drogocenny, potrójny sznur pereł i brylantowe kolczyki, które u mnie widziałeś, mówiąc, że sprawi mu to przyjemność, jeśli Dolores, jak długo jeszcze pozostanie na scenie, występować będzie w prawdziwych klejnotach, a nie w tych szkiełkach, których dotąd używała. Wprawdzie na pokrycie nieprawdopodobnie wysokiej ceny kupna trzeba było zaciągnąć bardzo dotkliwą pożyczkę na dobra łanowieckie, ale ojciec nic sobie wówczas z tego nie robił.

Kochankowie czekali już teraz tylko na dogodną chwilę, aby się pobrać. Sposobność nadarzyła się niebawem. Trupa, do której należała Dolores, miała wyjechać na dłuższy czas do Barcelony. Z polecenia przedsiębiorcy Herrera, jako człowiek w tej gromadce histrjonów najbardziej solidny, miał podążyć naprzód z dekoracjami, kostjumami i innemi rekwizytami teatralnemi. Uczynił to dopiero pod groźbą dymisji, klnąc na czem świat stoi, a przedtem oddał Dolores pod czujną opiekę jej teatralnej mamy i swego najlepszego kolegi-przyjaciela. Reszta trupy miała przybyć do Barcelony za trzy dni. Gdy nadszedł termin, istotnie wszyscy wyjechali, ale nie wszyscy w jednym kierunku. Teatralna mama i przyjaciel, złączeni wspólną obawą przed zemstą Herrery, drapnęli do Paryża, zaopatrzeni przez ojca tak hojnie, że śmiało mogli żyć przez kilka lat bez pracy. Dolores

zaś wraz z ojcem, który wziął dłuższy urlop z ambasady, znaleźli się we Florencji, gdzie w kościele del Carmine, w kaplicy Brancaccich odbył się ślub, któremu błogosławiły postacie pierwszych rodziców, świętych i apostołów z czcigodnych fresków Masaccia i Filippina Lippi'ego. Mezaljans ten wywołał straszliwe oburzenie w całej naszej bliższej i dalszej rodzinie, lecz ojciec przetrwał burzę ze stoickim spokojem, tem łatwiej zresztą, że był zupełnie samodzielnym panem swojej fortuny i że nie potrzebował się lękać jakichkolwiek przykrych następstw finansowych.

Rozpoczął się najszcześniejszy okres w życiu mego ojca, a zapewne także i matki.

Miłość obopólna rozpięła nad ich głowami lazururowe niebo nieustającego zachwyty i szczęścia, którego nigdy żadna nie zmąciła chmurka. Po kilku miesiącach pobytu we Włoszech wrócili rodzice do Madrytu. Żyć mogli zupełnie spokojnie, ponieważ ojciec dowiedział się za pośrednictwem detektywów, że Pedro wraz z swoją trupą, w której miejsce matki zajęła słynna Guerrero, udał się na tournée po Europie, mające trwać conajmniej rok. „Gdyby zaś nawet — myślał mój ojciec — pojawił się wcześniej, to i tak niełatwo mógłby nas odkryć, jeżeli nie będę wychylał się poza obręb mojej sfery, bo nazwiska mego, ani zawodu nie zna, a w teatrze znany byłem jako przejezdny lord angielski“. Mimo to ostrożności wszystkie zostały zachowane. Ojciec wynajął stary pałac, w którym prócz rodziców i służby nikt inny nie mieszkał. Urządził to mieszkanie z niesłychanym przepychem. Sypialnia mieściła się w dawnej kaplicy,

której gotyckie, wachlarzowe sklepienie opierało się na stojącej w środku marmurowej kolumnie. Dla zrozumienia dalszego toku wypadków dodam, że kilka kroków od niej, przy ścianie, na której wisiał ten portret Zuloagi, stało majestatyczne, barokowe łóżko małżeńskie, zrobione z hebanu, wspornikami inkrustowanego kością słoniową i perłową masą. Nakryte było ogromną kapą z futerek grodnostajowych. Kamiennie ściany i kamienną posadzkę wyścielały grubo kosztowne dywany perskie. Z tego pałacu-klasztoru matka nie wychodziła prawie nigdy, a jeśli się ukazywała na ulicy, to nie inaczej, jak w zamkniętej karecie, w teatrze zaś tylko w głębi łoża i to zawsze zasłonięta gęstym woalem lub wachlarzem. W towarzystwach nie bywała prawie wcale, wobec tego, że edukacja jej nie była jeszcze ukończona. Mimo tego życia prawie zakonnego matka czuła się zupełnie szczęśliwa, bo miłość wypełniała dni jej po brzegi. Po roku ja przyszedłam na świat. Zdawało się, że wzajemny stosunek moich rodziców, wzmocniony tym nowym, silnym węzłem, utrwalony jest już na zawsze.

Nagle nastąpiła rzecz nieprzewidziana. W czasie kilkudniowej nieobecności ojca, który w interesach służbowych musiał wyjechać do Lizbony, matka wyczytała przypadkowo w dzienniku, że Guerrero prędkiej, niż się spodziewano, wróciła do Madrytu, i że wraz z swym partnerem Herrera występuje w tej samej sztuce, w której niegdyś ona, Dolores, święciła tryumfy. Matka nie mogła się oprzeć pokusie. Nie o Pedra jej szło, który zobojętniał już jej zupełnie, ale o scenę, o taniec,

o tę upajającą atmosferę, w której doznała pierwszych najsilniejszych wrażeń młodości. Wymknęła się więc do teatru, szczególnie zawoalowana, w towarzystwie bony, która uczyła ją po polsku. Odtąd w życiu matki nastąpiła odmiana stanowcza. Zaraz po powrocie z teatru — jak później, już po katastrofie, opowiadała bona — przebrała się w kostjum tancerki, ustroiła się w swoje klejnoty i przed lustrem zaczęła tańczyć, aby się przekonać, czy nie zapomniała tej sztuki, w której tak niedawno jeszcze była niezrównaną mistrzynią. Gdy ojciec powrócił, spostrzegł odrazu, że w życiu duchowem jego żony dzieje się coś niezwykłego. Dolores była cicha, smutna, blada i tak wyłącznie opanowana jakąś myślą, że nieraz nie rozumiała, co do niej mówił. Często przyłapywał ją na tem, że obojętna i głucha na wszystko, co się dokoła niej działo, długie chwile spędzała przed swym portretem, a potem wybuchała spazmatycznym płaczem. Widocznie trawiła ją straszna rozterka i jakaś nieukojona tęsknota. Po kilku tygodniach takiej męki matka nie mogła już zapanować nad sobą. Pewnego dnia, gdy ojciec ją błagał aby mu powiedziała, co ją dręczy, wyznała, że musi wrócić do teatru i do swojej sztuki tanecznej, bo czuje, że umrze, jeśli tego nie uczyni. Wówczas ojciec oświadczył, że nigdy się na to nie zgodzi, i że musi wybrać między nim a teatrem. Na to usłyszał smutną, ale stanowczą odpowiedź, że jeśli kwestję stawia tak na ostrzu miecza, to ona wybiera teatr, bo nie jest to dla niej wybór pomiędzy sceną a miłością, ale pomiędzy sceną a śmiercią. Dotknięty do żywego ojciec odwołał się do swoich praw męża, do

posłuszeństwa, które mu żona ślubowała i oznajmił, że żąda, aby się wyzbyła swych niedorzecznych marzeń. Zapowiedział nadto, że, aby jej to ułatwić, postanowił wystąpić ze służby dyplomatycznej, porzucić Madryt i wrócić do Polski, gdzie będą żyli zdala od teatralnych pokus i hiszpańskich tańców.

Matka pozornie uległa i pogodziła się z swym losem. Była tylko coraz cichsza i smutniejsza, a po jakimś czasie zaczął się w jej oczach żarzyć ogień jakiejś niesamowitej, grozę siejącej gorączki.

Wreszcie grom uderzył. Gdy raz ojciec wrócił późną nocą z klubu, gdzie przyjaciele dali na cześć jego pożegnalny bankiet i gdy stanął w drzwiach sypialni, odrazu zdziwiło go, że lampa, przyćmiona abażurem, która normalnie była przytwierdzona do marmurowej kolumny, wisiała teraz nad łóżkiem, rzucając na nie jasne światło, podczas gdy reszta pokoju tonęła w mroku. Co się działo na łóżku, narazie nie mógł dojrzeć, bo mu je zasłaniał wysoki parawan. Dopiero, gdy postąpił kilka kroków naprzód, zobaczył widowisko okropne, jakby przez samego szatana wymyślone. Jego przebóstwiona Dolores, jego żona wierna i czysta, jak te gronostaje, któremi była nakryta, leżała w objęciach Pedra!

Ojciec krzyknął straszliwie, a przez głowę jego, jak błyskawica, przeleciała myśl: zabić ich oboje, a potem siebie. Zanim jednak zdążył sięgnąć do kieszeni po rewolwer, wyskoczyło z poza kotary, wiszącej nad drzwiami do sąsiedniego pokoju dwu zbirów, którzy obezwładnili go, skrępowali mocnymi sznurami i przywiązali do kolumny,

a następnie znikli. Teraz dopiero doszła do szczytu torturą, przechodząca swą potwornością wszystko, na co kiedykolwiek zdobyła się inkwizycja hiszpańska. W oczach męczennika, najnieszczęśliwszego z ludzi, Dolores i Pedro zaczęli się oddawać najdzikszej i najbardziej wyrafinowanej rozpuście. Ona czyniła to z jakąś tragiczną biernością i fatalistyczną, krew w żyłach ścinającą determinacją, on z cynizmem i okrucieństwem długo tłumionej nienawiści i żądzы zemsty. Ojciec wył z bólu, szarpał się tak, że sznury raniły mu ciało, do krwi rozgryzał język, lecz jęki jego ani na chwilę nie przerwały piekielnej vendetty, owszem podniecały jeszcze namiętność Pedra, potęgując jego żądzę do stanu bezprzytomnego szału wyuzdania. Po jakimś czasie ojciec uspokoił się i zamilkł. Stało się z nim coś dziwnego. Jak pisze w swym pamiętniku, mózg jego zachował świadomość tak pełną, że każdy najdrobniejszy szczegół przerażającej sceny, na którą patrzył, utrwalił się w nim z wiernością kliszy fotograficznej. Natomiast władze czuciowe i uczuciowe zostały w nim jakby sparaliżowane. Teoretycznie tylko wiedział, że to, co się przed nim dzieje, jest czemś monstrualnem i przeciwnem naturze, nie miał jednak żadnego poczucia, że to jego jak najbardziej osobście dotyczy. Zdobył się nawet na pewnego rodzaju naukową ciekawość, z jaką badacze obserwują rzadkie i zdumiewające zjawiska przyrody. — Tylko temu znieczuleniu całej emocjonalnej sfery swej psychiki zawdzięcza, że nie oszalał.

Po kilku godzinach dopiero skończyła się męczarnia. Dolores kazała słaniającemu się z wy-

czerpania Pedrowi opuścić pokój. Wyszedł zataczając się, jak zbity pies, skulony i przygnieciony nadmiarem krzywdy, wyrządzonej człowiekowi. Ona wstała również, ubrała się w ubogą, panieńską sukienkę, w której przed półtora rokiem przyszła do ojca i w skromny płaszcz z tych samych czasów, a potem uklękła przed mężem, wciąż jeszcze trwającym w stanie psychicznego bezwładu, okryła pocałunkami i zwilżyła łzami jego ręce, kolana i stopy, a potem tak przemówiła.

— Nie błagam ciebie o przebaczenie, bo wiem, że zbrodni, którą popełniłam nie tylko człowiek przebaczyć nie może, ale nawet Bóg. Uczyniłam to, abyś mnie znienawidził, aby wykopać przepaść między tobą a sobą. Wiedziałam, że nigdy nie zgodzisz się, abym wróciła do teatru i wiedziałam, że, gdybym uciekła od ciebie, nie spocząłbyś, dopóki byś mnie nie odszukał. Lecz teraz umarłam już dla ciebie na zawsze. Musiałam zdobyć się na tę okropność, przeciw której buntowała się każda komórka mego ciała i każdy atom mej duszy, bo innego wyjścia dla mnie nie było. Musiałam zabić twoją miłość. Ja ciebie kochałam, jak największą świętość życia, kocham i kochać będę do końca dni moich. Nie myśl, że Pedro jest moim kochankiem. Był mi obojętny, a teraz jest mi nienawistny. Użyłam go tylko jako narzędzia, i przysięgam ci, że ani on, ani żaden inny mężczyzna, nie dotknie mnie nigdy, bo do ciebie wyłącznie należę. Lecz wyprowadziłeś mnie na szczyt zbyt wysoki. To powietrze, którem mnie otoczyłeś, jest za czyste i za rzadkie dla moich płuc. Dusiałam się w niem. Tęsknię do atmosfery, w któ-

rej wyrosłam, do atmosfery nerwów, namiętności, ułudy, sztuczności i blichtru, do tego dziecinnego królestwa nędzy, udającej wielkość, dostojęństwo i szczęście. Muszę upajać się tańcem i wyżywać się w nim. Potrzebuję blasku, hołdów i oklasków. Żegnaj mi więc na zawsze!... Wiem, że córkę naszą pod dobrą zostawiam opieką. Niech się nie dowie nigdy, kim była jej matka. Żegnaj mi, jasny promieniu mego życia, zapomnij o mnie!

Po tych słowach znów przyłgnęła ustami do jego nóg i rąk i wyszła z pokoju. Nie zobaczył jej już nigdy w życiu. Nim opuściła dom, kazała służbie uwolnić męża z więzów i przywołać lekarza.

Ojciec przypłacił to przejście ciężką chorobą. Dostał zapalenia mózgu i przez trzy miesiące walczył z śmiercią. Wyzdrowiawszy, wrócił do kraju i osiadł w Łanowcu, gdzie żył, jak pustelnik, zupełnie złamany na duchu i do niczego niezdolny, pogrążony w melancholji, apatji i mizantropji. W zimie siadywał nieruchomy w swoim pokoju, wpatrzony bezmyślnie w ogień na kominku, w lecie całemi godzinami leżał w parku nad brzegiem potoka, śledząc migotliwe odbicia promieni słonecznych w wodzie. Z odrętwienia obudziła go dopiero po czterech latach przesyłka z Madrytu, w której przyjaciel z ambasady doniósł mu o śmierci Dolores. Dołączył wycinki z gazet i list matki z adresem „Do mojego męża, Marcelego Proszewskiego”. List ten, przechowany przez ojca wraz z pamiętnikiem, jest całkiem krótki. Umiem go na pamięć: „Sama wymierzam sobie karę za straszliwą zbrodnię, której dopuściłam się wobec ciebie. Nie chcę, jak upiór ciążyć nad tobą i nad młodością

mej córki, przeto odchodzę dobrowolnie. Piekło, w które wierzę, będzie mi rajem, bo niema kary tak ciężkiej, iżby dorównała męce, jaką z mej winy wycierpiałeś. Jeśli możecie, módlcie się za mą duszę". W dziennikach patetyczno-szablonowym stylem reporterskim opisane było samobójstwo i ekscentryczny tryb życia sławnej tancerki, która w teatrze porywała tłumy pięknnością, ogniem, namiętnością i demonizmem jakiejś tragicznie tłumionej rozpacz, poza sceną zaś pędziła żywot zakonnicy, oddana postom, umartwieniom i modlitwie. Na swój wieczór benefisowy wybrała pantomimę „Bandyta", w której od chwili powrotu na scenę ani razu nie występowała. Przyćmiła wtedy znakomitą Guerrero. Jej sława doszła dnia tego do zenitu. Po powrocie z przedstawienia do domu, odebrała sobie życie przez wstrzyknięcie pod skórę dużej dawki morfiny. Cały, dość duży majątek, jaki zostawiła, zapisała na schronisko dla prostytuttek, pragnących wrócić do uczciwego życia.

Odtąd nastąpiła w usposobieniu ojca odmiana. Stał się takim, jakim znasz go obecnie. Możliwość duchowego obcowania ze zmarłą żoną i łączenia się w modlitwie z jej bolesnym cieniem, stała się dlań ratunkiem, nie zdejmując zresztą z niego piętna nieuleczalnego smutku. Jako wynik doświadczenia, pozostała mu też zasada niesprzeciwiania się w niczem ukochanej kobiecie, zasada, którą do mnie w całej pełni stosuje. Z czasem znalazł osłodę swego męczeńskiego życia w namiętności do archeologii. Instynkt pozagrobowy zawiódł go do tej cmentarnej nauki, wonią prastarych grobów owianej.

— Taka była moja matka! — kończyła Wanda opowiadanie z odcieniem dumy w oczach. Tak bardzo miłowała swobodę, tak tragiczna była w grzechu i tak wielka w pokucie. Czy nie boisz się mnie, takim obciążonej dziedzictwem?

— Nie boję się, bo... — tu Andrzej zaciął się i nie dokończył zdania — a powtóre dlatego, że więcej jest w pani krwi polskiej, niż tamtej. Ta ziemia wychowała panią od dziecka, darząc panią owocami swego łona i powietrzem swych pól i lasów. Tej zaś ziemi polskiej odwiecznem prawem jest dobroć i wierność.

V.

Rozmaite zajęcia, które Andrzej spełniał w łanowieckim dworze, nie przeszkadzały w niczem nauce, będącej w obecnem jego życiu zawsze na pierwszym planie. Zapału do niej nie zmniejszał też fakt, że i bez upragnionego patentu, do którego zdążał, żył się już najściślej z rodziną Proszewskich i był ogólnie uważany za jej członka. Dalej więc odbywały się jak najregularniej lekcje z Wandą, które ciągle były dla obojga źródłem czystej a mocnej rozkoszy, dając im nieustającą możność przebywania w oderwanej od praktycznych spraw świata sferze intelektualnej, silnie zabarwionej tonacją uczuciową, wyzwalającą się za każdym razem w chwili kojarzenia się ich dusz.

Rezultat tej swoistej metody pedagogicznej był zupełnie nadzwyczajny. Duchowo i etycznie Andrzej już po kilku miesiącach stał się człowiekiem wszechstronnie dojrzałym, zdolnym do odczuwania i głębokiego wewnętrznego przeżywania najsubtelniejszych drgnień psychicznych, jakie przynosi wysoka, na wiekowej tradycji wsparta cywilizacja. Był on, jak roślina szlachetna, która przedtem marniała, przygłuszona chwastem i burzanami pospolitej codzienności życia, a teraz przesadzona

w grunt odpowiedni, i hodowana czułą dłonią pełnego miłości ogrodnika, zaczęła wypowiadać treść swą najistotniejszą lśnistą zielenią liści i przepychem kwiatów. Dwa głównie elementy były tego rozrostu wspaniałego motorami: kryształowy idealizm, wyniesiony z ciągłego a bezinteresownego, obcowania z ziemią od najwcześniejszej młodości, wykarmiony ścisłym, instynktownym i nieuświadomionym, a silnym, jak śmierć, związkiem z macierzystą glebą, nawiany, jak pył kosmiczny, na duszę jego wiewem tajemniczym idącym od pól, jak morze falujących, od szumiących lasów, od kwiatnych łąk, od wschodów i zachodów słońca, od rosy ponocnej i od hypnotycznych światel księżyca i gwiazd — a dalej wrodzony, niezbadany, zrządzeniem sił zaświatowych ofiarowany mu talent twórczy, zmuszający go do widzenia w każdym zjawisku samej najgłębszej istoty rzeczy i do uświadamiania go sobie w skończonej, zmysłami uchwytej formie duchowego obrazu.

Teraz, gdy zamknęły się za nim wrota poziomych trosk i prac i gdy lekkim, swobodnym krokiem wszedł na łąkę jasną wewnętrznego życia, zalaną pełnym, a niepalącym blaskiem słońca, wstrząsał nim bezustanny, płodny dreszcz ekstazy w której odkrywał co chwila nowe, zakryte dotąd przed nim oblicze wszechrzeczy. Odczuwał ciągły przypływ wielkiej siły duchowej i dochodził do takich stanów podniecenia psychicznego, iż doznawał wrażenia wyrastania skrzydeł u ramion i ogarniała go nieprzeparta żądza lotu, której tylko ostatecznego kierunku narazie oznaczyć nie umiał.

W niższej sferze świadomości, wyłącznie inte-

lektualnej, odbywała się dalej dziwna emulacja pomiędzy uczniem a nauczycielką. Ona usiłowała dać mu jak najwięcej, w formie jak najbardziej skondenzowanej, on zaś chciwie chwycił nowe zakresy pojęć i wchłaniał je intuicyjnie, zanim jeszcze zostały sformułowane — tak że nigdy nie miał uczucia dosytu. Niebawem też zaobserwowała Wanda objaw, który ją zarazem ucieszył i zaniepokoił. Oto spostrzegła, że całe szeregi wiadomości, które w jej umyśle leżały osobno, jakby w oddzielnych komórkach, w świadomości Andrzeja układały się natychmiast w całość organiczną i harmonijną. Odkrywał związki, których ona nie przeczuwała, analogie, których wcale nie podejrzewała, wnioski, które jej na myśl nie przychodziły. Przekonała się niebawem, że umysł Andrzeja ma charakter wybitnie syntetyczny, którego jej nie dostaje, i że to, co ona obejmuje tylko pamięciowo, a więc czysto zewnątrznie, w najlepszym zaś razie kombinacyjnie, on bierze odrazu od wnętrza i stwarza sobie w ten sposób system, zwarty przejrzysty i wszechstronny.

Andrzeja nęciły szczególnie nauki przyrodnicze i literatura. Wiedzę przyrodniczą witał i wchłaniał, jak objawienie, jako częściowe zaspokojenie oddawna podświadomie odczuwanej potrzeby uchylenia rąbka tej zasłony, która zakrywała przed nim zazdrośnie tajemniczą pracę natury, ów cały olbrzymi przez tysiące wieków ciągnący się łańcuch rozwoju od nieożywionego pozornie świata głazów poprzez królestwa roślin i zwierząt aż do człowieka, jako ostatniego narazie etapu w pochodzie przemian tej samej niezbadanej siły. Literaturę

i sztukę uważał jako dalsze stadium tego samego przyrodniczego procesu. Swobodna i w najwyższych swych objawach nieświadoma twórczość duszy ludzkiej była dlań w zasadzie identyczną z nieświadomą twórczością roślin, jaką wykazują przy odżywianiu i rozmnażaniu, lub pszczoł czy mrówek, budujących swe państwa na podstawie omroczonych tajemnicą praw gromadnego doświadczenia. Instynkt twórczy i sztuka człowieka były w jego oczach tylko kontynuacją i dalszym rozwojem instynktu twórczego i sztuki przyrody, których uderzające ślady wszędzie były widoczne.

Gdy Wanda w czasie pogadanek na ten temat zarzucała mu, że obniża godność sztuki, która jest przecież bezpośrednią emanacją metafizycznych sił świata, podczas gdy przyroda pograża się głęboko w grubej materji, Andrzej z zapalem bronił swojej tezy, twierdząc, że nie widzi żadnego rozłamu pomiędzy duchem a materją, że to jest absolutna jedność, nie tylko dwa różne oblicza tej samej rzeczy, ale wprost dwie funkcje, dwa momenty, dwie cechy zasadnicze tej samej ponadżyciowej, a raczej właśnie głęboko życiowej istoty, i że z tego powodu w najlichszym kwiecie polnym Bóg objawia się z tą samą oczywistością, co w Ajschylosowym „Prometeuszu spętanym” lub w „Improwizacji” Mickiewicza.

Kiedy Andrzej, znajdując bardzo wątle tylko punkty zahaczenia w studjowanych podręcznikach szkolnych, samodzielnie, jakby w natchnieniu, rozwijał te teorie, które były jego wyłączną własnością, bo od nikogo ich nie przejął, a o stworzeniu już analogicznych poglądów narazie nic nie wie-

dział, Wanda z jednej strony napełniała się dumą, że nie zawiodła się na nim, że nie oszukały jej te przepiękne duże oczy, czasem orzechowe, a czasem czarne, z których przemawiała dusza wysoka i lotna, z drugiej strony jednak nie mogła oprzeć się uczuciu pewnego rozczarowania, bo zorientowała się szybko, że umysł ten ją przerasta i zachowuje takie wybitne piękno swej oryginalnej indywidualności, iż o zasymilowaniu go psychicznem, a już zgola o ujarzmieniu, o „wychowaniu go sobie na męża” wogóle nie może być mowy.

Andrzej budził w niej jednak taki zachwyt, gdy mówił „*numine afflatus*”, do jego piękności fizycznej przyłączała się tak wspaniała piękność duchowa, że rozkosz stąd płynąca wynagradzała ją poniekąd za zawód, jakiego doznawała jej imperjalistyczna w stosunku do niego zaborczość umysłowa i etyczna.

Wanda spostrzegła niebawem, że jej rola nauczycielska staje się coraz bardziej skromna. Książki wystarczały jej uczniowi zupełnie i doskonale mógł się obywać bez pomocy i wyjaśnień. Jeśli mimo to wspólne lekcje odbywały się dalej, to nie tyle z realnej potrzeby, ile dlatego, że trudno im było przez kilka choćby godzin żyć oddzielnie, głównie zaś dla uduchowionych powodów owej miłości intelektualnej, która w tych godzinach pracy obejmowała ich dusze swojemi rajskimi skrzydłami.

Jeden tylko mieli kłopot, z którym, ani rusz, nie mogli sobie dać rady: wyższe regiony szkolnej matematyki, fizyki i chemji była dla Wandy księgą hermetycznie na siedm pieczęci zamkniętą. An-

drzej zaś, mimo całej bystrości umysłu, wspieranej nadto przez silnie u niego rozwinięty zmysł rzeczywistości, znajdował w książkach zbyt wiele luk i niedopowiedzeń, których sam sobie uzupełnić nie umiał. Wanda zawsze nienawidziła tych przedmiotów były one w gimnazjum jej najsłabszą stroną, a jeśli wybaczone jej postępy w tym zakresie mniej niż dostateczne, to tylko z uwagi na jej wybitne zdolności do języków i humanistyki. To też ludzi takich, jak Euklides. Pitagoras, Archimedes, Galileusz, Keppler, Torricelli, Volta, Bunsen, Ampère, Faraday etc. uważała zawsze za swych osobistych wrogów, a gdy się wyzwoliła z pod ich władzy, z rozkoszą zapomniała natychmiast to wszystko, co nazywała „sinusowo-cosinusową torturą”. Z całego ogromu praw, reguł i formułek, które przez szesnaście półroczy wtłaczano w jej głowę, zostały się zwyczajem tylko cztery sakramentalne działania rachunkowe, przyczem tabliczka mnożenia w dalszym ciągu uważana była za rzecz wyjątkowo złośliwą i podstępą.

Teraz przeklinała swoje lenistwo i nieuctwo matematyczno-fizyczne, bo znalazła się wobec konieczności, że ktoś inny będzie musiał Andrzejowi nauki te wyłożyć. Było to zaś dla niej przykrością dotkliwą, bo miała zazdrosną ambicję, aby ałą swoją wiedzę jej wyłącznie zawdzięczał. W dodatku żaden z profesorów gimnazjalnych nie mógł do dość odległego Łanowca dojeżdżać, groziło więc to, że Szczerba będzie musiał na czas dłuższy wyjechać do miasta, aby tam uzupełnić swoje wykształcenie. Na to panna Proszewska za żadną cenę nie chciała się zgodzić, bo krótka chociażby

rozłąka z Andrzejem wydawała się jej zbyt ponurą tragedją.

W tem zmartwieniu szczęśliwy przypadek przyniósł obojgu wyzwolenie. Zdarzyło się właśnie, że zjechał wówczas do Łanowca niejaki pan Jakób Borończak, filar i potentat jednej z wpływowych w odrodzonej Polsce partyj chłopskich. Był to syn miejscowego, ubogiego, bo ledwie kilkumorgowego, gospodarza. O chłodzie i głodzie, dzięki zawziętej żądzy wybicia się, utrzymując się z korepetycji, przepchał się przez gimnazjum i uniwersytet i tuż przed wojną światową został nauczycielem w szkole realnej. Później, gdy — jak mawiał — „Polska wybuchła”, uznał, że zawód profesorski zbyt jest nudny i mało intratny, więc oddał się cały na usługi swego stronnictwa, które oszołomione władzą, jaka mu się w ręce dostała, z powodzeniem przeprowadzało w praktyce zasadę, że mądra polityka polega przede wszystkim na obsadzeniu wszystkich kierujących stanowisk swoimi ludźmi i na pomaganiu im do szybkiego wzbogacenia się, podczas gdy ideowy program i państwowa racja stanu są rzeczami zupełnie drugorzędnymi, które kiedyś, jakoś same się załatwią. Pan Borończak na działalności politycznej wcale niezgorzej wyszedł, bo w krótkim czasie, stosując w sposób racjonalny ustawę o reformie rolnej, został właścicielem kilkuset morgów pola w rozmaitych częściach kraju, a nadto dzięki umiejętnym spekulacjom walutowym, dwie zgoła postawne kamieniczki przyozdobiły się w tabuli na karcie własności jego jędrnem nazwiskiem.

Z wrodzonej skromności nie chwalił się tem młody polityk przed ludźmi, owszem demonstra-

cyjnie przed światem obnosił swoją „chłopską biedę”, nabrał jednak nadzwyczajnej pewności siebie, a ambicje jego stały się wprost bezkresne. Był, jak żołnierz napoleoński, który nosi w tornistrze buławę marszałkowską. Najbliższym jego ideałem (odległych wogóle nie uznawał) stał się bogaty ożenek i wejście do Sejmu, jako stopień do dalszych godności. Właśnie w sprawie tego mandatu rozbił na czas dłuższy swoje namioty w rodzinnym Łanowcu, bo zarząd partji postanowił przy najbliższych wyborach zdobyć dla siebie małopolskie kresy wschodnie i z tego powodu polecił Borończakowi jako tamtejszemu krajanowi, doskonale znającemu stosunki lokalne, rozwinąć wcześniej akcję agitatorską, do której, jako nie liczący się z żadnymi skrupułami demagog, doskonale się nadawał. W nagrodę za pracę miał zapewniony mandat do Sejmu. Ponieważ zaś z zasady łączył piękne z pożytecznem, więc do spółki z kilku podobnymi sobie, „ideowymi” Argonautami znalazł w tamtych stronach tak lukratywny interes, jak parcelacja kilku majątków ziemskich, które przepłoszeni obszarnicy dobrowolnie „na cele wykonania reformy rolnej” oddali.

Wanda знаła Borończaka oddawna, bo chodził równocześnie z nią do gimnazjum, tylko o kilka klas wyżej. Nie mogła nigdy znieść „tego niezgrabiasza Kubusia” z powodu jego wyjątkowej wprost ordynarności i płaskości poglądów, jaka zawsze go cechowała, chociaż mimowoli odczuwała pewien szacunek dla niego, widząc, „chamski upór”, z którym piał się w górę, urągając wszelkim przeciwnościom i przeszkodom. On przeciwnie oka-

zywał jej bezwiednie cześć biednego chłopaka wiejskiego dla pięknej i bogatej córki dziedzica. Nieraz też, nieproszony, wyświadczał jej drobne usługi w postaci odnoszenia do domu zbyt ciężkiego ładunku książek szkolnych, lub odprowadzania jej w zimowe wieczory z późnych lekcyj gimnastyki czy śpiewu. Uczeń Borończak słynał wówczas w całym gimnazjum jako najlepszy matematyk i fizyk, a zostawszy nauczycielem, tych właśnie przedmiotów w szkole realnej uczył.

Wanda, dowiedziawszy się o przyjeździe Borończaka do Łanowca, wpadła na pomysł, aby w swem ciężkiem zmartwieniu uciec się do jego pomocy. Małą wprawdzie miała nadzieję, by spanoszony i na gwałt wzbogacający się eksnauczytel chciał zgodzić się na jej propozycję, postanowiła jednak w każdym razie spróbować szczęścia. Złożywszy więc pychę z serca i wrodzoną dumę przyciosawszy w kształt skromnej pokory, poszła pieszo, aby widokiem powozu nie drażnić oczu chłopskiego radykała, do Canossy, to jest do chaty, w której mieszkał dawny jej kolega. Szła ze wstrętem i kilka razy miała ochotę zawrócić z drogi, ale myśl, że ponosi tę ofiarę dla Andrzeja, dodawała jej siły wytrwania.

Gdy zapukała do drzwi izby, którą jej jakiś obdarty i zamorusany malec wskazał jako mieszkanie Borończaka, usłyszała rzucone gniewnym basem niezbyt zachęcające zaproszenie.

— Po kiego diabła tam się tłuczecie? Chodźcie i tyle!

Weszła więc, lecz z miejsca uderzyła się o zbyt niskie nadproże, a w dodatku ogarnął ją

taki zaduch nieprzewietrzanej izby, zmieszany z dymem kiepskiego tytoniu, że czuła się bliska zemdlenia. Po chwili dopiero zobaczyła Borończaka, siedzącego przy stole, tyłem do wejścia, bez surduta i w długich, zabłoconych butach, przerzucającego stosy porubrykowanych papierów i rachującego zawzięcie. Nie odwrócił się wcale i dopiero gdy poczuł niezwykłą dla siebie woń naperfumowanej chusteczki, którą Wanda zaślониła sobie nos, wstał raptownie, a ujrzawszy wykwintną damę i nie poznając jej zrazu, podszedł ku niej z widocznem zaciekawieniem. Po drodze kopnął uwijającego się po izbie prosiaka, który uciekł z kwikiem, zostawiając namacalny i wyczuwalny dowód swego przerażenia.

— A to sama jaśnie panna dziedziczka raczyła nawiedzić moje niskie progi — powitał iro-
nicznie Wandę. — Co za zaszczyt! Proszę, proszę
siadać.

To mówiąc, otarł dłonią ławę, poczem jął bez
pośpiechu zapinać rozchełstaną koszulę, z pod któ-
rej wyzierały czarne kudły na piersi, i naciągać
obielony o ścianę surdut.

— A, pani pewnie chce parcelować Łano-
wiec. Doskonale, załatwimy to szybko i gładko.

— Nie. Interesami majątkowymi nie zajmuję
się. Przyszłam w sprawie pana Andrzeja Szczerby.

— A, słyszałem, słyszałem, że się pani nim
zaopiekowała. No, proszę, ktoby myślał. Z pol-
ską szlachtą polski lud. Swego czasu dla jednego
syna ludu nie była pani tak łaskawa. Ha, trudno.
Man muss schön sein und Szczerba heissen.

Wanda w milczeniu połknęła zniewagę tej aluzji.

— Coprawda — ciągnął dalej Borończak — nie wiele sobie obiecuję po tych synach chłopskich, którzy na łasce pańskiej wyjechali w górę. Dla ludu naprawdę coś zrobić mogą tylko tacy, którzy, jak ja, wszystko zawdzięczają własnej pięści i łepiecie. — Tu wyciągnął olbrzymią, niekształtną pięść, gęsto porośniętą czarnymi włosami, a potem, rozwarłszy ją na płask, palnął się dłonią silnie po szerokiem a niskiem czole, wygiętem ponad oczami w energiczne guzy. — Ale cóż ja właściwie mogę zrobić dla pani Jędrusia? — zapytał po chwili.

— Andrzej przygotowuje się prywatnie do matury. Wszystkich innych przedmiotów sama go uczę, ale z matematyką i fizyką nie możemy sobie poradzić. Przyszedł więc poprosić, aby pan zechciał udzielać mu tych przedmiotów.

— Fi fi fi — zagwizdał Borończak — a to się pani dobrze wybrała! Ja już z belferką dawno zerwałam. To nie dla mnie interes. Nie jestem stworzony na głodomora. O wiele wyżej mierzę.

Mimo to, gdy Wanda wstała nagle, aby odejść, zatrzymał ją:

— Niech pani siada jeszcze! Pogadajmy trochę! Przecież my starzy znajomi.

Przy tych słowach usadowił się konfidencjonalnie na czerwono pomalowanym stole, obok którego siedziała panna Proszewska i balansując swemi zabłoconemi cholewami, przypatrywał się jej badawczo.

— Ho, ho — zaśmiał się, rozszerzając rubasznie swoje i tak o wiele za szerokie, mięsiste usta.

— Siła to już lat, jakeśmy razem chodzili do szkoły. Jaka pani wtedy była dumna, a ja jaki nędzarz! No, teraz na szczęście zrównaliśmy się trochę. Niedługo będę bogatszy od pani! Pamięta pani, jak mi pani nieraz dawała po pięć koron za odniesienie książek? Był to dla mnie wtedy duży pieniądz. Ale ja byłem tak głupi, że bylbym wolał, gdyby pani zaśmiała się do mnie i uściśnęła mi rękę. Bo ja wtedy trochę, tak po sztubacku, podkochiwałem się w pani. Ale pani nosiła głowę tak wysoko, jak wieża ratuszowa. A ot teraz zmieniły się czasy, chamy stają się panami, a pany chami. I jaśnie panna przyszła do chaty Borończaka po prośbie. Ot co!

— Ale wie pani co? — zawołał z nagłą decyzją, zeskakując ze stołu, — Namysliłem się. Będę uczył Szczerbę. Dla pani to tylko robię, dla tych tam sztubackich przypomnień.

— Bardzo dziękuję — uśmiechnęła się Wanda z przymusem.

— Ot, widzi pani, już się pani do mnie uśmiecha. Przyzwyczaj się pani do mnie, przyzwyczaj! — zapewniał rozweselony jakąś myślą pan Jakób, dotykając podbójczo swego krótko, jak szczecina, przystrzyżonego wąsa. — Tak, będę dawał Szczerbie lekcje trzy razy w tygodniu przez kilka miesięcy. Ale to będzie bardzo dużo kosztować. Tamto swoją drogą, a to swoją. Ja, uważa pani, biorę wszystko realnie. Moją zasadą jest, że każda godzina musi mi przynieść zysk, bo ja muszę bardzo szybko zrobić duży majątek. Ten tylko może skutecznie pracować dla ludu, kto sam silnie stoi na świecie. A mocne nogi dają człowiekowi tylko

pieniądze. Do diabła z apostołami, co mają dziury w kieszeniach!

— Może pan być pewny, że się targować nie będę. Wysokość honorarium nie stanowi żadnej różnicy.

— Tem lepiej — ucieszył się Borończak i wymienił nieprzyzwoicie wielką sumę, równającą się conajmniej podwójnej rocznej pensji profesora uniwersytetu.

Wandę, pomimo całego lekceważenia pieniędzy, zdumiała bezczelność pana Jakóba, zgodziła się jednak bez wahania. Postanowiła tylko wobec Andrzeja zataić przynajmniej trzy czwarte honorarium.

— Oczywiście zapłaci to pani z góry i w centnarach pszenicy. Bo pieniądze przy ciągłym spadku naszej waluty byłyby za kilka miesięcy guzik warte.

— Dobrze.

— Nadto zastrzegam sobie w razie pomyślnego wyniku osobną gratyfikację.

— Zgoda, a jaką?

— To powiem dopiero we właściwym czasie — szepnął tajemniczo Borończak. — Ale czy ten pupilek pani kapuje?

— Czy co robi?

— No, czy nie jest tuman?

— Jest bardzo zdolny.

— To dobrze. Bo ja do tępaków nie mam cierpliwości. Zaraz mię świerzbi ręka. Raz w szkole jednej zakutej palce wyrwałem całą kępę włosów i nadszarpnąłem trochę ucho. Były potem dochodzenia, ale jakoś się wyłabudałem. Ja się

zawsze potrafię wyłabudać. A więc pierwsza lekcja pojutrze. Padam do nóg, całuję rączki — żegnał Wandę, wyciskając mokry pocałunek na ręce, którą mu podała i kłaniając się z wdziękiem młodego słonia.

— Ten niedźwiedź — myślała Wanda, wracając do domu, ma — zdaje się — jakieś ambitne względem mnie zamiary. Uważa siebie za ogromnie chytrego, ale się przerachuje, bo ja będę chytrzejsza. Wycisnę z niego, co mi będzie potrzebne, a potem odrzucę go jak łupkę z winogron. Czegobym ja zresztą nie zrobiła dla mojej najukochańszej drobiny wieczności!

Czuła przytem równocześnie, że w tym wypadku przesadza wielkość swojej ofiary, bo nie mogła zaprzeczyć przed sobą, że nawet umizgi takiego brutalnego nieokrzeszańca, jak Borończak, lechcą przyjemnie jej próżność kobiecą.

Zgodnie z umową pan Jakób zaczął regularnie przychodzić na lekcje. Wanda asystowała przy nich wytrwale, aby niemożność nauczania Andrzeja, która ją niemało trapiła, wynagrodzić sobie przynajmniej pomaganiem mu za pomocą sympatycznego fluidu swej obecności. Była zresztą tak gruntownie opętana miłością dla niego, że każdą godzinę, bez niego spędzoną, uważała za niepowrotnie straconą. Sprawiało jej także dużą przyjemność ciągle porównywanie Borończaka z Andrzejem i stwierdzanie bezwzględnej wyższości swego wybrańca pod każdym względem.

Musiała jednak przyznać, że „trybun ludu” — jak go nazywała — znał swoje przedmioty doskonale i umiał je wykladać z taką jasnością i, co-

prawda należycie ordynarną, barwnością, że nawet ją zaczynały interesować te nudziarstwa. Swoją drogą i w tym zakresie objawiał się w całej pełni jego charakter nawskroś materialistyczny i oportunistyczny. Nie pozwalał sobie nigdy na żadne odstępstwa od planu szkolnego, na żadne pogłębienie rzeczy, zbywając wszelkie, w tym kierunku zmierzające, pytania Andrzeja, stałym zwrotem: „to się wam na nic nie przyda, o to was pytać nie będą”. Gdy zaś niewygodny uczeń często powracał do zagadnień zahaczających o szczególnie jego syntetyczny umysł nęcącą filozofję przyrody, Borończak wpadał w gniew, mówiąc, że to są „faramuszk i fanaberje”, które psu na budę się nie przydadzą.

— Co wy sobie myślicie? — irytował się — Że przez takie fidrygałki odgadnięcie n. p. co to magnetyzm, albo elektryczność? Tego nikt nie wie, nawet ten przemądrzały żydek Einstein, o którym teraz tak krzyczą na całym świecie. Tak samo, jak nikt nie wie, co to jest dusza i czy wogóle jest. A skoro wiedzieć nie można, to szkoda czasu i atlasu na gadanie o tem. Z tej mąki chleba nie upieczecie.

Konsekwentny we wszystkich szczegółach, płaski utylitaryzm Borończaka tworzył taki znakomity kontrast z skrzydlatym idealizmem Szczerby, że studjowanie obu tych ludzi napępniało Wandę prawdziwie artystyczną rozkoszą.

— Ktoby uwierzył — myślała raz w czasie wykładu trygonometriji — że jeden i drugi są synami ziemi i synami tego samego ludu, w pierwszym pokoleniu przeflancowanymi na grunt cywili-

zacji. Wydają się ludźmi odmiennej rasy; przecież oni w kwestjach zasadniczych wprost porozumieć się ze sobą nie mogą. Jakby ich nie wykarmiło to samo zboże, jakby nie pili tej samej wody i nie byli wygrzani ciepłem tego samego słońca! Dość spojrzeć na nich! Toż to poprostu portrety dwu mężów matki Hamleta. U Andrzeja wszystko stało się harmonją, pięknem, wytwornością, jakby ta mistyczna siła duchowa, która strugą zamyślenia o rzeczach wiecznych i wielkich płynie z jego dużych, prześlicznych oczu zamieniała go całego w twór nie rzeczywistości, ale natchnionej fantazji poety; u tamtego wszystko rozwinęło się pod znakiem bezwzględnej brutalności, ordynarnej siły, chciwości i chytrłości. A przecież, według pospolitej oceny, Borończak jest nawet przystojny. Dziewka od krów nazwałaby go nawet pięknym. Dla mnie jest on wstrętny. Robi na mnie wrażenie bandyty, ze swym grubym karkiem, kwadratową brodą, szczękami, któremi ciągle porusza, jakby w wiecznym gniewie i z temi małemi, czarnemi, gdzieś w głąb czaszki wkopanemi oczkami, któremi patrzy na mnie od czasu do czasu z taką samą żarłocznością, z jaką z pewnością ogląda mleczną krowę lub dobry grunt, który ma ochotę kupić. Mimowoli śledzę zawsze, czy niema w kieszeni ukrytego noża. A jakie wstrętne są te jego olbrzymie łapy, porośłe, jak u małpy, czarną sierścią! Jakie okropne te zawsze brudne paznokcie, które w dodatku z pasją obgryza swemi najwidoczniej nigdy nie mytemi zębami. I jak ubiera się ten niechlujny smarowóz! Nie wytrzymała i, przerywając wykład, zapytała:

— Panie Borończak, czy to może ślub jaki, że pan nigdy nie nosi krawatki?

— Szkoda pieniędzy na fatalaszki, a zresztą chcę, aby każdy wiedział, że jestem z chłopów i do chłopów należę.

— To ludzie widzieliby z pewnością nawet wtedy, gdyby pan nosił krawatkę. A czemu pan nigdy butów nie czyści?

— Bo nie lubię robót niepotrzebnych. Buty czyste, za chwilę znów będą brudne. Więc szkoda czasu. Ale proszę nie przerywać lekcji! — zawołał już z irytacją.

— Przynajmniej zawsze w stylu — myślała dalej Wanda — to mu trzeba przyznać. Słowem w Andrzejcu skupiło się wszystko, co jest poezją i metafizyką ziemi, co jest wonią rozoranej skiby, zapachem kwiatu, jego kształtem i barwą, kołysmem zboża, szumem lasu, falistym migotem stawu, w Borończaku zaś skondensowała się cała ślepo bezwzględna i nielitościwa siła zaborcza i rozrodcza ziemi. Jest w nim taki egoizm, jak w dębie, który przygłusza i zabija wszystkie inne młode drzewka w lesie, byle sam mógł rosnąć szeroko i swobodnie. On jest brzydki, jak gnój. Tak jest, w Borończaku jest wiele ze szpetnej pożyteczności gnoju. Ci dwaj ludzie — syntetyzowała dalej Wanda — przedstawiają dwie strony duszy ludu. Andrzej — to subtelny destylat tych pierwiastków, które dźwięczą w fujarce pastuszej, smucą się lub weselem wybuchają w pieśni żeńców, czy w rytmie tańca, muzyką form i barw grają w chłopskich wystrzygankach i wełniakach. Borończak — to uosobienie tych energii i namiętności, które dla ka-

walka gruntu każą chłopu zabijać rodzonego ojca i konającą matkę wyrzucać do chlewu między świnię. Tamto jest duch ziemi i ludu, to ich materja. Tamto jest pęd ziemi do wyłonienia z siebie Boga, to jej pęd do ostania się w doczesności.

Po lekcjach Borończak nieraz pozostawał chwilę na pogawędki z Wandą, lecz Andrzej nigdy nie brał w nich udziału i ulatniał się pod bylejakim pozorem, gdyż instynktownie nie znosił tego człowieka, jako zaprzeczenie wszystkiego, co uważał za ważne i drogie.

Rozmowami temi Wanda tak kierowała, że najczęściej schodziły na wiecznie ją nęcący temat Szczerby, choć Borończak ustawicznie usiłował nawiązać nici bardziej poufnego stosunku pomiędzy sobą a dziedziczką Łanowca. Mszcząc się za nieudane zabiegi, nie ukrywał swego kompletnego lekceważenia dla Andrzeja, które czuł zresztą całkiem szczerze.

— Z tego pupilka pani — mówił raz — nic nie będzie. Choć to niby bohater wojenny i choć mu wąż się już dobrze pod nosem wysypał, to przecież dzieciak zupełny i dzieciakiem całe życie zostanie. Wyobraź sobie pani, kiedyś tu, kiedy mnie noga trochę bolała, przychodzi on do mnie na lekcję i mówi: „Ślicznie fałuje u pana ta pszenica już wykłoszona, jak morze szmaragdowe”. Czyście zwarjowali, powiadam mu — to wy taki syn gospodarski i chłopski? Skąd wam do diabła jakieś morze chodzi pó głowie? Jeśli pszenica szumi dorodnym kłosem, to każdy rozumny człowiek powiedziałby: sygnie wam conajmniej po ośm centnarów z morga. A wy wyjeżdżacie z jakimś mo-

rzem! A morze to przecież także nie żadne fiu fiu, ale rzecz bardzo pożyteczna. To po prostu doskonała droga do przewożenia drzewa, węgla, bawełny itd. Nie, nie, nic z niego nie będzie, jego głowa, to kosznica pusta, po której wróble hulają. A szkoda, bo łepak jest. Cóż kiedy szelma taki zdegenerowany.

— Zdegenerowany?

— A tak, zdegenerowany. Tak, jak wy, szlachta. To jest zdychająca rasa. To nie jest prawy syn chłopski.

— Andrzej ma niewątpliwy talent artystyczny — zauważyła Wanda.

— To właśnie najgorzej. Polska dzisiejsza — to chłopcy. A chłopom trza ziemi i chleba, a nie poezji i sztuki. Jak się wzbogacą tak, że nie będą potrzebowali pracować i z nudów nie będą wiedzieli co robić, wtedy niech się bawią sztuką. Ale teraz nie pora na to.

— Nie zechce pan chyba twierdzić, że nie jest prawym synem ludu taki Kasprowicz, w którym dusza ludu i dusza ziemi najczyściej się przejawiała i z którym zaczyna się okres nowej poezji, ani szlacheckiej, ani romantycznej, ale właśnie ludowej, w najszlachetniejszym, metafizycznym znaczeniu.

— A właśnie, że twierdzę. Kasprowicz z ludem niema nic wspólnego, chyba to, że się w chłopskiej chacie urodził. On trzyma z inteligentami, a więc z panami, z reakcją. Gdyby się był z nami połączył i wszedł do Sejmu, jako nasz poseł, gdyby tak pięknie, jak pisze o niczem, mówił o tem, że trzeba panów wywłaszczyć, aby ich grun-

tami chłopów zadarmo obdzielić i że trzeba ich uwolnić od podatków, wtedy miałby naprawdę zasługi wobec ludu. A tak — wszystko, co robi, to tylko faramuszk i fanaberje. Czy choć jednemu chłopu przyszło co z jego wierszy?

— Trochę zanadto po prostu — zaśmiała się Wanda — traktuje pan sprawy twórczości duchowej.

— Bo tak trzeba! Nie jestem ja taki głupi, jak się pani wydaje. Tuczyli nas już dosyć frazesami o olbrzymiem znaczeniu literatury i sztuki w życiu narodu. Ale to fałsz, to mazgajski romantyzm, dobry dla narodów bogatych, dla Anglików i Francuzów, a nie dla takich dziadów, jak my. Tyle sztuki, co chłop potrzebuje, to on sam sobie sprostkuje, bez tych darmożjadów co z tego tylko żyją. Polakom, to jest chłopom, bo cała reszta to furda, trzeba ziemi, ziemi i jeszcze raz ziemi, bogactwa, bogactwa i jeszcze raz bogactwa. A sztuka nam przeszkadza w dochodzeniu do tych celów, bo nas rozpieszcza, wydelikaca, rozleniwia. Dlatego ja sztuki nienawidzę.

— Bez sztuki ludzie powarjowaliby lub wymordowaliby się wzajemnie.

— Chyba tacy degeneraci, jak pani i ten pan Andrzej, ale nie ludzie zdrowi i rozumni. Ten Szczerba, to także delikacik i romantyk. Powiadam mu raz: „Jesteście chłopski syn, więc wstapcie do naszej partji. To wasz psi obowiązek dbać o swych najbliższych braci”. A on mi na to: „Nie zrobię tego, bo w waszej partji niema idei. Wam tylko chłopstwo w głowie i wasze własne interesy, a o państwo i naród nie troszczycie się, tak, jakby ta niepodległość, którą niewłasną odzyskaliśmy za-

sługą, na wieki już nam była poręczona. Jakby wszystko szło tak, jak wy chcecie, to bardzo prędko stalibyście się znów parobkami obcych zaborców". — Taki to z niego filozof! A to wszystko są takie poetyckie bajdurzenia. Właśnie dlatego, że Polska dokoła wrogami otoczona, trzeba jak najprędzej ziemię rozdzielić między chłopów, bo wiadomo, że gdzie chłop raz gorzej się plugiem, to go już stamtąd żadna siła ludzka nie wyrzuci i tam już Polska będzie do skończenia świata, choćby i znów na czas jakiś niewola wróciła... Brak idei, kastowość! Tylko głupcy mogą tak mówić. Nasza idea jest mądrzejsza, niż ich i dlatego pięściami, łokciami i zębami, a jak będzie trzeba, to i kosami i cepami, będziemy dla niej zdobywali miejsce.

— Tem łatwiej, że nieźle się wam z tem powodzi i że na polityce dobre robicie interesy.

— A właśnie! Wymyślają nam od paskarzy i spekulantów. A czy to źle? Czy to źle, że chłopcy i syny chłopskie robią interesy i majątki? — Czy lepiej byłoby, aby zawsze byli nędzarzami? A równocześnie krzyczy się, że trzeba handel i przemysł wyrwać z rąk żydów. Gdzież tu logika i konsekwencja? To jest nieszczerłość i perfidja ze strony reakcji. Zazdrość tylko przez nią przemawia. No, dość na dzisiaj! Wróć we wtorek, aby dalej uczyć tego gągątka, bo liczę na gratyfikację. — Tu uśmiechnął się tajemniczo i porozumiewawczo mrugnął okiem, poczem dodał:

— Chociaż ze stanowiska sprawy chłopskiej, lepiej byłoby, aby on został głupim parobkiem, bo to jest nieprawy syn ludu.

Szła więc nauka dalej swoim trybem, i to coraz forsowniej i intensywniej, gdyż do „nieprawego syna ludu” niespostrzeżenie a gwałtownie szybko zbliżał się termin egzaminu. Nie przejmowało go to jednak żadnym niepokojem, bo czuł się zupełnie pewny siebie. Natomiast Wanda denerwowała się za niego i za siebie. Nie pamiętała, aby który z własnych egzaminów przeżywała tak ciężko. Z nadmiaru troskliwości złożyła w tajemnicy przed Andrzejem wizyty nie tylko swemu przyjacielowi dyrektorowi, ale i wszystkim profesorom, wyznaczonym do matury, uderzając z niepospolitym talentem wobec każdego z nich, stosownie do indywidualności, w inną strunę: bądź to ideową, bądź też flirtowo-żartobliwą, bądź wreszcie utylitarną. Wszystkie te zabiegi okazały się najkompletniej niepotrzebne, gdyż wynik egzaminu był tak świetny, że naprawdę zdziwieni i zachwyceni pedagogowie oświadczyli żartem pannie Proszewskiej, iż postarają się dla niej o dyplom honorowego profesora wobec nadzwyczajnych wprost wyników jej metody.

— Niestety — odrzekła uszczęśliwiona Wanda — metoda ta nie nadaje się do nauczania zbiorowego, tylko wyłącznie jednostkowego.

Ponieważ sympatje dla Andrzeja w łanowieckim dworze wzrosły do tego stopnia, że zdenerwowanie Wandy udzieliło się wszystkim jego mieszkańcom, przeto, nie chcąc ich dłużej trzymać w naprężeniu, zadepeszowała z miasta, że „wracają jako tryumfatorowie”.

Mimo to drogę powrotną odbywali w nastroju, który bynajmniej nie odpowiadał sytuacji. Obo-

je byli raczej smutni. Andrzeja skrycie dręczyła myśl o przyszłości, bo o szczęściu zostania kiedyś mężem Wandy nie śmiał nawet marzyć, ją zaś niepokojem napełniało poczucie, że nadchodzi chwila decyzji i wyboru. Żal jej było nadto tego najszczęśliwszego i najbardziej idealistycznego okresu w jej życiu, który już minął bezpowrotnie. Mimo woli trapiła ją myśl, że jest o całą jedną ważną epokę starsza i bliższa grobu.

Zato w Łanowcu zastali twarze promieniejące szczęściem i przyjęcie królewskie. Pani Mazowiecka wystąpiła na cześć Andrzeja z iście Lukullusową ucztą, podczas której pojawił się nawet szampan. Ciocia sama wygłosiła dłuższą mowę, w której wielbiła najpierw Wandę, podnosząc, że po raz pierwszy jeden z jej licznych warjackich pomysłów okazał się mądry i pożyteczny i że po raz pierwszy w powziętem, tym razem wyjątkowo trudnem, postanowieniu wytrwała do końca. Potem palnęła siarczasty pean na temat Andrzeja, zakończony wyrażeniem żalu, że minęły już czasy monarchji polskiej i wielkich wpływów rodu Mazowieckich, bo wtedy ona tj. ciocia we własnej osobie, niewątpliwie postarałaby się dla Szczerby o nobilitację, na którą ze wszech miar swoim iście szlacheckim sposobem myślenia i działania zasłużył.

Naprawdę jednak wzruszył młodego człowieka dopiero toast p. Proszewskiego, który, pierwszy raz od niepamiętnych lat wesół i ożywiony, prosto i serdecznie oświadczył, że pokochał Andrzeja jak syna i że poczytałby to za największą krzywdę dla siebie, gdyby Szczerba dworu łanowieckiego nie uważał zawsze za swój dom rodzinny.

Andrzej tak był wzruszony, że słowa podziękowania nie mógł wykrztusić, przypadł tylko do kolan pana Proszewskiego i z najbardziej synowską miłością ucałował jego rękę.

Wandzie przemknęła przez głowę myśl, czyby nie uklęknąć obok niego i za jednym zamachem nie załatwić sprawy zaręczyn, powstrzymał ją jednak ironiczny głos wewnętrznego Satyra, który uznał, że scena taka traciłaby z nadto burżuazyjnym sentymentalizmem i że wstęp do symfonii łożnicy małżeńskiej powinien być skomponowany w stylu żywiołowo-pierwotnym.

— Straciłbym dla ciebie wszelki szacunek — szeptał jej dalej koźlonóg — gdybyś teraz chciała naśladować jakąś cnotliwą Genowefę. Wystarczy zupełnie, że byłaś przez tyle miesięcy świętą Klarą. Jesteś wprost bohaterką etyki. Ale teraz już dość tego! Należy ci się nagroda. Nie okłamiesz mnie, że nie tęsknisz za każdym centymetrem kwadratowym jego ciała. Nie gwałć więc natury! Niech Dyonizos zastąpi w tobie nareszcie św. Franciszka!

— Jesteś bezczelny cynik! — odpowiedziała Wanda — ale czuła, że tym razem nie odniesie nad nim zwycięstwa, więc postanowiła od razu skapitulować i przerywając łzawą scenę rodzinną, żywcem skopjowaną z Greuze'a, zawołała wesoło:

— Panie Andrzeju, mnie już pan niech nie dziękuje, bo jeszcze rozplączemy się oboje i będziemy śmieszni. Lepiej niech pan każe wierzchowce osiodłać. Dzień jest bezsłoneczny i chłodny, po tylu emocjach spacer doskonale nam robi. A przede wszystkim niech pan pamięta, że mamy

teraz wakacje, długie uniwersyteckie wakacje. Nie wolno nam myśleć o niczem poważnem, tylko o samych rzeczach szalenie wesołych!

Do przejażdżki jednak narazie nie doszło, bo nagle pojawił się Borończak. Wanda, domyślając się, że wie już o wyniku egzaminu i zgłasza się po gratyfikację, poprosiła go do salonu, gdzie została z nim sama we dwójkę, gdyż Andrzej, podziękowawszy obojętnie za równie obojętnie złożoną mu gratulację, ulotnił się swoim zwyczajem, z czego pan Jakób wyjątkowo był zadowolony i odrazu przystąpił do sedna swej sprawy.

— Jak sobie pani przypomina — zaczął — wymówiłem sobie na wypadek pomyślnego rezultatu mojego nauczania odpowiednią remunerację.

— Pamiętam o tem i proszę o wymienienie sumy.

— Suma będzie bardzo duża. Ale jako człowiek praktyczny, chcę ją wziąć nie w pieniądzech, tylko w naturze. A naturą w tym wypadku będzie pani sama.

— Co, co takiego? Jak to pan rozumie?

— Tak, jak pani słyszy. Po długiej i wszechstronnej rozwadze, przyszedłem do przekonania, że powinienem się z panią ożenić. Dlatego przyszedłem zaproponować, aby pani została moją żoną.

Wandzie te oryginalne oświadczyzny wydały się czemś tak niesłychanie komicznem, że wybuchła niepohamowanym śmiechem, z którego długo nie mogła się uspokoić.

— Ach, to dlatego — rzekła po chwili, chichocząc — to dlatego te wyjątkowo wyczyszczone buty,

a nawet, ba, ba, co ja widzę? nawet krawatka na szyi.

— Narazie to nie krawatka, ale wstążka, pożyczona od siostry. Ale może być i krawatka. Zrobiłem to dlatego, aby pokazać, że gdy pani wyjdzie za mnie, mogę nawet zdobyć się na ustępstwa w tych tam zewnętrznych drobiazgach.

— Ha, ha, ha, proszę, proszę, to prawie poświęcenia, ha, ha, ha!

— Myślę, że się już pani dość naśmiała. Proszę spoważnieć, bo czas przystąpić do interesu.

— To znaczy?

— Naturalnie do sprawy małżeństwa. Małżeństwo nie jest niczem innym, jak dobrym lub złym interesem.

— Jakto? nie zapyta pan nawet o moje uczucia, czy mogłabym pana kiedykolwiek pokochać, czy czuję do pana jaką skłonność, pociąg, sympatię, czy wogóle jest możliwa między nami miłość?

— To są wszystko faramuszk i fanaberje. Ja biorę życie ze strony realnej, poważnej i dlatego na miłość nie mam czasu. Miłość nie zajmowała w mojem życiu nigdy więcej czasu, jak godzinę. Zresztą, gdy — mówiąc stylem biblijnym — niewiasta pozna męża, miłość sama się zrodzi. A ja — przyzna pani — nie jestem ułomek i na miłość pani chyba zasłużę. Oprócz tego będziemy mieli bardzo dużo dzieci. Tak jest, co rok prorok, a jak się zdarzą bliźniaczki, to i owszem. Z niemi będzie pani miała tyle do roboty, że puste myśli o miłości szybko pani wywietrzeją z głowy.

— Miła perspektywa! — śmiała się dalej Wanda.

— Miła, czy niemiła, ale prawdziwa. Ja lu-

bię kwestję zawsze jasno stawiać. Wracając do mojej oferty, chciałem pani wykazać, że stroną więcej zyskującą w tym interesie będzie pani, a nie ja. Otóż—jak pani wspomniałem — jestem już prawie tak bogaty, jak pani a wkrótce będę bogatszy. Ale ponieważ w życiu, a zwłaszcza dla polityka, nigdy nie można być dość bogatym, więc uznałem, że połączenie mego majątku z majątkiem pani, jako jedynej dziedziczki klucza łanowieckiego, będzie dla nas obojga bardzo korzystne. Powtóre nad wami obszarnikami wisi reforma rolna. Od tego ja z łatwością potrafię Łanowiec ocalić, bo mam wielkie wpływy i w stronnictwie i w urządach ziemskich. Ale to wszystko jeszcze nic. Najważniejsze dla pani jest to, że jestem — jak to mówią,—jednym z leaderów naszej partji, a nasza partja to potęga, bo wiadomo, że wbrew chłopom, a nawet bez chłopów nikt w Polsce rządzić nie może. Mój mandat do Sejmu przy najbliższych wyborach jest pewny, również pewne jest to, że w jednym z przyszłych gabinetów zostanę ministrem, może nawet prezydentem ministrów. Z czasem mogę zostać — a ponieważ chcę tego, więc zostanę na pewno — prezydentem Rzeczypospolitej. Wszystkie te blaski spadną na panią. Cóż, czy się to pani nie uśmiecha? Będzie pani prezydentową Polski, po prostu polską królową.

— Ta wizja mnie olśniewa! — ironizowała Wanda. Ale nie czuję się godna tego zaszczytu.

— Jest pani godna — odparł z przekonaniem pan Jakób. Ja wszystko dobrze rozważyłem. To nie fantazja to, co mówię. Ja nigdy nie plotę na wiatr. To są realne plany, które wykonam jakem

Borończak — tu huknął pięścią w stół — jeśli nie w całości, to z pewnością w trzech czwartych. Nikomu o tem nie mówię, tylko pani jednej, bo to jest potrzebne do wyklarowania interesu. Powtarzam, jest pani godna. Pani przy moim boku będzie doskonale nadawała się do reprezentacji. Umie się pani dobrze stroić i wdzięcznie krygować, parluje pani doskonale po francusku i innemi językami, to się przyda przy przyjęciach ambasadorów. Będzie mi pani mowy do nich układała. Ja wprowadzę, w przewidywaniu przyszłości, już teraz uczyć się po francusku, ale w takich razach najlepiej jest mieć do pomocy swoją babę — przepraszam — chciałem powiedzieć: kobietę. Wyłożyłem moją rzecz jasno i mam nadzieję, że będzie pani miała dosyć rozsądku, aby się zgodzić.

— Pańskie ambicje i energia imponują mi rzeczywiście — odpowiedziała Wanda tym razem już poważnie. Ale ja jestem — jak pan to nazywa — romantyczka i bez skłonności uczuciowej...

.. — To wszystko furda! — przerwał Borończak — mówiłem już, miłość przyjdzie sama.

— Wie pan, że zaczynam powątpiewać o pańskim rozsądku życiowym. Czyż panu nigdy nie przyszło na myśl, że ja przecież nie bez przyczyny zajmuje się i opiekuje Andrzejem?

— Ależ owszem, lecz uważam to wszystko za faramuszkę. Wiem, że pani jest osobą rozumną i takiego żebraka, jak Szczerba, za męża nie weźmie. Poza tem to przecież smarkacz jeszcze i w dodatku marzycielski mazgaj, z którego pani żadnego pożytku mieć nie będzie. Z całą pewnością zaprzepaściłby Łanowiec.

— A nie wpadło panu nigdy do głowy — powiedziała Wanda cynicznie, — że między mną a Andrzejem mogło już coś zająć?

— O, w to najpierw nie wierzę — zaśmiał się Borończak — bo gdyby tak było, toby mi pani właśnie tego nie mówiła, a gdyby nawet — mój Boże — my chłopci tych rzeczy po aptekarsku nie ważymy. To nie mąka, ani miód, których ubywa, gdy je kto podjada. O niejednej dziewczynie na wsi wiadomo, że się zadawała z parobkami, a mimo to wychodzi za porządnego gospodarza.

— Z pana byłby istotnie idealny materiał na męża.

— No, no, znów nie tak bardzo! — Z chwilą, gdy się pani zgodzi na moją propozycję, Szczerba musi stąd iść precz. A jeszcze chciałem zwrócić uwagę pani, że on jest młodszy od pani. Pani już będzie podstarzała, a w nim jeszcze będzie kipiała krew nie na żarty. Będzie panią zdradzał, jak amen w pacierzu.

Mimo całego lekceważenia dla Borończaka, ta jego uwaga zabolala Wandę.

— Skończmy tę rozmowę! — zawołała poirytowana. Interesu nie zrobimy. Oferty pańskiej nie przyjmuję.

— Nim pani powie ostatnie słowo, radzę obejrzeć i drugą stronę medalu, przypatrzeć się konsekwencjom odmowy — cedził wyrazy z zimną zaciekłością.

— A więc są i konsekwencje?

— I to bardzo poważne! Ja z natury nie jestem mściwy, ale, jeśli kto pokrzyżuje moje plany, mszczę się dla zasady, bo zawód osłabia w czło-

wieku poczucie siły, a zemsta to poczucie przywraca.

— Więc pan będzie się mścił?

— Z całą pewnością! Łanowiec pierwszy pójdzie na parcelację. Rozumie pani, za połowę ceny targowej, a oszacujemy bardzo nisko. Należytość nie w gotówce, ale w kwitach państwowych, płatnych w ciągu X lat. Nie wiem, czy wystarczy dla pani na fatałaszkę.

— A więc to wymuszenie?

— Niech to pani nazwie, jak się pani podoba. To w każdym razie rzeczywistość.

— A więc raz jeszcze, stanowczo i nieodwołalnie odmawiam!

— Niech i tak będzie! Gorzko pani tego pożałuje. Oczywiście niezależnie od tego, należy mi się gratyfikacja w innej formie.

Tu wymienił beczelną sumę, równającą się całemu królewskiemu honorarjum za lekcje, które już pobrał.

Wanda, przyzwyczajona do jego zachłanności, miała taką kwotę przygotowaną w biurku, więc poszła po nią na górę.

Borończak zapalił z wściekłością papierosa i zaczął przechadzkę po salonie, przyczem nie mógł sobie odmówić przyjemności kilkakrotnego splunięcia na kosztowny perski dywan, po którym stapał. Gdy Wanda przyniosła pieniądze, przeliczył starannie plik banknotów, poczem skłonił się z przesadną uniżonością.

— A więc żegnam jaśnie panienkę, prawdopodobnie na zawsze. Ale przypomni pani sobie dawnego kolegę szkolnego, gdy trzeba będzie za-

bierać manatki z Łanowca. Tymczasem życzę jak najweselszych figlów miłosnych z Jędrusiem. Słodkich pieśszcót z tym pieskiem pokojowym, z tym pani domowym, podręcznym ko...

Nie skończył, bo nagle jakaś żelazna ręka spadła mu, jak piorun na ramię z taką siłą, że aż syknął z bólu.

Andrzej, który od kilku minut, niedostrzeżony przez zaperzonego złością Borończaka, był z powrotem w salonie, stanął przed nim z twarzą rozognioną gniewem.

— Wyjdź pan stąd w tej chwili! — krzyknął mu prawie do ucha przytłumionym głosem.

Borończak usiłował rzucić się na niego, lecz Andrzej ubezwładnił go w jednej chwili, chwyciwszy go z nieprawdopodobną siłą za obie ręce, więc kandydat na prezydenta parsknął tylko i błysnął zębami, jak zły pies, któremu nałożono kaganiec i patrząc z podełba, ruszył ku drzwiom. Ale na progu odwrócił się jeszcze i, wygrażając pięścią, zawołał:

— I ty mię popamiętasz, ty dworski fagasiel!

Andrzej znieruchomiał, przeprowadzał go oczyma, lecz nagle wstrząsnął się cały, jakby pod wpływem prądu elektrycznego, bo uczuł na szyi gorący żar najdroższych ust.

— Byłeś wspaniały! — mówiła Wanda — z tą podniesioną głową i rozdętymi nozdrzami, zupełnie jak młody orlik, gdy ma się rzucić na łup.

Andrzej drżał cały. Dla zamaskowania swego pomięszania zapytał:

— Konie osiodłane. Pojedziemy?

Wanda patrzała nań z uwielbieniem, z którem się łączył delikatny odcień politowania.

— Pojedziemy, pojedziemy, ty mój najśłodszy dzieciaku!

Dosiedli koni i pokłusowali, a za bramą przeszli w rozkołysujący i rozmarzający krótki galop. Resztę spaceru odbywali krokiem. Jechali tak blisko siebie — Wanda, jak zwykle siedziała po męsku — że strzemiona ich i nogi ocierały się o siebie. Zaprzyjaźnione z sobą wierzchowce co chwila zbliżały do siebie chrapy, jakby całując się wzajemnie. Ich zbierała niezwalczona ochota pójść za tym przykładem, lecz Wanda z wyrafinowanym epikureizmem odwlekała chwilę ekstazy. Mimo to podczas tej przejażdżki po raz pierwszy z oczu ich nie promieniały lazurowe błyski duchowych zjednoczeń, lecz biła szkarłatna luna pożądania...

Tymczasem Borończak z burzą gniewu w duszy wracał do domu. Przemyśliwał nad tem, jakby się doraźnie zemścić. Parcelacja Łanowca, to była rzecz dalszej przyszłości, a jemu trzeba było zemsty natychmiastowej dla uspokojenia się, odzyskania równowagi. Wtem oczy jego padły na rozległy łąn żyta dworskiego, prawie zupełnie już dojrzałego pod sierp.

— Wiem już, co zrobić! — zawołał z radością.

Za dwa dni polowi wczesnym rankiem poszli po chatach zwoływać ludzi na żniwo. Natrafili jednak na niezrozumiały dla siebie opór. Ci sami chłopci, którzy niedawno sami dopraszali się, aby o nich przy żniwie nie zapomniano, teraz wymawiali się to brakiem czasu, to chorobą, a wreszcie oświadczyli zgódnie, że nie wezmą się do roboty

inaczej, jak za trzeci albo nawet za drugi snop, choć żyto było wyjątkowo w tym roku dorodne, a dawniej chętnie zadowalali się ósmym i dziesiątym snopem. Rządca był w rozpacz. Wreszcie po usilnych namowach i staraniach zaledwie garstka najbiedniejszych chałupników i komorników zjawiła się, z dwudniowym opóźnieniem, na gościńcu przy łanie, przeznaczonym do zżęcia.

Lecz Borończak nie zasypiał sprawy. Jak z pod ziemi wyrósł przed żeńcami z rowu, w którym czatował.

— A wy tu po co? Dali wam żyto za połowę? — zawołał.

— Ale gdzie tam! — odpowiedziała gromada. Musieliśmy się zgodzić za ósmy snop, my biedni ludzie, cóż mieliśmy robić.

— A wy zdrajcy, wy głupcy, lizuny, wodonośze, zaraz mi się zabierajcie do domu! — zaczął ich łajać Borończak swym tubalnym głosem. Tak dotrzymujecie słowa? A zaklinaliście się wszyscy, że inaczej, jak za drugi snop nie pójdziecie. Na panów będziecie pracować, dukaty im do worków znosić, wy dziady?

I perorował dalej, jak na wiecu, rozwijając wszystkie zasoby swej demagogicznej wymowy, znakomicie do psychologii chłopskiej przystosowane.

Jeden z polowych, widząc, co się dzieje, pobiegł zaraz z raportem do dworu. Pan Łachodkiewicz stracił zupełnie głowę i zdecydował, że wszystko stracone, bo Borończak to potentat, który ma w kieszeni starostę i wszystkie władze, więc walka z nim na nic się nie przyda. Ciocia Mazowiecka tak lamentowała i biadała, jakby Proszew-

scy całą już fortunę stracili. To też z rozrzewnienia aż uściskała Andrzeja, gdy ów, licząc na szacunek i mir, jaki sobie zdobył we wsi, postanowił zmierzyć swe siły z mściwym podżegaczem.

Gdy przyszedł na łąn i zmieszał się z grupką ludzi, Borończak był już pewny zwycięstwa i jeszcze tylko dla satysfakcji oratorskiej wyrzucał końcowe rakiety krasomówcze.

— Niech raczej zgnije to zboże! — huczał — niżbyście mieli za darmo na panów pracować, na waszych wrogów, co piją waszą krew i pot! Wróćcie do domów, nie pozwolicie na swoją krzywdę, czy prawda?

— Prawda, nie pozwolimy! — zapiszczała stara, szczerbata baba Łucycha.

— Nie pozwolimy! — chórem powtórzyła za nią reszta.

— To dobrze! Tego się po was spodziewałem! — kończył tryumfalnie chytry agitator. — Niech giną ci, co was ze skóry obdzierają, niech zdychają panowie, obszarnicy! Za sprawą naszych posłów chłopskich Sejm w Warszawie uchwalił już, że panów trzeba wywłaszczyć z tej ziemi, na której sami nie pracują i rozdzielić ją między chłopów. Ale panowie szachrują, oszukują, kręcą, różnemi łajdactwami starają się przeszkodzić wielkiemu dziełu sprawiedliwości, próbują złamać to prawo, któreśmy wywalczyli. Trzeba ich zmusić siłą, aby poddali się prawu. Wy to właśnie możecie zrobić. A wiecie jak? Tylko przez to, że nie będziecie dla nich pracować! Jak im jedno i drugie żniwo przepadnie, będą musieli ziemię wam oddać, a sami niech idą z torbami! Minęły już czasy pańszczyzny

i minęły czasy austriackie, kiedy to starostowie trzymali rękę z panami, a jak strajk wybuchł, żandarmi bagnetami ludzi do pracy napędzali. Dzisiaj panami my, chłopci, a starostowie, jak pieski, na dwu łapach przed nami skakać muszą. A jakby się znalazł taki, co by się chciał nam przeciwzić, to mu pokażemy, co znaczymy. Urzędnicy parobkami naszymi być muszą! Na to ich opłacamy. A teraz do domu! Jak wam do jutra nie dadzą żyta za drugi snop, to idźcie żąć, ale nie dla dworu, tylko dla siebie. To wasza praca, wyście orali i siali i wy zbieracie, to i wam plon się należy. A starosty i sądu nie bójcie się, zrobią to, co ja im każę. Powiedzcie im tylko: pan Borończak pozwolił. A teraz rozejdźcie się, dobrzy ludzie! Na pohybel panom!

— Na pohybel! — zawtórowali mu zabierając się do odejścia.

— Poczekajcie! — zawołał spokojnie Andrzej. Nim się rozejdziecie, pozwólcie i mnie kilka słów powiedzieć.

— A ten pański lokajczuk czego tu chce? — wrzasnął wściekły Borończak, który teraz dopiero go dostrzegł. Kijami napędzić łajdaka!

— Czemu niema mówić? — zaprotestował stary Wajda, którym Andrzej i Wanda opiekowali się w czasie choroby. — To dobry człowiek i porządny. Znamy go wszyscy. Niech mówi!

— Niech mówi! Każdemu przecie mówić wolno! — poparła go gromada.

— Zaświadczył Wajda, że wszyscy mnie znacie — mówił dalej Andrzej. Znacie mnie od dziecka. Tum się urodził i wychował, a jak mi Pan Bóg szczęście dał, nie zapierałem się was nigdy,

nie wywyższałem się i nikomu krzywdy nie zrobiłem, ale jak tylko mogłem każdemu pomagałem. Czy nie prawda?

— Prawda, święta prawda—wołano dokoła.—
Co prawda, to nie grzech.

— A skoro tak jest, mogę mieć nadzieję, że i teraz wierzyć mi będziecie i nie posadzicie mnie, że do złego was namawiam. Otóż mówię wam szczerą prawdę, jak na spowiedzi świętej. Zły to jest człowiek co wam radził „poniechajcie żniwa” i nie waszego on szuka pożytku, ale swojej pomsty. Ma on swoją własną, osobistą urazę do dworu, chce się zemścić, a wy macie być tylko tym kijem w jego rękę, którym on uderzy. Powiada: „niech zgnije to pańskie zboże”. A czy to nie grzech, aby marnowały się dary Boże i czy was kara Boża za to nie spotka? Czy to nie grzech, aby przepadał chleb, którego macie tak mało? Powiada wam: „nie idźcie do żniwa, jak za drugi snop!” A czy taka zapłata wysoka, to nie byłoby zdzierstwo, godne żyda, a nie chrześcijanina? A który snop on na swoim polu wam daje? Czy także drugi?

— Uchowaj Boże! — zawołała Tomaszowa —
za dziesiąty! Nie chciał dać więcej.

— Bo to chłopskie zboże, a nie pańskie —
syknął Borończak.

— I to nieprawda! — sparował Andrzej. —
On już teraz taki sam pan, taki sam obszarnik jak inni. Udaje tylko chłopa. Nakupił już prawie tyle ziemi, ile ma Łanowiec, tylko że dla niepoznaki rozrzuciona po kilku powiatach i na różnych krewnych przepisana.

— To kłamstwo, oszczerstwo! — usiłował przeczyć pan Jakób.

— To prawda! — stwierdził Andrzej — niedawniej jak przed kilku dniami sam się tem chwalił. Mówił wam „niech zdychają ci, którzy was ze skóry obdzierają!” A kto tu was w tym dworze kiedy ze skóry obdzierał, kto was skrzywdził? Niech wystąpi i powie, jeśli jest taki między wami! — Niema żadnego, widzicie! A za to, czy niejednemu z was dwór pomagał, czy niejednego ratował w nieszczęściu? Wy, Łucycha, nie dostaliście za darmo zboża na przedniówku?

— Dostałam, dostałam, niech im Pan Bóg da zdrowie!

— A wy, Janowa czyście nie brali przez całą zimę mleka dla chorego dziecka i także żadnej zapłaty od was nie wzięli?

— Brałam, brałam, niech im Matka Boska wynagrodzi!

— A wy, inni, czy odmówili wam kiedy ze dworu gałęzi z lasu, pastwiska dla krowy, zboża na zasiew? Jak kto mógł odrobić, to odrabiał, a jak nie mógł, to mu odpisywali. Czy nie tak było?

— Prawda, święta prawda! — potwierdzali jeden za drugim.

— A widzicie! I za to wszystko tak się teraz wywdzięczyć chcecie? I za to wszystko powtarzacie teraz za tym kusicielem — na pohybel dworowi? Czy to się godzi?

— Otumaniał nas, ocyganił. Choroba na niego! — odezwały się zawstydzone głosy.

— A on sam dużo wam kiedy zrobił dobrego?

— Akurat! Skąpy gorzej żyda! Zawsze się

wymawia, że sam niema z czego żyć. Tylko nauki umie dawać. Leniuchowałeś — powiada — to teraz cierp! Darmozjadów wspierał nie będę.

— A widzicie! Ale jak o cudzą szkodę idzie, to wtedy on wam opiekun, przyjaciel i brat. Powiada: „odebrać panom ziemię i rozdzielić między chłopów!” Rajca! Chłopom trza ziemi i potrzeba reformy rolnej i parcelacji. Każdy dobry Polak i uczciwy człowiek to przyzna. Ale niech się to dzieje bez krzywdy ludzkiej, rozumnie i sprawiedliwie. Nie tak, jak dzisiaj! Bo z tej parcelacji, którą robią Borończaki i towarzysze, to wam, biedakom, nic nie przyjdzie dobrego, jeno szkoda i strata. Wy chałupnicy i komornicy ziemi nie dostaniecie, bo nie macie za co kupić. Obłowią się tylko Borończaki i bogaci chłopi, co siedzą na pieniądzach. A jak dwory znikną, gdzie wy, biedacy, zarobicie? U bogaczy chłopskich? Nieszczęsna wtedy wasza dola! Siódme poty z was wycisną, a z głodu przymierać będziecie. Zresztą oni robotników nie potrzebują, bo sami pole z familją obrobją.

— Tak to jest, nie inaczej — przyświadcza — nie pożywisz się, nieboże, u gazdy — bogacza.

— Reformę i parcelację od was trzeba zacząć, od tych, co wcale ziemi nie mają. Wam na-przód trzeba dać grunt, bydło i inwentarz, bo inaczej z tej całej roboty, to ino większa nędza będzie dla biednego narodu. I przyjdzie taka parcelacja, jak Bóg na niebie, ale nie Borończaki ją zrobią. — I mówił wam jeszcze: „nie dadzą wam za drugi snop, to idźcie żąć, ale dla siebie, włos wam z głowy nie spadnie”! Okłamał was, oszukał.

Jest jeszcze w Polsce prawo i Borończak, dzięki Bogu, ponad to prawo jeszcze nie wyrósł. Jest kara za kradzież i rozbój. Wy będziecie gnili po kryminałach, ale jego głowa nie zaboli, bo on się wykręcić potrafi. Niech was Pan Bóg chroni od takich przyjaciół!

— Nie przyjaciel on, a wróg najgorszy, diabeł wcielony — zapiszczała stara, szczerbata Łucyha i podjawszy kamień z ułożonej na gościńcu kupy szutru, cisnęła nim pierwsza w pana Jakóba.

— Łotr, cygan, oczajdusza, — wołali inni — wygnać, wypędzić gałgana, huncwota! — i grad kamieni posypał się w stronę niefortunnego agitatora

Borończak, widząc, że to nie przelewki i nie mając wcale ochoty zostać drugim św. Szczepanem, wycofał się z gościńca do rowu, z rowu zaś dał szczupaka w żyto, a że kamienie dalej za nim śmigały, umykał skulony tak, że tylko ruchoma bruzda wskazywała na ślady jego ucieczki.

— Dajcie mu już pokój! — mitygował Andrzej. — Nie szukam ja pomsty na nim, tylko was chcę od złego powstrzymać: A teraz pójdziecie żać, moi drodzy, prawda?

— Pójdziemy, pójdziemy! Już i tak tyle czasu straciliśmy.

— A ja wam przyrzekam postarać się, że dostaniecie nie ósmy, ale siódmy snop.

— Pan Bóg ci wynagrodzi, paniczu nasz złoty. Nasz ty, nasza krew prawdziwa. — To mówiąc jakaś kobieta, której przedtem nie zauważył, przypadła do niego i pocałowała go w rękę. Andrzej poznał Hanke, niegdyś Sierociankę, i po ojcowsku ucałował ją w czoło.

Wnet polowi zaczęli żeńcom wyznaczać stanowiska. Oczywiście ci, którzy się na gościńcu pojawili i pierwsi oporu zaniechali, w nagrodę otrzymali najlepsze partje zboża. Gdy się inni ludzie wsiowi dowiedzieli o przełamaniu strajku, ławą napływali i dopraszali się o robotę. Pan Łachodkiewicz zjechał na łan osobiście i postanowił ukoronować dzieło starą, wypróbowaną metodą. Najpierw zatwierdził obietnicę Andrzeja co do siódmego snopa, a potem, aby resztki osadu niechęci z serc robotników splukać, kazał im rozdać po kwaterce wódki. Ochota więc zapanowała okrutna i niebawem wśród śpiewów wesołych i sierpów pobrzęku żniwo objęło swe chlebne władanie. A kłosa w poszumie wdzięcznym oddawały swe dary, jakby sama matka-ziemia radowała się, że nie pójdzie na marne płód jej łona, lecz stanie się drewnem, podtrzymującym, wedle Bożych zamierzeń, wieczysty ogień życia.

Takie myśli snuły się po głowie Andrzeja, gdy upojony powodzeniem i świadomością dobrego uczynku wracał do domu. Dumny był nie tylko, że pokonał starego wygę wiecowego, ale przede wszystkim, że wyświadczył przysługę i swym dobroczyńcom i w pierwszym rzędzie ludowi robotczemu. Duszę jego zalała fala wielkiej miłości dla tego ludu. Nigdy tak jasno i mocno nie czuł, że jest z nim przez ziemię i jej ukochanie jak najściślej związany, że jest kością z kości i krwią z krwi jego. I zrodziło się w nim w owej chwili podniesienia ducha wielkie postanowienie, jedno z tych świętych i całą istotą młodzieńczą ogarniających zamierzeń, które nabywają mocy przysięgi, aby lu-

dowi poświęcić cały wysiłek życia, cały swój trud i pracę. Ale dobra ludu on nigdy nie będzie pojmował tak, jak Borończak. Nie będzie grał nigdy na najniższych jego instynktach, lecz dążyć będzie do rozdmuchania w płomień tego, co w nim jest iskrą bożą. On wie, że chłopu potrzeba nie tylko chleba dla ciała, ale w równej mierze także chleba dla duszy. Parafrazując zdanie Nietzschego, którego czytał niedawno z Wandą, pomyślał: „chłop jest czemś, co powinno być przewyciężone! „Trzeba mu dać prawdziwą kulturę nie tylko materialną, ale i duchową, aby go w ten sposób przerobić na prawdziwego człowieka, na pełnego Polaka, na współodpowiedzialnego członka narodu. „A któż, jeśli nie my, którzyśmy sami wyszli z pod strzechy, jest najbardziej powołany do tego apostołstwa”. I począł mu się marzyć wielki związek synów chłopskich, bojowa falanga idealistów, ogarniętych świętym ogniem miłości dla ludu i żądzy pracy dla niego, którzyby swą wzniosłą misję przeciwstawili poziomej, egoistycznej, kastowej robocie takich Borończaków. Ich także — myślał dalej — nasz zapał, nasz wielki, święty pęd porwać musi! Bo w nich jest ogromna siła i poczucie mocy ludu, ale to siła ślepa jeszcze, która nie umie pięknego i wysokiego celu postawić przed sobą.

Zatopiony w tych myślach nie wiedział nawet, kiedy wszedł na dziedziniec folwarczny. Z słonecznej zadumy wyrwał go dopiero widok obcego stajennego, który odprowadzał do stajni dwa wierzchowce. Jeden z nich był zwykłym ekonomicznym podjezdkiem, na którym widocznie przyjechał masz-

talerz, za to drugi przedstawiał skończenie cudny kształt rasy i urody. Średniej miary ogier, biały, jak mleko, miał żylaste sarnie nogi, tęgą, szeroką pierś, długi ogon, daleko odsadzony od zadu, małą, suchą, kształtną głowę o nerwowych, ruchliwych nozdrzach i duże, czarne, ogniste, po ludzku niemal patrzące oczy.

— Czyje to konie? — zapytał.

— Pana Łanieckiego z Dumki — odrzekł stajenny.

— To pan Łaniecki wrócił z niewoli?

— Tak, wczoraj właśnie i zaraz przyjechałszy tutaj — zaśmiał się konfidencjonalnie.

— Ten zna sercowe tajemnice swego pana — pomyślał Andrzej — i całe jego wniebowzięcie prysło odrazu. — Łaniecki; Łaniecki, to był przecież prawie narzeczony Wandy! — Uczuł się nagle ogromnie nieszczęśliwy i samotny. Przygnębienie jego wzmoгло się jeszcze bardziej, gdy idąc obok dworu do swego mieszkania, dostrzegł na ganku Wandę, witającą się serdecznie z słusznym i szczupłym, bardzo przystojnym i bardzo wytwornym mężczyzną, którego twarzy suchej, jak u arabskiego konia, charakterystyczny wyraz nadawał wydatny, orli nos, pyszne płowe włosy i bujny również płowy wąs.

— To także skończony typ polskiej rasy i urody — przemknęło przez głowę Andrzeja. — Szlachcic z dziada i pradziada! Gdzie mnie równać się z nim!

Doznał wrażenia, że nagle postarzał się o lat kilkadziesiąt. Wydało mu się, że jest stary i bezsilny. Z trudem ledwie włókł nogi za sobą.

— Jestem zupełnie zbyteczny na świecie. Póć mam żyć dalej! — szeptał.

Miał tyle tylko siły, że napisał kilka słów do Wandy, donosząc o wygranej w sprawie żniwa i prosząc o przebaczenie, że z powodu wielkiego zmęczenia i silnego bólu głowy na obiad nie przyjdzie. Oddawszy kartkę lokajczykowi, rzucił się w rozpacz na łóżko twarzą do poduszki, a natrętna myśl „teraz już naprawdę wszystko stracone”, napływała mu do ust goryczą piółunu.

Wandzie jego nieobecność była narazie na rękę, bo wołała mieć zupełną uczuciową swobodę w serdecznem powitaniu Łanieckiego, do którego odnosiła się z prawdziwą sympatją i szacunkiem.

Godziny do południa i potem w czasie obiadu minęły im szybko i miło. Łaniecki opowiadał z właściwą sobie prostotą i ogromną kulturą duchową o swych fantastycznych przygodach i straszliwych męczarniach w kraju, objętym władzą bolszewickiego Heroda, a Wanda słuchała go z takim zajęciem, współczuciem i życzliwością, że w nim serce rośło i budziły się najlepsze na przyszłość nadzieje.

To też, gdy po czarnej kawie, zostali sami, przechadzając się po ogródku przed domem, Łaniecki w pewnej chwili zatrzymał Wandę, biorąc ją delikatnie za rękę i rzekł, patrząc z niewysłowioną miłością w jej oczy:

— Czy pamięta pani, co mi pani powiedziała przy pożegnaniu, gdym wyjeżdżał na wojnę?

— Tak, trochę, chociaż bardzo niedokładnie— odpowiedziała Wanda błędąc, bo uczuła, że nadchodzi chwila, kiedy będzie musiała zranić boleśnie człowieka, na którym bardzo jej zależało.

— A więc ja pani wszystko przypomnę, pomimo tylu lat nie zapomniałem ani jednego słowa. Wyznałem pani wtedy mą prawdziwą, głęboką miłość. Aż do tego czasu wstrzymywałem się, bo mi odwagę odbierało poczucie braku dość żywej wzajemności. Ale wtedy rozstanie i perspektywa śmierci wyrwały mi wyznanie. I usłyszałem odpowiedź, że mnie pani nie kocha jeszcze, ale że jestem jedynym człowiekiem na świecie, którego pani pokochać może. I to jeszcze powiedziała mi pani, panno Wando: „Jeśli pan wróci szczęśliwie z wojny, czego gorąco pragnę, a w sercu mem nie zajdzie zmiana, zostanę pańską żoną”. Nawet ten blady promień nadziei stał się dla mnie szczęściem. Słodki obraz pani nie opuszczał mnie nigdy w tych ciężkich latach tułactwa i męki. On dodawał mi otuchy wśród gradu kul, on rodził we mnie wolę życia, gdy dręczono mię w piwnicach czerezwyczaj tak strasznie, iż śmierć byłaby mi wyzwoleniem. Spełniłem nawet to życzenie, które mi pani żartem objawiła, mówiąc już na progu: „A niech mi pan jako zdobywcę wojenną przywiezie prawdziwego Araba!” Podziwiała go pani. Wprawdzie nie ze zdobywcy pochodzi, tylko z przygodnego kupna w Turkiestanie, ale jest bez skazy. A więc, moja serdecznie ukochana panno Wando! Wróciłem, pani na szczęście jest wolna, a więc?...

— O, czemuż pan nie zapomniał o mnie! — odrzekła z szczerą boleścią. — Nie mogę, nie mogę! Dawniej byłem lekkomyślna, zła. Sprawiało mi przyjemność, gdy serca niekochanych mężczyzn krwawiły się dla mnie. Ale teraz jestem inna. Co dałabym za to, abym mogła oszczędzić panu za-

wodu! Panu, panu zwłaszcza. Ale nie mogę, nie mogę!

— Dlaczego? — spytał, a twarz drżała mu w hamowanym skurczu cierpienia. Wspólni znajomi zapewniali mię, że pani od dwu lat nigdzie nie bywa i żyje na wsi, jak zakonnica. Myślałem, że serce pani nie jest zajęte.

— Powiem panu wszystko, ale nie teraz, później, choćby tylko za kilka godzin. Muszę zebrać myśli. Spadło to na mnie tak nagle. Ale o jedno już teraz pana proszę, nie proszę, błagam. Pan mi jest naprawdę bardzo, bardzo bliski. Nie mogę zostać pańską żoną, ale pragnę być dla pana najczulszą, najlepszą siostrą. Czy nie odmówi mi pan swych uczuć braterskich?

— Jestem doświadczony w cierpieniu — mówił głosem, który brzmiał jak łkanie. — Los nigdy nie psuł mnie nadmiarem szczęścia. Innym podawał całe puhary, a mnie zawsze kilka tylko kropeł. Widzę, że i teraz tylko na tych kilku kroplach muszę poprzestać. Ale dla mnie i to już dużo. Dobrze, dobrze, Wando, duchowa siostro moja! Będę ci bratem serdecznym i wiernym przyjacielem.

— Dziękuję z całej duszy — podała mu rękę, na której on wycisnął długi, smutny pocałunek rezygnacji.

Zamilkli i nie udawało się im już nawiązać zerwanej nici rozmowy. To też z uczuciem ulgi powitali panią Mazowiecką, która po drzemce poobiedniej świeżą i wypoczętą pojawiła się na gan-ku. Ciocia rozgadała się na dobre i zaczęła wychwalać Wandę, przedstawiając szeroko, jak bardzo się ustatkowała i spoważniała, jak ogromnie

stała się przystępna dla humanitaryzmu i uczuć społecznych, na dowód zaś swoich twierdzeń opowiedziała całą historję z Andrzejem, „z tym młodzieńcem, który naszej Wandzi zawdzięcza wszystko, nie wyłączając swej istotnie podziwu godnej prawości charakteru, idealistycznego polotu i szlachetności”. Wpadłszy na ten temat długo roztkliwiała się i unosiła nad Szczerbą, który swą skuteczną interwencją w sprawie żniwa szczególnie ujął ją za serce. Po jakimś czasie dopiero połapała się, że zgola niepolitycznie postąpiła wobec Łanieckiego, którego chciała widzieć mężem Wanddy, więc stropiła się bardzo i odeszła pod pozorem przygotowań do podwieczorku.

— Teraz rozumiem wszystko — rzekł smutnie Łaniecki — jestem pełen podziwu dla pani i rozumiem także, że przebywa pani obecnie na takich wyżynach ducha, gdzie ofiarowane mi braterstwo nie będzie jałmużną z litości, ale darem o istotnej i bogatej treści.

— O, jak dobrze, że pan to tak odczuwał! — zawołała z radością. — A teraz, panie Wacławie, proszę mi wybaczyć, że zostawię pana na chwilę samego. Muszę pójść na górę do siebie. Mam do napisania pilny list, a posłaniec właśnie odchodzi do miasta.

Nie poszła jednak do siebie, tylko do mieszkania Andrzeja, aby go nakłonić do pokazania się gościowi. Nie łatwe to było zadanie, bo młody desperat miał jak najgorsze przeczucie, uległ jednakże wkońcu, gdy mu wytłumaczyła, że to jest potrzebne „dla jego własnego szczęścia” i że by-

łoby wielką szkodą, gdyby nie poznał tego „człowieka o duszy wysokiej”.

Podczas podwieczorku, Łaniecki był mało-mówny i smutny. Wanda zauważyła jednak, że bacznie obserwował Andrzeja, patrząc przytem na niego bez cienia zawiści, owszem z widoczną życzliwością.

Po herbacie zaproponowała spacer w trójkę do ogrodu jarzynowego na ostatnie maliny. Gdy stanęli u celu, oświadczyła Łanieckiemu, wskazując na Andrzeja:

— Oto jest powód, dla którego nie mogę zostać pańską żoną. Kocham go!

W Andrzeja uderzył radosny promień szczęścia. To pierwsze z ust najdroższych wyznanie, które w dodatku ze względu na obecność świadka przybrało charakter oficjalnych zaręczyn, tak go wzruszyło, że zarumienił się, jak panienka. Uniesienie jego było zbyt wielkie, by mógł je w słowach wyładować, wyraził je więc tylko żarem ust, które przycisnął do ręki Wandy. Gdy jednak podniósł oczy ku Łanieckiemu, smutek zmroził jego czyste serce, które pragnęłoby cały świat ozłocić łuną wesela.

— Och! czemuż — rzekł z akcentem kryształowej szczerości — szczęście jednego człowieka musi się łączyć z krzywdą drugiego? Czemu pan musi czuć niechęć do mnie? Ale ja tak bardzo, z całej duszy, pragnąłbym mieć w panu przyjaciela.

— Nic temu nie przeszkadza! — odparł Łaniecki, a głos jego był cichy, jakby spływał do ich uszu z jakiejś ogromnej wyżyny. — Przez lata ostatnie dusza moja tyle razy stawała na progu

dwu światów, że zdołała wyrwać się z kręgu ludzkich namiętności i przyzwyczaić do „świętych obcowania”. Przebaczałem moim bolszewickim katom, a do ciebie miałbym czuć urazę, mój młody, szczęśliwy, szlachetny rywalu! Umiem trochę czytać w oczach i duszach ludzkich i jestem pewny, że pan da Wandzie to szczęście, którego przy mnie, niekochanym, znaleźćby, niestety, nie mogła. Miłość moja dla pańskiej narzeczonej jest tak bez granic i bez egoizmu, że ogarnia wszystkich, którzy jej są drodzy. Dlatego możemy i powinniśmy zostać przyjaciółmi.

Dłonie ich zwarły się w mocnym, serdecznym uścisku.

— A teraz pozwólcie, że was pożegnam! -- kończył. — Przeskok od nadziei do rezygnacji był jednak zbyt gwałtowny. Jesteśmy teraz rodzeństwem — dodał z smutnym uśmiechem. Nieprawdaż? Więc przyjmijcie ode mnie pocałunek braterskiej miłości.

Ucałował ich oboje po kolei.

— Pożegnaj, proszę — zwrócił się do Wandy — panią Mazowiecką i ojca w mem imieniu. Zatrzymywaliby mnie na wieczór, a ja naprawdę nie mogę. Powrócę wkrótce, a wtedy nie będę was już mroził swym smutkiem. Będę szczęśliwy waszem szczęściem. Bądź zdrowa, Wando! Bądź zdrow, Andrzej!

Po chwili jednak odwrócił się jeszcze:

— A mego Hassana, tego konia arabskiego, przyjmiesz Wando, prawda? Miał być zakładem miłości, niech będzie zakładem braterstwa! Jest je-

szcze trochę surowy, ale gdy go ujeżdżę, przyprowadzę go tobie.

I odszedł, gwiżdżąc jakąś rozpaczliwie beznadziejną molodję, zasłyszana gdzieś nad Wołgą.

— To jest człowiek! — zawołała Wanda z entuzjazmem. Chodźmy do mnie na górę! Tam z jednego okna widać drogę, którą będzie jechał. Chcę go jeszcze zobaczyć.

Niedługo czekali, a wnet na szarym szlaku drogi zajaśniała biała plama konia, skonstrastowana z czarną, rycerską sylwetą jeźdźca. Wrażliwy Hassan zaraził się widocznie zdenerwowaniem swego pana, bo buntował się, narowił i nie chciał iść. Łaniecki stracił panowanie nad sobą i zamiast uspokajać wierzchowca zaczął go kłuć ostrogami i okładać szpicrutą. Arab oszalał. Szamotał się w wściekłych susach i podskokach, wierzął, stawał dęba, rzucał się cały w bok i w górę. Zdawało się, że lada chwila roztrzaska siebie i jeźdźca, który sam oszalały coraz gwałtowniej do dalszego podniecał go szau.

— On się zabije! — krzyknął z przerażeniem Andrzej.

Lecz koń poddał się wreszcie silniejszej woli. Spokojny już, jak dziecko, wpadł w galop szybszy od wichru i wkrótce zniknął im z oczu.

— Jakiż on był wspaniały! — zachwyciła się Wanda — jak strasznie mię kocha ten szlachcic! Ale ja wolę ciebie, ty mój synu ziemi, ty sokole mój jasny!

Oplotła ramionami jego szyję i pochylając łagodnie ku sobie jego głowę delikatnie, jakby z na-

bożeństwem, zbliżyła swe usta do jego ust w subtelnej a słodkiej pieszczocie.

A wtedy w Andrzeju żywioł długo hamowany zerwał tamy, wzniesione przez młodość, czyistość i nadmiar uduchowionej miłości. Wpił się ustami w jej wargi, pozbawiając ją oddechu długim, namiętym pocałunkiem, który ją obezwładniał rozkoszą. Potem huraganowym ogniem żądzypalił jej policzki, oczy, czoło, włosy i szyję i piersi. Wreszcie ukląkł przed nią i całował jej kolana i nogi.

Lecz ona odsunęła go od siebie ruchem proszącym o przebaczenie, gdyż uznała, że i teraz jeszcze nie nadeszła chwila ekstazy — nie z powodu skrupułów kościelnych, czy obyczajowych, ale dlatego, że jej Satyrowi dekoracja wydała się nieodpowiednią.

— Czy ja jestem pierwszą kobietą, którą kochasz? — spytała nagle.

— Pierwszą i jedyną.

— Nie myślę w tej chwili o miłości duchowej.

— Innej dotąd nie znam wcale.

— Więc jesteś brylantem jaśniejszej wody, niż myślałam, o ty mój kwiecie polny! — zawołała rozpromieniona i znów musnęła jego usta motylą pieszczotą. — Ale teraz idź już — „rzecz każda ma swą porę” — zacytowała figlarnie.

Andrzej wyszedł posłusznie.

— A więc klamka zapadła — pomyślała Wanda — wobec Łanieckiego zaręczyłam się z Andrzejem, teraz trzeba tylko uzyskać zezwolenie rodziny. Ale z ciotuni musimy sobie zażartować. Zem-

szczę się na niej za wstręty, jakie z początku Andrzejowi w tym domu robiła.

Gdy przyszła do pokoju pani Mazowieckiej, z miejsca spotkała się z burą.

— Dlaczego Łaniecki odjechał bez kolacji? Musiałaś go czemś obrazić. Pewnie oświadczył się, a ty mu dałaś rekuzę?

Wanda zrobiła pogrzebową minę.

— Łanieckiego zbyt wysoko cenię i szanuję, abym go miała narażać na hańbę.

— Na hańbę? Co ty znów wypłatasz, warjato?

Wanda rzuciła się na kolana przed panią Mazowiecką, udając, że szlocha.

— Widzę, że muszę wyznać wszystko. Taiłam długo, męczyłam się, cierpiałam, jak potępieniec. Ale dłużej to ukrywać się nie da. Jestem przy nadziei! — zawołała tragicznie.

— Przy jakiej nadziei? — Czyś oszalała?

— Po prostu czuję, że zostanę matką!

— Jezus Marja! Kto, jak? Kto się ośmielił? Andrzej? Ten cham?

— Proszę go nie nazywać chamem bo on teraz musi być moim mężem. Musi, czy cioteczka to rozumie? A „cham” nic nie winien, bo był niewinny i nieśmiały, jak panienka. Ja go zgwałciłam!

— Sodoma i Gomora! Co za hańba, co za hańba! — jęczała ciotka. Coby na to powiedzieli nasi wielcy antenaci, Proszewscy i Mazowieccy?!

— Rzecz prosta, coby powiedzieli; że trzeba jak najprędzej dać na zapowiedzi, bo to zawsze rzecz nieprzyjemna, gdy się dziecko urodzi już w siódmym miesiącu po ślubie.

— Och, ty wyrodna córko! Wnuczka woje-

wodow i kasztelanów żoną syna chłopskiego, jakąś tam Szczerbina! Nie nie, nigdy! Ach, wody, umieram!

Zacna ciotka dla zasady zemdląła, dała się jednak bardzo szybko ocucić, bo naprawdę wcale jej tak bardzo nie przerażała konieczność wydania Wandy za Andrzeja, którego lubiła i ceniła.

— Czy cioteczka, która zastępuje mi matkę, daje swoje zezwolenie i błogosławieństwo?

— Cóż mam robić? Daję, ale protestuję. To było wymuszenie. Nie, ja tego nie przeżyję! Niech przynajmniej zmieni nazwisko! Niech się nazwie Szczerbowski, Szczerbiński, Szczerbicki, jak chce zresztą, tylko nie Szczerba!

— Nie potrzeba. To nazwisko bardzo mi się podoba. Brzmi mocno, jak chrzest miecza, spadającego na pancerz, a w dodatku ma w sobie coś bajronicznego. Dziękuję cioteczce najserdeczniej za błogosławieństwo, — tu ucałowała obie jej ręce — a teraz, gdy je już mam, proszę przyjąć do wiadomości, że to wszystko był żart i kłamstwo. Jestem czysta, jak Artemis.

— Cofam, cofam, nie pozwalam! — krzyczała oburzona dama.

— Zapóźno! Słowo się rzekło! Moje uszanowanie, sługa i podnózek! A teraz idę do ojca.

Pan Proszewski zgodził się nietylko bez wahania, ale z radością. Oświadczył, że, uważając Andrzeja za człowieka o niepospolitych zaletach, oddawna pragnął skrycie tego związku, lecz się nie zdradzał, bo w sprawach serca z zasady życzeń swych nie sugeruje.

— Teraz pozostaje już tylko wyszukać me-

tryki i do księdza! — dumiała Wanda, wróciwszy do siebie.

— Nie, tej przykrości mi chyba nie zrobisz! — poskarżył się Satyr. Czyż wszystko ma pójść tak po burżujsku, małomieszczańsku? Gdzież twoja fantazja, romantyzm? Dość długo znęcałaś się nadę mną, udając św. Klarę. Teraz i mnie się coś należy. Ja czuję, Wanduchna, że ty zaaranżujesz scenę w stylu helleńsko-żywiolowym.

— No dobrze, dobrze, ty sprośniku! Co mam począć z tobą? — i w myśli polechtała go pod brodę, drugą ręką przytrzymując go za kręty róg.

Zaraz nazajutrz wykonała plan, który jej podszepnął koźlonóg.

Miała panna Proszewska w parku urządzoną kąpiel z nadzwyczajnym komfortem. Koryto Seretu było na dużej przestrzeni po obu brzegach ogrodzone wysokim parkanem, przez który niedyskretne oczy nic dostrzec nie mogły. Od rozległego szmatu starannie utrzymanej łąki wiodły ku rzece wygodne, kamienne schody z poręczami, muliste dno wyłożone było gładko trembowelskimi płytami. Stała tam nadto wykwinтна kabina, a raczej pawilon, przy pomocy mat, puszystych dywanów i stosownych sprzętów urządzony — jak się chępiła — z „orientalnym przepychem”. Dach tego budyneczku był ruchomy i mógł być za pomocą odpowiedniego mechanizmu z łatwością podnoszony i spuszcany, nadto opony płóciennne pozwalały dowolnie regulować napływ i intensywność światła. Tam Wanda, gdy się jej sprzykrzyło leżeć na trawie, brała swe ulubione kąpiele słoneczne rozciągnięta na dywanach. Ponieważ kulturę ciała

doprowadzała aż do przesady, spędzała w tem zaciszu nieraz długie godziny, pełne wegetatywnego zadowolenia, urozmaicane czasem lekturą i marzeniami. Ponieważ ojciec i pani Mazowiecka kąpieeli rzecznych nie używali, przeto Wanda była wyłączną władczynią tej „świątyni wody i słońca”. Jedynie Andrzej dostąpił zaszczytu, iż mógł z niej korzystać w godzinach porannych, ona bowiem kąpała się dopiero w samo południe, gdyż słońce nigdy dość silnie dla niej nie świeciło.

Nazajutrz po owym dniu, przełomowym w swem życiu, Andrzej, jak zwykle, wykapał się rano w chłodnym strumieniu i ubrawszy się, rześki, pełen zdrowia i szczęścia, położył się na miękkiej murawie pod olbrzymią topolą nadwiślańską, której gałęzie ocieniały mu głowę. Rozgrzana ziemia i słońce coraz bardziej palące wsączały w jego ciało miłe, dobroczynne ciepło. Ogarnęło go słodkie rozleniwienie. Myśli jego straciły treść konkretną i plastykę i stały się zwiewne i bezkształtne, jak te ledwie dostrzegalne obłoczki, które się przesuwały po niebie. Miał wrażenie, że promienie słoneczne nawskroś przechodzą przez jego ciało, jak gdyby był nieodłączną częścią tej ziemi, którą słońce od wieków całuje swym żarem. Zdawało mu się, że się w nim łączą wszystkie tajemnicze soki ziemi i wszystkie mistyczne siły słońca, że ciało jego staje się ośrodkiem tego niezbadanego, kosmicznego laboratorium, które tworzy i w nieskończoność podtrzymuje życie. Potem — już napół senny — doznawał złudzenia, że odrywa się od ziemi i cały się w wszechświat rozrasta, a cały glob ziemski pędzi ku niemu, aby wpaść

w jego objęcia. Im bardziej zaś ziemia zbliża się do niego, tem wyraźniej przybiera kształt kobiety i rysy Wandy.

Z rozmarzenia obudził go delikatny szelest, który z ogromną jasnością przypomniał mu szmer nóg sarnich, zasłyszany niedgys, gdy po powrocie do Łanowca leżał ciężko chory w lesie.

Podniósł leniwie głowę i wsparł ją na rękę, potem powoli otworzył oczy i — skamieniał w olśnieniu.

Zobaczył przed sobą Wandę — nagą.

Stała przed nim niezawstydzona, tryumfująca, z rękami założonemi na tyle głowy, z której aż poniżej kolan spływały czarne fale jej rozpuszczonych włosów. Słońce świetlistą aureolą rozżlacało zarysy jej dziewiczego ciała.

W nim odrazu obudził się artysta. Nie widział przed sobą ukochanej ponad wszystko kobiety, ale najwyższe objawienie piękna na ziemi. Nieskazitelnny kształt greckiej amfory ożył przed nim i zagrał ciepłym, miodnym kolorytem ciała.

Długą chwilę trwali w milczeniu. Wreszcie Wanda postąpiła ku niemu i wyszeptała niedopuszczający sprzeciwu rozkaz:

— Pójdź — mój mężu!

Zarzuciła mu przez ramię kosztowny szal swych włosów, opłotła szyję jego ramieniem i powiodła ku pawilonowi.

Słońce lipcowe coraz namiętniej obsypywało pieśczołami łono swej wieczystej kochanki Ziemi...

Gdy wracali do domu, trzymając się pod rękę, usta Wandy drżały wspomnieniem rozkoszy i pragnieniem jej odnowy. Lecz Andrzeja ocieniał

dziwny smutek, który go zawstydział i gniewał. Nie mógł się opędzić żalowi, że lazururowe zwierciadło jego przeczystej miłości oczu zostało strzaskane. Z zadziwiającą plastyką pojawił się w jego pamięci obraz małej dziewczynki, która uderzeniem biczka rozcina mu policzek i zostawia na nim krwawą pręgę.

— Czy wiesz? — zagadnęła go w tej właśnie chwili Wanda — Ksiądz Jasnota wrócił wczoraj ze Lwowa. Po operacji staruszek czuje się wcale dobrze. Pójdziemy do niego. Przecież to u niego poznałam ciebie w dzieciństwie i pokochałam. Nikt inny tylko on musi dać nam ślub.

— O, jak to dobrze — uradował się Andrzej. — Pójdziemy zaraz jutro.

I poszli. Zastali księdza Jasnotę, wygrzewającego się na swym ganku, przysłoniętym liśćmi dzikiego wina. Jego białe, jak mleko, włosy srebrzyły się nad wychudzoną przez długą chorobę twarzą, która była tak ascetyczna i uduchowiona, że przypominała raczej widmową zjawę, niż rzeczywistość.

Ucieszył się bardzo, gdy ich zobaczył, a jeszcze bardziej, gdy usłyszał ich prośbę.

— Andrzej — mówił — Andrzej, ten mój dawny, miły, dobry chłopczyka! Zawiniłem wobec ciebie bardzo, bo poznałem w tobie duszę szlachetną i zdolną do lotu, a nie uczyniłem nic, aby rozwinąć twe skrzydła. Za bardzo jeszcze wtedy tonąłem w sprawach światowych i zamało miałem w sobie miłości. Ale Bóg miłosierny sprawił, że znalazła się inna dusza, która mój błąd naprawiła. O niech wasz dom stanie się gniazdem czystym,

z którego wyleci na świat gołąb prawdy. Bo świat utonął w kłamstwie. Wszystko brud, fałsz, jedno bagno, po którym w swej czarnej łodzi śmierci steruje Antychryst. Odmieniły się wartości: cnota jest hańbą, a grzech chwałą. Trzeba człowieka prostego, któryby znów poniósł między ludzi prawdę i miłość. O, bądźcie wy prości i bezkłamni, jak ta ziemia, która nas zrodziła i która kiedyś znów na wieki przycisnie nas do swego miłującego serca!

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ.

KSIEGA DRUGA.

LEMIESZE DUCHA.

I.

Andrzej chodził nerwowo po ogródku przed domem w Łanowcu. Srebrny sierp księżycy po nowiu zniżał się ku czarnym, niesamowicie postrzępionym wiechom sosen, na których niewyczuwalny wiatr grał swą wieczystą pieśń harmonji sfer.

— Ta harmonja trwa — pomyślał z goryczą — a w co się zamieniła harmonja, spokój mojej duszy? W gniazdo rozwścieczonych os, którym zgnieciono ich szary dom z bibuły.

Przesunął dłonią po głowie.

— Czuję wszędzie ich jadowite żądła — i tu — i tu — wszędzie!

Zdaleka dochodził przyciszony rechot żab, na gościńcu zaszczekały psy, z łąki słyszeć było przeciągłe nawoływania pastuchów, pilnujących koni. Odurzająca woń lip kwitnących zapraszała do słodkich rozmarzeń i miłosnych pieszczot.

Andrzej palił papierosy, jednego po drugim. Dawniej chłód nocy i ponocna muzyka wsi miały moc uspokajania jego trosk i udręczeń. Teraz to wszystko straciło wobec niego władzę.

Zadygotał od nagłego dreszczu trwogi.

— Zerwały się tętnice, które mię wiązały z tą ziemią. Nasze serca nie biją już razem. On jeden

ma dziś poszarpany rytm mej duszy — zaśmiał się boleśnie, dostrzegłszy nietoperza, który obłąkanym zygzakiem prześlizgnął się popod drzewami.

— To jest ten mój wytęskniony port szczęścia! — rozgryzał dalej piołun swoich myśli. — To jest ten cel jasny, do którego szedłem przez trzy lata! Ale czegoż się szarpiesz? Masz wszystko, czego chciałeś: dyplom agronoma, wspaniałą warsztat pracy i — ha, ha, — „możność ofiarnych poświęceń dla ogółu”. Gdy ci się podoba, możesz nawet pokusić się o wawrzyny, rzemiosło rzeźbiarza masz wszakże w ręku. Czyż nie jesteś najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem? I jeszcze jedno masz przecie. Byłbyś zapomniiał o rzeczy najważniejszej. Młodą, piękną, bogatą i kochającą żonę. Ha, ha, kochającą żonę! Tu się zbliżamy do sedna sprawy, do mojego złotego jabłka. Tylko nie rozkrój przypadkiem tego wspaniałego owocu, abyś nie zobaczył, że środek jest już mocno nadgniły.

Żachnął się niecierpliwie.

— Ależ to są przywidzenia, urojenia chorej głowy, ty marny neurasteniku, prowincjonalna karykaturo Hamleta! Przemęczyłeś się gorączkową pracą do egzaminów, więc teraz bredzisz. No i drażni cię to, że Wanda jest inna. Odmieniła się, to prawda, chwilowo, ale dlaczego zaraz robić z tego tragedję i biadać, że przestała cię kochać? Po prostu jesteś przedenerwowany.

Wtem wstrząsnął się cały. Gdzieś daleko w parku przeraźliwie zachichotał puszczyk.

— No widzisz, stajesz się już nawet zabobonny! — karcił siebie dalej. — Czyż jest możliwe, aby

zagaśła ta miłość, która narodziła się w raju, którą wykołysało matczyne łono twojej ziemi?

W tej chwili doleciał do jego uszu histeryczny śmiech Wandy. Stała odwrócona tyłem w oświetlonym, otwartym oknie salonu i, trzymając w ręku pełny kieliszek, mówiła nienaturalnie podnieconym głosem do kogoś, siedzącego w głębi:

— Przekonałeś mię, kochany kuzynie! Dzisiejszy świat jest śpróchniały, zgniły, a przedewszystkiem nudny. Musi zginąć i powinien zginąć jak najprędzej. Piję na zagładę dzisiejszego człowieka i dzisiejszej kultury!

Andrzej ścisnął pięście z wściekłością.

— Z jaką rozkoszą pogruchotałbym kości temu trzęsącemu się chłystkowi. Taką truciznę wsączyła w jej duszę ten wykwit urbanicznej poezji, ta futurystyczna kukła, ten ohydny degenerat! Co on zrobił z mego świętego anioła!

Ciemnię jego mózgu rozświetliła błyskawica myśli, by wpaść do salonu, zrobić gwałtowną awanturę i wymówić dom temu wyłysiałemu, zmietemu, młodemu starcowi, tej ruinie człowieka, który stał się ruiną jego szczęścia.

Pohamował się jednak szybko, bo ujrzał w duchu zimne ironiczne oczy Wandy, w których się czało nieme pytanie:

— Czy to twój dom? Czy cywilizacja liznęła cię tylko po wierzchu, a w głębi zostałeś nieokrzesanym — że tak powiem eufemicznie — „synem ziemi”?

— Nie, tu można oszaleć! — zaklął z cicha.

Spojrzał na zegarek. Było już pół do dwunastej.

— Idź spać, hreczkosieju! — dworował z siebie. — Daj spokój subtelny dysekcjom duszy. Jutro sapanie buraków cukrowych. Cała legja robotników na łanie. Trzeba dopilnować, wstać przed piątą rano. A wytwornej małżonce niech wykwintny, „Wilde'owski” umysł kuzyna pomaga dowoli roztrząsać zagadnienie upadku kultury zachodniej!

Powlókl się na górę ciężko i niechętnie do sypialni, która już przestała być naprawdę ich sypialnią małżeńską. Rozbierał się, myśląc z lękiem i odrazą, że za godzinę, za dwie, przyjdzie ona. Niewiadomo jaka, czy w dziwacznej euforji, skłonna do szaleństw i wygłaszająca rzeczy banalne tonem takim, jakby rozwiązywała najtajniejsze zagadki bytu, czy w czarnej, bezgranicznej depresji, opętana manją samobójstwa. W każdym razie będzie to jakaś istota obca, dziwna, niezrozumiała, nie ta jego dawna Wanda, która była jasnym promieniem jego oczu, chłodnem źródłem, z którego pił cudowny napój orzeźwienia.

Długo przewracał się niespokojnie na łóżku, wreszcie wpadł w stan męczącego półsnu, w którym mu się zdawało, że jest na jakimś upiornym festynie, gdzie ciasnym pierścieniem otoczył go zwarty wał Pierrotów i Arlekinów z błazeńskimi dzwonkami. Roztrącał ich pięściami i tratował, lecz w miejsce powalonych napływały coraz to nowe fale błaznów, które, wstrętne chichocąc, zagradzały mu drogę do światła i muzyką oszalałego domu. Czuł, że poza jego olbrzymiami szybami dzieje się jakaś rzecz potworna, której on jeden tylko może zapobiec, lecz nie mógł przełamać gro-

teskowej zapory. Tłum trefnisiów stawał się coraz gęstszy i zwolna porywał jego samego w wir obłądny, rozkołysany, roztańczony...

Dalsze trwanie zmory przerwało skrzypnięcie drzwi.

Otworzył oczy i zobaczył Wandę. Ubrana strojnie, jak na bal, w sukni tak wydekoltowanej, że na gołym biuście trzymała się tylko na jedwabnych, srebrem naszywanych szelkach, weszła chwiejnym nieco krokiem, z wypiekami na twarzy i, pałac papierosa, nuciła najnowsze shimmy.

Zbliżyła się do łóżka w rozdygotanym, chybotliwym rytmie tego tańca dzikusów.

— Nie śpisz jeszcze? To wybornie — zawołała. — Andrzej! zatańcz ze mną shimmy!

— Wando, Wando! Co się z tobą dzieje? — szepnął z boleścią.

Nic! Cóżby się miało dziać? Chcę tańczyć. Wiesz? Teraz niczem nie można ci dogodzić, Jestem wesoła — źle, jestem smutna — źle. Stajesz się okropnie nudny. No, zatańcz ze mną, nudziarzu! Ach, te tańce nowe, to rzecz nadzwyczajna! Ten skok konającej ludzkości w ramiona barbarzyńców! Ostatnia deska ratunku dla gasnącej gioia del vivere. Więc będziesz tańczył?

Aha! Pan Goździeniec tańczyć nie może. Nogi mu nie dopisują. Dlaczegóż tylko shimmy, czy nie lepiej jazzband? Jak staczać się w przepaść, to raczej odrazu.

— Wiesz — przysiadła na krawędzi łóżka — doskonała myśl. Muszę się nauczyć tego tańca. To już po prostu przedśmiertny krzyk rozpaczy-

Dzika orgia amerykańskich parobków i dziewczek, które rozpałała whisky.

— Kiedy Goździeniec odjeżdża?

— Ryszard? Jutro, pojutrze, nie wiem, niezadługo. Jakiż to wspaniały człowiek.

— Ależ on tak jedzie już od trzech tygodni i nie może odkleić się od Łanowca! To się przewleka w nieskończoność.

— Odjedzie, odjedzie. Wiesz, w czym jest jego urok? To jest sam destylat, kwintesencja zmierzchu kultury, która poznała swą nicość. W nim skupił się wdzięk całej ginącej rasy. Jest zmienny, ruchliwy, coraz to inny. To jest substancja wiecznie płynna i mieniąca się tysiącem światel.

— Światel próchna. Być może. Na mnie on robi wrażenie na pół zdechłego komara, który wyłaził z mazi i wszędzie zostawia swe kleiste ślady.

— Czyż-byś był zazdrosny?

— Nie, bo nie tylko cię kocham, ale i wierzę w ciebie. Wierzę, że jeśli nie poczucie etyki, z której twój zacny kuzyn nauczył cię drwić, to duma nie pozwoliłaby ci zdradzać.

— Zdradzać! Oh, jakież patetyczne słowo! Nieznane w sferze „poza dobrem i złem”, które jest moją sferą wewnętrzną.

— W tem właśnie tragedia! Nie jestem zazdrosny, tylko serce krwawi mi się, gdy widzę, że się zabijasz. Do czego cię doprowadzi to codzienne wypijanie mnóstwa wódek dla towarzystwa kuzynka alkoholika.

— Wartości życia nie mierzy się jego długością, ale intensywnością. Zawsze robię to, co wzmacnia we mnie poczucie pełni istnienia.

— A wczoraj znalazłem w twojej szafce nocnej i wyrzuciłem przez okno proszki kokainy. I tego nauczył cię ten szatan! Chce cię wpędzić do grobu. I tak jesteś już tylko zwitkiem chorych nerwów!

— Wyrzuciłeś te proszki? Szkoda. To bardzo trudne do nabycia. To cudowne lekarstwo! Ta jasność i sztyletowa ostrość myśli, którą daje, ta niezrównana lekkość i lotność całego ciała.

— A potem histerja, apatja i wstręt do życia. Staczasz się w otchłań... Wando, Wandeczko, ty moja niegdyś roso poranna! Błagam cię, zaprzestań tego życia! Jeśli nie masz litości nad sobą, ulituj się nademną!

W niej zadrgała jakaś dawna nuta. Spojrzała miękko na Andrzeja i rzekła:

— Pocałuj mię, ty stary gderaczu! Zrządzisz tak, jak ciocia Mazowiecka, nie umiesz, jak ojciec, zamknąć w sobie cierpienia. Pocałuj mię i niech powróci między nami zgoda!

Andrzej przycisnął usta do jej ręki.

— I już? — spytała.

Dotknął wargami jej czoła.

— I nic więcej? — powtórzyła zdziwiona.

— Daruj! — odrzekł. — Usta twoje są nawskróś przesycone wonią koniaku. Od pewnego czasu nie znoszę tego zapachu. A zresztą — wybuchnął — nie mam pewności, czy ust twych nie całował przed chwilą kto inny.

Wanda zmieniła się w jednej chwili. Zerwała się z łóżka, wyprostowana dumnie, a oczy jej płonęły gniewem.

— Nikt ich nie całował — krzyczała — rozumiesz? Stać mię na to, abym nie potrzebowała

kłamać! A nie podobam ci się, to bij mnie, bij mnie!

W szalonym porywie zszarpnęła harap, wiszący na ścianie, rzuciła go Andrzejowi i wołała coraz nieprzytomniej:

— Masz, bij mnie! Przecież chłopki skarżą się, że nie są kochane, gdy ich mężowie nie biją. To nie jest takie głupie. To zgadza się z maksymą Zaratustry „Gehst du zum Weibe, vergiss die Peitsche nicht!” No, bij mnie, czemu mnie nie bijesz?

— Co się z tobą dzieje, Wando moja? — błagał. — Uspokój się, moje biedne, chore, ukochane dziecko! Czy nie zdajesz sobie sprawy, co robisz?

Zaniosła się spazmatycznym płaczem. Po chwili opanowała się, i milcząc, z zimną zaciętością zaczęła zabierać swoją pościel z łóżka.

— Zmiłuj się, cóż to ma znaczyć? — zapytał przerażony.

— Wstrętna woń koniaku nie dałaby ci zasnąć. A zresztą nudzisz mnie. Wogóle wszyscy strasznie mnie nudzicie.

Wyszła z pościelą do drugiego pokoju i przekręciła klucz w zamku. Gdy się rozbierała, była już zupełnie obojętna, jakby o wszystkim zapomniała. Czuła tylko ogromne znużenie. Z prawdziwą rozkoszą rzuciła się na kanapę i podciągnęła kołdrę aż pod szyję. Ogarnęło ją błogie ciepło. Zapragnęła uścisków i pocałunków.

— Ach — myślała, ziewając — trzeba by ruszyć się, wstać, a ja taka-m zmęczona. Pomiędzy mną a Andrzejem ściana, coraz grubsza ściana. A tamten? To tak daleko... trzeba przez schody... przez kilka pokoi... przez grzech, wiarołomstwo...

cudzołóstwo. Nie, nie, nie mam sił. Najlepiej zasnąć, zasnąć i... nie zbudzić się!

Przełknęła proszek adaliny, odwróciła się do ściany i w jednej chwili zasnęła ciężkim, kamienym snem.

Andrzej nie zmrużył oka aż do rana. Gdy tylko wczesny lipcowy świt wraz z pierwszym świegotem ptaków wpłynął przez szyby i zaczął kontury mebli wynurzać z ciemności, zerwał się i ubrał, aby jak najprędzej wyjść z tej sypialni, która stała się dla niego lochem tortur.

Na korytarzu jednak zatrzymał się i po krótkim wahaniu wszedł cicho przez drugie, na szczęście otwarte drzwi do pokoju, gdzie spała Wanda. Z ściśniętym sercem patrzył na jej podkrążone oczy, pożółkłą cerę i na rysujące się pod kołdrą ciało, wstrząsane od czasu do czasu nerwowym dreszczem. Ten obraz postępującego zniszczenia przejął go serdecznym żalem. Ucałował jej włosy, potem zakrył twarz dłońmi i załkał cicho.

Za chwilę był już w stajni, gdzie zdumionemu parobkowi kazał osiodłać Hassana, którego Wanda od czasu powrotu do Łanowca, nie dosiadła ani razu i popędził w pole.

Ruch i przeciąg chłodnego powietrza przyniósł mu pewną ulgę. Po dłuższem błędzeniu bez celu zajrzał do robotników. Usiłował rozmawiać z Łachodkiewiczem i wydawać dyspozycje dozorcóm. Nagle jednak zrozumiał, że go to wszystko zupełnie nic nie obchodzi, i że śmiesznością jest troszczyć się o ornamenty na fasadzie domu, którego ściany zarysowały się i grożą runięciem. Ujrzał przed sobą przeraźliwą pustkę i bezprzyszłość.

Zrodziło to w nim pragnienie zasięgnięcia czyjejś porady, pomocy, a przynajmniej wywnętrzenia się i pożalenia. Ale przed kim? Ciocia Mazowiecka jako jedyną odpowiedź ma łzy i spazmy. Proszewski jest uosobieniem fatalizmu i bierności. Wtem przyszedł mu na myśl Łaniecki. Tak, pojedzie do niego. On ma przecież tak głębokie przywiązanie do Wandy i prawdziwą przyjaźń dla niego, a nadto rozum jasny i doświadczony, a serce proste i dobre. Posłał więc do domu kartkę, że wróci aż wieczorem i skierował konia do Dumki.

Łaniecki szczerze nim się ucieszył i przywitał serdecznie.

— Jak się masz, mój drogi! — mówił, ściskając mu dłonie. — Wróciliście nareszcie. Jak to dobrze, będę znów miał towarzystwo ludzi mi bliższych. A czas najwyższy, bo od ślubu waszego ledwie kilka razy widziałem się z wami i to przełotnie.

— Niestety — odrzekł Andrzej — musieliśmy chodzić różnemi drogami. Ale wierz mi, że duchowo nigdy z tobą nie traciłem kontaktu. Byłeś mi zawsze wzorem i ideałem. Jakże się tobie powodzi?

— Dobrze, jestem w całkowitej zgodzie z losem. Odmówił mi wielkiego szczęścia, ale też oszczędza mi wielkich smutków. Urządziłem sobie życie równe, ciche i spokojne. Jesień mego życia jest podobna do naszej, polskiej jesieni. Dużo człowiek wygrywa, gdy się nauczy zajmować więcej innymi ludźmi, niż sobą. Ale jakże kwitnie twoja młoda wiosna?

— Moja wiosna! — gorzko uśmiechnął się An-

drzej. — Tak wiele w niej przymrozków i szronów, że już nie umiem jej od zimy odróżnić. Właśnie dla tego przyjechałem do ciebie.

— Czyżby naprawdę aż tak źle było? A cóż twoja żona?

— Nie wiem, czy mogę ją naprawdę nazwać jeszcze swoją żoną.

— Ach, więc to o nią idzie! Może nie jest tak groźnie, jak się tobie wydaje. Otwórz przede mną swe serce, mój bracie; choćbym nawet nie znalazł rady, spowiedź taka przynajmniej ulży ci napewno.

— I ja tak myślę. Ale to nie jest tak łatwo. Przez całą drogę układałem, jak ci to powiedzieć, a teraz znów jestem, jak student, który nie nauczył się lekcji. Czuję, że otwiera się przede mną przepaść bez dna, ale nie wiem jakie jest jej miano. Nie umiem nazwać sedna mego nieszczęścia, choć jego ciężar przygniata mnie do ziemi. Bo właściwie realnie nic się jeszcze nie stało, ale mam podświadomą pewność niemal, że zbliża się ku mnie jakiś mrok, mrowiący się od potwornych widm i upiorów i że lada chwila ogarnie mnie całego.

— Rozumiem to — rzekł z współczuciem Łaniecki. — Taki stan niepewności i trwożnego oczekiwania dotkliwszy jest od samej klęski. Ale dam ci radę. Wyjdźmy teraz na folwark, pokażę ci moje gospodarstwo. To rozerwie trochę i uspokoi twoje myśli, potem zjemy obiad, a później pomówimy o tem, co cię boli.

Andrzej przystał na wszystko. Mimo swego wewnętrznego rozbicia przekonał się z podziwem, że przyjaciel jego jest nie tylko wzorowym i po-

stępowym rolnikiem, zastosowującym rozumnie najnowsze zdobycze wiedzy agronomicznej, ale nadto pełnym humanitaryzmu pracodawcą i prawdziwym opiekunem swych wiejskich współpracowników. System udziału parobków i stałych robotników w czystych dochodach gospodarstwa uznał za tak sprawiedliwy i korzystny dla obu stron, że postanowił go jak najrychlej zaprowadzić w Łanowcu.

— Jeśli cię przedtem nie zagryzą szczury twoich cierpień — podszeptała mu refleksja.

Przed obiadem poznał matkę Łanieckiego. Była to siedmdziesięcioletnia przeszło staruszka, krzepka jeszcze i żwawa, wnosząca z sobą atmosferę wszystko obejmującej dobroci i słodyczy. W syna wpatrywała się, jak w tęczę. Widocznie był [jedyną treścią, ostoją i nadzieją jej życia. W chwili, gdy weszli do jadalnego pokoju, od czarnej jej sukni oderwała się i potoczyła ku nim jakaś pastelowo jasna kulka: małe, pięcioletnie może dziewczątko, ubrane w białą sukienkę z niebieską szarfą, z ślicznymi włoskami koloru dojrzałej pszenicy i oczętami jak bławaty. Przypadła do kolan Łanieckiego, wołając: „ojczulku, ojczulku!”

— Masz córkę? — zapytał Andrzej zdumiony.

— Tak, to moja najukochańsza córuchna, choć tylko przybrana — odrzekł Łaniecki, pieszcząc i całując dziewczynkę.

— To dziecko naszego gumiennego — wyjaśniła matka. — Po śmierci rodziców, których zabili bolszewicy, Wacław przygarnął sierotkę i wkrótce tak polubił, że ją adoptował. A teraz jest radośnym promykiem naszego domu.

Andrzej nie mógł się obronić przelotnemu

uczuciu zazdrości na widok rodzinnego szczęścia tego samotnego człowieka. Przypomnił sobie zgorzeliśko swego własnego spalonego rajy i posmutniał jeszcze bardziej.

Gdy po obiedzie zostali sami i przeszli do gabinetu gospodarza na czarną kawę, zasiedli w arcywygodnych, klubowych fotelach, obitych ciemno-zieloną skórą, a Łaniecki, podając Andrzejowi wykwintne cygara, zaprosił go do spowiedzi.

— Najlepiej będzie — dodał — jeżeli mi od początku opowiesz dzieje swego pożycia małżeńskiego, oczywiście kładąc nacisk nie tyle na fakty zewnętrzne, ile na wydarzenia, które dokonywały się w waszych duszach. W ten sposób poznam najlepiej źródła tego, co nazywasz swoją tragedją, czy też jej zapowiedzią. Jak wiiesz, okres przed waszym ślubem i bezpośrednio po nim znam dokładnie, bo odwiedzałem was wówczas bardzo często i — przyznasz chyba — nie maciłem niczem harmonji waszych upojeń. Ćwiczyłem się w oczyszczeniu siebie z uczuć niskich i egoistycznych.

— I złożyłeś niepospolity dowód zaparcia się siebie i osiągnięcia wysokiego poziomu duchowego, będąc świadkiem podczas naszego ślubu.

— Obserwowałem wtedy wasze pożycie i doszedłem do przekonania, że związek wasz oparty jest na podstawach trwałych i niewzruszalnych. Nie był to tylko wybuchowy poryw zmysłów, który chwilowo rozpala dwa ciała do czerwoności, jak żelazo, a potem przynosi z sobą chłód żelaza i jego nieczułość, ale doskonała harmonja duchowa i fizyczna dwu istnień ludzkich, przez samą naturę do wzajemnego wspierania się i uzupełnia-

nia przeznaczonych. Gdym patrzył na was, nieraz przychodził mi na myśl Platoński mit z „Uczty“, według którego dusze kochanków tworzyły niegdyś jedną całość, a potem rozdwojone, tęsknią do siebie poprzez wieczność całą, dopóki się znów nie połączą.

— Tak! — westchnął Andrzej — to był drugi z rzędu najszcześniejszy okres w mojem życiu. Nie tak odcieleśniony i wzniosły, jak ów pierwszy, kiedy dusze nasze w kornem zachwyceniu przystępowały do stołu Pańskiego, aby przyjąć hostję czystej, duchowej miłości, a wszystko dokoła nas zdawało się klękać na widok stojącego się żywego cudu, ale zawsze ogromnie, chociaż inaczej, radosny. Daruj mi tę literaturę, ale tyle razy to wszystko wspominałem i w tych właśnie słowach w myśli formułowałem, że mimowoli nie mogłem dać innego określenia. W pamięci mojej ta pierwsza faza naszego wzajemnego rozkochania się w sobie ma zawsze kolor jasno-błękitny wiosennego nieba, druga żagwi się, jak obłoki, w których utonęło słońce o zachodzie w wigilję burz. Tamta wygląda, jak niezapominajka, ta — jak szkarłatna róża w pełni rozkwitu. Pierwsza ma smak zimnej, orzeźwiającej wody, zaczerpniętej dłonią z potoka, przepływającego podniebną, tatrzańską dolinę, ta płonie w żyłach, jak wino, wyciśnięte z gron, które dojrzały na stokach Wezuwiusza. I rzecz dziwna: w chwilach naszych najbardziej płomiennych uniesień, napadały mię czasami zmyły lęku, że to jest przesilenie szczęścia, po którem może już nastąpi noc, wicher i zejście w dół, w otchłań nędzy. Były to jednak tylko przelotne przewidzenia, dziś

powiedziałbym ostrzeżenia, bo zresztą życie nasze wówczas snuło się jak jedno pasmo oszałamiających zjednoczeń, rozkosznych potem znużeń i znów budzących się, nigdy niedość nasyconych pragnień. Była to poezja, poezja szczera i niesfałszowana, a tem bardziej olśniewająca, że padał zawsze jakby modry refleks pierwszej lazuruwej epoki naszej miłości na parny obłok tych zbliżeń, a z ljanowych gąszczy splątanych naszych zmysłów wykwitał i wtedy niebieski kwiat symbolu, który nam niósł mistyczną woń zaświatowych, ponad wszelką doczesność mocniejszych związków.

— Czy poczucie to było obustronne? — zagadnął Wacław.

— Nie wiem, zdaje mi się, że tak. Chociaż czasem dostrzegałem w oczach Wandy jakby oczekiwanie nowych rewelacji, bynajmniej nie metafizycznych. Ale nie, nie chcę jej krzywdzić. Nie twierdzę tego.

Andrzej zamyślił się i utonął w chmurze cygarowego dymu.

— A potem — podjął rozmowę Łaniecki — straciłem was z oczu. Jak sobie zapewne przypominasz, musiałem wyjechać do moich majątków pomorskich, a gdy wróciłem, już was nie zastałem w Łanowcu. Później przez cały ten czas zaledwie kilka razy widziałem was, tu na wsi i we Lwowie, ale zawsze w licznej towarzystwie, które uniemożliwiało poufną rozmowę.

— Ów wyjazd nasz z Łanowca nastąpił na moje życzenie i był przyczyną pierwszej poważniejszej różnicy zdań pomiędzy nami. Nie pozostawiła ona jednak żadnych ujemnych skutków.

Kto wie, gdybym był ustąpił, może byłby się z ciemnych mroków bytu nie wyłonił ów koszmar, który mię coraz ciaśniej chwyta w swe lepkie, trupio-sine objęcia. Chociaż nie! Widocznie w naszym stosunku był jakiś ferment zła, który musiał w ocet przemienić nasz napój miłosny. Komu i czemu to jest potrzebne na tym świecie, czy poza nim — nie wiem! W każdym razie w Wandzie był jakiś jakby instynkt lęku przed nowem życiem, bo nieraz powtarzała: „Zostańmy na wsi, nie rozłączajmy się z tą ziemią, która była kolebką naszej miłości! Zobaczysz, że to się zemści”. A przecież nie było to jakieś rozłączenie trwałe i stanowcze, lecz tylko chwilowe oddalenie się, które miało służyć do tem silniejszego i już do śmierci nierozzerwalnego związku.

— A przyczyną tego wyjazdu były twoje studia. Nieprawdaż?

— Tak jest. Wanda, która z taką energią i niepospolitą u młodej dziewczyny konsekwencją doprowadziła mię do matury, po ślubie na punkcie dalszego kształcenia się mego ostygła zupełnie. Tłumaczyła mi, że duchowo jestem już najzupełniej dostrojony do jej poziomu, a nawet przeraśmam ją pod niektórymi względami, że pozytywnych wiadomości posiadam również zapas wystarczający, a zresztą mogę je uzupełniać w drodze lektury. Świadcstwa — mówiła — i patenty są mi niepotrzebne, ponieważ jako jej mąż jestem aż nadto bogaty.

— Na takie postawienie kwestji ty oczywiście nie zgodziłeś się.

— Naturalnie, że nie mogłem się zgodzić i to

z rozmaitych powodów. Najpierw mimo mej całej nie już miłości, ale wprost zaślepienia w Wandzie, i mimo pracy, którą w administrację Łanowca wkładałem, poczucie zupełnej materjalnej zależności od żony ubliżałoby mojej męskiej dumie i byłoby dla mnie nie do zniesienia. Powtórę miałem gorące pragnienie ukończenia studjów, bo czułem i czuję nieprzemierzony wstręt do półinteligentów i niedouków, uważając, że nic tak nie może demoralizować człowieka, jak chaotyczne połapanie okruchów i odpadków niedość pogłębionej wiedzy.

— Zupełnie szłusznie! — wtrącił Łaniecki. Fatalny wpływ półinteligentów i niedouków na życie publiczne odrodzonej Polski znamy aż nadto dobrze z doświadczenia.

— Wreszcie — mówił dalej Andrzej — działał u mnie jeszcze jeden motyw, dość nieuchwytny, natury raczej metafizycznej. Zdawało mi się, że ziemia, która rodziła całe pokolenia mych chłopskich przodków, grzebiących się w jej łonie w odwiecznej pracy rolnika, wysiliła się, aby wydać ze mnie roślinę bujniejszego wzrostu, że więc mam obowiązek oddać dług wobec niej zaciągnięty w formie nieustannego umysłowego i duchowego wzajemnego wysiłku z mej strony. Nie umiem drogą racjonalistycznej logiki dokładnie określić i wyjaśnić tego ogromnego wpływu, jaki ziemia wywiera na kształtowanie się mych myśli, uczuć i przeznaczeń, ale czuję go zawsze i bardzo intensywnie.

Łaniecki spojrzał na Andrzeja z nietajonym podziwem.

— Czujesz to? — rzekł. Jakżeż to dla mnie

radosne. Bo i ja prócz oczywistych, dla każdego jasnych związków pomiędzy człowiekiem, a ziemią, która jest jego ojczyzną, odczuwam inne jeszcze tajemne nici pozażyciowej i pozazmysłowej spójni, która mi każe współżyć z ziemią, jakby z żywym i duszą ożywionym organizmem. Ale wróćmy do twojej opowieści!

— Otóż Wanda, widząc, że jestem nieugięty, ustąpiła wreszcie i zgodziła się na wyjazd do Lwowa. Usiłowała jednak namówić mię, abym obrał karierę artystyczną i oddał się wyłącznie rzeźbie. Argumentowała, że mam talent niewątpliwy i że tylko sztuka może przynieść mi sławę, która jest celem jedynie godnym człowieka, niepotrzebującego się troszczyć o środki do życia. Lecz i tu musiałem się sprzeciwić. Tak zwany mój talent uważałem bowiem tylko za wyłącznie rzemieślniczą zręczność i miałem głębokie przeświadczenie, że twórczość i artyzm są sprawą ducha, nie palców. W duszy zaś mojej nie pojawiały się żadne idee plastyczne, któreby domagały się materjalizacji. Uczucie nie unosiło się na skrzydłach wyobraźni, zdolnej do wytworzenia wewnętrznej, zmysłami uchwytniej wizji. Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę być twórcą, bo nie miałem poczucia konieczności tworzenia, a szeregów artystów-rzemieślników powiększać nie chciałem. Sława, tak pociągająca dla Wandy, nie nęciła mnie wcale. Sława za życia — jest mojem zdaniem — czemś raczej niewygodnem, przykrem i może dawać zadowolenie tylko bardzo niewybrednym duszom. Ma ona znaczenie o tyle tylko, o ile ułatwia materjalne warunki twórczości. Sława pośmiertna zaś

właściwie niesłusznie nosi tę nazwę, bo posiadaczowi jej żadnej już korzyści przynieść nie może, a jest tylko miarą siły i trwałości oddziaływania idei na umysły ludzkie. Trzeba więc przede wszystkim mieć te idee, aby poświęcić się sztuce bez popelnienia oszustwa wobec siebie i drugich. Dlatego nie poszedłem do Akademii sztuk pięknych, ale zapisałem się na wydział rolniczy Politechniki lwowskiej. Wandzie zrobiłem tylko to ustępstwo, że przez cały czas studiów pobierałem prywatnie lekcje rzeźby i osiągnąłem nawet duży stopień biegłości technicznej. Nauka ta była dla mnie zresztą miłym wypoczynkiem i rozrywką po pracy ściśle umysłowej. Żona, a nawet mój mistrz, namawiali mnie często, abym te roboty moje wystawił, ale ja nigdy nie chciałem na to się zgodzić, bo uważałem je za twory rąk, a nie duszy. I z tego powodu dochodziło nieraz do scysji między mną a Wandą, która widziała brak ambicji w tem, co ja uważałem za prostą uczciwość.

— We Lwowie — jak słyszałem — prowadziliście dom otwarty i na wysokiej stopie.

— Nieodrazu. Wanda, wyjechawszy z Łanowca, znalazła urok w nowej sytuacji i czuła się zupełnie zadowolona. Przykład mój zachęcił ją do dalszej nauki, nie chciała jednak już kończyć studiów medycznych, ale zapisała się na filozofję i chodziła na wykłady literatury polskiej i historii sztuki. Z początku ogarnął ją taki zapal, że zaczęła snuć śmiałe plany o doktoracie, wyjeździe za granicę, a nawet habilitacji. Wiedliśmy wtedy typowe życie studenckie. Wynajęliśmy skromny, ale ze smakiem urządzony pokój. Usługiwała nam

stróżka kamieniczna. Wanda sama gotowała na maszynce śniadanie. Potem rozchodziliśmy się na wykłady i spotykali aż przy obiedzie w taniej restauracji. Popołudniu znów wykłady, u mnie czasem rzeźba. Kolacje zawsze w domu niezmiennie te same: wędliny, herbata i owoce. Potem znów praca, albo wspólna lektura nieraz do późna w nocy. Wanda aż przesadzała w oszczędzaniu, twierdząc, że taki tryb życia najlepszy jest dla ludzi, zmuszonych do ciągłego wysiłku umysłowego. Oprócz tego przybieranie pozy cyganerii studenckiej sprawiało jej romantyczną przyjemność. Ja byłem z takiego życia istotnie zadowolony i zupełnie szczęśliwy. Jednem tylko różniliśmy się od ogółu niezamożnych kolegów i koleżanek: wyszukaną elegancją w stroju. Z tego Wanda nie chciała zrezygnować, a ja musiałem się do niej stosować. Pozwalaliśmy sobie, nie licząc poważnych przedstawień teatralnych i dobrych koncertów, które należały do edukacji, jedynie na zjadanie co niedzieli kolacji u George'a, gdzie przy muzyce i butelce wina, spędzaliśmy po kilka godzin na miłej rekreacji. Wandzie sprawiało zadowolenie, że jej uroda budzi ogólne zainteresowanie, a ja byłem z niej dumny i cieszyłem się jej powodzeniem.

Czas ten, niestety krótki, był dla mnie tak niemal szczęśliwy, jak pierwszy „lazurowy” okres naszej miłości. Gdyśmy z podróży w światy myśli naukowej wracali do siebie, miłość nasza, jakby ciągle rodziła się odnowa. Nie byliśmy mężem i żoną, ale najczulszą parą kochanków. Jakże rozkoszne były te nieskończone nasze dysputy, w których Wanda z przeko-

ry zajmowała stale stanowisko zasadniczo od mojego odmienne i doprowadzała zwykle aż do sprzeczki, po to tylko, aby potem można się było przeproszać i godzić przy pomocy całej serji uści-sków i pocałunków! Ile słodczy było w tem wzajemnem komunikowaniu sobie ważniejszych, przez nas poczynionych zdobyczy w zakresie wiedzy, humanistycznej u niej, przyrodniczej u mnie! W pokoju naszym zawsze było pełno kwiatów polnych i leśnych, bo chcieliśmy, aby oddech ziemi nigdy nie przestał nas owiewać. Wiosną przeżywaliliśmy w ten sposób wraz z naturą całe odradzanie się jej życia. W flakonach naszych pojawiały się wówczas kolejno białe śnieżyczki, puszyste bazie wierzbowe, bursztynowe paciorki kwiatów leszczyny, fioletowe, aromatycznie woniejące, choć trujące wilcze łyko, niebieskie przylaszczki, gładyszki o biało-zielonych dzwoneczkach, a potem całe wiechy czeremchy, bzu, tarniny, czereśni i jabłoni i skromne niezapominajki i wytworne konwalje i upajające, jak sama miłość, leśne storczyki. Na falach tych woni przyplýwała ku nam wizja Łanowca, który był dla nas świętej ziemi najświętszem sercem. Tęskniliśmy też za nim podówczas bardzo. Na długich przechadzkach za miasto, przypominaliśmy sobie na widok zbóż i drzew tamte najdroższe dla nas pola i lasy, tworzące serdeczną mapę, której 'każdy punkt był upamiętniony jakimś ogromnie doniosłym zdarzeniem z cichej historii naszych dusz. Do domu jeździliśmy tak często, jak tylko zajęcia nasze pozwalały i cieszyliśmy się na te chwile, jak dzieci. Wanda przebaczyła mi wreszcie nawet moje studia agronomiczne, które po-

czątkowo uważała za zbyt prozaiczne i udekoro-
wała je w swej wyobraźni nimbem jakiejś kapłań-
skiej służby przy ołtarzu bóstwa Ziemi. Nie trafiał
natomiast do jej przekonania często przeze mnie
powtarzany argument, że obrałem te studia dlate-
go, aby móc choć w części odwdziaczyć się za
dobrodziejstwa, wyświadczone mi przez nią i przez
jej rodzinę, za pomocą zaprowadzenia w Łanowcu
racjonalnej gospodarki, tak bardzo tam potrzebnej.

W ten sposób mijały nam tygodnie i miesią-
ce w niezmaconem szczęściu, ozłoczone nadzieją
spokojnej, równej i jasnej przyszłości.

— Niestety — wtrącił Łaniecki — spokój we-
wnętrzny jest tylko udziałem albo wczesnej, pełnej
wiary młodości, albo zrezygnowanej starości. A wy
byliście daleko od jednej i od drugiej mety.

To też skończył się nasz spokój. W usposo-
bieniu Wandy zaszła niebawem zupełna zmiana.
Sprowadziła ją jej natura porywcza i zapalna, ale
zmienna i pozbawiona cnoty wytrwałości. Nagle
sprzykrzyły się jej wykłady i przestała na nie cho-
dzić, mówiąc, że się co do nich rozczarowała, że
są nudne, jałowe i niezdolne do zapłodnienia umy-
słu, pragnącego prawdziwej strawy duchowej, a nie
surogatu, przywdzianego w suche, abstrakcyjne
formułki. Przez czas pewien oddawała się jeszcze
w domu sumiennej lekturze prac naukowych, ale
potem zaniechała i tego. Ogarnęło ją zniechęcenie
i apatja, która mię bolała i martwiła. Całemi dnia-
mi leżała na kanapie, czytając, a raczej niedbale
przeglądając francuskie romanse, które masowo
kazała sobie z wypożyczalni przynosić. Później
i to ją znudziło. Zleniwiła tak, że całkiem prze-

stała z domu wychodzić, nawet obiad musiano jej przynosić. Włóczyła się beczynn timer z kąta w kąt, albo wcale nie wstawiała z łóżka, drzemając i bezmyślnie wpatrując się w sufit. Czasami — i to było jeszcze najlepsze w ówczesnym jej stanie — snuła dziecinne i fantastyczne marzenia: o dalekich podróżach aeroplanem, choćby do bieguna północnego, o wyjeździe do Indyj i Japonji, o życiu pustelniczem w jakiejś afrykańskiej wiosce murzyńskiej, a nawet o praktykowaniu nauk Yogów. Naogół była niesłychanie rozdrażniona, kapryśna, irytująca się z powodu każdej drobnostki. Mówiła że napadają ją znów jej panięńskie demony i że zawiodła się myśląc, iż je małżeństwem na zawsze odpędziła. Zacząłem się poważnie niepokoić o jej zdrowie, bo mi się zdawało, że popada w jakąś psychozę. To też, chociaż taka odmiana wcale nie odpowiadała moim zamiarom i upodobaniom, ucieszyłem się, gdy mi raz oznajmiła, że ma już cygannerji studenckiej najzupełniej dosyć i że, skoro ze względu na mnie musi mieszkać w mieście, pragnie dom nasz postawić na stopie, odpowiadającej jej stosunkom i sytuacji życiowej.

Postanowienie to ożywiło ją i zmieniło znów gruntownie. Stała się w tym samym stopniu gorączkowo czynna i ruchliwa, w jakim do niedawna była apatyczna. Cały swój zapał i pomysłowość włożyła w urządzanie naszego nowego home'u. Najpierw wyszukała w dość eleganckiej kamienicy obszerne mieszkanie, które wynajęliśmy a raczej kupili za kilkanaście milionów marek, zobowiązując się nadto do płacenia bardzo wysokiego czynszu. Przykro mi było bardzo, że zmuszeni byliśmy

opuścić nasz cichy pokój, położony, jak na wsi, w tonącej w zieleni najpiękniejszej dzielnicy pod parkiem i przeprowadzić się do bezdrzewnego i dusznego śródmieścia. — Ku memu zdumieniu Wandzie nie zrobiło to żadnej różnicy. Twierdziła, że natury będziemy mieli w Łanowcu aż za dużo, a teraz trzeba, abyśmy wyzyskali to wszystko, co nam miasto dać może.

— Czy był to u niej — zapytał Łaniecki — spowodowany jakąś głębszą przemianą objaw istotnego odwrócenia się od natury i ziemi?

— Nie — odrzekł Andrzej. Wtedy jeszcze nie. Dopiero później nastąpiło uwielbienie postępu techniki i zakochanie się w maszynach, pompach, traktorach i motorach, zaczerpnięte z futurystycznych manifestów Marinetti'ego i jego wyznawców. Dopiero później przyszła u niej odpowiadająca żydowskiej poezji urbanicznej faza apoteozowania niespokojnego i nerwowego rytmu życia miejskiego wraz z jego dyssonansami i kontrastami. Ale to pozostaje już w związku z ostatecznem przesileniem się mego szczęścia i z dzisiejszą niedolą. Wtedy motywem jej postępowania była tylko chęć wyżycia się, zabawy i rozprószenia nudów.

Zaczęły się ustawiczne konferencje z stolarzami i tapicerami. Znajomi malarze musieli dostarczać rysunków do mebli i pomagać w kupowaniu stylowych dywanów, kilimów i makat. Szły na to wszystko niesłychane sumy. Łachodkiewicz poccił się, Łanowiec dobywał z siebie ostatnich sił, a ciocia Mazowiecka w listach biadała nad niedaleką ruiną, lecz Wandy zupełnie to nie wzruszało. Ja mimo wszystko byłem zadowolony, bo wola-

łem to marnotrawstwo, niż niedawną jej depresję. Wreszcie nowy dom nasz był urządzony — przyznać trzeba — nie tylko zbyt kownie, ale wysoce artystycznie. Teraz Wanda zapowiedziała, że mając już należycie przygotowany teren operacyjny, musimy rozpocząć życie towarzyskie i w tym celu odnowić stare i pozawierać nowe znajomości. Przyśtałem chętnie ze względu na przyjemność, jakiej się stąd spodziewała, zastrzegłem się tylko, że w zabawach jej i zebraniach będę brał udział tylko o tyle, o ile to nie będzie przeszkadzać moim studjom, które uważam za sprawę główną i najważniejszą. Nazwała mnie pedantem i tetrykiem, lecz nie nalegała wcale, co nie powiem, żeby było dla mnie zbyt miłe. Nasze podwieczorki czwartkowe — nie licząc kilku wystawnych przyjęć w karnawale, nabrały wkrótce pewnego rozgłosu w mieście.

— Wiem, wiem — potwierdził Łaniecki — bywanie u was, należało do dobrego tonu.

— I ja — mówił dalej Andrzej — z prawdziwym zadowoleniem uczestniczyłem w tych zebraniach, bo towarzystwo, które u nas bywało, składało się prawie wyłącznie z ludzi nieprzeciętnych i rzeczywiście interesujących. W doborze swych gości Wanda okazywała prawdziwy talent i niezwykły takt. Szło jej nie tylko o to, aby mieć u siebie ludzi niepospolitych — pozowała trochę na panią de Geoffrin, Stael czy Recamier — ale także o to, aby ci ludzie byli z sobą związani łańcuchem wspólnego poglądu na świat, a przynajmniej na najważniejsze zagadnienia życia. Na najwyższą jej pochwałę podnieść muszę, że jednym z jej mierników przy tej selekcji było poczucie etyki,

a przynajmniej taktu moralnego. Z wszelkiego rodzaju cyganerją życiową nie miała wtedy nic wspólnego. Pozatem z konieczności liczyć się musiała z roznamiętnieniem partyjnym i z walką stronnictw, która, jak jabłko nożem rozcięte, rozdzieliła społeczeństwo nasze na dwie części, skłócone z sobą do ostateczności.

— Bo też nie są to tylko dwie partje, czy dwa bloki polityczne, ale po prostu dwa różne światy, mówiące językami dla siebie wzajemnie niezrozumiałymi, chociaż używają tych samych słów.

— Być może, że słusznie to określasz. Ponieważ ani ideowo, ani uczuciowo, ani rasowo nie mieliśmy nic wspólnego z tym obozem socjalistyczno - radykalno - żydowsko - masonskim, którego wyrazem w czasie wojny był krakowski Enkaen, przeto znajomi nasi należeli wyłącznie do obozu nacjonalistycznego, widzącego w Romanie Dmowskim swego człowieka sztandarowego. Nie wynika z tego oczywiście, aby polityka miała być jedynym tematem naszych rozmów, owszem staraliśmy się jej o ile możliwości unikać, ale — jak słusznie zauważyłeś — nawet do porozumienia w dyskusjach jak najbardziej apolitycznych ta najogólniejsza wspólnota przekonań była niezbędna.

— Rozumiem to najzupełniej. Przecież nie można sobie wyobrazić u nas malarza ekspresjonistycznego lub futurystycznego poety, który byłby narodowcem.

— To prawda — zaśmiał się Andrzej, — którego to zestawienie rozśmieszyło mimo dręczącego go smutku. — Zbierało się u nas towarzystwo

przeważnie męskie, bo Wanda twierdziła, że kobiety są interesujące tylko jako kochanki, a nadto pragnęła rozmów — jak je nazywała uduchowionych, do których — jej zdaniem — mężczyźni nie są zdolni w towarzystwie kobiet, gdyż mimowoli wpadają w ton cortegianów i Don Juanów. Ja z mej strony zacząłem ją niebawem posądzać o to, że chce sobie podczas tych wieczorów zarezerwować monopol Vittorji Colonna. Wyjątek tworzyła nowa jej nieodstępna przyjaciółka Halina Jedlińska, poznana przypadkowo u wspólnych znajomych. Była to młoda mężatka, osóbką mała, przystojna, ogromnie nerwowa i żywa, o umyśle z natury inteligentnym i bystrym. Miała duże zdolności i zajmowała się tysiącem rzeczy: trochę śpiewała, trochę malowała, trochę pisała wiersze, w nic zresztą nie wkładając całego serca. Umiała nadto tanio a efektownie zrobić wszystko, co jej było dla domu i dla jej garderoby potrzebne. Serce miała dobre i pełne życzliwości dla ludzi i byłaby wogóle typem bezwarunkowo dodatnim, gdyby nie fatalny przerost wyobraźni, wprowadzający ją w stan ustawicznego wewnętrznego niepokoju, który wszędzie z sobą wносиła. Duchowny pion tej duszy nigdy nie był stały, lecz znajdował się w ustawicznym ruchu wahadłowym. Lubilem ją, choć dziś widzę, że wpływ jej na wiecznie nowych wrażeń łaknące usposobienie Wandy był dolewaniem oliwy do ognia. Prócz niej pojawiało się na naszych czwartkach tylko kilka starszych, stale na drugim planie trzymających się pań, które moja żona zapraszała wyłącznie ze względu na ich mężów.

Wśród mężczyzn, będących naszymi stałymi

gośćmi było kilku wybitnych literatów, artystów, a nadto kilku profesorów uniwersytetu, niezaciekających się w obrębie swych specjalności, lecz umiejących szerokiem a przenikliwem spojrzeniem ogarniać rozległe obszary życiowe i duchowe. Słowem sama elita umysłowa. Ceniłem bardzo rozmowy z tymi ludźmi naprawdę wysokiej sfery, bo były swobodne, pozbawione wszelkiej pedanterji, okraszone dowcipem a często rozświecane błyskawicami słów, które działały, jak jasnowidzenie. O jednostronności nie było mowy, bo Wanda, która bała się jej, jak ognia, zapraszała czasem jednego z głośniejszych naszych generałów lub jakiegoś wyższego oficera z misyj zagranicznych, z którym wchodziło do naszego arcylechickiego salonu trochę powietrza paryskiego, czy włoskiego. Takie kontrolowania własnej psychy narodowej, widziane w zwierciadle obcego umysłu, bywały bardzo interesujące.

Wogóle goście nasi byli Wandzie szczerze wdzięczni za stworzenie środowiska, w którym doskonale się czuli, a ja to ich uznanie dla niej w zupełności podzielałem. Dwie jednak rzeczy niemało mię w tem wszystkiem raziły. Najpierw Wanda chciała koniecznie zrobić ze mnie człowieka niepospolitego, podczas gdy ja miałem tylko „filisterski” ideał stania się człowiekiem porządnym i pożytecznym. Dlatego w mieszkaniu naszym były wszędzie w miejscach widocznych rozstawione moje szkolarskie rzeźby, a Wanda w tych głowach, aktach i próbach kompozycji dopatrywała się niewątpliwych śladów genjalności, które kazała swym gościom podziwiać. Jedni czynili to szczerze — ci

mianowicie, którzy o sztuce nie mieli pojęcia — inni tylko przez grzeczność, a ja miałem stale wrażenie wbijania mi rozżarzonych gwoździ za paznokcie. Było to dla mnie tem przykrzejsze, że — jak doskonale czułem — Wanda robiła to nie przez miłość dla mnie, ale dla dogodzenia własnej próżności. Musiałem się jednak poddawać tym torturom, aby unikać burz domowych, które, nawet gdy przejdą, pozostawiają osad podejrzliwości.

Drugie niemiłe uczucie, które we mnie nasze czwartki pozostawiały, wypływało z coraz silniej ustalającego się przekonania mego, że rozmowy Wandy, jej „uduchowione” powiedzenia i „na samo dno duszy zapadające” uwagi nie wypływają prosto i szczerze z jej potrzeby wewnętrznej, ale są wynikiem pewnej z góry zakreślonej roli. Możesz sobie wyobrazić, jak mnie to bolało i jak bardzo stwierdzenie tego ustawicznego grania przed sobą samą i przed innymi psuło mi jej, przez miłość wyidealizowany obraz. Jakże tęskniłem za tą dawną Wandą, która była dobrym duchem, Beatryczą pól i lasów mej łanowieckiej ziemi, która wydawała mi się uosobieniem serdecznej naturalności, której każde słowo i gest były w mych oczach bezpośrednim refleksem uczucia! Bo też i taka była ona naprawdę, nie tylko w „lazurowym”, ale i w „szkarłatnym” okresie naszych związków.

— Może niewłaściwie się na to zapatrujesz — przerwał Łaniecki. — Są indywidualności, u których to, co inni uważają za pozę, jest właśnie naturalnością, bo taki jest już chemiczny skład ich

dusz. Czy możesz mi podać jakiś charakterystyczny przykład nawyku pozowania u twojej żony?

— Owszem — odrzekł Andrzej. — Szczególnie razila mnie jej chęć ustawicznego dokumentowania w towarzystwie swej wyższości umysłowej i absolutnej niezawisłości swych sądów. Manję tę posuwała aż do tego, że np. w tem gronie niezłomnych narodowców, a nadto wbrew własnym niewątpliwym przekonaniom politycznym, uważała za stosowne dawać wyraz swemu entuzjazmowi dla Piłsudskiego, u którego podziwiała nie tylko siłę jego woli i ostro zarysowany profil indywidualny, czego mu nikt odmówić nie może, ale i wszystkie jego najbardziej dla Państwa zgubne działania, najlekkoomyślniejsze zamiary i najmniej poważne mowy. Wszystko to dostawało w jej ustach nie tylko rozgrzeszenie i usprawiedliwienie, ale i aureolę. Początkowo jej apodyktyczne sądy na ten temat wywoływały burzliwe dyskusje, sprzeczki i argumentacje, z czasem jednak goście nasi oswoili się z tą jej pasją i wobec jej wybuchów zachowywali się biernie i pobłażliwie, przyczem jedni widzieli w niej jedną z wielu sprzeczności właściwych umysłom kobiecym, lecz w oczach innych, mniej wyrozumiałych na ułomności ludzkie, czytałem wyraźnie słowo „kobotynka“, które mnie raniło, jak uderzenie szpicrutą. W dodatku ta jej manja nie była własnym jej wynalazkiem, ale została jej zasugerowana przez Halinę. U tamtej było to przynajmniej szczere, bo nie miała żadnych wyraźnie skryształizowanych przekonań politycznych i społecznych, a natomiast znana była ze swego stałego kultu bohaterów, uprawianego na tle ide-

alnego erotyzmu. W owym czasie błędnym rycerzem jej serca, dla którego szalała niegorzej od słynnych w pierwszych latach wielkiej wojny „ligawek” zakopiańskich, był właśnie Piłsudski, którego fotografiami i podobiznami w rzeźbie i na płótnie zappełniała swe mieszkanie po brzegi. Ale wiesz, że dopiero teraz, kiedy mi kazałeś opowiadać dzieje mojej miłości i tem samem zmusiłeś pamięć moją uczuciową do wysiłku, widzę, że załazki męgo obecnego tragicznego stanu były już wtedy, kiedy nawet obecności ich domyślać się nie mogłem.

— One były zapewne nawet i w tym okresie waszej miłości, który nazwałeś „lazurowym”, tylko ich nie dostrzegłeś wtedy.

-- Nie, nie, proszę cię, nie mów tego, — zaprotestował gorąco Andrzej. Chcę przynajmniej ten mój święty mit zachować nieskalany.

— Dobrze — rzekł Łaniecki z słodyczą — przepraszam cię i żałuję, że o tem wspomniałem. Ale czy nie uważasz, że twoja zdolność krytycznego obserwowania Wandy była dowodem, że i z twojej strony nastąpiło pewne ostygnięcie w miłości.

— Nie sędzę. Objawy te były zbyt widoczne, by mogły nie wpaść w oko. Zresztą broniłem się przeciw wyciąganiu jakichkolwiek konsekwencji uczuciowych z tych spostrzeżeń. Przeciwnie tłumaczyłem je sobie zwyczajną u kobiet chęcią podobania się, skłonnością do pewnego rodzaju kokieterii intelektualnej. Nie da się jednak zaprzeczyć, że już wtedy doskonała przedtem spójnia dusz naszych była przegrodzona delikatną na razie prze-

poną z gazy niedosytu i nieufności. Bo z tych czasów datuje się jeszcze jedna troska moja, poważniejsza i znacznie głębsza mająca źródło, niż tamta.

— Więc był jeszcze jeden dyssonans?

— Niestety. Pragnąłem gorąco dziecka. Nie tylko z wrodzonej każdemu człowiekowi żądzy przedłużenia w ten sposób swej ziemskiej egzystencji, ale także dlatego, ponieważ wierzyłem i wierzę, że dziecko związałoby nas węzłami silnemi i nierozzerwalnemi, dając nam obojgu, a zwłaszcza żonie, cel prosty, naturalny a wspaniały. Tymczasem Wanda stanowczo broniła się przed macierzyństwem. Obrażało to w wysokim stopniu moje poczucie estetyki małżeńskiej, a nadto najgłębsze moje zapatrywania społeczne, narodowe, przyrodnicze, a nawet metafizyczne. Uważałem to za grzech przeciw ziemi, której pierwszym dogmatem jest płodność.

— Zgadzam się z tobą zupełnie. Małżeństwa bezdzietne, a zwłaszcza z umysłu bezdzietne, w najrzadszych tylko wypadkach przedstawiają na dłuższą metę całość harmonijną i szczęśliwą. Zazwyczaj albo się rozchodzą, gdy pierwsze pożary miłości wygasną, albo przedstawiają melancholijny obraz współżycia, opartego na wzajemnem wybaczeniu sobie zrad, lub — co jeszcze gorsze — na ciągłem poświęcaniu się jednej strony. Chyba, że mają jakąś wielką namiętność, artystyczną, naukową, czy jakąkolwiek inną, która każdemu z nich z osobna życie wypełnia. Wtedy jest możliwa spokojna, a wierna przyjaźń pomiędzy małżonkami, którzy przestali się już kochać.

— Na wszystkie moje prośby, błagania i zaklęcia Wanda odpowiadała stale, że jest jeszcze za młoda i za dużo jeszcze jej samej od życia się należy, aby mogła cała poświęcić się dziecku, że pozatem teraz jeszcze nie potrafiłaby go wychować, bo nie czuje do tego wewnętrznego przysposobienia. — Gdy jej tłumaczyłem, że nasze własne szczęście wymaga, aby nas ściślej jeszcze złączyły małe rączka dziecięce, argumentowała, że natura stwarzając instynkt miłosny, dąży nie tylko do podtrzymania gatunku, ale nadto chce stworzeniom żyjącym umożliwić poznanie najwyższej rozkoszy, że ona zatem pragnie przedewszystkiem tę sferę możliwości wyczerpać do dna. W ten sposób płynęło wówczas nasze życie, szczęśliwe jeszcze i naogół pogodne, ale już podgryzane z mej strony przez zachwianie się wiary w jej doskonałość, u niej przez nudę i brak celu w życiu.

Zwrot pomyślny nastąpił chwilowo, gdy po ukończeniu trzech semestrów agronomji, stosownie do planu studjów musiałem zamieszkać stale w Dublinach,¹⁾ a do Lwowa mogłem przyjeżdżać tylko na niedziele i święta. Ta względna rozłąka wywołała u Wandy renesans jej miłości, która znów zapłonęła ogniem tak potężnym, jak w pierwszych dniach swych narodzin. Otrzymywałem wtedy codziennie prawie listy od niej. Czasem krótkie, jak jasny, przestrzeń niweczający krzyk tęsknoty, czasem długie, które czytałem jak najcudniejszą poezję, jak wzruszającą bezwzględną szczerością spowiedź duszy, najbliższej mi²⁾ w świecie, a jak wierzę głęboko, i we³⁾ wszechświecie.⁴⁾ Egzaltacja uczuć przemieniała te wylewy jej duszy w prawdziwe perły

liryki. Wanda oskarżała się o popełnione i niepopołnione grzechy przeciw naszej wspólnocie duchowej. Kajała się i biczowała swe serce, zarzucając mu, że jest za małe, aby mogło pomieścić ogrom mojej miłości, że jest zbyt płocze, aby mogło zdobyć się na wiarę niezłomną, że jest zbyt płytkie, aby znalazło stałość niewzruszoną i sobie samej w poczuciu własnej głębi wystarczającą. Biorąc na siebie wszystkie rzeczywiste i fikcyjne winy, odpowiadałem jej w tonie najwyższego entuzjazmu, bo te listy ukochane zasłaniały mi nie szczera i nieraz obcą dla mnie wielkoświatową damę, a wracały droższą jeszcze przez odzyskanie, dawną moją Wandę, która była żywą pieśnią mojej duszy. Te kartki papieru, uświęcone jej pismem kształtnem i drobnem, na szczęście nie po pensjonarsku męskim, ceniłem, jak skarb najdroższy, naprawdę jak student, okrywałem pocałunkami i starannie posortowane i ponumerowane przechowywuję do dziś. Odpisywałem na nie natychmiast mimo braku czasu i znużenia, chociaż naukę moją brałem bardzo serjo i wkładałem w nią więcej pracy, niż ode mnie wymagano. Jeśli kiedy z winy poczty lub pośłańca list przepadł lub się opóźnił, Wanda szalała z niepokoju i niecierpliwości. Wpadała na przypuszczenia, najbardziej fantastyczne i nieprawdopodobne: że z powodu nieszczęśliwego wypadku zginąłem, że ciężko zachorowałem, że przestałem ją kochać i zapomniałem o niej.

W dniu, w którym przyjeżdżałem do domu, wychodziła naprzeciw mnie nieraz aż do rogatki, a przynajmniej w mieszkaniu już na godzinę naprzód trwożnie nasłuchiwała mych kroków, a gdy

się zjawiłem wreszcie, rzuciła mi się na szyję cała drżąca i blada z męki oczekiwania. Raz, bez żadnej realnej przyczyny, po prostu z powodu niczego, chyba z nadmiaru miłości, przeczulonej aż do chorobliwości, omal nie przyszło między nami do zerwania. Na jeden z jej listów, wyjątkowo żarliwy i duchem w każdym słowie przesiąknięty, nie odpisałem zaraz, bo nie chciałem go zbyć odpowiedzią banalną, a według tego samego kamertonu chwilowo nastroić się nie mogłem wskutek gorączkowej pracy do egzaminu. W dodatku zaimprovizowano nagle jakąś wycieczkę naukową, tak że w niedzielę nie mogłem, jak zwykle, do żony przyjechać. W rozgardjaszu i roztargnieniu zapomniałem ją o tem uprzedzić. Nazajutrz dostałem od niej przez umyślnego posłańca list straszny, czerwony od gniewu i obrażonej dumy, a mimo to, jak słońce przez chmury prześwietlający wielką miłością, której nic zgasić nie może. Kończył się stwierdzeniem niewiarygodnem, że, jak widzi, serce jej jest mi już niepotrzebne i wielkopańsko nielitościwym gestem, zapewniającym mi na wypadek rozstania dożywotnią rentę na jej dobrach. Był to dla mnie cios niemal śmiertelny, który jednak wykrzesał ze mnie iskry poświęcenia i niedostępną dla mnie przedtem zdolność do najboleśniejszej ofiary. Odpisałem listem, obnażającym sam rdzeń mego uczucia, że jeśli to jej do szczęścia potrzebne, mogę odejść, ale że duszy mej od siebie niczem odegnać nie zdoła, bo kocham ją i wierzę w niezniszczalność naszej miłości. „Skończyło się na tem, że, gdy ją zobaczyłem, w uściskach jej

wyczułem, prócz namiętności kochanki, tkliwość zaiste macierzyńską.

— Nie powinienś jej kochać w ten sposób — przerwał Łaniecki. — To zła metoda. Takie natury jak Wanda wymagają, by je ujarzmiano miłością. Ofiara ustawiczna, poczucie absolutnej pewności, wywołują u nich przesyt i żądzę wrażeń z innych źródeł.

Oczy Andrzeja splonęły nagłym błyskiem nieufności.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał szorstko. — Czy myślisz, że gdybyś się z nią ożenił, nie przyszyłoby do tego rozdzwiku?

Łaniecki spojrzał na niego z łagodną wyrozumiałością.

— Posądzasz mnie o zazdrość? Teraz jeszcze, gdy duszę mą oczyściłem w ogniu cierpienia, gdy najwyższem mojem pragnieniem jest stać się, jak ziemia, przyjacielem wszystkich, złych i dobrych, braci i wrogów? Zresztą i sam nie potrafiłbym kochać inaczej, jak ofiarnie.

Łuna wstydu uderzyła na twarz Andrzeja. Uścisnął gorąco rękę Wacława.

— Przebacz mi — rzekł — za dużo jest we mnie goryczy, więc krzywdzę nawet najlepszych z ludzi. Ziemia, ziemia! Jakże pełne treści jest to słowo i jak magicznie na mnie działa. Niema w tem ułudy ani autosugestji. Stwierdziłem już nieraz, że zachodzi dziwny, tajemniczy związek pomiędzy ziemią, a miłością Wandy dla mnie. Ile razy dusza jej powrotnie zbliży się ku mnie równocześnie budzi się w niej tęsknota za ziemią i ze wszystkimi czarami jej kształtów, barw i woni.

— Bo jesteś dla niej — jak to raz w rozmowie ze mną określiła — najcudniejszym kwiatem polnym.

— Jak ona dla mnie najpiękniejszym tworem ziemi, a raczej nią samą, kwintesencją jej ducha. Niestety, jakże często Wanda zapomina o kwiatkach polnych i przenosi nad nie sztucznie w oranżeryjach wyhodowane orchidee! W owym okresie odrodzenia naszej miłości żona moja, która poprzednie wakacje spędziła ze mną w Sopocie nie tyle dla morza, ile dla dancingów i rulety w Kasynie, zapragnęła ku mojej radości wrócić do Łanowca. I znów pod opiekuńczem tchnieniem naszych pól i lasów dokonało się najdoskonalsze zjednoczenie naszych dusz, wobec którego ciało wspólnota stawała się tylko zewnętrznym symbolem. Biedny nasz ojciec odżył, ciocia Mazowiecka odmłodziła, a ja ciągle żałowałem, że nie mogę całego świata objąć w ramiona.

— I cóż znów was rozdzieliło?

— Rzec nie do wiary. Powrót do miasta. Ledwie Wanda znalazła się w swem lwowskiem mieszkaniu, już obudził się w niej ten złowrogi niepokój, który ją ponosi, jak koń źle ujeżdżony. Teraz, gdy przyjeżdżałem na niedziele z Dublan, nie oczekiwała mnie już z wierną tęsknotą. Najczęściej nie zastawałem jej w domu. Z całą właściwą sobie skrajnością oddała się nowej pasji: kinomanji, która w jej ciąglem schodzeniu w dół była jednym z ostatnich stadiów. Sprzykrzyła się jej rola Aspazji, królującej w gronie literatów i uczonych. Miejsce Piłsudskiego zajął w jej sercu nowy fetysz: Gunnar Tolness.

— Kto taki?

— Gunnar Tolness, aktor, bohater filmowy. Ile razy dawano „Oblubienicę Maharadży“, czy inny podobny surogat dawnych romansów sensacyjnych, jeśli tylko boski Gunnar rozświetlał srebrny ekran swą Apollińską obecnością, nie było siły ludzkiej, któraby Wandę utrzymała w domu. Nasze czwartki, któremi się tak pyszniła, odwołała pod pretekstem mojej nieobecności. Za to wspólnie z Haliną całemi popołudniami latały od kina do kina, polując na Gunnara. Kochały się w nim do szaleństwa, a bez zazdrości, dzieląc się wspólnie swemi wrażeniami i marzeniami. Miałem uszy ciągle pełne Gunnara, jego twarzy, oczu, gestów, kamizelek i fraków. Patrzyłem na tę dywagację z smutną pobłażliwością, bo choć nie rozumiałem, jak zdolny do wysokich lotów umysł Wandy może się bawić tak po pensjonarsku, to jednak pocieszałem się, że ostatecznie lepsze to, niż co innego.

Zachodzące słońce przedziwną, mistyczną jaśnią rozzłociło drzewa naprzeciw pokoju, w którym siedzieli. Andrzej objął tęsknotą oczu ten blask zaświatowy, jakby widmo minionego szczęścia.

— A jednak — podjął opowiadanie — ta pozornie niewinna manja kinowa była zapowiedzią końca pogody w świecie mojej duszy. Od kina przeszła Wanda bezpośrednio do roztopienia się bez reszty w łaskotliwym szale tanecznym. Przyszedł karnawał, a z nim zupełne już stoczenie się jej w bezmyślną zewnętrżność życia. Choć dawniej nie lubiła publicznych balów, teraz nie opuszczała żadnego. Oczywiście wyjątkowo tylko mogłem jej

towarzyszyć, więc chodziła w towarzystwie Haliny i jej męża. Niedość na tem. Zabawy taneczne, rozpaczliwie częste, przeniosły się do naszego domu, pod pozorem tworzenia kompletów, celem wyćwiczenia się we wszystkich możliwych one-stepach, two-stepach, fox-trottach, shimmych i jak się tam jeszcze nazywają te pokostem schorzałej cywilizacji powleczone barbaryzmy choreograficzne.

— Nie lubisz — jak widzę — nowoczesnych tańców.

— Owszem, interesowały mię, jako wyraz rozdartej duchowo naszej epoki, jako pełen niepokoju i wisielczego rozpętania, krzyk naszego pokolenia z okresu bezpośrednio przed wojną i tuż po niej. Ale ponieważ zbrodniczo wtargnęły w moje życie, nic dziwnego, że znienawidziłem je.

— Ja nie lubię ich — zauważył Łaniecki — nawet oceniając rzecz obiektywnie. Właśnie dlatego, że, jak to dobrze określiłeś, są one przejawem epoki przejściowej, epoki, która w naszych oczach mija. Przez świat idzie teraz wielka fala idealizmu, ogromne pożądanie słońca i pogody duchowej. Ta nowa epoka stworzy swój taniec, który będzie mówił o czystości i anielstwie dusz.

— Oby to stało się jak najprędzej! Te epileptyczne podrygi, w których wyrażała się tylko beznadziejna rozpacz i chęć brutalnego zagłuszenia jej, zbyt krwawo zapisały się w mej pamięci. Razem z temi tańcami wtargnęła do naszego, poważnego dotąd domu, hałaśliwa falanga pozbieranych po rozmaitych rozdrożach balowych młodzieńców, którzy mieli shimmy-lakiery, shimmy-fraki i shimmy-dusze. Zapewne poza tem przyzwoici

ludzie, ale z innego świata, ludzie, z którymi nie nas zupełnie nie łączyło. Gdyby nie wyrzucanie nóg i kontorsje ciała, nigdybyśmy się z nimi nie byli spotkali w życiu. Temperamenty znużonych tancerzy podniecała wódka i wino, które strumieniami zaczęły się u nas przelewać. Nastroje były mocno orgjastyczne. Swoboda, jaka panowała między damami i kawalerami, przypominała mi niesłychanie zabawy karczemne i wesela chłopskie, którym przypatrywałem się jako chłopak, z tą różnicą, że wyuzdanie było tu znacznie większe, chociaż miejsce prostactwa zastępowało wyrafinowanie.

— Wiadoma rzecz — wtrącił Łaniecki — że gdy panie z towarzystwa rozigrają się, z łatwością dystansują kokoty.

— Bolało mię, że Wanda w tem gronie czuła się, jak w swoim żywiole. Nie mogłem patrzeć, gdy z wypiekami na policzkach, z oczami błyszczącemi, podniecona i szczęśliwa, przechodziła z rąk do rąk, łącząc się z coraz to innym z owych młodzieńców w ciasnych splotach, w których imitacja najbardziej intymnych zespoleń nie mogła być już dalej posunięta. W końcu byłem zadowolony, gdy zaczęło wobec mnie popełniać ten nietakt, że bakchanalje fox-trottowe odbywano nawet w mej nieobecności. Przynajmniej tortur wyobraźni nie wspomagały tortury oczu.

— Czyż nie mogłeś delikatnie rozpedzić tej całej rozfikanej gromady?

— Nie znasz Wandy, nie znasz jej uporu. Wszelkie sprzeciwy, wszelkie przeszkody, stawiane temu, co uważa za swą przyjemność, podnie-

cają ją wprost do szaleństwa. Wolałem znosić męki, pocieszając się nadzieją, że ta jej pasja minie, jak wszystkie inne, a rdzeń jej uczucia dla mnie pozostanie nietknięty. Bo tak jeszcze wtedy było istotnie.

— A dziś?

— Nie wiem, nie wiem! — Andrzej rozłożył ręce gestem rozpaczki. Dotykasz samej bolączki mego życia, bo wtedy właśnie pojawił się na widowni i stał się najważniejszym składnikiem fox-trotowej atmosfery pan Ryszard Goździeniec, zmore, która mię dławi w nocie bezsenne.

— Goździeniec? Czy ten głośny niegdyś rzeźbiarz, twórca znakomitego, po Rodinowsku zresztą pojętego „Fauna”.

— Ten sam, ten sam! Zdolny niewątpliwie dawniej artysta, który potem na długo umilkł, a w końcu wypłynął znów, jako najzarliwszy i najbardziej ekscentryczny ekspresjonista. Zresztą daleki kuzyn Wandy. Pan Goździeniec sam nie tańczył, bo wygląda jak kościany dziadek, choć niema jeszcze czterdziestki i ledwie nogi wlecze za sobą. Ale nie opuszczał żadnego dąncingu Wandy, pijąc za trzech i delektując się tem, co nazywał „wonią Rzymu z czasów upadku”. Ma on, prócz wielu innych, także bzika na punkcie nieuchronnej zagłady współczesnej cywilizacji. Ponieważ sam ginie, chciałby, aby cały świat zginął z nim razem.

— Ginie? Dlaczego ginie?

— Mam wrażenie, że jego spróchniała łódź dobija już do przystani t. zw. niebytu. Osobnik ten jest żalonym zabytkiem własnego człowieczeństwa. To ruina fizyczna, a zwłaszcza moralna. Etycznie

zupełnie rozłożony na atomy, z których każdy kieruje się własną wolą. A że nie czuje swej jaźni, chciałby wszędzie dokoła zniszczyć poczucie istnienia.

— I ten moriturus potrafił stać się dla ciebie groźny?

— Niesłuchanie! Są natury, które pociąga nietylko otchłań, ale i widok zgłiszcz. Pamiętam doskonale chwilę, kiedy ta mefistofeliczna personifikacja^b dekadencji zjawiała mi się po raz pierwszy. Poszliśmy z Wandą na wystawę formistów. Wanda, która ma wrodzony smak i wielką kulturę estetyczną, podzielała w zupełności moje negatywne zdanie o tych niewątpliwych dywagacjach współczesnej myśli plastycznej. Ponieważ w sądach o sztuce wolimy zawsze wnikać w intencje i wyszukiwać strony dobre, niż natrzasać się ze złych, ubolewaliśmy oboje nad wielkim a zmarnowanym wysiłkiem tych artystów, którzy usiłując wyrazić rzeczy niewyrażalne, zakłąć w kształt widzialny, bez pośrednictwa symbolu, abstrakcyjne idee i uczucia metafizyczne, popadają w rozbrajająco naiwny prymitywizm lub w barbarzyństwo. Czasem jednak śmieszność dochodziła aż do przesady. To też Wanda nie mogła powstrzymać się od śmiechu i kilku ironicznych dość głośno wypowiedzianych uwag na widok „rzeźby“, która nosiła dumny tytuł „Kosmos“, a przedstawiała się poprostu jako spiralnie skręcona kupka gliny. W tem usłyszeliśmy poza sobą jakiś głos przyćmiony, nieco zachrypnięty, niedbałem znużeniem rozwlekany: „Kuzynka niełaskawa na moją rzeźbę. Żałuję, że kuzynka zaniedbała się w pracy nad sobą i nie

jest już zdolna do pojęcia prawdziwej sztuki duchowej". Ta impertynencja tak zaskoczyła Wandę, że zupełnie straciła rezon i prawie z pokorą patrzyła na bladego, zmiętego, przedwcześnie wyłysiałego człowieka, w którego postawie była taka chwiejność i omdłałość, że mimowoli zamykało się usta, aby go silniejszym oddechem z nóg nie zwalić. Z twarzy jego, zupełnie wygolonej, skrzywionej sarkastycznym uśmiechem i na obu policzkach przeciętych głębokimi bruzdami sfałdowanej z wychudzenia skóry, wyglądały poprzez binokle oczy szare, mętne i szydercze. Wanda, ochłonawszy ze zdziwienia, wyszeptwała: „Przepraszam pana, ale nie poznaję”. — „Goździeniec, Goździeniec” — wycedził tamten lekceważąco. „Ryszard! — zdumiała się Wanda — nigdybym kuzyna nie poznała. Zmieniłeś się najzupełniej”. „Tak, tak — zaśmiał się cynicznie — staję się coraz bardziej duchowy — tak, jak moja sztuka”.

— „Mój mąż, Andrzej Szczerba” — przedstawiła mię Wanda — „także rzeźbiarz”. Ta rekomendacja była mi przykrzejsza, niż kiedykolwiek. Kuzynek spojrzał na mnie pogardliwie. — „Szczerba?” — bąknął — nie spotkałem się z tem nazwiskiem na wystawach. Pewnie passeista?” — „Nie wystawiam nigdy — odpowiedziałem poirytowany — jestem najzwyczajszym dyletantem”. — „A dyletant! To lepiej, to znaczy człowiek niecałkiem jeszcze dla sztuki stracony. Czy i pan podziela zapatrywania swej żony na formizm?” — „Owszem — rzekłem — uważam go za sztukę ludzi, którzy sobie oczy wydarli pod wpływem niemysłących formami plastycznymi teoretyków i gen-

jalnych historyków sztuki". — Tak właśnie trzeba, aby pan wiedział — podniecił się blado Goźdzeniec — trzeba sobie wydrzeć oczy fizyczne, aby móc patrzeć wyłącznie oczami duszy" — „A wiesz, kuzynie — zainteresowała się niespodzianie Wanda — że to bardzo ciekawe. Możebyś był łaskaw jak najczęściej do nas przychodzić, (mieszkamy teraz stale we Lwowie), aby mię wtajemniczyć w arkana nowej tajemnej wiedzy plastycznej". — „Z rozkoszą — odrzekł zblazowany mistyk, przylepiając się bezsilnie lubieżnymi oczami do twarzy i całej postaci żony — „nie mieszkam teraz nigdzie, więc mogę pozostać w tym bohaterskim grodzie kresowym, aby kuzynkę nawrócić na naszą wiarę, na wiarę ludzi przyszłości". Wanda zaprosiła go na turniej foxtrotowy, który miał się odbyć tego samego dnia wieczorem. Pan kuzynek przyszedł, a jak doskonale czuł się w tej atmosferze płaskiej deprawacji, mówiłem ci już poprzednio. Nie opuszczał odtąd żadnego dancingu, a oprócz tego stał się niebawem naszym, a raczej Wandy, codziennym prawie gościem, który, przyszedłszy na obiad, zostawał zwykle aż do późnego wieczora. Choć wiedział doskonale, że go nie znoszę, nie krępowano go to wcale. Przeciwnie podniecanie mojej antypatii i hamowanego gniewu sprawiało mu widoczną przyjemność: Ten idealny dekadent wogóle czuje się szczęśliwy dopiero wtedy, gdy widzi, że w stosunkach ludzkich coś się psuje, rozkłada, rozpręga. Nosi on w swem wyschłym sercu piekielny żal do ludzi i do całego świata. Niewątpliwie chętnie zgodziłby się umrzeć, jeśliby na godzinę przedtem jakiś orkan kosmiczny strzaskał

Z ostrą wyrazistością zajaśniały przed nią oczy, które raz miały barwę miodnego bronzu, to znów świeciły, jak dwa nie z tej ziemi niewysłowionej piękności czarne djamenty. Uczuła dokładnie aromatyczną, przesłodką woń włosów, które ciągle były, jak „młody las nietknięty dotąd siekierą”.

— Tak, tak — westchnęła — kochałam to wszystko niegdyś do szaleństwa, ubóstwiałam, dawało to memu sercu najczystsze porywy, uskrzydlało duszę do eterycznych wzlotów w księżycową jaśń marzenia. Ale skończyło się! Dlaczegoż miłość nie trwa wiecznie? Dlaczego jestem zmuszona do wyboru? Czemu jestem nieszczęśliwa? Nie kocham go już. Przestał być jedyną racją bytu mojego. Czyż moja w tem winna? Czyż winna jest świeca, gdy ją wiatr zgasi? Ale co było tym wiatrem dla mojej miłości? Co było? Co było? Przypomnijmy sobie! W nim jaśniała dawniej jakaś wyjątkowość, jakaś bohaterskość, jakiś egzotyzm. Tak, niewątpliwie, wtedy, gdy był synem ziemi, kwiatem polnym, rozkwitającym cudownie pod tchnieniem mego uczucia. Wtedy był całkiem inny, niepodobny do wszystkich możliwych kochanków. Żył tylko mną i dla mnie. Myślałam, że tak zawsze będzie. Tymczasem zmienił się zupełnie. Militarно-rustykalny egzotyzm o podkładzie czarnoziemnej skiby opadł z niego, jak znoszony płaszcz. Jest teraz inteligentnym, wykształconym, doskonale ułożonym, niesłychanie prawym i porządnym człowiekiem, jak tysiące innych. Niema w nim żadnej nadzwyczajności. Gdybyż przynajmniej nie zakopywał w ziemi, dosłownie w ziemi, swego talentu

rzeźbiarskiego, gdyby był sławny, wielki! To mogłoby mnie jeszcze z nim związać. A czemże ja jestem dla niego? Kocha mnie gorąco, wiernie, tkliwie. To prawda. Ale zajmuję tylko drobną cząstkę jego duszy. Poza mną ma tysiące innych umiłowań, zainteresowań, trosk, niepokojów. A gdym go sobie wychowała, tak, gdym go sobie wychowała na męża, myślałam, że mnie będzie bezustannie adorował, że będę słońcem dla jego świata, że wszystkie myśli i uczucia jego będą krążyły dookoła mnie, jak krążą planety dookoła słońca. A dla tamtego jestem wszystkiem. Wszystkiem, bo prócz mnie nic już nie ma, nawet swej sztuki, która jest tak wielka w jego wyobraźni, a tak wątła w jego drżących, bezsilnych dłoniach. Jak to mówił Ryszard: „Andrzej jest równy, jednostajny, niezmienny i pożyteczny, jak ziemia, a przeto jest nudny, jak ziemia”. Tak, on jest taki. A odemnie żąda, abym była płodna, jak ziemia. Brr... to ohydne! Nie, nie, on nie może już mieć mojej miłości.

Wanda podeszła ku oknu i podniosła storę. Tysiące gwiazd spojrzały na nią oczami z płomieni. Brylantowym szlakiem zajaśniała mleczna droga. Objęła tęsknotą wielki wóz i uczuła, że jest wolna, nieskrępowana niczem i gotowa do odlotu, choćby w nieskończoność. Napęliła ją dawno niedoznawana błogość, skrzydłami wytrysło z jej ramion poczucie swobody. Pchnęła okno i otworzyła je na oścież. Oddech nocy lipcowej runął na nią balsamicznym czadem. Chłoneła go pełną pierśią. Nagle myśl jej ściemniła się, jakby kto mózg jej moką ścierką owinął.

— Ziemia mści się — zawołała nieprzytomnie. — Zabija mię tchnieniem swych płuc!

Zamknęła pośpiesznie okno i spuściła storę.

Rozpaczliwym wysiłkiem zrzuciła oślizłą płachtę z mózgu i zaczęła dalej snuć swe refleksje.

— A tamten? — myślała. — Czy go kocham? Nie, to nie jest miłość! Jest chory, przeżyty, zwiędły, brzydki, ale pociąga, jak otchłań, wlecze mnie ku sobie nieuchronnym przymusem, jak śmierć, do której z każdym dniem się zbliżamy. Nie kocham go, ale teraz już tylko on jeden łączy mię z życiem. Wiedzie mię w światy nieznane, oprowadza po drogach podgwiezdnych nowej sztuki, uczy mię czarnoksięstwa zła i grzechu, wilgotna mgła w jego oczach zapowiada mi rozkosze nieprzeczuwane. On mię upaja, oszałamia, on mi daje ekstazę, zapomnienie. Z nim, z prorokiem końca świata naszego, z nim, w jego objęciach chcę runąć w nicłość!

Myślenie sprawiało jej trud coraz większy.

— A więc co z tego wynika? Z nim i z Andrzejem tu? Nie. Z Andrzejem bez niego? Nigdy! Z nim bez Andrzeja? To zbrodnia, krzywda! To się zemści!

— Ojciec! — zawyło w niej nagle z samego dna duszy — zabijesz go, jak Dolores, jak druga Dolores!

Przerażenie waliło młotem w jej piersiach, rozsadzało skronie, dygotało w nerwach całego ciała.

Myśli jej płatały się coraz bardziej.

— Co będzie? Jutro — coś strasznego. Wybór, decyzja. Jutro... jutro... jutro. Co będzie jutro?

Ha, ha, ha, drobnostka. To, co postanowi Kubuś fatalista!

To był ostatni odruch jej świadomości. Potem już tylko jakieś drobne odpryski myśli, jak mikroskopijne meteory przelatywały przez ciemnie jej mózgu. Olbrzymie, błękitne, koncentryczne koła zjawiały się i gasły pod przymkniętymi powiekami jej oczu. — W końcu zaczęły się jej ukazywać jakieś dziwaczne, nigdy niewidziane twarze, mężczyzn, kobiet i dzieci, naprzemian cudne i wstrętne. Teraz już była tylko ciekawa, jakie widmo zobaczy za chwilę.

W gorączkowym pół-śnie, przerywanym atakami okropnej trwogi, przemęczyła się do rana. O dziewiątej śmiertelnie znużona, z całym ciałem zbolałym, zwlekła się z pościeli i ubrała. Zaglądnęła do pokoju Andrzeja. Nie było go. Służąca powiedziała jej, że wyjechał konno przed szóstą i wróci aż w południe. Wanda kazała zbudzić Goździeńca i poprosić go natychmiast do salonu „w ważnej sprawie, niecierpiącej zwłoki”.

Pan Ryszard przyszedł w wściekłym humorze. Twarz jego była bardziej zmięta, niż zwykle, a blada zwyczajnie cera przybrała odcienie ziemisto-zielone. Ręce drżały mu tak, że nie mógł zapalić papierosa. Lewą nogę wyraźnie włókł nieco za sobą.

— Czyście ^{Ryszard}poszaleli? — zawołał na powitanie, przyczem cała głowa drgnęła mu nerwowym rzutem. — Ściągać mnie o północy z łóżka! Czy się pali? Co ^{Ryszard}się stało właściwie?

— Stało się to — odpowiedziała Wanda twar-

do — że masz się zaraz spakować, bo o dwunastej odjeżdżasz na kolej.

→ Niemożliwe! Nigdy nie decyduję się na nic prędzej, jak przed upływem trzech dni. Skąd ta gorączka? Czy spodziewany jest najazd bolszewików?

— Musisz! Żąda tego stanowczo mój mąż.

— A! Pan Andrzej Szczerba! Nareszcie przebudził się Otello. Sprawa jest poważniejsza, niż myślałem. Nie masz tam gdzie pod ręką koniaku? Rano jestem zawsze zupełnie zdechły, a teraz trzeba nam siły... dużo... dużo siły!

Wanda rozchyliła w wiadomym sobie punkcie książki w bibliotece i wyjęła ukrytą za niemi flaszkę koniaku i dwa kieliszki od wina. Goździeniec łąpczywie chwycił butelkę, ale nie mógł napełnić kieliszków. Ręce trzęsły mu się straszliwie.

— Nalej proszę! — zwrócił się do Wandy — te psiakrew paluchy zawsze są takie rozklekotane, dopóki się nie napiję. Potem ani drgną.

Wypili duszkiem po trzy kieliszki.

— Boski płyn! — uśmiechnął się Goździeniec. No, zaczynam być sobą. A więc mam wyjechać, ponieważ tego domaga się osobnik, zwany twoim mężem. Także racja! Mam sobie zrobić przykrość, aby jemu było przyjemnie. Z natury nie jestem altruistą. Hm, hm... wyjechać! To łatwo powiedzieć, ale o wiele trudniej wykonać.

Wanda skrzywiła się z niesmakiem.

— Nie masz pieniędzy? To drobiazg. Pożyczę ci, ile zechcesz, dość znaczną gotówkę zaraz. Reszta pocztą.

— Niech djabli porwą pieniądze! — wybuchnął

Goździeniec. — O to świństwo zawsze można się postarać, w sposób mniej lub więcej nieprzyjemny. O co innego idzie. Ja nie mogę być już sam! — rozumiesz mnie?

Z nieprawdopodobną siłą gniótł dłoń Wandy swą wilgotną ręką i ubezwładniał ją młotami szarych oczu, które już zaszły fascynującą ją mgłą pożądania.

— Rozumiesz mnie — powtarzał chrapliwie — ja teraz nie potrafię już żyć bez ciebie. Musisz wyjechać ze mną!

— Dlaczego? — broniła się Wanda z słabnącym uporem.

— Bo nie kochasz jego.

— I ciebie nie kocham.

— Ale jesteś moją niewolnicą! A to więcej niż miłość.

Wanda patrzała na niego z przerażeniem i zachwytem.

— Więc jedziemy razem! — tryumfował.

— Jedziemy! — powtórzyła bezwolnie. — Ale dokąd? — dodała po chwili.

— W dal, w przestrzeń, w bezkres, w nieskończoność, w wszechświat! — W szczęście i w śmierć! Do nieba, czy do piekła — wszystko jedno. Byle razem!

Chwycił ją wpół i usiłował wpić się w jej usta, lecz Wanda odtrąciła go z mocą.

— Nie! — zawołała — nigdy, jak długo jesteśmy pod tym dachem!

— Westalka! — zaśmiał się cynicznie.

— Nie Westalka, raczej Venus vulgivaga. Ale brzydzę się kłamstwem i obludą.

— Dobrze już, dobrze, ty kryształowa czaro, pełna szacownej tradycji. A teraz zbieraj się i jedziemy!

— A Andrzej? Czyż mam prawo krzywdzić go tak ciężko?

— Masz prawo! Prawo do szczęścia własnego. Przecież nie możesz stać się tą maszyną rozplodową, którą chce zrobić z ciebie ten hodowca i syn ziemi.

— A ojciec? — zajęczała — ojciec! — To go zabije!

— Kopnij sumienie! Kopnij tego psa, wyjącego po nocy do księżyca. To dobre dla tłumu, dla filistrów, ale nie dla nas, dusz wyzwolonych. Pijmy na cześć naszego pięknego uduchowionego szaleństwa. Niech będzie tak potężne, aby aż krwawe piany jego uniesień obryzgały tron absolutu.

Wanda wychyliła toast. Jej policzki płonęły, oczy ciskały szafirowe iskry.

— Bagatela! — zreflektowała się nagle — za co pojedziemy? Gotówka, którą mam w biurku, wystarczy zaledwie na podróż i na jakiś miesiąc najwyżej.

— Psiakrew! — zaklął — to może udaremnić cały plan.

— Nic się nie bój! — przypomniała sobie. Mam bezcenne perły i brylanty po matce. Za to można żyć choćby cztery lata — po królewsku.

— To dla mnie o wiele za dużo. Evoe! Bogi sprzyjają tym, którzy nie mają nic do stracenia. Pakuj się!

— Pojadę w tem, w czem jestem. Nie mogę brać kufrów, aby nie obudzić podejrzenia.

— Moje magnackie z wyglądu walizy są wewnątrz prawie puste. Możesz w nich zmieścić niemało.

Wanda pobiegła na górę. Palila ją gorączka. W uszach słyszała szum ogłuszający.

— Tak huczało morze w Quiberon — przemknęło jej przez głowę.

Pospieszenie wyjęła kasetkę z kosztownościami i schowała ją do walizy Goździeńca. Dorzuciła jeszcze trochę garderoby i bielizny. Potem, po krótkim namyśle, napisała drżącą ręką kilka słów na papierze, który włożyła do koperty, adresując ją do Andrzeja. List zostawiła na biurku w widocznym miejscu, oparłszy go na kałamarzu.

Schodząc ze schodów, spotkała służącą.

— Powiesz pani Mazowieckiej — zleciła jej — że odwiozę pana Goździeńca na kolej i wrócę na obiad. A starszemu panu powiedz, że — tu głos jej się załamał — nie, nic nie mów starszemu panu.

Na ganku zastała już Goździeńca. Przechadzał się niecierpliwie z rękami, utopionymi w kieszeniach szerokiego raglana, w którym jego nika pozostać tonęła bez reszty, że wyglądał, jak chochoł.

— Nareszcie jesteś! — uradował się. — Cemuś się tak zawoalowała, jak Przeznaczenie?

— Nie chcę, aby widziano mą twarz i sama chcę widzieć, jak najmniej — odrzekła.

Gdy wsiadała do powozu, wydało się jej, że widzi w jednym z okien znękaną twarz ojca.

Zamknęła oczy i nie otworzyła ich aż za bramą.

Po kilkunastu minutach wrócił Andrzej do

domu. Zdziwił się, widząc na ganku panią Mazowiecką, która zgębiona postępowaniem Wandy, chorowała i od kilku dni nie wychodziła z pokuju. Teraz wygrzewała się do słońca i już zdaleka wymachiwała ku niemu radośnie rękami.

— Andrzeju! — wołała — kochanie moje, pociecho nasza, jest dobra nowina! Ten piekielnik, ten zdechłak przeklęty, nareszcie pojechał sobie na złamanie karku. Właśnie Wandeczka odwiozła go na kolej.

— Odwiozła go? To całkiem było niepotrzebne.

Ogarnął go niejasny niepokój. Przeskakując schody, pognął na górę. Widok wysuniętej szuflady biurka i wiszących przy niej kluczyków szarpnął nim, jak zły pies. Spostrzegł brak znanej sobie kasety. Serce w nim zamarło, gdy ujrzał list do siebie zaadresowany. Rozdarł kopertę i z trudem zaczął odczytywać niewyraźne, nerwowymi drgawkami wykoszlawione pismo. Zwolna straszliwa treść docierała do jego świadomości:

„Odjeżdżam na zawsze — przy tobie nie mogę zostać — przestałam Cię kochać. Jestem bardzo nieszczęśliwa — wiem, że popełniam rzecz okropną — i wiem, że to się zemści. Nie szukaj mnie! — na nicby to się nie zdało — ulegam sile fatalnej. Nie wrócę nigdy! Dobroci Twego serca polecam mego biednego ojca. Jeżeli możesz — przebacz!”

Zrozumiał znaczenie tych słów, ale ich nie odczuł. Pojął, że stała się katastrofa, ale nie miał poczucia, że to wszystko jego dotyczy.

— Dognać, zatrzymać! — krzyknął mu jakiś

głos przyjazny, ale w każdym razie nie jego własny.

Popędził do stajni. Hassan był jeszcze osiodłany. Wskoczył na jego grzbiet i całą szaloną żądę pościgu wbił ostrogami w jego boki.

Wściekły galop przeniósł go błyskawicznie na gościniec. Na skrócie spotkał brek Łanieckiego.

— Wróć! — cisnął mu w przelocie — wróć, wszystko stracone, uciekła!

Nad torem kolejowym obok stacji spostrzegł siwą, gęstą, szyderczą i bezwstydną smugę dymu, którą mu na pożegnanie posyłał odjeżdżający pociąg. Za chwilę nadjechał Michałek z próżnym powozem.

— Gdzie pani? — zapytał ochrypłym głosem.

— Pani odjechała z panem Goździeńcem. Mówił trażarz, że do Warszawy.

W twarzy Andrzeja była jakaś wymowa tak straszliwa, że furman zaryzykował bezsensowną pociechę:

— Ale pani wróci. Z pewnością wróci.

— Wróci, powiadasz? — Naturalnie. Czemu nie miałaby wrócić. Jedź dalej!

Szczerba przeskoczył rów i powlókł się na przelaj przez pola. Zmęczony Hassan szedł nogą za nogą, ogonem i wstrząsaniem spoconej skóry odganiając napastliwie muchy. Andrzej pomagał mu gorliwie w tej czynności. Równocześnie z ogromną uwagą przyglądał się pszenicy, żytu, konicy nie i burakom, jakby je widział pierwszy raz w życiu. Nie mógł tylko zdać sobie sprawy, dlaczego on to wszystko tratuje.

Sam nie wiedząc kiedy, znalazł się w lesie

pod Kahawą w „świętem miejscu spotkania”. Rozglądał się bacznie dokoła. Wszystko było tak samo, jak wtedy... jak wtedy!

Te same drzewa, ptaki, owady, nawet ten sam krzak ożyn, pod którym leżał. Tak samo po przez gęstwę drzew słońce rozsiewało jasne duki po trawie. Słodka, dysząca szczęściem cisza lasu wzbudziła w nim szalony gniew.

Zsiadł z konia i z szpicrutą rzucił się na gałęzie. Sieczone niemiłosiernie posypały się na ziemię podarte, pokaleczone liście. Ten widok zapadł mu w duszę bolesnym wyrzutem.

Nagle odkrył przerażającą tajemnicę:

— Niema jej. Tylko jej niema, mojej sarny przecudnej! — krzyknął głośno z najwyższą rozpaczą.

Koń zląkł się i szarpnął tak silnie cuglami, żeomal nie wydarł mu ich z rąk.

Uspokoił go łagodną pieśczętą. Potem oparł głowę na jego grzywie i zapłakał cicho, jak małe dziecko, zagubione w wielkiem mieście.

— Jakaż ta ziemia bez serca — wyszeptał.

II.

Z nieba jednostajnie, beznadziejnie szarego, jak życie bez miłości, ściekały na ziemię cieniutkie sznurki jesiennego deszczu, bezustannego i natrętnego, jak zgryzota.

Andrzej Szczerba stał przy oknie w jednym z dolnych pokoi łanowieckiego dworu i w posepnej zadumie wyglądał przez szybę.

Świat, który widział, cały ten świat poza nim, był w najdrobniejszych szczegółach dokładnie szarmonizowany z jego światem wewnętrznym. Oblepiały go zewsząd mokre, brudne płachty zgniłej melancholji, ciężkie, duszące, wrogie wszelkiej radości życia. Strupieszala, starczo pobrużdżoną twarz tej zmory i jej, okropnemi sińcami podkrążone, anemicznie zgasłe oczy dostrzegał wszędzie, w każdej żywej istocie i w całej martwej pozornie naturze.

Pomimo zamkniętego okna słyszał przejmujący szum starych świerków w ogrodzie, w których organowej skardze jęczała zgroza pogrzebowego „requiescat”.

Czasem październikowy wiatr zrywał się od osieroconych, w ustawicznej omży zanurzonych pól, chwycił w zgryźliwym porywie złości równo, po-

rządnie ciurkające nitki deszczu, związał je w jeden splątany kłęb i chlustał nim z dzikim poświstem o szyby, z których potem drobne strumyki wody ściekały jak łzy.

Te łzy trującą goryczą kapwały wprost na serce Andrzeja.

Było mu tak źle, że nieistnienie wydawało mu się szczęścia niedosiężnym szczytem.

— Ale czyż można przestać istnieć? — pomyślał. — Jakże szczęśliwy był Hamlet, że mógł sobie zadawać pytanie „być albo nie być”. Dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości, że jest tylko „być”, tu albo tam, w tej czy innej formie, jako indywiduum czy jako atom olbrzymiej jedności zbiorowej — ale zawsze tylko być. A jeśli tak, to samowolna i przedwczesna ucieczka od formy wyznaczonej nam w danym momencie wieczności narusza ogólną harmonję bytu, staje się, zbrodnią nie tylko wobec siebie samego, ale i wobec wszechświata, jest czynem, który metafizycznie musi się zemścić. Zresztą wzgardziłbym sobą samym, gdybym poważnie myślał o samobójstwie z miłości, gdybym chciał pójść w ślady Romea, Werthera, czy innego romantycznego chlystka. Ktoś był nadewszystko drogi i kochał, a potem przestał kochać i odszedł. Zawalił się jakiś cudny świat, ale naprawdę zmieniło się niewiele. Czyż dusza ludzka nawet w chwili najwyższej ekstazy szczęścia, nawet w chwili pozornie najzupełniejszego zjednoczenia z drugą duszą, nie przestaje być samotną? Czyż to bolesne poczucie samotności nie jest mętem na dnie puharu każdej rozkoszy? Czyż w każdej miłości nie czai się wróg? A teraz, gdy mi-

łość się rozwiała, a wróg pozostał; cóż się zmieniło naprawdę? Tylko samotność bardziej przeraża, tylko nędza życia bardziej dolega. To jest różnica stopnia, nie istoty rzeczy. A więc pozostaje żyć i cierpieć! Na co ci cierpieć, dla kogo komu to jest potrzebne, nie wiem, ale wiem, że to ma jakiś cel, tylko ten cel jest na razie dla mnie utajony.

— Trzeba żyć i cierpieć — powtórzył — tak, jak żyje i cierpi to wszystko, co widzę, cały ten mój świat.

Oczy jego złączyły się wspólnotą niedoli z starą, ogromną akacją, rosnącą w środku gazonu przed domem. Na mgnienie oka zapachniały mu okiście kwiatów, które wonną śnieżno-białą ponową otulały ją całą tak niedawno, w czerwcu. A teraz... Przez raje jej przeszedł ogień niszczący, zwęglone straszliwą pożogą bytu konary, jej gałęzie, bezlistne, czarne, ohydnie nagie, w potwornych uściskach wichru gną się i prężą ku niebu, jak spalone pożarem świata ręce potępieńców, sterczące z grobu i ciskające Bogu wieczne, nigdy nieodpowiedziane pytanie: „poco nas stworzyłeś na ból i udrękę?”.

A strugi deszczu ściekają po niej wśród poświęć i pojęków bezustannym płaczem za straconem szczęściem i urodą.

— Jakże brzydkie jest to drzewo! Jak stary człowiek, chory, wychudzony i pokrzywiony, gdy szlocha i wyje z męki. I jakże brzydka jest ta ziemia, w którą wsiąka skowyczący płacz istnienia: bezsilna, zgrzybiała, lepka cuchnąca i owrzodziała błotem.

— Cierpisz, cierpisz, o ziemio? To dobrze!

Dlaczego sam mam cierpieć? Dawniej wzruszał mnie twój ból, bo kochałem cię, jak matkę. Dziś wiem, żeś tylko macocha!

Kłamstwem jest twoja dobroć.

Kłamstwem jest twoja miłość.

I kłamstwem jest twój żywiołowy majestat.

Zły jestem? — powiadasz. Twój syn nieodrodny. Zimny, obojętny i bez serca. To twoja nauka, zła rodzicielko!

— Błoto... błoto... wszędzie błoto. To treść najbardziej istotna — twoja i twoich tworów.

Umęczone oczy Andrzeja powędrowały dalej, ku drodze, wiodącej od stajni do bramy.

Dwa siwe woły ciągnęły nią duży, ciężki wóz naładowany gnojem. Ubrabane w błocie aż po brzuchy wlokły za sobą swą klątwę z mozołem, takim, że co chwila zniżały jarzmo aż do ziemi, przekraczając boleśnie pocziwe, zatumanione, bezwolne łby i długie rogi, śmiesznie wojownicze, nikomu niegroźne, jak kij w rękę stracha na wróble. Poganiał je parobek utytlany w błocie powyżej cholew, cały brudny i lepki, jak ożywiona kupa błota. Głowę i plecy przykrył jakimś starym workiem i z trudem wyciągając niekształtne buciska z kleistej mazi ziemnej, szedł przed siebie mokry, zziębnięty, senny, na wszystko zobojętniały, jak nędza, która niema już sił nawet do biadania nad własnym losem.

— Oto jest symbol niewoli w służbie ziemi! — uśmiechnął się Andrzej szyderczo. — Przestępcy, których jedyną zbrodnią było przyjście na świat, skazani przez świętą Inkwizycję Przeznaczenia na dożywotnie roboty przymusowe. Błotna katorga!

Siepie się to od maleńkości przez błoto, kraje je lemieszem, szarpie ryskałem, ugniata wałkiem, rozdrapuje broną, urabia w niem sobie ręce aż po łokcie, aby w końcu samemu dać się złożyć w błocie, przejść przez żołądki robaków i rozplynać się w błocie bez reszty.

Do uszu jego doleciał nagle wysoki, niespokojny, histeryczny krzyk gęsi, któremu zawtórował basowy, monotonny, bezmyślny, głupi i rozpaczliwy równocześnie hałas kaczek. Była w tych odgłosach szarego, słotnego, jesiennego przedwieczera jakaś śmiertelna nuda, szamocąca się w pętlach beznadziei, jak szalenie w kaftanie bezpieczeństwa.

Andrzej wstrząsnął się od wewnętrznego wstrętu. Ten zwyczajny, wiejski krzyk podwórzowy spadł na jego zholale serce, jak kropla, przepełniająca czarę goryczy.

— Nie, tu przecież żyć niepodobna na łonie tej ziemi, która, jak podstarzała elegantka, pozbyła się przed snem wszystkich szminek, wat i strojnych fatałaszków i pozostała w nagiej ohydzie swego starego, strupami pokrytego ciała.

— Jakież omamienie kazało mi dawniej kochać ją, ten brzuch, wszystko pożerający i wszystko trawiący! Jakżeż mogłem nie widzieć, że czarowne uśmiechy wiosny, upalne pocałunki lata, błękitne rozmarzenia jesieni i czyste, śnieżne zadumy zimy — to tylko kłamne maski, kryjące bezustanny, wieczny mord, ciągle wzajemne zjadanie się! Wszystko, co tu żyje jest przecie tylko zwierzyną w szponach silniejszego łowcy, który z kolei staje się łupem drapieżnika jeszcze mocniejszego.

go. A wszystko wreszcie wpada w sidła chytrności i podstęp człowieka, tej dzikiej, krwiożerczej bestji, która, czując tryumf swej zbrodniczości, nadała sobie pyszne miano „króla stworzenia”. Ale i na nim ziemia wywiera swą zemstę i jego, ten brzuch, który wszystko pożarł, pożera wkońcu sama, pogryzłszy go wprzód miliardowemi, nikroskopijnemi zębami swych bakcyli.

— I już mam być do śmierci więźniem, obsługującym ten piekielny aparat mordy i trawienia? Wszystkie swoje siły, całą swą wiedzę i zapal mam poświęcać, aby współbestjom ludzkim dostarczać żeru? To ma być najwyższym celem mego istnienia?

— Nie, nie, nie mogę już dłużej! Nie mogę już patrzeć na te, tak dawniej umiłowane, łuny wschodzącego i zachodzącego słońca!

— To nie jest odbłask zaświatowych tajni, ale krwawe opary, unoszące się z trupów miliardów istnień żyjących, które wymordowują się codziennie!

— Skłamane są uśmiechy i pocałunki ziemi, jak skłamane były uśmiechy i pocałunki tej, która miała być błogosławieństwem, a stała się najstraszliwszą klątwą mego życia.

Gdzieś w głębi sumienia Andrzeja targnął się dotkliwy wyrzut. Doznał uczucia, że popełnił bluźnierstwo i matkobójstwo. Lecz zapiekł się ból w nim i uczynił go nieczułym. Jął więc dalej rozdrapywać swe ropiące rany...

— Jakżeż bez serca są one obie — i ta ziemia, z której prochu zostałem ulepiony i ta, która

w opętaniu anielstwem zaczęła lepić mą duszę, a której imienia nie godzi mi się już wspominać!

— I cóż mi z tego, że kołysały młodość moją i przypominały skrzydła pierwszym marzeniom moim? Splugawiły mię potem, zbezczęściły i podeptały, kopnęły, jak bezdomnego psa.

— Mogę wyć z bólu, a ta ziemia urągać mi będzie i śmiać się jaskrawemi fanfarami słońca. Mogę szaleć z rozkoszy i szczęścia, a ona ryczeć będzie burzą i ulewą. Mogę odejść od niej na zawsze, a ona wdzięczyc się będzie tak samo do tego, który po mnie zacznie łaskotać jej łono!

— Jak tamta! Jak tamta, potępiona i przekłeta!

— Nierządnice!

Z orgji samoudręczeń wyrwało go pukanie do drzwi.

Wszedł rządca Łachodkiewicz w doskonałym humorze, z jedną ze swych wiernych butelek wódki, domową, lub kancelaryjną, dobrze już pokumany.—Andrzej słuchał cierpliwie, jak przez sen, jowialnego i rubasznemi dowcipami zaprawionego opowiadania o krowie, która się ocieliła, o koniu ochwaconym, o planach na najbliższy rok gospodarczy i o potrzebie rozszerzenia plantacji buraków cukrowych.

Wreszcie nie wytrzymał. Zewał się z krzesła, z niewidywaną nigdy u niego gwałtownością grzmotnął pięścią o stół i wybuchnął:

— Wszystko to bardzo dobrze, kochany panie, ale to mnie nic a nic nie obchodzi!

Łachodkiewicz aż przeżegnał się ze zdumienia.

— Jakto pana nie obchodzi? Gospodarstwo pana nie obchodzi, pana, takiego zapalonego agromoma? Niby co to znaczy, panie tego, jak się nazywa?

— To znaczy, że jutro stąd wyjeżdżam na zawsze.

Rządca otworzył szeroko oczy. Malowało się w nich najpierw oburzenie, potem niedowierzanie, wkońcu zrozumienie i współczucie. Oparł rękę na ramieniu Andrzeja i przemówił serdecznie:

— Panie Szczerba, panie mój zacny i dobrodzieju, nie trzeba się poddawać rozpacz. Kobieta — wiadomo — puch marny, wietrzna istota — jak mówił panie tego, jak się nazywa. Dlatego ja od bab trzymałem się zawsze zdaleka i zostałem starym kawalerem. Stało się nieszczęście, no to się stało, stał się skandal, no to się stał. Jechał go sęk. Trzeba plunąć na to, zebrać się w kupę i zapomnieć.

— Ja też zebrałem się w kupę i wyjeżdżam.

— To czyste warjactwo i szaleństwo. Pożałuj pan tego. A co będzie z Łanowcem? Ja mówię otwarcie, że sam nie podołam. Jeden folwark — dobrze, ale cały klucz? To nie dla mnie. Ja stary praktyk, na nowych wymysłach się nie znam. Pani Mazowiecka od czasu tego nieszczęścia także już do niczego.

— Przewidziałam to wszystko — odparł Andrzej. — Zdanowski, mój starszy kolega z Dublan, czeka na objęcie w własny zarząd swych dóbr, których dzierżawa ekspiruje za dwa lata. Tymczasem zgodził się od wiosny objąć administrację Łanowca. W sprawach bardziej osobistych i poufnych

właścicieli będzie także doradzał i pomagał Łaniecki, którego już o to prosiłem. Postanowienie moje jest nieodwołalne. Serdecznie panu dziękuję za współpracę, życzę jak najlepszego powodzenia i polecam pańskiej opiece tych dwoje biednych staruszków, których tu zostawiam. Co sam z sobą zrobię, nie wiem jeszcze. W każdym razie do roli nie wrócę, nabrałem wstrętu do tej pracy.

— To szaleństwo, czyste warjactwo — biadał Łachodkiewicz, żegnając się rozrzewniony. — Niech się pan rozmyśli, z serca radzę. Baba choćby najlepsza, nie warta, aby mężczyzna dla niej... panie tego, jak się nazywa.

Tego samego wieczora Andrzej pożegnał się z teściem i z panią Mazowiecką, którzy wprawdzie byli już uprzedzeni o jego zamiarach, ale nie chcieli wierzyć w ich realizację, bo Szczerba był teraz jedyną podporą i ostoją ich starości. Usłyszawszy, że już nazajutrz ma wyjechać, oboje odczuli to jako rzeczywiste, nowe nieszczęście. Pan Proszewski nie wyrzekł ani słowa protestu, tylko niżej jeszcze pochylił swą znękaną głowę, a cienkie usta jego wykrzywił na chwilę nerwowy skurcz cierpienia. Pani Mazowiecka uczuła się tak nieszczęśliwą, że nawet nie miała sił głośno, według zwyczaju, lamentować, a tylko wyszeptala cicho:

— Tego mi jeszcze tylko brakowało!

Andrzej przeproszał ich i pocieszał jak mógł, serce mu się krajało z bólu, ale był niewzruszony.

— Tu — mówił — każdy sprzęt, każdy kamień, każde drzewo przesycone jest dla mnie tą, która odeszła, a to doprowadza mnie do szaleństwa. Muszę się od tego oderwać i zapomnieć, za-

wszelką cenę, jeżeli mam żyć, a umierać mimo wszystko nie chcę.

Nazajutrz wyjechał. Wodniste płatki przedwczesnego jesienno-śniegu zaczęły padać w czasie jego jazdy do stacji. Zetknąwszy się z ziemią, w tej chwili zmieniały się w błoto.

— Jak moje sny i marzenia! — pomyślał i zapragnął jakiejś zawiei straszliwej, jakiejś tytanicznej zamieci, któraby zasypała grubą, białą warstwą zapomnienia całą ziemię, a razem z nią całe piekło jego myśli.

— I cóż mi z tego, że żyję — pomyślał — gdy cały ten świat jest dla mnie grobem, posępnym, ciemnym grobem?

— In questa tomba oscura wyłonił się nagle w jego świadomości frazes dawno zasłyszany, czy przeczytany i przyczepił się do niego natrętnie, pojawiając się co chwila uprzykrzonym nawrotem myśli.

Gdy na dworcu kolejowym żegnał się z furmanem Michałkiem, ów naprawdę wzruszony zapytał:

— Kiedy pan wróci do nas?

— Razem z panią odrzekł Andrzej — smagając się zgryźliwą ironją.

— O nie! — zawołał furman — niech pan na panią nie czeka, niech pan wraca jak najprędzej!

— Wrócę, jak wróci szczęście do Łanowca — dorzucił Szczerba odchodząc.

— I mówią tu chłopom: uczcie się! — medytował Michałek, wracając z końmi. — Dużo temu przyszło z jego nauki i z jego państwa. Nie miałbym się z jego losem.

Rychło jednak zapomniał o Szczerbie i cały pograżył się w dumaniach, jakby to pięknie było, gdyby mógł skądś wytrzasnąć kilkaset dolarów i gdyby mu za nie chcieli sprzedać z dworskiego pola ten kawałek koło figury, któryby tak pięknie zaokrąglił niwę oddziedziczoną po ojcach.

Tymczasem pociąg uwoził Andrzeja, coraz większą przestrzenią oddzielając go od kolebki jego życia, szczęścia i męki.

Turkot kół lokomotywy i wagonów układał się w uszach jego w nieustającą, rytmiczną monotonię posępnych słów: *In questa tomba oscura...*

Andrzej patrzył zadumany przez szyby na ogniste pióropusze iskier, wlokące się za maszyną. Te świetliste arabeski rozjaśniały dobroczynnym rozbłyskiem ponurą slotę jego duszy. Ich uporczywa energia, jakby z napiętego łuku jakiejś potężnej woli ciskana, rozdmuchiwała wśród zgłiszczy jego świadomości wygasające węgliki postanowień.

— Co począć z sobą? — myślał bezładnie — a przede wszystkim, jakie miejsce na świecie uczynić nowem więzieniem dla siebie? Gdziekolwiek osiadę, będę zawsze *in questa tomba oscura*. Do Lwowa? Nie, nie, tam jej upiór zbyt silną będzie miał władzę na demną. Zawiele tam po niej pamiątek zostało.

Przypomniawszy sobie w jakiejś chwili swój niegdyś pobyt w krakowskiej szkole snycerskiej dla inwalidów. — Przyszło mu na myśl, że zna tam trochę ludzi, a nawet ma u pewnego majstra sztuki rzeźbiarskiej złożoną skromną sumkę, której dotąd nie podjął.

— Pojadę tam — postanowił — to przecież

w gruncie rzeczy zupełnie wszystko jedno. Pojadę, osiadę, a potem pomyślę, co zrobić ze sobą.

Był wczesny ranek, gdy przyjechał do Krakowa. Wyszedł z dworca, niosąc w ręku swą małą walizkę i ruszył prosto przed siebie szerokimi ulicami, ciągnącemi się wzdłuż plantów. Był dzień zimny, ale pogodny. — Gdy mijał barbakan ukazało się słońce i ornamentem jasnej poświaty ożywiło dostojność tych starych murów. Andrzej nie doznawał jednak żadnego wzruszenia. Dziwił go ten zupełny brak rzeźwego zaciekawienia i ogólnego spotęgowania sił witalnych, które dawniej odczuwał zawsze, ilekroć przyjechał do obcego lub dawno niewidzianego miasta.

Nagle stanął olśniony. W perspektywie ulicy, u samego jej kresu zamajaczył przed nim różowozłoty, żywy cud: katedra wawelska! Mgły nadwiślańskie opasywały gęstym wałem mlecznym podnóże zamkowego wzgórza. Sama świątynia zdawała się jak cud kamienny wisieć w powietrzu i robiła istotnie wrażenie nadziemskiego zjawiska. Rozmaitość jej stylów, czcigodna powaga romańszczyzny, strzelisty pęd odwróconego od rzeczywistości gotyku i życiowa rozlewność rozmiłowanego w przepychu baroku zlewały się harmonijnie w nieskazitelną kształt doskonałego piękna.

Andrzej uczuł, że z oczu spadają mu jakieś łuski, któremi troska i zgryzota przesłoniły mu świat. Stał, jakby przed ucieleśnioną wizją wzniosłego szczęścia, stępującą jadowite żądła wgryzających się w jego serce skorpionów bólu.

— Więc jest coś jeszcze — rozważał w duchu — co mię porwać może. Nie zagasł dla mnie

urok sztuki. Ten czar czysty i uduchowiony pozwoli mi wznieść się ponad przyziemną podłogę. Ale wara mi samemu za bary brać się ze sztuką. Tylko jako widzowi biernemu wolno mi pić nektar z tej wiecznie pełnej i upajającej czary zapomnienia i szczęścia. Bo tworzyć—to przeżywać, a przeżywać to dla mnie zrywać bandaż z ran niezagojonych i dać upust upływowi krwi serdecznej. Dusza moja to pieczara, gdzie czają się zmory przeszłości. — Wchodzić tam — to tortura, gorsza od śmierci.

Słońce skryło się za chmury. Cud katedry wawelskiej spłowił, a równocześnie prysło chwilowe wniebowzięcie Andrzeja. Zniechęcony i apatyczny powłókł się, by odszukać znajomego majstra snycerskiego.

Okazało się, że dzielny ten człowiek był przewidującym i zabiegliwym finansistą, bo za pieniądze niegdyś przez Szczerbę u niego zdeponowane, zakupił dolary, które przeliczone na bezwartościowe marki polskie, przedstawiały wcale pokątną kwotę. Było to Andrzejowi bardzo na rękę, bo z kasy łanowieckiej, chcąc jak najmniej czerpać ze „śpuścizny po niej”, wziął zaledwie tyle, ile mu wystarczyło na podróż i na kilka dni życia.

Swoją świetną i wyjątkową, choć tak tragicznie zakończoną karierę, zataił przed mistrzem, który, pamiętając jego zdolności i pilność, namawiał go usilnie, aby powrócił do jego pracowni. „Dłubanie w drzewie” nie uśmiechało się jednak Andrzejowi. Pod wpływem inspiracji, idącej od zjawy katedry wawelskiej, postanowił wprawdzie oddać się zajęciu, któreby go przeniosło w „poblize sztuki”,

pragnął jednak porać się i walczyć z jakimś materjałem twardym, nieustępliwym, opornym, któryby wymagał od niego ogromnego natężenia sił fizycznych. Chciał umęczeniem ciała zabić w sobie porażoną bólem duszę.

Poszedł tedy do kamieniarza, utrzymującego jeden z największych tego rodzaju zakładów w mieście i najał się jako prosty robotnik, legitymując się poświadczeniem, że przez trzy lata studjował rzeźbę i że także praca w kamieniu nie jest mu obca. Majstrowi zdumionemu, że, mogąc tworzyć jako artysta, chwytą się roboty wyłącznie mechanicznej, wytłumaczył, że chce się wydoskonalić w technice obrabiania kamienia, bo uważa, że żaden rzeźbiarz, poważnie swój zawód traktujący, nie może obyć się bez znajomości rzemiosła, będącego podstawą jego sztuki.

Andrzej z furją rzucił się do pracy. Odziany w niebieską robotniczą bluzę, z młotem i z dłutem w ręku, z nienaturalną gorączką w oczach, wyglądał, jak średniowieczny żołnierz, idący do ataku na wroga. Traktował też kamień jak wroga, którego musi ujarzmić, upokorzyć i uczynić posłusznym swej woli. Ciosy jego ramienia stały się niebawem mądrze obliczone, precyzyjne i niechybne, a przytem mocne, szybkie i nieznużone. Marmury, granity i piaskowce drżały i jęczały pod uderzeniami jego młota, ciskały w gniewie zamiecią odprysków, lecz nie mogły oprzeć się upartemu szalowi jego przemocy. Ujarzmione, układały się pokornie w kształt brył o linjach i profilach, które on im naznaczył swym władczym nakazem.

Gdy stał tak przed blokiem kamiennym, zmę-

czony, z piersią podnoszącą się w głębokim oddechu, z twarzą znieruchomiałą posepnem natchnieniem i spuszczał co chwila ramię ustawicznym ćwiczeniem spotężniałe, a odlupane odłamki z głuchym łoskotem spadały na ziemię, obsypując go całego białym pyłem, wyglądał wspaniale, jak najdoskonalwsze uosobienie swoistego piękna fizycznej pracy.

Inni robotnicy patrzyli na niego z podziwem, ale i z zawiścią. Był dla nich niebezpiecznym konkurentem. Jego niesamowita gorliwość stała się w ręku majstra biczem na ich gnuśne lenistwo. Prócz tego nie mogli zrozumieć tego inteligenta, którego wyższość umysłową czuli przez skórę, a który pracował ciężko, jak ostatni nędzarz i w pracę swoją wkładał jakąś tajemniczą, bolesną, stanowczo dla nich podejrzaną zawziętość. Niepokoiło ich także jego ciągle milczenie, które uważali za wyniosłość i drażniły jego oczy, teraz prawie zawsze czarne, lśniące wewnętrznym żarem i jakby we własną głąb wpatrzone, tak, iż zdawały się nie widzieć nic, co się dokoła niego dzieje. Odnosili się więc do niego z nieufnością, choć równocześnie z mimowolnym szacunkiem i posądzali go o jakieś bliżej nieokreślone, ale w każdym razie wrogie wybec siebie zamiary.

A jemu szło tylko o śmiertelne znużenie, w którym mógłby się stać pozbawionym zdolności myślenia i czucia kawałkiem drewna. Gdy z wściekłością atakował granitowe głazy, miał wrażenie, że ma przed sobą stężałą w kształt materjalny okropną zmoreę swego życia i że ją paraliżuje pchnięciami swego dłuta i ciosami młota. Czuł się wtedy stosunkowo nieźle, chociaż i podczas tych

godzin upijania się trudem, raz po raz chorobliwie zwichnięta pamięć jego rzucała mu przed oczy upiorną zjawę tej twarzy, którą niegdyś miłość otaczała aureolą wyśnionego ideału, a którą teraz deformowała potwornie cierpka gorycz zawodu.

W takich momentach podwajał jeszcze swe razy i łudził się, że, gdy wróci do domu z ciałem upadającym ze znużenia wystarczy mu rzucić się na łóżko, aby natychmiast zasnąć snem tak twardym i zmartwiałym, jak te głazy, które były teraz jedynym jego towarzystwem.

Daremnie jednak modlitewną pracą swych rąk błagał o łaskę zapomnienia. Dusza jego wiodła żywot od ciała zgoła niezależny i nie miała mocy wyjść z zaczarowanych kręgów cierpienia, które stworzyła miłość, zwyrodniała w nienawiść.

Dla tej, która go odeszła, miał w sercu głuchą urazę i gniew tem groźniejszy, że bezsilny i natręctwem wspomnień ciągle podsycany. Wszelkie usiłowania, aby nie myśleć o niej, wywierały skutek wręcz przeciwny, więc męczył się straszliwie, złorzeczając swemu dawnemu bożyszczu i obsypując je przekleństwami. Nieznał przytem miary w krzywdzeniu jej pamięci.

— Wszystko — w niej było fałszywe, sztuczne, komedjanckie — myślał, krążąc bezustannie w długie bezsenne noce po swej małej ubogiej izdebce w ciasnej uliczce śródmieścia i wyglądając od czasu do czasu bez celu przez okno, wychodzące na starą kamienicę naprzeciw, której zczerniałe mury rysowały się ponuro przy świetle ulicznej latarni.

— Wszystko u niej wypływało z jakiejś perwersji, z atawistycznego zwyrodnienia, nawet to nie-

naturalne u panny jej sfery zakochanie się we mnie wtedy, kiedy byłem pół-chłopem. Podnieciłem jej nerwy i żądzę, bo pachniałem dla niej ziemią. O jakże nienawidzę i jej i tej ziemi, która ściągnęła na mnie jej miłość! Jak dobrze, że nie mam teraz przed sobą, ani poetycznej „czarnoziemnej skiby“, ani drzew, ani kwiatów, ani nawet nieba! A kiedy stałem się człowiekiem, zwyczajnym, normalnym, inteligentnym człowiekiem, zobojętniałem jej. Wtedy rozkochała się w tamtym zdechlaku, bo jej cuchnął znowu czem innym, czemś psującym się i rozkładającym, jakąś potwornie starą Gorgonzolą. Nigdy nie była sobą, ani gdy udawała św. Klarę, ani, kiedy imitując bakchantkę, oddała mi się po raz pierwszy, tam nad rzeką, naga, przed ślubem. Byłe nie po ludzku, byłe inaczej jak inni! Och, przekleństwo tym geniuszom bez teki, tym pokracznym naturom, które, traktując życie jako sztukę, zamieniają je w inferno. Piękna kabotyńska!

Każda z tych obelg, wyrzuconych w obłąkaniu męki, wracała do niego napowrót i mściła się stokrotnem spotęgowaniem cierpienia.

Andrzej nie sypiał teraz prawie zupełnie. Dopiero nad ranem zapadał w chorobliwą drzemkę, w której dręczyły go sny-zmory.

Dwa z nich z szczególną wracały upartością.

Widział się na ogromnej, pustej, piaskami pokrytej płaszczyźnie, na której nie było żadnej roślinności prócz karłowatych, tragicznie powykręcanych sosen o rudych, rozłupanych i pokaleczonych pniach. Na tych drzewach przesmutnych gnieździły się czarne, olbrzymie sępy-kondory, o dzióbach

zakrzywionych w potworne harpuny, o nagich, ohyd-
ną barwą surowego mięsa czerwonych szyjach
i o czarnych, jak węgle oczach, błyszczących i nie-
samowitych. W pewnym momencie huragan wpa-
dał na pustynię, podnosił w górę piaski i skręcał
je w gigantyczną trąbę powietrzną. Gdy odszedł,
z trupich sosen zrywały się upiorne ptaki, wzbijały
się w powietrze chmurą, straszną jak kir pogrze-
bowy i rozpoczynały bój zażarty i śmiertelny. Ka-
żdy zwycięzca pokonanemu przeciwnikowi wydłu-
bywał oczy i wyszarpywał z piersi serce, a pożarł-
szy je, wypuszczał martwy zewłok z okrwawio-
nych szponów. Co chwila coraz to nowy trup sępi
spadał na piaski, które z żółtych stawały się czer-
wone, aż wkońcu tryumfator ostateczny sam jeden
dumnie unosił się w przestrzeni na tle szarego nie-
ba i przepatrywał baczenie całą okolicę, czy nie
dojrzy kogo, na kimby moc swoją wywarł.

Andrzej w panicznym strachu czał się pod
jedną z sosen, bo widział w jakiś sposób niepoję-
ty, że oczy jego goreją jak „dwa nie z tej ziemi
nieporównanej piękności czarne djamenty“, które
prowokują ptaka-upiora. Wreszcie sęp, dostrzegłszy
go, rzucił się na niego i po krótkiej walce z sa-
dystycznym smakoszustwem wydzióbywał mu oczy.
Wówczas oślepiiony Andrzej z przeraźliwą nadwy-
razistością spostrzegał zaświatowym wzrokiem, że
ów sęp to „ona“, ona bezimienna przeklętnica,
i czuł z trwogą szaleńczą, że ta wszechobecna zmo-
ra rozszarpuje mu piers i lubieżnym szponem do-
biera się do serca.

A innym razem widział siebie siedzącego na
owym dobrze sobie znanym, żółtym tarantasie

z świętego, „lazurowego” okresu miłości. Obok niego siedziała „ona”, tak samo piękna, jak dawniej, z tym samym cudownym kontrastem szafirowych oczu i kruczych włosów, ale z twarzą, która już nie wyrażała słodyczy i błogości, ale posępną demoniczną siłę. Trzymała w ręku lejce, poganiając wychudzonego, jak szkielet konia, który budził wstręt swą skórą sparszywiałą i owrzodzoną. Droga, którą jechali, zalana była rzadkiem, lepkiem błotem, a po obu jej stronach ciągnęły się olbrzymie wały gnoju, z których ściekała smrodliwa gnojówka. Koła wózka grzęzły już wyżej osi w tej obrzydliwej, brązowej, metalicznie połyskującej cieczy, lecz „ona” okrutną chłostą bicza zmuszała nędzną szkapę, by brnęła dalej i dalej. Nagle grunt pod nogami urywał się, a cały wehikuł z koniem zaczynał tonąć. „Ona” wówczas jakimś tajemnym sposobem znikwała, a Andrzej czuł, że okropna ciecz wlewa mu się do uszu, nosa i ust.

W jednym i drugim śnie, za każdym razem, gdy „ona”, czy to jako sęp rozdzierała mu pierś, czy też jako demon bagna topiła go w gnojówce, Andrzej rozpaczliwym rzutem instynktu samoobrony uświadamiał sobie błyskawicznie, że to tylko sen, nie rzeczywistość. Usiłował wtedy koniecznie przebudzić się, wydawało mu się, że wykonuje kurczowe ruchy rękami i nogami, że szczypie się i bije po twarzy, ale cały wysiłek jego okazywał się daremny, a ta walka z przemocą sennego odrętwienia była jeszcze bardziej męcząca, niż same zmory. Gdy wreszcie po długim szamotaniu udawało mu się powrócić do jawy, znękany i złany potem, miał zawsze wrażenie, że dusza jego tak

daleko odeszła od ciała, że z trudem tylko można ją było przywołać napowrót.

— Straszliwie mszczą się na mnie obie — „ona” i ziemia! — szeptał udręczony do ostatecznych granic.

Zdrowie jego psuło się widocznie. Zaczęła go dręczyć ostra choroba nerwów. Zmory nie ograniczały się już tylko do godzin snu, ale na jawie chwytaly go w kręgi męki. Wówczas zagnieździła się w jego umyśle drecząca obawa, że dostaje obłąd. Było to dla niego okropniejsze, niż śmierć. Poczucie, że niema na świecie zakątka, w którym mógłby się schronić przed sobą samym, przyprawiało go o szaloną trwogę. Dostawał gwałtownego bicia serca i był bliski omdlenia.

Wkońcu zrezygnował i zaniechał wszelkiego oporu.

— Niech się dzieje, co chce — powtarzał i gdy czuł, że nadchodzi atak lęku, kładł się na łóżku, aby cierpliwie oczekiwać śmierci lub szału.

Ku zdumieniu niemałemu przekonywał się, że nie pojawiało się ani jedno ani drugie. Mimowoli znalazł najlepszy środek do zwalczenia choroby: pogardę dla niej i obojętność. Niedomaganie jego doszło do stopnia takiego napięcia, że sobą samem przysłoniło i zaćmiło psychiczny powód cierpienia, a tem samem unicestwiło się. Myśl „o tej, która odeszła”, nie opuszczała go wprawdzie, ale straciła swą jadowitość, przestała być ideą natrętną. Czuł, że jest uratowany.

Z innem też uczuciem spełniał teraz swą pracę kamieniarką. Nie rzucał się już na głązy z wściekłością, jak na wroga, lecz zwolna rozmiłowywał

się w nich, jak w żywej istocie, doznając dziwnie czystej, a mocnej rozkoszy, gdy przeglądał okiem bystrem i czującym wszystkie ich załomy i migotliwe połyski, partje gładkie i szorstkie, wszystkie ich światła i cienie. Białą marmur z Carrary tworzył przedmiot najgorętszego jego ukochania. Z jaką głęboką satysfakcją polerował go, że lśnił, jak tafla lodu, lub w miarę potrzeby nadawał mu precudowny ton matowy, pełen powabu i ciepła, jak gdyby ludzkiego ciała.

Przypominał sobie i powtarzał słowa słynnego sonetu Michała Anioła o postaciach, które śnią, zupełnie skończone w łonie marmuru i czekają tylko dłuta wielkiego artysty, któryby je obudził i powołał do życia. Wyobrażnia jego zaczęła grać i wy-
czarowywać mu tajemnicze ciała, zamknięte w kamiennem więzieniu, a oczy jego uzyskiwały przenikliwość jak gdyby Roentgenowskich promieni, iż przezierał bloki marmurowe na wskrós i obejmował słodką pieśczętą zaklęty w nich żywy cud kształtu. Rodziły się w nim tęsknoty twórcze, lecz nie miał jeszcze odwagi oddać się im bezwolnie, bo pamiętał inne słowa tegoż Michała Anioła, iż „artysta maluje i rzeźbi. mózgiem i duszą, a nie ręką”. A duszy swojej bał się i nie chciał w nią zaglądać, aby nie zbudzić z trudem uspionych upiórów. Narazie wystarczała mu bezkształtna naogół i nieuchwytna muzyka głazów, którą zachwycił się aż do upojenia.

Zmienił się też obecnie stosunek jego do współtowarzyszy pracy. Był dla nich teraz uprzejmy i uczynny, chętnie z nimi rozmawiał i słuchał ich żartów, choć sam nie śmiał się nigdy. Poznał

pomału sposób ich życia i ich zmartwienia, którym starał się zapobiegać, jak tylko umiał. Wytwarzała się w nim dobroć i współczucie dla ludzi, bezinteresowna miłość bliźnich i przeświadczenie o potrzebie przebaczenia im uraz i pomagania im wedle sił swoich. Wyrobił w sobie bowiem przekonanie, że człowiek przez to samo, że żyje i jest człowiekiem, zasługuje na najgłębszą litość, jako najnieszczęśliwsze stworzenie na świecie. Jednej tylko istocie nie mógł dotąd przebaczyć, bo zbyt głęboko wniknęła w jego serce, a potem, wydarłszy się z niego przemocą, zbyt bolesną zostawiła i niegojącą się ranę.

Nieufność kamieniarzy wobec Andrzeja znikła niebawem zupełnie. Miejsce jej zajęła żywa sympatja, a nadto cześć głęboka, tem dziwniejsza, że niczem realnem wyrażnie nieumotywowana, lecz tylko na intuicyjnym odgadnięciu jego wartości wewnętrznych oparta. Czuli w nim podświadomie wielkość i dostojność cierpieniem coraz bardziej oczyszczanej duszy.

Po pracy, wróciwszy do swego samotnego pokoju, Andrzej oddawał się teraz poważnej lekturze, wymagającej niemałego wysiłku umysłowego. Postanowił myśl swoją, jak niesfornego konia, ująć w twardy munsztuk i nie pozostawiać jej nigdy swobody, aby znów nie zaczęła się tulać po błędnych manowcach samoudręczenia.

Ulegając staremu nałogowi, wziął się zrazu do ulubionych poetów, zaniechał ich jednak niebawem, bo stwierdził, że tryskająca u nich zewsząd hipertrofia uczucia źle na niego oddziaływa, rozrywając

delikatną oponę sztucznego spokoju, którą z takim wysiłkiem dopieroco okrył swą znękaną duszę.

Zrozumiał, że przebywanie w sferze emocjonalnej jest dla niego w obecnym jego stanie zabójcze, i że wolno mu czytać tylko te książki, które są dziełami czystej myśli, zimnego i uczuciem niezarażonego intelektu.

Utrwalająca się w nim coraz bardziej wielka litość dla współludzi skierowała go najpierw do prac teoretyków socjalizmu. Pomimo kompromitującego fiaska, na jakie ideały komunistyczne narażiła realizacja ich przez bolszewików w Rosji, łudził się jeszcze, że tam może popełniono jakiś błąd zasadniczy, nie dowierzał swym wiadomościom o socjaliźmie, zaczerpniętym z drugiej ręki, i postanowił zbadać je u źródła, w dziełach głośnych apostołów tej nauki. Rozczytywał się więc w pracach Marksa, Kautsky'ego, Vandervelde'a. Początkowo utopijna strona komunistycznej wiary pociągnęła go urokiem, niepozbawionym poezji. Dodał tylko od siebie poprawkę, iż równość w korzystaniu z podziału dóbr musi być połączona z minimalną równością wykształcenia i przemarzył kilka nocy na szczegółowym obmyślaniu, w jaki sposób będzie można urządzić ten kraj przyszłości, przy czem wysiłek swój skierowywał głównie ku wynalezieniu klapy bezpieczeństwa, któraby w tym organizmie społecznym, polegającym za zasadzie zakoszarowania i ponumerowania ludzi, uratowała jednak swobodę duszy i wolny lot indywidualizmu.

Rychło jednak doszedł do przekonania, że nie da się to urzeczywistnić. Zrozumiał także, że społeczeństwo komunistyczne mogłoby być rajem na

ziemi tylko pod warunkiem, że ludzie przemieniają się w aniołów. W takim jednak razie komunizm stałby się zbędny, bo wówczas każdy system społeczny, nawet najskrajniejszy absolutyzm, osiągnąłby wynik najzupełniej identyczny. Ponadto zraził go do socjalizmu krótkowzroczny, tępy i gruboskórny materializm, będący jego fundamentem, a zrobienie z kwestji brzucha osi centralnej, dokoła której miałby się świat obracać, nappełniło go wstrętem, podobnie, jak podniesienie nienawiści, żydowskiego „oko za oko — ząb za ząb” do godności idei przewodniej, w miejsce chrześcijańsko-aryjskiego przykazania miłości bliźniego.

Wreszcie, chociaż miał w owym okresie swoje najbardziej osobiste porachunki z ziemią i żył z nią na stopie wojennej, oburzało go do żywego ustawicznie socjalistyczne negowanie wszelkiego związku z ziemią i płynących stąd pierwiastków narodowych, a natomiast sprowadzanie całego konfliktu socjalnego do walki międzynarodówki proletariackiej z międzynarodówką kapitału.

— Nie! — zawołał, likwidując swoje zainteresowanie dla socjalizmu — ta teoria spróchniała już i martwa jest zupełnie. Rozwój dziejów rzucił ją do rupieciarni i nic tego trupa ożywić nie zdoła, nawet intryga międzynarodówki żydowskiej, dla której komunizm jest doskonałym parawanem, maskującym jej panjudaistyczne tendencje.

Po tej refleksji cisnął do kąta dzieła „ojców świętych komunistycznego kościoła” i cały zatonął w dumaniu, dlaczego socjalistyczna obraza ziemi, tej ziemi, którą on przecież „nienawidzi”, tak bardzo go obeszła i ziryutowała.

— Czy ta moja nienawiść — myślał — nie jest przypadkiem utajoną miłością, a w takim razie, czy także moja nienawiść do „niej”, do tej, która odeszła, nie jest w gruncie rzeczy nieczem innym, jak utajoną miłością?

To zrodziło w nim wiarę, że miłości wszelkiej początek tkwi korzeniami w tajemnicy ponadzyciowej, że jest ona związana ściśle z ostatecznymi przeznaczeniami świata, że ma charakter nawskrós kosmiczny i metafizyczny, na co wskazuje fakt, doświadczeniem jego ponad wszelką wątpliwość stwierdzony, iż wymyka się z pod władztwa woli, że zatem kieruje nią wola, od woli jaźni doczesnej nieskończenie wyższa.

Zapragnął to przekonanie swoje skonfrontować z poglądami najwyższych, najgenialniejszych umysłów jakie ludzkość wydała. Poetom nie do wierzał, podejrzewając ich o fantastyczną dowolność. Chciał czegoś pewnego, niewzruszonego, naukowego. Przypomniawszy sobie wówczas, że istnieje cała ogromna dziedzina wiedzy, o której prawie zupełnie nie ma pojęcia: filozofia!

Postanowił więc wejść w bliższy kontakt z tą sferą myśli. Niedoświadczony i pozbawiony wszelkich wskazówek, rzucił się na pierwszą lepszą książkę z tego zakresu, na jaką się natknął w antykwarni. Była nią przypadkowo Kanta „Krytyka czystego rozumu”, dzieło, którego wiekopomna sława nie była mu obca. Skuszony nią, zabrał się do lektury z entuzjazmem i z dziecinną wiarą, że odsłonią się przed nim tajnie, które dadzą mu niemal rozwiązanie zagadki bytu. Przebrnął jako tako przez obie przedmowy i wstęp, traktujący o po-

znaniu a priori, ale już na estetyce transcendentalnej utknął. Zewnętrznie rozumiał wprowadzić wykład o czasie i przestrzeni, jako o apriorycznych formach ludzkiego spostrzegania, nie mógł jednak za myślą wielkiego filozofa podążać do tego stopnia, aby ją uczynić swoją osobistą własnością. Do logiki transcendentalnej, do nauki o kategoriach, nie miał już wobec tego odwagi przystąpić.

Upokorzyło go to bardzo, gdyż inteligencji swojej przypisywał dotąd zdolność rozumienia wszystkiego, co jest logicznie pomyślane.

— Okazuje się, że jestem kwadratowy głupiec! — powiedział sobie. — Ale tak łatwo nie skapituluję. Jestem z chamów, więc potrafię zdobyć się na upor. Muszę zgryść tę piekielną „Krykę“, choćbym miał w nią walić młotem, jak w moje marmury.

Zrozumiał jednak, że w filozofii, jak [w każdej nauce, trzeba przygotowania, stopniowego i systematycznego. Odgadł, że da mu je najłatwiej wykład historii filozofii. Kupił więc sobie zwięzły podręcznik Baumanna i obszerny Ueberwega i, traktując pierwszego autora jako podstawę, a drugiego jako uzupełnienie, zaczął się z trudem i cierpliwością przeciskać przez nich, jak wielbłąd przez ucho igielne.

Już poglądy prastarych hylozoistów greckich zachwyciły go, pomimo naiwnego sformułowania, swym monizmem, tak ponętnym dla nowożytnego umysłu, wspartego najnowszymi zdobyczami nauk przyrodniczych.

Z rozkoszą śledził złotą nić wspólnej tęsknoty za trwałą i niezmienną Istotą bytu, łączącą na-

ukę Eleatów z hinduską Vedantą, a dalej z Platonem, z neoplatonizmem Plotyna i Jamblicha i nawet ze Spinozą, chociaż rozdział pomiędzy jednością bytu a wielością zjawisk, pomiędzy duchem wszechświata, najwyższym Atman - Brahmanem, a Mayą, złudą doczesności, pomiędzy substancją a zmysłowem wyobrażeniem—odczuwał jako koncepcję sztuczną i niemającą uzasadnienia w rzeczywistości.

Podobnie nieprzekonywujący go dualizm dostrzegł w systemie Kanta, którego mu treściwy wykład jego historyków filozofii uczynił nareszcie zrozumiałym, a który nawet po uporaniu się z „Krytyką czystego rozumu” nie przestał być dla niego mniej więcej jasny.

W tym punkcie studjów filozoficznych doprowadził już swój umysł do takiego stopnia wygimnastykowania, że zaznajomienie się z Fichtem, Schellingiem i Heglem, oraz z innymi przedstawicielami filozofji XIX. w., a także z pragmatyzmem Jamesa i z intuicjonizmem Bergsona nie sprawiło mu już żadnych większych trudności.

Gdy w ten sposób nabył ogólny pogląd na całokształt historii filozofji, nie mógł się opędzić uczuciu pewnego rozczarowania.

— Cóż mi z tego? — medytował. — Skorzystałem wprawdzie, jako intelekt, ogromnie dużo. Nauczyłem się myśleć logicznie i metodycznie. Poznałem podziwu godną, czarującą i naprawdę o boskim początku świadczącą potęgę umysłu ludzkiego, zdolnego do wydzwigiwania ku niebu olbrzymich, strzelistych katedr poglądów na świat. To wszystko prawda! Ale nie tego przecież szukałem.†

Nie szło mi o filozofję dla niej samej, ale o wytłumaczenie niepokojących mię zagadek, o wyjaśnienie stosunku mego do chaosu zjawisk i do Absolutu, o znalezienie w tym labiryncie czegoś, coby się stało moją najgłębszą, najistoniejszą własnością.

— Tymczasem, gdyby mi kazał ktoś wybrać jeden z tych systemów i zrobić go sobie drogowskazem, byłbym w prawdziwym kłopotcie. Choćby wyboru właściwie wielkiego niema. — W tem całym pozornem mnóstwie poglądów na świat jest zaledwie kilka odmian, naprawdę zasadniczo od siebie się różniących. Reszta to sprawa terminologii. Każdy filozof samoistny, zwłaszcza, jeśli jest Niemcem, uważa za swój obowiązek stworzyć sobie przedewszystkiem odrębną terminologję i za pomocą niej buduje system, który ma pozory nowości, a w gruncie rzeczy mówi tylko to, co już dawniej zostało powiedziane, tylko przy użyciu innej techniki słowa.

Andrzej chodził po pokoju, gestykułujący rozmawiając z sobą półgłosem.

— A potem jeszcze jedno! Daremną rzeczą byłoby szukać t. zw. „prawdy” w filozofji, jak zresztą w którejkolwiek z nauk ścisłych. „Prawdą” w danej chwili jest ta hipoteza, która w pewnem stadium intelektualnego i etycznego rozwoju ludzkości pozwala najlepiej orjentować się w zagmatwanym wirze bytu i łączyć rozmaite sprzeczności w możliwie najdoskonalszą harmonję. Ze zmianą warunków bytu ludzkości zmieniają się też i prawdy.

Szczerba wpatrzył się w szparę w podłodze,

jakby w niej krył się ostateczny wynik je rozumowania.

— Zresztą nawet w obrębie pewnej epoki niema prawdy ogólnej dla wszystkich. Są tylko prawdy indywidualne dla poszczególnych indywiduów. W systemach filozoficznych równie ważną rolę, jak intelekt, a bodaj czy nie o wiele ważniejszą, odgrywają uczucia, instynkty, cała sfera podświadomości, wogóle to wszystko, co składa się na duchową fizjognomję człowieka.

— Więc cóż z tego wynika? — zapytał Andrzej, zwracając się do małej kamiennej małpki japońskiej, która, siedząc w kuczki na biurku z rękami złożonemi jak do modlitwy i z pyszczkiem wyrażającym skupione zdumienie, była łwierną towarzyszka jego samotności.

— Wynika to, że człowiek, umiejący myśleć systematycznie, o ile wda się w filozofowanie, wybiera system takiego filozofa, którego fizjognomja duchowa wraz z inwentarzem uczuciowym najbardziej jest do jego własnej podobna. A więc któryż system ja mam wybrać? — Mówiąc prawdę, żaden. Podobałyby mi się mistyczne jednoczenia się z Bóstwem w drodze ekstazy, za przykładem Plotyna, Yogów, Ruysbroek'a, św. Teresy, czy Swedenborga, ale to już nie jest nauka, a potem do tego potrzeba praktyki ascetycznej, do której nie mam żadnej skłonności. Z systemów „naukowych” przemawia mi najbardziej do przekonania typ idealizmu absolutnego, pokantowskiego, opartego na monizmie panteistycznym. Ale cóż? Żadnego z poszczególnych systemów tego typu nie mógłbym uznać za swój własny, bo żaden w całości mi

nie odpowiada. Musiałbym dopiero na podstawie kilku z nich, za pomocą kompilacji, selekcji idei i własnych dodatków, skomponować swoją osobistą prawdę. Czy to się opłaci?

Andrzej począł krążyć po pokoju intensywnie zamyślony, aż po chwili znów zatrzymał się przed małą małpką.

— Oczywiście, nie opłaci się! — oświadczył jej kategorycznie. Bo jeśli mam wszystkie swoje irracjonalizmy przemycać do poglądu na świat rzekomo intelektualistycznego, to wolę nie błądować przed sobą i odrazu zanurzyć się po uszy w sferze irracjonalnej, uczuciowej „hoc, est” — jak mówi czcigodny rabbi Spinoza—stworzyć sobie swoją „Weltanschauung” drogą twórczości artystycznej. Albowiem to najbardziej odpowiada mojej psychofizyce. A wiesz dlaczego? Bo elementem sztuki jest uczucie, a uczucie, to żywioł, a żywioł, to podświadomość, a podświadomość jest bliżej Boga, niż rozumu, który wobec niej wygląda, jak niemiecki profesor w okularach, „szlusroku” i z parasolem w ręku nad brzegiem rozhukanego oceanu. Ergo: będziemy rzeźbić! Rozumiesz?

Lecz mała małpka japońska przeraziła się bardzo i wlepiwszy w niego swe minjaturowe czarne oczka, nie większe od ziaren maku, zajęczała:

— A zmory? Nie boisz się, że wrócą?

— Bądź spokojna, najśłodsza makako! — odpowiedział. — Czas, zacny lekarz zrobił już swoje, a i filozofia stężyła moją duszę, iż już nie rozlewa się w bekszałtną plazmę erotycznej ślamazarności. A zresztą, wiesz, Goethe radził: jeśli ci co dolega, wypisz to, a doznasz wyzwolenia. Tak też i zrobię!

Odtąd wieczorami Andrzej „wypisywał” swój ból, kreśląc ołówkiem lub piórkiem setne podobizny Wandy.

Po raz pierwszy to od wielu dni odważył się nazwać ją w myśli po imieniu i dziwił się niemało, że imię to straciło dla niego swój złowrogi, posępny dźwięk. Mógł już o niej myśleć spokojnie, a nawet bez żalu, choć z łagodnym smutkiem, opromieniającym jej postać jak gdyby błękitem pogodnego dnia wrześniowego.

Jak niegdyś w Łanowcu, nie mógł i teraz uchwycić jakiegoś jednego, ogólnego i niezmiennego, niejako abstrakcyjnego kształtu jej twarzy, którą jaźń jego była przepojona, jak organizm pijaka alkoholem. Oblicze to pojawiało się przed jego wzrokiem duchowym w tysiącnych wariantach.

Było to dla niego obecnie pożądane. Najpierw bowiem nauczył się rozłamywać przeszłość swą niedawną na dwie części odmienne barwą i treścią. Pierwsza z nich ukazywała mu Wandę, ducha jasnego, miłującego i umiłowanego nad wszystko; druga anioła upadłego, wiarołomną krzywdzicielkę. Serce jego starało się zapomnieć o tej drugiej serii obrazów, utrwalając natomiast pierwszą i czyniąc ją sobie coraz droższą dzięki słodyczy, nie rzeczywistości wprawdzie, ale wspomnienia i złudzenia.

Lecz dla jego instynktu artystycznego obie te kategorie były równie ważne. Wskutek ciągłego ich przenikania się i łączenia, czy to drogą analogii i pokrewieństw, czy też kontrastów, zrodził się

w nim pomysł twóczy, który postanowił zrealizować w rzeźbie.

Za większą część swych oszczędności — jego życie, pełne mniszej abnegacji kosztowało go niesłuchanie mała — kupił od swego majstra potrzebny zapas marmuru. Po zarobkowej pracy kamieniarskiej nie wracał teraz do domu, ale zostawał w pracowni, nieraz do późna w nocy, cały pochłonięty swem dziełem, którego powstawanie najpierw w glinie, a potem w marmurze, wynosiło go na podniebne szczyty prawdziwego szczęścia.

Najwyższe zadowolenie przyniosło mu nabyte teraz przeświadczenie, że obok szczęścia miłości istnieje na tej ziemi inne szczęście, czystsze jeszcze i trwalsze, bo od żadnej drugiej istoty niezależne, a tylko z głębi czującej i tęskniącej duszy ludzkiej swą moc czerpiące, z bólami i ekstazami macierzyństwa spokrewnione, bez frazesu „boskie” szczęście tworzenia.

Zrozumiał, że jest to w gruncie rzeczy także nic innego, jak miłość, ale od miłości, oplatającej człowieka stokroć potężniejsza, stokroć rozleglejsze horyzonty otwierająca, bo ta miłość — jak mówił Platon — nie przywiązuje się do jednego pięknego ciała, ani nawet do jednej pięknej duszy, ale steruje po niezmiernym oceanie piękna wszechrzeczy i w każdym swem drgnieniu, w każdym przebłyску, jest zawsze miłością Boga.

Podczas tych godzin pracy natchnionej, życie nie pokazywało mu już twarzy wykrzywionej skurczem nienawiści, ale uśmiechało się do niego z wybaczącą miłością matki.

Zatęsknił teraz znów za ziemią, od której za-

truty jadem cierpienia, odwrócił się był, jak syn marnotrawny. Zaczęło mu być duszno wśród starych murów ciasnej uliczki i wśród nagich ścian jego ubogiej, hotelowej izby.

Drżąc od wewnętrznego wstydu, jakby się każał przed żywą istotą, wobec której zawinił, kupił u ogrodnika mały wazonek z nikłym, świeżo rozkwitniętym kwiatkiem. W ówczesnym nastroju swej duszy, pełnym pokory wobec wszechświata, nie pragnął niczego wspaniałego, nie chciał, ani strojnej a zimnej kamelji, ani egzotycznej orchidei, ani oszałamiającej, trumiennej tuberozy. Właśnie ta przeskromna begonijka, nie z tych dumnych, sztucznie wyogromniałych i chętnie przez malarzy na płótnach utrwalanych, ale taka sobie zwyczajna, niepokazna, pochodząca z proletariatu kwiatowego, który latem tworzy obramienia gazonów — taka właśnie wydała mu się ze wszystkich istot żyjących najbardziej pożądaną dla jego samotni.

Na tej jedynej roślince, wnoszącej barwny uśmiech życia do jego mieszkania, skupił teraz całą swoją serdeczną troskliwość i potrzebę kochania. Długie chwile spędzał przed nią, podziwiając rozrzuconym okiem jej drobne, kruche listki, które przeżyły się ku rzadkim błyskom letowego słońca, rumieniając się purpurą krwi pod ich działaniem. Spragnionymi pocałunków ustami wodził po jej jasno-różowych, jedwabistych płatkach kwietnych, skupionych przytulnie dokoła żółtej maczużki pręcików.

— W tobie — szeptał wzruszony — pozdrawiam cały bezmiar życia w pięknie i w kornej czci ducha. W tobie widzę urok i potęgę twych

małych i wielkich braci i sióstr, tych wszystkich istot cichych i beznamiętnych, których łagodna, kojąca zieleń. tłem cudnem ścieląca się pod strojny przepych kwiatów, jest najczystszy, najbardziej anielskim i najgoręcej Boga spragnionym śpiewem ziemi!

— O ziemo, ziemo! — wołał nabożnym głosem serca, wpatrzony w sypką, szaro - czarniawą masę, z której w wazonku wyrastał jego umiłowany kwiat symboliczny. — Rozgrzeszenie daj i przebaczenie swemu wyrodnemu synowi, który bluźnił tobie, gdy ból goryczą nappełnił mu usta, a umysł szaleńcem zaciemnił. Jakże czcześnie i błogosławię twój wieczny wysiłek ku nieskończoności, ten niepowstrzymany pęd rozwoju życia, pnący się coraz bardziej wzwyż po łańcuchu bezustannych przemian i doskonałości! Z jakąż skrucą klękam przed tem świętem misterjum, w którym, zamroczony rozpaczą, widziałem tylko brutalną żarłoczność brzucha! O garstko świętości! O relikwio drogocenna, wyjęta z żywego ciała olbrzymiego globu! O kształcie ostateczny wszelkiego stworzenia, które żyło! O łono matczyne wszelkiego stworzenia, które żyć będzie! Oto w ekstazie adoracji zbliżam się do ciebie, drobino ziemi, jakbyś była przepojona krwią heroiczną człowieka, co siebie samego dał na ofiarę. Albowiem ty jesteś drgającą pulsowaniem sił wiecznych częścią ciała tego kosmicznego bohatera, który od początku istnienia bierze udział w tragicznej swym wysiłkiem, a tryumfalnej celem, walce wszechświata!

To pojednanie z ziemią, to usunięcie zapory mistycznej krzywdy pomiędzy sobą a nią, było mu

niezbędne do swobodnego lotu twórczości. Odczuł je jako wyzwolenie.

Pracował teraz w gorączce, niezmordowanie, aż do zupełnego zatracenia się w pracy, jakby się bał uronić choćby szczegół najmniejszy z wizji, która z plastyczną jasnością zarysowała się przed jego wzrokiem duchowym.

W czasie nieprawdopodobnie krótkim dzieło jego było skończone.

Przyniosło mu ono to zadowolenie wewnętrzne, które dla twórcy jest nieomylnym znakiem wartości jego czynu, a zarazem to uczucie pustki, które jest nieodłączne od każdej wielkiej erupcji duszy.

Był to cykl pięciu rzeźb, któremu dał nazwę „Dzieje duszy”. Składał się z czterech głów i z jednego aktu, formalnym jego tematem była twarz Wandy i jej ciało. Tematem zaś wewnętrznym, nastrojowym, historia jej psychiki, wypowiedziana w pięciu akordach plastycznych.

Bezpośrednio po ukończeniu pracy znajdował się w stanie głębokiej depresji. Znowu wydawało mu się, że życie jego jest bezcelowe i doniczego nieprzydatne, a samotność bardziej, niż kiedykolwiek odczuwał jako ciężar nieznośny. Ale kiedy w kilka dni później przyszedł wczesnym rankiem do pracowni w usposobieniu ponurem i z zamiarem patrzenia na swe dzieło, jakby na robotę obcego człowieka okiem możliwie jak najbardziej krytycznem, doznał radosnego wzruszenia. Jako sędzia nie bezstronny, ale właśnie stronniczo na niekorzyść artysty usposobiony, musiał przecież przyznać, że rzecz jest dobra.

Widział przed sobą cztery głowy, złączone ze sobą nietyle identycznością rysów fizycznych, które w każdym wypadku przedstawiały dość znaczne odchylenia od typu podstawowego, ile tożsamością zasady psychicznej. Z tego mięszu duchowego, z tej fundamentalnej, zawsze w tym samym ogólnym kierunku predysponowanej protoplazmy duszy, formowały się cztery odmienne jej realizacje, cztery etapy psycho-fizycznego pochodzenia w czasie.

Najpierw była dziewczęcość pewna siebie, feudalnie dumna, miotana kaprysami marzeń niestających i zmiennych, z ciekawością nachylającą się nad wszystkimi tajemnicami życia i pożądająca głębi, w której mogłaby utonąć. Niespokojna poczwarka duszy.

Potem dziewiczość, dotknięta czarodziejstwem uczucia, które ją odcieleśnia, wznosi w najwyższe kręgi subtelnych zachwytów i napełnia mistyczną wonią dobroci i poświęcenia. Dusza niesiona na skrzydłach miłości duchowej.

Dalej kobiecość, porwana namiętym wirem poezji ciała, zagubiona bez reszty w poszukiwaniu szkarłatnych pożądań, sycąca się winem zmysłów aż do oszołomienia i siejąca dokoła siebie woń afrodyzyjskich upojeń. Dusza w niewoli rozkoszy.

Do motywu tego dodany był jako organiczne uzupełnienie akt kobiety, a raczej sam tylko tors, bez głowy, z nogami i rękami od kolan i od łokci uciętymi. Szło o to, aby namiętność wyrazić samą tylko kontorsja ciała i stromem sprężeniom piersi, bez udziału twarzy. Cieleśność w ekstazie miała się tu wypowiedzieć sama przez się z pominięciem okien duszy.

Wreszcie bezpłciowy androgynizm, opętany żądzą znalezienia bramy olśnień, poza którą od-słoniłby się najgłębszy sens życia, zatracający się w zmyleniu dróg, przeżarty trucizną kłamnych haszy-szów. Tragiczna dusza, staczająca się w czeluść In-ferna.

Wspólnym mianownikiem tych czterech róż-nych materializacji duszy był zaznaczony w nich wszędzie dobitnie metafizyczny charakter miotają-cego nią za każdym razem odmiennego niepokoju, brak wszelkich pierwiastków instynktu samozacho-wawczego, a choćby tylko utylitaryzmu.

Andrzej radował się tem dziełem jako naj-krwawiej przeżyta syntezą własnych przeżyć, któ-rych transcendentalna doniosłość nie ulegała dla niego żadnej wątpliwości.

O tem, aby pracę swą wyzyskać dla osią-gnięcia sławy i pieniędzy, nie pomyślał wcale. Wy-starczało mu poczucie samotnej mocy, stwierdzo-ne najdoskonalszą, na jaką w danej chwili mógł się zdobyć, realizacją swych twórczych tęsknot.

Lecz majster kamieniarski, który większą część życia spędził we Włoszech i miał niemałe, choć tylko czysto zewnętrzne, doświadczenie w rze-czach sztuki, zachwycił się rzeźbami Szczerby i w tajemnicy przed nim wprowadzał do jego pra-cowni rozmaitych, mniej lub więcej rzeczywistych znawców.

Jeden z nich zapłonął dla „Dziejów duszy“ tak niesłychanym entuzjazmem, że spędzał przed niemi długie godziny i nie uspokoił się, dopóki nie od-szukał Andrzeja i nie uzyskał jego zgody na wy-

stawienie tego cyklu w przygotowującym się właśnie „Salonie wiosennym“.

— Pan stworzyłś arcydzieło, rozumiesz pan! — tłumaczył mu impetycznie. — Pan nie masz prawa ukrywać go pod korcem i zachowywać wyłącznie dla swego sybarytyzmu. Czy pan wie, ile ludzi, ile utajonych artystów nietwórczych, męczy się i dręczy niemożnością znalezienia wyrazu dla tych uczuć, rozsadzających ich dusze, które pan czarodziejstwem talentu zaklął w swoje marmury? „Czarodziejstwem“ — dobrze powiedziałem, bo rzeźba to jest sztuka czarnoksięska, lepsza od kawałów różnych Cagliostroów i Pinettich. Co pan sobie myśli? Przychodzi taki sobie pan z dłutem i duszą i nagle martwy, tępy, głuchy i niemy kamień zaczyna żyć potężniej, niż żywy człowiek. Taki pan — to prawie Bóg, a w każdym razie jego obraz i podobieństwo, Pan to musi wystawić, abym miał wodę pić przez całe życie. Dzieło, prawdziwe dzieło, gdy się odłączy od duszy twórcy, jak dziecko od łona matki, należy do ogółu. Pan niema prawa pozbawiać ludzi wyzwolin od męki. Już ja przetnę tę pępowinę wstydliwą, która panu nie pozwala rozłączyć się z swemi rzeźbami.

Wzdrega — tak się nazywał ów zapaleniec — zrobił Andrzejowi tak szaloną reklamę w Krakowie, że pomimo stanowczego protestu jednego z członków jury, starego malarza, który zasadniczo nienawidził wszelkich nowych gwiazd, „Dzieje duszy“ znalazły się w „Salonie“ na honorowym miejscu, w największej sali przy ścianie, wprost naprzeciw drzwi od głównego wejścia.

Andrzej dorobił tło architektoniczne z cie-

mnego kamienia. Na fragmencie fryzu, wspartego na skromnie profilowanych konsolach, spoczywały cztery jego głowy z karraryjskiego marmuru, tors zaś z tego samego materiału leżał u dołu przy samej ziemi, odcinając się swą precudną białością od ciemni surowej podstawy i ścianki oporowej. Wszystko to razem wyglądało, jak szczątki rzeźb, zdobiących fronton jakiejś nieistniejącej świątyni, choć ideowo tworzyło całość w sobie zamkniętą i doskonałą.

Publiczność w czasie vernissageu i otwarcia wystawy przyłączyła się naogół do stanowiska Wzdreği. Siła duchowego wyrazu, dawno w tych salach niewidziana, podbiła ją i ujarzmiła odrazu. Kwestje czysto formalne, sprawy stylu indywidualnego i sposobu traktowania materiału, mało ją obchodziły.

Natomiast w kołach artystów, krytyków i estetów zawrzało, jak w ulu w czasie rojowiska.

W tym światku Andrzej stał się bohaterem dnia. Dokoła jego rzeźb rozpętała się powódź artykułów, dyskusyj i polemik. Pewien estetyk dowodził, że rzeźba pozująca na monumentalną, nic nie jest warta, jeśli niema w sobie stylu tektonicznego i nie da się związać w myśli z jakąś idealną architekturą. „Budowla — pisał — w skład której mogłyby wejść rzeźby p. Szczerby, jako ich część organiczna, byłaby cudactwem i potwornością. Najlepszy to dowód, że są one bezstylowe, a więc w gruncie rzeczy do sztuki nie należą, a są tylko produktem bezmyślnej goniłwy za sensacją i oryginalnością, właściwcj naszej epoce przejściowej. Tylko powrót do nieśmiertelnych wzorów klasy-

sycznej dla ery nowożytnej sztuki renesansowej może naprowadzić naszych młodych artystów na właściwą drogę".

W dwutygodniku futurystycznym „Tramwaj oszalały” pojawił się artykułik krótki, ale soczysty pt. „Nowy mamut”. Autor, podpisany pseudonimem „Wziernik” pisał: „Niejaki pan Szczerba nadużył swego szczerbatego pseudotalentu, aby sprawić frajdę niebywałą filistrom, snobom i wszelkiego rodzaju gawronom. Do cuchnącej trupiarni, w której wystawiane są na widok publiczny śluzem zgnilizny zieleniejące zwłoki „sztuki” (brrrr!) passeistycznej, ciągną sznurkiem wszystkie gąski i jendory, aby przez słomkę głupkowatego zachwyty pić ckliwą, słodko-kwaśną lemoniadkę „Dziejów duszy” (???!!!). Coż taki p. Szczerba może wiedzieć o duszy, a tem bardziej o jej dziejach, on, który duszą nazwał cztery jakieś z ulicy sfotografowane buziaczki i łciałko jakieś modelki. Pospolity zbrodniarz naturalistyczny, tem bardziej karygodny, że bezmyślnymi grymasami usiłuje małpować naszą nadboską sztukę, sztukę wtajemniczonych. Ne dla psa koubasa! Kazaustaryj Seneka: stij swynio zdaleka! Abbasso, dołoj, herausschmeissen den Kerl!”

Krytyk jednego z dzienników zarzucał Szczerbie brak patriotyzmu i zdrowej tendencji społecznej, tak niezbędnej w naszej wskrzeszonej Ojczyźnie, której nawa, z trudem przeciskająca się wśród skał i raf podwodnych, oczekuje pomocnej dłoni od sztuki. W innej gazecie sprawozdawca, prowadzący referat sztuk plastycznych, nazwał akt Szczerby „bezwstydem” i piorunował na pornografię, którą niesumienni artyści zatruwają duszę młodego

pokolenia. Jeszcze inny przyznawał autorowi "Dziwów duszy" talent, ale ubolewał, że „talent ten jest skażony literaturą, którą autor niepomny nauk wielkiego Witkiewicza, a natomiast wiedziony fałszywą doktryną ekspresjonistyczną, zgoła niepotrzebnie wprowadza do swej sztuki, zamiast pozostać w obrębie zagadnień wyłącznie plastycznych".

Trzej jednak najpoważniejsi krytycy, z którymi opinia publiczna naprawdę się liczyła, powitali Szczerbę jako nowy talent z bożej łaski i nieszczędzili mu słów szczerego entuzjazmu. Różniąc się w szczegółach, podnosili zgodnie świeżość i oryginalność wizji plastycznej i zdolność wypowiadania jej w sposób nowy i absolutnie własny. „P. Szczerba — pisał jeden z nich — zdobył odrazu serca widzów. Zazwyczaj znawcy nie mają zaufania do artystów, którzy wstępnym bojem osiągają powodzenie, bo z reguły jest to dowodem braku wybitej indywidualności i nietwórczego schlebiania gustom publiczności. Tu jednak mamy do czynienia z odmiennym zjawiskiem. Tajemnica sukcesu młodego rzeźbiarza kryje się w nadmiarze kipiącej intensywnym życiem uczuciowem duszy, która znalazła w jego pracach wyraz pełen sugestywnej mocy. Takiej potęgi ekspresji dawno już w sztuce nie było. Nic dziwnego, że odrazu widzów ujarzmiła. Sąd publiczności pokrywa się w tym wypadku najzupełniej z sądem krytyki fachowej. Tak zresztą bywa zawsze, gdy duch przemówi. Jeśli kogo to p. Szczerbę można nazwać prawdziwym ekspresjonistą. Tylko jego — nie tych desperackich deformatorów i imitatorów barbarzyzmów, którzy na gruzach zbankrutowanej w ich mniema-

niu sztuki tradycyjnej tańczą epileptyczne shimmy plastyczne. Daleki zarówno od indyferentyzmu naturalistycznego, jak też od dowolności rewolucyjnych ekscentryków, przejawia p. Szczerba w formie styl nawskrós indywidualny, równocześnie najgłębszemi, rasowemi związkami najściślej z ziemią związany. W jego sposobie prowadzenia konturu, w traktowaniu bryły, w jego stylizowaniu rzeczywistości jest ta sama liryczna rzewność, ta sama marzycielska mistyka, a zarazem ta sama krewkość, energja i fantazja życiowa, która niewygasłym czarem bije z mazurków Chopina, a która bodaj czy nie jest syntezą polskiej duszy i polskiej ziemi. Ten charakter nawskrós narodowy rzeźby Andrzeja Szczerby posiadają w całej pełni".

W rezultacie tych wszystkich najsprzecznijszych sądów Andrzej po miesiącu stał się sławny. Było dla niego wielką satysfakcją, że najstarsze, najpoważniejsze i najbardziej ekskluzywne stowarzyszenie artystów polskich „Sztuka" zaprosiło go na swego członka.

Powodzenie finansowe niedługo dało czekać na siebie. Chociaż rzeźby swoje oznaczył w katalogu jako „własność prywatną", nie mając zamiaru rozstawać się z tem, co uważał poprostu za drgający kawał swojej duszy, z powodu niedyskrecji Wzdreği i sekretarjatu Towarzystwa był ustawicznie nagabywany przez rozmaitych oferentów, pragnących nabyć jego dzieło. Szczególnie natrętnym okazał się niejaki p. Celestyn Miluška, szlachetny paskarz, były respicjent austriackiej straży skarbowej, który, dorobiwszy się fenomenalnej fortuny na przetrzymywaniu towarów, tudzież na giel-

dowych spekulacjach akcjami i dewizami, postanowili oczyścić mętne źródła swych bogactw i zdobyć moralny indygenat w społeczeństwie przez stanie się ni mniej ni więcej jak polskim Wawrzyńcem. Wspaniałym, oczywiście tylko w zakresie mecenasowania sztuce. Owóż ów pan Miluśka do tego stopnia znudził Andrzeja swemi co drugi dzień panowaniami propozycjami, iż zropaczony rzeźbiarz, kapitulując pozornie, naznaczył na swe dzieło cenę w mniemaniu swoim tak bezczelnie wysoką, że spodziewał się nią nawet szlachetnego paskarza odstraszyć. Lecz p. Miluśka, nie racząc się nawet zdziwić, najspokojniej wypełnił czek na żadaną sumę, a nadto zamówił u Szczerby posąg zmarłej żony do zimowego ogrodu swego pałacu, który właśnie budował pod Lwowem. Niedosć na tem. Już na odchodnem oświadczył artyście, przerażonemu tą niespodziewaną łaskawością fortuny, że kupuje na niewidziane pierwszą większą kompozycję, jaką ów wykona, i że w każdej chwili służy mu zaliczką, jakiej tylko zażąda.

W ten sposób Andrzej ujrzał się nagle człowiekiem zamożnym, a przynajmniej na dalekąmetę finansowo niezależnym. Mógł już teraz zaniechać pracy zarobkowej i poświęcić się wyłącznie sztuce, którą bezapelacyjnie uznał za swój zawód główny i „przeznaczeniowy”.

— Pokazuje się — stwierdził, wymierzając cyniczny cios swej przeszłości — że można żyć dostatnio, nie będąc niczym utrzymankiem, ani nieślubnym, ani ślubnym.

Ta złośliwa autokrytyka przypomniała mu, że ma niewyrównane rachunki z losem, i że musi za-

łatwić się z tem, co nazywał „spuścizną po Wandzie”.

Postanowił nie zwlekać ani chwilę ze spłaceniem tego długu, który go upokarzał we własnych oczach. Zestawił więc jaknajskrupulatniej koszt swego utrzymania w Łanowcu przed ślubem i po ślubie, uwzględnił wszystko, co materialnie zawdzięczał „swej świętej opiekunce, anielskiej kochance i wiarołomnej żonie”, zaokrąglając przytem sumy zawsze na swą niekorzyść, obliczył wartość tego wkładu według ówczesnej i obecnej relacji waluty polskiej do franka szwajcarskiego, dodał do tego wszystkiego lichwiarski procent i przekonał się, że z olbrzymiej kwoty, otrzymanej za „Dzieje duszy” zostanie mu bardzo niewiele.

— Tem lepiej — pomyślał — w ten sposób ta praca będzie dla mnie w całości wyzwoleniem. Uwolniła mnie od męki, a teraz uwolni od długu! Trzeba będzie tylko prędejj, niż myślałem wziąć od pana Miluśki zaliczkę na nową robotę.

Powziąwszy tę decyzję, bez dalszych wahań stworzył fundację „imienia Wandy Proszewskiej” dla wyjątkowo uzdolnionego, ubogiego młodzieńca pochodzenia włościańskiego, pragnącego się kształcić w sztuce plastycznej. Zarząd fundacji powierzył senatowi krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Wiadomość o tej jego ofiarności przedostała się wbrew jego woli do dzienników i nowym splendorem otoczyła nazwisko młodego rzeźbiarza. Gdyby był najchytrzejszym karierowiczem artystycznym, dbającym więcej o rozgłos i reklamę, niż o wartość swych prac, nie mógłby sprytniej postą-

pić. Nie pisano już teraz o nim inaczej, jak o „naszym genialnym młodym rzeźbiarzu i najlepszym obywatelu, wstępującym w czcigodne ślady Matejków i Paderewskich”.

Lecz jego uczucie wyzwolenia trwało bardzo krótko.

Po wręczeniu rektorowi Akademii definitywnego aktu fundacyjnego i po otrzymaniu od niego uroczystego podziękowania „imieniem grona profesorskiego, sztuki polskiej i całego naszego społeczeństwa”, zemocjonowany trochę tem wszystkim, wstąpił do kawiarni, aby odpocząć i wrócić do równowagi.

Nareszcie! — myślał, ciągnąc przez słomkę grenadynę z białym rumem — nareszcie jestem wolny. Jesteśmy skwitowani, Wando, ty niegdyś najbardziej moja!

Z westchnieniem ulgi zapalił papierosa i bezwiednie rozejrzał się po sali, zapelnionej mniej więcej wykwintnem, przeważnie kobiecem, towarzystwem podwieczorkowem, jakby chciał ocenić, w którą stronę ma lot swej swobody skierować.

W tej samej chwili jednak odczuł raczej, niż zrozumiał, że „prawda” którą dopiero co sformułował, jest bezsilnem kłamstwem.

— Głupiec jesteś! — mimowili zawołał prawie głośno.

Kilka par oczu zwróciło się od sąsiednich stolików ku niemu, ze zdziwieniem i z zaciekawieniem tem większem, że w małym i na sposób prowincjonalny wszystkiemi sprawami interesującym się Krakowie był już osobistością głośno znaną.

Zawstydzony opanował się odrazu i zażądał

od przechodzącego kelnera „Czasu”, poczem, prostując ruchem, udającym znudzenie, swą kształtną, doskonale odzianą postać, zakrył się olbrzymią płachtą gazety i już spokojnie medytował dalej.

— Głupiec jesteś! — powtórzył w duchu. — Jakże to się skwitowałeś? Za co Wandzie zapłaciłeś? Ha, ha... Za pieniądze, które na ciebie wydała! A więc za to, do czego ona najmniejszego nie przywiązywała znaczenia. Ale za to, w co wkładała duszę, nie potrafisz jej nigdy zapłacić! Nigdy, rozumiesz? Bo jakże jej zapłacisz za to, że uratowała ci życie, znalazłszy ciebie zdychającego w tym tam łanowieckim lesie? Chyba chroniąc ją od śmierci i od utraty zdrowia? A tymczasem i ty, ślamazarno babo, dopuściłeś do tego, że się zaprzepaszczała fizycznie i duchowo z tym nikczemnikiem Goździeńcem i zaprzepaściła się ostatecznie! Czemże jej zapłacisz za to, że zrobiła z ciebie wykształconego człowieka? Chyba wychowując z równem poświęceniem jej syna? A tymczasem ty zbyt ulegałeś jej kaprysom i nie doprowadziłeś do tego, aby mieć z nią syna! Czemże jej zapłacisz za tych kilka lat szczęścia najwyższego, jakiego ludzie na ziemi mogą dostąpić, a nawet za to, że jesteś rzeźbiarzem, bo przecież tylko ona zmusiła cię do tego, żeś się doskonalił w tej sztuce? Tak, tak, nigdy się z nią nie skwitujesz! Jesteś jej tworem, jej kreaturą, niewolnikiem jej po wieki. A nawet ty jesteś winien więcej, niż ona, temu nieszczęściu, które was rozdzieliło!

Andrzej był tak rozdrażniony, że nie mógł usiedzieć spokojnie. Denerwowało go poczucie bliskości tyłu ludzi. Miał wrażenie, że bezwstydnie

szpiegują jego myśli i plotkują nad niemi. Odwrócił się gwałtownie ku oknu i starał się nikogo nie widzieć, udając, że wygląda przez szybę.

— No, no — uspokajał się — tak źle znów nie jest. Winienem jej niewątpliwie bardzo wiele, ale są dwa sposoby spłacania długów życiowych. Albo odwdzięczenie się, albo doznanie krzywdy od dobroczyńcy. A nikt chyba nie zaprzeczy, że Wanda wyrządziła 'mi największą krzywdę, jaka wogóle w stosunkach pomiędzy ludźmi jest możliwa.

Wtem aż zaszumiało mu głowie z nagłego przeżenienia:

— Krzywda, krzywda, czyż to naprawdę była krzywda? A może raczej nowe dobrodzieństwo? Człowieku! Czyż nie rozumiesz tego, że ona nauczyła cię cierpieć, i że przez ból dopiero stałeś się twórcą!

Nie mógł już dłużej wytrzymać w kawiarni. Zapłacił z gorączkowym pośpiechem i wypadł na ulicę. Oparł się aż nad Wisłą. Uspokoił go dopiero widok szerokiej, leniwo toczącej się strugi rzecznej i wesołe hałasy chlapiących się w niej dzieciaków.

Ależ to okropne! — dumiał — śledząc lśnienia migotliwe na wodzie. Więc z tego wynikałoby, że zdrada Wandy nie była wcale jej upadkiem, ale nową ofiarą dla mnie. Shańbiła się dlatego, aby mnie zrobić twórcą! Nie, nie! To zbyt śmieszne! Wiem napewno, że nic podobnego nawet przez głowę jej nie przeszło. W owym czasie byłem już jej obojętny, doskonale obojętny. Chociaż kto wie, może głębsze znaczenie tej zdrady właśnie było ta-

kie? Może w transcendentálnych sferach jej i mojej duszy te sprawy właśnie tak się przedstawiały? W każdym razie nie ulega wątpliwości, że gdyby nie jej wiarołomstwo, byłbym dotąd spokojnie sadził buraki i siał pszenicę w Łanowcu. Ona właśnie stało się przyczyną, że nie zmarnowałem swego talentu, czy geniuszu, jak chcą niektórzy, że jestem sławny i mogłem pokusić się o „skwitowanie jej”.

Zatopiony w myślach nie spostrzegł wcale, że tymczasem niebo pokryło się czarnymi chmurami. Z transu psychicznego ocucił go dopiero warkot bliskiego grzmotu i pierwsze krople deszczu. Nie poszedł jednak za przykładem spóźnionych zwolenników kąpieli, którzy kłusem pędzili, aby jak najprędzej dopaść tramwaju. Szedł powoli, nic sobie nie robiąc z przemoczenia i zdjawszy kapelusz, rozkoszował się dobroczynną wilgocią, która mu ochładzała rozpaloną głowę.

— Deszcz i burza — mówił do siebie — to właściwie jedyna chwila, kiedy mieszcuchom przypomina się żywioł, kiedy do nich swym językiem kosmicznym przemawia ziemia.

Przemokł jednak tymczasem do nitki, więc pierwszej spotkanej dorożce kazał się zawieść do domu.

— Za wiele — stanowczo za wiele zasług — myślał po drodze — przypisuję Wandzie, a zapominam o mojej odwiecznej kochance i matce, o ziemi, która nie zdradziła mnie nigdy, a której przeciwnie ja zламаłem wiarę i złorzeczyłem, zraniony przez kochankę człowieczą. A przecież to ona, swem wszędzie obecnem tchnieniem wieczności urobiła mi duszę, ona mi dała tę moc jasnowidze-

nia, tę zdolność dostrzegania rzeczy ukrytych, która zwie się talentem artystycznym. Wanda tylko przeszkodziła zmarnowaniu się tych darów ziemi. — Nikt inny, jak ziemia, przez krew moich chłopskich przodków, zaprawionych do nędzy i wyćwiczonych w bólu, dała mi ten hart, że nie palnąłem sobie w łeb, gdy tamta przemijająca kochanka ludzka kopnęła mię i strąciła z wyniosłej turni szczęścia.

Zapłacił dorożkarza i wszedł do kamienicy.

Chociaż z drugiej strony — stwierdził — Wandę odczuwałem zawsze jako najpełniejszy wyraz ziemi, jako jej kwiat najpiękniejszy! Ona była tylko narzędziem, którem wobec mnie posługiwała się ziemia. Wanda i ziemia to było dla mnie jedno! Ona, przez dobre i złe, które od niej do mnie przyszło, dała mi dopiero te lemieszce ducha, któremi musiałem przeorać ziemię, aby z niej wydobyć moc życiodajną, pozwalającą mi ujrzeć jej wieczne, boskie oblicze.

— To jednak rzecz szczególna! — zdziwił się. — Teoretycznie rzecz biorąc, byłem zawsze skłonny przyznać człowiekowi wolną wolę. To zresztą logicznie wynika ze stanowiska monizmu panteistycznego. Tymczasem doświadczenie życiowe mówi mi coś wręcz odmiennego. Całe moje życie jest jednym kapitalnym argumentem na rzecz determinizmu. Zawsze przeznaczenie chwyciło mię po prostu całkiem wyczuwalnie za kark i wiodło mię tam, gdzie mu się podobało. Czyżby Schopenhauer miał rację?

— E, do diabła z tem wszystkim! — zirytował się, zrzucając mokre ubranie. Co mi

z tego przyjdzie, czy jest tak, czy inaczej? I co mi z tego przyjdzie, czy Wandzie zawdzięczam wszystko, czy nic? Przypuśćmy, że tak. No to i co? W każdym razie odwróciła się odemnie, kopnęła mię, napluła na mnie, potraktowała mię, jak murzyna, który spełnił swą powinność, jak zabawkę, która się sprzykrzyła. — Czyż mam wiecznie błakać się w zaczarowanym kole wspomnień o niej? A przecież jestem młody, nie mam nawet lat trzydziestu, i kołace się we mnie ogromna, bezdomna, przez nią właśnie bezdomna, potrzeba kochania.

Kładąc się do łóżka, postanowił zakochać się w pierwszej lepszej kobiecie, która do tego będzie się nadawała.

— Przecież nie mogę być przez całe życie jakimś sentymentalnym Abelardem wobec tej, która niema w sobie nic z Heloizy. Czyli mówiąc wulgarnie, trzeba klin wybić klinem.

Zaczął przypominać sobie rozmaite kobiety, na które się kiedykolwiek natknął, a między nimi i te strojne wykwintnisie, które świeżo widział w kawiarni. Zarysowały się w jego wyobraźni sylwety słodkich, anielskich blondynek, krewkich, demonicznych brunetek, łagodnych, zrównoważonych szatynek i niesamowicie drażniących głów rudowłosych. Widział biusty leniwie lubieżne, namiętnie zmysłowe i dziewiczo smukłe, nieprzebudzone. Obserwował uważnie te wszystkie postacie, które w ostatecznych konsekwencjach swego typu przemieniały się w Szekspirowskie Julje i Desdemony, w Mickiewiczowskie Zosie, w Ibsenowskie Heddy Gabler i w Sienkiewiczowskie Basie czy Anielki. Żadna nie mogła go zadowolić. Typ, któ-

rego poszukiwał, sprowadzał się stale do wspólnego mianownika szafirowych oczu pod baldachimem czarnych włosów, pewnych niezapomnianych ust i nosa prawie greckiego, o jedynym na świecie profilu.

— Nie, to jakiś daltonizm oczu i serca — zaklął w duchu. — Czyż kobietą jest dla mnie tylko Wanda?

Znudzony obrócił się do ściany i zasnął natychmiast.

Rano obudził się z najzupełniej niespodziewanem postanowieniem przeniesienia się do Lwowa.

— Tam będzie mi wygodniej pracować nad posągami żony Miluśki, bo pałac jego i ogród zimowy będę miał pod bokiem.

Rychło jednak połapał się, że ten powód, to tylko oszustwo, że podświadomie dąży właśnie do zaczarowanego koła wspomnień o Wandzie. Przypomniawszy sobie piękny pomysł hinduski, według którego myśli ludzkie mają swą astralną materjalność i w postaci niewidzialnych chmur unoszą się ponad miejscami, gdzie zostały pomyślane.

— Ileż tam musi być jej myśli, cudnych, jak rajskie ptaki, tych myśli z pierwszego „studenckiego” okresu naszego życia we Lwowie! Nie, do Łanowca nie, tam wino wspomnień byłoby zbyt silne, ale do Lwowa, do Lwowa! Życie złudzeniem, jeśli nie można rzeczywistością!

Po kilku dniach był już we Lwowie.

Nie posiadał się z zadowolenia, gdy za cenę pewnej ilości milionów, zapłaconych tytułem odstępnego, udało mu się wynająć to samo mieszka-

nie, które przed kilku laty dało im obojgu przytułek, jako najszczęśliwszej parze studenckiej.

Był skłonny uwierzyć, że w martwych przedmiotach zostaje coś z duszy ludzi, którzy się z niemi przez czas dłuższy stykali, bo w mieszkaniu tem spłynął nań spokój i cichy smutek wyrzeczenia, mający w sobie woń zrezygnowanego szczęścia, bezsilnego i zwiędłego, jak kwiat wspomnień, zasuszony w albumie.

Zdołał doprowadzić do tego, że nie myślał już teraz o Wandzie, jako o istocie żyjącej i należącej do innego mężczyzny, którym gardził i który go wstrętem przejmował. Czarnoksiężką siłą serca, którego niezwalczona potrzeba kochania została przez fatalizm życiowy wciśnięta w jeden, jedyny nurt, wmówił w siebie, że Wanda umarła, czysta i niepokalana i jemu wyłącznie w miłości przeogromnej aż do ostatniego tchnienia oddana. On zaś jest wdowcem bolejącym, który swej świętej umarłej nic niema do wyrzucenia, a wszystko do zawdzięczenia. Błądził też teraz ustawicznie po ocienionym płaczącemi brzożami cmentarzu pamiątek, gdzie wszystkie wspólnie przeżyte chwile radosne miały swe żywe pomniki, nie materialne, ale jakieś przeźroczyste, jakby astralne, wszystkie te chwile, niegdyś szkarłatnemi sokami rzeczywistości nabrzmiałe, począwszy od pierwszego powitalnego pocałunku w świętem miejscu spotkania aż do ostatniego pożegnalnego zwarcia się ust, w którem w przeddzień jej ucieczki bliska rozłąka cały żar dawny raz jeszcze wskrzesiła.

I teraz prowadził, jak w Krakowie, życie samotnika, ale nie było to już życie mnicha, dręczono-

nego piekielnemi zmorami, lecz jakby półsennie bytowanie Fra Angelica, zagubionego wzrokiem w błękitach utraconego raj.

Lubił ogromnie swoje duchami przeszłości ożywione mieszkanie pod parkiem i długie godziny spędzał na marzeniach w swoim pokoju-celi, gdzie go nawiedzały błogosławione wizje.

Przed oknami miał olbrzymie, na wzgórzu rosnące, a przeto dla oka jeszcze potężniejsze i wyższe, prastare buki, które dostojnym wieńcem soczystej, głębokiej zieleni otaczały mały, barokowy kościółek z XVII w., jednonawowy, z fasadą, przypominającą dalekiem echem typ stworzony przez Vignolę. Było w nim coś z atmosfery wiejskiego, drewnianego kościółka, w której ten cały serdeczny budynek tonął, jakby w mgłę duchowej, utkanej z westchnień dusz prostych i wiarą żarliwych, ekstazą modlitwy oczyszczonych i ponad własną doczesność wyniesionych.

Andrzej czuł, że to miejsce sprzyja wzlotom duszy, która tu szeroko rozwija skrzydła i wznosi się swobodnie na wyżyny, skądinąd niedostępne. Niezapomnianem przeżyciem była dlań ta chwila, kiedy raz przed laty w noc Bożego Narodzenia, stojąc podczas pasterki na śniegu, ujrzał świątecznie oświecone wnętrze kościółka i usłyszał wydobywające się z tej jaśni przez otwarte drzwi mandolinowe chóry, w których była srebrzystość i nieziemskość anielskiej zaiste muzyki. Wiedziony tą wizją, nieraz w nocy, korzystając z przypadkowego niezamknięcia furty, wchodził do ogrodu kościelnego i siedząc na ławce pomiędzy dwiema lipami tuż przed kościołem rosnącemi, przy szumie

drzew i przy gwiazd dalekich przyjaznych migocie, spędzał długie chwile w stanie, który tęsknota i pragnienie boskości, zbliżały do wniebowzięcia.

W dzień nigdy bez wzruszenia nie mógł minąć tej furty, poza którą widział szeroką, stromo ku górze pnącą się aleję. Przez zielone baldachy my drzew słońce miejscami rozlewało na czarnej ścieżce jasne strugi złota. Było to mroczne, jak tajemnica życia i jak ona nęcące przeblyskami światła. Nic tak plastycznie, jak to wnętrze, zielono-złote, nie przypominało mu jego utraconego raj.

Siedząc w swym pokoju i wydobywając z topieli marzeń, tęsknot i wspomnień bezkształtne jeszcze wizje nowego dzieła, całymi godzinami wpatrywał się w gałęzie swych ukochanych drzew, w których, tchnienie wiatru wywoływało powszechne rozruchy i niepokoje liści.

— Przecież — myślał — te drzewa żyją, jak ludzie, i to jak ludzie, którzy umieją patrzeć w głąb własną i wylawiać z niej perły zaświatowych czuć. One bardziej, niż ludzie, są czułe na powiewy wieczności. Gdy na ich ciemne szmaragdy padnie świetlny snop zachodzącego słońca, czyż jaśń ta nie staje się czemś mistycznym, czemś, co wprawia duszę w drżenie eterycznego zachwyty? Czyż szum tych drzew potężny, głęboki i majestatyczny, jak rozgwar fal oceanu, nie jest mową, godną słów Boga?

Rozmładował się też w uroku przepięknego jaru „Żelaznej Wody”, oddalonego zaledwie o kilkaset kroków od jego domu. Polubił swem przeczułonem sercem samotnika to ciche, wolne od parkowego tłumu wzgórze, różnaitość drzew, zie-

leń trawiastych zboczy, a nawet wąły, nieśmiały szmer mizernego strumyka, nad którym w lecie szafirowe jętki tańczyły swe płasy miłosne.

Nieraz nocami przy księżycu błądził po ścieżkach tego ustronia, ku któremu, zda się, od pobliskiego kościółka szły fale duchowych oparów i prowadził długie, tajemne rozmowy z swą szczególnie umiłowaną powierniczką, pewną samotną sosną. Była tu ona jednym z nielicznych zabytków dawnego lasu, a podbiła jego duszę niezwykłym układem swych gałęzi, które na tle granatowego, przetkanego gwiazdami wieczornego nieba, czerniły się upiornie tragicznym zarysem krzyża. Widział w niej powtórzone przez ziemię ukształtowanie swej własnej doli i umiał się z nią porozumiewać znakomicie.

W tym odległym od miasta zakątku dokoła swego mieszkania odczuwał najintensywniej smutną radość swego życia i najchętniej w nim przebywał. W swej w śródmieściu wynajętej pracowni nie czuł się teraz dobrze. Pracował wprawdzie wytrwale nad zamówionym posagiem, lecz robota ta szła mu tylko z rąk, a nie z duszy. — Przez porównanie obecnego swego nastroju z tym, jakiego doznawał w czasie pracy nad „Dziejami duszy“, zrozumiał dopiero doświadczalnie, że nowe dzieło musi być nowem przeżyciem, jeśli ma mieć prawo do noszenia herbowego znaku sztuki. Im bardziej mu ciążyła narzucona praca przymusowa, tem namiętniej tęsknił do nowego rozpostarcia skrzydeł w niewstrzymanym locie natchnienia. Czuł, że w głębokich pokładach jego poświadczości formuje się już nasienie przyszłego dzieła, przeczu-

wał już muzykę jego kształtów, wiedział, że jego ton uczuciowy będzie się owijał dokoła motywów ziemi i miłości (powiedziały mu to jego buki i sosna), ale dotąd nie udało mu się jeszcze dzieła tego wzrokiem wewnętrznym zobaczyć. Żył więc w oczekiwaniu wielkich nawiedzin ducha.

Obiady i kolacje jadał najczęściej w pewnej niedalekiej, małej restauracji. Przywiązała go do niej schludność i cisza, jaka w tym lokalu niezbyt uczęszczanym panowała. Przyzwyczał się także do twarzy stałych gości i służby, co dla niego, jako dla samotnika, a więc po części mizantropa, nie było bez znaczenia. Nieraz wieczorem przy papierosie i przy szklance lekkiego wina pozostawał dłużej, myśląc o swem przyszłym dziele, do którego już z całej duszy tęsknił, lub robiąc przygodne spostrzeżenia na temat otoczenia.

Obcując tylko z naturą i z własną duszą, stał się bardzo krytyczny na punkcie bliźnich. Nieraz, gdy obserwował jedzących, na widok ich szczęk komicznie i żarłocznie się poruszających, przypominał sobie złośliwą uwagę Leonarda da Vinci, że większość ludzi—to tylko kanały pokarmowe i kloaki. Mitygował go jednak zaraz wrodzony optymizm, który mu podszeptował, że w człowieku najbardziej gruboskórnym i płaskim kryje się jednak zawsze mniej lub więcej głęboko zaród anielstwa, zdolny w odpowiedniej chwili wydać kwiat pełnej transsubstancji, świadczący o boskiem duchu ludzkiego pochodzeniu.

Najwięcej objawów tej wewnętrznej dobroci dostrzegał w usługującej mu kelnerce, która była istotą osobliwego pokroju. Inteligentna i dość kształt-

nie zbudowana miała twarz niepospolicie brzydką, a w dodatku dziwaczny, zupełnie męski, basowy głos. Całość robiła wrażenie niezwykle komiczne. To też goście pokpiwali sobie z niej niemiłosierdzie, przezywając ją żartobliwie Rojzą, chociaż nie była żydówką, ale Ślązaczką, gdzieś z pod Katowic. Lubili ją jednak, bo wszystkie docinki przyjmowała z niewzruszoną pogodą i humorem, zawsze wesół i sypiący dowcipami. Nawet melancholijnego Szczerbę rozchmurzały czasem jej koncepty, niewybredne, ale zawsze zaprawione szczerą życzliwością.

— Ona działa na mnie uspokajająco — myślał nieraz. — Jak cudownie ta brzydka dziewczyna, która powinna się czuć gruntownie nieszczęśliwą, umiała się pogodzić z swym smutnym losem! Przecież cała sfera miłości, która dla kobiety jest najistotniejszą treścią życia, dla niej pozostaje zamknięta, a ona mimo to nie okazuje żadnych tęsknot, ani niezaspokojenia życiowego. Jest jakby ochronnie przeciw miłości zaszczipiona. Szczęśliwa!

Nie przypuszczał, jak bardzo się mylił.

Gdy raz, po kilkudniowym pobycie w Krakowie w sprawach zamówionego posagu, przyszedł na kolację, Rozy nie zastał. Zamiast niej podawał potrawy nieznanym mu przystojnym brunet. Zdziwiony zapytał o nią gospodarza.

— Jakto? — odrzekł ów — pan nic wie, nie czytał pan w dziennikach o tem nieszczęściu? Roza utopiła się, i to z miłości.

— Utopiła się z miłości? Nie, to nie do wiary!

— Ależ to fakt!

— Jakże to się stało? W kim się kochała?

— Przed kilku tygodniami była chora. Mieszkała zupełnie sama i nie miała żadnej pomocy. Wzruszony jej opuszczeniem, zaopiekował się nią w chorobie jej sąsiad, młody oficer. Roza odrazu zakochała się w nim pierwszą, gwałtowną miłością i biorąc dobroć oficera za miłość, łudziła się przez jakiś czas swem szczęściem. Ale wkrótce nastąpiło wyjaśnienie i rozczarowanie. Roza cierpiała strasznie i męczyła się, ale wszystko ukrywała w sobie. Nawet my nic nie wiedzieliśmy, bo udawała dobry humor i żartowała, jak zawsze. Zeszłego piątku przyrządziła rano kanapki i zastawiła, jak zwykle, bufet, a potem poprosiła o zwolnienie na godzinę, aby przymierzyć nową suknię, którą zamówiła. Tymczasem zamiast do krawczyni, poszła na „Żelazną Wodę” i rzuciła się do stawu. Padał deszcz, staw był pusty, więc nikt nie mógł jej przeszkodzić. Dopiero w południe wydobyto zwłoki. Szkoda jej, dobra była dziewczyna, uczciwa, jak rzadko.

— A przy sekcji — dorzucił ktoś od sąsiedniego stolika — stwierdzono, że była dziewicą, najbardziej prawidłową virgo intacta. Ale pana — jak widzę — ta historia naprawdę wzruszyła — zwrócił się wprost do Szczerby.

Andrzej spojrzał niechętnie na intruza, lecz roz pogodził się zaraz, poznając stałego gościa, którego znał dobrze z widzenia i który robił na nim zawsze wyjątkowo sympatyczne wrażenie.

— Istotnie żal mi szczerze tej dziewczyny — odpowiedział. I przeraziła mię ta niesamowita, fatalna siła miłości, która rzuciła się na człowieka,

jak wampir. W dodatku utopiła się na „Żelaznej Wodzie”, w mojem najulubieńszem miejscu we Lwowie.

— A tak, w miłości jest niewątpliwie potęga transcendentalna, pierwiastek żywiołu i boskości. Dlatego ludzie, związani z sobą miłością, choćby byli naogół najszczęśliwsi, cierpią straszliwie, cierpią, jak Bóg.

— Cierpią, jak Bóg! Pan wierzy w Boga cierpiącego? To oryginalne.

— A jednak — jak najprawdziwsze — zaśmiał się nieznajomy. Ale wie pan co? Obserwuję pana oddawna. Pan jest samotnik i lubi milczeć. Ja także. Więc może milczmy wspólnie! To jest bardzo miłe, jeśli wewnętrzne dialogi 1 dusz harmonizują z sobą. A zdaje mi się, że z nami tak właśnie będzie.

Podszedł do stolika Andrzeja.

— Nazywam się Roświcki — rzekł — czy wolno się przysiąść?

Andrzej zgodził się chętnie i chciał przedstawić się wzajemnie, lecz nowy znajomy powstrzymał go.

— Niech pan nie wymienia swego nazwiska. To mogłoby mi coś powiedzieć o panu, a chciałbym najpierw stwierdzić prawdziwość moich przypuszczeń. Ale musimy naszą znajomość uczcić winem. Przyznam się panu, że lubię ten sok ziemi, a uważałem, że i pan nim nie gardzi. Panie Stanisławie, proszę o butelkę białego Palugyaja. To przynajmniej będzie niesfałszowane. Cienkie bo cienkie, ale prawdziwe. — Otóż uważa pan, na podstawie obserwacji, kombinacji logicznej i po-

niekąd intuicji doszedłem do przekonania, że pan jest artystą i to rzeźbiarzem, synem ziemi i człowiekiem, cierpiącym z powodu miłości. Czy zgadza się?

— Istotnie, zgadza się. Ależ jaką drogą doszedł pan do tego odkrycia? — zapytał Andrzej coraz bardziej zaciekawiony osobą pana Roświckiego, ale zarazem trochę urażony zbyt bezcere-monjalnem wdarciem się do swej duszy.

— Rzecz jest bardzo prosta — odpowiedział Roświcki. — Odkąd pana obserwuję, widzę, że jest pan zawsze sam i zawsze bardzo smutny, prawie pogrążony w melancholji. Cóż u człowieka młodego, przystojnego, pełnego życia może być powodem unikania ludzi, a zwłaszcza kobiet, coś może go wprowadzać w stały stan zmartwienia? Tylko nieszczęśliwa miłość! Teraz mogę panu nawet powiedzieć, że pan cierpi z powodu własnej żony, bo zobaczyłem właśnie obrączkę ślubną na pańskim palcu.

— No dobrze! — zaśmiał się Andrzej. — Ale skąd pan wie, że jestem artystą?

— To również rzecz prosta! Uważałem, że pan tu w tej restauracji jest nie tylko sam, ale najzupełniej samotny. Pan patrzy na ludzi, nie widząc ich, bo wzrok ma pan zwrócony w głąb własnej duszy. Kilka razy udało mi się uchwycić pańskie spojrzenie. Był to charakterystyczny, pelen wysiłku, a zarazem rozmarzenia wyraz oczu człowieka, ścigającego wizję rodzącego się nowego dzieła sztuki. Nabrawszy pewności, że jest pan artystą, starałem się odgadnąć, jaką gałąź sztuki pan kultuluje. Tę zagadkę rozwiązały mi pańskie tegie ba-

ry, silna, krępa, a zarazem kształtna budowa ciała, potężne mięśnie i przeguby rąk. To jest typowa budowa rzeźbiarza. Tak wyglądał Michał Anioł, Rodin, z naszych Szymanowski Wittig i t. d.

— Widzę, że pan ma wyjątkowe kwalifikacje na Sherlocka Holmesa — rzekł Andrzej rozbawiony.

— Och, to tylko dobra obserwacja i trochę psychologii. Ale sfera zbrodniczości nie pociąga mnie wcale.

— Pozostaje jeszcze, „syn ziemi”. Zauważył pan niewątpliwie we mnie pewne cechy chamstwa?

— Właśnie, że ani jednej. To też z tą sprawą było najciężej. Co do jednego miałem pewność odrazu: że pan pochodzi ze wsi, a nie z miasta. Na tym punkcie mam nos bardzo wyczulony. Jest w wieśniakach jakaś swoboda, pewność siebie, szerokość w sposobie bycia, coś zresztą nieuchwytnego, co ich jednak na pierwszy rzut oka różni od ludzi, zrodzonych w mieście. W dodatku widziałem raz, jak pan opuszczony na ziemię przez jednego z gości i napół już zdeptany kwiat polny, jakąś skromną margeritkę, podjął, odczyścił, odchuchał, włożył do szlanki z wodą, którą pan sobie umyślnie w tym celu kazał podać, a potem zabrał do domu. Z taką czułością do kwiatów nie potrafi się odnosić żaden mieszczech, tylko ktoś, kto od dziecka sercem przyłgnał do ziemi.

— Ach! — zaśmiał się Andrzej — przyłapał mię pan na mojej manji. Istotnie lituję się ogromnie nad kwiatami, porzuconymi na miejskim bruku. Podnoszę je i w domu wkładam do flakonów, aby im przedłużyć życie. A gdy są zbyt zgniecio-

ne, rzucam je przynamniej na trawę, aby marły „w ojczyźnie”. Podobnie ból poprostu fizyczny sprawia mi widok drzew pokrajanych i pokaleczonych przez bezmyślnych małych zbrodniarzy. Takie drzewo, odarte z kory, krwawiące i płaczące upływem soków i ukazujące swą obolałą miazgę, sprawia mi dotkliwie cierpienie, jak własna rana.

— Otóż to, otóż to właśnie. To jest zupełnie w pańskim stylu. Będąc pewny, że pan jest człowiekiem ze wsi, miałem przed sobą dalszy dyalemat: albo pan pochodzi ze szlacheckiego dworu albo z chłopskiej chaty. Na korzyść pierwszej alternatywy przemawiały pańskie doskonałe formy zewnętrzne. Ale pomyślałem sobie, że jeden z naszych pod wpływem tak widocznie ogromnego nieszczęścia, jakie pana spotkało, byłby sobie niewątpliwie w łeb palnął. Coprawda pana mogło od tego ochronić także znalezienie sobie w dziele sztuki klapy bezpieczeństwa przeciw nadmiarowi cierpienia. Ale i artyści giną nieraz z miłości. Taki zawiedziony szlachcic w każdym razie byłby przynajmniej popadł w neurastenję. Tymczasem w pańskim smutku niema nic chorobliwego, jest natomiast głębia i moc. A więc zadecydowałem, że pan pochodzi z chłopów, bo ci mają odziedziczoną zdolność znoszenia biedy i nędzy życia.

— To szczególne! Używa pan prawie tych samych słów, co ja, gdy sobie nieraz mówiłem: nie zabiję się, bo z chamów jestem, a ci umieją cierpieć.

— A więc djaagnoza w całej pełni prawdziwa. Teraz poproszę o wymienienie mi swego nazwiska.

— Andrzej Szczerba.

Roświcki tak się ucieszył, że aż porwał się z krzesła.

— A to gratuluję sobie, że pana sprowokowałem do zawarcia ze mną znajomości. Podziwiałem pańskie „Dzieje duszy”. Byłem niemi zachwycony i zaraz sobie pomyślałem: „Tęgo człowieka warto poznać”! Teraz wiem o panu wszystko. Pańska historia była głośna wśród ziemiaństwa Małopolski wschodniej i Podola. Proszewscy to przecież ród stary i szanowny. Znam dobrze pańską żonę i całą jej rodzinę.

Wzmianka o Wandzie wywołała taki skurcz bólu w twarzy Andrzeja, że Roświcki od razu się zreflektował,

— Przepraszam pana. Cóż za niedyskretny gaduła ze mnie! Raz jeszcze najserdeczniej przepraszam. Ale wina już nie ma. Wypijemy jeszcze jedną, prawda?

— Zgoda, ale ta będzie moja.

— No, cóż, panie Stanisławie? — zagadnął Roświcki bruneta, otwierającego butelkę. — Jakże się panu podoba we Lwowie? Po Wiedniu niebardzo pewnie smakuje?

— Owszem, owszem! — odrzekł kelner — znam Lwów zresztą z dawnych lat. Ale niedługo tu będę popasał. Jadę do Holandji, gdzie mam brata, a potem z nim razem popłyniemy na Borneo.

— Aha, to tam: Celebes, Jawa, Sumatra, Borneo. Coś mi się majaczy z gimnazjum. I cóż pan tam będzie robił. Zostanie pan plantatorem kawy?

— Będę robił, co się zdarzy. Byłe ruszyć się z miejsca. Życie takie krótkie, a świat taki szeroki.

— A to szczęśliwiec z pana! — żartował Roświcki. Ja sobie nie mogę pozwolić na Włochy, za którymi tęsknię, a ten jakby nigdy nic wali prosto na Borneo. Mógłby pan mnie wziąć przynajmniej za sekretarza.

Andrzej tymczasem bacznie przyglądał się nowemu znajomemu. Był to człowiek już po czterdziestce, dość zażywny, łysawy z potężnem, rozumnem czołem o wydatnych guzach nad brwiami. Najbardziej uderzającym szczegółem w jego twarzy były oczy, ogromnie duże, jasno-niebieskie, prawdziwie słowiańskie, równocześnie zadumane i śmiałe.

— A pan — rzekł Roświcki — próbuje również odgadnąć, co za djabeł siedzi we mnie?

— Narazie — odparł Andrzej — doszedłem tylko do tego, że pan jest człowiekiem lubiącym myśleć, pełnym dobroci dla ludzi i skłonny do mistycyzmu. Mówią to wyraźnie pańskie oczy.

— Brawo, brawo, widzę, że jako odgadywacz ludzi mam w panu konkurenta! Istotnie staram się być przyjacielem wszystkich ludzi z wyjątkiem tych, z którymi mógłbym się przyjaźnić dopiero wówczas, gdy w drodze metempsychicznych wcieleń po raz dziesiąty wrócą na ziemię. A mistyk jestem także, niewątpliwie, ale niezbyt oddawna i niejako z konieczności. Przedtem prowadziłem beztroski żywot zamożnego ziemianina na Podolu rosyjskiem. Wie pan, trochę gospodarki, konie, wyścigi, polowania, karnawał w Warszawie, wyjazdy do Paryża i na Riwierę. Słowem hedonizm, Kapua ducha i ciała. Ale przyszła dżuma bolszewicka. Dobra

moje skonfiskowane, dwór spalony i rozgrabiony, żona i dzieci wyrżnięte. Z pogromu ocalałem zaledwie tyle, że mogę skromnie żyć bez potrzeby zarabiania na chleb. Że nie oszalałem, zawdzięczam temu, że zaciągnąłem się jako prosty żołnierz do dywizji Żeligowskiego i, jak szatan, mściłem się swoich krzywd. Zwyczajna to zresztą obecnie tragedia polskiego kresowca. Niestety, które przeszedłem i ciągle zagładanie śmierci w oczy wyrobiły we mnie skłonność do mistycznego filozofowania. Z czasem pozbyłem się wszelkiej goryczy z duszy i zdobyłem się nawet na pogodę wewnętrzną. Zawdzięczam to mojej teorii o cierpiącym Bogu i płynącej stąd konieczności cierpień ludzkich.

— Już po raz drugi słyszę to ciekawe zdanie. A czy wolno wiedzieć, czym pan się zajmuje?

— Rzeczami bardzo niepraktycznymi: dogrzebywaniem się anielstwa w duszach bestyj ludzkich i pomaganiem im według możliwości do wyzwalań tych boskich pierwiastków. Nadto pracuję nad ustaleniem filozoficznych, a raczej mówiąc ściśle, metafizycznych przesłanek nowożytnego nacjonalizmu, jako poglądu na świat, opartego na związku z ziemią. Może to kiedyś wydam. Ale nie mam wprawy w pisanie.

— To są kwestje dla mnie niesłychanie interesujące! Sam o nich dużo myślałem. Chętnie porozmawiałbym z panem o tem.

Nie może mi pan sprawić większej przyjemności. Tylko, niestety, nie dzisiaj. Mam na dzisiaj zaproszenie do znajomych. Nudna pańszczyzna! Ale wie pan co? Tu wprawdzie mówi się

dość swobodnie, ale zawsze nie tak, jak u siebie. Niech mi pan zrobi ten zaszczyt i przyjdzie do mnie od dziś za tydzień. Mam jeszcze kilka butelek dobrego wina, takiego z dawnych dobrych czasów. Kolacji niech pan przedtem nie je! Znajdzie się coś do przegryzienia. Więc przyjdzie pan? Doskonale! Dla pewności zostawiam panu swój adres na kartce. A teraz do widzenia! Może pan martwić się i cierpieć, ale pod warunkiem, że z tego narodzi się nowe dzieło. Bo tylko twórczy ból da się usprawiedliwić. Serdecznie się cieszę, że pana poznałem.

Andrzej został sam. Nie miał jeszcze ochoty iść do domu. Rozmowa z Roświckim, w którym wyczuwał człowieka nieprzeciętnego, rozbudziła w nim nałóg myślenia. Kazał sobie podać jeszcze wina i pograżył się w zadumie. Nie mógł jednak uwolnić się od przykrego wrażenia, jakie na nim zrobiło samobójstwo Rozy.

Miłość przedstawiała mu się jako demon potworny, chytry i podstępny, który potrafi znaleźć dostęp do każdego indywiduum ludzkiego, choćby pozornie nawet najbardziej przeciw jego atakom zabezpieczonego i w każdym zatapia swe drapieżne szpony.

— I cóż będzie ze mną? — myślał z goryczą. — Przecież temu demonowi spłaciłem już haracz aż nazbyt wielki. Czas już, żeby mię wypuścił z swej opieki. Tymczasem ja nie mogę, nie mogę wyjść z zaczarowanego koła^f mojej pierwszej i jedynej miłości. Czuję, że moja duchowa zdolność kochania jest już na zawsze w tem kole zamknięta i wobec innych kobiet sparaliżowana. Ale

zostaje ciało, młode i zdrowe ciało, które ma swoje prawa!

Łaskotliwym rojem opadły go wspomnienia przeżytych chwil rozkoszy. Krew uderzyła mu do głowy, uczuł, że jest cały czerwony. Nie chciał, aby myślano, że się upił, więc zapłacił i wyszedł na ulicę.

Wizja fizycznej piękności Wandy nie opuszczała go. Każdy, płomiennymi erotykami w duszy utrwalaony szczegół tej jedynej dla niego na świecie urody, rysował się w jego wyobraźni z niepokojącą nadwyrazistością. Ogień palącą strugą przelewał się w jego żyłach.

— Czyż nigdy — zachnął się — nie opuści mnie to widmo? — Zdeptać, zgnieść, zniszczyć ten kwiat zatruty, zatopić go choćby w bagnie rozpuszty!

W tej chwili, jakby jego myśl zmaterjalizowana, wynurzyła się z mroku ciemnej ulicy jakaś postać kobieca, podeszła ku niemu i wsuwając mu rękę pod ramię, zapytała ckläwie przymilonym głosem.

— Pójdziemy, kotku?

Andrzej tak był daleki {od tych spraw, że w pierwszej chwili nie rozumiał czego chcą od niego. Potem, gdy się zorientował w sytuacji, wstrząsnął nim dreszcz wstrętu i przerażenia. Zdawało mu się, że jakiś szatan pochwycił jego przelotne, brudne pragnienie i postawił je ucieleśnione obok niego. Był tak zaskoczony, że nie mógł się zdobyć nawet na odpędzenie natrętnicy. Milcząc szedł obok niej.

Cóż, taki młody, a taki sam i smutny? —

ćwierkała dziewczyna. — Pójdziemy razem, ja zabawię, rozweselę! Ach, jakbym chciała przespać się już raz gdzieindziej, a nie w tej[mojej] okropnej budzie. Gardłem mi już wylażą te ciągle burdy, pijatyki, brewerje. Kiedyś tu jedna się struła. To ci dopiero była awantura. Policja, pogotowie, wypompowali jej żołądek. Ale ty czego tak milczysz? Mruk, czy niemowa, czy co?

Andrzej nie odpowiadał. Nagle, gdy przechodzili obok latarni, której blask oświecił mu twarz, dziewczyna krzyknęła przeraźliwie.

— To pan, to pan! — zawołała i zakrywszy twarz rękami, szlochała histerycznie, oparta o mur kamienicy.

Andrzej, zdumiony do najwyższego stopnia, stał bezradny. Tymczasem zaczęli się gromadzić przechodnie, zawsze skłonni do gapienia się, w bocznej uliczce ukazała się sylwetka policjanta. Zanosiło się na skandal. Szczerba mógł wymknąć się chyłkiem, ale zaraz myśl tę odrzucił, aby nie pomyślano, że jest tchórzem, który ucieka skrzywdziwszy ulicznicę. Zły i zdenerwowany z powodu tej głupiej przygody, zdobył się wkońcu na determinację. Ujął dziewczynę twardo pod rękę i rzekł głosem stanowczym.

— Proszę się uspokoić i iść ze mną.

Usłuchała. — Andrzej w pierwszej chwili instynktownie podążył w stronę swego mieszkania. Opamiętał się jednak, że nie może przecież swej umiłowanej samotni, uświęconej wspomnieniami Wandy, kalać obecnością tej kobiety. Zwrócił się więc ku pracowni w mieście. Po drodze, mijając latarnie, przyglądał się swej przygodnej towarzysz-

ce, usiłując zgadnąć, kim jest ta znająca go nieznajoma. Ale rysy jej twarzy nic mu nie mówiły, tem bardziej, że wykrzywił je ciągle powstrzymywany płacz.

Gdy Andrzej zaświecił światło w pracowni, dziewczyna znów zakryła twarz rękami.

— Proszę na mnie nie patrzeć! — przemówiła przez dłonie. — Strasznie się zbeczałam.

Wzruszył ramionami. Nie miał wcale ochoty patrzeć na nią.

— Proszę się przespać na tej kanapie—rzekł — jeśli pani nie chce wracać do siebie. Zaraz przyniosę poduszkę. Tam w kącie jest woda, mydło i ręcznik. Klucz od pracowni proszę rano oddać stróżowi.

Gdy po chwili wrócił z pościelą z drugiego pokoju, dziewczyna była już przyzudrowana naprędce i nawpół rozebrana. Uśmiechała się do niego zalotnie.

Andrzej skrzywił się z obrzydzenia.

— Dobranoc — rzekł — wracam do domu. Zagrodziła mu drogę.

— Jakto? Pan mnie nie chce? I teraz nawet pan mnie nie chce? Teraz, kiedy przez pana jestem taka, kiedy stałam się ostatnia!

— Przeze mnie? Czyś oszalała? Nie znam ciebie!

Zaczęła znów szlochać.

— Pan mnie nie zna? Nie przypomina pan sobie Marysi z łanowieckiego dworu? A ja przecie pielęgnowałam pana w chorobie razem z panienką. Panna Wandzia z zadróści o pana napędziła

mnie. To wszystko przez pana! Bo ja się w panu tak zakochałam, żem świata Bożego nie widziała.

— Skądże przeze mnie? Jaka w tem wszystkim moja wina?

— Pewnie, że pana wina! Bo jak mnie napędzili, tom naprzód chciała się utopić, a potem ze złości na pana, na siebie i na cały świat oddałam się pierwszemu lepszemu. Ale zawsze myślałam sobie, że to pan, a nikt inny. A teraz pan mnie nie chce, teraz ja dla pana ścierka. Och, ja nieszczęśliwa! Lepiej mi było zabić się... A potem przyszło dziecko, które za dwa dni umarło... A potem...

Tu nastąpiła przerywana płaczem i wzdychaniami opowieść o dziejach upadłej dziewczyny, jedna z tych historyj, które, jak dwie krople wody, są do siebie podobne.

Andrzej słuchał w milczeniu. Gorycz zalewała mu serce. Niespodziewane przypomnienie pierwszych chwil szczęścia w Łanowcu, uprzytomniło mu jasno całą jego niedolę. Chociaż rozsądek mówił mu, że całe oskarżenie Marysi pod jego adresem jest nonsensem, przedrażnione nerwy i wyczulone cierpieniem sumienie podsuwało mu niedorzeczną myśl, że może jednak jest w tem wszystkim jakaś jego transcendentna wina, że może jego własne nieszczęście jest karą za nieszczęście, które mimowoli na nią sprowadził.

Spojrzał na nią z uwagą. Przypomniła mu się teoria Roświckiego o dogrzebywaniu się ziarn anielstwa w duszach ludzi upadłych.

— Słuchaj! — rzekł poważnie, biorąc ją za rękę — czy chcesz zacząć napowrót uczciwe życie? Dopomogę ci wyrwać się z bańna.

Marysia zerwała się z kanapy. Słowa Andrzeja spadły na nią, jak objawienie. Stała nieruchomo z rozszerzonymi oczyma, w których malował się prawie lęk.

— Panby to zrobił — szeptała — panby to zrobił dla mnie?

Po jej zmartwiałych policzkach płynęły łzy. Nagłe światło wewnętrzne rozjaśniło jej twarz. Była w tej chwili piękna.

— Panby to zrobił — szeptała wciąż. — Boże, mój Boże!

W tem nagle twarz jej zmierzchła, miejsce cichych łez ekstazy zajął znów hałaśliwy płacz popolitej nędzy.

— Nie, to się nigdy nie stanie! — wyłkała — ja się z tych łap już nie wydre! Mam długi. Winnam gospodyni za wikt, za mieszkanie, borgowała mi na tę suknię, abym mogła wychodzić na ulicę. Ja już u niej w niewoli!

— Ile razem jesteś winna?

— Strasznie dużo. Będzie tego z trzysta tysięcy marek. Och, ja tego nigdy nie odrobię!

— Masz tu pół miljona! Zapłać jutro wszystkie długi, spakuj się, kup sobie bilet kolejowy i jedź do Łanowca. O pierwszej w południe czekaj tu na mnie, przyjdę i dam ci list do pani Mazowieckiej. Za to ci ręczę, że cię przyjmą z powrotem na służbę. Wrócisz do porządnego życia. Wyjdiesz może za mąż, będziesz miała dzieci. Jeśli ci się trafi mąż, pomyślimy o wianie.

Marysia, to oglądała banknoty, to dotykała palcem Andrzeja, jakby chciała się przekonać, że

nie śni. Potem uklękła przed Szczerbą i pocałowała go w rękę.

— Kochałam pana dotąd, jak człowieka. !Pragnęłam twego ciała. Teraz będę pana kochała, jak Boga.

Andrzej odsunął ją łagodnie. Biła od niej taka szczerość, że wzruszył się głęboko. Pod wpływem tego wrażenia wyrzekł słowa, których zaraz pożałował, bo wydały mu się śmiesznie sentymentalne :

— Jeśli umiesz, módl się za mnie ! Jestem bardzo nieszczęśliwy !

— Będę całą noc leżała krzyżem !

Wyszedł na ulicę zupełnie nerwowo rozbity i zły na siebie. Cała historia z utopioną Rozą i z nawróconą przez siebie Marysią wydawała mu się teraz lichym, łzawym melodramatem.

— Djabli to wszystko nadali ! — podszeptował mu sceptycyzm. Ładnie wyjdiesz na praktycznem] zastosowywaniu teorii o anielstwie dusz. Zobaczysz, że twoja pokutująca Magdalena zniknie jutro bez śladu i okradnie cię jeszcze z wdzięczności.

— Nie, nie ! — oburzył się. — Poświata jasna, którą w pewnej chwili widziałem na jej twarzy, mogła pochodzić tylko od ockniętej duszy nieśmiertelnej. A kiedyż ocknie się dusza Wandy, kiedyż przestanie ścigać błędne ognie po trzęsawiskach świata ?

Nagle nasunęła mu się myśl, która zaboląła go fizycznie, jakby ktoś ostrą igłę wbił mu w mózg:

— I cóż z tego, choćby się nawet przebudziła, choćby wróciła do mnie ? Czyżby razem z nią

wróciło dawne szczęście, czy mógłbym ją przyjąć? Przecież ona właściwie niczem nie różni się od takiej Marysi! Jej ciało jest tak samo nędzne, zbrukane, skalane, jest cała zgangrenowana obcowaniem z tym fizycznie i moralnie rozkładającym się nędznikiem:

Doznał znów dobrze sobie znanego uczucia zupełnego bezprzytułku na świecie. Zagasła w nim jakaś ostatnia iskierka podświadomej nadziei.

Zamiast do domu poszedł do swojej sosny. Silniej, niż kiedykolwiek czuł teraz tajemnicze pokrewieństwo swej duszy z tem tragicznem drzewem-upiorem. Przesiedział pod niem na ławce do rana. W jęklwym szumie gałęzi słyszał głos:

— Powinna umrzeć! I jej i tobie przyniosłoby to wyzwolenie. Módl się, aby umarła.

III.

Roświcki nakrył stół w swoim niewielkim pokoju świeżym obrusem, wyjął z szafy kilka talerzy i zaczął na nich układać przyniesione z miasta przysmaki: wędliny, sery, sardynki, marynaty z ryb, kurczęta z rożna na zimno i sałatę francuską. Do tego dołączył owoce: ogromne, do małych różowawych torebek podobne truskawki, ciemno-czerwone, prawie czarne, słynne z dobroci czerechy kleparowskie i wczesne, delikatnym puszkciem ocienione morele, swą dyskretną barwą przypominające świeżość zaróżowionych młodością policzków dziewczyczych. Na małym stoliku, nakrytym serwetą, ustawił kilka dostojnie omszonych butelek wina i niemniej od nich sędziwą flaszkę starki.

Ukończywszy swe czynności, objął całą zastawę zadowolonym wzrokiem. Z dawnego hedonistycznego trybu życia pozostało mu tylko zamiłowanie do dobrych potraw i napojów. Na tym punkcie był i nadal bardzo wybredny. Twierdził, że od pewnego stopnia kultury estetycznej te rzeczy są nieodłączne. Lubił także ogromnie kwiaty, o których i tym razem nie zapomniął. Z wyżyny smukłego kryształowego flakonu wytworną wonią błogosławił jego stół biesiadny pęk wspaniałych róż, kremowych herbacianych i ponsowych. Pochlebiał

sobie, że to wszystko razem tworzyło bardzo efektowną i kolorystycznie zharmonizowaną martwą naturę.

— Sam nieboszczyk Cézanne byłby uradowany — pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Było już pół do dziewiątej a Andrzej był zaproszony na ósmą.

— Że też ci artyści zawsze muszą być niepunktualni! — niecierpliwił się. Oczekiwanie doprowadza mnie zawsze do najwyższego zdenerwowania. A może całkiem skrewi? To byłoby niegodnie z jego strony. Nawet nie przypuszcza, jaki zrobiłby mi zawód!

Roświcki istotnie cieszył się bardzo na sympozion z Andrzejem. Miał wprowadzić wielu znanych, ale to towarzystwo ze sfer ziemiańskich, w których dawniej wyłącznie się obracał, dziś już mu nie odpowiadało. Zbyt wiele pozostawił za sobą nieszczęść i rozmyślań, aby mógł znaleźć przyjemność w ślizgających się po powierzchni życia pogadankach tych ludzi. Natomiast tęsknił za człowiekiem, z którym mógłby wypić „kieliszek wina“, rozmawiając o rzeczach głębokich. Andrzeja uznał za towarzysza, nadającego się do tego rodzaju misterjów. Miał też swoją teorię, że w takich, „boskim sokiem ziemi“ podlanych dyskusjach, w których dusze wyzwalają się z ciał i uskrzydłone bezpośrednio z sobą obcuja, mogą tylko dwaj ludzie brać udział. Bo w trzech może być bardzo miła zabawa towarzyska, ale nigdy „astralna penetracja dusz“.

Na serjo więc niepokoił się coraz bardziej w miarę opóźniania się Andrzeja.

Dopiero po dziewiątej rozlekl się upragniony dzwonek.

— Nareszcie! — witał Szczerbę — rozpromieniony Roświcki. — Obawiałem się już, że pan nie przyjdzie.

— Przepraszam, bardzo przepraszam. Istotnie, niewiele już brakowało, a byłbym nie przyszedł. Miałem niemiły wypadek.

— Cóż takiego? Spłoszony tramwaj, dziki szofer?

— Nie, nic podobnego. Wyszedłem za wcześnie z domu i przed pójściem do pana, wstąpiłem do kawiarni. — Przeglądając pisma warszawskie, znalazłem w jednym z nich, w korespondencji z Wenecji, wiadomość, która podziałała na mnie tak jakbym rękę włożył w gniazdo szerszeni. Pomimo godzinnej przechadzki niecałkiem zdołałem się uspokoić. Pomyślałem sobie jednak, że rozmowa z panem ma w sobie coś kojącego i przyszedłem.

Uścisnęli sobie ręce serdecznie, jak starzy przyjaciele.

— Kupiłem ten numer dziennika — rzekł Andrzej. — Wie pan o mnie już wszystko, więc niech pan przeczyta! O, tu jest ta korespondencja — za tytułowana: „W mieście z bajki”,

— Dobrze, ale najpierw musimy się napić tej starki. To jest doskonały środek przeciw troskom. Odrazu człowiek jaśniej patrzy na świat. Ten sok naszej polskiej ziemi, jeszcze przez mego dziada wyciśnięty z żyta, działa na człowieka, jak na Anteusza zetknięcie z Matką Ziemią. Dodaje mu mocy olbrzymów. To wódka i to wino cudem prawdziwym ocalały z bolszewickiego pogromu. Kiedyś

panu tę historję opowiem... Więc „na zdrowie!”
A co?

— Istotnie przednia! Odrazu czuje się ogień
w żyłach.

— Tak! Taka starka może się mierzyć z najlepszym koniakiem francuskim. Podobnie wytworny trunek piłem raz w Paryżu. Było to w r. 1912, w małej, ale pierwszorzędnej pod każdym względem restauracji „Trianon”. Powtórzymy?

Powtórzyli.

— A teraz proszę przekąsić! Ja tymczasem przegładnę tę korespondencję.

— No tak! — czytał urywkami Roświcki — „ucieleśnione marzenie poety — kolorowa bajka Wenecji — złoto — zielony, bizantyński cud kościoła św. Marka — lew uskrzydlony i św. Teodor, strzegący Piazzetty z Pałacem Dożów i Biblioteką Sansovina — San Giorgio — Santa Maria della Salute — Il Redentore — Longhena — Palladio”. No tak, same komunały, które się już tyśiąc razy czytało. Zaraz pewnie będzie noc na kanale w gondolach — o już jest — tak, koncert — poezja światła odbitych w lagunach. O, Chianti podróżowało! Prawdziwe Chianti to też nektar, godny Falerna. Ale ręczę, że ten korespondent nie zna się na winie i że to, co mu podali, to nie było Chianti, tylko cienkie Veronese! Więc cóż tu pana wzburzyło? Aha, aha, jest na samym końcu: „Z wybitnych Polaków nie ma tu obecnie nikogo. Ostatnim był znakomity nasz rzeźbiarz, Ryszard Goździeniec, który, niestety ciężko chory, mieszkał wraz z żoną w jednym z tutejszych sanatoriów. Przed trzema tygodniami z porady lekarzy opuścił

Wenecję, udając się do Egiptu, pielęgnowany z prawdziwym poświęceniem przez swą małżonkę, której uroda i stały, głęboki smutek podbiły serca romantycznych mieszkańców Królowej Adriatyku. Niedawno na kanale słyszałem piosnkę o „bella Polacca dolente”. Canzona sławiła panią Goździeńcową jako idealny wzór poświęcenia i wierności kobiecej” Aha, więc to to właśnie. No, no „idealny wzór wierności!” Tak, sunt lacrimae rerum! Ale na wszelki wypadek wypijemy jeszcze po jednej starcel! Naprawdę boski napój. — Teraz czuję, że jestem już przygotowany do powolnego wprawiania się w stan, który Platon — coprawda wśród innych okoliczności — nazywa „Pteron”, to jest poparciem do zrodzania skrzydeł. Czy to? pierwsza wiadomość o pańskiej... chciałem powiedzieć o pani Wandzie?

— Tak, to jest pierwsza wiadomość o pani Goździeńcowej. A raczej druga. — W jakie dwa tygodnie po jej zniknięciu kuzyn cioci Mazowieckiej, urzędnik w Ministerswie spraw zagranicznych, doniósł jej, że pan Goździeńiec wraz z swą towarzyszką używali jego pomocy dla otrzymania paszportów i wizy włoskiej i że zaraz po uzyskaniu tych dokumentów wyjechali za granicę. — Już wtedy pisał, że Goździeńiec wygląda, jak trup.

— „Pani Goździeńcowa”. Jak dziwnie pan te słowa wymówił! Ale właśnie ta informacja wenecka jest dla pana pomyślna.

Roświcki spojrzał uważnie w oczy Andrzeja, lecz zobaczył w nich błyskawicę bólu, tak przejmującego, że szybko dodał:

— Ale teraz jeszcze nie powiem panu dlaczego

go. Dopiero, gdy nas obu ogarnie „Pteron”. A teraz jedźmy! Proszę, te kurczęta powinny być dobre.

Jedli przez chwilę w milczeniu. Andrzej przyglądał się urządzeniu mieszkania Roświckiego. Był to prawdziwy pokój ascety. Zwyczajny, biały, sosnowy stół, ustawiony w kącie na ukos, służący jako biurko, drugi, taki sam, nieco większy, na którym biesiadowali, a który normalnie był widocznie nakryty prostym wełniakiem w czarne i siwe pasy i zastawiony książkami, teraz złożonemi na szafie. Kilka krzeseł, szafa na książki, stolik i duża skrzynia, wszystko z takiego samego materiału sosnowego — oto całe umeblowanie. Jedynym przedmiotem ozdobniejszym była niezwykle szeroka otomana, używana zapewne jako łóżko, którego w pokoju brakło, nakryta bardzo artystycznie skomponowanym kilimem. Podłogę zaścielało grube, szorstkie sukno brązowe, jakiego chłopcy w niektórych okolicach Pokucia używają na siermięgi. Ściany były zupełnie nagie. Tylko nad otomaną wisiał krucyfiks z wiejskiej figury przydrożnej. Daszek ochraniał drewnianego Chrystusa, którego bok broczył krwią malowaną. Lecz prawa pierś jego była strzaskana bluznierczą kulą, która tkwiła jeszcze w poszarpanem ciele. Robiło to niesamowite wrażenie żywej, bolesnej rany. Twarz Ukrzyżowanego, wyrzeźbiona nieudolnie, była jednak pełna niespospolitej ekspresji. U podnóża krzyża bielił się duży bukiet z dorodnych kłosów pełnej, bezwąsej pszenicy.

— Podziwia pan wschodni przepych mojej jurty? — zaśmiał się Roświcki.

— Podziwiam ile stylu jest w tej prostocie.

— Zaraz widać artystę! Wie pan, swego czasu byłem wielbicielem antyków. W Roświcie — stare to było gniazdo naszego rodu — miałem naprawdę ładną kolekcję autentycznych Ludwików XVI i empire'ów. Z mebli moich kilka było reprodukowanych w francuskich pismach fachowych, poświęconych sprzętarstwu. Wszystko to padło ofiarą bolszewickiej pożogi razem z bezcennymi starymi dywanami perskimi. Ten tragicznie rozstrzelany Chrystus i ten pęk pszenicy z moich niegdyś łańców — oto jedyne skarby, jakie z ruin Roświty uniosłem.

W głosie Roświckiego zadrgał ledwie dosłyszalny ton smutku. Po chwili jednak mówił już dalej zupełnie wesoło:

— Gdym się sprowadził do Lwowa, stanąłem wobec problemu umeblowania tego oto jedyne go pokoju. Oprócz niego mam tylko łazienkę, bez której oczywiście nie umiałbym egzystować. Tandety nie znoszę, a na uczciwe meble nie miałem pieniędzy. Urządziłem się więc, jak pan widzi i uważam, że tak jest doskonale. Jest to styl twardej konieczności, ale w każdym razie styl. Nigdzie mi się jeszcze tak dobrze nie pracowało, a raczej nie, myślało, bo moja praca narazie polega tylko na myśleniu, jak wśród tego ubóstwa. Uważam, że kosztowne sprzęty, cacka i bibeloty rozpraszają uwagę i nie pozwalają myśli się skupić.

— Ma pan zupełną rację. Przecież religijne uniesienie i wizje naprawdę wierzących mnichów można sobie wyobrazić tylko w celach, a nie w wytwornych salonach.

— Tak! — rzekł Roświcki. — A ponieważ je-

steśmy właśnie w celi, więc postarajmy się i my o religijne uniesienie. Dopomoże nam do tego ten oto szacowny płyn.

To mówiąc, otworzył ostrożnie jedną z omaszonych butelek i, otarłszy starannie serwetą szyjkę, nappełnił kieliszek.

W pokoju rozeszła się skombinowana woń kościelnego kadzidła i razowego chleba.

— Prawdziwy Tokaj! — rzekł Roświcki. — Z tych najlepszych. Wie pan, Hungariae natum, Poloniae educatum. Jest conajmniej w równym wieku ze mną. Trzeba go pić w skupieniu i z namaszczeniem, małemi łykami, smakując i powoli sącząc przez wargi i przelyk. Bo picie wina jest także sztuką, którą trzeba poznać. Na przykład wina kwaśne pije się zupełnie inaczej. Dużemi haustami i z wielkich kielichów najlepiej ze szklanek. Niech żyje życie! Miejscami zbyt często jest ono nędzne. Ale mimo to warto żyć!

— Niech żyje! Nektar to naprawdę. Ten właśnie gatunek zapewne pijano na Olimpie. — Ach, do jakiego ja jednak stopnia żyję samemi wspomnieniami. To wino przypomina mi początek mego szczęścia w Łanowcu. Tamto było równie dobre. Nie, nie, stokroć lepsze, bo z nią podzielone. Ale pan, widzę, przygotował tu przerażającą baterję flaszek. Upijemy się!

— Niech się pan nic nie boi! uspakajał Roświcki. Ludzie z kulturą wogóle się nie upijają tylko upajają. A to różnica olbrzymia. Tylko z ludzi bez kultury, gdy piją, wyłazi cała ordynarność i chamstwo, skłonność do skatologii, bijatyki i porubstwa. Natomiast człowiek kulturalny dostaje wówczas skrzy-

deł i wzlataje do Boga. Zupełnie tak, jak na obrazie Axel Gallena, który widziałem przed laty na jakiejś międzynarodowej wystawie w Rzymie czy Wenecji. Jest tam namalowane symposion artystów-przyjaciół. Ludzie stracili już zupełnie wszelką materjalność i stali się czystymi duchami. Ten Finlandczyk genialnie zrozumiał ów stan transfiguracji mistycznej, jaki w człowieku wywołuje wino, nota bene, jeśli ów człowiek ma duszę. Niedarmo Grecy Dionizosa nazywali ęleutherios. On rozwiązuje języki i wyzwala dusze. Jestem pewny, że to czcigodne wino z dusz naszych wydobędzie anielstwo w całym blasku.

— Ach, á propos pańskiej teorii o anielskich pierwiastkach w duszach ludzi najpodlejszych! Czy pan wie, że ja tę teorię zastosowałem już w praktyce i to zaraz po poznaniu się z panem?

Andrzej opowiedział przygodę z Marysią, a potem dodał:

— Byłem ogromnie zaniepokojony, czy nie ulotni się z pieniędzmi i nie pokaże się więcej. Ale nie zawiodłem się na niej. O oznaczonej godzinie czekała już w pracowni, zupełnie spakowana, z biletem kolejowym i z poświadczeniem gospodyni, że cały dług spłaciła. Była cicha i bardzo onieśmielona, ale widocznie szczęśliwa. Podziwiałem jej takt. Zrzuciła swoje miejskie fatałachy i kapelusze, a ubrała się w strój wiejskiej dziewczyny z chustką na głowie. Zmyła sobie z twarzy wszystkie pudry, szminki i karminy. Odzyskała wskutek tego wygląd prosty i uczciwy. Jestem pewny, że ta Magdalena nawróci się całkowicie.

~ Niewątpliwie! Ale mnie w pańskim opo-

wiadaniu najbardziej uderzyła myśl o pańskiej transcendentalnej winie. Przeciwwstawiam jej transcendentalną siłę pańskiego dobrego uczynku i powiadam, że będzie on panu nagrodzony w postaci szczęśliwego zwrotu w pańskim życiu.

— A przepraszam, jak na pana, to jest postawienie Kwestji zbyt oportuniczne.

— Nie, panie Andrzeju! To wcale nie jest oportunizm. Rozumiem to tak. Każdy dobry uczynek jest emanacją atmosfery wielkiej dobroci tkwiącej w danym człowieku i promieniuje w przestrzeni, jak światło, lub rozchodzi się jak głos. Natrafiając na drugą duszę przesycą ją ona dobrocią, odbija się od niej i wzmożoną falą wraca ku swemu źródłu. Nadto ta atmosfera przyciąga inne duchy, zarówno obleczone w ciało, jak niewidzialne i stwarza wielką gromadę duchów bratnich. Ich wspólne siły stanowią pancerz ochronny przeciw siłom ciemnym i niskim ludzi złych, niosących nieszczęście. Dlatego każdy dobry czyn wywołuje zawsze korzystną zmianę dla indywiduum i wszechświata w sferze transcendentalnej, a często i doczesnej.

— To znów jest mistyka zbyt dowolna i nieuchwytna.

Ale prawdziwa, panie Andrzeju, i empirją stwierdzona. Nie znam człowieka naprawdę dobrego, któryby stale był nieszczęśliwy. Choćby dlatego, że poczucie własnej dobroci i życzliwości dla całego świata już daje szczęście. Z tego jednakże nie wynika, aby pan nic nie pił. Proszę skończyć kieliszek, bo chciałbym nalać nowy! A co do mistyki, to oczywiście, że jestem mistyk. Nie za-

pieram się tego wcale, a nawet szczyć się tem. Brzydę się człowiekiem, który niema w sobie pierwiastków mistycznych, jak nie znoszę naturalizmu w sztuce i literaturze. Tu i tam podstawą jest płytki i płaski materializm. Oczywiście w zakresie sztuki poczynić trzeba pewne zastrzeżenia ze względu na historyczny rozwój, oraz z uwagi na prawo czasowej akcji pewnych form i reakcji nowych przeciw dawnym. A swoją drogą ta pańska Marysia nie byłaby się tak łatwo nawróciła, gdyby pochodziła z miasta, a nie ze wsi, gdyby [nie była dzieckiem ziemi.

— Pan przypisuje taką wyższość dzieciom ziemi?

— Bezwzględna! To jest jasne. Człowiek, który od dzieciństwa styka się z ziemią, z jej zbożami, trawami i kwiatami, z drzewami i wodami, z szeroką powietrzną przestrzenią, z słońcem i wiatrem, z śnieżystą dałą i z gwiazdzistą nocą — musi być bliższy żywiołowi i Boga, niż wychowane w czterech ścianach pokoju, czy wilgotnych suterren, albo w kamiennej alei ulicy biedne, pożałowania godne dziecię miasta. Dlatego mówiłem już panu przed tygodniem, że ja mogę zawsze, prawie bez obawy pomyłki, powiedzieć, czy dany człowiek pochodzi z miasta czy ze wsi. Synów ziemi poznaję po szerszym gościu, szerszym oddechu, słowem po tem, że albo całkiem są wolni od filisterstwa, albo jest go w nich w każdym razie znacznie mniej, niż w mieszczechach.

— Być może — przyznał Andrzej Ale zdaje mi się, że teza pańska wykazuje znaczne braki. Wynikałoby z niej, że chłopci, jako bezpośrednio

z ziemią związani są moralniejsi i wogóle bardziej wartościowi, niż ludzie z miast.

— Otóż na to panu powiem przedewszystkiem, że jeśli się porówna chłopów z tego samego poziomu umysłowego osobnikami miejskimi, na przykład z robotnikami fabrycznymi, to bezwarunkowo okaże się, że ilość przestępstw na wsi jest mniejsza i że chłopie wogóle są moralniejsi. Jest to niewątpliwie uszlachetniający wpływ ziemi i patryarchalnego, od wieków niezmiennego charakteru zajęć rolnika. Inaczej musi się kształtować dusza człowieka, który orze, popędzając parę ulubionych koni i słuchając śpiewu skowronka, niż dusza człowieka, który od maleństwa spędza życie np. w tkalni, siedząc z podwiniętymi nogami i zgiętymi w kabłąk plecami, nic nie słysząc prócz huku maszyn i wdychując pyły, które sprowadzają kaszel i suchoty. Powtóre, nie można oczywiście porównywać chłopca z jakimś wielkim artystą, uczonym, czy wodzem. Z tego punktu widzenia chłop naogół nie jest jeszcze człowiekiem, lecz dopiero materiałem na człowieka. Ale podtrzymuję twierdzenie, że właśnie ze względu na związek z ziemią materiał ten jest pierwszorzędnny.

— No, dobrze! Ale jakże będzie z inteligencją wiejską, dajmy na to z sferą ziemiańską? Czy pan zechce twierdzić, że ta sfera jest więcej wartościowa, niż inteligencja miejska? Chyba nie! Prawda, znam takich ziemian, jak Wacław Łaniecki, ludzi wysokiego ducha i kryształowego serca, którzy swą własność ziemską uważają nie jako źródło dochodów i możliwości używania, ale jako placówkę gospodarczą, społeczną i narodową. Ale to są wy-

jątki, a już bardzo eufemistycznie się wyrażając, drobna mniejszość. A reszta? Przecież to są egoiści i płascy hedoniści, a w dodatku jeszcze często próżniacy. Czy dużo ci ludzie robią dla podniesienia oświaty i dobrobytu ludu, dla literatury, dla sztuki, dla nauki, wogóle dla kultury narodu. A jeśli pan sięgnie wyżej, do latyfundiów, do arystokracji, to tam jest jeszcze gorzej. Przecież ci ludzie, którzy do niedawna uważali się i byli uważani za sam szpik narodu, za legalnych jego przewódców — znów poza nielicznymi, zaszczytnymi wyjątkami — w ogromnej większości wogóle nie poczuwają się do łączności z narodem ale tworzą światowe, kosmopolityczne bractwo, białą miądynarodówkę, równie szkodliwą i potępienia godną, jak czerwona socjalistyczna i czarna bankierskożydowska. Cóż można przytoczyć na ich korzyść? Pewien estetyzm form zewnętrznych, który przeważnie posiadają? To chyba trochę mało? Gdybyż ci ludzie przynajmniej spełniali tradycyjną funkcję wszelkiej arystokracji, gdyby byli Medyceuszami, opiekunami sztuk i nauk! Ale i to nie! Proszę zajrzeć do naszych wiejskich dworów i pałaców! Cóż pan tam zobaczy w zakresie sztuki. Wspaniałą przeszłość, cudowne antyki, o ile jeszcze nie poszły za granicę, a obok tych Rembrandtów i Tycjanów terażniejszość albo zupełnie nieobecna, albo niesłychanie lichą! Mali synowie wielkich ojców! A zresztą czyż trzeba daleko szukać? Według tego, co mi pan mówił o sobie, czy pan siebie, jako ziemianina przed przełomem, który się w panudokonał, może uważać dziś jako typ wartościowy?

— Bezwarunkowo nie! — przyznał ze śmie-

chem Roświcki. — Ale pan jest niebezpieczny człowiek, panie Andrzeju, istny Robespierre!

— Wcale nie Robespierre! Ale czy mnie, jako artysty nie może oburzać, że arystokracja sztuki polskiej zupełnie nie popiera — wyjąwszy kilku, dosłownie kilku, prawdziwych znawców? A rezultat tego jaki? Oto ten, że najlepszych Wyspiańskich, Wyczółkowskich, Malczewskich, Mehofferów i t. d. mają żydzi. Tak jest, żydzi, a więc element międzynarodowy.

— Ma pan zupełną szłuszną! Ale pańska ocena ziemiaństwa nie jest sprawiedliwa. Przede wszystkim nie jest prawdziwa pańska statystyka. Ja znam lepiej tę sferę i śmiem twierdzić, że „egości i hedoniści” wśród nich stanowią właśnie mniejszość, a nie większość. W każdym razie ogółu ziemian nie można posądzać o egoizm. Czyż reprezentanci ziemian w Sejmie nie głosowali dobrowolnie za reformą rolną, czy nie obłożyli się dobrowolnie podatkami gruntowymi, bardzo dotkliwymi? Nie może pan powiedzieć, że to jest nic!

— Najchętniej to uznaję. Ale czy to nie jest skandal, że ziemiaństwo nasze nie wzięło dotąd w swoje ręce handlu zbożem i drzewem? Pieniędzy na taką akcję mają chyba dość! Czy to nie skandal, że na sprzedaży płodów naszej ziemi wzbogacają się żydzi, którzy tych bogactw używają potem dla szkodenia Państwu Polskiemu?

— To jest skandal! Święta prawda. Wobec tego napijmy się!

— Napijmy się!

— A co do ziemian—podjął Roświcki—trzeba jeszcze uwzględnić następujące okoliczności. Pri-

mo: ludzie zamożni, jakimi są przeważnie ziemianie, mają skłonność do używania. To wada ogólnoludzka. Secundo: pasorzytów wogóle na świecie jest więcej, niż ludzi ideowych. Tertio: wśród ziemian jest jeszcze wiele indywiduów niedorosłych do uświadomienie obywatelskiego. Quarto: jeśli ziemianin, jako rolnik, jest dobrym fachowcem, jeśli pilnuje swego warsztatu pracy, choćby z pobudek wyłącznie egoistycznych, jeśli przez umiejętną hodowlę ulepsza rasy bydła i koni, a przez celową uprawę uszlachetnia gatunki zbóż — to już przez to samo przyczynia się nie tylko do wzrostu siły gospodarczej państwa, ale także do postępu w najogólniejszym znaczeniu. Jak zresztą każdy fachowiec w zakresie swego fachu. Oczywiście, jeżeli nawet tego nie robi, jeśli ziemię traktuje tylko jako bank, który ma mu odrzucać procenty na hulanki i zabawy, to jest najpospolitszym wyzyskiwaczem. Ale ogółu ziemian potępiać przecież nie można!

— Ja ich bynajmniej nie potępiam! — bronił się Andrzej — choćby z tego powodu, że — jak panu wiadomo — pewnej rodzinie ziemiańskiej zawdzięczam wszystko, czem jestem. Ale niech mi pan nie mówi, że to są ludzie bardziej wartościowi, niż ludzie z miasta.

— Być może, że niewłaściwie kwestję ująłem. Ale w tem coś tkwi. Może w inny sposób wyłuskamy „des Pudels Kern”. Przyzna pan, że cała nasza kultura duchowa jest dziełem ludzi, którzy wyszli z ziemi, a więc szlachty, a od niedawna synów chłopskich. Dziś jeszcze dziewięć dziesią-

tych naszej inteligencji to synowie ziemian lub synowie chłopów.

— No tak, ale to nic dziwnego. Jesteśmy przecie narodem rolniczym, więc skąd ma się rekrutować nasza inteligencja, jeśli nie z pośród rolników?

— Nie idzie mi o przyczyny, ale o fakt. I przyzna pan także, że ta nasza kultura duchowa jest dziełem pięknem, którem wobec obcych naprawdę możemy się poszczycić, dziełem, przesyconem pierwiastkami mistyki i metafizyki.

— Przysznaż to z zapalem.

— A ow idealistyczny i mistyczny charakter naszej kultury jest wynikiem silnie odczutego i ciągle żywego związku z ziemią.

— Bez wątpienia — potwierdził Andrzej — przynajmniej w znacznej części. Ale tu trzeba zwrócić uwagę na fakt, że twórcy polskiej kultury, to byli ludzie, którzy wprowadzie z ziemi wyszli, ale, albo na niej nie siedzieli, albo wogóle ją utracili. Czyli, parafrazując słowa Mickiewicza, można by im włożyć w usta zdanie: „Ziemio, ojczyzna moja! Ty jesteś, jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił”. Powtóre i to jeszcze trzeba uwzględnić, że, aby zrozumieć ogromne znaczenie ziemi jako czynnika, kształtującego życie indywidualne i zbiorowe, trzeba się umysłowo i etycznie wznieść tak wysoko, aby móc na nią spojrzeć okiem ducha. Czyli, jak ja to sobie raz sformułowałem, aby ziemia okazała człowiekowi swe wieczne, boskie oblicze, trzeba ją przeorać nie tylko żelaznymi plugami, ale i lemieszami ducha.

— Otóż to, to jest właśnie określenie którego szukałem — uradował się Roświcki. — Tak, trzeba ziemię przeorać lemieszami ducha! A ci, którzy to uczynili, noszą już na sobie na zawsze niezatarte piętno synów ziemi. O tem właśnie myślałem, mówiąc, że synowie ziemi są więcej wartosciami, niż synowie miast. Przecież to widzi się dokładnie w naszej poezji i sztuce. Kto z tych twórców ma w sobie żywiołowy pęd, szeroki oddech i mistyczny polot, ten napewno pochodzi z ziemi. — Tych cech nie zdobędzie nigdy człowiek, który urodził się w miejskich suterrenach, albo obok sklepiku, czy szewskiego warsztatu, czy wreszcie obok bankierskiego kantoru, chociażby był zresztą najbardziej szacownym artystą. Jakże dyshawiczna jest np. powojenna poezja urbaniczna, robiona przez utalentowanych nawet nieraz żydów!

— Tak, teraz zgadzam się z panem najzupełniej!

— Wie pan co, panie Andrzeju? Pan mię tak chwycił za serce swemi lemieszami ducha, że musimy wypić „na ty”. Ale to już z tej nowej butelki. Mów mi po prostu. Zbigniewie, a „pana Roświckiego” złoż do aktów!

Wypili duszkiem przez splecione ręce i ucałowali się serdecznie.

— Tak tedy — mówił dalej Roświcki, zapalając papierosa — jesteśmy, Andrzeju kochany, zgodni co do tego, że ziemia, oczywiście pojęta jak najobszerniej, a więc razem z swemi wodami, powietrzem i z swą kopułą niebieską, po której przesuwają się jej pokrewne światy, jest czynnikiem,

uszlachetniającym duszę ludzką i najpotężniejszym źródłem i bodźcem twórczości.

— Jazbyłm miał nie pisać się na to? Przecież ona jest moją matką i kochanką najświętszą. Jej zawdzięczam całe moje szczęście i cały mój ludzki ból. Ona jest *prima causa* i *ultima ratio* mojej sztuki!

— Za to cię kocham, mój ty synu ziemi! A jak dalece ziemia jest potrzebna do twórczości, tego dowodem a *contrario* są Żydzi. Ten naród bez ziemi, właśnie z tego powodu nie będący narodem, ale gromadą ludzką, ta więc gromada ludzka, pomimo swych Spinozów i Einsteinów, zupełnie jest pozbawiona zdolności twórczych. Żydzi w najlepszym razie zdobywają się na twórczość wyłącznie mózgową, spekulacyjną, matematyczną. Ale tam, gdzie jest niezbędny żywioł uczucia, a więc w sztuce, jakąkolwiek-by ona była, zawodzą stanowczo. Tę jasnowidzącą hipertrofię uczucia, z której sztuka się rodzi, dać może tylko ziemia.

— Tę rzecz można jeszcze sprecyzować dokładniej. Żydzi posiadali zdolności twórcze, jak długo mieli ziemię, a więc jak długo byli narodem. Wtedy wydali wspaniałą poezję, która nosi nazwę „Ksiąg proroków”. Ale z chwilą, kiedy ziemię utracili, kiedy rozprószyli się po świecie i przestali być narodem, z tą chwilą źródła ich twórczości wyschły.

— Tak jest istotnie! A skoro ziemia wywiera tak olbrzymi i dodatni wpływ na duszę człowieka, na całokształt jego psychofizycznych właściwości, trzeba stąd wyciągnąć dalsze konsekwencje. Trze-

ba mieszkańcom miast dać jak najszerszą możność obcowania z ziemią, poznania jej. Trzeba z nich zrobić, jeśli już nie synów, to przynajmniej pasierbów ziemi. Dlatego ruch skautowy, który młodzież z miast uczy współżyć z naturą, przenosi ją na łono pól i lasów, zasługuje na najwyższe uznanie. To jest najlepsza szkoła poczucia obywatelskiego i patriotyzmu. Również ogromne znaczenie przypisuję nowożytnym ideom miast ogrodowych, willi urzędniczych i domków robotniczych z ogrodami, działek szkolnych, konwiktów szkolnych po wsiach i t. d. Trzeba ludziom miejskim, którzy utracili kontakt z ziemią, kontakt ten oddać z powrotem. To wszystko są najsilniejsze dźwignie nacjonalizmu. Jestem przekonany, że wszystkie teorie międzynarodowe i wywrotowe straciłyby posłuch wśród robotników, gdyby każdemu z nich dano możność grzebania w kawałku własnej, lub przynajmniej w dożywocie mu danej ziemi i rozmawiania z jej duchem. Te rośliny i kwiaty, któreby uprawiał, wiązałyby go dopiero organicznie z ziemią, a przez nią z narodem.

— Słowem, można ciebie, Zbigniewie, nazwać skrajnym geotropistą.

— Jakim tropistą?

— Geotropistą? Są heljotropiści, którzy uprawiają kult słońca, a ty jesteś fetyszystą ziemi. Tak samo zresztą, jak ja. To jest geotropizm!

— A wiesz Andrzeju, że ty masz kwalifikacje na niemieckiego profesora. — Przylepisz na flaszeczkę z ideami nowotwór grecki i jesteś kontent. Udałeś mi się, rzeźbiarzu. Twoje zdrowie! A co? Prawda, że zacne winko? Rozwiązuje język

i w ciemnotę mózgu ludzkiego wprowadza lucida intervalla, a nie pociąga za sobą nawet bólu głowy. Jutro rano wstaniesz zdrow i wesół jak wróbelek.

— Ale, że popełniamy grzech pijaństwa w najbardziej typowej formie, to także nie ulega wątpliwości.

— Wielka rzecz! Dziury w niebie z tego powodu nie będzie! Zresztą twierdzę, że każdy artysta, nie należący do sekty Yogów, albo sam nie mający własności medjumicznych, które pozwoliłyby mu jednoczyć się w stanie ekstazy z Duszą Wszechświata, powinien od czasu do czasu składać ofiarę Dionizosowi, jeśli nie chce, by mózg jego zamienił się w kupę trocin. Ale ja tu śpiewam przed tobą peany na cześć nacjonalizmu, a nie zapytałem się ciebie dotychczas, czy jesteś zwolennikiem, czy wrogiem nacjonalizmu?

— Myślę, że po tem, co ci powiedziałem o moim stosunku do ziemi, byłoby rzeczą dość trudną wyłączyć mię z grona wyznawców nacjonalizmu.

— Spodziewałem się tego!

— I właśnie czekam z niecierpliwością, kiedy mi zaczniesz wyłuszczać swoje metafizyczne przesłanki nacjonalizmu, jako poglądu na świat.

— Zanim to będę mógł uczynić — odparł Roświcki — musimy się wpierw porozumieć, co to jest nacjonalizm. Jak sądzisz, czego potrzeba, aby nacjonalizm w pewnym punkcie globu ziemskiego się wytworzył?

— Do tego potrzeba narodu, który byłby podmiotem uczuć i poglądów nacjonalistycznych.

— A czego potrzeba, aby powstał naród?

— Dwu czynników: ludzi związanych ze sobą wspólnością rasy i języka, a nadto ziemi, któraby była tych ludzi własnością, kolebką i grobem, materialnym łącznikiem pomiędzy nimi a wszechświatem.

— To jeszcze za mało! Może jakiś szczep ludzki stale zamieszkiwać pewien obszar ziemi, a pomimo to nie będzie jeszcze narodem. Nie można przecie nazwać narodem Indian Ameryki Północnej lub jednego z murzyńskich szczepów Afryki.

— Ach, o to ci idzie? — zawołał Andrzej. — Więc potrzeba jeszcze, aby ten szczep wzniósł się na pewien wyższy stopień kultury.

— Tak! Potrzeba, aby pomiędzy ziemią a ludem, stale ją zamieszkującym, istniał pewien łącznik duchowy. Tym łącznikiem może być tylko tradycja, to jest stale w świadomości zbiorowej tego ludu obecne poczucie całokształtu materialnej i duchowej pracy cywilizacyjnej, przez lud ten w przeszłości dokonanej. Przez wieki i od wieków mrą pokolenia, grzebane w tej samej ziemi, z której rodzą się pokolenia nowe. W ten sposób ziemia i ludzie stają się fizyczną jednością. Myśli ludzi zmarłych, zaklęte w dzieła nauki i sztuki, w legendy i podania, a więc w tradycję pisaną i ustną, są myślami tej ziemi, z której ci ludzie powstałi. W ten sposób ziemia i ludzie stają się duchową jednością. Z chwilą, kiedy jakiś lud uświadomi sobie znaczenie tradycji, tę fizyczną i duchową jedność z swoją ziemią, z tą chwilą staje się narodem z kategorii, etnicznej staje się kategorią narodową. Po prostu po-

trzeba, aby ten lud przeorał swoją ziemię lemieszami ducha, jak to pięknie określiłeś.

— Więc mamy już naród, ale nie mamy jeszcze nacjonalizmu.

— Czego się śpieszysz? — zaśmiał się Roświecki. Na wytworzenie nacjonalizmu ludzkość czekała dziewiętnaście wieków, licząc od Chrystusa i jakie cztery tysiące lat przed Chrystusem. Prąd ten jest w całości wytworem XX wieku dopiero. Zaczątki jego i sformułowania ideowe istniały już wprawdzie z końcem wieku XIX-go, ale praktyczne realizacje rozpoczęły się dopiero po wielkiej wojnie, która ma tu dla nas znaczenie słupa granicznego. W klasycznej formie przejawił się nacjonalizm narazie jedynie we Włoszech, gdzie dzięki genjuszowi Mussoliniego, karnośći faszystów, cudownej woli trwania, wrodzonej narodowi włoskiemu i przenikającej go nawskroś wspaniałej kulturze łacińskiej, powstało pierwsze nowożytne państwo, świadomie przez twórców swoich oparte na elementach ziemi, narodu i tradycji. Za przykładem Zjednoczonych Włoch podąża Zjednoczona po rozgromieniu Niemców Francja, która ma swego genjusza nacjonalistycznego w Poincaré'm. W Polsce nacjonalizm został teoretycznie przygotowany i w życiu zainicjowany przez wiekopomną pracę Romana Dmowskiego i jego towarzyszy, ma jednak w praktyce do zwalczania wiele trudności wskutek nadmiernej ilości pasorzytujących u nas żydów, którzy z zaciekłością, przy pomocy całego międzynarodowego aparatu finansowego i prasowego, propagują i fakturować azjatycki komunizm i niemiecko-masoński, a przedewszystkiem swój własny, żydo-

wski socjalizm, to jest komunizm, którego teoretyczna absurdalność została ze względów oportunistycznych zreaktyfikowana przez kompromis z wymaganiami życia. Największą zaporą normalnego rozprzestrzenienia się nacjonalizmu u nas jest ów potworny nadmiar żydów: cztery miliony osiemset tysięcy! Najzdrowszy organizm musi pod wpływem takiej ilości bakcyli ulec zaburzeniom. Wierzę jednak głęboko w rychłe, ostateczne zwycięstwo nacjonalizmu w Polsce choćby dlatego, że jako najmłodsi z Arjów najbliżsi jesteśmy ziemi tj. żywiołu. Wiedzą o tem żydzi i dlatego z całą furją zwracają przeciw nam wszystkie swoje destrukcyjne wysiłki. Ale na nic im to się nie przyda, bo nasze konstrukcyjne zdolności muszą odnieść przewagę! No jakże? Czy twój profesorski umysł ma mi co do zarzucenia? Bo wiesz, ty, jak na artystę, masz za dużo logiki i wogóle rozsądku.

— Dobryś sobie! Irracjonalizm w tworzeniu, logika w rozumowaniu. To zdaje się było zawsze cechą naprawdę wielkich artystów. A twoje wywody uważam za słuszne. Myślę jednak, że pierwiastki nacjonalistyczne istniały zawsze, nawet w Grecji starożytnej i w Rzymie.

— Zapewne, np. jako miłość ojczyzny, pragnienie zapewnienia jej trwania, wielkości, potęgi. Ale dawny patriotyzm miał charakter wyłącznie uczuciowy, instynktowny i odruchowy. Natomiast nacjonalizm jest świadomą, zdyscyplinowaną myślą. Dawny patriotyzm mógł zboczyć i istotnie zbaczał często na tory imperjalizmu i kosmopolityzmu. W nacjonalizmie jest to niedopuszczalne, jeśli nie ma zwyrodnieć.

To mówiąc, Roświcki odkorkowywał nową butelkę. Przez chwilę rozkoszowali się winem w milczeniu, poczem Andrzej rzekł:

— Zdaje mi się, że myśl twoją można ująć w tezę następującą: Aby pewien naród dojrzał do nacjonalizmu, potrzeba, by wzniósł się nie tylko na wyższy stopień kultury umysłowej, ale także na wyższy poziom kultury etycznej. Element etyczny jest w nacjonalizmie potrzebny nie tylko na wewnątrz, ale i na zewnątrz. Nacjonalizm bowiem stawia ponad interesami jednostki, zawodu, czy kasty, prawa narodu i państwa, jako jego funkcji. Od członków narodu, względnie od obywateli państwa, nacjonalizm wymaga, aby wyrobili w sobie poczucie odpowiedzialności za losy narodu, jako kategorii wiecznej. To jest oczywiście możliwe tylko przy wysokim rozwoju poczucia etycznego, które musi być w każdym razie znacznie subtelniejsze, niż w poglądach kastowych, wychodzących z założeń materialistycznych i egoistycznych. Ta etyka jest w nacjonalizmie także niezbędna, jeśli idzie o stosunki pomiędzy narodami. Bo credo nacjonalistyczne mówi: ta ziemia, zamieszкана przez mój naród, który jest z nią na wieki (tj. na czas trwania ludzkości i ziemi) związany tradycją kulturalnej pracy wielu pokoleń, ta ziemia jest moja i od niej wara wszystkim innym narodom. Ale równocześnie credo nacjonalistyczne uznaje i szanuje takie same prawa innych narodów i mówi: mnie również wara od ich ziemi!

— Świetnie to określiłeś! — uradował się Roświcki. — Nie mam ani słowa do dodania lub zakwestjonowania.

— Ale ja mam! Mam liczne obiekcje pod adresem nacjonalizmu.

— O, aż liczne! Dlaczego kłócisz się ze mną, kiedy sam jesteś nacjonalistą?

— Najpierw dlatego, że dyskusja ustałaby, gdybym ci tylko ciągle potakiwał. A powtóre w ten sposób lepiej sobie uświadomimy przedmiot, który nas obu żywo obchodzi. A że według twej zapowiedzi, Dionizos skroplony w tem winie, rozwiązał nam języki, więc mam aż nadto powodów, aby ci stawiać obiekcje.

— Słucham ich z cierpliwością.

— Mam najpierw wątpliwość, czy granica pomiędzy imperjalizmem a nacjonalizmem jest istotnie tak ostra i wyraźna, jak to przed chwilą przedstawiłeś.

— Ho, ho, zaczynasz być chytry i nieszczerzy! Tej wątpliwości na serjo mieć nie możesz, bo rozumiesz doskonale, że pomiędzy temi pojęciami jest cała przepaść. Związku z ziemią, a więc i granic ekspansji przez ten związek nałożonych, w imperjalizmie niema wcale. Imperjalizm — to jest egoizm i pycha, które chcą swe władanie rozprzestrzenić do granic możliwie najdalszych, jeśli można, nawet na cały glob ziemski. Imperjalizm chce swój język, swoje prawo, swoją cywilizację narzucić narodom podbitym, jest polipem, który dąży do tego, aby cały świat wyssać i uczynić go żerem dla jednego narodu. Takim był imperjalizm rzymski w starożytności, takim był też do niedawna imperjalizm niemiecki. Z tem wszystkiem nacjonalizm niema nic wspólnego. Nietylko nie jest w niczem do niego podobny, ale stanowi wprost

jego przeciwieństwo. Tam niema ani związku z ziemią, ani tej etyki, którą sam w definicji nacjonalizmu wymieniał jako istotną cechę. Mięszać oba te pojęcia może tylko ktoś, kto zupełnie zasad nacjonalizmu nie zna. Nie Jędrusiu, ten zarzut zupełnie ci się nie udał!

— Kapituluję! — śmiał się Andrzej, rozbawiony podrażnieniem przyjaciela, który perorował zirytowany, choć wiedział, że jego oponent symuluje tylko odmienną zapatrywań. — Ale jak sobie poradzisz z zarzutem, że nacjonalizm w czystej formie byłby możliwy tylko wtedy, gdyby narody były terytorjalnie — że się tak wyrażę — skomasowane? Ponieważ jednak na pograniczach z reguły są terytoria mieszane, więc na tych obszarach mniejszości narodowe muszą ulegać władaniu większości, a to już zanosi silnie znienawidzonym przez ciebie imperjalizmem.

— Zagadka wcale nie jest tak trudna jak ci się wydaje! Jeżeli oba narody, sąsiadujące ze sobą i na pograniczu wskutek tego wytwarzające po obu stronach mniejszości, są narodami w istotnym słowa znaczeniu, to jest znajdują się na wysokim stopniu kultury umysłowej i etycznej, potrafią łatwo i sprawiedliwie uregulować swoje w tym zakresie stosunki w ten sposób, że wzajemne mniejszości zupełnie nie będą odczuwały ciężaru obcej państwowości. Sprawa staje się bardziej skomplikowaną wtedy, gdy jeden z tych narodów jest w gruncie rzeczy nie narodem, ale szczepem etnicznym, bez żadnej poważnej tradycji cywilizacyjnej, udającym tylko naród, i — jak każdy organizm, który stoi na niskim stopniu rozwoju —

wykazującym zupełnie ludożercze apetyty! Lecz wtedy jest właśnie rzeczą słuszną, aby ow pseudo-naród, względnie jego część, o którą w danym wypadku idzie, uległ zwierzchnictwu narodu prawdziwego, zasilając się jego kulturą, tak długo, dopóki sam się nie stanie narodem i nie nabędzie w ten sposób zdolności do utrzymywania z innymi narodami stosunków cywilizowanych.

— Hm, hm — przypuśćmy! Aby ci sprawę utrudnić, skonkretyzujmy ją i weźmy przykład najbliższej nas obchodzący. Jak ze stanowiska nacjonalizmu powinien być uregulowany nasz stosunek do Rusinów? Poczekaj! Aby ci dać problem możliwie najbardziej skomplikowany i uniknąć wszelkich możliwych restrykcji przyjmijmy odrazu, że Rusini są rzeczywistym narodem.

— Odpowiem ci bez namysłu. Skoro przyjęliśmy, że Rusini są już naprawdę narodem, to musimy przyjąć także, że prędzej czy później uzyskają własne, niezawisłe państwo, oczywiście tam, gdzie w zwartej masie mieszka większość ich narodu, a więc na Ukrainie, z Kijowem, jako stolicą i ośrodkiem. Gdy się to stanie, uregulowanie praw mniejszości polskich w państwie ruskim i ruskich w państwie polskim nie będzie przedstawiało poważniejszych trudności. Jeżeli zaś Rusini państwa swego nie stworzą, to okaże się, że popełniłeś błąd, każąc mi przyjmować, że są już narodem. W każdym razie ziemia wschodniej części Małopolski, która jest z nami związana tradycją wiekowej pracy cywilizacyjnej, nie może im spaść w ręce, jak dojrzały owoc, dlatego tylko, że nieliczni przywódcy narodowo nieświadomionej ma-

sy etnicznej, mają kannibalskie apetyty. Ten kraj jest polski i tylko w polskim władaniu może pozostać. To jest niezłomne prawo ziemi. Uważasz pan dobrodziej! Czy jesteś zadowolony?

— Owszem.

— Chwała Bogu! Czy masz jeszcze dalsze obiekcje?

— Jeszcze tylko jedną. Co odpowiesz na tak częsty w ustach wszelkiego pokroju liberałów i radykałów zarzut, że nacjonalizm jest synonimem reakcji, obskurantyzmu, zacofania, ucisku, wyzysku społecznego itd.?

— No, wiesz, signor Andrea! — zachnął się Roświcki — jeżeli masz mi powtarzać brednie, wypisywane w prasie radykalnej, wspieranej przez żydo-masonów, lepiej zamknijmy dyskusję! Nacjonalizm jest wytworem XX-go wieku, a więc epoki, w której idee demokratyczne stały się własnością ludzkości, weszły w jej ciało i krew. Twórcami nacjonalizmu wszędzie, gdzie się pojawił, byli nie feudałi i bankierzy, ani posiadacze jakiegokolwiek przywileju, ale pracownicy myśli, inteligentni proletariusze, demokraci czystej krwi. To raz! A powtóre, fundamentem nacjonalizmu jest związek z ziemią całego narodu, wszystkich jego członków, a nie tylko pewnych uprzywilejowanych jednostek. Jasnem więc jest, że fizyczne i duchowe owoce tej ziemi, to jest dobra materialne i kulturalne, muszą być tak równomiernie i sprawiedliwie, jak to tylko w stosunkach pomiędzy ludźmi jest możliwe, rozdzielane pomiędzy wszystkich członków narodu. Maksimum oświaty i kultury duchowej, oraz maksimum dobrobytu dla jednostki, jakie da

się osiągnąć po poprzednim zabezpieczeniu trwałości i potęgi narodowi, jako całości, oto jest naczelne hasło społeczne każdego rzetelnego nacjonalizmu, hasło — przyznasz chyba — nawskróś demokratyczne. Oczywiście, może się to bardzo niepodobać rozmaitym wywrotowcom, demagogom i innym borbifaksem, że nacjonalizm uznaje tylko stopniowy postęp ewolucyjny, a potępia rewolucję. Ale to wynika z zasady rozwojowej i etycznej, z której nacjonalizm wychodzi. Bo każda rewolucja, choćby w skutkach zbawienna, przynosi z sobą bezmiar zbrodni i ruinę kultury. No jakże? Czy mój szlachetny glinolep i gładziak uważa moją odpowiedź za wystarczającą?

— Najzupełniej! Chciałbym tylko jeszcze wiedzieć, co powiesz na zarzut wyznawców międzynarodowych teoryj społecznych, którzy przypisują sobie wyższość nad nacjonalistami, ponieważ służą ludzkości, a nie jego cząstce, jaką jest naród, ponieważ chcą szczęścia człowieka, a nie Francuza, Anglika, Niemca czy Polaka.

— To jest właśnie największy nonsens wszelkich liberalizmów, socjalizmów i komunizmów, oraz wszelkich rzekomo wzniosłych idei „wyzwolonych z ciasnych przesądów narodowych obywateli świata”. „Ludzkość”, „człowiek” — to są pojęcia abstrakcyjne, to są racjonalistyczne fikcje, które w rzeczywistości nie istnieją.

Jak niema na ziemi „świata roślinnego” in abstracto ani „drzewa” in abstracto, a są tylko dęby, buki, sosny, kasztany, palmy i drzewa figowe, tak niema na ziemi ani jakiegóż „ludzkości”, ani jakiegoś „człowieka absolutnego”, ale właśnie

są tylko Francuzi, Anglicy, Niemcy, Polacy, Włosi itd. Hasło: „proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” jest absurdem, co empirycznie wykazała wojna światowa. Niema solidaryzmu ani ludzi wogóle ani proletariuszów, bankierów, obszarników, czy chłopów Europy, czy całego świata, a tylko może być i powinien być solidaryzm wolnych narodów, jako organicznych funkcij ziemi, to jest żywiołu, to jest wszechświata, czyli Boga. Tylko, gdy wszystkie narody Ziemi dojrzeją do nacjonalizmu i zacząną wzajemnie szanować swoje prawa do ziemi ojczystej, gdy znikną wszelkie imperjalistyczne wyzyski, nie tylko polityczne, ale i gospodarcze, a narody całego tego naszego globu będą żyły, jak ludzie równi, wolni i zamożni, wtedy dopiero niezliczone dysonanse, rozdzierające ludzkość zostaną ujęte w harmonję prawdziwie boską, wtedy suma zła na Ziemi zostanie do minimum ograniczona. Ograniczona — mówię — bo o zupełnem jej zniesieniu, o stworzeniu na Ziemi raju, jak to marzyli utopiści — mowy być nie może, z tego prostego powodu, że życie, obleczone w kształt materji, jako wynik cierpienia Boga, samo cierpieniem być musi, o tyle przynajmniej, że nigdy z niego zupełnie wyzwolić się nie zdoła.

— Znów te tajemnicze słowa o cierpiącym Bogu!

— Nadchodzi czas — pocieszył Andrzeja Roświcki — kiedy i o tem będziemy mogli pomówić, bo pozostała nam jeszcze jedna tylko butelka wina i — zdaje mi się — że zbliża się do nas stan Pteron, w którym dwaj kulturalni Polacy, gdy im się Dionizos objawi, zawsze rozmawiają o Bogu.

— Niesłuchanie jestem spragniony tej rozmowy, ale ponieważ zarzuciłeś mi profesorskie skłonności, więc muszę utrzymać się w roli i żądać systematyczności. Otóż nie skończyliśmy jeszcze z ziemią i z nacjonalizmem, jako z poglądem z niej wyrosłym. Mianowicie dwa jeszcze tematy chcę poruszyć.

— Słucham!

— Najpierw powiedz mi, dlaczego nacjonalizm, który jest teorią tak szczytną, kulturalną, etyczną i demokratyczną, rozszerza się stosunkowo tak powoli i tak wielu ma wrogów?

— Przedewszystkiem era nacjonalizmu dopiero się zaczęła. Jest to prąd, który ma prawie całą przyszłość przed sobą. A wrogów ma nacjonalizm wielu głównie dlatego, że wypowiada wojnę wszystkim międzynarodówkom, jako kierunkom, negującym ziemię i związek z nią. Ponieważ zaś we wszystkich tych, do niedawna wszechwładnych, a i dziś ciągle jeszcze bardzo potężnych międzynarodówkach, jak masoneria, wielka finansjera, komunizm, socjalizm, rolę decydującą odgrywają żydzi, więc krótko można powiedzieć, że nacjonalizm ma wielu wrogów, ponieważ podjął walkę obronną przeciw żydom.

— Jak uważam, jesteś straszliwym antysemitą.

— Przeciwnie jestem największym przyjacielem żydów, życzę im o wiele lepiej, niż oni sami sobie. Jestem przekonany, że cała, okropna niemoralność żydów, ta ogólnie znana i dostatecznie już wyświetlona, głęboka ich deprawacja, płynąca z przerażającej etyki talmudu, która nakazuje im „ssać szpik” narodów innych i z góry rozgrzesza

ich z zbrodni, popełnianych na „goimach” — jestem przekonany, że to wszystko wynika z zasadniczej tragedji żydowskiej, z tego wstrząsającego faktu, iż są oni narodem bez ziemi. Stąd płyną wszystkie ich potworne wady, które ściągnęły na nich nienawiść całego świata, wskutek tego, jak kaniańka i jemiola w świecie roślin, stali się pasorzytami w świecie ludzkim, owemi przeklętymi „pchłami ludzkimi”, jak ich nazwano w Ameryce. Straciwszy swą ziemię, żydzi zwyrodniali. Ich instynkt narodowy wypaczył się do tego stopnia, że większość ich nie pragnie już nawet odzyskania tej ziemi, bo im wygodniej pasorzytować na ziemiach cudzych, bo dzięki złej mocy złota, które skupili w swem ręku i za które kupują prasę i mężów stanu, śnią im się olbrzymie, piekielne sny o panjudaistycznym panowaniu nad całym światem. Największą zaporą na ich drodze do zrealizowania tego celu jest nacjonalizm; dlatego żyd niczego tak się nie lęka i niczego z taką wściekłością nie zwalcza, jak nacjonalizm. Ale nacjonalizm, jako idea żywa i w przyszłość idąca, musi zwyciężyć, a żydów pokona najwznioslejszą i najszczytniejszą bronią, jaką sobie można wymarzyć: zwróci im ich ziemię. A gdyby spodleli do tego stopnia, iżby do tej ziemi wrócić nie chcieli, to ich zmusi do tego. Gdy nacjonalizm zapanuje w świecie, solidarny wysiłek wszystkich narodów będzie się musiał skierować ku temu, aby żydów całego globu zgromadzić na ich własnej ziemi. Wtedy dopiero wyszlachetnieją i odzyskają utraconą godność narodową, wtedy dopiero naprawdę staną się narodem. A ludzkość cała odetchnie,

ustaną wśród niej tarcia i niepokoje, skończą się rewolucje i wojny, nastanie era szczęśliwości takiej, jaka wogóle dla rodu ludzkiego jest dostępna. Harmonijny zespół wolnych narodów wyjdzie nareszcie ze stadjum zwierzęcości i będzie mógł większość swoich wysiłków poświęcić celom wiecznym, celom Ziemi i Wszechświata.

— Tak! — rzekł Andrzej, porwany wizją, roztoczoną przez Roświckiego. Niezlomne prawo ziemi i prawo związku człowieka z ziemią nie może być bezkarnie gwałcone. Dopiero w rozmowie z tobą zrozumiałem wielkość Ziemi i metafizyczne jej wartości, które dotychczas wielbiłem tylko instynktownie i podświadomie. Niech żyje Ziemia!

— Niech żyje! — powtórzył z zapalem Roświcki. — Ale taki toast wypija się duszkiem. Tak, tak, ów dobry cesarz Tytus, zwany amor et deliciae generis humani, wyrządził światu największą krzywdę, jaką zna historia, burząc w r. 70 świątynię w Jerozolimie i rozpraszając żydów po świecie. Za tę zbrodnię ludzkość cała pokutuje do dziś.

— A mnie się zdaje — zauważył Andrzej — że Tytus mimo wszystko był dobroczyńcą ludzkości, bo tragedia żydowska i klęski, jakie ona na wszystkie narody sprowadziła, były może potrzebne dla tajemnych przeznaczeń wszechświata. W żydach jest coś z tej siły, którą Goethe usymbolizował w postaci Mefistofelesa. Rozumiesz? „Ein Teil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft”. Żydzi nienawidzą narodów, na których pasorzytują i pragną ich zguby, ale ostatecznie nigdy nie potrafią celu swego osią-

gnąć, a zbrodnicza ich działalność w końcu obra-
ca się na korzyść tych narodów. Taki rozkładany
i zatruwany przez żydów naród długo znosi cier-
pliwie trapiące go chorobowe bakcyle, aż wreszcie
gdy złe miarę przebierze, a ciesząc się bliskim
tryumfem Izrael „skacze radośnie przed Panem”,
naród ów budzi się z uśpienia, wydobywa z głębi
zbiorowej, przez ziemię swą ukształtowanej duszy
olbrzymie zapasy sił i zdrowieje tak, że żydowskie
bakcyle muszą emigrować z tego zregenerowane-
go organizmu, albo zginąć. W czasach i krajach
barbarzyńskich kończyło się to zawsze rzeziami
i pogromami. W okresach kulturalnych wynajdują
narody inną broń, humanitarną, ale niemniej sku-
teczną. U nas np. każdy już chyba myślący Polak
wie, że jedynym i niezawodnym środkiem przeciw
żydom jest ujęcie handlu i przemysłu w ręce pol-
skie. W epoce zwycięskiego nacjonalizmu walka
z żydami na całym świecie zakończy się wypędze-
niem żydów z wszystkich krajów do ich własnej
ziemi, którą im odda zbiorowy wysiłek wszystkich
narodów.

— I ja tak myślę — rzekł Roświcki. — Przy-
musowe wysiedlenie żydów całego świata do Zie-
mi Obiecanej i przymusowe przerobienie ich na
naród będzie ukoronowaniem tryumfu nacjonalizmu.
A jakąż drugą kwestję chciałeś jeszcze poruszyć
w związku z nacjonalizmem, jako systemem myśli
opartym na ziemi?

— To jest — odparł Andrzej — kwestja czy-
sto formalna, że tak powiem metodologiczna. Idzie
mi o to: mówiłeś mi przed tygodniem, że pracu-
jesz nad nacjonalizmem, jako poglądem na świat.

Tymczasem nacjonalizm, jaki dotąd wyłonił się z naszej rozmowy, jest wprawdzie czemś znacznie więcej, niż jakiś program partyjny, ale nie wykracza poza granice teorii polityczno-społeczno-ekonomicznej. Natomiast nacjonalizm, pojęty jako pogląd na świat, musiałby być ściśle związany z finalnymi problemami entologii, kosmogonji i metafizyki, musiałby wejść w kontakt z zagadnieniami bytu, wszechświata i absolutu. Każdy zresztą wielki pogląd socjologiczny ma także swoje filozoficzne założenia. Socjalizm np. opiera się na grubym materializmie i na zwierzęcości natury ludzkiej. Tem tłumaczy się materialistyczne pojmowanie dziejów, obecność żydowskich motywów zemsty i nienawiści, wreszcie walka klas.

— Oczywiście, że o nacjonalizmie myślę tylko, jako o poglądzie na świat. Ale to pozostaje w bezpośredniej łączności ze sprawą cierpiącego Boga. Teraz bez przeszkód już do niej przystąpimy. Otwieram ostatnią butelkę boskiego soku ziemni i czuję już wyraźnie obecność tego trzeciego.

— Tego trzeciego?

— Nie dziw się i nie myśl, że zaczynam bredzić! Gdy dwie istoty ludzkie, duchowo z sobą szarmonizowane, w stanie egzaltacji, mniejsza o to, czem wywołanej, mówią o Bogu, zawsze pojawia się wśród nich Wielki Trzeci. I dziś już był między nami trzeci, ale to był Mały Trzeci, przekorny chochlik, który kazał ci przekomarzać się ze mną i drażnić mnie udawaniem, że jesteś antagonyistą moich poglądów. A teraz zbliża się Wielki Trzeci, który zasiądzie tu z nami i pomoże nam, aby dusze nasze porozumiały się z sobą bezpośre-

dnio, na podstawie dialogu wewnętrznego, przy bardzo małym tylko współudziale słów. W ten sposób w ciągu kilkunastu minut powiemy sobie więcej, niżby to w normalnych warunkach było możliwe w ciągu tygodni i miesięcy.

— Cudowny jest zaiste taki towarzysz! — roześmiał się Andrzej. — A więc ten pierwszy kieliszek z nowej butelki na cześć Wielkiego Trzeciego!

— Niech żyje i niech jak najczęściej mieszka między nami!

— A teraz zaczynaj!

— Dobrze! Ale ponieważ dotychczas ty wyciągałeś mię na odpowiedzi, więc pozwól, że teraz ja zadam ci dwa pytania.

— Służę ci!

— Powiedz mi zatem, jak sądzisz, czy człowiek może coś wiedzieć i twierdzić o istocie bytu, o rzeczach samych w sobie, czy też to są sprawy dla umysłu ludzkiego wogóle niepoznawalne?

— Bezwarunkowo może! Zawsze miałem to wrażenie, że sztuczny i bez wartości jest Kantowski, tak zresztą subtelny, podział na noumena i phaenomena, na rzeczy same w sobie, o których nie wiemy i na zjawiska, to jest ten kształt rzeczy samych w sobie, w jakim one przedstawiają się naszej świadomości, w ten, a nie w inny sposób, dzięki pewnym apriorycznym formom naszego poznania. Wynika z tego, że, gdyby nasz umysł i nasze zmysły były inaczej skonstruowane, świat przedstawiałby się nam zupełnie inaczej. Otóż ten dualizm właśnie uważam za rzecz fałszywą.

— I słusznie! — podjął jego myśl Roświcki. — To, że nasze władze poznania są zbudowane tak, a nie inaczej, to nie przypadek, ani dowolność, ale ma to swoje głębokie uzasadnienie transcendentalne.

— Bezwątpienia! — wpadł mu znów w słowa Andrzej. — Ale nim się do tego doszło, trzeba było, aby ewolucjonizm zapanował w naukach przyrodniczych i aby stamtąd przeniósł się na całą niemal dziedzinę wiedzy. Teraz, zwłaszcza, że skądinąd skłonni jesteśmy do przyjmowania jedności materji, łatwo już jest nam pojąć, że materja w stopniowym rozwoju, od ciał nieorganicznych poprzez świat roślin i zwierząt, wytworzyła sobie, jako najwyższy narazie etap, umysł ludzki, za pomocą którego poznaje siebie samą.

— I że — dokończył Roświcki — nasze poznanie i rzeczy same w sobie to nie są dwa światy różne, lecz że to jest jedność, czyli że dualizm tutaj jest niepotrzebny, a natomiast jak najbezwzględniejszy monizm staje się koniecznością.

— Więc cóż z tego wynika?

— To, że, co umysł ludzki, stojący na wyżynie wiedzy swego czasu rozumnie i logicznie pomyśli o istocie bytu, to jest prawdą.

— Prawdą względną — poprawił Andrzej — prawdą ludzkości danego okresu, powiedzmy prawdą Ziemi, bo nie wiemy, jakie są współcześnie prawdy innych globów, czy innych światów, np. jakichś astralnych.

— W każdym razie — zakonkludował Roświcki — w prawdzie tej będzie część prawdy najwyższej, prawdy Wszechświata, którego Ziemia

jest częścią. — Widzisz, kochany, jak teraz doskonale rozumiemy się przy minimalnem zużyciu słów. A teraz drugie pytanie: czy uznajesz, że w wszechświecie istnieje celowość?

— Bezwarunkowo! Celowość spotykamy na każdym kroku w naturze człowieka i w jego działaniu, w budowie ciała ludzkiego, w ustroju roślin i zwierząt, nawet w ruchach planet i gwiazd, słowem wszędzie! Ponieważ zaś przyjmujemy, że z charakteru znanych nam cząstek wszechświata, możemy trafne wnioski wysnuwać o istocie całości, przeto nic słusznieszego jak twierdzenie, że teleologja jest zasadą, przenikającą cały wszechświat.

— Doskonale! — ucieszył się Roświcki. — A zatem stworzenie świata miało pewien cel, a jego istnienie również celu pozbawione nie jest?

— Oczywiście!

— Skoro zatem godzimy się, że materja, poznając stopniowo siebie samą, może coś wiedzieć o naturze wszechświata, i skoro godzimy się, że wszechświat urządzony jest celowo, czyli, jak ty to wolisz określać żargonem filozoficznym, teleologicznie, to jesteśmy już bardzo blisko koncepcji cierpiącego Boga.

— Przeczuwam już mniej więcej, jak go chcesz określić. Ale zmiłuj się! Cierpiący Bóg! Czyż to nie brzmi, jak herezja? Przecież Bóg jest najszcześniejszy!

— Czyż to coś tak bardzo nowego? Przecież idea cierpiącego Boga jest znana ludzkości. Przecież mamy ją nawet w naszym dogmacie chrześcijańskim!

— A to jakim sposobem?

— Czyż Chrystus nie był Bogiem, a mimo to cierpiał i umarł na krzyżu, wzięwszy na swoje barki grzechy całego świata?

— Ale cierpiał i umarł jako człowiek, nie jako Bóg.

— Wszystko jedno! W każdym razie z tego wynika, że Bóg może cierpieć.

— Daruj! — oponował dalej Andrzej — ale czyż ta koncepcja nie uwłacza majestatowi Boga? Czyż nie jest stokroć dostojniejszy Bóg najszczęśliwszy, wszechmogący i wszystkowiedzący?

— Niewątpliwie, tylko w takim razie trudno świadomości naszej pojąć, dlaczego Bóg, mający te wszystkie właściwości w najwyższym stopniu, stworzył świat. Zapewne, można przyjąć, że Bóg tworzy, jak wielki artysta, jak najwspanialszy dramaturg. Albo, że cały świat jest po prostu myślą Boga. Ale to wszystko nie bardzo przemawia do przekonania, bo brak w tem momencie konieczności. Pozatem taki Bóg, wielki myśliciel, czy wielki artysta, musiałby także cierpieć, bo w jego dziele, czy w jego myśli jest bezmiar cierpienia.

— A w twojej koncepcji cierpiącego Boga jest logika i konieczność dramatyczna.

Słusznie mówisz: „w mojej koncepcji”. Bo nic mnie to nie obchodzi, że może wielu ludzi przedemną doszło do tej samej idei. Ja do niej doszedłem samodzielnie w swych samotnych rozmyśleniach, przeto jest ona naprawdę i głęboko „moją”.

— Czy mi ją nareszcie wyjawisz?

— Owszem! Uważasz, przedstawiam to sobie tak. Bóg nie był ani nie jest skończony, nie był

ani nie jest, jak długo świat istnieje, ani najszczerliwszy, ani wszytkowiedzący. Trapiła go i trapi zwłaszcza tajemnica swego początku. W tym celu, aby ją poznać, stworzył świat. Po prostu wszystko, co w nim jest niejasne, nieuświadomione, ciężkie, zagadkowe, a niemniej przeto boskie, to jest właśnie świat materji, ten świat, którego drobną cząstkę znamy w postaci Ziemi. Materja, podświadomie ożywiona tą samą, co Bóg tęsknotą poznania zagadki bytu, w męce bezustannej, w pracy straszliwej, w cierpieniu niewysłowionem, bez przerwy się uszlachetnia, dystyluje, subtylizuje, przetrawia w kierunku duchowym.

— To jest typowy monizm panteistyczny! — przerwał Andrzej.

— Ach, nie możesz wyleczyć się z swej pasji do terminologji! Jest mi zupełnie obojętne, jak to nazwiesz. Tę samą myśl moją można ująć jeszcze inaczej. Na początku był Chaos. Ale Chaos, ożywiony podświadomą dążnością do porządkowania się, do jasności, słowem Chaos boski. Dlatego zaczął się Bóg wyłaniać z chaosu.

— Tak, jak to namalował Michał Anioł w swej Genesis na sklepieniu Sykstyny?

— Tak właśnie! Jest to najgenjalniejsze intuicyjne uchwycenie tej myśli w plastyce. I to wyłanianie się Boga z Chaosu materji trwa ciągle. Niczem innem nie jest rozwój materji poprzez świat form nieorganicznych, roślin i zwierząt, aż do świadomości ludzkiej, aż do tego wszystkiego, co nazwalismy prawdą Ziemi. Poza nią istnieją niewątpliwie prawdy innych globów, i prawdy innych jakichś — może astralnych — wyższych od

naszego światów. Suma tych wszystkich prawd w danym stopniu rozwoju poszczególnych globów i światów jest każdoczesną prawdą Wszechświata, czyli Boga.

— W czym są identyczne te obie twoje koncepcje?

— W tem, że tu i tam Bóg nie jest skończony, ale rodzi się bezustannie i że tu i tam to rodzenie się połączone jest z cierpieniem. Wreszcie tu i tam świat materialny i jego ciągłe doskonalenie się potrzebne jest Bogu dla jego wielkiego Celu. Ten pęd materji do ciągłego rozwoju, coraz wyższego, do ciągłego subtylizowania się, jest właśnie najczystsza miłością Boga. Tak pojęta miłość Boga jest najświętszym obowiązkiem człowieka uświadomionego, jako najwyższego tworu, na jaki zdobyła się narazie ta część Boga, którą znamy i czcimy jako Ziemię. Ludzie muszą pomagać Bogu do poznania siebie samego. To jest czynna miłość Boga.

— Wynikałoby z tego — wtrącił Andrzej — że najlepiej pomagają Bogu ci, którzy uprawiają okultyzm, medjumizm, praktyki Yogów, że największą przysługę oddał mu świat hinduski, świat buddyjskiej wiedzy tajemnej.

— Wcale nie! Wiem, że wykształceni Hindusi z pogardą patrzą na cywilizację europejską, zarzucając jej materializm, płytkość, dziecinny stosunek do Boga i do życia pozagrobowego, że dumni są ze swej wiedzy tajemnej, ze zdolności do telepatji, do jasnowidzenia, hypnotyzmu, ze swych cudów i z ekstatycznych widzeń swych świętych, wyprzedzających w takich chwilach rozwój Ziemi

o miljardy mil. Z tem wszystkiem nie oni, ale my właśnie, my pogardy godni Europejczycy, czy Amerykanie, wynaleźliśmy maszynę parową, motory elektryczne i benzynowe, automobile i aeroplany, telegrafy i telefony, a choćby tylko takie „zabawki”, jak fotografia, gramofon i kinematograf, które są dowodem, że w naturze żaden ruch i żaden dźwięk nie ginie, ale że oddziałują na cały wszechświat. Z tem wszystkiem my, zafocani ludzie zachodu zrobiliśmy w zakresie życia społecznego olbrzymi krok naprzód od starożytnego niewolnictwa i średniowiecznego feudalizmu do współczesnej równości ludzi wobec prawa, demokratyzmu i nowożytnego ustawodawstwa socjalnego. Tymczasem Hindusi, jako społeczeństwo, czy jako zbiór społeczeństw, grzęzną w mrokach największego barbarzyństwa, które byłoby jeszcze straszniejsze, gdyby nie „światło z zachodu”, przyniesione im przez znienawidzonych Anglików. A czyż to nie fenomenalny dowód niedołęstwa, że ci uduchowieni Hindusi pomimo całej cudotwórczej mocy swych faki-rów, yogów, proroków i świętych, nie zdołali dotąd zrzucić jarzma angielskiego? Czemże jest taki Ghandi, rozmawiający z Bogiem twarzą w twarz, który nie potrafił wyzwolić swej rasy z niewoli, w porównaniu z takim „zmaterjalizowanym Europejczykiem”, zwyczajnym, oburącz ziemi trzymającym się człowiekiem, z takim demokratą i nacjonalistą, jak Mussolini, który swój naród ujął w ręce genialne i pchnął go, a z nim razem całą ludzkość w słoneczną dal nowego postępu! I teraz pytam, kto więcej robi dla świętej sprawy Wszechświata, dla wielkiego celu Boga, czy taki buddyj-

ski cudotwórca, który swą wiedzę nadprzyrodzoną chowa egoistycznie dla siebie i dla szczupłej kasty wtajemniczonych, czy też Europejczyk, który, idąc krok po kroku, żmudną drogą ścisłej wiedzy przyrodniczej, co chwila wyrywa naturze nowe tajemnice, to jest co chwila jakiś kawał chaosu przemienia w boską jasność ducha, a zdobywszy ją raz, nie traci jej nigdy i nie ukrywa jej, dla olśniewania rzekomym cudem swych w najgrubszej ciemnocie pograżonych bliźnich, ale magnackim gestem rzuca ją w przestrzeń na pożytek całej ludzkości, całej Ziemi.

— Lecz może taki Hindus — zauważył Andrzej — wzniosłszy się za życia na niedostępne dla innych szczyty ducha, skraca sobie wskutek tego ogromnie ilość wcieleń, jakie go czekają z mocy prawa metempsychozy, a przez to samo przyczynia się bardzo do wzmożenia samowiedzy Boga, czyli przyspiesza zdobycie ostatecznej prawdy Wszechświata?

— Choćby nawet — odparł Roświcki — było tak istotnie, to jednak wyniki końcowe przemawiałyby na korzyść naszej kultury, a nie hinduskiej. Bo wskutek procederu buddyjskiego przebóstwa się zaledwie setki, powiedzmy w najlepszym razie tysiące duchów ludzkich, a cała ogromna reszta materialnej substancji Wszechświata pozostaje w mroku niewiedzy i zastoju. Natomiast dzięki naszej kulturze, jednostki wznoszą się w rozwoju wprowadzie znacznie wolniej ku górze, ale za to dźwigamy wzwyż nie poszczególne duchy, ale całą ludzkość, całą Ziemię.

— A więc Boga — wyjął mu z ust Andrzej

— poznaje się nietylko przez egzaltację indywidualnego ducha, ale także przez wiedzę ścisłą, przez wynalazki, przez postęp techniki.

— Bezwarunkowo! I dla wielkiej Sprawy Wszechświata jest to bez porównania ważniejsze, niż mistyczne przeczucie istoty bytu, niż objawienia genjuszów i wieszczów. Te wzloty jednostkowe, oczywiście o ile dojdą do świadomości współbliźnich, mają tylko — to „tylko” znaczy naturalnie ogromnie wiele — wartość rozbrzmiewających od czasu do czasu grzmiących pobudek, które wzywają ludzi, aby się nie zaspali w materialistycznej drzemce, aby mieli uszy i oczy otwarte na głosy Wieczności. Ale ogólny rozwój Ziemi w kierunku duchowości dokonuje się głównie przez ten powolny ale masowy postęp całej cywilizacji. Bo tu „społem” waży stanowczo więcej, niż samotna ekstaza, wynalazek aeroplanu znacznie więcej, niż wizja mistyka. Przemieniający olbrzymie kawały Chaosu w jasność duchową empiryczny umysł Leonarda da Vinci działał dla prawdy Wszechświata bez porównania więcej, niż Ruysbroeck. Swedenborg i wszyscy mistycy.

— O, pod tym względem masz zupełną rację. Modne potępienie renesansu, jako sztuki naturalistycznej, pozbawionej duchowości, politowania jest warte. W uśmiechu „Mony Lizy”, w kompozycji i w twarzy Chrystusa w „Wieczerzy” Leonarda znacznie więcej jest skondensowanej prawdy Wszechświata, niż w nieświadomych, choć tak wzruszających, metafizycznych tęsknotach gotyckiej katedry. A już zniewagą dla wielkiego maga renesansu byłoby porównywać z nim i mierzyć

miarą. Wieczności bezsilne majaczenia prymitywizujących ekspresjonistów. W ich żądzy uchwycenia Boga za nogi widzę niezmierną arogancję.

— Nietylko arogancję! Ta ich sztuka, bezprawnie „duchową” przezwana, jest z punktu widzenia mego poglądu na świat głęboką niemoralnością. Bo niemoralnością jest rewindykować dla każdego szeregowca sztuki przywileje, dostępne i dozwolone tylko genjuszom. Ta sztuka nie zmniejsza Chaosu, z którego Bóg się wyłania, ale go powiększa.

— Ta jest powojenna, oparami krwi ludzkiej spowodowana moral insanity duchów — dodał Andrzej. — A raczej była, bo na szczęście ta dywagacja już się skończyła. Ale wróćmy do twojej koncepcji Wszechświata! Gdzież jest kres tego odwiecznego subtylizowania się materji, tego wyłaniania się Boga z Chaosu?

— Droga to niezmiernie daleka i długa, na miliony naszych ludzkich lat obliczona. Przetrawione i przeduchowione musi być wszystko, co w Wszechświecie jest z materji. Nawet to, co jest najbardziej ohydne, plugawe, wstrętne, najbardziej w zwierzęcości zaspiane.

— A więc — roześmiał się Andrzej — także ten rudy, kaprawy handełes żydowski, skrzeczający od czasu do czasu pod memi oknami swoje rasowe: „handełe, handełe” ten chytry nędzarz, który jest dla mnie uosobieniem największej fizycznej i moralnej szpetoty życia!

— I on także! — Brzmi to groteskowo, ale niewątpliwie i on także! A kiedy zbiorowy wysiłek wszystkich ludzi przeduchowi i przebóstwi ca-

ły nasz glob i kiedy Ziemię całą, a raczej już wtedy Ducha Ziemi, jak dysk gładko toczony, ciśnie na łono Boga...

— Andrzej wpatrzył się w Roświckiego. Oczy zapłonęły mu żywym blaskiem. Lecz zaraz przy-mknął powieki i broniąc się przed natarczywością nagłego wizjonerskiego olśnienia, dokończył myśl Roświckiego w tonacji minorowej.

— Wtedy — rzekł — będzie koniec naszego świata.

— Tak, wtedy będzie koniec naszego materialnego świata, natomiast objawiona zostanie prawda Ziemi. A kiedy w ten sam sposób wszystkie słońca, gwiazdy i planety wypowiedzą swoje prawdy, wtedy nastąpi koniec materji Wszechświata, a całą nieskończoność po wieczność całą wypełni sam tylko Czysty Duch!

— Wtedy Bóg cały wyłoni się z Chaosu i schłonie go w siebie, wtedy narodzi się ostatecznie.

— Tyś powiedział!

— Wtedy skończą się Jego cierpienia, wtedy stanie się najszczęśliwszym, najmądrzejszym, wszechwiedzącym i wszechmogącym.

— Wtedy nie będzie już potrzebował pomocy ludzi i nie będzie potrzebował tworzenia.

— Czyli nastąpi Nirwana? — szepnął Andrzej.

— Można to i tak nazwać! — również szeptem powiedział Roświcki.

Zstało ku nim milczenie, które długo szumiało nad ich głowami orlemy skrzydłami zamyslenia o rzeczach wysokich.

Z zadumy wyrwał ich dopiero gwizd i huk samochodu, który, jak ostry nóż, rozdarł czarną tkaną nocy. Poczuli i z rozkoszą wciągnęli w płuca miodną, dyskretną woń kwitnących lip, którą powiew wiatru wlał do pokoju.

Roświcki obudził się, jakby z snu.

— Na pomyślność wielkiej Sprawy Wszechświata! — przypił do Andrzeja. — A o czym tak marzyłeś?

— Człowiek, duch wyłonił się z Ziemi, który Ziemię całą przebóstwiał, jak dysk gładko toczony, ciska na łono Boga! — To piękny obraz, bardzo piękny obraz! I całkiem w moim stylu.

— Spróbuj to wyrzeźbić!

— O, jakbym chciał, jak bardzobym chciał! Nawet sobie wyobrazić nie możesz, jak bardzo pragnąłbym tego. Ale to trudne, ogromnie trudne. No, mniejsza z tem. Trzeba się z tego narazie otrząsnąć!

Andrzej przeciągnął dłonią kilkakrotnie po czole, a potem jednym haustem wypił kieliszek wina:

— Ale nie skończyliśmy jeszcze naszej dyskusji! — rzekł po chwili z udaną swobodą. W jaki sposób łączysz swoją koncepcję Boga ze sprawą nacjonalizmu?

— To już chyba teraz zupełnie jasne. Nacjonalizm jako pogląd na świat, oparty na związku z Ziemią, został już chyba naszkicowany w konturach dość wyraźnych.

— Tak, tak! — odpowiedział Andrzej. — Rozumiem! Wielki Cel Boga... ludzkość musi pomagać... a więc musi wyjść ze stadium zwierzęcości...

na to nacjonalizm, oparty na ziemi, jest najlepszym lekarstwem... zespół narodów, w stopniu możliwie największym uwolniony od trosk materialnych... całą swą ogromną energję poświęca Wielkiej Sprawie, zdobyciu prawdy Ziemi, a przez nią prawdy Wszechświata... Tak to jasne, całkiem jasne!

— Oczywiście, że jasne! Do tego przecież od początku zmierzało to wszystko.

— Czy swoją koncepcję Boga uważasz za jedynie możliwą metafizyczną przesłankę nacjonalizmu?

— Wcale nie! Prawdą, tą najwyższą prawdą, dla każdego człowieka jest to, co jemu właśnie pozwala najlepiej orjentować się w chaosie bytu. Od nacjonalizmu za nieodłączny uważam tylko idealistyczny lot i religijny nastrój duszy. To jest granitowy fundament, wszystko inne może podlegać zmianom.

— To chwala Bogu! Bo inaczej mogłyby stąd wyniknąć grube nieporozumienia.

To mówiąc, Andrzej spojrzał na zegarek i przeraził się.

— Zmiłuj się! Trzy kwadranse na drugą! A zdawało mi się, że przed pół godziną była dziesiąta!

— Masz najlepszy dowód względności czasu — żartował Roświcki. Mamy jeszcze po kieliszku wina. Strzemiennego!

— Ale teraz czas już się rozstać.

— Nim pójdziesz, muszę jeszcze kilka słów powiedzieć o tobie i o... Wandzie. Teraz, gdy nasze dusze bezpośrednio już z sobą obcuja... teraz mogę już o tem mówić.

— Mów! — rzekł Andrzej z sztucznym spokojem.

— Otóż ta wiadomość z Wenecji, wiesz? o tej bella Polacca dolente, jest dla ciebie bezwarunkowo pomyślna.

— A to jakim sposobem?

— Wanda jest ciągle smutna. Chyba nie z powodu choroby Goździeńca. Tęskni za tobą, żałuje swej nierozważnej ucieczki, pragnie powrócić do ciebie.

— Ona pragnie powrócić? — zawołał Andrzej prawie ze strachem. Skąd wiesz o tem? Dlaczego tak sądzisz?

— To jest całkiem dla mnie jasne. To wszystko, co Wanda dla ciebie zrobiła, zanim została twoją żoną, jest dowodem, że jej miłość była prawdziwa, głęboka, uduchowiona. Ale ta miłość padła na grunt — tu muszę użyć twego własnego wyrażenia — niedość jeszcze przeorany lemieszami ducha, niedość przesiąknięty etyką ziemi. Wskutek tego jej przyrodzona bujność nie mogła znaleźć właściwego ujścia. Zabłąkała się w gąszczu życia w poszukiwaniu jego pełni. Ale pierwiastek boski, nieśmiertelny w człowieku nigdzie nie przejawia się tak jasno, jak w miłości. Nawet w miłości zmysłowej, wiesz, tej, której celem tylko utrzymanie nieskończonego łańcucha życia. A cóż dopiero w miłości uduchowionej, której fale uderzają wprost o tron Boga! Ta miłość wasza, znana mi — jak ci mówiłem — dokładnie z opowiadania — ma na sobie wyraźne piętno mistyczne i transcendentalne. Wy należycie do siebie i należecie będziecie. Jeśli nie w tem życiu, to w jednym

z późniejszych wcieleń. Ale jestem przekonany, że jeszcze w tem. Ona powróci! Jestem tak tego pewny, jak tego, że mówię z tobą w tej chwili.

Andrzej uśmiechnął się gorzko.

— Powróci — mówisz? I cóż mi z tego? Choćby była przy mnie, moją już nie będzie. Przecież jest skalana, splugawiona, zgangrenowana oddechem tamtego człowieka, haniebnym dotykiem jego rąk!

— Andrzej, Andrzej! I ty to mówisz, ty to mówisz, ty człowiek zdolny do wysokiego, duchowego lotu?

— Ale w każdym razie tylko człowiek! Czyż mam o wszystkim zapomnieć i wszystko przebaczyć?

— Tak! Masz o wszystkim zapomnieć i wszystko przebaczyć?

— Na to trzebaby być nie człowiekiem, ale aniołem!

— Możesz i powinieneś być aniołem! Bo miłość wasza miała skrzydła anielskie i anielstwa pełna jest twoja dusza, tylko trzeba je wyzwolić, otrząsnąć się z przesądów ciała, z zabobonów materializmu, z atawizmu zwierzęcości. Czyż na miłość zawsze patrzeć musimy oczami dwu jeleni, rozpruwających sobie brzuchy o samicę, która tymczasem spokojnie pasie się na polanie? Czyż to jest godne nas, ludzi zdolnych do odczuwania Boga i obecności Jego w każdym przejawie życia? Miłość wasza była i jest miłością duszy, a nie ciała. Czyż taką miłość może coś pokalać i splugawić? Dusza może błędzić, ale ma wrodzony pęd do jasności i musi wrócić do Boga. To jest jej pierwo-

rodna cnota. Dlatego możesz i powinieneś wszystko przebaczyć i o wszystkim zapomnieć. Nastrój swoją duszę na ton wysoki i wielkim głosem ducha zawołaj w przestrzeń: wróć! — a powróci!

Andrzej wstał nagle.

— Bądź zdrow! — rzekł, ściskając mocno rękę Roświckiego. — Idę już!

— Do widzenia, mój drogi Andrzeju! Nieprawdaż, że sam Bóg dziś zasiadał wśród nas i niegorzej do nas przypijał?

— Jestem ci nieskończenie wdzięczny za dzisiejszy wieczór.

— Spokojnej nocy!

— Nie będę dziś spał! Pójdę pod mój kościół, tam naprzeciw mego mieszkania. Tam jest atmosfera przychylna dla rozmów z duszą, z nocą i z Bogiem.

— Ja też niezaraz zasnę — rzekł Roświcki. — W takich chwilach gdy się położę, zjawiają się przed memi oczyma twarze moich najdroższych pomordowanych. Rozmawiam z nimi długo i serdecznie. Rozumiemy się doskonale — bez słów.

Andrzej wyszedł na ulicę. Niebo zaślane miliardami gwiazd wznosiło wzwyż jego duszę. Ciało jego stało się lekkie, jakby niematerjalne. Miał wrażenie, że porusza się samo, bez pomocy nóg. Gdy znalazł się przed żelazną furką klasztorного ogrodu, z pełnem niepokojem oczekiwaniem położył rękę na klamce. Odetchnął: brama była otwarta. Zdjął kapelusz i powoli zaczął iść w górę. Ukochane jego, majestatyczne buki szumiały spokojnie, poważnie, sennie, jak morze podczas ciszy.

Gdy stanął na górze, jasną plamą błysnęły

przed nim kamienne schody i biała fasada kościoła, którą pełna fantastyki, twórcza ręka nocy przyozdobiła girlandami ornamentów, tajemniczych a dostojnych.

— W takim nastroju chyba pątnicy wstępują na Scala Santa obok Lateranu! — pomyślał.

Usiadł na ławeczce przed kościołem. Obie lipy powitały go serdecznym szelestem gałęzi. Słowa niewypowiedziane, głębokie, jak tęsknota, niesiona na skrzydłach subtelnej, miodnej woni, łączyły go wnet z niemi w najpoufniejszych przyjaznych zwierzeniach.

Myśli jego stały się jasne, lotne, pełne plastycznej nadwyrazistości, a tak szybkie, że mijały, ustępując miejsca następnym, zanim zdołał je zamknąć w więzieniu słów. Stałym zaś ich tematem był motyw: „Człowiek, duch wyłoniiony z Ziemi, który Ziemię całą przebóstwia i, jak dysk gładko toczony, ciska na łono Boga“.

Poznał niechybne oznaki zapłodnienia duszy.

Upłynęło pięć minut — a może pięć wieków.

W jakiejś chwili spojrzał ku gwiazdom. Wszystkie płonęły, jak jego myśli. „Wielki Wóz“, jakby pomniejszony jaśniał na niezmierzonej wyżynie.

Nagle uczuł, że wszystkie eteryczne nici Wszechświata zbiegają się w jego sercu. Przepęłniła go pewność, że teraz każdy ruch jego, każde słowo, każde drgnienie myśli pobudzi do drgania wszystkie kręgi Bytu.

Wtedy ukląkł przed zamkniętymi wrotami kościoła i zaczął się modlić. A modlitwa jego była jednym, potężnem, niemem, w przestrzeń kosmiczną rzuconem wołaniem: „Wracaj! Ja cze-

kam! Duszę mą oczyściłem z resztek zwierzęcości i godny już jestem przyjęcia ciebie”.

Gdy zstępował z powrotem po kamiennych schodach, niebo różowiło się już na wschodzie. Gdzieś wysoko na drzewie zaszczebiotał wesoło ptak, zbudzony przeczuciem świtu.

Andrzej zrozumiał, że głos jego doszedł tam, dokąd był wysłany i został usłyszany.

IV.

W drugorzędnym, ale solidnym, czysto włoskim hotelu florenckim, Albergo Fenice przy via Martelli, narożne okno na pierwszym piętrze od strony via de' Pucci było na oścież otwarte. Siedziała przy niem Wanda Proszewska i, trzymając w ręku dość spory zeszyt, w którym przed chwilą zapisała kilka stron, wyglądała zamyślona na ulicę. Łagodne słońce pogodnego popołudnia marcowego ślizgało się po jej ostentacyjnie skromnej, czarnej sukni, wbrew modzie zapiętej na szyi wysokim kołnierzem, wywoływało błękitne lśnienia na załomach jej kruczonych włosów i rozjaśniało szafiry jej oczu. Spojrzawszy przypadkowo w szybę okna odchylonego od wnętrza pokoju, zdumiała się. Twarz swą ujrzała piękniejszą, niż kiedykolwiek, ale naznaczoną wyrazem duchowym nowym, którego dawniej w sobie nie знаła. Był to stygmat cierpienia, poważnej pracy wewnętrznej, rezygnacji i silnej woli wytrwania w powziętym zamiarze. Czoło jej, niegdyś gładkie, jak płyta białego marmuru z Carrary, przecięte było teraz pionową zmarszczką między brwiami.

— Życie — pomyślała — rzeźbi nareszcie twarz moją dłutem mądrości! Oby nie zapóźno!

Wzrok jej skierował się ku narożu pałacu Me-

dici-Riccardi. Od dostojnie zczerniałych bloków potężnej rustyki wesołym krzykiem młodości odbijała czerwona, nieco postrzępiona spódnica małej kwiaciarki, której nieskazitelnie wyrzeźbioną głowę okraszał uśmiech szczęścia, ilekroć któryś z przechodniów sięgnął po jej towar, wonny i poetyczny.

— Ileż rasy — myślała Wanda — ileż piękna, wszczepionego przez tradycję artystycznego śródowiska, ma w sobie to dziewczę florenckiej ulicy! Wygląda, jakby zeszło z nieśmiertelnego „Pocho-du trzech króli“, którym Benozzo Gozzoli rozsłonecznił przed wiekami wnętrze Medycejskiego pałacu. A to słońce do dziś śpiewa pieśń jasną o gioia del vivere ludzi wczesnego renesansu. Gdyby ta dziewczyna żyła za czasów Lorenza il Magnifico, zdobyłaby świetnie jego karnawałowe pochody... La bella Simonetta!

Ulicą przejechała dorożka. Na głowie furmana błyszczał nieunikniony wysoki cylinder, w siedzeniu rozkochana para trzymała się za ręce i patrzyła sobie w oczy, żadnej na przechodniów nie zwracając uwagi. Z Via de'Pucci wybiegł swym regulaminowym, tradycyjnym truchcikiem oddział bersagliarów, w junacko na bakier przekrzywionych kapeluszach, z których obfite pęki czarnozielonych piór spływały im aż na barki. Biła od nich młodość, zdrowie i siła.

— Gioia del vivere! — westchnęła Wanda. Tą radością życia pragnęłam mieć przepełnione wszystkie dni moje. Do tego celu nagięłam wszystko... bezwzględnie... egoistycznie. I zbankrutowa-

łam! Jak strasznie zbankrutowałam! Namiętnie szukając piękna, ugrzęzłam w błocie.

Do uszu jej doleciał odgłos dzwonów kościelnych. Wanda, która w długich godzinach samotności nauczyła się już rozróżniać dźwięki okoliczne, wiedziała, że to z Campanili pobliskiego kościoła San Lorenzo.

— Tam śni swój sen nieprzespany „Pensiero” Michała Anioła, najwyższe na ziemi objawienie twórczej melancholji i jego „Noc” uosobienie nadludzkich cierpień tragicznego genjusza! Jakże kochałam niegdyś to naprawdę boskie „Miasto Lili”, to romantyczne „Ponte Vecchio”, groteskową bajkę średniowiecza zawieszoną nad Arnem i spacer wśród potężnie szumiących drzew w „Cascinach” i wyniosłe terasy „Piazzale Michelagnolo”, skąd widać sine wzgórza Fiesolańskie, kojące duszę słodczą tokańskiego pejzażu, a nadewszystko te bezcenne muzea i kościoły, w których zamknięta jest cała niewysłowna świetność wczesnego renesansu włoskiego, cała duma i wielkość rasy potężnej swą wiekową kulturą!

— A dziś? Jakiś gruby kir żałoby i skruchy zakrywa przedemną to cudne piękno! Zgasłam płomień piękna w własnem sercu i mam poczucie, że mi niewolno zachwycać się pięknem, wyrosłem z dusz cudzych. Zresztą byłoby ono dziś dla mnie nieme i zepsułoby mi tylko wspomnienia. A jednak to dziwne! Jestem tu już kilka miesięcy, blisko rok, a Florencji prawie nie widziałam. Nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy mogę wyjść z tego hotelu, kiedy Kriuczkow lub Moskalenko, zastępują mię w czuwaniu nad biednym chorym smo-

kiem, który mię więzi, nawet wtedy, gdy mię zdej-
mie ochota zobaczenia skarbów Florencji, uczu-
wam w duszy nagły głos protestu. A głos ten mó-
wi: „Tylko dla czystych ludzi są te dzieła, powsta-
łe w świętych chwilach mocowania się twórców
z aniołem. Tylko ten może się nasycać wonią du-
chowych kwiatów ziemi włoskiej, kto z swoją wła-
sną ziemią jest w porządku”. A ja zgrzeszyłam
ciężko przeciw mojej ziemi. Rzuciłam pracę na jej
roli i najcudniejszy jej kwiat, jaki Przeznaczenie
złożyło w me obłąkane ręce, podeptałam i zni-
szczyłam. I jeszcze mówi ten głos: „Korz się i karz”!

— Więc korzę się i karzę! Jedyne droga mo-
ja w tem mieście prowadzi do San Marco. Bo
w tym najcudniejszym na świecie klasztorze-mu-
zeum doznaję łaski obcowania z dwoma wielkie-
mi duchami przeszłości. Tam zjawia się przede-
mną płomienny, ascetyczny i despotyczny Savona-
rola i woła do mnie ze stosu, na którym spłonął,
słowami swego posępnego testamentu: „Pokutę
czyń za grzechy swoje!” A potem przychodzi do-
mnie słodki i cichy Fra Angelico da Fiesole i łag-
odzi wzburzone morze mej duszy dobroczynną
oliwą pastelowo jasnych fresków, w których zam-
knął swoją dobrą, nieskalaną duszę dziecka. O An-
gelico, Angelico! Spraw, by z dzieł twoich świę-
tych weszło anielstwo do mej duszy, bo zbyt by-
ła niespokojna, grzesznie ciekawa i w ułudzie pię-
kna zakochana, a teraz nazbyt smutna jest i cmen-
tarna, jak złamana i zwiędła gałązka cyprysu!

Z zadumy gorzko-ekstacyjnej, która była te-
raz codziennem chlebem Wandy, obudził ją głos.

z drugiego pokoju, będący kombinacją zgrzytania zębami i nieartykułowanego bełkotu.

Westchnęła z poddaniem się losowi i poszła, gdzie ją wzywano.

Sparaliżowany i od tygodnia znów pozbawiony mowy Goździeniec, zobaczywszy ją, skrzywił najpierw ze złością twarz, jak dziecko, które ma za chwilę głośno się rozplakać, a potem kilkakrotnie podniósł niecierpliwie zdrową, prawą rękę do ust,

Wanda zrozumiała, że jest głodny. Zagrzała więc na maszynie spirytusowej przepisany przez lekarza buljon, nakruszyła potem do niego bułki i zaczęła chorego karmić łyżeczką, jak niemowlę. Biedny Ryszard jadł chciwie, lecz część płynu wracała z jego napół ubezwładnionego przelyku, plamiąc koszulę i kołdrę. Wanda z niewzruszoną cierpliwością obcierała go serwetą i poila dalej, lecz on widocznie całą niedogodność takiego odżywiania jej winie przypisywał, bo złościł się niemo i bezsilnie, uderzając ją kilkakrotnie wychudłymi pieszczelami prawej ręki.

Wanda, przyzwyczajona do takich objawów niecierpliwości chorego, zniosła wybuchy jego gniewu ze stoickim spokojem. Goździeniec wyglądał teraz strasznie. Głowa, zupełnie wyłysiała, przypominała czaszkę mumii, powleczoneą skórą o barwie starego pergaminu, nos był cienki i wydłużony, jak u trupa, oczy podkrażone okropnymi sińcami.

— Jakże szybko ten człowiek dobija do portu! Jak nędznie zmarnował swe zdrowie i talent! Strawiła go ta gorączka zupełnego wyżycia się,

która i mnie gnała niespokojnie od pasji do pasji. I on konstruował sobie życie według kategorii estetycznych aż ugrzązł w bażnie. Ale właściwie powinnam być mu wdzięczna: łódź jego tonąc, ocaliła moją od rozbicia.

Goździeniec utkwiał oczy w twarzy Wandy. Był w nich teraz głęboki smutek i niezmierne dziękczynienie. Przyciągnął rękę Wandy do ust i ucałował ją z czcią. Twarz mu przytem zadrgała i zaczął płakać. Uspokoił się jednak niebawem i zapadł w zwyczajny obecnie u niego stan drzemki.

Wanda знаła już dokładnie jego chorobliwe przeczulenie i te nagle przeskoki od gniewu do tkliwości nie dziwiły jej wcale. Nie miała jednak teraz ani iskierki uczucia dla chorego. Swym wyglądem i niedołęstwem budził w niej wstręt, który przewyciężała jedynie litość.

Ostrożnie, aby go nie obudzić, odchyliła dolny róg kołdry i odsłoniła jego nogi. Prawa, ta niby zdrowa, stopa była czerwono-sina. Gangrena robiła gwałtowne postępy.

— Już tylko kilka dni! — pomyślała Wanda. — A potem? Potem wyzwolenie! A może dalsza pokuta? Ale jestem już cicha i pokorna. Cierpienie wyгнаło ze mnie bunt. Cokolwiek los przyniesie, wszystko przyjmę z rezygnacją. A jednak mimo wszystko mam wewnętrzną pewność, że szczęście wróci. Contra spem spero! Ten głos, który w jasną noc lipcową tam, w mym pokoju usłyszałam, nie mógł kłamać. To był głos Andrzeja!

Wanda wróciła do swego pokoju i zapaliwszy światło elektryczne, pograżyła się w pisaniu swe-

go pamiętnika. Te białe kartki papieru były teraz jej najlepszym nauczycielem i spowiednikiem. a zarazem najmiłszym towarzyszem samotności. Życie swoje regulowała codziennie, jak zegar w obserwatorium astronomicznym, wedle niechybnej miary, którą znalazła w godzinach bolesnych rozmyślań. Całą swą duszę dzierżyła teraz silnie w garści i kontrolowała ją bezustannie, konfrontując z spisowanymi przez siebie bjuletynami psychicznymi.

Około ósmej służący hotelowy zapukał do drzwi i przyniósł kolację, a raczej obfite wieczorne pranzo. Wanda zjadła pośpiesznie i pisała dalej. Skończywszy, położyła się wygodnie na kanapie i zaczęła przeplądać zapisane już stronicę. Oczywiście zatrzymała się na pierwszej karcie:

Warszawa 15 lipca.

A więc stało się! Żyłam długo w jakimś gorączkowym śnie, jakby pod wpływem opjum czy hipnotyzmu. Trapiły mnie zmory straszne i naprzemian kusiły wizje jakichś nieprzeczuwanych rajów... A teraz zbudziłam się! Jaka okropna rzeczywistość! Co ja tu robię? Skąd się tu wzięłam? Za oknami huczą automobile, dzwonią tramwaje, słychać gwar ciżby ludzkiej, falującej ciągle w tę i w tamtą stronę. Naprzeciw jarzą się światła Bristolu. Lecz cóż ja robię w Warszawie? I czemuż nie wchodzę w łaskotliwy nurt tego życia, który mnie zawsze tak pociągał? Ha, ha, zdawało mi się, że potrafię iść wbrew opinii całego świata i prowokować ją szyderczym czołem, a teraz, jak بورسук, siedzę w swej norze i boję się wyjść na ulicę, bo mi się zdaje, że wszyscy wytykają mi palcami i wołają: patrzcie to jest ta, co uciekła od

męża i może do grobu wepchnęła swego nieszczęśliwego ojca!

„Uciekła od męża!” „Uciekła z kochankiem!”
— A gdzież jest ten kochanek najmilszy, ten bóg i władca miłości, ten demon, któremu oprzeć się nie może żadna kobieta, ten sataniczny uwodziciel? Czemu nie rozgniata mi warg pocałunkami, czemu nie wtula mnie całej w siebie, czemu żar jego żądz nie oszaleńia mnie i nie wznosi na zawrotne Gaurisankary rozkoszy? Czemu nie przynosi mi białych pawi, zielonych gwoździków, urjańskich pereł, czemu nie stwarza dla mnie całej literatury, czemu nie rzeźbi całej Walhalli nowych bogów, których ja jestem królową?

O, mój kochanek jest chytry. Nie taki prostolinijny jak mój mąż. Chce, żebym zebrała o jego pieśczoły, żebym przymilała się do niego, jak kotka, żebym wabiła go, juk hurysa i tańczyła przed nim wschodnie pożądanie bajader. Oto legł sztywnie na swem łożu baszy i udaje trupa. A może umarł na prawdę? Życzę mu tego. Och, jak ja nienawidzę tego połamańca, który złamał mi życie! Szukałam zapamiętałe odurzających kwiatów grzechu, on miał mi pokazać, gdzie rosną... Oszukał mię. Zawiódł mię w ciasne podwórko nędzy, zarosłe pokrzywami i ostami, cuchnącemi chwastami ohdy!

Chciałabym wyc, jak wilk, szczekać, jak pies, wrywać sobie włosy z głowy, drzeć na sobie suknie i koszulę. Czuję nerwy wibrujące w całym ciele, palce mi się trzęsą, że pióra nie mogę utrzymać, ręce moje mają swój własny rozum i wolę.

A możeby tak przecież kokainy lub przy-

najmniej koniaku? Nie, nie! Precz z tą myślą! Wyrzuciłam przez okno resztę tych eliksirów diabelskich i nie tknę się ich więcej. To przecież jakby kwintesencja Goździenica, a ja go nienawidzę. Nie chcę być takim bezsilnym łachmanem ludzkim, jak on, chcę żyć, chcę żyć, zdrowo, mocno, radośnie.

Nakazuję sobie pisać dalej, bo ten przymus wiąże mię z rzeczywistością, broni przed czemś strasznem. Co to będzie? Atak hysterji, czy szału? Nie, nie mogę już dłużej, nie mogę, nie mogę, nie mogę...

Warszawa, 20 lipca.

No tak, przyszedł istotnie atak histeryczny. Ale stał się dla mnie właściwie zbawieniem. Krzyki moje sprowadziły służbę hotelową. Lekarz przepisał kurację. Chciał mnie zabrać do sanatorium, ale Goździeniec sprzeciwił się tak stanowczo, rozłące, że doktor musiał ustąpić. Uważa go za mego męża. Swoją drogą te wszystkie proszki i medykamenta są mi już niepotrzebne. Atak przyniósł mi ulgę. Wydobył ze mnie całe szaleństwo, jakie tkwiło w mej biednej duszy. Jestem teraz znacznie spokojniejsza. Nawet całkiem spokojna. Trzymam się w karchach. Do kokainy czuję wstręt. Gorzej z alkoholem. Ten mię jeszcze nęci. Ale jestem uparta nawet wobec siebie samej i potrafię wytrwać w postanowieniu. Przecież tu chodzi o moją urodę... no i o zdrowie. Pocóż mi jednak uroda i zdrowie? Czy dla tamtego, którego lekko-myślnie rzuciłam, czy dla tego, którego mam, nie mając? Nie wiem, ale chcę żyć, a brzydka żyć nie potrafię.

Muszę się skupić i wrócić do dawnego nałogu porządnego myślenia. Czuję, że to mię najprędzej uleczy. Przecież uchodziłam zawsze za kobietę cerebralną, mówiono mi, że mam mózg męski, a nawet zarzucano mi niedostatek elementów uczuciowych, a więc brak prawdziwej kobiecości. O, gdybyż to było prawdą! Jak dobrze mi było wtedy, gdy mi radość sprawiało ćwiczenie mej męskiej, ironicznej i trochę okrutnej umysłowości. Grałam sobie w foot-bal z ludźmi, myślami, wrażeniami i uczuciami i gwizdałam wesoło, gdy ktoś sobie trochę nóżkę przetrącił. A kiedy pofolgowałam uczuciu, napoiwszy intelekt odwarem z makówek, porwały mię fale i zaniósły aż na tę tu mieeliznę. A więc precz z uczuciem, z tą sentymentalną kukłą, skłonną do łez, wzdychań i samobójstwa, a pełną wewnątrz trocin! Chociaż to eteryczne, odcieleśnione, wyłącznie duchowe obcowanie z Andrzejem przez dwa prawie lata przed ślubem — cóż to było? Czyż nie uczucie najczystsze, najsubtelniejsze, sam ostateczny dystylat uczucia. Ale to się skończyło! Splugawiłam, zbrukałam, poszarpałam w strzępy ten najcudniejszy mit mego życia. Podła jestem, wstrętna! I to ja właśnie chlubiłam się, że piękno zawsze i wszędzie jest ostatecznym celem mego życia. Ja, która popeliłam ordynarne estetyczne świństwo.

Ale do rzeczy! To nie jest porządne myślenie. Przedewszystkiem fakty. Uciekłam z Łanowca z Ryszardem Goździeńcem. Dlaczego? Mniejsza o to! Bo tak chciałam. Bo mi się zdawało, że Andrzej to jest tylko przelotny epizod, wynikły z opętania mnie przez anioła w chwili moich tęsknot

ultradziewicznych. Bo miał w sobie demoniczny — jak mi się zdawało — pęd do samozatrącenia się, a to mię pociągało, jak przepaść. No i dostałam istotnie zawrotu głowy, bo zamiast z demonem stoczyłam się w dół z zwyczajnym dekadentem, fizycznym i duchowym, a zamiast w otchłań spadłam po prostu ze schodów. Och, jak ja nienawidzę tego Goździenca, choć mi go żal, że taki nie-szczęśliwy i taki sam na świecie.

To jednak śmiechu warte! Niby popełniłam wiarołomstwo, najformalniej w świecie uciekłam od męża, skompromitowałam się, a ten uwodziciel nawet mnie dotychczas nie pocałował. Niktby w to nie uwierzył, a najmniej Andrzej. Ale to fakt. Och, nie, niema w tem najmniejszej mej zasługi. Byłam zdecydowana na wszystko. Po to przecież uciekłam. Wydawało mi się, że są jakieś tajemnice, których Andrzej nie potrafi mi odsłonić, a które zostaną mi objawione przez Goździenca. Po prostu nie było czasu. W Łanowcu broniłam mu ust, bo mi jakiś strzep atawistycznej etyki mówił, że mi nie wolno cynicznie zdradzać męża pod dachem jego i mego ojca. A potem w pociągu do Lwowa takie było przepełnienie, że mieliśmy razem jedno tylko miejsce, które zajmowaliśmy naprzemiennie. We Lwowie pozostały nam tylko dwie godziny do pociągu warszawskiego. W tym czasie musieliśmy zjeść kolację, a ja nadto sama zajęłam się kupieniem biletów, bo Goździeniec już czuł się niezdrowy i ciągle drętwiała mu lewa ręka. Mimo to w restauracji i potem w pociągu sam prawie wypił całą butelkę koniaku. To — jak mówił później lekarz — przyspieszyło katastrofę. W drodze

do Warszawy nie mieliśmy wprawdzie sleepingu, ale w przedziale pierwszej klasy byliśmy sami. Goździeniec leżał jak martwy. Odcierałam mu cierpnące co chwila ramię, sama drętwiejąc ze strachu, bo już rozumiałam, że wywiąże się z tego jakaś ciężka choroba. Przed samą Warszawą Goździeniec, chcąc wyjść na korytarz, zwałił się na podłogę. Był ciężki, jak kłoda. Nie jestem słaba, ale musiałam użyć wszystkich sił, aby go ułożyć na kanapie. Całą lewą połowę ciała miał sparaliżowaną. Chwilowo stracił także mowę. Wywarło to na mnie straszliwe wrażenie. Drżałam cała, jak liść osiki. Zdawało mi się, że lada chwila spotka mnie to samo. Wtedy właśnie wyrzuciłam przez okno cały zapas kokainy i koniaku, jaki mieliśmy przy sobie.

Nie zapomnę nigdy naszego okropnego przyjazdu do Warszawy. Lekarz kolejowy... ludzie z noszami... cała wieczność, spędzona w poczekalni... urągliwe i natrętne spojrzenia ciekawych... wśród nich kilku znajomych... wykrętne tłumaczenia, skąd się znalazłam w roli opiekunki Goździenca... piekielna męka fałszywej sytuacji życiowej... Wreszcie zjawia się karetą dla chorych... Goździeniec swym ledwie zrozumiałym bełkotem i gniewnymi ruchami zdrowej ręki protestuje przeciw szpitalowi lub sanatorjum. Ma idjosynkrazję, że tam umarłby zaraz, a śmierci boi się teraz panicznie. Zajeżdżamy więc do hotelu. Przy wpisywaniu się do księgi gości nowa dla mnie kompromitacja. Nie miałam odwagi przyjąć na siebie roli jego żony, bo bałam się konfliktu z policją. Napisałam więc: Ryszard Goździeniec z kuzynką Wan-

dą Proszewską. Portjer przeczytawszy uklonił się z uśmieszkiem, który miał oznaczać: „rozumiem wszystko, ale taki gentleman, jak ja, zna się na dyskrecji”. Miałam ochotę spoliczkować go, ale połapałam się zaraz, że te policzki mnie się przedewszystkiem należą.

W ten sposób zostałam pielęgniarką Goździeńca. Raz już spełniałam takie posługi przy człowieku chorym, którego życie splotło się z mojem. Ale jakież to było zupełnie inne! Z tamtej choroby wyrastało zdrowie, piękność, siła i miłość. A w tej jest tylko trupia zgnilizna. Spędzając długie godziny przy Goździeńcu, przypomniałam sobie bajkę o smoku, ułożoną przezemnie w owych dniach mego czystego, kryształowego szczęścia. Zdaje mi się, że on jest tym smokiem, który mię więzi, nad którym się lituję, choć go nienawidzę.

I tak się to stało, że ten oryginalny uwodziciel nie tylko nie wprowadził mnie do tajemnych, niewielu tylko kobietom znanych komnat miłości, ale nawet nie ucałował moich ust. I nie pocałuje mnie już nigdy. Nigdy, nigdy! Zobaczyłam jego ciało w całej bezwładnej i wynędzniałej ohydzie i brzydzę się nim. Może na czas jakiś jeszcze odzyska coś w rodzaju półzdrowia. Tak przynajmniej orzekło konsyljum. Ale mnie nie dotknie nigdy. Wprawdzie jeden z lekarzy, którego o to wręcz zapytałam, zapewnił, że jego choroba nie jest następstwem t. zw. „grzechów” młodości, ale nadużycia alkoholu i różnych ekscytujących trucizn, ale mimo to czuję do niego wstręt. Nie, nie, ja chyba byłam obłąkana! Rzucić Andrzeja dla tego żywego trupa! To tak, jakby ktoś z upojnej otchła-

ni ramion Antinousa stoczył się w plugawę objęcia Chilona. Dobrze mi tak, dobrze mi tak! Szukałam rozkoszy zmysłowej, z którejbym mogła, jak sok z winnego grona, wycisnąć esencję nadziemskiego szczęścia. Jakżem ciężko ukarana za moją ciągłą pogoń za egzotyzysem! Kochanka paralityka! To istotnie bardzo egzotyczne! Mam, czego chciałam. Com ja napisała przed chwilą? Kara? To kategoria etyczna, a ja uznaję tylko kategorie estetyczne. Przybyszewski gdzieś pisze: „niema win, niema win, są tylko kary!” Tak to, co teraz przechodzę jest karą, okrutną karą. Ale czy to, co zrobiłam nie było winą? Andrzej, gdyby nawet o niego nie szło, powiedziałby bez wahania: tak! Ale Andrzej jest syn ziemi i ma etykę ziemi. Wie, że złe zasianie ziarna jest winą, za które karą będzie kiepskie zboże. A ja przecież jestem kobietą wolną, wolnym duchem, z żadną ziemią niezwiązanym. Ja przecież umiem ocenić wartość etyki i znam genealogję moralności. Chociaż z drugiej strony Andrzej... Andrzej... to jest jakieś mocne prawo, właśnie etyczne, to jest kamień węgielny jakiejs nowej etyki, która rodzi się we mnie. Nic nie rozumiem. Zgubiłam się w myśleniu tak samo, jak w życiu. Cała moja filozofja wzięła w łeb.

Wanda przerzuciła kilka kartek i czytała dalej:

Warszawa, 12 września.

Goździeniec wyzdrowiał o tyle, że wsparty na mojem ramieniu może się poruszać przy pomocy laski. Lekarze wyprawiają go do Egiptu. Twierdzą, że tam, przy odpowiednim trybie życia, będzie można drugi atak paraliżu, niewątpliwie już

zabójczy, odsunąć może nawet na kilka lat. Miła dla mnie perspektywa! Goździeńcowi niewolno oczywiście przełknąć ani kropli alkoholu. Doprowadza go to do wściekłości, nerwy jego szaleją, jest zgryźliwy, opryskliwy, niezdolny. Przytem obawia się, że go porzucę. Wczoraj płakał jak dziecko i skamlał, jak pies, abym go nie opuszczała. Nie tała przed nim, że łuski spadły z moich oczu, że prócz litości nie mam dla niego iskry cieplejszego uczucia, że się przy nim męczę, jak potępiona. Zaproponowałam mu nawet, aby podróż do Egiptu odbył w towarzystwie pielęgniarce, którą ja opłacę. Było to z mojej strony okrucieństwo, bo wiem, jaki jest drażliwy na punkcie swego zupełnego braku środków do życia.

Cóż mam z nim zrobić? Chorzy, a zwłaszcza paralitycy, są wielkimi egoistami. Żebrał, abym została przy nim. Mówił, że jestem ostatnim promieniem światła w jego nędznym życiu. Bredził, że wyzdrowieje, odzyska siły i weźmie się do pracy, że wtedy będę musiała go pokochać i zostanie szczęśliwą.

Aby go nie dręczyć na wszelki wypadek poprosiłam Munia Danielewicza z Ministerstwa spraw zagranicznych, aby postarał się dla nas o paszporty i wizy. Gdy mu powiedziałam prosto z mostu, że uciekłam od męża z Goździeńcem i że teraz muszę z nim jechać do Egiptu, i gdy potem zobaczył mego „kochanka”, popatrzył na mnie z nieudanem przerażeniem. Widocznie przeląkł się, że jestem obłąkana. Ja sama tak myślę nieraz.

Będą więc paszporty, a pieniądze są już. Za jeden sznur pereł dostałam ogromną masę pienię-

dzy. Nie przypuszczałam, że to tak wiele warte. Z tego jednak nie wynika wcale, abym istotnie miała Goździeńcowi towarzyszyć do Egiptu. Bo cóż mię to ostatecznie obchodzi, że jestem ostatnią deską ratunku w jego życiu? Nie mam żadnego powołania do zostania męczennicą, czy ofiarnicą. Ale co zrobić? Wrócić do Łanowca, przyznać się do błędu, ukorzyć się, pokajać, zostać pokutującą Magdaleną? Nie, nie, to śmieszne, nie zniosłabym tej roli. A zresztą Andrzej mnie odtrąci, powinien odtrącić, a bez niego Łanowiec byłby dla mnie męką. Co oni tam robią, ojciec, ciotka? O mój stokrać nieszczęśliwy ojciec! Za jakie winy cierpi ten człowiek taki dobry i szlachetny? Najpierw Dolores, potem ja. Widocznie ktoś potężny, władający losami ludzkiemi zawyrokował, że czarę goryczy musi wypić aż do dna. Jakżebym chciała ulżyć mu boleści! Ale czyż mój powrót przydałby się tu na co? Bez Andrzeja błąkałabym się po Łanowcu, włokąc za sobą kiry czarnej melancholji, które powiększyłyby tylko jego zgryzotę. A Andrzej przecie przyjąć mnie nie może, mnie, awanturnicę. To jasne.

Więc cóż? Puścić się samotnie w świat na połów nowych dreszczów? Może, może, czy ja wiem? Ale to znaczy skoczyć do studni głową na dół i zapewne skończyć w jakimś, mniej lub więcej cuchnącym rynsztoku. Brr! Droga jednak mogłaby być ciekawa. Mój pęd do egzotyizmu przyciągnąłby niewątpliwie, jak magnes, inne egzotyzy.

Wiedeń, 2 listopada.

Wyjechałam jednak z Goździeńcem. Jestem jego pielęgniarką i siostrą miłosierdzia. I tak będzie aż do końca.

Jakiż okropny czas! Deszcz dzwoni o szyby, ściekając po nich drobnemi, krętymi wężykami. Po ulicach hula wiatr i świszczę, jak rozpasany ulicznik. Prawdziwy Dzień Zaduszny.

A przecież mimo wszystko czuję się względnie dobrze. Ogarnął mnie cichy smutek rezygnacji i poddania się losowi. Ale w tem jest jeszcze coś więcej. Mój spokój płynie stąd, że w wirze świata znalazłam nareszcie punkt oparcia, że odkryłam coś, co mię z Andrzejem dalekim łączy bardziej, niż wtedy, gdy byłam obok niego. Odkryłam etykę i zrozumiałam nakazy, które z niej dla mnie wypływają.

Tak jest odkryłam tę starą Amerykę. Tego z książek ani od ludzi nauczyć się nie można, to trzeba opłacić własnem, gorzkim doświadczeniem. Jakichże trzeba było przejść i upadków moich, ile łez musiałam wycisnąć z oczu drogich mi ludzi, zanim manowcami i okrężnemi drogami zajechałam tam, gdzie, jak drzewo w ziemię wrośnięte, stoi silnie na nogach pierwszy lepszy prosty, dobry człowiek.

To jednak dziwne, ile jest głębokiej mądrości życiowej w pozornie banalnych, oklepanych i przestarzałych poglądach prostych ludzi. Przychodzi taka młoda zapalona głowa, jaką ja niegdyś byłam, i zdaje się jej, że pierwszy dzień, w którym zaczyna myśleć, jest pierwszym dniem stworzenia świata. Snuje światoburcze plany, rozwala wszy-

stko w gruzy, aby na nich nowe wznosić gmachy, a wkońcu — o ile nie pójdzie na dno — rozkrwawiona i śmiertelnie zmęczoną wraca do Canossy, do odwiecznej etyki prostych ludzi. A ci orzą, sieją i zbierają i idą sobie spokojnie aż do grobu przez wiosnę, lato, jesień i zimę. Wplecione w kołowrot monotonnych zmian wszystkie nieszczęścia spływają po nich lekko i bez śladu. Oni mają w sobie spokój i wspaniałą obojętność ziemi, która nawet listkowi na drzewie nie każe drgnąć żalostnie, gdy ginie człowiek, bo ona wogóle nie dostrzega śmierci indywiduum, mając na oku tylko podtrzymanie gatunku.

Skąd się bierze ta przedziwna mądrość prostych ludzi? Chyba stąd, skąd się poczyną mądrość pszczół i mrówek. Z doświadczeń całych pokoleń. To jest właśnie etyka ziemi, etyka pracy na roli, od wieków tej samej. To jest etyka Andrzeja, której nie zatracił nigdy, mimo przyswojenia sobie owoców nerwowej i rozstrojonej cywilizacji współczesnej, a raczej wczorajszej.

Zerwanie związku z ziemią i z jej etyką było przyczyną mego niepokoju, mego błąkania się i wkońcu upadku. Teraz przedstawia mi się to jasno, z matematyczną dokładnością. Stworzyłam sobie religję z kultu piękna i dlatego stałam się garścią kurzu, którą byle wiatr niósł, w jaką chciał stronę. Teraz wiem, że sama estetyka w życiu nie wystarcza, że życie jest prawdziwie piękne dopiero wtedy, gdy jest nawskroś przesiąknięte głęboką, korzeniami w zaświaty sięgającą moralnością. To jest wielki sens Kalokagatii.

Bez poczucia etycznego mogłam się zdobyć

na czyn, tak w swej istocie wysoce etyczny, jak podniesienie Andrzeja na wyżynę kultury i wytrwanie przez dwa niemal lata w czystej miłości dla niego, bo ta rola św. Klary wydała mi się ogromnie estetyczną, opromienioną wyjątkowo rzadką pięknnością. Równocześnie od Andrzeja — o czym wtedy nie wiedziałam — szły ku mnie promienie wrośniętej w niego, podświadomej, atawistycznej etyki. To mię do czasu trzymało.

Ale bez pocucia etycznego nie mogłam ani wytrwać przy nim jako żona, ani nie mogłam zostać matką. To się na mnie zemściło.

Bez pocucia etyki nie mogłam okiełznać tej wiecznie głodnej ciekawości zmysłów, która mię zdeprawowała duchowo, a tylko przez czysty przypadek nie zepchnęła mnie na bezdroża także fizycznie. Ileż to razy we Lwowie, choć żyłam u boku młodego, silnego i pod każdym względem zdrowego człowieka, idąc ulicą, odczuwałam ja całą wyłącznie seksualnie i z tego tylko punktu widzenia patrzyłam na ludzi i zwierzęta. Ulica stawała się wtedy dla mnie prawdziwą *rue des passions*. To wszystko także zemściło się na mnie.

A teraz mam to pocucie etyczne.

I dlatego zostałam siostrą miłosierdzia przy umierającym Goździeńcu.

Chcę, aby przez tę karę, dobrowolnie na siebie nałożoną, wypaliło się we mnie wszystko, co jest jeszcze złe, liche, niespokojne, kosmopolityczne, chcę się w ten sposób oczyścić. To będzie moja ekspiacja za wielką krzywdę, wyrządzoną Andrzejowi i ojcu.

A co potem?

Nie wiem. Ale to wiem, że cokolwiek się stanie, będę żyła inaczej. Zgodnie z tętnem mojej ziemi.

Oczyszczenie się duszy w ogniu cierpienia zmienia wiele nie tylko w niej samej, ale także w szerokim zasięgu dokoła niej.

Może ta wielka przemiana, która się we mnie dokonała w dniach samotności i męki sprawi, że Andrzej przebaczy mi moją winę ciężką, choć tylko myślą prawie popełnioną, i przyjmie mię z powrotem.

Ale teraz niech trwa jeszcze czas próby i pokuty! Nie stwardniałam jeszcze w... cnocie. Tak, niech będzie napisane to słowo, które dawniej wydawało mi się płaskie i którego wstydziłam się, jak dawniej młodzież nasza wstydziła się nacjonalizmu. A dziś szczyci się nim, jak ja chciałabym się szczycić mą cnotą.

Z Goździeńcem ciągle bardzo źle. Chodzi ni-
by, rusza się, jak kaleka, ale to stanowczo już ga-
snąca lampa.

O, jak często śni mi się teraz cudowna para oczu, tak znanych, tak dobrze mi znanych! Gdy padnie na nie promień słońca, płyną ku mnie od nich strugi roztopionego miodu lub bronzu, gdy toną w mroku, świecą, jak dwa nie z tej ziemi niewysłowionej piękności czarne djamenty. A ocieniają je rzęsy czarne i tak długie, że na końcach aż odgięte na zewnątrz łagodną krzywizną spokojnego oddechu morza.

O, oczy, oczy ukochane, oczy utracone! Wi-
dzieć was nawet na jawie!

A tymczasem rzeczywistość — to nieszczęsny

Goździeniec. Podróż z Warszawy tak go zmęczyła, że musieliśmy zatrzymać się w tej możnej niegdyś i tętniącej weselem stolicy Habsburgów, która również wygląda, jak sparaliżowana. Przypomina mi jakąś markizę Pompadour, straconą z tronu faworyty i zmuszoną zarabiać na życie grą na skrzypcach w szynkownianej damskiej kapeli.

Jutro jedziemy dalej. Przez Wenecję, Florencję, Rzym, Neapol, Brindisi do Kairo.

Wenecja, 16 grudnia.

Goździeńcowi znów się pogorszyło. Lekarz kazał mu leżeć w łóżku. Mimo to jest dobrej myśli i wierzy, że wyzdrowieje. Dlatego zgodził się wyjątkowo na sanatorium, co dla mnie jest wielką ulgą. Ale nudzi się okropnie. Czytam mu wiele, zwłaszcza z nowszej literatury włoskiej. Nie możemy się jednak porozumieć. To, co mię zachwyca, jemu wydaje się cikliwe i jałowe. Naprzykład taki Dario Niccodemi. Jakby się pragnęło poprosić go o przyjaźń, serdecznie uścisnąć jego rękę! Z książek jego bije łuna tej samej dobroci i szlachetności duchowej, która otacza aureolą wzniosłości wewnętrznej „Przechodnia” naszego Katerwy. Jakże lubię i cenię teraz ten typ twórczości, powiedziałabym, anielski. Wprowadza mię w sferę, w której żyje Andrzej i Łaniecki. W czasach mego upadku wydawała mi się sferą życiowego mągajstwa. Ale teraz wiem, że tylko najwyższy gatunek człowieka zdoła się wznieść do niej.

Oczywiście Goździeniec tego wszystkiego nie rozumie. Jemu ciągle jeszcze imponuje Nietzscheańska „blonde Bestie”.

Wogóle on jest anachronizmem. Nie widzi

np. tego bijącego w oczy faktu, że naród włoski pod wodzą Mussoliniego potężnymi krokami zdążył ku wielkiej i świetnej przyszłości. Uważa to za epizod, za chwilowe załamanie się komunizmu. On jeszcze ciągle korzy się przed zbankrutowanymi bohaterami i przed zwietrzałymi ideami...

W tej właśnie chwili życie dało radosne potwierdzenie myślom i przewidywaniom Wandy w formie hucznego akompaniamentu muzycznego. Do uszu jej doleciały dźwięki hymnu faszystów, śpiewanego przez jakąś gromadkę, zdążającą ku Piazza del Duomo. Magiczne słowo „Giovinezza, giovinezza” powtarzało się często w melodji żywiołowej, tryumfalnej, rwącej w przyszłość zaborczo i niepowstrzymanie, jak spieniony nurt rzeki górskiej.

Wanda podeszła ku oknu, aby lepiej słyszeć tę pieśń, która w obecnym, regeneracyjnym nastroju jej ducha była dla niej najwspanialszym chóralnym odruchem zbiorowej duszy nowożytniej. Jeszcze tylko jedna Marsyljanka, ten genialny symbol wiecznej młodości ducha ludzkiego, działała na nią równie silnie.

— Młodość, młodość idzie! — myślała wzruszona — młodość piękna, radosna, zwycięska, młodość, upita jak winem, żądzą szlachetności i wzniosłości czynów. Ta młodość potężnymi uderzeniami świętego młota zapалу wykuwa nowy wielki promienny okres historii Italji, Europy i całej ludzkości!

— A czemuż jest w takim razie Lenin, Trockij i cała Bolszewja?

— Czerwonem morzem krwi, w którym Rosja

musiała być zanurzona, aby nareszcie wydała z siebie naród rosyjski... I szczytową fazą, a zarazem początkiem końca panowania żydów nad światem.

Wanda powróciła na swe miejsce na kanapie, przerzuciła znów kilka kartek pamiętnika i czytała dalej:

Wenecja, 2 lutego.

Już przywykłam do mej roli pokutnicy i znajduję w niej nawet źródło jakiegoś cierpkiego szczęścia. Coraz bardziej utrwala się we mnie przekonanie, że to wszystko zostanie mi nagrodzone.

Dręczy mię tylko ciągle myśl o męce mego drogiego ojca. Dotąd nie pisałam wcale do niego, bo z początku zbyt byłam rozstrzęsiona, a potem, gdy wróciłam do równowagi, bałam się, aby rodzina nie rozpoczęła starań o zmuszenie mnie już teraz do powrotu. A moje dzieło odrodzenia i zupełnej przemiany wewnętrznej i moje dzieło pokuty musi być doprowadzone do końca.

Dziś jednak ogarnęła mię taka nostalgia i taka tęsknota za ojcem, że nie mogłam już dłużej oprzeć się pokusie. Napisałam do niego długi list. On mię przecież zrozumie, ten dobry, ukochany, nieszczęśliwy człowiek! Prosiłam go, aby był o los mój spokojny, bo nic mi nie grozi. Wyjaśniłam mój stosunek do Goździeńca. On jeden uwierzy — wiem to napewno — że ten biedny paralytyk nigdy nie był i nigdy nie będzie moim kochankiem. Zapewniałam go, że wrócę, aby go już nigdy nie opuścić i być naprawdę osłoda i podporą jego starości, ale wtedy dopiero, gdy minie czas mojej po-

kuty przy Goździeńcu i gdy naprawa mej duszy będzie skończona.

Wreszcie błagałam go, aby nikt nie próbował skłonić mnie do wcześniejszego powrotu, i aby o tym liście nie mówił nikomu, ani Andrzejowi, aby nie rozdzierać nanowo jego ran, które może już się zabiły, ani cioci Mazowieckiej, która nie wytrzymałaby, aby mnie nie zasypywać prośbami i zaklęciami o natychmiastowy powrót do domu. Dlatego zmieniłam pismo na kopercie i list posłałam przez Dąbielewicza w Warszawie, aby ciotka niczego się nie domyśliła.

Jakże drzę cała na każdą myśl o Andrzeju! Jak strasznie czuję się wobec niego winna! Czyż on może mi kiedykolwiek przebaczyć? Będzie tak, jak napisano w wielkiej księdze Przeznaczenia.

Wenecji prawie nie widziałam jeszcze. Żyję tak intensywnym życiem wewnętrznym, że świat zewnętrzny nie pociąga mnie wcale. Sama sobie nieraz się dziwię, bo przecież Wenecja była dla mnie zawsze jednym z najulubieńszych zakątków świata i nieraz w czasie wojny wprost chorobliwie do niej tęskniłam. Odkąd tu jesteśmy, raz jeden tylko wyszłam z domu, aby odnowić w Akademii znajomość z Carpaccia „Legendą św. Urszuli”. To dziwne! Dawniej nudził mię ten malarz, a teraz odczułam potrzebę zobaczyć właśnie jego. Jakże mię zachwyca jego naiwność i słodycz!

Widocznie naprawdę zaszła we mnie gruntowna zmiana.

Goździeniec ciągle ogromnie osłabiony. Z łóżka prawie nie wstaje. Ale obawa drugiego ataku paraliżu narazie jest odsunięta.

Wenecja, 28 marca.

Goździeniec czuje się lepiej. Codziennie wstaje na kilka godzin i usiłuje nawet przechadzać się po pokoju swym biednym, kulawym krokiem. Jest teraz ogromnie sentymentalny i ciągle lamentuje, że unieszczęśliwił mnie i złamał mi życie. Błaga mię, abym częściej wychodziła z domu i usiłowała się rozerwać. Żał mi go bardzo. Ten człowiek byłby mógł coś zrobić dla sztuki i dla narodu, gdyby... Gdyby co? Te wszystkie inne najbliższe przyczyny, które cisną się pod pióro, to są rzeczy pochodne i drugorzędne. Sedno sprawy leży w tem, co było powodem także mego upadku: nie miał w sobie fundamentu etycznego, co gorsza, był dumny z tego, że go niema i dopatrywał się w tem swojej siły. Ja ocknęłam się wczas, bo oddziaływali na mnie ludzie tak wysokiej miary, jak Andrzej i Łaniecki. Lecz on zabrnął już zadaleko.

Ulegając jego namowom, urządzam sobie teraz dość często przejażdżki gondolą po Canale Grande. Czasami i on mi towarzyszy, co mu lekarz nawet bardzo zaleca, zejście jednakże na dół z piętra i potem do gondoli sprawia mu tyle trudności i kłopotów, że zwykle woli się wyrzec tej przyjemności.

Ach, pomimo samotniczego trybu mego życia, mimo to, że z nikim się nie stykam i z nikim nie rozmawiam, dokonałam jednak miłosnego podboju. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to było nieprzyjemne. Dawniej byłabym z tego szalenie zadowolona i dumna. Lecz dziś smutno mi, że znów jedno serce ludzkie cierpi z mego powodu.

Było to tak. Kilka razy na Kanale wyminęła

mnie gondola, wioząca jakiegoś samotnego młodzieńca o matowo-bładej cerze, ognistym wzroku i długich czarnych włosach. Był on skończenie piękny, przedstawiał najdoskonalszy typ włoskiej urody. Poprostu Antinous! Piękność jego była tak niezwykła, że raz mimowoli dłużej zatrzymałam wzrok na nim i oczy nasze spotkały się na chwilę. Z Włochem stało się wtedy coś niesamowitego. Najpierw zarumienił się, aż po same włosy, nienakryte kapeluszem, potem zbladł śmiertelnie, wreszcie przechylił się ku mnie tak gwałtownie, że omal nie wypadł z gondoli. Zachowanie się jego było tak uderzające, że aż mój gondoljer, również przystojny, rasowy mężczyzna, o ruchach pełnych wytworności, zwrócił ku mnie swą czarno odzianą sylwetę, przepasaną niebieską szarfą i rzekł z przedziwną gentilezzą: „Nasz sławny, młody poeta zakochał się w pani śmiertelnie — gratuluję!” — „Poeta — jak się nazywa? — zapytałam odruchowo i zaraz tego pożałowałam.” „Nie wiem — odparł — zapomniałem”. Ale to człowiek głośny w Wenecji. Mnóstwo kobiet za nim szaleje. W „Gazzetta di Venezia” często czytać można jego wiersze”. Moje siostry po prammatce Ewie rozumieją, że odtąd codziennie czytałam „Gazzetta di Venezia”.

Wśród wierszy tam umieszczonych uderzyły mnie świeżością talentu i siłą ekspresji te, które były podpisane nazwiskiem Francesco Zagarozzola. Mówiły one o wielkiej i nieukojonej tęsknocie za miłością. „Cóż mi z tego — wołał poeta z młodzieńczą chępliwością — że od setek kobiet odbieram hołdy! Są między nimi piękne, jak Wene-

cja o wschodzie słońca, widziana z morza, lecz żadna z nich nie zmusiła serca mego do szybszego bicia. Czyżbym miał serce jałowe, do miłości niezdolne! O jeśli tak, niech mnie raczej na wieki schwycą w swe słone objęcia błękitne fale Adrjatyku!"

Pewnego dnia Zagarozzola obwieścił swym wielbicielkom, że jest dla nich stracony, bo nareszcie przyszedł doń długo wyczekiwany Eros i nagle szarpnął jego sercem tak potężnie, że omal nie pękło z nadmiaru szczęścia. Opis nieznanomej „piękniejszej od wszystkich posągów Afrodyty“, która „jednem spojrzeniem na zawsze wzięła go w niewolę“ tak dosłownie zgadza się ze mną, że nie mogłam już mieć żadnej wątpliwości: Zagarozzola — to on!

Biedny Italiano inamorato widocznie mnie śledzi, bo od czasu owego spotkania nie mogłam pojawić się ani na Kanale ani w mieście, aby go nie zobaczyć. Pożerał mię przytem literalnie oczami, a później tak się rozzuchwalił, że zaczął mi się kłaniać. Robił to jednak ruchem tak ślicznym, tak w każdym drgnięciu mówiącym o swem pochodzeniu z rasy urodzonych plastyków, że choć mu nie odpowiadałam, gniewać się na niego nie mogłam.

Wreszcie posunął się aż do tego, że przez mego gondoljera (mam zawsze tego samego) doręczył mi list. Był to cudny poemat miłosny, piękniejszy od wszystkich znanych mi wierszy jego z „Gazety“ i od tych, które wydał w osobnym tomiku. Jest to utwór naprawdę wartościowy i tylko dlatego przechowałam go. Sens listu był ten, że mło-

dy poeta zaklinał mię na wszystkie świętości starego i nowożytnego świata, abym mu poświęciła kilka minut rozmowy.

Oczywiście zagroziłam gondoljerowi, że jeśli raz jeszcze da mi jaką kartkę od nieznanego człowieka, przestanę nim się posługiwać, a Zagarozzoli kazałam powiedzieć, aby wyleczył się z wszelkich złudzeń i, jeśli naprawdę czci mię tak, jak pisze w swym liście, niech nigdy nie stara się do mnie zbliżyć, bo przez to wyrządziłby mi największą zniewagę.

Poeta odpowiedział mi przez gondoljera, że choć serce mu się krwawi, zastosuje się posłusznie do mego rozkazu, bo woli cierpieć, niż mnie obrazić. I jeszcze kazał mi powiedzieć, że poprzestanie na smutnej „miłości oczu”. Usłyszawszy to wyrażenie, zadrżałam wewnątrz, bo mi to przypomniało „lazurowy” okres mego szczęścia z Andrzejem. Przy najbliższem spotkaniu zobaczyłam oczy Zagarozzoli, obłąkane miłością, smutkiem i rezygnacją. To jednak szczególne, jak ci Włosi umieją mówić nie tylko gestami, ale i oczyma!

Coraz częściej śnią mi się we śnie i na jawie oczy Andrzeja. O, szalona, jakże mogłam rzucić Ciebie, ty mój kwiecie polny, ty moja najukochańsza drobino wieczności! Cała moja zdolność kochania i cała tęsknota mej duszy, spragnionej szczęścia, dziś znów na Tobie skupiona, na Tobie jednym, jedynym na świecie. Czy znajdziesz w sobie dość anielstwa, aby mi przebaczyć?

Wenecja, 14 kwietnia.

Lekarz Goździeńcowi ciągle jeszcze nie pozwala na podjęcie dalszej podróży. Gdy raz wy-

jątkowo wybrał się ze mną na spacer gondolą i gdy tak siedział obok mnie bezsilny, blady i wychudzony, do żywego trupa raczej, niż do człowieka podobny, wyminał nas, jak zwykle, nieunikniony Zagarozzola. Trzeba go było widzieć, gdy zobaczył przy mnie Goździenca! W oczach jego, wymowniejszych od słów, wyraźnie wyczytałam myśl: „A więc to tak? Aż tak nieszczęśliwa jesteś i tak czysta! I to ten moriturus zagroził mi drogę do szczęścia!” Pochylił nisko głowę przedemną z wyrazem najgłębszej czci.

W kilka dni później ukazał się w „Gazzetta di Venezia” wiersz jego pod tytułem „Alla bella Polacca dolente”. Z mgieł nieukojonego smutku poety wylaniał się hymn na cześć mego poświęcenia i wierności dla męża. O biedny Francesco! Nawet nie przypuszczasz, jak bardzo się pomyliłeś!

Wczoraj był pierwszy koncert na Kanale. Zagarozzola widocznie od mego gondoljera dowiedział się, że na nim będę, bo przygotował dla mnie niespodziewaną owację, którą tylko poecie i Włochowi można wybaczyć. Gdy gondola moja zbliżyła się do oświeconej lampjonami tratwy koncertowej i podobnie, jak inne, wyciągnęła ku niej swą srebrną szyję, nagle śpiewacy przerwali swą pieśń, i zaśpiewali przesmutną i ognistą zarazem barkarolę do słów „bella Polacca dolente”. Gdy skończyli, z sąsiednich gondol, obsadzonych widocznie przez przyjaciół poety, posypał się na mnie deszcz róż. Wkrótce cała gondola zappełniła się niemi. Wtedy dopiero spostrzegłam, że o łódź moją ociera się gondola Francesca, który pojawił

się niespostrzeżenie w czasie, kiedy byłam zatopiona w słuchaniu pieśni. I tym razem wierny, przyrzeczeniu, nie przemówił ani słowa, tylko ręce złożył jak do modlitwy i wpatrywał się we mnie z wyrazem skrucy i bezgranicznego uwielbienia. Był tak wzruszający i estetyczny w tej swojej pozie adoracji, że chociaż natychmiast kazałam wracać do domu, odrzuciłam mu na pożegnanie jedną z róż. Pamiętam, była ciemno-czerwona, prawie czarna. Schwycił ją w powietrzu, a potem ucałował i zatrzymał przy ustach.

Czy popełniłam grzech przeciw pamięci Andrzeja? Chyba nie! Za kilka dni wyjedziemy stąd i Francesca nie zobaczę już nigdy w życiu. Czyż nie miałam prawa wynagrodzić w sposób tak niewinny jego wiernej a bezinteresownej miłości?

W tej chwili dostałam list z Polski. Na kopercie poznałam pismo ojca. Z jakże bijącym sercem otworzyłam ją. Mój najdroższy, najlepszy ojciec! Nie zawiodłam się na nim! Píše mi, że mnie rozumie i że przebacza mi wszystko. Dziękuje mi w najczulszych słowach za list, który „przywrócił mu zdrowie”. Teraz jest już spokojny i ma się dobrze. Żyje tylko nadzieją mego powrotu. Prosi, bym często pisała. Dobrze, dobrze, ojczulku mój najukochańszy. Tybyś mi przebaczył i przycisnął do swego dobrego serca, nawet, gdybym spadła na dno nędzy.

Ale Andrzej, Andrzej! Co się z nim dzieje? Ojciec donosi, że wyjechał, bo w Łanowcu, przepełnionym wspomnieniami o mnie, życie stało się dlań nie do zniesienia. Znikł zupełnie. W Łanowcu nic o nim nie wiedzą. O Boże, Boże! Jakże on

mię kochał i jak mię teraz musi nienawidzieć. Teraz, gdy ja kocham go więcej, niż kiedykolwiek, bo przez mgłę utraty, żalu, oddalenia i tęsknoty.

Jednak miałaś rację, Francesco! Ja naprawdę, mimo wszystko, jestem wierną żoną.

Florencja, 7 maja.

Nareszcie wyruszyliśmy z Wenecji w dalszą drogę do Egiptu. Zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek tam dojedziemy. Goździeniec uparł się, abyśmy na pewien czas zatrzymali się we Florencji. Mnie to ostatecznie obojętne. Twierdził, że tęskni za nią nie tylko jako za najpiękniejszym z miast włoskich, choć zepsutem nadmiarem starej sztuki, którą bezmyślna współczesność czci, jak objawienie, ale, że nadto wiąza go z nią najmiłsze wspomnienia jego życia. Tam poznał Marinetti'ego, Severini'ego i innych najwybitniejszych futurystów, tam zaprzyjaźnił się z emigrantami rosyjskimi, prześladowanymi przez carat, którzy na kilka lat przed wojną przeczuwali ją i przygotowywali rewolucję komunistyczną.

I rzeczywiście, moznaby sądzić, że powietrze florenckie wywiera na niego wpływ szczególnie dobroczynny. Odkąd tu przyjechał, zdawałoby się, że jest całkiem zdrow. Jeśli istotnie śmierć nie jest mu jeszcze pisana, oby jak najprędzej na tyle wrócił do sił, abym mogła moją rolę Siostry Miłosierdzia uznać za skończoną i opuścić go. Jeśli Andrzej mnie nie przyjmie, będę przynajmniej w Łanowcu oddychała wonią wspomnień o nim.

O, gdyby Andrzej podał mi rękę do zgody! Ucałowałabym każdy jego palec i zwilżyłabym dłoń jego łzami szczęścia!

Mam wrażenie, że Goździeniec naprawdę wyzdrowieje.

Florencja, 17 maja.

Goździeńcowi z każdym dniem lepiej. Rusza się już prawie zupełnie dobrze, jest wesół i podniecony. Czasami nawet zanadto podniecony. O, ten nieszczęsny jego alkoholizm! Wie, że pod karą śmierci nie wolno mu się tknąć wódki, a jednak pije... ukradkiem. Przed kilku dniami znalazłam w kieszeni jego płaszcza płaską flaszkę na mleko, do połowy wypełnioną koniakiem. Wylałam go w jego oczach, co go doprowadziło do wściekłości. Przrzekł jednak, że więcej pić nie będzie. Mimo to po kilku dniach znalazłam u niego nową flaszkę z koniakiem. To człowiek stracony. Nic go już z tego nałogu nie wyleczy!

Pobyty mój przy nim staje się coraz trudniejszy. W miarę odzyskiwania zdrowia, robi się natrętny i zaczyna mię prześladować swymi afektami, a gdy mu oświadczam bez osłonek, że jest dla mnie wstrętny, robi mi brutalne sceny. Trzeba mi będzie wyjechać prędzej, niż myślałam. Czekam tylko na opinię dr. Coppoli, u którego Goździeniec jest w leczeniu. Jeśli powie, że mu narażenie przynajmniej nie grozi żadne niebezpieczeństwo, wybiję dla mnie godzina wyzwolenia. Nareszcie!

Przestałam na chwilę pisać, bo cudne, łagodne słońce popołudniowe załało mój pokój. Niebo już teraz prawdziwie włoskie, bez jednej chmurki. Lekki wietrzyk zwiewa ku mnie woń róż, stojących na stoliku pod oknem. Jakiś zabłąkany z pobliskiego ogrodu trzmiel wleciał do pokoju i na-

pełnił go basowem brzęczeniem. Przypomniały mi się pszczoły, ule w naszej łanowieckiej pasiece, cisza gorącego południa lipcowego i zapach plastrów ciężkich od miodu. Jeszcze nigdy nie miałam takiej wyraźnej, malarskiej wizji lata, polskiego lata, mojego lata, jednego i drugiego, przeżytego z Andrzejem, gdy nie był jeszcze moim mężem. Ileż razy chodziliśmy obok tych uli, złoci od ulewy słonecznej! Trzymaliśmy się za ręce, jak dzieci, a palce nasze łączyły się w niewinnej pieszczocie, jak dzióbki całujących się gołębi.

Andrzeju! Andrzeju, Ty mój! Kocham, szaleję, umieram z tęsknoty! Miłość moja jest tak wielka, że musi zwyciężyć Twoją nienawiść i pogardę. A wesprę ją na granicie czystości serca, zdobytej dobrowolną pokutą. Jeśli mię przyjmiesz, żyć będę tylko dla Ciebie i w Tobie!

Przeżyłam wczoraj wstrętny wieczór. Goździeń namówił mnie, abym poszła z nim na kolację do małej trattorii w suterrenach starego pałacu przy uliczce, idącej w bok od via Tornabuoni. Nie dawał mi spokoju tak długo, aż musiałam się zgodzić. Mówił, że z tą restauracyjką Lapi'ego łączą się dla niego najciekawsze przeżycia wewnętrzne, że tam stykał się swego czasu z całą florencką młodzieżą artystyczną i rewolucyjną, z pośród której wielu ma dziś głośne nazwiska.

Z początku miałam wrażenie istotnie bardzo miłe. Jest coś egzotycznego i po staroświecku patriarchalnego w tej niewielkiej, z dwu tylko sklepionych izb złożonej knajpce, umieszczonej w piwnicy, do której schodzi się po kilkunastu schodach. Gość każdy przejść musi przez kuchnię, znaj-

dującą się tuż przy wejściu. Przy dużej blasze gotuje i smaży sam gospodarz p. Oreste Lapi, a synowie jego biegają, jak opętani, roznosząc potrawy. Goździeniec przywitał się z Lapim, jak z najlepszym przyjacielem, skłamał, że dlatego tak źle wygląda, ponieważ był ciężko ranny na wojnie i jeszcze nie wrócił do sił, potem z kolei sam wypytywał się o powodzenie i o rodzinę gospodarza i dowiedział się, że najstarszy syn jego, Giulio, nie pracuje już w restauracji, bo jest teraz un viaggiatore, co nie znaczy turysta, ale komiwojażer.

Zajęliśmy miejsce w drugim, mniejszym pokoju, pod bardzo gustownym afiszem z napisem „The Mask”. Zdziwiło mię, że się dochowwał, choć miał datę r. 1908. Goździeniec wyjaśnił mi, że jest to nazwa pisma, które wydawał we Florencji po angielsku znany reformator teatru, Gordon Craigh, stały podówczas gość Lapi'ego.

Owionęła mię znana mi dobrze z dawniejszych podróży atmosfera cyganerii artystycznej, którą lubiłam bardzo, zwłaszcza w wydaniu włoskiem, pełnem serdecznej wesołości. Z okrzykami: pollo arrosto... insalata verde... bistecca con patate... un quarto Chianti... mieszały się kropliste i rześkie dźwięki mandolin, które przynieśli z sobą jacyś młodzi ludzie z chusteczkami, zwieszającemi się z zewnętrznych górnych kieszeń aż do połowy marynarek. Gdy umilkli, od jednego ze stolików huknął ktoś dźwięcznym tenorem bohaterską melodję, w której powtarzał się refren: „Sono vincitore dei secoli, la mia sorte farò”.

Było mi dobrze i przyjemnie, tak, że chwilowo zapomniałam o moim stałym smutku i zgodzi-

łam się chętnie, aby zostać jeszcze chwilę po koloacji. Jaka szkoda, że nie wyszliśmy zaraz! Goździeniec stawał się coraz weselszy, bo pił wino, udając, że mięsza je z wodą. Nagle zerwał się, jak oparzony, i z szybkością, na jaką tylko mogły się zdobyć jego słabe nogi, podbiegł ku drzwiom. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak witał się z niesłychaną czułością z dwoma mężczyznami o wybitnie semickim wyglądzie, i to semickim w najgorszym tego słowa znaczeniu. Zadrżałam ze wstrętu, widząc, że Goździeniec, ucałowawszy z dubeltówki ich wstrętne policzki, prowadzi ich najwyraźniej do naszego stolika.

— Pan Kriuczkow, — pan Moskalenko — moja żona, Wanda.

Pierwszy raz usłyszałam ze strony Goździenca taką prezentację i taki mój tytuł i odczułam go, jak policzek. Miałam ochotę wstać i wyjść, ale wstrzymała mnie obawa skandalu.

Goździeniec zaczął mi zachwalać przybyłych. Mówił, że są to jego najserdeczniejsi przyjaciele z pośród komunistów, fanatycy idei, ludzie, którzy od wczesnej młodości służyli rewolucji, żyjąc o chłódzie i głodzie i przygotowywali dzisiejszy jej tryumf w Rosji.

— Ach, prawda! — zawołał nagle — przecież wy nie rozumiecie po polsku. Zapomniałem, przepraszam was bardzo. Będziemy mówili po rosyjsku. Znasz ten język, Wandeczko, prawda?

— Nie rozumiem ani słowa, — skłamałam, choć mówię po rosyjsku doskonale. Ale proszę, nie krępujcie się mną, panowie, ja wolę milczeć i słuchać gry na mandolinach.

Kriuczkow skrzywił usta ironicznie, Moskalenko wykrztusił pod moim adresem kilka zdawkowych uprzejmości ohydną włoszczyzną, przeplatana frazesami francuskimi.

Goździeniec był w siódmym niebie. Kazał podać olbrzymie fiasco Chianti i cały utonął w rosyjskiej rozmowie z swymi semickimi Moskalami. Udając, że jestem wyłącznie zajęta muzyką, mogłam ich swobodnie obserwować. Kriuczkow był to ogromnie wysoki, chudy, kościsty żyd, o karykaturalnie długim nosie i twarzy diabła. Z pod czarnej, kędzierzawej, murzyńsko gęstej czupryny błyszczały niesamowicie jego binokle, z poza których rzucał ku mnie od czasu do czasu spojrzenia jadowite i urągliwe. Im więcej pił, a pił ostro, tem częściej zatrzymywały się na mnie tarcze jego szkiele, na które światło przypadkowo padało w ten sposób, że świeciły, jak oczy smoka. Równocześnie usta jego o mięsistych, grubych wargach, stawały się coraz czerwieńsze i bardziej wilgotne. Budził we mnie obrzydzenie, połączone z jakimś zabobonnym prawie lękiem.

W przeciwieństwie do wielomównego i bardzo pewnego siebie Kriuczkowa, Moskalenko był milczący, a jeśli czasem rzucił kilka wyrazów, to zawsze tylko w celu osłabienia i złagodzenia wrażenia słów towarzysza, do którego widocznie odnosił się z szacunkiem i rezerwą podwładnego. Ten chuderlawy, mały człowieczek o rudej głowie i piegowatej twarzy robił wrażenie, że żyje w ustawicznym strachu. Jego wodniste, blade oczy, otoczone zaczerwienionymi powiekami, biegały ciągle niespokojnie w prawo i lewo, jakby się obawiał

w każdej chwili, że ktoś z boku rzuci się na niego. Najbardziej odrażającym szczegółem w jego twarzy były prawie zupełnie białe rzęsy i brwi.

Obaj ci panowie byli bardzo starannie, a nawet elegancko odziani, ale moja wyobraźnia, podniecona odrazą, kazała mi widzieć plamy skrzepłej krwi na ich ubraniach.

Moskalenko, bardzo niezadowolony z rozgadania się swego kolegi, kilkakrotnie usiłował dyskretnie powściągnąć go, a gdy mu się to nie udało, wycofał się z rozmowy, wyjął z kieszeni gruby notes i zaczął w nim coś pisać ołówkiem. Zauważyłam, że rachował i to z takim przejęciem, jakby układał sonet miłosny. Jestem prawie pewna, że ten dzielny urzędnik bolszewicki, robi doskonałe interesy, grając na giełdzie za sowieckie pieniądze.

Goździeniec pieścił się w rozmowie z Kriuczkowem, jak z kochanką, i usiłował przedstawić mu się jako zagorzały ultrakomunista. Miałam ochotę spoliczkować go, gdy dopytywał się o swych rzekomo dobrych znajomych, Marchlewskiego i Dzierżyńskiego, nazywając tych zdrajców i krwawych katów „najlepszymi z Polaków, którzy jedynie umieją patrzeć w przyszłość”. Zagryzałam usta aż do krwi, aby się nie zdradzić ze swą znajomością języka rosyjskiego, gdy wyrażał żal, że Trockiemu nie udało się w r. 1920 zająć Warszawy i zanieść „wielkiej idei” Lenina przez Polskę do Niemiec, bo dziś ludzkość szłaby już ku jasnej przyszłości, budując nowe życie w Stanach Zjednoczonych sowieckiej Europy.

— Tak, tak! — potwierdził Kriuczkow, —

głupi ludzie nie rozumieją wzniosłości naszej misji, i dlatego Europa musi czekać jeszcze na błogosławieństwo naszego ustroju.

Było jasne, że kpi z Goździenca i wogóle traktuje jego bolszewickie zapęły z niedowierzaniem i lekceważeniem, a nawet z politowaniem. Mimo to, uwiedziony pochlebstwami Goździenca, pochwalił się, że obaj z Moskalenką zajmują wysokie stanowiska w hierarchji sowieckiej, że byli naczelnikami czrezwyczajek w Petersburgu i Moskwie, a potem członkami Rady komisarzy ludowych, teraz zaś są członkami bolszewickiej misji handlowej we Włoszech.

— Handlowej! — powtórzył z przymilnym naciśnięciem Goździeniec — rozumiem. Tak, tak, czas najwyższy podpłótować trochę gałąź, na której siedzi ta banda Mussolini'ego, wrzeszcząca swoje idjotyczne „Ejja, ejja, Alala!”

Moskalenko ogładnął się trwożliwie.

— Zapewniam pana, — rzekł tonem oficjalnym, — że zajmujemy się wyłącznie handlem i zachowujemy jak najbardziej poprawną lojalność wobec rządu włoskiego.

— Oczywiście, oczywiście, — bąkał drwiąco Kriuczkow. — Ach, faszyci, to ostatnia konwulsja konającej burżuazji przed świtem powszechnej rewolucji. Ale mam wrażenie, że pańska żona niecierpi komunizmu, czy tak?

— Cóż znowu? — zaprzeczył żywo Goździeniec. — Czasem pojawiają się jeszcze u niej odruchy dawnej szlachetczyzny i feudalizmu. Ale naprawdę jest już zupełnie przerobiona na moją wiarę. Więc wy kierowaliście czrezwyczajkami? Co

za władza wspaniała! Przyznaj się, — zagadnął konfidencyjnie Kriuczkowa, — dużo też kontrrewolucjonerów masz na swoim sumieniu?

— Ach, jeśli myślisz o wyrokach śmierci, to pewnie, że ich podpisałem niemało. Osobiście sportu zabijania nie uprawiałem. Nie miałem na to nigdy czasu. Ale ten — wskazał na Moskalenkę — uczył się fechtunku na żywych manekinach białogwardzistów. To była ulubiona jego zabawa. Zwłaszcza cios od dołu, przecinający za jednym zamachem cały brzuch, doprowadził do mistrzostwa.

— Proszę cię, te żarty idą już za daleko! — oburzył się Moskalenko, któremu ze strachu aż pot kroplisty okrył czoło. Scusi signorrrha — zakrzeczał do mnie — questo e menzogna.

— Co? — udałam zdziwienie.

— Ach, jak to dobrze, że pani nie rozumie po rosyjsku. Mój przyjaciel pozwala sobie na niedorzeczne żarty. Ale chodźmy już! — nalegał na Kriuczkowa — czas najwyższy! Wiesz, że muszę jeszcze pracować dzisiaj.

Czas był istotnie najwyższy, bo Goździeniec zdołał się już upić kompletnie i zachowywał się tak, że zaczęło to zwracać uwagę ludzi przy sąsiednich stolikach. Moskalenko siedział, jak na rozżarzonych węglach, bo Goździeniec odgrażał się na głos przeciw faszystom i pił na cześć sowie-tów. Natomiast Kriuczkow zdawał się wybornie bawić, przysiadł się do mnie i tłumacząc mi, że komuniści nie są tak strasznymi djabłami, jak ich malują, pod pozorem gwaru, panującego w sali,

przybliżał coraz bardziej do mej twarzy swe wstrętne czerwone, wywinięte wargi.

Tego już znieść nie mogłam, więc wstałam gwałtownie i oświadczyłam Goździeńcowi, że zostawię go samego, jeśli natychmiast nie wyjdzie. Moskalenko poparł mię gorąco i wkońcu z trudem zdołaliśmy wyprowadzić nieszczęsnego alkoholika.

— Odwiedzicie nas, prawda? — wołał, żegnając się z bolszewikami, — mieszkamy w Albergo Fenice.

— Wspaniali ludzie, cudowni, nadzwyczajni! — powtarzał z uporem pijaka przez całą drogę i później jeszcze w hotelu.

— Ależ to ohydni żydzi! — wybuchnęłam wreszcie, — nie żadni Rosjanie.

— No to i co? Żydzi, pewnie, że żydzi; żydzi-Rosjanie. Beż żydów niema postępu. To genialna rasa! Już raz dała światu Mesjasza. Żydzi, oczywiście, żydzi! Kriuczkwow nazywa się Seidenstoff i pochodzi z Rzeszowa, a Moskalenko nazywa się Rosenstrauss i urodził się w Brodach. Ale już przed wojną nie umieli po polsku. Genialni ludzie, powiadam ci!

— Czy ty naprawdę jesteś taki nikczemny, że chcesz, aby Polska dostała się w ręce sowietów?

— Ja Polskę kocham! — rozrzewnił się nagle. — Jabym dla niej ostatnią kroplę krwi. Ja w 1920 r. walczyłem z bolszewikami w armji ochotniczej. Ale wiesz, ja nienawidzę ludzkości. Nie cierpię jej za moją nędzę, za moje charłactwo, za to, że nigdy już nic nie stworzę. Ty wiesz? — wyszeptał z przerażeniem w twarzy, — ty wiesz, że

ja nigdy nic nie stworzę! Te moje futurystyczne gnieciuchy, to były gryzmoły impotent! Chciałbym, jak ów Cezar, żeby ludzkość cała miała jedną głowę, abym mógł ściąć ją jednym zamachem. Dlatego kocham takich szatanów, jak Seidenstoff i Rosenstrauss. Tylko ciebie jedną ocaliłbym... ty moja... ty... ty...

Objął mnie wpół i usiłował pocałować. Odepchnęłam go silnie, a on, jak kłoda, zwałił się na ziemię i nie mógł powstać. Musiałam go podnieść i ułożyć na łóżku.

Ach, jakie to wszystko ohydne! Mam wrażenie, że lepkie, grzaskie błoto wlewa mi się do gardła. Nie mogę zasnąć, więc opisałam to całe zdarzenie szczegółowo, aby skupić myśli i uspokoić się...

Postanowiłam jutro wyjechać. Ślubowałam pokutować przy Goździeńcu chorym, ale nie wolno mi zostać przy Goździeńcu pijaku i plugawym zalotniku. Zostawię mu połowę mych klejnotów i pieniędzy. Niech sobie radzi, jak chce

Już świt fioletowy. Za chwilę zejdzie słońce. Niesie mi wyzwolenie!

Florencja, 19 maja.

Goździeniec dziś o ósmej rano dostał nowego ataku paraliżu. Dr. Coppola zaraz zwołał konsylium. Orzekli, że tym razem niema już żadnej nadziei. Stracił także mowę. Ale to może wlec się jeszcze tygodnie i miesiące. A ja już nie mam sił. O, Boże mój, Boże! Skróć moją mękę! A jednak muszę wytrwać, bo uwierzyłam głęboko, że Bóg mi nie wróci Andrzeja, jeśli tej pokuty nie odbędę do końca... do końca!

Florencja, 25 maja.

Wróciłam więc do znanej mi już na pamięć roli Siostry Miłosierdzia. Widocznie wina moja była bardzo ciężka, jeśli Bóg tak przedłuża czas mej próby. Pokutę moją znoszę jednak teraz łatwiej, niż kiedykolwiek. Goździeniec zupełnie bezwładny i niemy, przestał już być dla mnie człowiekiem, a jest tylko symbolem krzyża, który muszę dźwigać. Spełniam przy nim sama wyłącznie wszystkie fizycznie męczące i nieraz wstrętne posługi. Służba hotelowa uważa mię za męczennicę. Pokojówka dobrowolnie ofiarowała mi swą pomoc, lecz odmówiłam.

Czyżby jednak ów Seidenstoff—Kriuczkow i Rosenstrauss—Moskalenko byli naprawdę przyjaciółmi Goździenca? Złożyli nam wizytę w hotelu zaraz nazajutrz po spotkaniu się u Lapi'ego około dwunastej w południe. Dowiedziawszy się o ciężkiem załabnięciu mego „męża”, okazywali żywy żal, a Kriuczkow może aż nazbyt demonstracyjnie wyrażał mi swoje współczucie. Oddali mi naprawdę cenne usługi. Z listem D-ra Coppoli jeździli po lekarzy, zaproszonych do konsyljum. Biegali do apteki po lód na okłady, a Kriuczkow, dowiedziawszy się, że od rana nic nie jadłam, własnoręcznie przyniósł mi obiad z pobliskiej restauracji Cencia. Smakował mi tak, że postanowiłam brać stamtąd jedzenie stale.

Słowem ci dwaj bolszewicy okazali się tak uczynni, i tak o wszystkim pamiętali, jak to tylko żydzi potrafią, gdy chcą. Sama nie wiem, jak sobie mam tłumaczyć ich postępowanie. W szcze-

rość ich sentymentu dla Goździenca w każdym razie nie wierzę.

Andrzeju mój! Ty chyba czujesz moje myśli, które ciągle krążą dokoła Ciebie, jak mewy dokoła okrętu. Ty nie możesz nie czuć mojej tęsknoty, która całuje Twoje ukochane usta i skronie!

Florencja, 30 czerwca.

Chodzę po świecie, jak po cieplarniach Maeterlinck'a. Czasem zdaje mi się, że nie mam ciała i jestem tylko cieniem. Jest mi z tem smutno i dobrze. Zdaje mi się, że w ten sposób mogę się komunikować z Andrzejem. Czasem widzę go tak wyraźnie, że mam ochotę opleść ramionami jego szyję.

Goździeniec odzyskał trochę mowę, lecz bełkoce tak, że z trudnością tylko można go zrozumieć. Wogóle czuje się lepiej. Jego dogasanie zapowiada się na długo.

A Kriuczkow i Moskalenko odwiedzają go wytrwale. Codziennie na zmianę spędzają przynajmniej godzinę przy jego łóżku. Mówią, że robią to także ze względu na mnie, abym mogła przejść się nieco po mieście, co uważają za niezbędne dla mego zdrowia. Mimo odrazy do nich i zabobonnego lęku, jakim mię przejmują, muszę im za to być wdzięczna. Bo znalazłam sobie cudowny cel moich spacerów: klasztor San Marco. Fra Angelico stał się prawdziwym aniołem stróżem mej duszy i teraz dopiero rozumiem ducha Savonaroli, którego dawniej nienawidziłam, jako wroga radości życia, bo teraz sama jestem przepełniona duchem pokuty.

Moskalenko przychodzi rzadziej i jest mi mniej wstrętny, To widoczne, że wizyty swoje traktuje, jak pańszczyznę. Zwykle prawie nic nie mówi, ale zaraz po przywitaniu zagłębia się w swoich obliczeniach giełdowych, które zapewne z góry odkłada sobie na te godziny samarytańskie. Ale poco tak gorliwie pilnują Goździenca? W tem jest jakieś bolszewickie szelmstwo. Ale jakie?

Natomiast Seidenstoff—Kriuczkwow możliwie jak najrzadziej opuszcza swoje odwiedziny i zasypuje mię objawami galanterji. Raz oświadczył mi, że jego automobil jest dla mnie w każdej chwili do dyspozycji, gdybym chciała wyjechać za miasto. Odmówiłam. Innym razem przyniósł mi bilet na przedstawienie „Króla Edypa” w starym amfiteatrze rzymskim w Fiesole. Nie przyjął. Kiedyindziej zaprosił mię na kolację do wykwintnej restauracji Doney’a. Odrzuciłam z oburzeniem. Wobec tego ogranicza się do przynoszenia mi bukietów z wspańiałych i kosztownych kwiatów. Pierwszą moją myślą było wyrzucić je przez okno. Ale powstrzymałam się. Cóż winny cudne kwiaty włoskiej ziemi, że dotknęła je krwawa ręka obrzydliwego żyda. Niech pachną w mym pokoju. Ich nic splugawić nie zdoła. Zachęcony powodzeniem z bukietami, ofiarował mi raz olbrzymią masę pomadek w bardzo eleganckiem pudle. Oświadczyłam mu, że słodyczy nie znoszę (przepadam za niemi!) i pomadki w jego oczach darowałam pokojówce. Jakimże bazyliszkowym przeszył mię wzrokiem! Mimowoli zadrżałam.

Nie ulega wątpliwości: ten bolszewik zako-

chał się we mnie po swojemu, to znaczy pożąda mnie. Głupi żyd!

Jakże nie cierpię jego czerwonych, wilgotnych warg! Ile razy pocałuje mię przy powitaniu lub pożegnaniu w rękę, długo potem wycieram to miejsce kolońską wodą. Jak mię przerażają te jego przeszywające i zachłanne oczy, które wbija we mnie, jak jadowite żądła poprzez błyszczące soczewki swych szkiele!

Muszę mu jednak przyznać, że zachowuje się zupełnie poprawnie, jak prawdziwy gentleman. Nigdy ani słowem nie zdradza się ze swoją namiętnością i zawsze odnosi się do mnie z najgłębszą czcią. Trzeba się jednak mieć przed nim na baczności. To niebezpieczny człowiek!

Florencja, 30 lipca.

Pierwsza wiadomość o Andrzeju! I to jaka cudowna! Dla mnie, jak najradośniejsza ewangelja. Andrzej rzeźbiarzem, wielkim, sławnym artystą, piszą o nim, jak o geniuszu!

Więc i to, i to jeszcze musiałam utracić! O, ja szalona, podła, bezrozumna, najnędzniejsza z kobiet! Porzucić tego twórcę, tę wzniosłą, czystą duszę, to czyste, posągowe ciało dla tego bankruta fizycznego i duchowego! Myślałam, że opuszczam filistra, aby schronić się pod skrzydła wielkiego człowieka, a tymczasem wielkość i sława są właśnie tam, skąd odeszłam. I to ja właśnie zrobiłam, ja, której zdawało się zawsze, że jedyną miarą i wartością życia jest piękno. Dla bałgana i błota odrzuciłam najpiękniejszy kwiat mojej ziemi, który przecież sama podjęłam, gdy był chory i zdeptany.

Po raz setny odczytuję tę krytykę i nie mogę się nią dość nasycić. I jak tu nie wierzyć w przeczucia i w przeznaczenie. Pierwszy raz, odkąd jestem we Florencji, wracając z San Marco, uczułam ochotę na lody. I poszłam nie gdziein-dziej, ale właśnie do kawiarni Paszkowskiego, gdzie są polskie dzienniki, o czem nie wiedziałam i pierwszą gazetą, którą mi podał nieproszony o to piccolo był „Głos Narodu” z tą recenzją z wystawy „Dziejów duszy” Andrzeja Szczerby. Poprosiłam garsona, by mi wolno było zabrać ten numer, na co chętnie się zgodził, bo dziennik był z przed kilku dni i przypadkowo tylko jeszcze został w kawiarni.

Mój drogi, złoty, mój wielki, nieśmiertelny Andrzej! Jak on mię zrozumiał, jak przeniknął najgłębsze tajnie mojej istoty. Przecież „Dzieje duszy”, to dzieje mojej duszy!

A może właśnie ból, który mu sprawiłam, wykrzesał z niego iskry geniuszu? Nie, precz z tą myślą, którą podszeptała pycha, mnie już dzisiaj niegodna! Dawniej byłabym się nią rozkoszowała i szczyciła! Ale dziś nie potrafiłabym nawet ukłuć Andrzeja w palec, choćbym wiedziała, że z tej kropli krwi narodzi się dzieło tak potężne, jak „Mojżesz” Michała Anioła.

„Dzieje duszy”... Dzieje mojej duszy... On mnie kocha jeszcze, zapomnieć nie może! O Boże, daj mnie i jemu tę łaskę, aby mi mógł przebaczyć!...

Wanda zamknęła pamiętnik i zaczęła się rozbierać. Było już późno. Przez otwarte okno wpły-

nał dźwięk zegarów, wydzwaniających północ. Na niebie „Wielki Wóz” świecił ogniami brylantów.

— Może w tej chwili — pomyślała — wzrok Andrzeja spoczął na tych gwiazdach i tam gdzieś wysoko w przestrzeni nieskończonej spotkał się ze mną.

Przed snem przeczytała jeszcze jeden krótki ustęp pamiętnika, który zresztą umiała na pamięć, bo go codziennie powtarzała, — jak modlitwę:

Florencja, 31 lipca.

Dziś w nocy miałam sen, a raczej jasnovidzenie. Zobaczyłam Andrzeja, ale nie tego, którego znam i pamiętam, ale promiennego, „przemienionego”. Tak, to była istotna transfiguracja, wyłonienie z siebie człowieka duchowego. Stał na ogromnej wysokości, jakby na chmurach otoczony złotą aureolą. Łuna światła biła od niego. Choć dzieliła go ode mnie dal nieprzejrzana, widziałam go najdokładniej, jakbym go miała tuż przed sobą. Był nadludzko potężny. Szły od niego drżenia eteryczne, które wprawiały w drganie całą przestrzeń i dotarły aż do mnie. Wtedy i ze mnie wyszła moja wewnętrzna istota, którą jasno widziałam swymi oczami zmysłowemi. To moje drugie ja popłynęło lekko w przestrzeń i zatrzymało się aż u stóp wielkiej wyniosłości, na której stał Andrzej. Tam usłyszałam wielkie wołanie: „Wracaj! Ja czekam!” A wówczas uklęknęłam i zawołałam: „Idę, idę do Ciebie... Ty mój Jasny, ale pozwól, aby wpierv wypełnił się czas mojej pokuty i abym godna się stała Twego przebaczenia”.

Jestem pewna, że to nie był zwyczajny sen.

To było zetknięcie się w przestrzeni dwu dusz śmiertelnie za sobą stęsknionych. Ten głos pono-cny, to było naprawdę wołanie Andrzeja!...

Wanda uklękła przy łóżku, aby zmówić wieczorny pacierz, do którego, po wielu latach nie-modlenia się, od kilku miesięcy powróciła, dodając doń taką dziecienną prośbę:

„Boże daj zdrowie i szczęście Ojcu memu i Andrzejowi, i wszystkim ludziom dobrej woli, a mnie prowadź drogą jasną i czystą do Swego celu! Wypędź z mej duszy niepokój, daj mi wiarę silną i spraw, abym odzyskała miłość Andrzeja, bo wiem już teraz, że tylko przez jego miłość droga moja prowadzi do Ciebie”...

Po kilku dniach rozpoczęła się agonia Goździeńca.

Pewnego popołudnia, kiedy wiosna zaczarowała całą Florencję w przepyszny ogród blasków i woni, przyzwał Wandę do siebie. Zdziwiła ją zmiana, jaka w nim zaszła. Oczy jego zasnutę zwykle mgłą bezmyślności, spoglądały teraz jasno i gorzały jakimś gorącym pragnieniem. Poprosił na miği, by mu podała papier i ołówek. Przyniosła mu je wraz z niskim pulpitem, umyślnie do pisania dla niego przystosowanym. Z trudem wielkim nakreślił jedno słowo: „Księdza!”

Wanda zadrżała wewnętrznie z radości. Natychmiast posłała służącego hotelowego, by spełnił jego życzenie, poczem usiadła przy łóżku chorego i po raz pierwszy spojrzała na niego z serdeczną czułością. Uderzył ją obcy mu dawniej wyraz spokoju i słodczy, rozpostarty teraz na jego twarzy.

— Jaką jednak — myślała — dziwną i nad-

✓ przyrodzoną moc posiada wiara! Stanisław Brzozowski, socjalista i myśliciel, nie cofający się przed analizowaniem i sceptycznym nadgryzaniem każdego autorytetu, w ostatnich latach swego młodego jeszcze życia, w tej właśnie Florencji staje się żarliwym katolikiem i przed śmiercią przyjmuje ostatnie namaszczenie. Wilhelm Feldman, żyd, radykał i wróg kościoła, na łożu śmiertelnem przechodzi na katolicyzm. A ten oto człowiek, który udawał ateizm, i komunizm i wmawiał w siebie, że jest legalnym synem szatana, błaga teraz o księdza! Jakaż jest tajemnica tej przepotężnej mocy? Nic innego, tylko jest to ta mądrość ludzi prostych, o której niedawno myślałam, mądrość nabyta doświadczeniem pokoleń, mądrzejsza od objawień filozofów. Mądrość ludzi, żyjących bliżej żywiołu, a więc Boga.

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi. Na korytarzu ujrzała wyelegantowanego Kriuczkowa z nieuniknionym olbrzymim bukietem w ręce.

— Przepraszam pana — powiedziała — ale Goździeniec nie może pana teraz przyjąć, bo oczekuje księdza.

— Księdza? — zdziwił się — on, człowiek wolnomyślny, wielbiciel komunizmu?

✓ — Z perwersji życiowej, ale z duszy Polak i katolik.

— Więc z nim już tak źle? — zawołał z mimowolną radością w głosie.

Wanda spojrzała na niego uważnie.

— To straszne! — zreflektował się zaraz. — To naprawdę okropne! Ale jutro będzie mi wolno zapytać o jego zdrowie?

— Jak pan uważa! — pożegnała go, zamykając mu drzwi przed nosem.

Po przyjęciu sakramentów i po odejściu księdza Goździeniec poprosił znów o przybory do pisania. Tym razem długo i z widocznym wysiłkiem rysował litery swą słabniejącą ręką. Wanda przeczytała z niemałym trudem: „Swoje życie zmarnowałem, a twoje zламаłem... Kłamałem, ciągle kłamałem... Strzeż się Seidenstoffa... Przebacz!”

Wanda nachyliła się nad nim i wzruszona powiedziała mu prawie do ucha:

— Przebaczam ci z całego serca. Twój upadek i twoja wina nie były bezowocne. Oczyszczyły mnie i poprawiły. Byłeś narzędziem w ręku Boga.

Potem złożyła pocałunek na jego czole. Twarz Goździenca rozjaśnił uśmiech szczęścia, który jej nie opuścił nawet, gdy zaraz później zapadł w drzemkę. Z tego półsnu już się nie obudził i z tym uśmiechem na ustach nazajutrz skonał.

Kriuczkow i Moskalenko zjawili się następnego dnia, nie jak zwykle przed wieczorem, ale już o dziesiątej przed południem.

— Czyżby byli akcjonariuszami jakiegoś zakładu pogrzebowego, że tak pilnują nieboszczyka? — pomyślała Wanda, ale musiała im być naprawdę wdzięczna, bo zaraz rozwinęli nieocenioną uczynność. Wszystkie formalności urzędowe i trudy urządzenia pogrzebu wzięli na siebie, a nawet z polecenia i za pieniądze Wandy zamówili skromny pomnik dla zmarłego.

Zdumienie jej nie miało jednak granic, gdy Kriuczkow rano w dniu pogrzebu zagadnął ją z wielkoduszną bezinteresownością.

— Pani zapewne zaraz wrócisz do swoich. Z Florencją i z Włochami tym razem zbyt wiele przykrych wspomnień łączy się dla pani. Jeśli to pani dogadza, możesz pani dziś jeszcze wyjechać. Pogrzeb o czwartej, a o szóstej odchodzi pociąg na północ z dworca Campo Marzio. Dopadnie go pani jeszcze wprost z cmentarza moim automobilem.

— Doskonale! — uradowała się Wanda. — Nie chcę ani chwilę dłużej tu pozostać. W takim razie spakuję się zaraz i poproszę pana o polecenie odstawienia rzeczy na dworzec i o kupienie mi biletu. Pan już tyle grzeczności dla mnie zrobił, że i tej mi zapewne nie odmówi.

— Jestem zawsze na usługi pani — odrzekł, składając jej dworski ukłon.

Istotnie tuż przed pogrzebem wręczył jej portjer, pozostawiony u niego przez Kriuczkowa, a kupiony u Cooka bilet pierwszej klasy do Wiednia wraz z sleepingiem i kwit na bagaż.

— Teraz już naprawdę nic nie rozumiem — pomyślała Wanda.

— Więc oni rzeczywiście zrobili to wszystko z przyjaźni dla Goździeńca, bez żadnego ukrytego zamiaru? Niesłychane!

Wyrównała rachunek w hotelu i pożegnała się ze służbą, która życzyła jej jak najlepszego powodzenia, z tem większą serdecznością, że całą, bardzo wykwinętą garderobę po Goździeńcu rozdzieliła pomiędzy portjera i służących, odrzucając propozycję Moskalenki, który ofiarował się te rzeczy spieniężyć. Na pogrzeb poszła zupełnie gotowa do podróży, w lekkim płaszczu z czarnego jedwa-

biu i z torebką, w którą włożyła pieniądze i resztę klejnotów.

Pogrzeb wzruszył ją bardziej, niż się spodziewała. Zwłaszcza pochód bractwa pogrzebowego w średniowiecznych, żałobnych strojach, z kapturami, spuszczone na głowy i z wyciętymi otworami na oczy i usta, zrobił na niej przygnębiające wrażenie, podobnie, jak ich posępne śpiewy. Aby się obronić przed depresją musiała sobie ciągle powtarzać: „Przecież ta śmierć — to dla mnie otwarte wrota więzienia. Czekam na mnie teraz moja ziemia i może Andrzej, najwyższe szczęście mego życia”. Z Goździeńcem, z którym ostatnie jego chwile zupełnie ją pojednały, pożegnała się, rzucając na jego świeży grób kilka rozkwitłych gałązek białego bzu.

Po skończonej ceremonii zbliżył się do niej Kriuczkow i rzekł z dyskrecją w głosie, pragnąc uszanować jej ból:

— Czas do pociągu! Auto czeka.

Podprowadził ją wraz z Moskalenką do stojącej za bramą cmentarną eleganckiej oszklonej karety automobilowej z cichym, bezdymnym motorem elektrycznym. Nieprzyjemnie uderzyło ją, że kłaniający się uniżenie szofer miał także rysy wybitnie semickie.

— A więc żegnamy panią. Szczęśliwej podróży! — rzekł Kriuczkow z wyrazem głębokiego żalu.

— Dziękuję panom najserdeczniej za wszystko. Jestem jak najprzyjemniej rozczarowana przyjaźnią panów dla Goździeńca i uprzejmością dla mnie.

Wyznaję ze skruczą, że się tego po panach nie spodziewałam.

— A widzi pani — odparł sentymentalnie Kriuczkow. — Niech pani powie przy sposobności w Polsce, że żyd-bolszewik ma czasem także to, co wy nazywacie sercem. Ale prawda! — przypomniał sobie coś nagle — o jedną przysługę musimy jednak panią poprosić. Niech nam pani pozwoli odwieść się na kolej! Mamy w tamtej stronie bardzo pilną sprawę do załatwienia. Nie możemy stracić ani chwili czasu. Tak byłem przejęty pogrzebem, że zapomniałem zupełnie.

— Ależ naturalnie! Proszę, siadajmy, bo już późno.

— A jedź rażno! — zawołał Kriuczkow na szofera, zatrzaskując drzwiczki karety.

Po drodze bawił Wandę wersalską rozmową, czyniąc delikatne, jak pajęczyna, aluzje do swej wielkiej, a beznadziejnej miłości dla niej, ona zaś, uszczęśliwiona powrotem do kraju, odpowiadała mu wesoło.

Po jakimś czasie jednak wydało się jej, że jadą za długo. Spojrzała na zegarek: było już pół do szóstej. Wyglądnęła przez okno i ze zdziwieniem zobaczyła, że kamienice miejskie znikły. Po obu stronach drogi widać było winnice i uprawne pola. Od czasu do czasu migały mury ogrodowe obszernych will. Długi, zamiejski tramwaj podążył w przeciwną stronę. Obudziło się w niej jakieś mgławce przypomnienie z ostatniej podróży do Włoch.

— Dokąd jedziemy? — zawołała zaniepokojona. — To droga do Settignano!

— Zupełnie dobrze orientuje się pani — rzekł Kriuczkow z olimpijskim spokojem.

— Cóż to za niesmaczny żart! Spóźnię się na pociąg. Niech pan w tej chwili każe wracać!

— Niepotrzebnie się pani emocjonuje! — uspokajał ją Kriuczkow. — To niewinny podstęp, aby pokazać pani cudowną willę, w której mieszkamy. Tyle razy napróżno prosiłem panią o zwiedzenie jej, że musiałem się uciec do małego fortelu, aby ją przecież pani pokazać. Naprawdę warta zobaczenia.

— Ależ pan ośmiela się kpić ze mnie! Żądam, aby pan w tej chwili kazał zawrócić!

— Ani mi się śni!

— Co to wszystko znaczy?

— To znaczy — rzekł przytłumionym sykiem, zbliżając ku niej swe mięsiste wargi — że musisz być moja, chcesz, czy nie chcesz!

— Podły żyd! — wybuchnęła Wanda, rzucając się gwałtownie do drzwiczek karetki, aby wyskoczyć z samochodu.

— Chwytaj ją! krzyknął Kriuczkow na Moskalkę.

Po chwili Wanda była już unieruchomiona. Bolszewicy, wzięwszy ją pomiędzy siebie, trzymali silnie za obie ręce i kolanami przygniatali jej nogi. Dominującym uczuciem, które nią szarpało, nie był lęk, ale gniew.

— Żeby tak dać się wywieść w pole temu żydowi — gromiła siebie w myśli — to niesłychane! A ja głupia, uwierzyłam już w ich bezinteresowność.

Poczucie absolutnej bezsilności doprowadzało ją do wściekłości.

— Nie mogłeś pan wymyślić czegoś w lepszym stylu! — syknęła po chwili. — To na miłą czuść kinem.

— Je prend mon bien ou je le trouve — cytował Kriuczkow — nawet w kinie, jeśli to mię tylko doprowadza do celu. Tak ty prześliczna goimko, ty cudna Filistynko! Możesz złościć się i parskać, jak kot, ale moją będziesz. To już trudno!

To mówiąc, zbliżył znów do niej swe grube wargi, czerwone, jak ciało, świeżo ze skóry odarte, i zaczął mokremi pocałunkami okrywać jej kark i szyję. Wanda wiała się z obrzydzenia. Gdy chciał ją pocałować w usta, nie mogąc się bronić inaczej, bezwiednie plunęła mu w twarz.

— A żmija! A gadzina! Prychaj, gryź, kasaj! — wołał, obcierając się. — Dalej, dalej, ja to lubię, mnie to szalenie podnieca! Miód i mleko jest pod twoim języczkiem, Sulamitko.

Mimo to ograniczył się do całowania jej karku, bo przyszło mu na myśl, że jej zęby mogą stać się zbyt drapieżne.

Wanda ze wstrętu odwróciła głowę w przeciwną stronę, lecz wtedy zobaczyła ohydnie zmienioną twarz Moskalenki. Ten zwykle niepokąźny, tchórzliwy żydek dyszał teraz perwersyjną rozkoszą okrucieństwa. Psychiczna męka Wandy upajała go. Wypętlę, wodniste jego oczy płonęły, tworząc niesamowity kontrast z mazgajowato dobrodusznymi, białymi rzęsami i brwiami. Z kątów ust

ciekła mu ślina, jak u złego psa. Ręce jej ścisnął, jak kleszczami, z nieprawdopodobną u niego siłą.

Po pewnym czasie automobil zatrzymał się. Wanda domyśliła się, że już są u celu. Z murów okalających obszerną willę zwieszały się wszędzie całe pęki kwitnących małych róż, które lud miejscowy nazywa „rosa di Brasilia”. Przypominała sobie nawet, że na willę tę zwracano jej niegdyś uwagę, jako na wyjątkowo wspaniałą rezydencję wiejską pomiędzy Florencją a Settignano. Należała wówczas do jakiegoś rosyjskiego magnata, czy wielkiego księcia. Mały żydowski boy w liberji otworzył ozdobną bramę wjazdową, poczem automobil, przejechawszy przez wysypane piaskiem aleje pinii i cyprysów, poza którymi tęcza grą soczystych barw jaśniały klomby kwiatowe, zatrzymał się przed wczesno-renesansowym, marmurowym portalem domu. Wybiegł lokaj, znów autentyczny żyd i kłaniając się nisko, odemknął drzwiczki karety.

Wanda, nie chcąc robić z siebie widowiska, weszła dobrowolnie na kamienne schody, zasłane ciemno-czerwonym pluszem. Pomimo swego wzburzenia musiała podziwiać przepych tego imponującego wnętrza, na które złożyło się bogactwo, stara kultura i wysoko rozwinięty zmysł estetyczny. Widoczne było, że skarby owe, gromadzone tu od wieków ręką zapalonych miłośników sztuki, przechodziły z rąk do rąk naogół nieuszczerplone. Balustradę zdobiły marmurowe i bronzowe kopje posągów antycznych i renesansowych. Na ścianach wisiały portrety i sceny mitologiczne pędzla starych mistrzów. Kriuczkow przeprowadził ją przez

szereg sal, z takim samym wytwornym zbytkiem urządzonych, aż wreszcie zatrzymał się w przestronnym pokoju na pierwszym piętrze. Narazie Wanda zauważyła tylko tyle, że oba okna, wychodzące na ogród od strony bramy wjazdowej, były zaopatrzone w silną i gęstą kratę.

Seidenstoff złożył jej głęboki ukłon i, przybierając znów ton wybitnie wersalski, tak przemówił:

— Oto jest pokój, w którym pani zamieszkaś, dopóki nie zechcesz zostać władczynią moją i całego tego domu, będącego — przyznasz pani — godnym jej urody. Willę tę nabył przed wojną wielki książę Dymitr Mikołajewicz od jednego z książąt Strozzych, w których posiadaniu była od XVI-go wieku. Obecnie jest własnością rządu komisarzy ludowych, mnie do wyłącznej oddana dyspozycji. Wszystko pozostało tu nietknięte. Przed miesiącem dopiero pozwoliłem sobie na pewne zmiany i przestawienia, aby pokój ten urządzić w sposób, mogący zadowolić pani wytrawny smak artystyczny.

— Tak, proszę pani, już przed miesiącem byłem pewny, że pani raczysz ten dom zaszczyścić swoją obecnością. Wtedy kazałem także zakratoiwać okna, bo przeczuwałem, że przesady aryjskie, a specjalnie sarmackie, każą mojej uroczej brance buntować się przeciw szczęściu, które ją spotyka. Niech pani raczy nie ironizować mych słów. Ja mam możność dać mojej kobiecie najwyższe szczęście ziemskie, lepiej niż którykolwiek z królów, jacy jeszcze pozostali na świecie. Bliżej objaśni panią w tym względzie moja wierna przyjaciółka Sara, która niebawem tu przyjdzie. To także postać

historyczna. Może pani czytała w dziennikach o „krwawej Sarze”, która cudów waleczności i okrucieństwa dokonywała na Podolu i Ukrainie. Rząd sowietów wiele jej zawdzięcza. Polecilem jej, aby była w każdej chwili na usługi pani i spełniała każde jej życzenie — prócz oczywiście — jednego.

— A teraz chcę dać pani dowód mego szacunku i oddalam się, abyś pani miała czas ochłónać i zastanowić się nad swoim położeniem. Idę i nie wrócę ani wieczorem, ani w nocy, choć ciało pani ciągnie mnie, jak magnes i ani na chwilę nie pozwala zapomnieć o sobie. Nie jest to przełotny tylko poryw żądz. Nie będę pani blagował o afektach, których nie czuję i w które pani i tak by nie uwierzyła. Ale jedno tylko powiem: ja pani potrzebuję do życia, jak powietrza, więcej, jak złota, które mi daje potęgę, jak bolszewizmu, który daje mi władzę! A że przywykłem nie wyrzekać się niczego, czego potrzebuję, dlatego musisz być moją, o ty upojna Dalilo, i nasz związek musi być trwały. Mam nadzieję, że pani będziesz rozsądna, że się pogodzisz z swym losem i gdy jutro przyjdę, sama złożysz mi w ofierze dwoje białych jagniąt swych piersi. Ale gdybyś trwała w swym bezrozumnym i bezcelowym uporze, z największą przykrością będę musiał chwycić się innych metod, które mnie jeszcze nigdy nie zawiodły. A teraz żegnam. Addio!

Wyszedł i drzwi zamknął za sobą na klucz.

Wanda odetchnęła. Była przynajmniej sama.

Machinalnie zaczęła rozglądać się po pokoju.

Był urządzony z takim samym estetycznym zbytkiem, jak inne apartamenty: stylowe meble z epo-

ki dojrzałego renesansu, także arrasy, marmurowe biusty portretowe z czasów quattrocenta, wskazujące na autorstwo Desideria da Settignano i Minda Fiesole, doskonała „Leda z łabędziem” o charakterystycznych cechach pędzla Sodomy. Specjalnie piętno wschodnie nadawały jednak temu wnętrzu grube, puszyste dywany perskie, wyścielające podłogę, a nadto niskie i miękkie tureckie kanapy zarzucone mnóstwem jedwabnych i aksamitnych poduszek rozmaitego kształtu i wielkości.

W kącie stała na niskim, rzeźbionym stołku arabskim, ozdobna nargila z bursztynowym smoczkiem. Cały jeden róg obszernej sali zasłaniał parawan z jedwabnej japońskiej tkaniny, pokryty malowidłami w stylu Outamara. Za nim krył się wgłębiony w posadzkę marmurowy basen, ozdobiony w środku kopją „Chłopca z delfinem” Verrocchi z Palazzo Vecchio. Z pyszczka delfina tryskała wąską strugą woda o delikatnym zapachu herbacianych róż i spadała w okalającą podnóże posażku dużą czarę z szafirowo-złotego szkła z Murano. Najwspanialszym jednak sprzętem w tej komnacie było olbrzymie, luksusowe łóżce renesansowe z baldachimem, z którego zwieszały się kotary z wiśniowego brokatu i grube złożone sznury z frendzlami.

— Harem, w którym ja mam być hurysą! — pomyślała z wściekłością Wanda, oglądając wszystkie przedmioty z żywiołową ciekawością zapalanej miłośniczki sztuki.

Usiadła na jednej z kanap i pogrążyła się w rozmyślaniach nad swą sytuacją.

Dławił ją bezsilny gniew. Czuła się upoko-

rzona i zbezcieczszona już przez to samo, że była w mocy sprośnego żydowskiego bolszewika.

— To nieprawdopodobny skandal — irytowała się — abym ja, ja właśnie, stała się heroiną sensacyjnego filmu, czy kryminalnego romansu! Przecież to zupełnie jakby scena z Conana Doyle lub Maurycego Leblanc! Boże, Boże dlaczegoż to mnie musiało spotkać teraz, teraz, kiedy zdawało się, że jeden krok tylko dzieli mnie od nowego życia w czystości i prawdzie!

Nerwy odmówiły jej zupełnie posłuszeństwa i załapała się łzami. Wypłakawszy się uczciwie, uczuła znaczną ulgę.

— Skoro już tak się złożyło — medytowała — że muszę być aktorką pełnego łez i zbrodni melodramatu, trzeba mi naśladować moje nieśmiertelne wzory. Cóżby w takim groteskowo-rozpaczliwym położeniu zrobił Sherlock Holmes lub Arsen Lupin? Postanowiliby za wszelką cenę uciec. Ale jak? W tem sęk!

Zbliżyła się do okna i spróbowała targnąć kratami. Były beczelnie mocne i urągały swą grubością jej drobnym, wypieszczonym rękom.

— W takich wypadkach sporządza się z byle czego pilnik i sprawa załatwiona. Ale ja tego nie potrafię. Nie, to daremne. Z gentlemanem-włamywaczem konkurować nie zdołam.

Stojąc przy oknie spostrzegła jednak rzecz, która ją zainteresowała. Pokój jej znajdował się w wysuniętem naprzód skrzydle, z którego widać było portal willi. Zobaczyła wychodzącego Kriuczkowa, który wyjął z kieszeni pęk kluczyków. Jednym z nich zamknął drzwi domu, drugim otwo-

rzył i zamknął bramę ogrodową. Długa jego, nieco naprzód pochylona postać znikła niebawem poza girlandami brazylijskich róż.

— Wszystkie klucze nosi przy sobie. To warto zapamiętać!

Pograżyła się znów w zadumie.

— To jedno pewne, że posiąść mię nie zdoła. Gwałtem mnie nie weźmie, bo raczej uduszę go, przegryzę mu gardło, lub sobie roztrzaskam głowę o ścianę. Ale może zaskoczyć mnie we śnie! Będę na noc drzwi zastawiała krzesłami, tak, że wchodząc będzie musiał je potrącić, a hałas przebudzi mnie. Może mnie uspić lub oszołomić jakimiś proszkami lub kroplami! Nie będę nic piła i jadła. Zamorzę się głodem. Więc cóż mię jeszcze może spotkać? Zabije mnie? To wcale nie leży w jego planach, a zresztą będzie się bał, że sprawa mimo wszystko mogłaby się wykryć. Ale może mię tu więzić całymi tygodniami, a w końcu w jakiś lajdacki sposób przewieźć do Rosji. Tam znajdzie się u siebie, i tam zupełnie będę zdana na jego łaskę i niełaskę. Wtedy przeпадnę!

W każdym razie pewnoś, że narazie nie grozi jej ani śmierć, ani hańba uspokoiła ją. Myślała już teraz znacznie spokojniej.

— Będzie tak, jak napisano w księdze Przeznaczenia. Jako zdecydowana fatalistka, nie powinnam tracić równowagi, bo wiem, że losu mego nie uniknę. Ale jakież w takim razie znaczenie ma ten incydent w mojem życiu? W czasie mojego duchowego oczyszczania się przywykłam we wszystkim, co mię spotyka, widzieć pewien

głębszy sens i wiązać wszystko z moją przyszłością i ze sprawami mej duszy. Cóż to znaczy zatem?... Widocznie przewina moja wobec Andrzeja, wobec ojca — ach, bluźnierstwem prawie wydaje mi się wymawiać choćby w myśli ich święte dla mnie imiona w tym domu, widocznie moja wina wobec ziemi mojej była cięższa, niż myślałam. Nie wystarczyła roczna przeszło pokuta przy Goździeńcu. Nie wystarczyło, abym uznała, że byłam winna. Trzeba jeszcze abym zrozumiała, że byłam śmieszna. Stąd ta tragifarsa! — Tęskniłam zawsze za pełnią ostrych wrażeń, za wyżyciem się, za czemś niezwykle, egzotycznym, sensacyjnym. Mam teraz sensację i nadzwyczajność pierwszej klasy w kinowym wydaniu. Życie pokazuje mi, jak w magicznem zwierciadle całą karykaturalność mojej dawnej duszy. Jeśli wyjdę cało z tej opresji...

Dalsze refleksje przerwało jej dyskretne pukanie do drzwi. Równocześnie jakiś głos kobiety, altowy i chrapliwy zapytał po francusku:

— Czy wolno, prrroszę pani?

— Ach, to zapowiedziana „krwawa Sara” — pomyślała Wanda. — Pocóż tyle ceremonji z więźniem! — zawołała z irytacją.

Klucz zazgrzytał w zamku i oczekiwana osobistość weszła. Wanda omal nie parsknęła śmiechem, tak dalece wygląd kobiety, która ukazała się, nie odpowiadał wyobrażeniu „krwawej Sary”.

Wanda zobaczyła żydówkę niskiego wzrostu, ze śladami minionej piękności na twarzy, którą jednak dawno zatarta nadmierna otyłość i rozwinięcie się wybitnie charakterystycznych cech anatomicznej budowy kobiet tej rasy, niewytrzymują-

cych próby niebezpiecznego wieku. Biodra jej były niepospolicie wydatne, rozsadzające bluzkę pierś wznosiły się nad zażywaniem łonem jak namiot ochronny, a pod krzywym nosem czernił się zarost, z którego dwudziestoletni młodzieniec mógłby być zupełnie zadowolony. Całość nie miała w sobie nic demonicznego, lecz przypominała raczej szanującą się i nieco jowialną kupcową z prowincjonalnego miasta. Jedynym szczegółem nieprzeciętnym był u niej wyraz czarnych oczu, błyszczących, jakby ciągle przerażonych i nieprzytomnych, wyraz spotykany często u młodych fanatycznych chasydów, praktykujących na rabinów.

— Witaj mi, różo Saronu, witaj gazello z góry Galaad — zaczęła uroczyście — witaj nowa oblubienico mego mistrza i pana!

To biblijne powitanie, pomimo całej grozy położenia, rozśmieszyło Wandę. Nie mogła uwierzyć, aby to była ta sama kobieta, o której pisało, że kąpała się w krwi ludzkiej.

— Ty biedna płakała i rozpaczała. Ja słyszała z drugiego pokoju, wiesz tam za ścianą, bo ja tam cały dzień siedzę w gabinecie Dawida i kopuję jego ważne papiery. Nu, nic dziwnego, tak każda robi z początku, a potem krzyczy i lamentuje, jak ją mój Dawid odtrąca, jak wyganiał król Dawid swoje nałożnice, gdy mu się sprzykrzyły. Czemu ty nic nie mówisz, ty głupia, czego jesteś smutna? Ty wygrała wielki los! Jak tu ślicznie, prawda? Jak w namiotach Nadaru, jak w pokojach króla Salomona!

Rozglądała się dokoła, z zadowolenia cmokając ustami. Nagle zobaczyła porzucony na stole

płaszcz Wandy i torebkę. Przeszukała te rzeczy starannie, mówiąc:

— Nu, chwała Bogu, tu niema żadnej broni. A jedna to była taka warjatka, jeszcze tam u nas w Rosji, że strzeliła do mego Dawida. Coś takiego! Ty sobie pomyśl! Strzelać do takiego człowieka, do takiego geroja, jak mój Dawid! A ten płaszczyk — to całkiem ładny kawałek, ile kosztował? Ten płaszczyk, to my jego powiesimy w tej hebanowej szafie. Prawdziwy antyk, z wierzchu heban, a w środku drzewo topolowe. A tę torebkę schowamy do tego biurka. Całe z palisandru. Między braćmi warte pół miliona lirów. Porządek przedewszystkiem. U nas w sklepie — ty wiesz, my przed wojną mieli taką małą galanterję w Berdyczowie — to powiadam 'tobie był taki porządek, jak w pudełku.

Zbliżyła się do Wandy i zaczęła obmacywać jej suknie.

— Ty się nie gniewaj, ale ja ciebie muszę zrewidować, czy ty nie schowała jaki niebezpieczny kawałek. Niema nic. Nu ja wiedziała, że nie będzie nic. Toby nie pasowało takiej wielkiej damie. Aj, aj, aj, jaka ty ładna, jaka ty śliczna! Twoja szyja jest jak wieża Dawidowa, a twój nos jest prosty i dumny, jak wieża Libanu, co patrzy w stronę Damaszku, a twoje zęby są, jak trzody równo strzyżonych owiec, co wychodzą z kąpieli, a pod twym językiem leży miód i mleko. Ty Sulamitka! Mój Dawid wiedział, co robi, jak ciebie brał. Jaki to człowiek! Jaki to człowiek! Wszystko, co on robi, to jest dobry interes, solidny interes!

— Czy pani tak kocha swego Dawida? — zapytała Wanda, którą mimowoli zainteresowała psychologia tej kobiety.

— Dlaczego ja nie mam kochać swego Dawida? On jest jak prorok Jehowy, on jest jak Dawid i Salomon do kupy, on jest drugi Jozue! Idzie już ten dzień, kiedy on zatrąbi, a wtedy cały świat będzie jedno Jerycho, a to Jerycho będzie się walić od jego trąb! Dlaczego ja nie mam kochać mego Dawida? On jest najpiękniejszy z ludzi! Mój kochanek ma cerę białą i szkarłatną, jego włosy są czarne, jak stroje kruków, jego oczy to dwie gołąbki nad jasnym strumykiem, z jego ust sączy się mirra, a jego lędzwie to arcydzieło ze słonowej kości, a nogom jego zazdroszczą kolumny marmuru na złocistym piedestale. Taki jest mój Dawid. Wśród tysiąca odróżnisz jego postać wydatną!

— I pani, tak ubóstwiając swego Dawida, znosi, że on ma inne kobiety?

— Dlaczego ja nie mam znosić, że on ma inne kobiety? Jego słodycz, to moja słodycz, jego szczęście, to moje szczęście, jego rozkosz, to moja rozkosz! Ty wiesz, ja już teraz nigdy nie dostepuję tej łaski, aby dzielić jego łożę. Z początku to ja rozpaczała, szalała, to ja się chciała zabić. Ale potem ja zrozumiała, że taki człowiek, taki geroj, taki prorok i król nie może poprzestać na jednej, starej kobiecie, ale że on powinien mieć wszystkie najpiękniejsze córki Jeruzalemskie i wszystkie najpiękniejsze córki Filistynów i Amalecytów. A jak ja to zrozumiała, to ja teraz jestem

jego rzecz, jego służebnica, jego niewolnica, jego pies najwierniejszy!

— Czy pani jest naprawdę „krwawa Sara?”

— Dlaczego ja nie mam być krwawa Sara? A ty wiesz, dlaczego ja się stała krwawa? To wszystko dla niego, dla mego Dawida! Ja ci opowiem moje życie. Bo ja potrzebuję ciebie. Ja chcę cię prosić o wielką łaskę.

Oczy jej stały się jeszcze bardziej nieprzytomne i fanatyczne, co tworzyło szczególny kontrast z wielce burżuazyjnym wyglądem całej reszty jej postaci.

— Ja już tobie mówiła, że mój tato i mama mieli małą galanterję w Berdyczowie. Ja im pomagała, ja cały dzień stała za ladą, a jak nie było gości, to ja czytała, ciągle czytała same romany i inne ładne kawałki. A co ja najbardziej lubiła? Strindberg i Ibsen i ten wasz Przybyszewski i Arcybaszew, a najwięcej Hans Heinz Ewers. Aj, aj, aj, co to za autor! Jak on rozumie, co to za dedicje jest krew. A jak przyszedł sabbat, to ja czytała nasze wielkie proroki i nasze święte księgi Izraela. I jak ja sobie przypomniła Kiszyniew i pogromy i czarne sotnie i wszystkie krzywdy, które Izrael wycierpiał, to ja wiedziała, że Jehowa sprowadzi pomstę na jego nieprzyjacioły i wytepi pogańskich Faraonów. I tak się stało! Przyszła wojna i przyszła rewolucja i przyjechały z zagranicy wielkie mściciele izraelskiego ludu, Trockij i Radek i Kamieniew i mój Dawid. Jak ja jego pierwszy raz zobaczyła, jak z krasnoarmiejcami przyjechał do Berdyczowa, to ja sobie odrazu pomyślała: to jest Juda Machabeusz i ja odrazu od-

dała jemu całe moje serce. Ale on wtedy miał za nic moje serce i moje ciało. U niego w głowie był wtedy tylko ten nasz wielki interes: zemsta i pąnowanie Izraela. A było jeszcze złe, pełno kontrrewolucjonerów: Denikin, Kołczak, Judenicz, potem Wrangel. To ja wtedy modliła się, aby mi Jehowa pozwolił zrobić coś wielkiego dla wybranego narodu, coś takiego, aby oko Dawida w łasce na mnie spoczęło. Ale ja się bała okropnie, ja się cała trzęsła, jak zobaczyła szablę albo karabin. Ale ja sobie powiedziała, że muszę zasłużyć na Dawida. To ja się postarała, że mnie naprzód wzięli do czrezwyczajki. Ja pisała wyroki śmierci, a potem asystowała przy egzekucjach, aby strzelanie i krew nie były już dla mnie straszne. Ja wtedy dopiero zrozumiałaa Ewersa. A potem to ja sama zaczęła się uczyć strzelać, a dla mnie najlepsza metoda to było strzelać do żywe ludzie, wiesz, do te buntownicy, co ich skazali na śmierć. Ze mną razem uczył się Moskalenko, ty go wiesz, on dawniej handlował u nas ze skórami, ale to już bardzo dawno. On wołał pałasz. To my nieraz robili zakłady i ty wiesz, ja już po miesiącu nigdy nie przegrała. Ja zawsze mogła z góry powiedzieć, czy ja trafię w prawe oko, czy w lewą brodawkę na piersi, czy w pępek. Jak do asa! I ja już nie bała się krwi, ona już mi robiła wielkie rozkosze.

— I wtedy Pan wysłuchał mnie i wzbudził we mnie ducha Judyty! Stało się ze mną coś straszego! Ja się wściekła, i chciała chłęptać krew goimów, jak dzika pantera, ja latała jak szalona z krasnoarmiejcami i mordowała wrogi Izraela.

A potem to ja sobie zebrała własną watahę i biegła przez Podole i Ukrainę, jak słup ognia w nocy, a jak obłok dymu w dzień, a gdzie ja przeszła, to za mną zostawały pożary i trupy. Wystarczyło krzyknąć „Krwawa Sara idzie!”, a już carskie buntownicy uciekały jak spłoszone owce. A moja czerwona rubaszka przepasana była czarnym sznurem jedwabnym i jak ja zabiła wroga wybranego ludu, to ja sobie zawiązywała węzełek. I jak ja tych węzełkow narachowała 999, to ja sobie powiedziała: Ty Sara, ty musisz teraz zrobić jakiś wielki czyn! I Jahwe poszczęścił! Ja zabiła tą moją własną ręką wielkiego kontrrewolucjonera, samego atamana jednej wielkiej bandy buntowników. A wtedy ja odszukała mego Dawida, ja klękała przed nim i na złotej tacy, co ja ją zabrała ze sławnej cerkwi, ja mu podała mój sznur jedwabny z węzełkami i głowę atamana. I wtedy ja mu powiedziała: „Ty Dawid, ty popatrz, ja dla ciebie zabiła tysiąc wrogów Izraela!” A on mi powiedział: „Ty jesteś wielka, Sara! Ty druga Judyta!” I wtedy spotkała mnie łaska. On przyjął mię w swoje łóżce i ja przez dwa lata była dla niego kochanka i najlepsza z niewiast. Co to było za szczęście! Coś nadzwyczajnego! Ja od rana do wieczora grała na harfie i śpiewała: „Patrzcie na mnie o Jerozalemianki: lewą ręką mi głowę trzyma owiśniętą, a prawą trzyma mą kibić objętą”. I ja wtedy już nie zabijała, bo ja już nie potrzebowała zarabiać na jego miłość.

— Ale na nas córki Izraelskie prędko przychodzi starość. I ja roztyła się w szczęśliwości i zbrzydła i przestała już budzić jego pożądliwość.

A wtedy ja całowała jego ręce i nogi i płacząc wielkim płaczem, wołała: „Ty Dawid, złoty, brylantowy, ty mnie tylko nie wyganiaj! Jak ja nie mogę być twoja oblubienica, to ja będę twoja rzecz, twoja służąca, twoja niewolnica, twój pies najwierniejszy, tylko ty mnie nie wypędzaj!” I on się ulitował, on dobry, kochany. Nu, i ty teraz powiedz sama, dlaczego ja nie mam znosić, że on ma inne kobiety, choć ja jego ubóstwiam?

— Rozumiem — odrzekła Wanda — której teraz jej sytuacja wydawała się znacznie mniej groteskowa.

— Ale ty wiesz? — zagadnęła Sara, a oczy jej rozgorzały światłem jeszcze potężniejszym — ty wiesz, poco ja tobie to wszystko mówiła? Bo ja chcę ciebie prosić o łaskę, o wielkie dobrodziejstwo. Dawid zapłonał dla ciebie, jak król Dawid dla Urjaszowej żony. Odkąd ciebie poznał, to jak skończymy roboty dla naszego wielkiego interesu, on o niczem nie mówi, tylko o tobie. On ciebie tak potrzebuje, że ani nie je, ani nie śpi, on całkiem wychudł z okropnej żądzy do ciebie. Ty dla niego nie będziesz tak, jak tamte inne nałożnice. Ty, jak zechcesz, będziesz jego pani, a on będzie twój pies i niewolnik. Tak, jak ja teraz dla niego. Ty, jak zechcesz, będziesz matką jego dzieci. O, ja przekłeta, moje łono było bezpłodne! A ty wiesz, co to jest być żoną i panią Dawida? Czy ty wiesz, kto to jest Dawid? On jest w Izraelu najmędrszy z najmądrzejszych i największy z największych. On będzie żydowski król! Albowiem powiedział Mojżesz: „Pozresz wszystkie ludy, które Jehowa odda w twoje ręce. Niech cię oni

wszyscy nie przerażają, bowiem Jehowa jest z tobą, wielki i straszliwy Bóg. On je wyniszczy wszystkie i to kolejno jedne po drugich". Już się wypełnia czas! Pieniądzem i drukowaniem słowem my już dawniej podbili świat i stało się, jak przepowiedział Jezajasz: „Ty wyssiesz mleko z ludów, a piersi królów ciebie mają nakarmić". Ale to mało dla dzieci Judy! Oni nie dorównywali goimom siłą i zwinnością ciała. I powiedzieli sobie: musimy być mocni i zwinni, jak oni. I stało się. Powstali nasi waleczni i zwojowali sobie wielką część świata i w niewolę swą wzięli naród wielkiego zbrodzieństwa, naród złego nasienia, który bluźnił wszystkiemu, co Izraelowi użyteczne jest. I bliski już dzień, że pójdą dalej nasi Ghibborim i porażą wszystkie Syryjczyki, Amonity, Edomity i Filistyny, albowiem przez nasz pieniądz i przez nasze słowo osłabiona jest moc ich ramienia i zanieczyszczona ich dusza. Wtedy Izrael zapanuje nad światem, a cudzoziemcy będą naszymi parobkami i ogrodnikami naszych winnic, królowie zostaną naszymi piastunami, a księżniczki naszymi mamkami. Padną przed nami na oblicze i będą zlizywali kurz z naszych stóp. Król żydowski będzie panem świata, a królem żydowskim będzie mój Dawid. A ty, żydowska królowa, będziesz panią świata, bo on jest twój rab i niewolnik.

Ostatnich zdań Sara nie mówiła już, ale krzyczała je, przez pół śpiewając przeciągłym, gardłowym, straszliwym głosem. Oczy jej płonęły, jak latarnie i miały ogień, które całą jej śmieszna postać zakrywały luną grozy i okrucieństwa.

Teraz Wanda uwierzyła, że ma przed sobą krwawą Sarę.

Lecz Sara nagle, jakby spopieliała, oczy jej zagasły, skuliła się, złamała i padła przed Wandą na kolana, szlochając i jęcząc.

— Rózo Saronu! — błagała — Sulamitko! Jak ty będziesz panią świata, ty nie daj, aby on mnie wypędził! Ty pamiętaj, że ja przed tobą otworzyłam serce i że ja otworzyła twoje oczy na wielkość Izraela. Ty nie wyganiaj mnie, bo ja będę wasza rzecz, wasza służąca, niewolnica, wasz pies najwierniejszy, bo jego rozkosz, to moja rozkosz!

Wandę przebiegł dreszcz przeżenienia, jakiego doznawała zawsze w zetknięciu z obłąkanymi.

— Niechże pani wstanie! — wołała w najwyższem zdenerwowaniu — niech pani wstanie, pani Saro! Pomówimy o tem później, wszystko będzie dobrze, tylko niech się pani uspokoi!

— Nu ja już spokojna, ja rozumiem, że ty nie możesz tak odrazu ślubować, ja tylko chciała, aby ty wiedziała, ja wiem, że ty dobra.

Podniosła się z trudem, chlapiąc i wycierając nos chusteczką. Za chwilę była już znów tylko jowialną kupcową z prowincjonalnego miasta.

— Ale ty pewnie głodna, gołąbko? — zapytała. — Ja tobie zaraz przyniosę kolację. Aby ty wiedziała, jaką dla ciebie Dawid przygotował kolację. Coś wspaniałego!

— Dziękuję. Nie będę jadła.

— Dlaczego ty nie masz jeść? Ty musisz jeść, abyś miała siły karmić miłością Dawida. A może ty się boisz, że tam może być jakie opium, czy kantaryda? Nu, głupia, Dawid jest za bardzo mężczy-

zna, aby mu robiło przyjemność brać kobietę gwałtem, albo chytrością.

Sara wyszła i po kilku minutach wróciła niosąc na tacy srebrną i kryształową zastawę i najwytworniejsze jadlo. Dawid zapamiętał wszystkie potrawy, jakie Wanda najbardziej lubiła. Nie zapomniał o langustach z sosem tatarskim i o ananasach. Wanda uczuła, że jej upór mięknie, zwłaszcza, że była bardzo głodna, bo w południe z powodu pogrzebu nic prawie nie jadła.

— Zjem trochę — rzekła nieco zawstydzona swą kapitulacją — jeśli pani będzie jadła ze mną.

Sarze aż oczy zaświeciły się z radości. Wybiegła i przyniosła sobie drugie nakrycie, ale zwyczajne, ordynarne, poczem zaczęła jeść łapczywie.

— Tobie trzeba wiedzieć, — mówiła, ciamkając łakomie — że to tylko dla ciebie takie nobel jedzenie. My sami jemy prawie, jak biedne urzędniczki. Dawid jest skąpy, bo jest mądry. On wie, że pieniądze więcej znaczą, niż armje. Ale dla ciebie musi być wszystko. Ty widzisz? Jest nawet Gran Cinzano Spumante, wino, które bardzo lubi król Wiktor Emanuel III.

Rozmarzona jedzeniem i szampanem Sara przyniosła harfę i przy jej dźwięku, usiadłszy w cieniu tak, aby nie mogła być widziana, śpiewała długo gardłowym głosem namiętne⁹ i zarazem przerażliwie rozpaczne pieśni hebrajskie.

Drgająca w nich potępieńcza tęsknota rozżarzyła do białości tęsknotę Wandy. Równocześnie podświadomie pracowała jej myśl. Zrozumiała, że strasznie spodlony lud żydowski jest zarazem ludem strasznie nieszczęśliwym. I uświadomiła sobie

także, że problemu żydowskiego nie można przeskoczyć, ani ominąć, ani załatać kompromisem, ale że trzeba go rozwiązać.

Po odejściu Sary podeszła ku oknu i, jak balsam, piła czyste, rzeźwe, przesycone upajającą wonią powietrze nocy. Spojrzała ku niebu. Wielki Wóz jaśniał brylantami siedmiu gwiazd. Zawiesiła na nich swą wielką tęsknotę, pocieszając się złudą, że to serdeczne wotum jej duszy dostrzeże Andrzej i ta ziemia daleka, która jest matką ich obojga. Gdy potem z żarliwością zwielokrotnioną mówiła swą zwyczajną modlitwę wieczorną, uczuła spokój kojący i pewność, że wróci do swej ziemi i nie będzie odtrącona przez tego, któremu oddała chciała być tylko muzycznym wtórem dla pieśni jego życia. Położywszy się do łóżka, zaraz zasnęła.

Gdy się ocknęła, słońce wysoko już stało w niebie. W pierwszej chwili, zanim jeszcze zupełnie sen strząsnęła z powiek, zdawała się jej, że jest w Łanowcu i że za chwilę przyjdzie Andrzej, aby ją rozbudzić, wodząc gorącemi ustami po jej ustach i po całej twarzy. Nagle doleciał do jej uszu chrapliwy szwargot. Rzeczywistość zdzieliła ją kańczugiem przez plecy, rozdzierając jękiem przerażenia ciszę jej duszy.

Wyskoczyła w białiznie z łóżka, i zaczęła podsłuchiwać pod drzwiami. Poznała głosy Kriuczkowa, Moskalenki i Sary. Zgodnie ze zwyczajem swej rasy, mówili głośno, krzyczeli prawie, tem swobodniej, że według ich przekonania, Wanda nie rozumiała po rosyjsku.

— A do diabła! — irytował się Kriuczkow — co za głupi koncept wlaź znów naszemu rzymskie-

mu szefowi do jego rudego łba! Miałem przecie dopiero w drugiej połowie kwietnia jechać do niego z raportem, a ten mię na gwałt wzywa telegraficznie już dzisiaj i to na dłuższy pobyt. A to pech łajdacki. Odrywać mnie teraz od jej boku!

— Musisz jechać, niema rady! — zauważył Moskalenko.

— Pewnie, że muszę, i ty pojedziesz ze mną!

— Ja? Poco?

— Wytlumaczę jemu, że ten rzymski interes za mnie załatwisz. Ja muszę wracać do mojej rodziny.

— Ty, Dawid, za dużo sobie pozwalasz! To może być wielka awantura z tą żoną Goździenca. Gwałt, porwanie. Pamiętaj, że my nie u siebie w Rosji! Ty możesz skompromitować sowiety. Ty przez to romansowanie zaniedbasz w naszej sprawie!

— A ty, Gedalje, zawsze jesteś tchórz! Co złego może z tego wyniknąć? W hotelu myślą, że wyjechała zagranicę. Umyślnie przez portjera posłałem jej bilet do Wiednia. Z nikim w Florencji nie żyła. Tutaj służba cała nasza, nie zdradzi. Postaram się, jak najprędzej pojechać z nią do Moskwy. Jakby się chciała awanturować w drodze, wmówimy w ludzi, że to warjotka. Sposoby się znajdą. A zresztą, jak raz ją wezmę, będzie, jak owieczka, jadła mi z ręki.

— Tyś powiedział, Dawid! — rzekła Sara. Która kobieta nie oszaleje dla ciebie, kiedy raz ciebie pozna!

— A ty mówisz, Gedalje, że ja się zaniedbam w robocie? Ty się nic nie bój! Ja ją wziął nie tyl-

ko dla siebie, ale i dla naszej sprawy. Taka wielka goimska dama, jak ja ją raz nawrócę na bolszewizm — a zrobię to napewno — będzie najlepsza agitatorka w służbie Izraela. My takich potrzebujemy. Nam już zaczynają nie wierzyć. Nasze żydowskie nosy robią ich podejrzliwymi. Coraz głośniej krzyczą, że bolszewizm, to żydowski imperjalizm. Ale takiej feudalce, takiej polskiej szlachciance będą wierzyć. O Niemcy możemy być spokojni. Prędzej, czy później wpadną w nasze ręce. Polskę połkniemy po drodze przy pomocy jej własnych głupich warcholów. Ale tu, we Włoszech, we Francji podle nacjonalisty podnoszą głowy. Na nich trzeba puszczać takie Sulamitki, a Izrael zatryumfuje!

— A Bóg odda w twe ręce ich królów i ty masz nawet imiona ich podać w niepamięć! — zacytowała Sara.

— Ty strasznie jesteś mądry, Dawid! — zauważył Moskalenko — co tobie dogodne, to u ciebie ma być dobre i dla Izraela.

— Bo on a Izrael to jedno! — zawołała Sara.

— Milcz, Gedalje! — krzyknął Kriuczkow — i zbieraj się, bo zaraz jedziemy! A ty, Sara, pilnuj mi jej, jak oka w głowie! Wrócę pojutrze!

— Moje szczęście — twoje szczęście. Ty wiesz! — uspokoiła go wierna wielbicielka.

— A więc mam jeszcze prawie trzy dni zwłoki przed sobą! — westchnęła Wanda. Myśl ta przyniosła jej zrazu ulgę, ale potem z godziny na godzinę rósł jej niepokój, aż wkońcu doszła do stanu takiego zniecierpliwienia i zdenerwowania,

że z upragnieniem niemal wyglądała powrotu Kriuczkowa, bo postanowiła nieodwołalnie, że z chwilą ponownego pojawienia się jego musi się zakończyć ten tragikomiczny incydent w jej życiu, który ją bolał i upokarzał.

— Wszystko jedno, jak się skończy — myślała — śmiercią moją, czy wyzwoleniem, byleby raz już był koniec, bo nie wytrzymam i oszaleję!

Aby odegnać obłęd, którego okropną, upiorną zjawę trwoga stawiała jej przed oczami, powtarzała głośno:

— Czekaj cię ziemia, twoja ziemia i jej najcudniejszy kwiat polny, który stał się twym ziemskim bogiem. Wytrwaj! To ostatnia próba, ostatni akt oczyszczenia.

Sary znieść nie mogła i wypędzała ją z pokoju, bo na jej widok doznawała idjosynkrazji, że wlecze się za nią wstrętny odór krwi, czosnku i śledzi.

Aż wreszcie trzeciego dnia późnym wieczorem rzuciła się cała, szarpnięta nerwowym wstrząsem, jakby nagle usłyszała tuż obok siebie wystrzał armatni, gdy znienacka zapukano do jej drzwi, a chrapliwy głos Kriuczkowa, napróżno w pieszczotę zciszany, zapytał:

— Czy wolno?

Ohydna trwoga znieruchomiła jej członki okamgnieniowym tężcem. Wnet jednak opanowała się i zasłoniła tarczą zdecydowanej na wszystko pogardy dla siebie i dla wchodzącego wroga.

— Niech par wejdzie! — zawołała z mocą.

Kriuczkow zbliżył się szybko i stanął przy niej tak blisko, że szyję jej oblał żar jego przy-

spieszonego oddechu. Równocześnie buchnęła na nią orgjastyczna woń skombinowanych perfum, wśród których górował zapach różanego olejku. Cofnęła się instynktownie i teraz dopiero otworzyła oczy, aż dotę mimowoli zamknięte. Wzrok jej zatrzymał się na niskim kołnierzu jego miękkiej, jedwabnej koszuli koloru lila, ogarnawszy w przełocie narzucony na nią wspaniały arabski chałat z szkarłatnego, grubego jedwabiu, pokrytego czarno-złotym deseniem. W tym stroju egzotycznym, beczelnie wymownym wydał się jej stylowy, ale jeszcze bardziej szatański.

— Cóż, urocza Dalilo? — zaczął — cóż Sulamitko precudna? Czyś już zrozumiała, że opór byłby bezrozumny i nadaremny?

Zbliżył się znów i usiłował ująć jej twarz w obie dłonie, aby ją w postawie rozkoszy udogodnić pocałunkom, lecz momentalnie odskoczył, odrzucony głośnym policzkiem.

Zadygotał i posiniał ze złości.

— Toś ty taka! — warknął. — Chcesz ostrych, wymyślnych igraszek? Może być i tak. Ja to nawet wolę!

Klasnął w dłonie:

— Sara! Przynieś przybory do poskramiania złośnic!

Krwawa Hebrejka weszła i z nabożną czcią wręczyła mu rewolwer i kozacką nahajkę, patrząc nań przytem, jak oblubienica w noc poślubną.

— Dziękuję ci, przyjaciółko! — rzekł — a teraz musisz wziąć ten duży list, wiesz, ten w gabinecie na biurku i zawieźć go zaraz towarzyszowi Axelrodowi, który jest na odpoczynku w Pistoji.

Sprawa ważna. Auto czeka. Nie wrócisz prędzej, jak jutro w południe.

— Dawid, mój złoty Dawid! — prosiła się Sara. — Czemu ty mię zawsze oddalasz, jak przyjdzie taka chwila? Co ja tobie szkodzę? I całej służbie pozwoliłeś pójść do miasta. To nawet niebezpiecznie. Czemu ty zawsze chcesz być wtedy sam?

— Już ja wiem, co robię! Ty podglądasz, podsłuchujesz, a potem djabeł tobą rzuca, że warujesz i krzyczysz, jak opętana. Zresztą tak chcę! Rozumiesz?

Zmierzył się na nią nahajką, że znikła w jednej chwili. Lecz on dla upewnienia się podszedł ku oknu i nie odwrócił się, aż usłyszał warkot samochodu, uwożącego niepożądanego świadka.

Wtedy dopiero zbliżył się znów do Wandy z rewolwerem w jednej, a z nahajką w drugiej ręce. Ona zaś, zupełnie już spokojna, bluznęła mu w twarz obelgą:

— Zapewne grywałeś pan Sinobrodego w prowincjonalnych teatrach?

— Zwykłem grać tylko samego siebie — zachichotał. — Ten rewolwer, to tylko na wypadek, gdyby twoje pazurki były zbyt ostre. Zresztą nie boję się ciebie. Patrz!

Pyszałkowatym ruchem odrzucił broń na otomanę.

— A to — pogłaskał pieszczotliwie nahajkę — to nie narzędzie kary, to jest narzędzie rozkoszy!

Zaszedł ją z tyłu i z całej siły uderzył przez plecy.

Wanda po raz pierwszy w życiu została fi-

✓ zycznie znieważona. Spadło to na nią tak nagle, że ze zdumienia skamieniała. Tymczasem Kriucz-
kow, podniecając się, coraz szybsze i coraz do-
tkliwsze wymierzał jej razy. Straciła poczucie
miejsca i chwili. Instynkt dumy wbił jej zęby w war-
gi, aby wzbronić jęków, a wyobraźnia, bólem aż
do gorączki podbiczowana, wymalowała jej obraz
średniowiecznej pokutnicy, którą jej grzechy śmier-
telne dobrowolnie pod pręgierz na rynku zawio-
dły.

— To za Andrzeja! — szeptała w ekspiacyj-
nym szale po każdym uderzeniu — to za ojca, to
za twą ziemię zdradzoną, to za żądzę egzotyizmu,
to za poszukiwanie sensacyj...

Lecz w jakiejś chwili, wyszarpniętej z tej
wieczności, nadmiar bólu kazał jej obrócić się
obronnym ruchem i wtedy zobaczyła twarz Kriucz-
kowa, zezwierzęconą obrzydliwym skurczem sady-
stycznej rozkoszy. Odrazu zrozumiała wszystko
i oprzytomniała. Żądza ratunku błyskawicowym
krzykiem rozdarła ciemny zamęt jej duszy i, jak
niegdyś kokaina, nadała sztyletową ostrość jej my-
śli, która rozpaczliwą nadzieją przylgnęła do lśni-
stej lufy na wiśniowym aksamicie otomany.

Znów w zmyślonym bezwładzie strachu pod-
dała swe plecy rozpuście nahajki, a potem, udając
omdlenie, słała się w stronę kanapy, aż wreszcie
upadła przy niej i nakryła rewolwer ręką i pier-
siami.

Kriucz-
kow tryumfująco, drżącymi palcami za-
czął zszarpywać z niej okrwawioną bluzkę. A wte-
dy ona, odsunawszy bezpiecznik, nagłym rzutem

sprężyła się w kabłak, przyłożyła prawie rewolwer do jego kolana i wypaliła.

Huk wystrzału zlał się w hasło wyzwolenia z wściekłym rykiem Kriuczkowa, który, wijąc się w okropnych bólach, runął na podłogę. Długą chwilę jęczał, krzyczał i przeklinał, aż osłabiony zamilkł, a bladość śmiertelna okryła jego twarz.

Wanda zerwała się i oprzytomniała po raz drugi.

— Uciekaj! — zahuczał w niej wewnętrzny głos samoobrony. Poskoczyła ku drzwiom: były zamknięte! To przypomniało jej zbawczy pęk kluczy, który przed czterema dniami widziała u Kriuczkowa. Uklękła przy rannym, przeszukując jego kieszenie zgorączkowanymi rękami i wreszcie znalazła upragniony przedmiot. Wtedy dopiero uczuła wilgoć na plecach, a dotknąwszy je dłonią, zobaczyła na niej pełno krwi. Zerwała więc prześcierało z łóżka i pocięła je na pasy złotym nożykiem do owoców, pozostawionym na stole przy talerzu z jabłkami, poczem, zrzuciwszy skrwawioną i poszarpaną bluzkę, wprawnymi ruchami dawnej pielęgniarki sporządziła bandaże, któremi przewiązała swe posiekane ciało. Następnie uporządkowała portarganą fryzurę, włożyła na siebie swój czarny jedwabny płaszcz, zabrała torebkę z pieniędzmi i już miała odejść, gdy przyszło jej na myśl, że Kriuczkow, pozostawiony sam bez opieki aż do powrotu Sary, a przynajmniej aż do rana, może umrzeć z upływu krwi.

— Nie chcę być morderczynią! — pomyślała — a zresztą on mnie na swój sposób kochał.

Przyklękła znów nad nim, odsłoniła straszli-

wie strzaskane kolano i przewiązała je starannie. Potem z trudem dźwignęła na otomanę jego długie cielsko i podłożyła mu poduszki pod głowę. Przy tej sposobności przypadkowo ujrzała jego oczy: były szeroko rozwarte bólem i przerażeniem, poprzez które przeziarała straszliwa, głucha, bezsilna nienawiść.

— Teraz — rzuciła mu na pożegnanie — możesz tu spokojnie czekać na powrót swoich. Będziesz miał po mnie pamiątkę na całe życie. Ile razy zakulejesz, przypomnij sobie, że nie tobie porywać się na Aryjki, a zwłaszcza na Polki. I jeszcze jedno, przyszedł królu żydowski! Prowadź ty swój lud do ziemi obiecanej, do Chanaan, aby stał się narodem, a nie upadłaj go szachrajskimi marzeniami o panowaniu nad światem, ty głupi, śmieszny żydzie!

Wybiegła szybko, otworzyła zdobytymi kluczami jedno i drugie drzwi, a następnie bramę ogrodową, poczem ten niepotrzebny i wstrętny już teraz dla niej przedmiot przerzuciła przez sztachety na trawnik. Z radością przekonała się, że tuż obok willi znajduje się przystanek podmiejskiego tramwaju elektrycznego. Niebawem wyłoniły się z nocnego mroku wesole, jasne światła ostatniego wozu, wracającego z Settignano do Florencji. Wsiadła, a gdy pogwizdujący młody konduktor z czapką, fantazyjnie na ucho przekrzywioną, wręczał jej bilet, witała go w duszy z uczuciem rozbitka na morzu, któremu podaje rękę marynarz z łodzi ratunkowej. Z uwagą i życzliwością przyglądała się pasażerom, po raz pierwszy w życiu doznając przyjemności obojętnego i bezinteresownego obcowania

z współludźmi. W miarę zbliżania się do miasta, czterodniowy epizod w willi bolszewików coraz bardziej wydawał się jej upiornym snem. Tak bardzo wszystko wokoło było zwyczajne, codzienne, dobroduszenie pospolite. Niestety dotkliwy ból w plecach był aż nazbyt namacalnym dokumentem ohydy, narzuconej przez dopiero co przeżytą rzeczywistość.

Gdy nasyciła się poczuciem ocalenia, pierwszą jej myślą było przesiać się we Florencji do tramwaju, idącego na dworzec i czekać tam do najbliższego pociągu, idącego za granicę. Odszukała w torrebce bilet kolejowy i przekonała się z radością, że mogła jeszcze z niego skorzystać, bo był ważny na osiem dni. Stwierdziła również, że bagaż jej nie pojechał naprzód do Wiednia — jak się obawiała — bo praktyczny Kriuczkow w przewidywaniu dalszych wypadków zdeponował go tylko w garderobie, czego w pierwszej chwili nie skontrolowała, gdyż z umysłu wręczono jej kwit dopiero tuż przed pogrzebem.

Ta szczęśliwa okoliczność, pozwalająca jej zmienić zdekompletowaną garderobę i ogromne znużenie skłoniły ją do przenocowania we Florencji. Zabrawszy więc walizy z dworca zajęła do wykwintnego hotelu „Grande Bretagne” na Lungarno. ✓

Nazajutrz zbudziła się z uczuciem, że pobyt w willi bolszewików zbrudził ją fizycznie i moralnie. Wzięła więc kąpiel i przebrała się od stóp do głowy, a potem, pożegnawszy się z freskami Fra Angelica w San Marco, poszła do kościoła Santa Maria del Carmine, gdzie w kaplicy Brancaccich, ✓

w której przed laty jej nieszczęśliwa matka brała ślub z ojcem, modliła się długo z żarliwością taką, na jaką po wyjściu z lat dziecinnych, będących świadkami pierwszych jej ekstaz religijnych, później w wyjątkowych tylko chwilach zdobyć się umiała.

Gdy wreszcie znalazła się w wagonie sypialnym, idącym wprost zagranicę, doznała wrażenia, że zrzuciła z siebie obrzydłą, przegniłą płachtę, która cuchnącym brudem oblepiała jej ramiona od chwili ucieczki z Łanowca. Teraz czuła się już naprawdę godną swej ziemi i Andrzeja. W takt rytmicznej pieśni pociągu powtarzała półsennie słowa, które cudowną mocą ducha przesłał jej z oddali w jasną noc lipcową: „Wracaj! Ja czekam!”

V.

W tej samej, największej sali krakowskiego Pałacu Sztuki przy placu Szczepańskim, w której wystawione przed rokiem „Dzieje duszy” przyniosły rozgłos swemu twórcy, wznosiło się na naczelnem, środkowem miejscu nowe dzieło Andrzeja Szczerby, olbrzymia, monumentalna grupa: „Ziemia”.

O ile pierwsza jego praca stała się powodem nieskończonych dyskusyj, polemik i najsprzecznijszych sądów, wahających się pomiędzy entuzjazmem a bezwzględnem potępieniem, o tyle „Ziemia” spotkała się z jednomyślnym chórem uwielbienia i najwyższego uznania.

Andrzej wstępnym bojem wdarł się odrazu na najwyższy bastjon niedosiętej dla innych warowni Sławy i doświadczał teraz wszystkich korzyści i niedogodności swego wywyższenia.

Był suwerenem i prawodawcą w zakresie swej sztuki. Stał odrazu na szczycie tak wysokim, że wyniosłość ta uczyniła go dla widzów nieomylnym. Znikła podejrzliwość, nieufność i złośliwość, z jaką krytyka zwyczajnie odnosi się do młodych talentów, znajdujących się dopiero na dorobku. Teraz wszystko, co zrobił, było dobre i wielkie. Każde dzieło jego i każdą w obrębie tego dzieła nowość, duchową czy formalną, witano jako

rewelację. Mógł dawać rzeczy słabe i niedociągnięte, mógł popełniać błędy, wszystko wytłumaczono-by na jego korzyść. Gniewało go to niepomierzenie, że posąg zmarłej żony pana Miluński, rzecz robioną na zamówienie, bez natchnienia, a nawet z niechęcią, przyjmowano z takim samym zachwytem, jak dzieła, zrodzone z najserdeczniejszej krwi jego ducha.

W sposobie adoracyjnego traktowania go przez znawców i pseudoznawców sztuki były niewątpliwie różne stopnie i odcienie. Ton uznania, rozlegający się na ławach konserwatywnej, starczej prawicy artystycznej, nacechowany był rezerwą, chłodem i pobłażliwością, podszytą dużą dozą wstydlivej niechęci. Dojrzałe centrum, składające się z doświadczonych umysłów w pełni rozwoju, żywiło dlań szczery i rzetelny podziw, uważając go za przedstawiciela twórczości narodowej w najgłębszem tego słowa pojęciu. Wreszcie radykalizująca i wiecznie do buntów skora młodzież artystyczna, podzielona na zwalczające się wzajemnie grupy i grupki, boczyła się na tego samotnika i luzaka, który ośmielił się podnieść głowę ponad nich, chociaż do żadnej kategorji nie należał, podrwiwała z niego pocichu i usiłowała go poniżyć, oficjalnie jednak nie śmiała go wprost zaczepiać, bo wielka siła duchowa, bijąca z jego dzieł, nakładała ich zawiści kaganiec przyzwoitej powściągliwości.

Zewnętrzne akcesorja sławy były dla Andrzeja nieznośne. Drażniły go niewypowiedzianie wywiady, prośby o autografy i fotografie, supliki młodych adeptów sztuki o ocenę swych pierwocin i o wskazywanie dróg kształcenia się, notatki kro-

nikarskie, sygnalizujące jego przyjazdy i wyjazdy, zaproszenia na rauty, herbatki, do rozmaitych komitetów, listy od wielbicielek i t. d. Szczególnie przykre w tych objawach czci, zwłaszcza ze strony kobiet, były aluzje do jego osobistego dramatu życiowego i podkreślanie, że o tem wszystkiem umie się dyskretnie milczeć, chociaż widzi się i ocenia wartość interesującej aureoli męczeństwa dokoła jego głowy.

— O, jakąż to klątwa być człowiekiem publicznym! — biadał nieraz Andrzej, przeklinając wścibstwo ciekawości. — Pracować dla ludzi jest jedynem zadaniem, godnem człowieka, ale żyć z nimi naprawdę zbyt nieraz jest ciężko. Czyż nie lepiej orać swoją skibę i mieć swoje uczucia wyłącznie dla siebie? Sztuka zmusza człowieka, aby najpoufniejsze i najskrytsze drgnienia swej duszy zaklinał w słowo, dźwięk, kształt lub barwę i rzucał je na targowiska świata, czyniąc z nich żer dla mas, a potem przedmiot doświadczeń dla mędrców szkiełka i cyrkla. To jest nieunikniona cena wyzwolenia, jakiego doznaje twórca, wyswobodzając się od swego dzieła. Ale im niedość tego, że poznają duszę. Chcą jeszcze widzieć, jak ta dusza jest odziana, jak śpi, je, pije i całuje!

Rozumiał jednak, że sława, prócz korzyści materialnych, przynosi mu jeden zysk, nad wszystko cenniejszy: bezwzględną swobodę tworzenia. Dla niej warto było znosić wszystkie ujemne strony niewygodnego stania na świeczniku.

„Ziemia” dorzuciła garść nowych liści do laurowego wieńca jego chwały, nie mógł jednak pogratulować sobie, że intencje jego zostały zrozu-

miane. Zachwycano się nowością i oryginalnością jego stylu, podziwiano świetne rozwiązanie problemu trudnej grupy, powtarzano ustalone już przez krytyków „Dziejów duszy” dogmaty o zrealizowaniu ideału narodowej formy, łączącej w sobie liryzm i rozmach rasy, ale symbolicznej treści dzieła albo nie rozumiano wcale, albo pojmowano ją zbyt jednostronnie. A o tę wewnętrzną, duchową zawartość swego tworu najbardziej szło Andrzejowi, który był zasadniczym wrogiem wszelkiej naturalistycznej bezpłciowości w psychicznych sprawach sztuki.

Z tego zakresu domyślano się zaledwie tyle, że „Ziemia” jest symbolem płodności i fizycznej nieśmiertelności, której płodność jest sprawczynią.

— Zapewne — myślał — jest tam i to także, ale to zaledwie drobna i bynajmniej nie najważniejsza część. A żywiołowe dążenie „Ziemi” do zdobycia swej boskiej prawdy! Czemuz tego nie widzą, czyż tego nie udało mi się wyrazić?

Najbliższym uchwycenia jego celu był pewien subtelny krytyk, który miał oczy na to, aby poprzez kształt materialny patrzeć do wnętrza, a który — nie bez tego zresztą, aby go rozmowa z samym Szczerbą nie zorientowała nieco w tym względzie — tak między innemi o „Ziemi” pisał:

„Jest to jedno z tych dzieł sztuki, które od razu duszę biorą w swe władanie i nie pozwalają jej nigdy już wyjść z kręgu swej czarodziejskiej mocy. Na jego widok doznaje się tego niezapomnianego, świętego drżenia wewnętrznego, które jest niechybnym zwiastunem, że stoi się w pobliżu

wielkiego objawienia ducha i w sąsiedztwie z jedną z najgłębszych tajemnic Bytu.

Przed nami w bezkres, w nieskończoność, rozciąga się ziemia, szaro-fioletowymi skibami, jak morze sfalowana ziemia, której artystyczną syntezę świetnie wyraża olbrzymi blok ciemno-szarego, głębokimi bruzdami rozoranego granitu, wznoszącego się skośnie ku górze i kończącego się wysoko, czuje się, że aż gdzieś u niedosięglych krańców widnokregu, nawistym zwałem nieobrobionego, surowego ciosu. Cały glob ziemski, „Ziemia”, ale nie ta, która, dzika, ślepa i głucha wyłoniła się z chaosu w dniach stworzenia, lecz Ziemia, przetworzona pracą myśli i ręki Człowieka. Ten Człowiek, para ludzka, mężczyzna i kobieta, kompletny, cały Człowiek, wydobywa się z macierzyńskiego łona Ziemi, z którym związany jest wszystkimi najserdeczniejszymi węzłami krwi i ducha.

Przedziwny, jedyny splót dwu białych, marmurowych ciał: On wydzwignął się cały z Ziemi, leżąc, podtrzymuje jedną ręką Ją, drugą połowę swej jaźni, aby jej pomóc wydostać się z ziemnej narodni i wstać na nowe życie z trumny-kołyski. Ramiona ich, przywarte do siebie, łańcuchami rąk łączą te dwa istnienia w nierozdzielną Jednię. Tęcza twarze ich i oczy nie żyją sobą wzajemnie. Jednoczą się dopiero w tem, co jest najdrogocenniejszym tworem ich ciał i dusz, w Dziecięciu, które oboje trzymają wolnymi rękami i podnoszą, jak mogą najwyżej, ku słońcu, ku nieskończoności, ku Bogu! A Ono, to serce ich serc i serce Ziemi, które w wiekowym pochodzie bezustannych skonów i narodzin, tryumfów i upadków, nauczyło się bić

w rytmie Pieśni Wiekuistej, wyciąga ręce ku górze i zdaje się lecieć, jak strzała tęsknoty, wzwyż i w dal, aby spaść na serce niezmiernego, trudem pokoleń zdobytego, Boga.

Z Ziemi powstałeś, lecz do Ziemi nie wrócisz, bo wraz z nią złączysz się i stopisz w jedno z Jedynym i Wiecznym!

Nić genetycznego związku wiąże „Ziemię” Szczerby z jego „Dziejami duszy”. Gdy twarz mężczyzny jest genialnym zmysłowym substratem świadomej siebie i swego celu rozwojowej myśli, twarz kobiecej połowy Człowieka wyraża uczucie, które, doświadczeniem całego życia poznawszy nikłość wszystkich tajemnic doczesnych, znalazło wyzwolenie z swego niepokoju, bo zakochało się w tajemnicy wiecznej, w okamgnieniowym objawieniu intuicji dojrzałej. Lecz twarz to znana nam dobrze. To piąte, ostateczne i tryumfalne stadjum rozwoju tej, Boga wiecznie głodnej i po wszystkich manowcach bytu szukającej Go duszy, której cztery fazy poprzednie oglądaliśmy i podziwiali w pierwszej pracy tego wielkiego twórcy.

Jeśli najwyższym ideałem dzieła sztuki jest danie poglądu na świat, nie za pomocą rozumowych argumentów filozofującej myśli, ale w błyskawicowym rozelśnieniu zmysłami uchwytniej wizji, potęgą uczucia wydartej mrokom nieświadomości, to dzieło Andrzeja Szczerby zadanie to niewątpliwie spełniło w zupełności”.

Lecz sam Andrzej Szczerba z dzieła swojego nie był zadowolony.

Pewnego majowego popołudnia, gdy z powodu pory obiadowej spodziewał się, że nikogo nie

brak dońce

